

Frederick Forsyth
Fałszerz
przekł. Danuta Górską [et al.].
wyd. 3.
Toruń : "C&T", 1997.
Tytuł oryg.: Deceiver
ISBN 8387498025

Zimna wojna trwała czterdzieści lat.
Formalnie Zachód wygrał ją.
Ale nie obyło się bez ofiar.
Ta książka jest dedykowana tym, co spędzili duży kawał swojego życia
w "cieniu".
Takie były czasy, moi przyjaciele...

-, .
Frédéric Forsyth
FAŁSZERZ
Przekład:
Danuta Górską, Barbara Jankowiak, Zofia Uhrynowska-Hanasz, Andrzej Szulc
CT
TORUŃ .

□

PROLOG

W lecie 1983 roku ówczesny szef brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadów Czej (Secret Intelligence Service) zezwolił, pomimo sprzeciwu wewnętrznej opozycji, na utworzenie nowego wydziału.

Sprzeciw wyrażały głównie istniejące już wydziały, mające w większości rozległe wpływy niemal na całym świecie, ponieważ nowy wydział miał zostać wyposażony w szerokie uprawnienia, przekraczające dotychczasowy zasięg.

Dwa czynniki doprowadziły do utworzenia nowego wydziału.

Pierwszym był nastrój wzburzenia w westminsterze i Whitehallu, a zwłaszcza w rządzącej Partii Konserwatywnej, jako rezultat brytyjskiego zwycięstwa w zeszłorocznej wojnie o Falklandy.

Pomimo militarnego sukcesu incydent ten wywołał gwałtowne i nierzadko napastliwe dyskusje w rodzaju:

dlaczego zostaliśmy zaskoczeni, kiedy argentyńskie oddziały generała Galtieriego wylądowały w Port Stanley?

Kłótnie pomiędzy departamentami ciągnęły się przez ponad rok i nie uchroniły przed oskarżeniami i wymówkami typu: "Nie byliśmy ostrzeżeni. Właśnie że byliście".

Minister spraw zagranicznych, lord Carrington, zmuszony był złożyć rezygnację. Po latach podobna awanturnicza miała wstrząsnąć Ameryką w rezultacie zniszczenia samolotu Pan American nad Lockerbie, kiedy to jedna agencja twierdziła, że wysłała ostrzeżenie, a druga twierdziła, że żadnego ostrzeżenia nie otrzymała.

Drugim czynnikiem było niedawne objęcie władzy w Związku Sowieckim przez Jurija Andropowa, który przez piętnaście lat był szefem KGB, a teraz został pierwszym sekretarzem partii komunistycznej.

Rządy Andropowa, faworyzującego swoją dawną agencję, zapoczątkowały narastającą falę szpiegostwa oraz "aktywnych działań" podejmowanych przez .

□

KGB przeciw Zachodowi, wiadomo było, że Jurij Andropow najwyżej cenił aktywne posługiwanie się dezinformacją wprowadzanie wątpliwości i demoralizacji za pośrednictwem kłamstw, wywieranie nacisków, oczernianie znanych osobistości oraz sianie niezgody pomiędzy sprzymierzeńcami za pomocą przeinaczania faktów.

Pani Thatcher, która wtedy właśnie otrzymała (nadany przez Sowiec) tytuł "Żelaznej damy", postanowiła posłużyć się tą samą bronią i oświadczyła, że nie będzie miała nic przeciwko, jeśli brytyjski wywiad spróbuje odpłacić Sowiecom pięknym za nadobne.

Nowy wydział otrzymał szumną nazwę: Dezinformacja, Operacje Tajne i Psychologiczne.

Oczywiście nazwę natychmiast zredukowano do "Pe-De i 0-Psy", a następnie po prostu do "Pe-De".

Wyznaczono nowego kierownika wydziału.

Podobnie jak człowiek kierujący zaopatrzeniem nosił przezwisko Kwatermistrza, a człowiek kierujący wydziałem Prawnym przezwisko Prawnika, nowy naczelnik PeDe został przez jakiegoś dowcipniśca w kantine nazwany Fałszerzem.

Szef, sir Arthur, dokonując wyboru nowego kierownika narażał się na

krytykę (i rzeczywiście został później skrytykowany, ponieważ łatwo być mądrym poniewczasie).

Nie wybrał karierowicza z centrali, przyzwyczajono go do ostrożności wymaganej od urzędników państwowych, tylko był go agenta terenowego, którego przeniósł z wydziału Niemiec Wschodnich.

Ten człowiek nazywał się Sam McCready i kierował wydziałem przez siedem lat.

Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

Późną wiosną 1990 roku w Whitehallu odbyła się pewna rozmowa...

Młody urzędnik wstał zza biurka w sekretariacie, uśmiechając się ru tynowo.

Dzień dobry, sir Mark.

Podsekretarz polecił, żeby od razu pana wprowadzić.

Otworzył drzwi prywatnego gabinetu stałego podsekretarza Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Wspólnego Rynku, wprowadził gościa i za mknął za nim drzwi.

Podsekretarz, sir Robert Inglis, podniósł się z po witalnym uśmiechem.

Mark, kochany chłopie, jak to miło, że przyszedłeś.

Jeśli ktoś jest szefem SIS, nawet od niedawna, musi nabrać podejrzeń spotykając się z tak serdecznym przyjęciem ze strony stosunkowo obcego człowieka, który nagle traktuje cię jak brata.

Sir Mark przygotował się wewnętrznie na trudne spotkanie.

Kiedy usiadł, najstarszy rangą urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych otworzył zniszczoną czerwoną teczkę leżącą na biurku i wyjął skórzaną aktówkę, oznaczoną ukośnym czerwonym krzyżem, sięgającym od brzegu do brzegu.

Objechałeś wszystkie placówki i z pewnością podzielisz się ze mną wrażeniami? zagadnął.

Oczywiście, Robercie...

we właściwym czasie.

Obok aktówki zawierającej ściśle tajne akta sir Robert położył czerwoną książkę w papierowej okładce, spiętą na grzbiecie czarną plastikową spiralką.

Przeczytałem oznajmił twoje propozycje "SIS w latach dwięćdziesiątych" dołączone do ostatniej listy zakupów koordynatora wywiadu. Wygląda na to, że dokładnie wypełniłeś jego żądania.

Dziękuję, Robercie powiedział szef.

Więc mogę liczyć na poparcie Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

Uśmiech dyplomaty zasługiwał na pierwszą nagrodę w każdym teleturnieju.

Mark mój drogi, większość twoich propozycji nie sprawi nam trudności.

Ale jest kilka punktów, które chciałbym z tobą przedyskutować.

Zaczyna się, pomyślał szef SIS.

Na przykład czy mogę przyjąć, że twoja propozycja utworzenia dodatkowych placówek za granicą została uzgodniona z Ministerstwem Skarbu i wymagane fundusze wykrojono z czyjegoś budżetu?

Obaj mężczyźni dobrze wiedzieli, że SIS nie jest w całości finansowa na przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

W rzeczywistości zaledwie niewielka część finansów pochodzi z budżetu MSZ.

Właściwe koszty utrzymania niemal niewidzialnej SIS, które w przeciwieństwie do budżetu amerykańskiej CIA są wyjątkowo niskie, zostały podzielone pomiędzy wszystkie ministerstwa w rządzie.

Każde ma w tym swój udział, nawet pozornie niezaangażowane Ministerstwo Rolnictwa, Rybołówstwa i Przemysłu i Przerobstwa prawdopodobnie na wypadek, gdyby pewnego dnia chciało wiedzieć, ile dorosły wyławiają Islandczycy z północnego Atlantyku.

Ponieważ budżet jest tak starannie rozdzielony i tak dobrze ukryty, Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie może "naciskać" na SIS grożąc wstrzymaniem funduszy, jeśli jego życzenia nie zostaną spełnione.

Sir Mark kiwnął głową.

Nie ma problemu.

Koordynator i ja odwiedziliśmy Ministerstwo Skarbu, wyjaśniliśmy sytuację (co wcześniej uzgodniliśmy z Radą Ministrów) i znaleźliśmy potrzebne fundusze, ukryte w budżetach badawczych i rozwojowych ministerstw, których nigdy byś nie podejrzewał.

Wspaniale rozpromienił się podsekretarz, szczerze albo i nie.

W takim razie przejdźmy do tego, co wchodzi w zakres moich obowiązków.

Większość obowiązków.

Nie wiem, jak sobie radzicie z personelem, ale my mamy trochę trudności z

obsadzeniem dodatkowych stanowisk, w związku z zakończeniem zimnej wojny i wyzwoleniem Środkowej i Wschodniej Euro py.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

Sir Mark rozumiał dokładnie, o co chodzi.

W ciągu ostatnich dwóch lat upadek komunizmu powodował szybkie zmiany na politycznej mapie planety.

Korpus Dyplomatyczny liczył na nowe możliwości w Europie Środkowej i na Bałkanach, rozważano nawet utworzenie miniambasad na Łotwie, Litwie i w Estonii, jeżeli te republiki uniezależnią się od Moskwy.

W konkluzji Inglis sugerował, że obecnie, kiedy zimna wojna przeszła do historii, jego kolega w wywiadzie będzie zajmował zupełnie inną pozycję.

Sir Mark bynajmniej tak nie uważał.

Nie mamy innej możliwości oprócz rekrutacji, podobnie jak wy.

Nie mówiąc już o rekrutacji, sam trening zajmuje sześć miesięcy, zanim możemy wprowadzić nowego człowieka do Century House i zwolnić do świadczonego pracownika do służby zagranicznej.

Dyplomata spoważniał i z przejęciem pochylił się do przodu.

Mój drogi Mark, to jest właśnie sedno sprawy, którą zamierzałem poruszyć.

Obsadzenie stanowisk w naszych ambasadach.

Sir Mark jęknął w duchu.

Drań dobierał mu się do skóry.

Chociaż MSZ nie może wywierać finansowych nacisków na SIS, zawsze chowa ją kiegoś asa w rękawie.

Ogromna większość oficerów wywiadu służących za granicą wykorzystuje ambasadę jako parawan dla swojej działalności.

To jest ich baza.

Jeśli nie dostaną fikcyjnego stanowiska w ambasadzie, nie mogą pracować.

A jaki jest twój generalny pogląd na przyszłość, Robercie?

za pytał.

Obawiam się, że w przyszłości po prostu nie będziemy mogli ofiarować stanowisk niektórym z waszych...

bardziej interesujących pracowników.

Oficerom, którzy zostali zdemaskowani.

Znanym twarzom.

Pod czas zimnej wojny to było do przyjęcia; w nowej Europie będą kłuć w oczy.

Kamień obraży.

Jestem pewien, że to rozumiesz.

Obaj wiedzieli, że agenci zagraniczni dzielą się na trzy kategorie.

"Nielegalni" agenci nie działali pod przykrywką ambasady i nie interesowali sir Roberta Inglisa.

Oficerowie pracujący w ambasadzie byli albo "jawni", albo "niejawni".

Oficer jawny, inaczej "znana twarz", to ktoś, kogo prawdziwe funkcje są powszechnie znane.

Dawniej obecność takiego oficera wywiadu w ambasadzie czyniła cuda.

Wszędzie w państwach obozu komunistycznego i Trzeciego Świata dysydenci, małkontenci oraz wszyscy pozostali wiedzieli

dokładnie, do kogo mogą pójść i wypowiedzieć się ze swoich żalów.

Dzięki temu zebrano bogate żniwo informacji, a także przeprowadzono kilka spektakularnych ucieczek.

Obecnie dyplomata dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie więcej takich oficerów i nie będzie miał dla nich miejsca.

Bronił pięknej tradycji swojego departamentu, polegającej na tym, żeby ustępować wszystkim nie-Brytyjczykom.

Słyszałem, co powiedziałeś, Robercie, ale nie mogę rozpocząć działalności jako szef SIS od czystki wśród oficerów, którzy służyli lojalnie, długo i dobrze.

Znajdź im inne zajęcie zaproponował sir Robert.

Ameryka Południowa i Środkowa, Afryka...

Nie mogę ich wysłać do Burundi, dopóki oni sami nie wystąpią o zwolnienie.

Więc praca biurowa.

Tutaj, w kraju.

Masz na myśli te tak zwane nudne posadki powiedział szef.

Niewielu się na to zgodzi.

Więc muszą odejść na wcześniejszą emeryturę oświadczył gładko dyplomata.

Znowu pochylił się do przodu.

Mark, kochany chłó pie, nic się nie da zrobić.

Pięciu Mądrych Ludzi poprze mnie w tej sprawa, możesz być pewien, zwłaszcza że sam do nich należę.

Zgodziliśmy się na pokazną rekompensatę, ale...

Pięciu Mądrych Ludzi to stali podsekretarze Rady Ministrów, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Ministerstwa Obrony i Ministerstwa Skarbu.

Ta piątka skupia w swoich rękach ogromną władzę.

Między innymi właśnie oni wyznaczają (lub rekomenują) premierowi, co na jedno wychodzi) szefa SIS oraz dyrektora generalnego Służby Bezpieczeństwa, MI5.

Sir Mark był głęboko zasmucony, lecz wystarczająco dobrze orientował się w realiach władzy.

Będzie mu się ustąpić.

Dobrze, ale potrzebuję dyrektywy w kwestiach proceduralnych.

W ten sposób pokażę wszystkim, że zostałem zmuszony, dzięki czemu nie straci pozycji wśród personelu.

Sir Robert był wylewny; mógł sobie na to pozwolić.

Dyrektywy otrzymasz natychmiast zapewnił.

Poproszę po pozostałych Mądrych Ludzi o spotkanie i wspólnie ustalimy nowe przepisy, które będą obowiązywać w nowych okolicznościach.

Proponuję, żebyś po wprowadzeniu nowych przepisów zainicjował to, co prawnicy nazywają "procesem poszlakowym", i w ten sposób wybrał okazowy egzemplarz.

Proces poszlakowy?

Okazowy egzemplarz?

O co ci chodzi?

□

O precedens, kochany Marku.

Pojedynczy precedens, który będzie można rozciągnąć na całą grupę.

Kozioł ofiarny?

To nieładne określenie.

Nikogo nie składamy w ofierze, tylko wcześnie przynosimy w stan spoczynku ze sporą rentą.

Wybierz jakiegoś oficerów, którego odejście nie wzbudzi sprzeciwów, zwołaj zebranie i tym sposobem ustanowisz precedens.

Jakiego oficera?

Masz kogoś konkretnego na myśli?

Sir Robert złożył dłonie i spojrział w sufit.

No, zawsze jest Sam McCready.

Oczywiście.

Fałszerz.

Sir Colin zdawał sobie sprawę, że odkąd przed trzema miesiącami Fałszerz wykazał na Karaibach energiczną, choć samowolną inicjatywę, MSZ traktuje go jak spuszczonego ze smyczy Dżyngis-chana.

Dziwne, doprawdy.

Taki...pokręcony facet.

Sir Mark w głęboko introspektywnym nastroju wracał do swojej kwatery głównej, Century House, po drugiej stronie Tamizy.

Wiedział, że najwyższy rangą urzędnik w Ministerstwie Spraw Zagranicznych nie tylko zaproponował zwolnienie Sama McCreadyego nalegał na to.

Z punktu widzenia szefa nie mógł wysunąć trudniejszego żądania.

W 1983 roku, kiedy Sam McCready został mianowany kierownikiem wydziału Pe-De, sir Mark był zastępcą inspektora, rówieśnikiem McCreadyego, przewyższającym go rangą tylko o jeden stopień.

Lubił szorstkiego, bezceremonialnego agenta, którego sir Arthur wyznaczył na nowe stanowisko, ale prawie wszyscy go lubili.

Zaraz potem sir Mark został wysłany na trzy lata na Daleki Wschód (władał płynnie dialektem mandaryńskim).

Wrócił w 1986 roku i dostał awans na zastępcę szefa.

Sir Arthur złożył rezygnację, a nowy szef nie zagrażał długo miejsca.

W styczniu zeszłego roku zastąpił go sir Mark.

Przed wyjazdem do Chin sir Mark zakładał, podobnie jak wielu innych, że Sam McCready nie utrzyma się długo na stanowisku.

Fałszerz, powtarzali ludzie, był surowym diamentem, zbyt nieokrzesanym, żeby poradzić sobie z wewnętrzną polityką Century House.

Przed wszystkim inne wydziały nie zaakceptują nowego człowieka, który próbuje działać na ich zazdrośnie strzeżonym terenie.

Rozpocznie się wojna podjazdowa, którą może wygrać tylko wytrawny dyplomata, a

McCready mimo licznych zalet nigdy dyplomata nie był. Po drugie nie chłujny Sam niezbyt pasował do wymuskanych oficerów, z których więk szość stanowiła produkt ekskluzywnych brytyjskich szkół "publicznych".

10

Ku swojemu zdziwieniu sir Mark po powrocie stwierdził, że Sam McCready jest u szczytu kariery.

Zdobył sobie całkowitą i godną pozaz droszczenia lojalność podwładnych, a jednocześnie umiał prosić o przy sługę nie obrażając przy tym nawet najbardziej zawziętych kierowników miejscowych wydziałów.

Potrafił znaleźć wspólny język z innymi agentami terenowymi, kiedy przyjeżdżali do kraju na urlop lub szkolenie, i wyciągał od nich masę in formacji, do których niewątpliwie nie powinien mieć dostępu.

Wiadomo było, że chodzi na piwo z personelem technicznym, tymi od młotka i obcęgow towarzystwo niezbyt życzliwe dla oficerów i dostaje czasem od nich taśmę z nagraniem rozmowy telefonicznej, prze chwycony list albo fałszywy paszport, podczas gdy inni kierownicy wydzia łów ciągle jeszcze wypełniają formularze.

Te i inne irytujące zwyczaje, jak naginanie przepisów i znikanie bez uprzedzenia, nie zaskarbiły mu sympatii władz.

Ale nadal trzymano go na stanowisku z prostego powodu miał wyniki, zdobywał punkty, or ganizował operacje, które przyprawiały KGB o ciężką niestrawność. Więc zostawał...

aż do dziś.

Sir Mark westchnął wysiadając z jaguara na podziemnym parkingu Century House.

Wjechał windą do swojego gabinetu na najwyższym pię trze.

Na razie nie musiał nic robić.

Sir Robert Inglis odbędzie konferen cję ze swoimi kolegami i stworzy "nowy zbiór przepisów", dyrektywy, które pozwolą nieszczęsnemu szefowi powiedzieć szczerze, lecz z ciężkim ser cem: "Nie mam wyboru".

Dopiero na początku czerwca "dyrektywy", a faktycznie bezwzględne rozkazy, nadeszły z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wspólnego Ryn ku.

Sir Mark wezwał swoich dwóch zastępców do gabinetu.

To trochę świństwo stwierdził Basil Gray.

Nie może pan za protestować?

Nic tym razem odparł szef Inglis zamierza postawić na swoim za wszelką cenę, a jak widzicie, ma poparcie pozostałych czterech Mądrych Ludzi.

Dokument, który dał do przeczytania swoim zastępcom, był przykła dem klarowności i nieodpartej logiki.

Podkreślał, że poczynając od trze ciego października Niemiecka Republika Demokratyczna, niegdyś naj silniejsze oraz najbardziej ortodoksyjne spośród komunistycznych państw Europy wschodniej, praktycznie przestanie istnieć.

Nie będzie ambasa dy w Berlinie wschodnim, Mur stał się już farsą, straszliwa tajna policja

11 .

□

SSD wpała w popłoch, a wojska sowieckie rozpoczęły odwrót.

To, co dawniej wymagało wielkich operacji SIS w Londynie, spadnie na drugi plan albo w ogóle przestanie się liczyć.

Co więcej, ciągnął dokument, ten miły pan Vaclav Havel przejmował władzę w Czechosłowacji i szpiedzy z tamtejszej tajnej służby StB wkrót ce będą uczyć w szkółkach niedzielnych.

Dodajmy do tego upadek wła dzy komunistycznej w Polsce, w Rumunii i na Węgrzech, jej postępujący rozkład w Bułgarii i możemy sobie wyobrazić przyszłość.

No cóż westchnął Timothy Edwards trzeba przyznać, że nie będziemy już przeprowadzać takich operacji w Europie wschodniej i nie potrzebujemy tam tylu ludzi.

Pod tym względem mają rację.

Jak to uprzejmie z twojej strony, że tak mówisz uśmiechnął się szef.

Basila Graya awansował osobiście i było to pierwsze, co zrobił po

objęciu stanowiska w styczniu.

Timothyego Edwardsa odziedziczył.

Wie dział, że Edwards desperacko pragnie zająć jego miejsce za trzy lata;

wiedział również, że sam absolutnie nie zamierza popierać kandydatury

Edwardsa.

Co nie znaczy, że Edwards był głupi.

Wręcz przeciwnie, był błyskotliwy, ale...

Nie wspominają o innych niebezpieczeństwach mruknął Gray.

Ani słowa o międzynarodowym terroryzmie, gangach handlarzy narkotyków, prywatnych armiach...

i ani słowa o proliferacji.

W swoim referacie "SIS w latach dziewięćdziesiątych", który sir Robert Inglis przeczytał i zaaprobował, sir Mark położył nacisk na fakt, że globalne zagrożenie stale narasta zamiast się zmniejszać.

Najbardziej nie bezpieczna była proliferacja gromadzenie ogromnych zapasów broni przez dyktatorów, którzy ledwo utrzymują się przy władzy.

Na ich miejsce przyjdą młodszy, nie ujawniający swojej prawdziwej profesji, ale najnowsze osiągnięcia techniki, broń rakietowa, chemiczna i bakteriologiczna, nawet głowice atomowe.

Dokument prześlizgiwał się gładko nad tymi zagadnieniami.

I co teraz będzie?

Zapytał Timothy Edwards.

Teraz powiedział spokojnie szef będziemy świadkami wędrówki ludów. Nasi ludzie zaczną wracać do kraju z Europy wschodniej.

To oznaczało, że weterani zimnej wojny, starzy żołnierze, którzy zorganizowali operacje, dowodzili akcjami i utworzyli siatki miejscowych agentów w ambasadach za Żelazną Kurtyną, wrócą do kraju i nie znajdą pracy.

Na ich miejsce przyjdą młodszy, nie ujawniający swojej prawdziwej profesji, którzy niezauważalnie wtopią się w personel każdej ambasady żeby nie narażać się na demokracjom świeżo wyrosłym za Berlinem.

lińskim Murem.

Nadal będzie się odbywać werbowanie; oczywiście szef musi robić swoje.

Ale pozostawał problem weteranów.

Dokąd ich wysłać?

Odpowiedź była tylko jedna: na zieloną trawę.

Musimy stworzyć precedens oświadczył sir Mark.

Pojedyn czy precedens, który pozwoli bez zgrzytów przenieść pozostałych na wcześniejszą emeryturę.

wybrał pan kogoś?

Zapytał Gray.

To sir Robert wybrał.

Sama McCreadyego.

Basil Gray zagapił się na szefa z otwartymi ustami.

Szefie, nie może pan wylać Sama.

Nikt nie zamierza wylać Sama odparł sir Mark.

Powtórzył słowo Roberta Inglisa.

Po prostu wcześniej przenosimy go w stan spoczynku ze sporą rentą.

Zastanawiał się, czy te trzydzieści srebrników otrzymane od Rzymian bardzo ciążyło Judaszowi.

Oczywiście to smutne, ponieważ wszyscy lubimy Sama odezwał się Edwards.

Ale szef musi robić swoje.

Właśnie.

Dziękuję powiedział sir Mark.

Po raz pierwszy uświadomił sobie, dlaczego nigdy nie poprze kandydatury Timothyego Edwardsa na swoje stanowisko.

On, szef, robił to, co było konieczne, ponieważ to było konieczne, i nienawidził tego.

Edwards gotów był robić to samo dla kariery.

Będziemy musieli zaproponować mu trzy inne posady przypomniał Gray.

Może weźmie którąś.

Możliwe.

Co pan ma na myśli, szefie?

Zapytał Edwards.

Sir Mark otworzył teczkę zawierającą rezultaty konferencji z kierownikiem personalnym.

Te możliwości to komendant szkoły przygotowawczej, kierownik rachunkowości lub kierownik centralnych archiwów.

Edwards uśmiechnął się nieznacznie.

To załatwia sprawę, pomyślał.

Dwa tygodnie później obiekt tych rozmów biegał po swoim gabinecie, a jego zastępca, Denis Gaunt, wpatrywał się ponuro w leżącą przed nim kartkę papieru.

Nie jest tak źle.

Sam powiedział.

Chcę, żebyś został.

To tylko kwestia stanowiska.

Ktoś chce się mnie pozbyć oświadczył Sam McCready bezbarwnym tonem.
13 .

□

Tego lata Londyn przygniotła fala upałów.

Okno gabinetu było otwarte, a obaj mężczyźni zdjęli marynarki.

Gaunt miał na sobie elegancką bładoniebieską koszulę od Turnbulla i Assera; McCready nosił spraną koszulę z masowej konfekcji od Viyelli, w dodatku krzywo pozapinaną.

Gaunt przypuszczał, że jeszcze przed lunchem któraś sekretarka zauważy przekrzywioną koszulę i gderając naprawi zaniedbanie szefa.

Dziewczęta w Century House zawsze chciały coś zrobić dla Sama McCreadyego.

Gaunt nie mógł tego zrozumieć.

Nikt tego nie rozumiał.

On sam, Denis Gaunt, mając metr osiemdziesiąt trzy wzrostu przewyższał szefa o dobre pięć centymetrów.

Był jasnowłosy, przystojny i jako kawaler nie unikał towarzystwa kobiet.

Szef był średniego wzrostu, średniej tuszy, miał rzadzące brązowe włosy, chodził wiecznie skrzywiony, a jego ubrania wyglądały tak, jakby w nich sypiał.

Gaunt wiedział, że McCready był wdowcem od kilku lat, ale nie oze ni

się ponownie.

Widocznie wolał mieszkać sam w swoim małym mieszkanku w Kensington.

Na pewno ma kogoś, myślał Gaunt, kto u niego sprząta, zmywa i robi pranie.

Chyba gosposia.

Ale nikt o to nie pytał i nikt tego nie wiedział.

Przecież możesz przyjąć którąś propozycję zauważył Gaunt.

To im wytrąci broń z ręki.

Denis powiedział spokojnie McCready nie jestem nauczycielem, nie jestem księgowym i nie jestem żadnym cholernym bibliotekarzem.

Powiedz im, że proszę o przesłuchanie.

Może ich przekonasz przyznał Gaunt.

Komisja pewnie nie będzie zachwycona tą sprawą.

Przesłuchanie w Century House odbyło się jak zwykle w poniedziałek rano, w sali konferencyjnej, piętro niżej pod gabinetem szefa.

Przewodniczył zastępca szefa, Timothy Edwards, nieskazitelny jak zawsze, w ciemnym garniturze i krawacie swojej uczelni.

Po obu stronach miał inspektora do spraw Operacji Krajowych i inspektora do spraw Półkuli Zachodniej.

Pod ścianą siedział kierownik personalny, a obok młody człowiek z archiwów, przed którym leżał spory stos papierów.

Sam McCready wszedł ostatni i usiadł w fotelu naprzeciwko stołu.

W wieku pięćdziesięciu jeden lat wciąż był szczupły i zachował dobrą kondycję.

Poza tym wyglądał zupełnie przeciętnie, nie zwracał niczyjej uwa

gi. Właśnie dzięki temu był kiedyś tak dobry, tak cholernie dobry w swoim fachu.

A także dzięki temu, co miał w głowie.

14

Wszyscy znali reguły gry.

Jeżeli odrzuci trzy "nudne posadki", mają prawo zażądać, żeby odszedł na wcześniejszą emeryturę.

Ale on ma prawo żądać, żeby go wysłuchali.

Przyprowadził ze sobą Denisa Gaunta, młodszego o dziesięć lat, którego po pięcioletnim stażu awansował na swojego zastępcę.

Denis miał przemawiać w jego imieniu.

McCready uważał, że Denis, ze swoim olśniewającym uśmiechem i krawatem szkoły publicznej, zrobi lepsze wrażenie na takim audytorium.

Wszyscy mężczyźni w pokoju znali się i mówili sobie po imieniu, nawet urzędnik z archiwów.

Century House stanowi zamknięty świat i może dlatego panuje tu tradycja, że wszyscy są ze wszystkimi na ty, oprócz szefa, do którego pracownicy zwracają się "sir" lub "szefie", a między sobą nazywają go "stary" lub jeszcze inaczej. Drzwi zostały zamknięte i Edwards odchrząknął na znak, że zamierza zabrać głos.

w porządku.

Zebrał się tutaj, żeby zapoznać się z prośbą Sama, dotyczącą zmiany polecenia zarządu, co nie jest równoznaczne ze złożeniem skargi.

Zgadza się?

Wszyscy przytaknęli.

Wiadomo było, że Sam McCready nie złożył skargi, skoro nie naruszono przepisów.

Denis, zdaje się, że masz mówić w imieniu Sama?

Tak, Timothy.

SIS w swojej obecnej postaci została założona przez admirała, sir Mansfielda Cumminga, dlatego wiele panujących tu tradycji (choć nie bezceremonialność) przypomina nieco zwyczaje marynarskie. Jedną z tych tradycji głosi, że przesłuchiwany człowiek ma prawo poprosić kolegę o fi cę, żeby mówił w jego imieniu.

Oświadczenie kierownika personalnego było krótkie i rzeczowe.

Od nośne władze postanowiły przenieść Sama McCreadyego z Pe-De do nowych obowiązków.

McCready nie przyjął żadnej z trzech propozycji.

To jest równoznaczne z odejściem na wcześniejszą emeryturę.

McCready pro si, jeżeli nie może już kierować wydziałem Pe-De, o przeniesienie z po wrotem do operacji terenowych albo do wydziału zajmującego się opera cjami terenowymi.

Takiego stanowiska mu nie zaproponowano.

Quod erat demonstrandum.

Denis Gaunt wstał.

Słuchajcie, wszyscy znamy przepisy.

I wszyscy znamy fakty.

To prawda, że Sam prosił, żeby nie przydzielać go do szkoły, do rachun kowości ani do archiwów.

Ponieważ on jest agentem terenowym obda rzonym instynktem i doświadczeniem.

I to jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym.

15 .

□

Nie ma dwóch zdań mruknął inspektor do spraw Półkuli Za chodniej.

Edwards rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

Rzecz w tym ciągnął Gaunt że gdyby SIS naprawdę chcia ła, pewnie mogłaby znaleźć miejsce dla Sama.

Rosja, Europa Wschod nia, Ameryka Północna, Francja, Niemcy, Włochy.

Moim zdaniem Firma powinna zdobyć się na ten wysiłek, ponieważ...

Podszedł do człowieka z archiwów i wziął do ręki teczkę.

Ponieważ za cztery lata Sam skoń czy pięćdziesiąt pięć lat i będzie mu przysługiwała pełna emerytura...

Otrzyma hojną rekompensatę wtrącił Edwards można po wiedzieć, aż nadto wystarczającą.

Ponieważ zakończył Gaunt służył lojalnie przez wiele lat, co często bywało niewygodne, a czasami bardzo niebezpieczne.

Nie cho dzi o pieniądze, chodzi o to, czy SIS gotowa jest coś zrobić dla jednego z nas.

Oczywiście nie miał pojęcia, że w zeszłym miesiącu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych odbyła się pewna rozmowa pomiędzy szefem, sir Colinem, a sir Robertem Ingliem.

Chciałbym przypomnieć kilka spraw prowadzonych przez Sama w ciągu ostatnich sześciu lat.

Poczynając od tej...

Timothy Edwards zerknął na zegarek.

Dotąd miał nadzieję, że zakoń czą sprawę w ciągu jednego dnia.

Teraz w to zwątpił.

Myślę, że wszyscy to pamiętamy mówił Gaunt.

Przypadek byłego sowieckiego generała, Jewgienija Pankratina...

16

DUMA I KRAŃCOWE UPREDZENIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Maj 1983 roku

Rosyjski pułkownik powoli, ostrożnie wyszedł z cienia, chociaż zoba czył i rozpoznał sygnał.

Wszystkie spotkania z brytyjskim łącznikiem były niebezpieczne i w miarę możliwości należało je ograniczać.

Ale tym razem sam poprosił o spotkanie.

Miał wiadomość, której nie mógł podrzucić do skrzynki kontaktowej.

Obluzowany kawałek metalu na dachu szopy przy torach kolejowych drgnął i zaskrzypiał na porannym wietrze.

Rosja nin odwrócił się, zlokalizował źródło hałasu i znowu spojrzął na plamę ciemności przy obrotnicy lokomotywy.

Sam?

zawołał cicho.

Sam McCready również obserwował.

Już od godziny czekał w ciemno ściach opuszczonej stacji rozrządowej na przedmieściach Berlina wschodniego. Zobaczył lub raczej usłyszał przybycie Rosjanina, ale wciąż czekał, żeby się upewnić, że na zakurzonych kamieniach nie rozlegają się inne kroki. Robił takie rzeczy mnóstwo razy, ale ucisk w żołądku nigdy nie ustępował.

O wyznaczonej godzinie, przekonawszy się, że nikt ich nie śledził, McCready potarł zapałkę o paznokcie kciuka.

Zapałka błysnęła krótko i zgasła.

Rosjanin zobaczył sygnał i wyszedł z za starej szopy z narzędzia mi. Obaj mężczyźni mieli powody, żeby kryć się w ciemnościach, ponie waż jeden był zdrajcą, a drugi szpiegiem.

McCready wyszedł z cienia, żeby Rosjanin mógł go zobaczyć, przy stanął, chcąc pokazać, że jest sam, po czym ruszył dalej.

Jewgienij.

Sporo czasu minęło, stary przyjacielu.

Z odległości pięciu kroków wyraźnie widzieli się nawzajem i mogli się przekonać, że nie było żadnej zamiany, żadnego oszustwa.

Spotkanie

17

□
twarzą w twarz zawsze było niebezpieczne.

Gdyby Rosjanin wpadł i zo stał złamany w pokoju przesłuchań, KGB i wschodnioniemiecka SSD mogła zastawić pułapkę na najważniejszego brytyjskiego oficera wywia du.

A gdyby wiadomość Rosjanina została przechwycona, on sam mógł wpaść w pułapkę, po czym czekałoby go długie, straszne śledztwo, za kończone nieuchronną kulą w kark.

Mateczka Rosja nie ma litości dla wysoko postawionych zdrajców.

McCready nie uściśnął Rosjanina ani nawet nie podał mu ręki.

Nie którzy tego potrzebowali: osobistego kontaktu, dotknięcia, uspokojenia. Ale Jewgienij Pankratin, pułkownik Armii Czerwonej przydzielony do PGW, był zimny, powściągliwy, zamknięty w sobie, pełen aroganckiej buty.

Po raz pierwszy zwrócił na niego uwagę pewien bystrooki attache brytyjskiej ambasady w Moskwie w 1980 roku.

Dyplomatyczne przyjęcie, uprzejma, banalna rozmowa i nagle Rosjanin.wygłasza kąśliwą uwagę pod adresem własnego kraju.

Dyplomata nie zareagował, nie powiedział nic.

Ale zapamiętał i złożył raport.

Dwa miesiące później spróbowano pierw szego podejścia.

Pułkownik Pankratin odpowiedział wymijająco, ale nie odmówił.

To oznaczało potwierdzenie.

Potem dostał przydział do Pocz damu, do Północnej Grupy Wojsk, czyli PGW, armii liczącej 330 tysięcy ludzi, składającej się z dwudziestu dwóch dywizji, która okupowała Niemcy wschodnie, dyrygowała marionetkowym Honeckerem, budziła strach w mieszkańcach Berlina Zachodniego i trzymała w pogotowiu siły NATO groźbą przemarszu przez Równinę Niemiecką.

McCready przejął zadanie: to była jego działka.

w 1981 roku sam zwerbował Pankratina.

Nie było żadnych dyskusji, żadnych wyjaśnień podyktowanych potrzebą usprawiedliwienia...

tylko zwyczajne żądanie pieniędzy.

Ludzie zdradzają ojczyznę z wielu powodów: ideologia, skrywana ura za, brak awansu, nienawiść do konkretnego zwierzchnika, wstyd z powodu własnych dziwacznych preferencji seksualnych, strach przed odesłaniem do kraju w niełasce.

W przypadku Rosjan było to zazwyczaj głębokie roz czarowanie korupcją, zakłamaniem i nepotyzmem, jakie spotykali na każdym kroku.

Ale Pankratin był prawdziwym sprzedawczykiem: chciał tylko pieniędzy.

Pewnego dnia wycofa się, mówił, ale dopiero kiedy bę dzie bogaty.

Zorganizował poranne spotkanie w Berlinie wschodnim, żeby podbić stawkę.

Pankratin sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął pękata białą koper tę i podał McCreadyemu.

Beznamiętnie wyjaśnił, co zawiera koperta, którą McCready ukrył pod kurtką.

Nazwiska, miejsca, daty, pogotowie dywizyjne, rozkazy operacyjne, ruchy wojsk, stanowiska, dodatkowe uzbroi

enie.

Oczywiście kluczem było to, co Pankratin powiedział o SS-20, strasz liwych radzieckich przenośnych rakietach średniego zasięgu, o potrójnych, niezależnie

sterowanych głowicach atomowych, z których każda wymie rzona była w jakieś europejskie lub brytyjskie miasto.

Według Pankrati na rakiety przenoszono w lasy Saksonii i Turyngii, bliżej granicy, dzięki czemu strefa rażenia sięgała łukiem od Oslo poprzez Dublin aż do Palermo.

Tymczasem na Zachodzie tłumy naiwnych, uczciwych ludzi maszerowały w pochodach pod socjalistycznymi hasłami żądając od swoich rządów, żeby pozbyły się środków obronnych w geście dobrej woli na rzecz pokoju.

Oczywiście to kosztuje powiedział Rosjanin.

Oczywiście.

Dwieście tysięcy funtów szterlingów.

Zgoda.

To nie było uzgodnione, ale McCready wiedział, że jego rząd znajdzie pieniądze.

Jest coś jeszcze.

Podobno wyznaczono mnie do awansu.

Na generała-majora.

I dostanę przeniesienie.

Z powrotem do Moskwy.

Gratulacje.

Na jakie stanowisko, Jewgienij?

Pankratin zrobił przerwę dla lepszego efektu.

Zastępca dyrektora Sztabu Planowania w Ministerstwie Obrony.

McCready był poruszony.

Wspaniale byłoby mieć człowieka w sercu Moskwy, w domu przy ulicy Frunzego 19.

A kiedy wyjadę, chcę dostać dom.

W Kalifornii.

Zapisany nota rialnie na moje nazwisko.

Może w Santa Barbara.

Słyszałem, że tam jest pięknie.

Owszem przytaknął McCready.

Nie wolałbyś zamieszkać w Anglii?

Zaopiekowałibyśmy się tobą.

Nie, chcę mieć słońce.

Słońce Kalifornii.

I milion dolarów amerykańskich, na rachunku w amerykańskim banku.

Mieszkanie możemy załatwić powiedział McCready.

I milion dolarów.

Jeśli towar będzie dobry.

Nie mieszkanie, Sam.

Cały dom z mieszkaniami do wynajęcia.

Żeby zarabiać na czynszach.

Jewgienij, prosisz o pięć, osiem milionów amerykańskich dolarów.

Nie wiem, czy moi ludzie mogą tyle zapłacić.

Nawet za twój towar.

Pod wojskowym wąsem zęby Rosjanina błysnęły w krótkim uśmiechu.

Kiedy będę w Moskwie, dam wam towar, który przekroczy wasze najśmielsze oczekiwania.

Znajdziecie pieniądze.

Zaczekajmy lepiej na twój awans, Jewgienij.

Patem pogadamy o do mu w Kalifornii.

19 .

□

Rozstali się po pięciu minutach.

Rosjanin wracał za biurko w Poczda mie, Anglik musiał przemknąć się przez Mur na stadion w Berlinie za chodnim.

Zostanie zrewidowany na Checkpoint Charlie.

Koperta prze kroczy Mur inną trasą, bezpieczniejszą, choć powolną.

Dopiero kiedy McCready ją odzyska, wróci samolotem do Londynu.

Październik 1983 roku

Bruno Morenz zapukał do drzwi i wszedł usłyszawszy jowialne "Herein".

Jego zwierzchnik siedział sam w gabinecie, w imponującym skórzanym obrotowym fotelu za imponującym biurkiem.

Ostrożnie mieszał swoją pierwszą poranną kawę, prawdziwą kawę w porcelanowej filiżance.

Filiżankę przyniosła Fraulein Keppel, schludna, usłużna stara panna, która odgadywała wszystkie życzenia szefa.

Herr Direktor, podobnie jak Morenz, należał do pokolenia, które pamiętało koniec wojny i powojenne lata, kiedy Niemcy musieli się oby wać

naparem z cykorii, ponieważ tylko amerykańscy okupanci i czasami Brytyjczycy mieli dostęp do prawdziwej kawy.

Nikt więcej.

Dieter Aust cenił sobie poranną kolumbijską kawę.

Nie poczęstował Morenza.

Obaj mężczyźni dobiegali pięćdziesiątki, ale na tym kończyło się podobieństwo między nimi.

Aust, dyrektor kolońskiego biura, był niski, pulchny, starannie wygolony i elegancko ubrany.

Morenz był wyższy, choć ciężar garbił się i powłóczył nogami; miał siwe włosy, krępą, przysadzistą sylwetkę i wyglądał niechlujnie w tweedowym garniturze.

Co więcej, był zaledwie urzędnikiem średniego szczebla, nigdy nie pretendował do sta nowiska dyrektora z własnym imponującym gabinetem i Fraulein Kep pel nigdy nie przynosiła mu kolumbijskiej kawy w porcelanowej filiżance przed rozpoczęciem dnia pracy.

Zwierzchnik wzywający podwładnego do gabinetu na rozmowę to zwyczajna scena, która z pewnością powtarzała się tego ranka w wielu niemieckich biurach. Ale ci dwaj mężczyźni nie zajmowali się zwyczajną pracą, dlatego ich rozmowa również była niezwykła.

Dieter Aust kierował kolońską placówką zachodnioniemieckiego wywiadu, czyli BND.

Centrala BND znajduje się w betonowym, otoczonym murem kompleksie budynków niedaleko małej wioski Pullach, jakieś sześć mil na południe od Monachium, nad rzeką Izera w południowej Bawarii.

Wybór tego miejsca wydaje się dziwny, skoro od 1949 roku stolicą federalnych Niemiec jest Bonn nad Renem, oddalone o setki mil.

Powód jest historyczny.

To Amerykanie zaraz po wojnie stworzyli zachodnioniemiecki wywiad, żeby przeciwdziałać wysiłkom nowego wroga, ZSRR.

wybrali do

20

kierowania nową organizacją byłego szefa wojennych służb szpiegowskich, Reinharda Gehlena.

Początkowo wywiad nazywano po prostu Organizacją Gehlena.

Amerykanie chcieli mieć Gehlena we własnej strefie okupacyjnej, która obejmowała właśnie Bawarię i południe Niemiec.

Burmistrz Kolonii, Konrad Adenauer, był wówczas nikomu nieznany politykiem.

Kiedy alianci w 1949 roku założyli Niemiecką Republikę Federalną, Adenauer jako pierwszy kanclerz umieścił stolicę w Bonn, swoim rodzinnym mieście, oddalonym od Kolonii o piętnaście mil zbiegiem losów.

Przeniesiono tam prawie wszystkie federalne instytucje, ale Gehlen odmówił przeniesienia i nowo nazwana Bundesnachrichtendienst pozostała w Pullach, gdzie ma siedzibę po dziś dzień.

BND ma jednak placówki we wszystkich landach, czyli prowincjach Republiki Federalnej, a jedną z najważniejszych jest placówka w Kolonii.

Wprawdzie nie Kolonia, lecz Düsseldorf jest stolicą Nadrenii

Północnej-Westfalii, Kolonia jednak leży najbliżej Bonn, które jako stolica republiki stanowi centrum nerwowe rządu.

W dodatku pełno tam cudzoziemców, a BND w przeciwieństwie do swojej siostrzanej służby kontrwywiadowczej, BfV, zajmuje się obcymi wywiadami.

Morenz usiadł na miejscu wskazanym przez Austa i zastanowił się, czy zrobił coś złego.

Odpowiedź brzmiała: nic.

Mój drogi Morenz, nie będę owijał w bawełnę.

Aust delikatnie otarł wargi czystą lnianą chusteczką.

Za tydzień odchodzi nasz kolega Dom.

Oczywiście wiesz o tym.

Jego obowiązki przejmie następca.

Ale on jest znacznie młodszy i jak wiesz, dużo podróżuje.

Niektóre z tych obowiązków wymagają większej dojrzałości.

Chciałbym, żebyś tyje przejął.

Morenz kiwnął głową, jak gdyby zrozumiał, ale nic nie rozumiał.

Aust splótł pulchne palce i zapatrzył się w okno z miną wyrażającą ubolewanie nad wybrykami swoich kolegów.

Starannie dobierał słów.

Nasz kraj ciągle odwiedzają goście, zagraniczni dygnitarze, którzy pod koniec dnia spędzonego na negocjacjach lub oficjalnych rozmowach czują potrzebę

odmiany...
rozrywki.

Oczywiście nasze liczne ministerstwa z radością organizują wizyty w najlepszych restauracjach, koncerty, operę, balet.

Rozumiesz?

Morenz znowu kiwnął głową.

To było proste jak drut.

Niestety niektórzy, zwłaszcza ci z państw arabskich albo afrykańskich, czasami z Europy, stanowczo domagają się kobiecego towarzystwa.

Płatnego kobiecego towarzystwa.

Prostytutki stwierdził Morenz.

Krótko mówiąc, tak.

No więc rząd nie chce, żeby ważni zagraniczni goście nagabywali taksówkarzy czy portierów hotelowych, pukali do

21 .

□

okien wystawowych na Horn Strasse albo szukali guza w barach i nocnych klubach, dlatego woli zaproponować im pewien numer telefonu.

Wierz mi, mój drogi Morenz, to się robi we wszystkich stolicach świata.

Nie jesteśmy wyjątkiem.

Zatrudniamy prostytutki?

zapytał Morenz.

Aust był zaszokowany.

Zatrudniamy?

Z pewnością nie.

Nie zatrudniamy ich.

Nie płaci my im.

Klienci płacą.

Ani też, co muszę podkreślić, nie wykorzystujemy żadnego materiału uzyskanego w ten sposób od naszych gości.

Tak zwa ne pułapki na muchy.

Nasze konstytucyjne prawa i przepisy są jasno sformułowane i nie będziemy ich naruszać.

Zostawiamy pułapki na muchy Rosjanom oraz parsknął pogardliwie Francuzom.

Wziął z biurka trzy cienkie teczki i podał je Morenzowi.

To są trzy dziewczyny.

Różnią się typem Fizycznym.

Proszę cię, żebyś się tym zajął, ponieważ jesteś dojrzałym, żonatym człowiekiem.

Po prostu opiekuj się nimi.

Dopilnuj, żeby regularnie chodziły na badania i żeby dbały o prezencję.

Sprawdzaj, czy nie wyjechały, nie zachorowały albo nie zrobiły sobie wakacji.

Jednym słowem, czy są do dyspozycji.

Teraz reszta.

Od czasu do czasu zadzwoni do ciebie Herr Jakobsen.

Nie ma znaczenia, że głos w telefonie będzie się zmieniał, to zawsze będzie Herr Jakobsen.

Zgodnie z upodobaniami gości, o których poinformuje cię Jakobsen, wybierzesz jedną z trzech dziewczyn, sprawdzisz, czy jest do dyspozycji i ustalisz porę wizyty.

Kiedy Jakobsen oddzwoni, podasz mu czas i miejsce, a on przekaze to gościowi.

Reszta należy do klienta i dziewczyny.

Zadanie nie jest uciążliwe i nie powinno kolidować z twoimi pozostałymi obowiązkami.

Morenz niepewnie wstał i wziął teczki.

Wspaniale, pomyślał wychodząc z gabinetu.

Trzydzieści lat lojalnej służby w wywiadzie, za pięć lat emerytura, a teraz każą mi niańczyć kur wy dla cudzoziemców.

Listopad 1983 roku

Sam McCready siedział w zaciemnionym pokoju głęboko w podziemiu londyńskiego Century House, czyli kwatery głównej brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej Secret Intelligence Service, w skrócie SIS, którą prasa błędnie nazywa MI 6, a pracownicy nazywają "Firmą".

Ob serwował migoczący ekran, na którym zmasowane siły ZSRR (albo tylko ich część) przemierzały bez końca plac Czerwony.

Związek Radziecki co roku urządzał dwie ogromne parady na tym placu: jedną na Pierwszego

22

Maja, a drugą dla uczczenia rocznicy wielkiej Socjalistycznej Rewolucji

Październikowej.

Ta ostatnia odbywa się siódmego listopada, a dzisiaj był ósmy.

Kamera zarejestrowała przejazd dudniących czołgów i przesunęła się po rzędzie twarzy na szczycie Mauzoleum Lenina.

Zwolnij powiedział McCready.

Technik siedzący obok dotknął przycisków i film zwolnił.

"Imperium zła" prezydenta Reagana (który miał użyć tego określenia później) przy pomińto raczej dom starców.

W lodowatym wietrze wiekowe, obwisłe twarze kryły się za postawionymi kołnierzami płaszczy, sięgającymi do szarych filcowych kapeluszy albo futrzanych czapek.

Generalny sekretarz nawet nie zjawił się osobiście.

Jurij W.

Andropow, szefKGB od 1963 do 1978 roku, który przejął władzę pod koniec 1982 roku po długo wyczekiwanej śmierci Leonida Breżniewa, sam powoli umierał w klinice Politbiura w Kuncewie.

Nie występował publicznie od sierpnia i nie miał już nigdy wystąpić.

Czernienko (który za kilka miesięcy zostanie następcą Andropowa) był obecny, a także Gromyko, Kirilenko, Tichonow oraz partyjny teoretyk Susłow o ostrych rysach twarzy.

Minister obrony, marszałek Ustinow, opatulił się w wojskowy płaszcz, obwieszony z przodu tyłoma medalami, że mogły służyć za osłonę od wiatru.

Kilku było stosunkowo młodych i kompetentnych Griszyn, przewodniczący partii w Moskwie, oraz Romanow, władca Leningradu.

Z boku siedział najmłodszy, wciąż uważany przez nich za obcego, krępy mężczyzna nazwiskiem Gorbaczow.

Kamera przesunęła się w górę i zatrzymała na grupie oficerów za marszałkiem Ustinowem.

Zatrzymaj powiedział McCready.

Obraz znieruchomiał.

Ten facet, trzeci od lewej.

Możesz go pokazać?

Zrobić zbliżenie?

Technik przestudiował konsolę i uważnie zaczął dostrajać obraz.

Grupa oficerów powiększała się coraz bardziej.

Kilku wypadło z kadru.

Ten, którego pokazał McCready, przesunął się za daleko w prawo.

Technik cofnął kilka klatek, ustawił tamtego na środku ekranu i dalej powiększał.

Oficer zasłonięty był do połowy przez jakiegoś generała Strategicznych Wojsk Rakietowych, ale zdradziły go wąsy, rzadko spotykane wśród radzieckich oficerów. Naramienniki na wojskowym płaszczu oznaczały generała-majora.

Cholera jasna szepnął McCready on to zrobił.

Jest tam.

Odwrócił się do obojętnego technika.

Jimmy, jak możemy zdobyć na własność dom mieszkalny w Kalifornii?

23 .

□

No cóż, mój drogi Samie powiedział Timothy Edwards dwa dni później odpowiedź będzie krótka.

Nie możemy.

Nie damy rady.

Wiem, że to przykre, ale obgadałem to z szefem i chłopcami od finansów.

On jest dla nas za drogi.

Ale jego towar jest bezcenny zaprotestował McCready.

Ten facet to więcej niż żyła złota, to żyła czystej platyny.

Żadnych dyskusji uciął gładko Edwards.

Był o dobre dziesięć lat młodszy od McCreadyego, karierowicz z dyplomem i prywatnym majątkiem.

Zaledwie po trzydziestce, a już zastępca szefa.

Młodzi ludzie w jego wieku byli szczęśliwi kierując zagraniczną placówką, z zachwytem przyjmowali kierownictwo wydziału i marzyli o awansie na inspektora. A Edwards dotarł już prawie do samego szczytu.

Słuchaj powiedział szef jest w Waszyngtonie.

Wspomniał o twoim człowieku, po prostu na wypadek, gdyby tamten dostał awans.

Nasi kuzyni zawsze dostawali od niego towar, odkąd go zwerbowałeś.

Zawsze byli zachwyceni.

Zdaje się, że bardzo chętnie go przejmą, bez względu na koszty.

On jest drażliwy, trudny.

Zna mnie.

Może nie będzie chciał pra cować dla kogoś innego.

Daj spokój.

Sam.

Pierwszy przyznasz, że on jest sprzedawczykiem.

Zrobi wszystko dla pieniędzy.

A my dostaniemy towar.

Proszę cię, dopił nuż, żeby przekazanie poszło gładko.

Zrobił przerwę i błysnął swoim najbardziej zniewalającym uśmiechem.

Nawiasem mówiąc szef chce cię zobaczyć.

Jutro rano, o dziesiątej.

Chyba nie popełnię przestępstwa, jeśli ci powiem, że chodzi o nowy przydział.

Krok w górę, Sam.

Nie ma co ukrywać, dobrze się składa.

Pankratin wrócił do Moskwy, więc trudno ci będzie do niego dotrzeć.

Strasznie długo miałeś Niemcy Wschodnie.

Kuzyni gotowi są to przejąć, a ty otrzymasz zasłużony awans.

Może kie równictwo wydziału.

Jestem agentem terenowym oświadczył McCready.

Posłuchaj, co szef będzie miał do powiedzenia zaproponował Edwards.

Dwadzieścia cztery godziny później Sam McCready został mianowa ny

kierownikiem wydziału Pe-De i O-Psy.

CIA przejęła kierowanie gene rałem Jewgienijem Pankratinem oraz związane z tym koszty.

Lipiec 1985 roku

Gorąco było w Kolonii tego lata.

Kto mógł, wysłał żonę z dziećmi S,6ry, do lasu, nad jeziora czy nawet do własnej willi nad Morzem Śród24

ziemnym, żeby przyłączyć się do nich później.

Bruno Morenz nie miał letniej willi.

Poświęcił się swojej pracy.

Zarabiał marnie i nie spodziewał się podwyżki, ponieważ trzy lata przed emeryturą w wieku pięćdziesięciu pięciu lat nie miał żadnych szans na awans.

Siedział na tarasie kawiarni i popijał beczkowe piwo z wysokiej szklan

ki.

Krawat miał rozwiązany, marynarkę przewiesił przez oparcie krzesła.

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Morenz pozbył się swoich zimowych tweedów na rzecz równie bezkształtnego garnituru z surówki.

Siedział zgarbiony nad piwem i od czasu do czasu przegarniał palcami gęste, zmierzwióne siwe włosy.

Nie przywiązywał żadnej wagi do własnej powierzchowności, inaczej uczesałby się i ogolił dokładnie, użył porządnej wody kolońskiej (przecież mieszkał w mieście, gdzie ją wynaleziono) i kupił sobie elegancki, dobrze skrojony garnitur.

Wyrzuciłby koszulę z lekko wystrzępionymi mankietami i wyprostowałby ramiona.

Wtedy wyglądał by całkiem przyzwoicie.

Ale nie był próżny.

W każdym razie miał swoje marzenia.

Chociaż to było dawno temu.

Marzenia nigdy się nie spełniły.

Bruno Morenz, lat pięćdziesiąt dwa, żonaty i ojciec dwójki dorosłych dzieci, ponuro spoglądał na ulicznych przechodniów.

Nie miał pojęcia, że cierpi na coś, co Niemcy nazywają Turschlusspanik.

To słowo nie istnieje w żadnym innym języku, oznacza zaś "panikę zamykanych drzwi".

Za fasadą spokojnego urzędnika, który wykonuje swoją pracę, bierze skromną wypłatę pod koniec miesiąca i co wieczór wraca do domu na łono rodziny, Bruno Morenz był głęboko nieszczęśliwym człowiekiem.

W małżeństwie bez miłości czuł się jak w więzieniu.

Jego żona Irmtraut, głupia i podobna do krowy, z biegiem lat już nawet przestała robić mu wymówki o nędzną pensję i brak awansu.

Nie interesowała się jego pracą, wiedziała tylko tyle, że mąż pracuje w jednej z rządowych agencji zajmującej się sprawami państwowymi.

Jeżeli chodził zaniedbany, w wor kowatym garniturze i koszuli z wystrzępionymi mankietami, to częściowo dlatego, że Irmtraut tym również przestała się interesować.

Utrzymała we względnej czystości ich nieduże mieszkanie na zwyczajnej ulicy w

Porz i stawiała na stole wieczorny posiłek w dziesięć minut po powrocie męża do domu, wystygły, jeśli mąż się spóźnił.

Córka Uta odwróciła się plecami do obojga rodziców, jak tylko skończyła szkołę.

Obecnie głosiła lewicowe hasła polityczne (Bruno był wielokrotnie przesłuchiwany w biurze z powodu politycznej działalności Uty) i mieszkała w Dusseldorfie, w domu przeznaczonym na rozbiórkę, z różnymi hipisami brzdąkającymi na gitarze Bruno nigdy nie wiedział, z którym.

Syn Lutz wciąż przebywał w domu, wiecznie rozwalony przed

25 .

□
telewizorem.

Pryszczaty młodzieniec, który zawałał każdy egzamin, do którego przystępował, wreszcie obrzucił się na szkołę i na społeczeństwo przywiązujące zbyt dużą wagę do wykształcenia.

Protestował przeciw społeczeństwu punkowym strojem i fryzurą, ale nie zamierzał przyjąć żadnej pracy, jaką społeczeństwo mogło mu zaproponować.

Bruno starał się, a przynajmniej tak uważał.

Zrobił, co w jego mocy.

Pracował ciężko, płacił podatki, dbał o rodzinę i miał niewiele przyjemności w życiu.

Za trzy lata, już za trzydzieści sześć miesięcy, odeślą go na emeryturę.

Odbędzie się skromne przyjęcie w biurze, Aust wygłosi mowę, stukną się kieliszkami musującego wina i Bruno odejdzie.

Dokąd?

Bę dzie miał swoją emeryturę i oszczędności z "drugiej pracy", które staran nie ułokował na licznych kontach w różnych bankach i pod różnymi pseudonimami.

Sporo tego było, więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać;

wystarczy, żeby kupić dom i pod koniec życia wreszcie robić, co dusza zapragnie...

Za fasadą pospolitości Bruno Morenz był bardzo skrytym człowiekiem.

Nigdy nie powiedział Austowi ani nikomu innemu w biurze o swojej "drugiej pracy" tak czy owak to było ściśle zabronione i spowodowałoby natychmiastową dymisję.

Nigdy nie powiedział Irmtraut niczego o żadnej ze swoich dwóch posiadłości ani o tajnych oszczędnościach.

Ale nie na tym polegał jego problem tak mu się zdawało.

Problem polegał na tym, że Bruno chciał być wolny.

Chciał zacząć od początku i jak na zawołanie znalazł sposób.

Otóż Bruno Morenz, mąż czuły w podeszłym wieku, był zakochany.

Zakochany po uszy.

A co naj lepsze Renata, młoda, śliczna, czarująca Renata kochała go równie mocno.

Tutaj, w kawiarni, tego słonecznego popołudnia Bruno wreszcie podjął decyzję.

Zrobi to.

Powie jej.

Powie, że odejdzie od Irmtraut, którą do brzo zabezpieczył, poprosi o wcześniejszą emeryturę, zrezygnuje z pracy i wyjadą z Renatą, żeby rozpocząć nowe życie na północy, skąd pocho dził Bruno, w wymarzonej posiadłości nad morzem.

Bruno Morenz nie zdawał sobie sprawy, że przechodzi właśnie głę boki kryzys wieku średniego i tylko na tym polega jego problem.

Ponieważ sam nie zdawał sobie z tego sprawy i ponieważ był profesjonalnym kłamcą, nikt inny również tego nie zauważył.

Renata Heimendorf miała dwadzieścia sześć lat, metr siedemdziesiąt wzrostu, zgrabną figurę i czarne włosy.

W wieku osiemnastu lat została kochanką i utrzymanką zamożnego biznesmena, trzykrotnie starszego od niej.

Ten związek trwał przez pięć lat.

Kiedy biznesmen zmarł na atak serca, prawdopodobnie wywołany nadmiarem jedzenia, picia, cygar i Re26

naty, zapomniał wymienić Renatę w swoim testamencie, czego zboleła wdowa nie zamierzała naprawić.

Dziewczyna zdążyła zagarnąć zawartość ich kosztownie urządzonego gniazda miłości, co łącznie z biżuterią otrzymywaną przez lata przyniosło sło okrągłą sumkę na wyprzedży.

Ale nie dosyć, żeby się wycofać; nie dosyć, żeby zapewnić Renacie poziom życia, do jakiego przywykła.

Renata nie zamierzała ubiegać się o posadę sekretarki z nędzną pensyjką.

Postanowiła sama założyć inte res.

Wiedziała, jak zadowolić mężczyzn w średnim wieku, z nadwagą i bez kondycji, toteż mogła zająć się tylko jednym rodzajem działalności.

wydzierżawiła apartament w spokojnej, szacownej dzielnicy Hahnwald, na zielonym przedmieściu Kolonii.

Stały tu domy zbudowane z po rządnej, solidnej cegły lub kamienia, niekiedy podzielone na apartamenty, jak ten, w którym mieszkała i pracowała.

Był to czteropiętrowy kamien ny budynek.

Na każdym piętrze znajdował się jeden apartament.

Rena ta mieszkała na pierwszym piętrze.

Po przeprowadzce kazała przebudowa ć wnętrze.

Mieszkanie składało się z salonu, kuchni, łazienki, dwóch sypialni, przedpokoju i korytarza.

Na lewo od przedpokoju był salon i obok kuch nia.

Dalej, po lewej stronie korytarza, który skręcał w prawo z przedpo koju, znajdowała się sypialnia i łazienka.

Druga, większa sypialnia była na końcu korytarza, oddzielona łazienką od pierwszej.

Tuż przed drzwiami większej sypialni znajdowała się szafa dwumetrowej szerokości, wbudo wana w ścianę łazienki.

Renata sypiała w mniejszej sypialni, a większej na końcu korytarza używała do pracy.

Zmiany, jakie wprowadziła, oprócz ściennej szafy obej mowały również wyciszenie głównej sypialni.

Ściany od wewnątrz wyłożo no korkiem, który zakrywała tapeta, drzwi zostały podwójnie wzmocnione i obite od wewnątrz grubą warstwą wyściółki.

Stłumione dźwięki wydosta jące się z pokoju nie mogły zaalarmować sąsiadów.

Ze względu na niezwy kłe dekoracje i wyposażenie pokój był zawsze zamknięty na klucz.

Ścienna szafa w korytarzu zawierała tylko zwykłą zimową odzież i płasz cze deszczowe.

Druga szafa w roboczej sypialni mieściła spory asortyment egzotycznej bielizny oraz mnóstwo damskich strojów, od uczennicy, słu żącej, kelnerki i panny młodej do niani, pielęgniarki, guwernantki, na uczycielki, stewardesy, policjantki, Nazi Bundmadchen, strażniczki obo zowej i skautki, a także zwykłe skórzane i lateksowe kostiumy, wysokie buty, peleryny i maski.

W komodzie znajdowały się przebrania dla klientów, którzy nic nie przynieśli ze sobą, między innymi mundurek skauta i ucznia oraz prze27 .

□ paska rzymskiego niewolnika.

W kącie stały dyby i klęcznik, w kufrze zaś spoczywały łańcuchy, kajdanki, rzemienie i baty konieczne przy scenach zniewolenia i kary.

Renata była dobrą kurwą, a przynajmniej kurwą dobrze zarabiającą. wielu klientów regularnie do niej wracało.

Urodzona aktorka wszyst kie kurwy muszą być po trosze aktorkami, chociaż nie zawsze bywa na odwrót potrafiła przekonująco wcielić się w wymarzoną postać klien ta.

Ale część jej umysłu zawsze pozostawała oddzielona od tych fantazji, obserwowała, notowała, pogardzała.

Renata nie przejmowała się swoją pracą w końcu jej osobiste upodobania były zupełnie inne.

Uprawiała ten zawód od trzech lat, a po następnych dwóch latach zamierzała się wycofać, uporządkować swoje sprawy, wyjechać gdzieś da leko i żyć w luksusie dzięki zainwestowanym kapitałom.

Tego popołudnia ktoś zadzwonił do drzwi.

Renata wstała późno i była jeszcze w szlafroku.

Zmarszczyła brwi.

Klienci nie przychodzili bez zapo wiedzy.

wyrzała przez judasza we frontowych drzwiach i zobaczyła po targane siwe włosy Bruno Morena, jej opiekuna z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Westchnęła, przywołała radosny, powitalny uśmiech na piękną twarz i otworzyła drzwi.

Bruno, skaaaarbie...

Dwa dni później Timothy Edwards zaprosił Sama McCreadyego na lunch do klubu Brooksa w londyńskiej dzielnicy Saint James.

Edwards był członkiem kilku wytwornych klubów, ale najbardziej lubił iść na lunch do Brooksa.

Czasem można tam było wpaść na Roberta Armstronga, prezesa Rady Ministrów,

prawdopodobnie najbardziej wpływowego czło wieka w Anglii, a z pewnością najważniejszego z Pięciu Mądrych Ludzi, którzy pewnego dnia wybiorą nowego szefa SIS za aprobatą Margaret Thatcher.

Dopiero przy kawie w bibliotece, pod portretami Dyletantów, tych dandysów z okresu Regencji, Edwards przeszedł do rzeczy.

Jak mówiłem na dole.

Sam, wszyscy są bardzo zadowoleni, napraw dę bardzo zadowoleni.

Ale nadchodzi nowa era, Sam.

Era, której moty wem przewodnim będą słowa: "zgodnie z przepisami".

Dawne metody postępowania, łamanie przepisów, zostaną...

jak by to powiedzieć...

za hamowane?

Zahamowane to bardzo dobre określenie zgodził się Sam.

Znakomicie.

A więc przegląd akt ujawnił, że wciąż utrzymujesz, wprawdzie tylko doraźnie, kontakty z pewnymi informatorami, którzy

28

dawno przestali być użyteczni.

Starzy przyjaciele.

To nie problem, chyba że ci ludzie są w delikatnej sytuacji...

Chyba że ich zdemaskowanie może być poważnym problemem dla Firmy...

Na przykład?

zapytał McCready.

Kłopot z aktami polegał na tym, że zawsze były pod ręką, w kartotece.

Jeśli zapłaciłeś komuś za wy konanie polecenia, do akt włączano dowód wypłaty.

Edwards postawił sprawę jasno.

Na przykład Duch.

Sam, nie rozumiem, dlaczego go przeoczyli.

Duch jest pełnoetatowym pracownikiem BND.

Rozpęta się piekło, jeśli w Pullach kiedykolwiek odkryją, że facet pracował dla ciebie.

To absolutnie nie wbrew wszelkim przepisom.

My nie werbujemy, powtarzam, nie wer bujemy pracowników zaprzyjaźnionych agencji.

Takie metody są nie do przyjęcia.

Pozbądź się go, Sam.

Wstrzymaj wypłaty.

Natychmiast.

To mój kolega oświadczył Sam.

Znamy się od dawna.

Od czasów budowy Berlińskiego Muru.

Wtedy robił dobrą robotę, wykonywał dla nas niebezpieczne zadania, kiedy

potrzebowaliśmy takich ludzi.

Zostaliśmy zaskoczeni, nie mieliśmy nikogo albo prawie nikogo, kto mógł i chciał tak ryzykować.

Żadnych dyskusji.

Sam.

Ufam mu.

On mi ufa.

Nie zdradziłby mnie.

Tego nie da się kupić za pieniądze.

Potrzeba lat.

Te parę groszy to niewielka cena.

Edwards wstał, wyjął chustkę z rękawa i osuszył wargi.

Pozbądź się go, Sam.

Obawiam się, że to rozkaz.

Duch odchodzi.

Pod koniec tego tygodnia major Ludmiła Wanawskaja westchnęła, przeciągnęła się i odchyliła do tyłu na krześle.

Była zmęczona.

To było długie polowanie.

Sięgnęła po paczkę radzieckich marlboro, zauważyła pełną popielniczkę i nacisnęła guzik na biurku.

Wszedł młody kaprał.

Major Wanawskaja nie odezwała się do niego, tylko wskazała popielniczkę czubkiem palca.

Kaprał szybko ją zabrał, wyszedł z gabinetu i po paru sekundach wrócił z czystą popielniczką.

Major Wanawska kiwnęła głową.
Kapral wyszedł i zamknął drzwi.

Żadnych rozmówek, żadnych żartów.

Major Wanawska wywierała mrozący wpływ na ludzi.
Przed laty zdarzało się, że jakiś młodzieniec zwrócił uwagę na jej lśniące, krótko przycięte jasne włosy, kontrastujące z szorstką służbową koszulą i wąską zieloną spódnicą, ale chociaż kilku próbowało szczęścia, żadnemu się nie powiodło.

W wieku dwudziestu pięciu lat Ludmiła dla kariery wyszła za pułkownika i rozwiodła się z nim po trzech latach.
Jego kariera utknęła w miejscu.

scu, jej nabrała rozpędu.

W wieku trzydziestu pięciu lat Ludmiła nie nosiła już munduru, tylko ciemnoszary kostium o surowym kroju i białą bluzkę z kokardą pod szyją.

Niektórzy uważali, że nadal jest pociągająca, do póki nie zmroziło ich spojrzenie lodowatych błękitnych oczu.

W KGB, organizacji bynajmniej nie liberalnej, major Wanawska miała opinię fanatyczki.

A fanatycy budzą lęk.

Fanatyzm major Wanawskiej dotyczył jej pracy i zdrajców.

Komunistka całą duszą, nie mająca żadnych wątpliwości ideologicznych, z własnego wyboru poświęciła się tropieniu zdrajców.

Nienawidziła ich z zimną pasją.

Podstępem załatwiła sobie przeniesienie z Drugiego Departamentu KGB, gdzie trafiał się najwyższy jakiś zbuntowany robotnik albo wyrotowy poeta, do niezależnego Trzeciego Departamentu, na zwanego również Departamentem Sił Zbrojnych.

Tutaj zdrajcy, jeśli się zdarzali, byli wyżej postawieni, bardziej niebezpieczni, godni jej odwagi i nienawiści.

Przeniesienie do Trzeciego Departamentu załatwił jej mąż, pułkownik, w ostatnich dniach małżeństwa, kiedy wciąż desperacko próbował ją zadowolić.

To ją zaprowadziło do tego anonimowego biurowca tuż przy Sadowej Spasskiej, moskiewskiej obwodnicy, do tego gabinetu i do teczki, która teraz leżała przed nią na biurku.

Dwa lata pracy kosztowała ją ta teczka, chociaż z początku trudno było pogodzić tę pracę z innymi obowiązkami, dopóki ludzie wyżej po stawieni nie zaczęli jej wierzyć.

Dwa lata sprawdzania i ponownego sprawdzania, błagania o współpracę innych wydziałów, wiecznej walki z tymi wojskowymi draniem, którzy zawsze kryją się nawzajem.

Dwa lata dopasowywania ułamków informacji, zanim zaczął wyłaniać się spójny obraz.

Praca i powołanie major Ludmiły Wanawskiej polegały na tropieniu wyrotowców, renegatów oraz nielicznych prawdziwych zdrajców w armii lądowej, marynarce i lotnictwie.

Strata cennego sprzętu państwowego na skutek skandalicznego niedbalstwa to źle, brak zapału w wojnie afgańskiej to jeszcze gorzej, ale teczka na biurku mówiła o całym innej historii.

Major Wanawska była przekonana, że gdzieś w armii istnieje przeciek. I to wysoko, cholernie wysoko.

Teczka na biurku była otwarta.

Na pierwszej kartce widniała lista składająca się z ośmiu nazwisk.

Pięć było przekreślone.

Dwa miały znaki zapytania.

Ale oczy major Wanawskiej wciąż powracały do ósmego nazwiska.

Podniosła słuchawkę telefonu, wymieniła numer i połączono ją z innym majorem, sekretarzem generała Szaliapina, dyrektora Trzeciego Departamentu.

30

Tak, towarzyszo majorze.

Osobiste widzenie?

Nikt inny?

Rozu miem...

Kłopot w tym, że towarzysz generał jest na Dalekim Wschodzie...

Dopiero we wtorek.

Doskonale, a więc do wtorku.

Major Wanawska odłożyła słuchawkę z zachmurzoną twarzą.

Cztery dni.

No cóż, czekała dwa lata, może zaczekać jeszcze cztery dni.

Chyba się zdecyduję z dziecinną radością powiedział Bruno do Renaty tego niedzielnego ranka.

Wystarczy mi na kupno działki i jesz cze zostanie trochę na wyposażenie i udekorowanie wnętrza.

To cudow ny mały bar.

Leżeli w łóżku w sypialni Renaty czasami pozwalała mu na ten przywilej, ponieważ nie cierpiał "roboczej" sypialni tak samo, jak niena widził zawodu swojej kochanki.

Opowiedz mi jeszcze raz zamruczała.

Uwielbiam tego słu chać.

Bruno wyszczerzył zęby.

Widział dom tylko raz, ale zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia.

To było to, czego zawsze pragnął, do kładnie tam, gdzie sobie życzył, nad otwartym morzem, gdzie wieją pół nocne wiatry, a powietrze jest świeże i rześkie.

Oczywiście w zimie bę dzie zimno, ale dom ma centralne ogrzewanie, które tylko wymaga naprawy.

OK. Nazywa się "Bar Pod Latarnią", a na szyldzie jest stara latar nia okrętowa.

Stoi na molo, dokładnie na nabrzeżu w Bremerhaven.

Z okien na piętrze widać wyspę Mellum...

jeśli wszystko dobrze pójdzie, kupimy żaglówkę i popłyniemy tam w lecie.

Na dole jest staroświecki kontuar kryty mosiądzem...

będziemy stać za nim i podawać drinki...

a na górze miłe, przytulne mieszkanko.

Nie takie duże jak to, ale wy godne, jak już je urządzimy.

Dogadałem się w sprawie ceny i wpłaciłem depozyt.

Sfinalizuję kupno pod koniec września.

A potem zabiorę cię da leko od tego wszystkiego.

Ledwie mogła powstrzymać się od głośnego śmiechu.

Nie mogę się doczekać, kochany.

To będzie cudowne życie...

Chcesz spróbować jeszcze raz?

Może tym razem się uda.

Gdyby Renata miała inny charakter, starałaby się łagodnie rozwiać nadzieje starszego mężczyzny.

Wytłumaczyłaby mu, że na razie nie ma zamiaru zostawiać "tego wszystkiego" i wyjeżdżać, zwłaszcza na niegościnn e, chłostane wiatrem wybrzeże morskie w Bremerhaven.

Ale bawiło ją przedłużanie jego złudzeń, żeby końcowe rozczarowanie było tym bole śniejsze.

31 .

□

Godzinę po tej rozmowie czarny jaguar limuzyna skręcił z autostra dy M3 w hrabstwie Hampshire na boczną drogę, niedaleko wsi Dummer.

Był to osobisty samochód Timothyego Edwardsa, prowadzony przez służ bowego kierowcę.

Z tyłu siedział Sam McCready, któremu telefon od zastępcy szefa przerwał niedzielny wypoczynek w mieszkaniu w Abingdon Villas, West London.

Obawiam się.

Sam, że nie masz wyboru.

To pilne.

Kiedy zadzwonił telefon, niedzielne gazety zaścielały podłogę w sa lonie, z głośników wylewała się muzyka Vivaldiego, a Sam rozkoszował się długą, gorącą kąpielą.

Zdażył naciągnąć sztruksowe spodnie, sporto wą koszulę i marynarkę, zanim John, który przyprowadził jaguara z ga rażu, zapukał do drzwi.

Limuzyna skręciła na zwirowany podjazd przed solidnym georgiańskim wiejskim domem i zatrzymała się.

John obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi przed pasażerem, ale McCready go ubiegł.

Nie cierpiał nadskakiwania.

Sir, kazali mi powiedzieć, że będą z tyłu, na tarasie oznajmił John.

McCready przyjrzał się okazałej rezydencji.

Przed dziesięciu laty Timothy Edwards poślubił córkę księcia, który był na tyle uprzejmy, że wyciągnął nogi nie czekając starości i zostawił spory majątek dwojgu dzieciom, nowemu księciu oraz jego siostrze.

Lady Margaret odziedzi czyła około trzech milionów funtów. McCready oceniał, że co najmniej połowa została zainwestowana we wspaniałą posiadłość ziemską w Hamp shire. Obszedł dom i po drugiej stronie zobaczył patio z kolumnami. Stały tam cztery trzcinowe krzesła.

Trzy były zajęte.

Biały stolik z ku tego żelaza zastawiono lunchem na trzy osoby.

Lady Margaret widocznie została w domu.

Nie miała ochoty na lunch.

On też.

Dwaj mężczyźni sie dzący w trzcinowych krzesłach wstali.

Ach, Sam powiedział Edwards.

Cieszę się, że przyjechałeś.

To już lekka przesada, pomyślał McCready.

Przecież on cholernie do brze wie, że nie miałem wyboru.

Edwards popatrzył na McCreadyego i zastanowił się nie po raz pierw szy, dlaczego jego utalentowany kolega przychodzi na przyjęcie w wiej skiej posiadłości w Hampshire ubrany jak pomocnik ogrodnika, nawet jeśli nie zamierza zostać długo.

Edwards miał na sobie lśniące buty do golfa, brązowe spodnie o kantach ostrych jak brzytwa, jedwabną koszu lę, blezer i szalik.

32

McCready popatrzył na Edwardsa i zastanowił się, dlaczego Edwards zawsze nosi chustkę do nosa w lewym rękawie.

Był to wojskowy zwyczaj, zapoczątkowany w pułku kawalerii, ponieważ na przyjęciach kawalerzyści nosili tak obcisłe pantalone, że chustka wciśnięta do kieszeni spodni mogłaby sprawiać na paniach określone wrażenie.

Ale Edwards nigdy nie był w kawalerii ani w żadnym innym pułku.

Przyszedł do Firmy prosto z Oksfordu.

Chyba nie znasz Chrisa Appleyarda rzucił Edwards.

wysoki Amerykanin wyciągnął rękę.

Miał suchą, pomarszczoną twarz teksańskiego poganiacza bydła.

W rzeczywistości pochodził z Bostonu.

Wy suszoną cerę zawdzięczał camelom, które ćmił bez przerwy.

Twarz miał nie opaloną, zaledwie podpieczoną.

To dlatego jedli lunch na dworze, domyślił się Sam.

Edwards nie chciał, żeby nikotyna osiadała na jego Canalettach.

Chyba nie potwierdził Appleyard.

Miło cię poznać.

Sam.

Słyszałem o tobie.

McCready znał tego człowieka z nazwiska i ze zdjęć: zastępca dyrek tora europejskiej sekcji CIA.

Kobieta na trzecim krzesle pochyliła się do przodu i wyciągnęła rękę.

Cześć, Sam, jak ci leci?

Claudia Stuart mimo czterdziestki na karku wciąż wyglądała pięk nie.

Przytrzymała jego dłoń i spojrzenie odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

Świetnie, dzięki, Claudia.

Naprawdę świetnie.

Jej oczy mówiły, że mu nie uwierzyła.

Żadna kobieta nie lubi myśleć, że mężczyzna, z którym niegdyś dzieliła łóże, całkowicie doszedł do sie bie po tym doświadczeniu.

Przed laty w Berlinie połączył ich krótki, lecz burzliwy romans.

Ona pracowała w zachodniobierlińskiej placówce CIA;

on przyjechał z wizytą.

Nigdy jej nie powiedział, co tam robił.

W rzeczy wistości werbował Pankratina, wówczas jeszcze pułkownika.

Dowiedziała się o tym później, kiedy przejęła Pankratina.

Edwards zauważył tę wymianę spojrzeń i odgadł prawidłowo, co się za nią

kryje.

Ciągle zdumiewało go powodzenie Sama u kobiet.

Ten fa cet był taki...

wymiętoszony.

Opowiadano, że kilka dziewcząt w Century chętnie poprawiało mu krawat, przyszywało guziki i nawet więcej.

Edwards nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

Przykro mi z powodu May powiedziała Claudia.

Dziękuję odparł McCready.

May. Jego żona.
Zmarła przed trzema laty.
May, która dawniej czekała na niego po całych nocach, zawsze go witała, kiedy wracał do domu
33 .

□
Zza Żelaznej Kurtyny, nigdy nie zadawała pytań, nigdy się nie skarżyła.
Skleroza może rozwijać się szybko lub powoli.
W przypadku May rozwiła ją się szybko.
Po roku May została unieruchomiona w wózku inwalidz kim, a dwa lata później odeszła.
Od tej pory McCready mieszkał samotnie w Kensington.
Dzięki Bogu ich syn był na uniwersytecie i przyjechał do domu tylko na pogrzeb.
Nie widział ojcowskiego bólu i rozpacz.

Kamerydner oczywiście tutaj musi być kamerydner, pomyślał McCready
pojawił się z kieliszkami szampana na tacy.
McCready uniósł brew.
Kamerydner, któremu Edwards szepnął coś do ucha, wrócił po chwili z kuflem piwa.

McCready pociągnął łyk.
Tamci obserwo wali go.
Lager.

Markowe piwo.
Zagraniczna nalepka.
Westchnął.

Wołaby angielskie gorzkie, w temperaturze pokojowej, zalatujące szkockim słodem i kentyjskim chmielem.

Mamy problem.
Sam oznajmił Appleyard.
Claudia, po wiedz mu.

Pankratin rzuciła Claudia.
Pamiętasz go?

McCready kiwnął głową wpatrując się w piwo.
W Moskwie kierujemy nim głównie za pośrednictwem skrzynek kontaktowych.

Na dystans.
Bardzo ograniczone kontakty.
Fantastyczny towar i wygórowane ceny.
Ale prawie żadnych kontaktów osobistych.
Teraz przysłał wiadomość.
Pilną wiadomość.

Zapadło milczenie.
McCready podniósł wzrok i spojrzał na Claudię.
Twierdzi, że zdobył nie zarejestrowaną kopię radzieckich wojsko wych planów strategicznych.

Kompletny plan ofensywy.
Na całym zachodnim froncie.
Potrzebujemy tego, Sam, bardzo tego potrzebujemy.
Więc weźcie to sobie odparł Sam.
Tym razem on nie chce użyć skrzynki kontaktowej.

Mówi, że to jest za duże.
Nie zmieści się.
Za bardzo rzuca się w oczy.
Przekaze to je dynie komuś, kogo zna i komu ufa.
Tobie.

W Moskwie?
Nie, w Niemczech wschodnich.
Wkrótce wyjeżdża na inspekcję.

Na tydzień.
Chce, żeby spotkanie odbyło się daleko na południu Turyn gii, przy granicy z Bawarią.
Będzie podróżował na południe i zachód, przez Cottbus, Drezno, Karl-Marx-Stadt i dalej do Gery i Erfurtu.

Po tem wraca do Berlina w srode wieczorem.
Chce to załatwić we wtorek albo w srode rano.
Nie wie gdzie.

Proponuje bocznice kolejową.
Natomiast dokładnie zaplanował, w jaki sposób urwie się, żeby to zrobić.
Chyba powinienem wyjaśnić, że Sam absolutnie nie może je chać wtrącił

Edwards.

Omawiałem to z szefem i on przyznaje mi rację.

Sam jest na czarnej liście SSD.

34

Claudia uniosła brew.

To znaczy, kochanie, że jeśli znowu mnie tam złapią, nie będzie żadnej grzeczniutkiej wymiany na granicy.

Przesłuchają go i zastrzelą dodał niepotrzebnie Edwards.

Appleyard zagwizdał.

Chłopie, to wbrew zasadom.

Widocznie naprawdę załazłeś im za skórę.

Każdy robi, co może skwitował Sam ze smutkiem.

Ale jeśli nie mogę pojechać, jest jeden facet, który może.

W zeszłym tygodniu roz mawialiśmy o nim z Timothyem w klubie.

Edwards o mało nie zakrzusił się szampanem marki Krug.

Duch?

Pankratin mówi, że przekaże towar komuś, kogo zna.

On zna Ducha.

Pamiętasz, opowiadałem ci, jak Duch kiedyś mi pomógł.

W osiemdziesiątym pierwszym, kiedy zwerbowałem Pankratina, Duch musiał go pilnować do mojego przyjazdu.

On nawet lubi Ducha.

Rozpozna go i przekaże towar.

Nie jest głupi.

Edwards poprawił jedwabny szalik na szyi.

No dobrze.

Sam.

Ostatni raz.

To jest niebezpieczne i chodzi o wysoką stawkę.

Chcę mu dać nagrodę.

Dziesięć tysięcy funtów.

Zgoda powiedział Appleyard bez wahania.

wyjął z kieszeni kartkę papieru.

Tu są szczegóły, które dostarczył Pankratin.

Potrzebne będą dwa miejsca spotkania, jedno zapasowe.

Daj nam znać w ciągu dwudziestu czterech godzin, jaką bocznice wybrałeś.

Zawiadomimy go.

Nie mogę zmusić Ducha, żeby tam pojechał ostrzegł Sam.

On jest wolnym strzelcem, nie należy do personelu.

Spróbuj, Sam, proszę cię powiedziała Claudia.

No, a ten wtorek...

kiedy to jest?

Od jutra za tydzień wyjaśnił Appleyard.

Czyli za osiem dni.

Jezu Chryste jęknął Sam.

ROZDZIAŁ DRUGI

Poniedziałek

Sam McCready prawie przez cały dzień ślęczał nad zdjęciami i ma pami w dużej skali.

Zwrócił się o przysługę do dawnych przyjaciół, którzy wciąż pracowali w wydziale wschodnich Niemiec.

Ci ludzie chronili swoje terytoria, ale ustąpili na prośbę Sama który miał autorytet i nie zadawali niepotrzebnych pytań kierownikowi Pe-De i O-Psy.

35 .

□

Po południu Sam miał już dwa miejsca, które odpowiadały wymaganiom.

Jedno to była kryta bocznica kolejowa tuż przy szosie numer siedem, która biegnie ze wschodu na zachód równoległe do autostrady E40.

Szosa numer siedem łączy przemysłowe miasto Jenę z rolniczym weimarem i dalej prowadzi do Erfurtu.

Pierwsza bocznica znajdowała się na zachód od Jeny.

Druga była przy tej samej szosie, ale w połowie drogi między weimarem a Erfurtem, niecałe trzy mile od radzieckiej bazy w Nohrze.

Jeżeli w następnym wtorek i środę radziecki generał przeprowadzi inspekcję gdzieś pomiędzy Jena a Erfurtem, będzie miał niedaleko do obu miejsc spotkań.

O piątej McCready przekazał swoją propozycję Claudii Stuart w amerykańskiej ambasadzie na Grosvenor Square.

forsyth Fałszerz.txt

Zakodowaną wiadomość przesłano do centrali CIA w Langley, Wirginia. CIA zatwierdziła wybór i wysłała wiadomość do łącznika Pankratina w Moskwie. Następnego dnia wcześniej rano informację umieszczono w skrzynce kon taktowej za obluźowaną cegłą na Cmentarzu Nowodiewiczym.

Generał Pankratin odebrał ją cztery godziny później w drodze do ministerstwa.

W poniedziałek przed zachodem słońca McCready wysłał zakodowaną wiadomość do kierownika placówki SIS w Bonn, który przeczytał ją, zniszczył, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał miejscowy numer.

Tego wieczoru Bruno Morenz wrócił do domu o siódmej. Był w po łowie kolacji, kiedy jego żonie coś się przypomniało.

Dzwonił twój dentysta.

Doktor Fischer.

Morenz podniósł głowę i popatrzył na wystygłą breję na talerzu.

Uhm.

Mówił, że chce jeszcze raz obejrzeć tę plombę.

Jutro.

Pytał, czy możesz być w gabinecie o szóstej.

Wróciła do oglądania wieczornego teleturnieju.

Bruno miał nadzieję, że dokładnie powtórzyła wiadomość.

Jego dentysta nie nazywał się Fischer.

Były dwa bary, w których Bruno mógł spotkać się z McCreadym.

Jeden nazywali "gabinetem", drugi "kliniką".

A szósta godzina oznacza ła pierwszą po południu, porę lunchu.

Wtorek

Denis Gaunt, zastępca McCreadyego, odwiózł go na lotnisko Heathrow na poranny lot do Kolonii.

Wróćę jutro wieczorem powiedział McCready.

Pilnuj inte resu pod moją nieobecność.

W Kolonii, niosąc tylko teczkę, szybko przeszedł przez kontrolę pasz portową i celną, wziął taksówkę i wysiadł przed budynkiem opery tuż po

36

jedenastej.

Przez dziewiętnaście minut spacerował po placu, po Kreuzgasse i ruchliwej Schildergasse, zamkniętej dla ruchu kołowego.

Przystawał przed wystawami, nagle zawracał, wchodził do sklepu od frontu i wycho dził tylnymi drzwiami.

Za pięć pierwsza, upewniwszy się, że nikt go nie śledził, skręcił w wąską Krebsgasse i wszedł do staroświeckiego baru z szyl dem wypisanym złotymi gotyckimi literami.

Małe kolorowe szybki prze puszczały do środka niewiele światła.

McCready usiadł w narożnym bok sie pod ścianą, zamówił kufel reńskiego piwa i czekał.

Pięć minut później krępa sylwetka Bruno Morenza wśliznęła się na krzesło naprzeciwko.

Sporo czasu minęło, stary przyjacielu odezwał się McCready.

Morenz kiwnął głową i łyknął piwa.

Czego chcesz, Sam?

Sam powiedział mu.

Zabrało mu to dziesięć minut.

Morenz potrząsnął głową: Sam, mam pięćdziesiąt dwa lata.

Niedługo odchodzę na emeryturę.

Mam swoje plany.

Dawniej to co innego, daw niej to było podniecające.

Teraz, szczerze mówiąc, boję się tych facetów.

Ja też ich się boję, Bruno.

Ale pojechałbym, gdybym mógł.

Je stem spalony.

Ty jesteś czysty.

To krótka wycieczka...

rano wyjazd, wie czorem powrót.

Nawet jeśli nie uda się pierwszy raz, wrócisz dzień póź niej wczesnym popołudniem.

Płacą dziesięć tysięcy funtów, gotówką.

Morenz zmierzył go uważnym spojrzeniem.

To dużo.

Na pewno znajdują się chętni.

Dlaczego ja?

On cię zna.

Lubi cię.

Nie wycofa się, kiedy zobaczy, że to nie ja.

Nie lubię prosić, ale zrób to dla mnie.

Ostatni raz, przysięgam.

Ze względu na dawne czasy.

Bruno dopił piwo i wstał.

Muszę wracać...

no dobrze, Sam.

Dla ciebie.

Ze względu na dawne czasy.

Ale potem koniec z tym, przysięgam.

Na dobre.

Masz moje słowo, Bruno.

Zaufaj mi.

Nie zawiodę cię.

Umówili się na następne spotkanie w poniedziałek o świcie.

Bruno wrócił do biura.

McCready odczekał dziesięć minut, spacerkiem przeszedł do postoju taksówek na Tunistrasse i wziął taksówkę do Bonn.

Resztę dnia i całą środę spędził w bońskiej placówce, gdzie załatwiał bieżące sprawy.

Było mnóstwo roboty i bardzo mało czasu.

Dwie strefy czasowe na wschód, w Moskwie, major wanawskaja zo stała przyjęta przez generała Szaliapina zaraz po lunchu.

Generał, po nury syberyjski chłop z wygoloną twarzą, emanującą siłą i przebiegłością, przeczytał uważnie akta siedząc za biurkiem.

Skończył i odsunął teczkę.

37 .

□

Poszlaki oświadczył.

Lubił, kiedy podwładni bronili swojego zdania.

W dawnych czasach, które dobrze pamiętał generał Szaliapin, wystarczyłoby to, co miał przed sobą.

W lochach łubianki zawsze znala zło się jeszcze jedno miejsce.

Ale czasy się zmieniły i wciąż się zmieniały.

Na razie poszlaki, towarzyszu generale zgodziła się wanawskaja.

Ale wyraźne.

Te rakiety SS-20 we Niemczech wschodnich dwa lata temu...

Jankesi dowiedzieli się zbyt szybko.

Wschodnie Niemcy roją się od szpiegów i zdrajców.

Amerykanie mają satelity, RORSATS...

Manewry floty Czerwony sztandar wokół północnych portów.

Imperialiści jakoś zawsze wiedzieli...

Szaliapin uśmiechnął się widząc zaciętrzewienie młodej kobiety.

Ni gdy nie lekceważył doniesień swoich pracowników, po to przecież byli.

Ale nawet on nie używał już wobec sił NATO określenia "imperialiści".

To był język Komsomołu, bystrookich dzieciaków, które nie poznały jeszcze reguł przetrwania.

Może jest jakiś przeciek przyznał.

Albo nawet kilka.

Nie dbalstwo, gadatliwość, szereg drobnych czynników.

Ale wy uważacie, że to jeden człowiek...

Ten człowiek pochylała się do przodu i stuknęła w fotografię załączoną do akt.

Dlaczego?

Dlaczego on?

Bo on zawsze tam jest.

W pobliżu poprawił Szaliapin.

W pobliżu.

Prawie w tym samym miejscu.

Zawsze pod ręką.

Generał Szaliapin przeżył długie lata i zamierzał pożyć jeszcze trochę.

W marcu spostrzegł nadchodzącą zmianę.

Michaił Gorbaczow zo stał szybko i jednogłośnie wybrany na sekretarza generalnego po śmierci kolejnego starca, Czernienki.

Był młody i energiczny, miał przed sobą przyszłość.

Zapowiadał reformy i nawet zaczął już czystkę w partii.

Szaliapin znał reguły gry.

Nawet sekretarz generalny mógł przeciw stawić się tylko jednej z trzech radzieckich potęg naraz.

Jeśli zaatakował stare kierownictwo partii, musiał podlizywać się armii i KGB. Generał przechylił się przez biurko i pogroził zarumienionej kobiecie serdelkowatym palcem.

Nie mogę na tej podstawie wydać rozkazu aresztowania, zwłaszcza cza oficera wysokiej rangi zatrudnionego w ministerstwie.

Jeszcze nie.

Konkrety, potrzebuję konkretów, jednego jedyne go faktu.

Pozwólcie, że wezmę go pod obserwację nalegała major Wanawska.

38

Tylko dyskretnie.

Tak jest, towarzyszu generale, dyskretna obserwacja.

W takim razie zgadzam się, majorze.

Przydzielę wam ludzi.

Środa

Tylko parę dni, Herr Direktor.

Krótką przerwę zamiast pełnego letniego urlopu.

Chciałbym zabrać gdzieś żonę i syna na parę dni.

Week end, poniedziałek, wtorek i środa.

Dieter Aust był we wspaniałomyślnym nastroju.

Poza tym jako urząd nik państwowy wiedział, że jego pracownicy mają prawo do letnich wakacji.

Zawsze go dziwiło, że Morenz tak rzadko wyjeżdża na urlop.

Wi docznie nie bardzo może sobie na to pozwolić.

Mój drogi Morenz, nasza praca jest uciążliwa.

Firma zawsze chęć nie udziela urlopu.

Pięć dni to nie problem.

Gdybyś uprzedził nas trochę wcześniej...

ale dobrze, zgoda.

Poproszę Fraulein Keppel, żeby zmieniła grafik dyżurów.

Tego wieczoru w domu Bruno Morenz powiedział żonie, że musi wyjechać w interesach na pięć dni.

Tylko na weekend plus poniedziałek, wtorek i środa powie diał.

Dyrektor Aust chce mnie zabrać ze sobą.

To miło odparła żona pochłonięta telewizją.

W rzeczywistości Morenz planował, że spędzi długie, rozkoszny, roman tyczny

weekend z Renatą, poniedziałek przeznaczy na spotkanie z Samem McCreedym i całodzienne przygotowania, a we wtorek przekroczy granicę wschodni Niemiec. Nawet jeśli będzie musiał spędzić noc w Niemczech wschodnich czekając na drugie spotkanie, wróci na Zachód w środę wie czorem i w ciągu nocy zdąży dojechać do domu, a w czwartek zjawi się w biurze.

Potem złoży wypowiedzenie, do końca września zwolni się z pracy, rzuci żonę i wyjedzie z Renatą do Bremerhaven.

Wątpił, czy Irmtraut bę dzie się przejmować; ledwie zauważała jego obecność.

Czwartek

Major Wanawska rzuciła słuchawkę telefonu z przekleństwem, jakie nie przystoi damie.

Drużyna obserwacyjna była na miejscu, gotowa roz począć śledzenie obiektu.

Ale najpierw Wanawska musiała coś niecoś wiedzieć o jego codziennych czynnościach i obowiązkach.

Dlatego skon taktowała się z człowiekiem, który był wtyczką Trzeciego Departamentu KGB wewnątrz wojskowego wywiadu, GRU.

39 .

Chociaż KGB i jego wojskowy odpowiednik GRU są ze sobą na noże, nie ma wątpliwości, kto kim rządzi.

KGB jest znacznie potężniejsze, a swoją przewagę umocniło na początku lat sześćdziesiątych, kiedy to pułkownik GRU, Oleg Pieńkowski, ujawnił tyle radzieckich tajemnic, że uznano go za najgroźniejszego zdrajcę w historii ZSRR. Od tamtej pory Politbiuro zezwala KGB na infiltrację GRU.

Wtyczki, chociaż no są wojskowe mundury i przebywają w wojskowym środowisku, należą do KGB ciałem i duszą.

Prawdziwi oficerowie GRU znają ich tożsamość i starają się ich boj kotować, co nie zawsze jest łatwe.

Przykro mi, towarzyszek majorze powiedział przez telefon młody dy pracownik KGB zatrudniony w GRU.

Rozkaz leży przede mną.

Wasz człowiek wyjeżdża jutro na inspekcję naszych głównych garnizonów w Niemczech.

Tak, mam tu harmonogram podróży.

Przedyktował go jej, zanim odłożyła słuchawkę.

Zastanawiała się przez jakiś czas, potem napisała podanie o zezwolenie na inspekcję per sonelu Trzeciego Departamentu w centrali KGB w Berlinie Wschodnim. Po dwóch dniach zatwierdzono podanie.

W sobotę rano major Wanawska miała wylądować na wojskowym lotnisku w Poczdamie.

Piątek

Tego dnia Bruno starał się jak najszybciej załatwić bieżące sprawy, żeby wyjść wcześniej z biura.

Ponieważ zamierzał złożyć rezygnację za raz po powrocie, w połowie przyszłego tygodnia, opróżnił nawet nie które szuflady.

Na koniec przejrzał zawartość małego biurowego sejfu.

Przez jego ręce przechodziło tak mało tajnych papierów, że prawie nie używał sejfu.

Szuflady biurka miały zamki, drzwi biura zawsze zamyka no na noc, a budynek był dobrze strzeżony.

Mimo to Bruno uporządkował papiery w sejfie.

Na samym dnie leżał służbowy pistolet automa tyczny.

Walther PPK był brudny.

Bruno nie używał go od lat, odkąd zaliczył obowiązkowy sprawdzian strzelecki na poligonie w Pullach.

Pomyślał jed nak, że powinien oczyścić broń, zanim zwróci ją w przyszłym tygodniu.

Przybory do czyszczenia miał w domu, w Porz.

Za dziesięć piąta włożył pistolet do kieszeni letniego garnituru i wyszedł.

W windzie poczuł, że broń obija mu biodro, więc wsunął ją za pasek spodni i zapiął marynarkę.

Uśmiechnął się na myśl, że po raz pierwszy Renata zobaczy go uzbrojonego.

Może wtedy uwierzy w jego ważną pra cę.

Chociaż to nie miało znaczenia.

I tak go kochała.

40

Zrobił zakupy w centrum, zanim pojechał do Hahnwaldu trochę dobrej cielęciny, świeże warzywa, butelkę prawdziwego francuskiego klaretu.

Zjedzą kolację w miłej domowej atmosferze; Bruno lubił gotować.

Ostatnim zakupem był bukiet kwiatów.

Zaparkował opla kadeta za rogiem jej ulicy zawsze tak robił i resztę drogi przeszedł pieszo.

Nie zapowiedział swojej wizyty przez te lefon.

Zrobi Renacie niespodziankę.

Z kwiatami.

Będzie jej przyjemnie.

Właśnie jakaś pani wychodziła z budynku, więc nie musiał nawet dzwo nić do frontowych drzwi, żeby Renata go wpuściła.

Coraz lepiej, praw dziwa niespodzianka.

Miał własny klucz do mieszkania.

Wszedł po cichutku, żeby nie zepsuć niespodzianki.

W przedpokoju panowała cisza.

Otworzył usta, żeby zawołać: "Renato, kochanie, łoją...", kiedy usłyszał jej śmiech.

Uśmiechnął się.

Na pewno ogląda program rozrywkowy w telewizji.

Zajrzał do salonu.

Pusto.

Znowu dobiegł go wy buch śmiechu z korytarza prowadzącego do łazienki.

Drgnął uświadomiw szy sobie własną głupotę.

Przecież Renata mogła mieć klienta.

Nie spraw dził tego przez telefon.

Potem przypomniał sobie, że z klientem Renata zamknęłaby się w dźwiękoszczelnej "roboczej" sypialni.

Chciał ją zawo łać, ale znowu usłyszał śmiech, tym razem męski.

Wszedł w korytarz.

Drzwi głównej sypialni były uchylone na kilka cali, ale szparę częściwo wo przesłaniały otwarte drzwi wielkiej szafy.

Płaszcz leżały porozrzucane na podłodze.

Co za dupek powiedział męski głos.
On naprawdę myśli, że za niego wyjdiesz?
Dostał kompletnego fioła.

Palant.

Popatrz na niego to był jej głos.

Morenz odłożył zakupy i ruszył korytarzem.

Był po prostu zdziwiony.

Przymknął drzwi szafy zagradzające mu drogę i czubkiem stopy pchnął drzwi sypialni.

Renata siedziała na brzegu wielkiego łóżka przykrytego czarnymi prześcieradłami i paliła skręta.

Pokój śmierdzał dymem indyjskich konopi.

Na łóżku rozwałał się mężczyzna, którego Morenz nigdy przedtem nie widział, młody, szczupły, żyłasty, w dżinsach i skórzanej kurtce motocyklisty.

Oboje zobaczyli otwierające się drzwi i zerwali się z łóżka, mężczyzna jednym skokiem.

Staął za Renatą.

Miał brudne blond włosy i nieprzyjemny wyraz twarzy.

Widocznie Renata w prywatnym życiu lubiła "twardych klien tów", ponieważ ten, jej stały przyjaciel, rzeczywiście był twardy.

Morenz wciąż patrzył na włączony magnetowid i migoczący ekran telewizora obok łóżka.

Żaden mężczyzna w średnim wieku nie wygląda zbyt atrakcyjnie uprawiając miłość, zwłaszcza kiedy mu nie wychodzi.

41 .

□

Morenz oglądał samego siebie na ekranie z narastającym uczuciem wstydu i rozpacz.

Renata też była na filmie i od czasu do czasu za jego plecami robiła pogardliwe miny do kamery.

Widocznie to wywoływało te wybu chy śmiechu.

Renata była prawie naga, ale szybko otrząsnęła się z zaskoczenia.

Zaczerwieniła się ze złości.

Kiedy się odezwała, nie poznał jej głosu, pis kliwego jak głos straganiarki.

Co ty tu robisz, do kurwy nędzy?

Chciałem ci zrobić niespodziankę wyjąkał.

Taak, zrobiłeś mi cholerną niespodziankę.

A teraz spierdalaj.

Wra caj do domu, do swojego ślubnego worka kartofli.

Morenz głęboko zaczerpnął tchu.

Najgorsze jest to zaczął że mogłaś mi powiedzieć.

Nie mu siałaś robić ze mnie takiego durnia.

Ponieważ ja naprawdę cię kochałem.

Renata z wykrzywioną twarzą wypluwała słowa.

wcale nie musiałam robić z ciebie durnia.

Bo jesteś dureń.

Stary spasiony dureń.

w łóżku i poza łóżkiem.

Teraz spierdalaj.

wtedy ją uderzył.

Trzepnął ją otwartą dłońią po twarzy.

Coś w nim pękło i uderzył ją.

Niezbyt mocno, ale był wielkim mężczyzną.

Renata straciła równowagę i upadła na podłogę.

Morenz nigdy nie dowiedział się, co sobie pomyślał blondyn.

w każ dym razie chciał wyjść.

Ale tamten alfons sięgnął pod kurtkę.

Wyglądało na to, że jest uzbrojony.

Morenz wyciągnął swój pistolet.

Myślał, że broń jest zabezpieczona.

Powinna być zabezpieczona.

Chciał nastraszyć tego alfonsa, zmusić go do podniesienia rąk i wyjść.

Ale alfons dalej sięgał po pistolet.

Morenz nacisnął spust.

walther, chociaż zakurzony, wystrzelił.

Na strzelnicy Morenz nie trafiłby we wrota stodoły.

w dodatku nie był na strzelnicy od lat.

Prawdziwi snajperzy trenują codziennie.

Ale początkujący zawsze ma szczęście.

Kula trafiła alfonsa prosto w serce z odległości piętnastu stóp.

Mężczyzna drgnął, jego twarz przybrała wyraz niedowierzania.

Wciąż jednak, może na skutek nerwowej reakcji, podno sił prawe ramię.

W dłoni ścisnął beretkę.

Morenz ponownie strzelił.

Re nata wybrała tę chwilę, żeby wstać z podłogi.

Drugi pocisk trafił ją w tył głowy.

Wyciszone drzwi zamknęły się same podczas kłótni; żaden dźwięk nie wydostał się z pokoju.

Morenz stał przez kilka minut, spoglądając na dwa ciała.

Był oszołomiony, trochę kręciło mu się w głowie.

Wreszcie wyszedł z pokoju i za mnął za sobą drzwi, ale nie na klucz.

Chciał już odejść, kiedy pomimo otępienia zastanowiło go, dlaczego zimowe płaszcze leżą porozrzucane na korytarzu.

Zajrzał do ściennej szafy i zauważył, że tylna ściana w głębi wydaje się obłuzowana.

Pociągnął do siebie...

42

Bruno Morenz spędził w mieszkaniu jeszcze kwadrans, po czym wyszedł.

Zabrał kasetę z filmem, zakupy, kwiaty oraz brezentową torbę, która do niego nie należała.

Później nie potrafił wyjaśnić, dlaczego to zrobił.

Dwie mile za Hahnwaldem wrzucił jedzenie, wino i kwiaty do oddzielnych pojemników na śmiecie przy drodze.

Potem jechał prawie przez godzinę, wrzucił kasetę wideo ze swoim filmem i broń do Renu z mostu Severin, wyjechał z kolonii, ukrył brezentową torbę i wreszcie wrócił do domu w Porz.

Kiedy o wpół do dziesiątej wszedł do mieszkania, żona nic nie powiedziała.

Dyrektor przełożył nasz wyjazd oznajmił Bruno.

wyjeżdża my bardzo wcześnie rano w poniedziałek.

Och, to dobrze powiedziała żona.

Czasami myślał sobie, że gdyby wrócił do domu z pracy i oświadczył:

"Dzisiaj pojechałem do Bonn i zastrzeliłem kanclerza Kohla", żona rów

niez odpowiedziałaby: "Och, to dobrze".

Kolacja była niejadalna, więc jej nie zjadł.

wychodzę na kieliszek powiedział.

Żona wzięła następną cze koladkę, poczęstowała Lutza i oboje dalej oglądali telewizję.

Tego wieczora Bruno upił się.

Pił samotnie.

Zauważył, że ręce mu się trzęsą i że wciąż się poci.

Pomyślał, że to letnie przeziębienie.

Albo grypa.

Nie był psychiatrą i nie znał żadnego psychiatry, dlatego nikt mu nie powiedział, że to początek kompletnego załamania nerwowego.

Sobota

Major Wanawska wylądowała na berlińskim lotnisku Schönefeld i za

wieziono ją nie oznakowanym samochodem do centrali KGB w Berlinie wschodnim.

Od razu sprawdziła, gdzie jest teraz człowiek, którego śle dziła.

Był w Cottbus, poza jej zasięgiem, otoczony wojskowymi, wybierał się do Drezna z wojskowym konwojem.

W niedzielę będzie w Karl-Marx-Stadt, w poniedziałek w Zwickau, a we wtorek w Jenie.

Jej zezwolenie na inwigilację nie obejmowało Niemiec wschodnich.

Trzeba będzie zdobyć dodatkowy papierek.

Zawsze cholerna biurokracja, pomyślała ze złością.

Niedziela

Sam McCready wrócił do Niemiec i przez cały dzień naradzał się z kie rownikami bońskiej placówki.

Wieczorem odebrał samochód BMW oraz papiery i pojechał do kolonii.

Zatrzymał się w hotelu "Holiday Inn" obok lotniska, gdzie opłacił pokój z góry na dwie doby.

43 .

□

Poniedziałek

Bruno Morenz wstał na długo przed resztą rodziny i po cichutku wyszedł z domu.

Zabrał ze sobą małą podręczną walizeczkę, chociaż wie dział, że nie będzie jej potrzebował.

Zjawił się w "Holiday Inn" około siódmej w ten pogodny wrześniowy poranek i spotkał się z McCreadym w jego pokoju.

Anglik zamówił śniadanie na dwie osoby, a po wyjściu kelnera rozłożył wielką samochodową mapę Niemiec, wschodnich i Za chodnich.

Najpierw obejrzymy trasę powiedział.

Jutro wyruszysz stąd o czwartej rano.

To długa podróż, więc jedź powoli, etapami.

Pojedziesz autostradą E35 na Bonn, Limburg i Frankfurt, która łączy się z E41 i E45 za Wurzburgiem i Nurembergiem.

Na północ od Nurembergu skrećisz w lewo na E51, miniesz Bayreuth i dojedziesz do granicy.

Przekroczysz granicę w pobliżu Hof, w punkcie granicznym Saale.

To najwyżej sześć godzin jazdy.

Powinieneś tam być około jedenastej.

Ja przyjadę pierwszy i będę wszystko obserwował z ukrycia.

Dobrze się czujesz?

Morenz pocił się, chociaż zdjął marynarkę.

Gorąco tu powiedział.

McCready przestawił klimatyzację na "niska temp."

Po przekroczeniu granicy pojedziesz prosto na północ do Hermsdorfer

Kreuz.

Skrećisz w lewo na E40, z powrotem na zachód.

W Mellingen zjedziesz z autostrady i dotrzesz do Weimaru.

W mieście znajdziesz szosę numer siedem i znowu zawrócisz na zachód.

Cztery mile za mia stem, po prawej stronie drogi, jest bocznicą kolejową...

McCready wyjął dużą, powiększoną fotografię tego obszaru z lotu ptaka.

Zdjęcie zrobiono z wysoko lecącego samolotu, ale pod kątem, ponieważ samolot znajdował się na obszarze powietrznym Bawarii.

Morenz widział małą bocznicę, kilka domków, nawet drzewa ocieniające

zwirowany plac, wyznaczony jako pierwsze miejsce spotkania.

McCready starannie i szczegółowo opisał obowiązującą procedurę, a następnie

wyjaśnił, co robić, gdyby pierwsze spotkanie nie doszło do skutku: gdzie Bruno

ma spędzić noc, gdzie i kiedy powinien nawiązać drugi kontakt z Pankratinem.

W południe zrobili przerwę na kawę.

Tego ranka o dziewiątej Frau Popovic stawiła się do pracy w miesz kaniu w Hahnwaldzie.

Była to sprzątaczką, jugosłowiańska imigrantka, która przychodziła codziennie na dwie godziny, od dziewiątej do jede44

nastej.

Miała własny klucz do budynku i do drzwi mieszkania.

Wiedziała, że Fraulein Heimendorf lubi spać do późna, dlatego zawsze sama otwie rała sobie drzwi.

Zaczynała od innych pomieszczeń, a sypialnię sprząta ła dopiero o wpół do jedenastej, kiedy wstawała pracodawczyni.

Nigdy nie wchodziła do zamkniętego pokoju na końcu korytarza.

Powiedziano jej, że to mała kłitka służąca do przechowywania mebli.

Nie miała poję cia, z czego żyje jej pracodawczyni.

Tego dnia zaczęła od kuchni, potem sprzątnęła przedpokój i korytarz.

Odkurzając korytarz zauważyła na podłodze pod zamkniętymi drzwiami skrawek brązowego jedwabiu.

Chciała go podnieść, ale to nie był skrawek jedwabiu, tylko wielka brązowa plama, całkiem wyschnięta i twarda, wystą jąca spod drzwi.

Utyskując na dodatkową robotę sprzątaczką przyniosła szczotkę i wiadro wody.

Kiedy na czworakach szorowała podłogę, niechcą cy uderzyła w drzwi.

Ku jej zdziwieniu ustąpiły.

Nacisnęła klamkę i prze konała się, że drzwi nie były zamknięte na klucz.

Plama wciąż nie dawała się zmyć i sprzątaczką pomyślała, że trzeba sprawdzić, czy coś się nie rozlało w pokoju.

Po chwili z wraskiem zbie gła po schodach i zaczęła łomotać do drzwi mieszkania na parterze, budząc lokatora, emerytowanego księgarza.

Emeryt nie poszedł na górę, ale zadzwonił pod numer 110 i zawiadomił policję.

Telefon odebrano w Prasidium (Komendzie Głównej Policji) na waidmarkt o godzinie 9.51.

Zgodnie ze stałą procedurą wszystkich niemiec kich sił policyjnych, pierwszy na miejscu zjawił się Streifenwagen, czyli oznaczony paskiem samochód policyjny z dwoma umundurowanymi funk cjonariuszami.

Mają oni ustalić, czy istotnie popełniono przestępstwo i ja kiego rodzaju, a następnie zawiadomić właściwy wydział.

Jeden został na dole z Frau Popovic, którą zajęła się stara żona księgarza, a drugi po szedł na górę.

Nie dotykał niczego, tylko przeszedł korytarzem, zajrzał przez uchylone drzwi i gwizdnął ze zdumienia, po czym zszedł na dół i skorzystał z telefonu księgarza. Nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby wydedukować zabójstwo.

Zgodnie z procedurą najpierw wezwał lekarza (w Niemczech lekarzy Pogotowia zwykle przywozi wóz Straży Pożarnej).

Potem zadzwonił na Komendę Główną i poprosił o połączenie z Leidstelle, dyspozytornią wydziału Zabójstw.

Powiedział dyżurnemu, gdzie jest i co znalazł, i za żądał jeszcze dwóch mundurowych.

Wiadomość przekazano do Mordkommission, czyli do wydziału Zabójstw nazywanego w skrócie K1, na dzie siątym i jedenastym piętrze brzydkiego, funkcjonalnego betonowego budynku pomalowanego na zielono, który zajmował całą jedną stronę placu Waidmarkt.

Dyrektor K1 wyznaczył komisarza i dwóch zastępców.

45 .

Zaprotokołowano, że zjawili się w apartamencie w Hahnwaldzie o godzi nie 10.40, zaraz po wyjściu lekarza.

Lekarz obejrzał ciała dokładniej niż umundurowany oficer.

Nie zna lażł oznak życia.

Nie dotykając niczego więcej wyszedł, żeby złożyć for malny raport.

Komisarz, nazwiskiem Peter Schiller, spotkał go na scho dach.

Schiller znał lekarza.

Co mamy?

zapytał.

Lekarz nie powinien dokonać obdukcji, tylko po prostu stwierdzić fakt śmierci.

Dwa ciała.

Mężczyzna i kobieta.

Jedno nagie, jedno ubrane.

Przyczyna śmierci?

zapytał Schiller.

Rany postrzałowe, moim zdaniem.

Obdukcja wykaże.

Czas?

Nie jestem patologiem.

Och, moim zdaniem, jeden do trzech dni.

Zaawansowane stężenie pośmiertne.

Ale to nieoficjalnie.

Zrobiłem, co do mnie należało.

Wychodzę.

Schiller wszedł po schodach w towarzystwie jednego zastępcy.

Drugi zaczął przesłuchiwać Frau Popovic i księgarza.

Sąsiedzi gromadzili się na ulicy.

Przed budynkiem stały teraz trzy służbowe samochody.

Schiller, podobnie jak jego umundurowany poprzednik, zagwizdał cicho, kiedy zobaczył wewnątrz głównej sypialni.

Renata Heimendorf i jej alfons wciąż leżeli tam, gdzie upadli.

Głowa kobiety prawie dotykała drzwi, krew z rany w głowie przesączyła się pod progiem na korytarz.

Alfons leżał po drugiej stronie pokoju, oparty plecami o telewizor, z twarzą za stygłą w wyrazie zdziwienia.

Telewizor był wyłączony.

Łóżko z czarnymi jedwabnymi prześcieradłami zachowało jeszcze odcisk dwóch ciał.

Schiller, stąpając ostrożnie, zajrzał do kilku szuflad i szafek.

Prostytutka stwierdził.

W każdym razie panienka do towa rzystwa.

Ciekawe, czy sąsiedzi wiedzieli.

Popytamy.

Trzeba będzie prze słuchać wszystkich lokatorów.

Zrób listę nazwisk.

Zastępca komisarza, wiechert, chciał już odejść, kiedy coś mu się przypomniało.

Ja już gdzieś widziałem tego faceta...

Hoppe.

Bernhard Hoppe.

Chyba napad na bank.

Twardy gość.

Och, świetnie rzucił ironicznie Schiller.

Tylko tego nam brakowało.

Gangsterskie porachunki.

W mieszkaniu były dwa aparaty telefoniczne, ale Schiller nie dotknął żadnego, nawet w rękawiczkach.

Mogły zachować odciski palców.

Zszedł na dół i skorzystał z telefonu księgarza.

Przedtem postawił dwóch mundu rowych przed drzwiami domu, trzeciego w hałki i czwartego pod drzwia mi mieszkania.

46

Zadzwoił do swojego przełożonego, Rainera Hartwiga, kierownika wydziału Zabójstw.

Powiedział mu, że to wygląda na gangsterskie porachunki.

Hartwig postanowił zawiadomić z kolei swojego przełożonego, dyrektora KA.

Zachodniemiecka policja dzieli się na dwa rodzaje: Schutzpolizei, czyli policję mundurową, oraz Kriminalpolizei, czyli dochodzeniową.

Pracą detektywów kieruje Kriminalamt, czyli Urząd Kryminalny, znany jako KA.

Gdyby wiechert miał rację i gdyby ciało na podłodze rzeczywiście było ciałem gangstera, należałoby skonsultować się z ekspertami nie tylko z wydziału Zabójstw, ale również z innych wydziałów, na przykład wymuszeń i Napadów.

W tym czasie Hartwig wysłał na miejsce zbrodni Erkennungsdienst, czyli brygadę dochodzeniową, jednego fotografa i czterech ludzi od daktyloskopii.

Przez najbliższe godziny mieszkanie będzie należało wyłączyć nie do nich, dopóki każde najmniejsze zadrapanie i odcisk palca, każde wtórkienko i okruszyna nie zostaną zabezpieczone do analizy.

Hartwig zagonił również do pracy ośmiu następnych ludzi.

Trzeba będzie chodzić od drzwi do drzwi i szukać świadków, którzy widzieli kogoś wchodzącego lub wychodzącego z budynku.

Jak ustalono później, brygada dochodzeniowa przybyła o godzinie 11.31 i pozostała w mieszkaniu prawie przez osiem godzin.

O tej porze Sam McCready odstawił drugą filiżankę kawy i złożył mapę.

Starannie opisał Morenzowi procedurę jednego i drugiego spotkania, pokazał mu najnowszą fotografię sowieckiego generała i wyjaśnił, że Pankratin przyjedzie gazikiem, ubrany w workowaty mundur kaprała radzieckiej armii i furazerkę zasłaniającą twarz.

Taki sposób wybrał Rosjanin.

Niestety on myśli, że spotka się ze mną.

Możemy tylko mieć nadzieję, że rozpozna cię z Berlina i mimo wszystko przekaże towar.

Teraz sprawa samochodu.

Stoї na parkingu.

Przejeździemy się po lunchu, żebyś się do niego przyzwyczaił.

To limuzyna BMW, czarna, z tablicami rejestracyjnymi wurzburga.

Według legendy pochodzisz z Nadrenii, ale teraz mieszkasz i pracujesz w Wurzburgu.

Później dam ci wszystkie doku menty.

Czarna limuzyna BMW z tymi numerami naprawdę istnieje.

Ale ten samochód należy do Firmy.

Kilkakrotnie przejeżdżał przez punkt graniczny Saale, więc chyba przyzwyczaili się do niego.

Za każdym razem był inny kierowca, ponieważ to jest służbowy samochód.

Zawsze jeździł do Jeny, widocznie do zakładów Zeissa.

I zawsze był czysty.

Ale teraz wprowadzono zmianę.

Pod akumulatorem jest płaski pojemnik, praktyczny47 .

□

nie niewidoczny, chyba że ktoś właśnie tego szuka.

Zmieści się w nim książka, którą dostaniesz od Smoleńska.

Zgodnie z zasadą tajności Morenz nie znał prawdziwego nazwiska Pankratina.

Nie wiedział nawet o jego awansie na generała-majora i prze niesieniu do Moskwy.

Ostatnio, kiedy go widział, Pankratin był pułkownikiem w Berlinie wschodnim, pseudonim Smoleńsk.

Zjedźmy lunch zaproponował McCready.

Podczas posiłku, zamówionego do pokoju, Morenz łapczywie pił wino.

Ręce mu się trzęsły.

Na pewno nic ci nie jest?

zapytał McCready.

Jasne.

Chołerne letnie przeziębienie, sam rozumiesz.

No i trochę się denerwuję.

Nic dziwnego.

McCready kiwnął głową.

Normalna sprawa.

Denerwują się aktorzy przed wyjściem na scenę, żołnierze przed bitwą, a także agenci przed nielegalnym (bez ochrony dyplomatycznej) przekroczeniem granicy so wieckiego bloku.

Chodźmy do samochodu powiedział.

Niewiele dzieje się w Niemczech bez wiedzy prasy.

Tak samo było w 1985 roku, kiedy jeszcze istniały Niemcy Zachodnie.

Weteranem i asem kryminalnego reportażu w Kolonii był (i jest nadal) Gunther Braun z "Kölner Stadt-Anzeiger".

Policyjny informator wspomniał mu przy lun chu, że w dzielnicy Hahnwald coś się stało.

Braun wraz ze swoim foto grafem Walterem Schiestelem zjawił się na miejscu przed godziną trze cią.

Próbował dotrzeć do komisarza Schillera, ale Schiller był na górze.

Przekazał, że jest zajęty, i odesłał Brauna do biura prasowego Komendy Głównej.

Też dobrze.

Braun mógł później dostać suchy komunikat poli cji.

Zaczął rozpytywać w sąsiedztwie.

Potem wykonał kilka telefonów.

Wczesnym wieczorem, na długo przed zamknięciem pierwszego wydania, miał swój reportaż, i to dobry.

Oczywiście radio i telewizja podadzą wię cej szczegółów, ale on złapał trop i wiedział o tym.

Na górze brygada dochodzeniowa skończyła z ciałami.

Fotograf wy konał wszelkie możliwe ujęcia zwłok, a także uwiecznił sypialnię, łóżko, wielkie lustro u wezłowania oraz zawartość szuflad i szaf.

Zwłoki obryso wano białymi liniami, następnie wsadzono do plastikowych worków i prze wieziono do miejskiej kostnicy, gdzie zajął się nimi policyjny patolog.

De tektywom pilnie potrzebne były kule oraz informacja o czasie śmierci.

W mieszkaniu znaleziono pełne lub częściowe odciski palców dzie więtnastu osób.

Wyeliminowano trzy osoby: dwoje zamordowanych oraz

48

Frau Popovic, której odciski włączono do akt w komendzie.

Pozostało szes naście.

Pewnie klienci mruknął Schiller.

A wśród nich morderca?

zasugerował wiechert.

Wątpię.

To mi wygląda na robotę zawodowca.

Pewnie miał ręka wiczki.

Główny problem, rozmyślał Schiller, to nie brak motywów, ale ich nadmiar.

Czy właściwą ofiarą była prostytutka?

Obrażony klient, porzu cony mąż, mściwa małżonka, rywalka w interesach, rozwścieczony al fons?

A może prostytutka zginęła przez przypadek, właściwym celem zaś był alfons?

Bernhard Hoppe, eks-więzień, kasiarz, gangster, praw dziwy opryszek z marginesu.

Stare porachunki, oszukany handlarz nar kotyków, konkurencyjny gang?

Schiller podejrzewał, że to nie będzie łatwa sprawa.

Zeznania lokatorów i sąsiadów wykazały, że nikt nie wiedział o praw dziwej profesji Renaty Heimendorf.

Owszem, przyjmowała gości, zawsze bardzo eleganckich panów.

Żadnych hucznych przyjęć, żadnych hałasów po nocy.

Dopóki brygada dochodzeniowa nie zakończyła czynności w mieszkaniu,

Schiller nie mógł niczego dotykać.

Wszedł do łazienki.

Było tu coś dziwnego, chociaż nie rozumiał, na czym to polega.

Zaraz po siód mej ludzie z dochodzeniówki skończyli i zawołali do niego, że wychodzą.

Przez godzinę łaził po opustoszałym mieszkaniu, podczas gdy wiechert narzekał, że jest głodny.

Po ósmej komisarz wzruszył ramionami i posta nowił zrobić fajrant.

Jutro wróci do tej sprawy.

Zapieczętował mieszka nie, zostawił jednego policjanta w korytarzu na wypadek, gdyby ktoś wrócił na miejsce zbrodni to się zdarzało i poszedł do domu.

Nadal coś go niepokoiło w tym mieszkaniu.

Był bardzo inteligentnym i spostrzegawczym młodym detektywem.

Po południu McCready zakończył szkolenie Brunona Morenza.

Nazywasz się Hans Grauber, masz pięćdziesiąt jeden lat, żonaty, troje dzieci.

Jak wszyscy dumni ojcowie nosisz przy sobie zdjęcia rodzi ny.

Oto oni, na wakacjach.

Heidi, twoja żona, Hans junior, Lotte i Ursula, zwana Uschi.

Pracujesz w Wiirzburgu, w firmie BKI, Szkła Optyczne ta firma istnieje naprawdę i samochód należy do nich.

Na szczęście pracowałeś kiedyś u optyka, więc potrafisz mówić tym żargonem.

Masz umówione spotkanie z dyrektorem działu sprzedaży zagranicznej w fa bryce Zeissa w Jenie.

Tu jest list od niego.

Dokument jest prawdziwy,

49 .

□

podobnie jak ten człowiek.

Podpis wygląda na jego, ale został podrobio ny.

Spotkanie wyznaczono na jutro o trzeciej po południu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, złożysz zamówienie na precyzyjne soczewki zeissowskie i wrócisz na Zachód tego samego wieczoru.

Jeśli rozmowy się przeciągną, będziesz musiał zostać na noc.

To na wypadek, gdyby straż graniczna wypytywała cię o takie szczegóły.

Jest bardzo mało prawdopodobne, że straż graniczna sprawdzi u Zeissa.

SSD sprawdzi, ale z Zeissem prowa dzi interesy tylu zachodnich biznesmenów, że jeden więcej nie powinien wzbudzić podejrzeń.

A więc tu jest twój paszport, listy od żony, wykorzy stany bilet do opery w Wiirzburgu, karty kredytowe, prawo jazdy, kółko z kluczami, również z kluczami do BMW.

Wszystko.

Weźmiesz tylko ak tówkę i torbę z rzeczami na jedną noc.

Obejrzyj aktówkę i jej zawartość.

Zamek szyfrowy jest nastawiony na twoją fikcyjną datę urodzenia, 5 kwiet nia 1934, czyli 5434.

Wszystkie papiery świadczą o tym, że chcesz nabyć dla swojej firmy produkty Zeissa.

Podpisane są "Hans Grauber", twoim charakterem pisma.

Ubranie i przybory toaletowe zostały kupione w Wiirzburgu, wszystko jest używane, odzież ma znaki wurzburskich prał ni.

A teraz, stary przyjacielu, czas na obiad.

Dieter Aust, dyrektor kolońskiego biura BND, nie oglądał -wieczor nych wiadomości.

Wyszedł na obiad.

Później miał tego żałować.

O północy McCreadygo zabrał Johnson, łącznik z bońskiej placów ki SIS.

Razem odjechali rangę roverem, żeby czekać na Morenza w Saale w północnej Bawarii.

Wtorek

Bruno Morenz zamówił więcej alkoholu u obsługi hotelowej i wypił za dużo.

Spał niespokojnie przez dwie godziny.

O trzeciej obudził się na dzwonek budzika.

O czwartej wyszedł z "Holiday Inn", wsiadł do BMW, zapuścił silnik i ruszył w ciemnościach autostradą na południe.

O tej samej porze Peter Schiller obudził się w kolonii obok śpiącej żony i zrozumiał, co go zaniepokoiło w mieszkaniu w Hahnwaldzie.

Te lefonicznie wyrwał ze snu rozwścieczonego wiecherta i kazał mu przyje chać do Hahnwaldu na siódmą.

Oficerowie policji w Niemczech nie mogą sami prowadzić dochodzenia.

Bruno Morenz miał niewielkie wyprzedzenie w czasie.

Niedaleko granicy spędził dwadzieścia pięć minut w restauracji na stacji obsługi we Frankenwaldzie.

Nie pił, zamówił tylko kawę.
Ale napełnił piersiówkę.

Za pięć jedenasta tego wtorku Sam McCready i Johnson czekali w so snowym łasku na wzgórzu, na południe od rzeki Saale.

Rangę rover był

50

zaparkowany za drzewami.

Ze wzgórza widzieli w dole zachodnioniemiecki posterunek graniczny i półmilowy pas ziemi.

Dalej pomiędzy wzgórzami sterczał dach posterunku granicznego Niemiec Wschodnich.

Ponieważ wschodni Niemcy zbudowali swój punkt kontrolny na wła snym terytorium, kierowca opuszczający zachodni posterunek od razu wjeżdża do Niemiec Wschodnich.

Dalej zaczyna się wąska droga, ogro dzona z obu stron.

Za wysokim ogrodzeniem stoją wieże strażnicze.

Za pomocą silnej lornetki McCready widział w oknach strażników, którzy obserwowali zachód przez własne połowe lornetki.

Widział również ka raby maszynowe.

Półkilometrowy korytarz na terenie Niemiec Wschod nich stanowi pułapkę.

Każdy, kto przebije się przez wschodni posteru nek, zostanie naszpikowany kulami, nim zdąży dojechać na Zachód.

Dwie minuty przed jedenastą McCready dostrzegł czarne BMW, sta tecnie zajeżdżające na zachodnioniemiecki punkt graniczny.

Po pobież nej kontroli samochód gładko wśliznął się w korytarz i znalazł się w kra ju, gdzie rządu najbardziej kompetentna tajna policja na wschodzie, straszliwa SSD.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wtorek

To łazienka, to musi być łazienka oświadczył komisarz Schil ler parę minut po śródmej rano, wprowadzając zaspanego, niechętnego wiecherta do mieszkania.

Dla mnie wygląda normalnie burknął wiechert.

Przecież chłopcy z dochodzeniówki wszystko sprawdzili.

Nie sprawdzali wymiarów, tylko odciski palców odparł schil ler.

Popatrz na tę szafę w korytarzu.

Ma dwa metry szerokości, zga dza się?

Mniej więcej.

Boczna ścianka jest na jednej linii z drzwiami do sypialni.

Drzwi są na jednej linii ze ścianą i lustrem nad wezgłowie m łóżka.

Więc skoro drzwi łazienki są obok ściennej szafy, co dedukujesz?

Że jestem głodny odparł wiechert.

Zamknij się.

Popatrz, kiedy wejdiesz do łazienki i odwrócisz się w prawo, powinno być dwa metry do ściany.

Szerokość ściennej szafy, zgadza się?

Spróbuj.

Wiechert wszedł do łazienki i spojrzał w prawo.

Jeden metr powiedział.

51 .

□

Właśnie.

To mnie zaintrygowało.

Pomiędzy lustrem nad umywał ką i lustrem nad wezgłowie m brakuje metra przestrzeni.

Przez trzydzieści minut Schiller grzebał we wnętrzu ściennej szafy, zanim w sosnowej desce znalazł kłamkę, przemyślnie ukrytą w dziurze po sęku. Kiedy tylna ścianka szafy odchyliła się, Schiller spostrzegł we wnętr z przełącznik.

Za pomocą ołówek nacisnął przełącznik i w środku zapaliło się światło, pojedyncza żarówka zawieszona pod sufitem.

Cholera jasna odezwał się wtedy wiechert, któr zaglądał mu przez ramię.

Schówek miał trzy metry długości, tyle co łazienka, ale tylko metr sze rokości.

To wystarczało.

Po prawej przez jednostronne lustro nad wezgło wiem widać było całą sypialnię.

Przed lustrem na trójnogu stała kamera wideo z obiektywem wycelowanym na sypialnię, sprzęt najwyższej klasy, który zapewniał doskonałą jakość filmu,

nawet jeśli filmowano przez szkło i w przyćmionym świetle.

Sprzęt dźwiękowy był również najlepszy.

Cała tylna ściana wąskiego pomieszczenia, od podłogi do sufitu, zastawiona była półkami, a na każdej półce stały szeregiem kasety wideo.

Każda kasetka oznaczona była nalepką z numerem.

Schiller wycofał się.

Z telefonu można było korzystać.

Brygada dochodzeniowa zdjęła z niego odciski palców poprzedniego dnia.

Schiller zadzwonił do Komendy Głównej i połączył się z Rainerem Hartwigiem, kierownikiem K1.

O cholera skwitował Hartwig, kiedy usłyszał wiadomość.

Dobra robota.

Zostań tam.

Przyślę ci dwóch ludzi od daktyloskopii.

Była godzina 8.15.

Dieter Aust golił się.

Telewizor w pokoju był włączony.

Nadawano poranny dziennik.

Aust słyszał to z łazienki.

Nie zwrócił uwagi na wiadomość o podwójnym morderstwie w Hahnwaldzie, do póki spiker nie powiedział:

Jedna z ofiar, luksusowa prostytutka Renata Heimendorf...

Dyrektor kolońskiego BND paskudnie zaciął się w różowy policzek.

Po dziesięciu minutach pędził samochodem do biura, gdzie zjawił się prawie godzinę za wcześnie.

Ten fakt zupełnie wytrącił z równowagi Fraulein Keppel, która zawsze przychodziła godzinę przed szefem.

Ten numer rzucił Aust numer, który zostawił Morenz wyjeżdżając na urlop.

Niech mnie pani połączy, dobrze?

Za każdym razem odzywał się sygnał "zajęty".

Aust interweniował u telefonistki w Szwarzwaldzie, popularnym rejonie urlopowym, ale po wiedziano mu, że aparat jest zepsuty.

Nie miał pojęcia, że jeden z ludzi McCreadyego wynajął letniskowy domek, po czym zamknął go na klucz,

52

zdjąwszy uprzednio słuchawkę z widełek.

Na wszelki wypadek Aust za dzwonił pod domowy numer Morenza w Porz i ku jego zdumieniu telefon odebrała Frau Morenz.

Widocznie rodzina wcześniej wróciła z wakacji.

Czy zastałem męża?

Mówi dyrektor Dieter Aust z biura.

Ależ on ma być z panem, Herr Direktor wyjaśniła cierpliwie żona.

wyjechał służbowo.

Wróci jutro późnym wieczorem.

Ach tak, rozumiem.

Dziękuję, Frau Morenz.

Zaniepokojony odłożył słuchawkę.

Morenz skłamał.

Dlaczego?

Week end z dziewczyną w Szwarzwaldzie?

Możliwe, ale dyrektorowi to się nie podobało.

Połączył się z Pullach linią bezpieczeństwa i porozmawiał z zastępcą dyrektora wydziału Operacyjnego, w którym obaj pracowali.

Dr Lothar Herrmann był lodowaty, ale wysłuchał wszystkiego uważnie.

Zamordowana prostytutka.

I jej alfons.

Jak zginęli?

Aust zajrzał do "Stadt-Anzeigera" leżącego na biurku.

Zastrzelono ich.

Czy Morenz ma własną broń?

zainteresował się głos z Pullach.

No...

chyba tak.

Gdzie została wydana, kiedy i przez kogo?

zapytał dr Herrmann, poczym dodał: Nieważne, na pewno tutaj.

Zaczekaj, oddzwonię do ciebie.

wrócił do telefonu po dziesięciu minutach.

Ma służbowego walthera PPK.

Stąd.

Broń została przetestowana na strzelnicy i w laboratorium, zanim ją otrzymał. Dziesięć lat temu.

Gdzie jest teraz?

Powinna być w jego osobistym sejfie odparł Aust.

A jest?

zapytał chłodno Herrmann.

Sprawdzę i zadzwonię do ciebie obiecał zdenerwowany Aust.

Miał uniwersalny klucz do wszystkich sejfów w biurze.

Pięć minut później znowu rozmawiał z Herrmannem.

Nie ma.

Może zabrał pistolet do domu.

To jest zabronione.

Tak samo jak okłamywanie przełożonego, bez względu na okoliczności.

Chyba lepiej przyjadę do Kolonii.

Przylecę na stępnym samolotem z Monachium.

Odbierz mnie z lotniska.

Przed wyjazdem z Pullach dr Herrmann odbył trzy rozmowy telefoniczne.

W rezultacie policjanci ze Szwarzwaldu odwiedzili pewien domek letniskowy, weszli do środka posłużywsi się kluczem właściciela.

Ustalili, że słuchawka telefonu była zdjęta z widełek, ale łóżko było nie używane.

Tak podawał raport.

Dr Herrmann wylądował w Kolonii za pięć dwunasta.

53 .

□

Bruno Morenz podjechał swoim BMW do kompleksu betonowych budynków stanowiących wschodniemiecki posterunek graniczny.

Skie rowano go do zatoczki.

Strażnik w zielonym mundurze pojawił się przy okienku od strony kierowcy.

Aussteigen, bitte.

Ihre Papiere.

Bruno wysiadł i podał swój paszport.

Pozostali strażnicy otoczyli sa mochód, jak zwykle.

Proszę otworzyć bagażnik i maskę.

Otworzył jedno i drugie.

Rozpoczęto rewizję.

Lusterko na drążku powędrowało pod samochód.

Silnik został dokładnie zbadany.

Bruno usiłował nie patrzeć na strażnika, który oglądał akumulator.

Cel pańskiej podróży do Niemieckiej Republiki Demokratycznej?

Popatrzył na stojącego przed nim człowieka.

Błękitne oczy za okuła rami bez oprawek mierzyły go uważnym spojrzeniem.

Wyjaśnił, że udaje się do Jeny na rozmowy dotyczące zakupu soczewek optycznych w fabryce Zeissa.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie mógł wrócić jeszcze dziś wieczorem; jeśli nie, jutro rano czeka go drugie spotkanie z dyrektorem działu sprzedaży zagranicznej.

Obojętne twarze.

Gestem kazali mu przejść na cło.

To wszystko jest normalne, powtarzał sobie.

Niech sami znajdą papiery, mówił McCready.

Nie pokazuj im za dużo.

Przejrzeli jego aktówkę, przeczytali korespondencję pomiędzy Zeissem a BKI w Wiirzburgu.

Mo renz modlił się, żeby znaczki i stemple pocztowe wytrzymały próbę.

Wy trzymały.

Zamknięto jego bagaże.

Zaniósł je z powrotem do samochodu.

Rewizja samochodu była zakończona.

w pobliżu stał strażnik z ogromnym owczarkiem niemieckim.

Z okna obserwowało go dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach.

Tajna policja.

Życzymy przyjemnego pobytu w Niemieckiej Republice Demokratycznej powiedział szef straży granicznej.

Nie zabrzmiało to przeko nująco.

w tej samej chwili od strony kolumny samochodów, czekających po między

betonowymi ogrodzeniami, rozległy się krzyki.

Wszyscy odwrócili głowy.

Morenz siedział już za kierownicą.

Obejrzał się z przerażeniem.

Na czele kolumny stała błękitna minifurgonetka kombi z rejestracją zachodniemiecką.

Dwaj strażnicy wyciągnęli z bagażnika młodą dziewczynę, która schowała się pod podłogą, w specjalnie wbudowanej skrytce.

Dziewczyna wrzeszczała.

Jej chłopak, obywatel Niemiec Zachodnich, został wyciągnięty zza kierownicy.

Otoczyły go karabiny maszynowe i wyszczerczone paszcze psów.

Chłopak, blady jak ściana, podniósł ręce do góry.

54

Zostawcie ją w spokoju, dranie krzyknał.

Ktoś walnął go w żołądek.

Chłopak zgiął się wpół.

Los.

Ruszaj warknął strażnik za Morenzem.

Morenz zapalił silnik i BMW skoczyło do przodu.

Minał bariery i zatrzymał się przy Banku Ludowym, żeby wymienić pieniądze na bezwartościowe wschodnie marki w stosunku jeden do jednego i podstemplować deklarację dewizową.

Kasjer był służalczy.

Morenzowi trzęsły się ręce.

Wróciwszy do samochodu spojrzął we wsteczne lustro i zobaczył, jak chłopca i dziewczynę, którzy wciąż krzyczeli, zaciągnięto do betonowego budynku.

Ruszył na północ, pocąc się obficie.

Wiedział, że w NRD nie wolno prowadzić po alkoholu, ale mimo to sięgnął po piersiówkę i pociągnął łyk.

Lepiej.

Nie zdawał sobie sprawy, że zawodzą go nerwy.

Był wypalonym wrakiem; tylko lata treningu pozwalały mu jakoś funkcjonować.

A także przeświadczenie, że nie może zawieść swojego przyjaciela, McCreadyego.

Więc uparcie jechał dalej.

Nie za szybko, nie za wolno.

Spojrzał na zegarek.

Miał czas.

Południe.

Spotkanie o szesnastej.

Dwie godziny jazdy.

Ale strach, dławiący strach agenta w "czarnej" misji, ryzykującego dziesięć lat w niewolniczym obozie pracy, coraz mocniej targał jego nad werężonym systemem nerwowym.

McCready patrzył, jak Morenz wjeżdża w korytarz pomiędzy dwoma posterunkami granicznymi.

Potem stracił go z oczu.

Nie zobaczył wypadku z dziewczyną i chłopakiem.

Za grzbietem wzgórza widział tylko dachy po wschodniej stronie oraz powiewającą nad nimi flagę z młotem, cyrklem i snopami pszenicy.

Tuż przed dwunastą spostrzegł w oddali czarne BMW, jadące do Turyngii.

Na tylnym siedzeniu rangę rovera Johnson miał coś, co wyglądało jak walizka.

W środku był przenośny telefon z szyfratorem.

Za pomocą tego urządzenia można było wysłać lub odebrać kodowaną wiadomość z GCHQ, British Government Communications Headquarters, czyli Rządowego Centrum Komunikacyjnego w pobliżu Cheltenham w Anglii; albo połączyć się z Century House w Londynie; albo z placówką SIS w Bonn.

Słuchawka wyglądała jak zwykły przenośny aparat telefoniczny, z numerowanymi klawiszami.

McCready kazał zabrać to urządzenie, żeby utrzymywać kontakt z bazą i poinformować ich, kiedy Duch wróci bezpiecznie do domu.

Przejechał odezwał się do Johnsona.

Teraz musimy za czekać.

Chcesz zawiadomić Bonn albo Londyn?

zapytał Johnson.

□

McCready potrząsnął głową.

Oni nic nie mogą zrobić powiedział.

Teraz nikt nie może nic zrobić.
Wszystko zależy od Ducha.

W mieszkaniu w Hahnwaldzie dwaj specjaliści od daktyloskopii skoń czyli z sekretnym pokoikiem i zabierali się do odejścia.
Zdjęli trzy kom plety odcisków.

Czy są wśród tych dziewiętnastu, które znaleźliście wczoraj?
zapytał Schiller.

Nie wiem odparł specjalista.
Muszę sprawdzić w laborato rium.
Zawiadomię pana.

W każdym razie możecie już tam wejść.

Schiller wszedł i zaczął oglądać rzędy kaset na regale.
Nie miały żad nych oznaczeń, tylko numery.

Wybrał jedną na chybił trafił, wrócił do sy pialni i wsunął kasetę do magnetowidu.

Włączył pilotem telewizor i ma gnetowid, nacisnął guzik "Play" i usiadł na krawędzi rozbebeszonego łóżka.

Dwie minuty później, wstrząśnięty, wstał i wyłączył sprzęt.

Donnerwetter nochmal szepnął wiechert, który stał w drzwiach przeżuając kęs pizzy.

Senator z Badeni-wirtembergii był wprawdzie tylko prowincjonalnym politykiem, ale tak często występował w telewizji, nawołując do przywró cenia dawnej moralności i zakazania pornografii, że znał go cały kraj.

wyborcy widywali go w rozmaitych ujęciach jak głaszczce dzieci po główkach, całuje niemowlęta, otwiera kościelne wenty, przemawia do kon serwatywnych dam. Ale chyba nigdy nie widzieli, jak senator czołga się nago po podłodze, w nabijanej kołcami psiej obroży, a młoda kobieta w szpilkach trzyma go na smyczy i groźnie wymachuje szpicrutą.

Zostań tutaj rozkazał Schiller.

Nie odchodź, nie ruszaj się na krok.

Wracam do komendy.

Była druga po południu.

Morenz spojrzął na zegarek.

Dojechał na zachód od Hermsdorfer Kreuz, głównego skrzyżowania, gdzie północno-południowa autostrada z Berlina do granicy na rzece Saale łączy się ze wschodnio-zachodnią z Drezna do Erfurtu.

Miał za dużo czasu.

Zamierzał zjawić się na spotka nie ze Smoleńskiem za dziesięć czwarta, nie wcześniej.

wyglądałoby po dejrzanie, gdyby zachodni samochód zbyt długo parkował na bocznicę kolejowej.

właściwie wcale nie powinien się zatrzymywać, jeśli nie chce wzbu56 dzić ciekawości.

Biznesmeni z Niemiec Zachodnich zwykle jechali pro sto do miejsca przeznaczenia, załatwiali interes i wracali do domu.

Le piej nie robić postojów.

Postanowił minąć Jenę i Weimar, dojechać do rozjazdu za Erfurtem, skręcić w prawo i zawrócić do Weimaru.

W ten sposób straci trochę czasu.

Na pasie szybkiego ruchu minął go biało-zielony wartburg Policji Lu dowej, ozdobiony na dachu dwoma niebieskimi migaczami i ogromnym megafonem. Dwaj policjanci z drogówki popatrzyli na niego obojętnym wzrokiem.

Mocno ścisnął kierownicę, walcząc z narastającą paniką.

Oni wiedzą, szeptał mu do ucha zdradliwy głosik.

To pułapka.

Smoleńsk wpadł.

Ciebie też załatwią.

Będą na ciebie czekać.

Teraz tylko spraw dzają, dlaczego minąłeś zjazd z autostrady.

Nie bądź głupi, tłumaczył sobie rozsądnie.

Potem pomyślał o Rena cie i do strachu dołączyła czarna rozpacz, ale silniejszy był strach.

Słuchaj, ty głupcze, mówił mu rozsądek, zrobiłeś głupią rzecz, ale nie chciałeś tego zrobić.

Przynajmniej potem nie straciłeś głowy.

Upłyną ty godnie, zanim ktoś znajdzie ciała.

Przez ten czas złożysz wymówienie i wy jedziesz z kraju ze swoimi oszczędnościami do jakiegoś spokojnego miej sca.

Spokój.

Tylko tego teraz pragniesz żeby zostawili cię w spokoju.

I zostawią cię w spokoju dzięki tym kasetom.

Samochód VOPO zwolnił.

Policjanci patrzyli na niego.

Zaczął się pocić.

Strach narastał i zwyciężał.

Nie miał pojęcia, że młodzi policjanci interesowali się samochodami i po raz pierwszy mieli okazję obejrzeć nową limuzynę BMW.

Komisarz Schiller spędził trzydzieści minut z kierownikiem K 1, czyli Wydziału Zabójstw, wyjaśniając mu, co znalazł.

Hartwig przygryzł wargę.

Zapowiada się niezły burdel mruknął.

Czy ona już zaczęła szantażować, czy to miał być jej fundusz emerytalny?

Nie wiadomo.

Podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z laboratorium

Erkennungsdienst, czyli brygady śledczej: Za godzinę chcę mieć w gabinecie fotografii odnalezionych pocisków i odciski palców, dziewiętnaście wczo rajszych i te trzy z dzisiejszego ranka.

Wstał i powiedział do Schillera:

Zbieraj się.

Jedziemy.

Chcę to zobaczyć na własne oczy.

To właśnie kierownik Hartwig znalazł notes.

Trudno sobie wyobrazić, po co ktoś miałby coś chować w pokoju, który sam stanowił dosko nały schowek.

Ale notes był przymocowany taśmą pod najniższą półką regału z kasetami wideo.

57 .

□

Lista, jak się później okazało, została sporządzona charakterem piśma Renaty Heimendorf.

Tej kobiecie nie brakowało sprytu.

Wszystko zaplanowała sama, włącznie z przemyślną przebudową apartamentu.

Niewinnie wyglądający pilot włączał kamerę za lustrem.

Chłopcy z do chodzeniówki nie zwrócili na niego uwagi, bo myśleli, że to dodatkowy pilot do telewizora.

Hartwig przejrzał nazwiska w notesie, które odpowiadały numerom na grzbietach kaset wideo.

Część z nich rozpoznał.

Te, których nie znał, należały pewnie do obcokrajowców, ale ważnych obcokrajowców.

Wśród tych, które rozpoznał, było dwóch senatorów, członek parlamentu (z partii rządzącej), finansista, bankier (miejscowy), trzech przemysłowców, dziedzic wielkiego browaru, sędzia, słynny chirurg oraz znany w całym kraju prezenter telewizyjny.

Osiem nazwisk miało anglosaskie brzmienie (Brytyjczycy czy?

Kanadyjczycy?

Amerykani?

), dwa były francuskie.

Przeliczył resztę.

Osiemdziesiąt jeden nazwisk powiedział.

Osiemdziesiąt jeden kaset.

Chryście, jeśli oceniać według tych, których rozpoznałem, jest tu dosyć materiału, żeby obalić kilka rządów, może nawet Bonn.

To dziwne zauważył Schiller.

Jest tylko sześćdziesiąt jeden kaset.

Obaj przeliczyli pudełka.

Sześćdziesiąt jeden.

Mówiłeś, że zdjęto tutaj trzy rodzaje odcisków palców?

Tak, proszę pana.

Zakładając, że dwa należały do Heimendorf i Hoppego, trzeci prawdopodobnie jest mordercy.

Mam koszmarnie przecucie, że ten typ zabrał ze sobą dwadzieścia kaset.

Chodźmy, musimy zawiadomić naczelnika.

To już więcej niż morderstwo, dużo więcej.

Dr Herrmann kończył lunch ze swoim podwładnym, Austem.

Mój drogi Aust, na razie nie wiemy nic.

Ale mamy powody do niepokojów.

Może niedługo policja zaaresztuje jakiegoś gangstera, a Morenz pojechał z dziewczyną w jakieś inne miejsce zamiast do Szwarzwaldu i po weekendzie spokojnie wróci do domu.
Muszę zaznaczyć, że jego wcześniejsze wypowiedzenie i rezygnacja z emerytury nie budzą podejrzeń.
Ale na razie spróbuj go wyśledzić.
Chcę, żeby nasza agentka zamieszkała z jej żoną na wypadek, gdyby zadzwonił.
Wymyśl jakiś pretekst.
Spróbuję się dowiedzieć, jak posuwa się policyjne dochodzenie.
Wiesz, w którym hotelu mieszkam.
Skontaktuj się ze mną, jeśli będziesz miał coś nowego.

58

Sam McCready siedział na bagażniku rangę rovera w ciepłym słońcu, wysoko nad rzeką Saale, i popijał kawę z termosu.
Johnson odłożył słuchawkę.
Rozmawiał z Cheltenham, potężną rządową stacją nasłuchową na zachodzie Anglii.
Nic oznajmił.

Wszystko normalnie.
Żadnej zwiększonej aktywności radiowej na paśmie Rosjan, SSD czy Policji Ludowej.

Tylko rutynowe przekazy.
McCready spojrzął na zegarek.

Za dziesięć czwarta.
Bruno pewnie już zbliża się do bocznic kolejowej na zachód od Weimaru.
Kazał mu przyjechać pięć minut wcześniej i czekać najwyżej dwadzieścia pięć minut.
Jeżeli Smoleńsk nie zjawi się w tym czasie, to znaczy, że spotkanie zostało przełożone.
McCready udawał spokój ze względu na Johnsona, ale nie cierpiał czekania.
To było zawsze najgorsze, czekanie na agenta przy granicy.
Wyobraźnia płatała figle, podsuwała najgorsze możliwości.
McCready po raz setny sprawdził harmonogram.
Pięć minut na bocznicę; Rosjanin przekazuje towar; dziesięć minut, żeby Rosjanin zdążył się oddalić.
Odjazd o czwartej piętnaście.
Pięć minut na przełożenie dokumentów z wewnętrznej kieszeni marynarki do schowka pod akumulatorem; godzina i czterdzieści pięć minut jazdy.
Powinien pojechać w tym czasie około szóstej...
Kolejny kubek kawy.

Naczelnik policji w Kolonii, Arnim von Starnberg, ponuro wysłuchał raportu młodego komisarza.
Obok niego siedział Hartwig z wydziału Zabójstw oraz Horst Fraenkel, dyrektor całego Urzędu Kryminalnego.
Obaj oficerowie postąpili słusznie przychodząc prosto do niego.
Kiedy usłyszał szczegóły, przyznał, że mieli rację.
To było więcej niż morderstwo i dotyczyło nie tylko Kolonii.
Naczelnik postanowił już przekazać to wyżej.
Młody Schiller skończył.

Zachowa pan całkowitą dyskrecję w tej sprawie, Herr Schiller powiedział von Starnberg.
Pan i pański kolega, zastępca komisarza Wiechert.
Od tego zależą wasze kariery, rozumiecie?
Odwrócił się do Hartwiga.
To samo dotyczy tych dwóch specjalistów od daktyloskopii, którzy widzieli pomieszczenie z kamerą.

Odesłał Schillera i zapytał tamtych dwóch pozostałych:
Do czego już doszliście?

Fraenkel kiwnął na Hartwiga, który wyjął kilka dużych, bardzo ostrych fotografii.

A więc mamy już kule, którymi zabito prostytutkę i jej przyjaciółkę,
Musimy znaleźć broń, z której je wystrzelono.
Stuknął w dwie fo59 .

□
fotografie.
Tylko dwie kule, po jednej w każdym ciele.
Następnie odciski palców.
W pomieszczeniu z kamerą były trzy rodzaje odcisków.
Dwa należały do prostytutki i jej alfonsa.

Uważamy, że trzecie odciski należą do mordercy i że to on ukradł dwadzieścia brakujących kaset.

Zaden z trzech mężczyzn nie wiedział, że brakowało dwudziestu je den kaset.

Morenz wrzucił dwudziestą pierwszą, tę z filmem o sobie, do Renu w piątek wieczorem.

Nie figurował na liście, ponieważ nie stanowił interesującego obiektu szantażu, sfilmowano go tylko dla zabawy.

Gdzie jest pozostałe sześćdziesiąt jeden kaset? zapytał von Starnberg.

W moim osobistym sejfie odpowiedział Fraenkel.

Proszę dostarczyć je tutaj.

Nikt nie powinien ich widzieć.

Kiedy naczelnik von Starnberg został sam, zaczął telefonować.

Tego popołudnia odpowiedzialność za sprawę przeskakiwała w górę po stopniach hierarchii szybciej niż małpa wążąca na drzewo.

Kolonia przekazała sprą wę do Okręgowego Urzędu Kryminalnego w Diisseldorfie, który natych miast przekazał ją do Federalnego Urzędu w Wiesbaden.

Strzeżone limu zyny wiozące notes i sześćdziesiąt jeden kaset pędziły z miasta do miasta.

W Wiesbaden sprą utknęła na pewien czas, ponieważ najstarszy rangą urzędnik musiał znaleźć sposób, żeby zawiadomić ministra sprawiedliwosci w Bonn następnego według hierarchii.

Do tego czasu zidentyfikowano wszystkich seksualnych wyczynowców.

Półowa była po prostu bogata;

pozostali oprócz bogactwa cieszyli się popularnością.

Co gorsza, w sprą wę zamieszanych było sześciu senatorów z partii rządzącej plus dwóch z opozycji, dwóch wysokich urzędników państwowych oraz generał armii.

To byli tylko Niemcy.

Ponadto dochodziło dwóch zagranicznych dyplomatów akredytowanych w Bonn (jeden z państwa NATO), dwóch zagra nicznych polityków przebywających niegdyś w Niemczech z wizytą, a także pracownik Białego Domu związany z Ronaldem Reaganem.

Ale jeszcze gorsza była lista dwudziestu osobistości, których swawole zarejestrowano na brakujących kasetach.

Był tam między innymi jeden z przywódców partii rządzącej, następny senator (federalny), następny parlamentarzysta (federalny), sędzia (Sądu Apelacyjnego), następny ofi cer wysokiej rangi (tym razem z lotnictwa), magnat piwny zauważony przez Hartwiga oraz młody, dobrze się zapowiadający minister a po nadto sama śmietanka sfer handlowych i przemysłowych.

Niegrzecznym biznesmenom można się śmiać w nos skómen tował detektyw w Federalnym Urzędzie Kryminalnym w Wiesbaden jeśli są zrujnowani, to z własnej winy.

Ale ta dziwka specjalizowała się w kołach rządowych.

60

Późnym popołudniem, wyłącznie ze względów proceduralnych, zawią domiono wewnętrzną służbę bezpieczeństwa, BfV.

Nie podano nazwisk, tylko przyczyny i dotychczasowy przebieg dochodzenia.

Jak na ironię, cen trala BfV znajduje się w Kolonii, tam gdzie wszystko się zaczęło.

Między wydziałowy okólnik dotyczący tej sprawy wylądował na biurku oficera kontrwywiadu nazwiskiem Johann Prinz.

Bruno Morenz powoli jechał na zachód szosą numer siedem.

Cztery mile dzieliły go od Weimaru, jedna mila od miejscowości Nohra, gdzie stały wielkie białe baraki sowieckiej armii.

Minął zakręt i zobą czył bocznice kolejową, dokładnie tak, jak zapowiadał McCready.

Spoj rzał na zegarek.

Za osiem czwarta.

Droga była pusta.

Zwolnił i wjechał na bocznice.

Zgodnie z instrukcją wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął skrzynkę z na rzedziami.

Postawił otwartą skrzynkę przy lewym przednim kole, żeby była widoczna z drogi. Potem podniósł maskę.

Żołądek podchodził mu do gardła.

Oczyrna duszy widział agentów SSD przykucniętych za każdym krzaczkiem, czekających, żeby dokonać podwójnego aresztowania.

Czuł suchość w ustach, pot strumyczkami spływał mu po plecach.

Nerwy miał w strzępach i funkcjonował tylko dzięki wewnętrznym rezerwom, które również były bliskie wyczerpania.

Wyjął płaski klucz odpowiedniego rozmiaru i pochylił się nad silni kiem. McCready pokazał mu, jak obluzować opaskę zaciskową na prze wodzie chłodnicy. wyciekł strumyczek wody.

Morenz zmienił klucz na inny, wyraźnie niewłaściwej wielkości, i bez powodzenia próbował z po wrotem dokręcić zacisk.

Mijały minuty.

Morenz bez celu grzebał w silniku.

Zerknął na zega rek.

Sześć po czwartej.

Gdzie jesteś, do cholery, pomyślał.

Niemal w tej samej chwili usłyszał cichy zgrzyt żwiru od kołami ha mującego pojazdu.

Nie podniósł głowy.

Rosjanin podejdzie do niego i po wie swoją akcentowaną niemczyzną: "Jeśli ma pan kłopoty, może skorzy sta pan z moich narzędzi", po czym wręczy mu płaską drewnianą skrzynkę na narzędzia wyjętą z gazika.

Radzieckie plany wojskowe będą pod klu czami, w czerwonej plastikowej okładce...

Cień nadchodzącego człowieka przesłonił słońce.

Żwir zazgrzytał pod butami.

Człowiek stanął z tyłu.

Nie powiedział nic.

Morenz wyprostował się.

Samochód Policji Ludowej był zaparkowany pięć jardów dalej.

Jeden policjant w zielonym mundurze stał przy otwar tych drzwiach od strony kierowcy, drugi zaglądał pod otwartą maskę BMW.

61 .

□

Morenzowi zebrało się na wymioty.

Miał skurcze żołądka.

Poczuł sła bość w kolanach.

Próbował stanąć prosto i o mało nie upadł.

Policjant spojrzał na niego.

Ist was los?

zapytał.

Oczywiście to była gra, uprzejmość maskująca triumf.

Najpierw py tanie, czy coś się stało, potem krzyki, wrzaski i wreszcie aresztowanie.

Morenz miał wrażenie, że język przysechł mu do podniebienia.

Zauważyłem, że chłodnica cieknie wyjaśnił.

Policjant wsadził głowę pod maskę i przyjrzał się chłodnicy.

Wyjął klucz z dłoni Morenza, pochylił się i wybrał właściwy.

Ten będzie pasował oznajmił.

Morenz dokręcił kluczem zacisk.

Woda przestała wyciekać.

Klucz nie pasował stwierdził policjant.

Popatrzył na silnik BMW.

Wydawało się, że patrzy prosto na akumulator.

Schón wagen do dał.

ładny samochód.

Gdzie pan się zatrzymał?

W Jenie odpowiedział Morenz.

Jutro rano mam spotkanie z dyrektorem działu sprzedaży zagranicznej w zakładach Zeissa.

Kupuję ich towary dla mojej firmy.

Gliniarz z aprobatą kiwnął głową.

W NRD mamy dużo dobrych towarów oświadczył.

To nie była prawda.

W Niemczech wschodnich znajdowała się tylko jedna fabryka produkująca sprzęt zachodniej klasy, zakłady Zeissa.

Co pan tu robi?

Chciałem zobaczyć weimar...

pomnik Goethego.

Jedzie pan w złym kierunku.

Weimar jest tam.

Policjant pokazał na drogę za plecami Morenza.

Obok przejechał szarozielony radziecki gazik.

Kierowca, w furazerce naciągniętej na czoło, zerknął na Morenza, przez sekundę patrzył mu w oczy, spostrzegł zaparkowany samochód VOPO i pojechał dalej. Nie udało się.

Teraz Smoleńsk nie zbliży się do niego.

Tak, skręciłem w niewłaściwą stronę wyjeżdżając z miasta.

Szukałem miejsca, żeby zawrócić, kiedy zauważyłem, że wskaźnik temperatury pali się na czerwono.

Policjanci dopilnowali, żeby zawrócić, i jechali za nim do Weimaru.

Dopiero na przedmieściach zostawili go w spokoju.

Morenz pojechał dalej do Jeny i zameldował się w hotelu "Schwarzer Bar".

Dr Herrmann miał znajomego w BfV.

Przed kilkoma laty, podczas afery Gunthera Guillaume, kiedy prywatna sekretarka kanclerza Willyego Brandta została zdemaskowana jako wschodnioniemiecka agentka, dwaj mężczyźni pracowali razem.

Tego wieczoru o szóstej dr Herrmann zadzwonił do BfV w Kolonii i poprosił o połączenie z numerem wewnętrznym.

Johann?

Mówi Lothar Herrmann...

Nie, jestem tutaj, w Kolonii.

Och, wiesz, rutyna...

Miałem nadzieję, że zjesz ze mną obiad.

Wspaniale.

Więc słuchaj, mieszkam w "Dom".

Może spotkamy się w barze?

Około ósmej?

Będę czekał.

Johann Prinz odłożył słuchawkę i zastanowił się, co sprowadziło

Herrmanna do Kolonii.

Inspekcja wydziałów?

Możliwe...

Na wzgórzu nad rzeką Saale o ósmej McCready odłożył lornetkę.

W gęstniejącym zmierzchu nie widział już wschodnioniemieckiego granicznego posterunku i drogi w oddali.

Czuł się zmęczony, wyczerpany.

Coś poszło źle za polami minowymi i ogrodzeniami z drutu kolczastego.

Może to nic ważnego, dziurawa opona, korek uliczny...

Mało prawdopodobne.

Może jego człowiek właśnie jedzie na południe, w stronę granicy.

Może Pankratin nie stawił się na pierwsze spotkanie, nie mógł zdobyć gazika, nie mógł się urwać...

Czekanie zawsze było najgorsze, czekanie i ta niepewność.

Wracamy na drogę powiedział do Johnsona.

I tak stąd już nic nie widać.

Zostawił Johnsona na parkingu stacji obsługi we Frankenwaldzie.

Ustawili samochód po stronie południowej, ale przodem na północ, w stronę granicy.

Johnson będzie tam siedział całą noc, czekając na powrót BMW.

McCready znalazł ciężarówkę jadącą na południe i wytłumazył kierowcy, że rozbił samochód.

Kierowca podwiózł go dziesięć kilo metrów.

McCready wysiadł na skrzyżowaniu w Munchbergu, przeszedł piechotą kilometr do miasteczka i wynajął pokój w "Braunschweiger Hof".

Miał ze sobą przenośny telefon w podręcznej torbie, żeby w razie potrzeby skontaktować się z Johnsonem.

Zamówił taksówkę na szóstą rano.

Herrmann i Prinz usiedli w kącie sali jadalnej i złożyli zamówienie.

Na razie wymieniali luźne uwagi.

Jak leci?

Świetnie...

Przy sałatce z krajbów Herrmann wykonał pierwszy ruch.

Chyba powiedzieli ci o tej sprawie prostytutki...?

Prinz był zdumiony.

Kiedy BND zdążyła się dowiedzieć?

On sam otrzymał akta dopiero o piątej.

A Herrmann telefonował o szóstej i był już

w Kolonii.

63 .

□

Tak powiedział.

Dostałem akta dziś po południu.

Teraz z kolei zdumiał się Herrmann.

Dlaczego sprawę podwójnego morderstwa w kolonii przekazano do kontrwywiadu? Spodziewał się, że będzie musiał wyjaśnić to Prinzowi, zanim poprosi go o przysługę.

Paskudna sprawa mruknął, kiedy przyniesiono stek.

I robi się coraz gorsza dorzucił Prinz.

Bonn nie będzie zachwycone tymi pornograficznymi kasetami.

Herrmann zachował obojętny wyraz twarzy, ale żołądek podjechał mu do gardła.

Pornograficzne kasety?

Dobry Boże, jakie pornograficzne kasety?

Udał lekkie zdziwienie i dołał wina.

Aż do tego doszło?

Widocznie nie było mnie w biurze, kiedy na deszły ostatnie wiadomości.

Możesz mnie oświecić?

Prinz spełnił prośbę, na skutek czego Herrmann całkowicie stracił apetyt.

Zamiast rozkoszować się bukietem czerwonego wina, czuł jedy nie smród straszliwego skandalu.

I wciąż żadnych śladów mruknął pośepnie.

Niewiele zgodził się Prinz.

Kl otrzymała polecenie, żeby skierować wszystkich ludzi do tej sprawy.

Oczywiście szukają broni i wła ściciela odcisków palców.

Lothar Herrmann westchnął.

Zastanawiam się, czy sprawca nie był cudzoziemcem.

Prinz wyskrobał resztkę lodów i odłożył łyżeczkę.

Uśmiechnął się.

Ach, teraz rozumiem.

Nasz wywiad się tym interesuje?

Herrmann obojętnie wzruszył ramionami.

Mój drogi przyjacielu, obaj wypełniamy te same zadania.

Chroni my naszych politycznych władców...

Obaj rozmówcy, podobnie jak wszyscy wyżsi urzędnicy państwowi, mieli wyrobioną opinię na temat politycznych władców, ale rozsądnie zachowywali ją dla siebie.

Oczywiście mamy własne rejestry powiedział Herrmann.

Odciski palców cudzoziemców, którzy zwrócili naszą uwagę...

Niestety nie mamy kopii odcisków, których szukają nasi przyjaciele z KA...

Możesz zapytać oficjalnie zauważył Prinz.

Tak, ale po co robić niepotrzebne zamieszanie?

Natomiast nieoficjalnie...

Nie lubię tego słowa "nieoficjalnie" oświadczył Prinz.

Ja również, mój przyjacielu, ale zgódź się...

przez pamięć dawnych czasów.

Masz moje słowo, jeśli coś wygrzebie, pierwszy będziesz o tym wiedział.

Współpraca dwóch wywiadów.

Jeśli nic nie znajdę, to nic się nie stanie.

64

Prinz wstał.

No dobrze, przez pamięć dawnych czasów.

Ten jeden raz.

wychodząc z hotelu zastanawiał się, co takiego, u diabła, Herrmann wiedział albo podejrzewał, czego nie wiedział on sam.

W "Braunschweiger Hof" w Munchbergu Sam McCready siedział przy barze.

Pił samotnie i wpatrywał się w ciemną boazerię.

Był głęboko za niepokojony.

Po raz kolejny zadawał sobie pytanie, czy dobrze zrobił wysyłając Morenza.

Coś było nie w porządku z tym człowiekiem.

Letnie przeziębienie?

Raczej grypa.

Ale od tego nie wysiadają nerwy.

Jego stary przyjaciel wydawał się zdenerwowany.

Załamanie?

Nie, to nie stary Bruno.

Przecież robił to tyle razy.

I był "czysty" o ile McCready wiedział.

Próbował się usprawiedliwić.
Nie miał czasu, żeby znaleźć kogoś młodsze.
A Pankratin nie podszedłby do obcego człowieka.
On też ryzyko wał życiem.
Gdyby McCready nie wysłał Morenza, straciliby radzieckie plany wojskowe.
Nie miał wyboru...
Ale wciąż się martwił.

Siedemdziesiąt mil na północ Bruno Morenz siedział w barze hotelu
"Schwarzer Bar" w Jenie.

On również pił samotnie.
Ale w przeciwieństwie do McCreadygo nie potrafił przestać.

Nie mógł się powstrzymać.
Wmawiał sobie, że alkohol mu pomaga, dodaje siły, odpędza zmęczenie.
W rzeczywistości każdy kieliszek przybliżał go do skrajnej przepaści.

Po drugiej stronie ulicy Morenz widział główne wejście do liczącego go
setki lat Uniwersytetu Schillera.

Przed bramą stało popiersie Karla Marksa.
Tablica głosiła, że Marks wykładał tutaj na wydziale filozofii w 1841 roku.
Morenz pożałował, że brodaty filozof nie padł trupem w trakcie kolejnego
wykładu.

Wówczas nie pojechałby do Londynu i nie napisał "Das Kapital", i Morenz nie
musiałby teraz przechodzić przez takie męczarnie.

Środa

O pierwszej w nocy do hotelu przysłano zapieczętowaną brązową kopertę
dla dr.

Herrmanna.

Herrmann jeszcze nie spał.

Koperta zawierała trzy duże fotografie.

Na dwóch figurowały dwa naboje kalibru 9 mm, na trzeciej odciski kciuka, palca i
dłoni.

Herrmann postanowił nie wysyłać ich do Pullach, tylko zawieźć je osobiście
rano.

Jeżeli drobniutkie rysy na kulach oraz odciski palców będą pasowały, zaczną się
kłopoty.

Zastań nawiał się, komu ile powiedzieć.

Gdyby tylko znaleźli tego drania Morenza. O dziewiątej rano złapał pierwszy
samolot do Monachium.

Morenza.

65 .

□

O dziesiątej w Berlinie major Wanawskaja jeszcze raz sprawdziła miejscę pobytu
człowieka, którego tropiła.

Powiedziano jej, że jest w garnizo nie niedaleko od Erfurtu.

O szóstej po południu wyjeżdża do Poczdamu.

Jutro wraca samolotem do Moskwy.

A ja wrócę razem z tobą, ty łajdaku powiedziała do siebie.

O wpół do dwunastej Morenz wstał od stolika w kawiarni, gdzie wstał pił
dla zabicia czasu.

Wsiadł do samochodu.

Był skacowany, krawat miał rozwiązany, policzki i brodę porastała mu siwa
szczęcina, bo rano nie mógł utrzymać brzytwy w ręku.

Nie wyglądał jak biznesmen udający się do załóżek Zeissa na rozmowy o
optycznych soczewkach.

Ostrożnie wyjechał z miasta i skierował się na zachód, w stronę Weimaru.

Bocznica kolejowa znajdowała się w odległości trzech mil.

Była większa niż wczorajsza bocznica, ukryta w cieniu drzew, które ro-
sły po obu stronach drogi.

Naprzeciwko między drzewami stała kawiarnia "Muhlthalperle".

Nikogo nie było widać, kawiarnia nie cieszyła się po pularnością.

Morenz wjechał na bocznice za pięć dwunasta, wyjął skrzynkę z narzędziami i
ponownie podniósł maskę.

Dwie minuty po dwunastej na zwirowany podjazd wtoczył się gazik i zahamował.

Mężczyzna, który wysiadł z gazika, ubrany był w workowaty bawełniany mundur z
naszywkami kaprała i wysokie buty do kolan.

Na oczy naciągnął furażerkę.

Nie dbałym krokiem podszedł do BMW.

Jeśli ma pan kłopoty, może skorzysta pan z moich narzędzi powiedział.

Wsunął pod maskę swoją drewnianą skrzynkę z narzędziami i oparł ją na obudowie

silnika.

Brudnym kciukiem otworzył zamek.

W środku spoczywał komplet płaskich kluczy do nakrętek.

I co, Du chu, jak ci leci?

mruknął.

Morenz znowu miał sucho w ustach.

Doskonale szepnął.

Odsunął na bok klucze.

Pod nimi leżał maszynopis w czerwonej płaskiej okładce.

Rosjanin wziął klucz i dokręcił obłuzowany zacisk.

Morenz wyjął książkę, wsadził ją sobie pod płaszcz i przycisnął lewym ramieniem do boku.

Rosjanin odłożył klucz na miejsce i zamknął skrzynkę z narzędziami.

Muszę jechać mruknął.

Daj mi dziesięć minut.

I okazuj wdzięczność.

Ktoś może nas obserwować.

Wyprostował się, machnął ręką i wrócił do gazika.

Silnik wciąż pracował.

Morenz pomachał mu na pożegnanie.

Danke zawołał.

66

Gazik odjechał w stronę Erfurtu.

Morenz poczuł słabość.

Chciał się stąd wydostać.

Musiał się napić.

Później zatrzyma się gdzieś i przełoży rękopis do schowka pod akumulatorem.

Teraz koniecznie musiał się napić.

Opuścił pokrywę silnika, wrzucił narzędzia do bagażnika, zamknął go i wsiadł do samochodu.

Piersiówka była w schowku na rękawiczki.

Wyjął ją i pociągnął głęboki, satysfakcjonujący łyk.

Pięć minut później, odży skwaszony pewnością siebie, ruszył w stronę Jeny.

Poprzednio zauważył za Jena inną bocznice, tuż przed skrzyżowaniem z autostradą prowadzącą do granicy.

Zatrzyma się tam i ukryje rękopis.

Kraksa nawet nie była jego winą.

Na południe od Jeny, na przedmieściach Stadtrody przejeżdżał pomiędzy potężnymi, ohydnyymi blokami mieszkalnymi, kiedy z bocznej uliczki wyskoczył jakiś trabant.

Morenz prawie zdążył zahamować, ale miał osłabiony refleks.

Znacznie cięższe BMW zmiażdżyło tył wschodniemieckiego malucha.

Morenz niemal natychmiast wpadł w panikę.

Czy to pułapka?

Czy kierowca trabanta był z SSD?

Mężczyzna wygramolił się zza kierownicy, popatrzył na zmiążdżony tył wozu i podbiegł do BMW.

Miał złą, zmiętą twarz i wściekłe spojrzenie.

Co pan wyrabia, do cholery?

wrzasnął.

Zasrany kapitalista, myśli, że może jeździć jak wariat...

w kłapie marynarki miał mały okrągły znaczek

Socjalistyczno-komunistycznej Zjednoczonej Partii.

Partyjniak.

Morenz mocno przycisnął rękę rękopis do boku lewym ramieniem, wysiadł i sięgnął po marki.

Oczywiście wschodnie; nie mógł zaproponować marek zachodnich, to byłoby następne przestępstwo.

Ludzie zaczęli gromadzić się wokół dwóch samochodów.

Bardzo pana przepraszam powiedział Morenz.

Zapłacę za uszkodzenia.

To powinno wystarczyć z nawiązką.

Ale naprawdę bardzo się spieszę...

Rozwścieczony właściciel trabanta spojrzął na plik banknotów.

To było bardzo dużo pieniędzy.

Nie o to chodzi odparł.

Cztery lata musiałem czekać na ten samochód.

Da się naprawić wtrącił stojący obok mężczyzna.

Akurat, cholera warknął pokrzywdzony właściciel.
Będę musiał go odesłać do fabryki.

Tłumek liczył już dwadzieścia osób.
Na osiedlu mieszkaniowym żyć cię jest dość nudne, a BMW warte było obejrzenia.
Wtedy pojawił się samochód policyjny.

Rutynowy patrol, ale Morenz zaczął się trząść.

Policijanci wysiedli.

Jeden obejrzał uszkodzenie.

Można naprawić zawyrokował.

Chce pan wniesć oskarżenie?

67 .

□
Kierowca trabanta zaczął się wycofywać: No...

Drugi policjant podszedł do Morenza.

Ausweis, bztte rzucił.

Morenz prawą ręką wyciągnął paszport.

Ręka dygotała.

Policjant po patrzył na drżącą dłoń, mętne oczy, nie ogolony podbródek.

Pan pił oświadczył.

Pociągnął nosem i upewnił się, że ma rację.

Dobra, jedziemy na komisariat.

Dalej, wsiadaj pan...

Zaczął popychać Morenza w stronę policyjnego samochodu, który stał obok z włączonym silnikiem.

Drzwi przy kierownicy były otwarte.

Wtedy Bruno Morenz wreszcie się załamał.

Ciągle trzymał rękopis pod pachą.

Na komisariacie i tak to znajdują.

Gwałtownie zamachnął się do tyłu wolnym ramieniem i uderzył policjanta w twarz, łamiąc mu nos.

Policjant upadł, a on wskoczył do samochodu, wrzucił bieg i odjechał.

Ruszył w złym kierunku, z powrotem na północ, do Jeny.

Drugi policjant, zaskoczony, oddał cztery strzały.

Trzy chybiły.

Samochód VOPO, kołyszając się dziko, zniknął za rogiem.

Z dziury w baku, gdzie trafiła czwarta kula, wyciekała benzyna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwaj policjanci byli tak zaskoczeni tym, co się stało, że zareagowali powoli.

Ani trening, ani dotychczasowe doświadczenia nie przygotowały ich na tego rodzaju opór.

Zostali publicznie napadnięci i znieważeni na oczach tłumu ludzi, toteż nie posiadali się ze złości.

Było sporo krzyku, zanim postanowili, co robić.

Oficer, który nie odniósł obrażeń, zostawił swojego kolegę ze złamanym nosem i ruszył na komisariat.

Żaden z nich nie miał osobistego komunikatora, ponieważ zwykle używali radia w samochodzie.

Apele do tłumu o udostępnienie telefonu nie wywołały żadnej reakcji oprócz wzruszenia ramion.

Przedstawiciele klasy pracującej nie mają telefonów w swoim robotniczo-chłopskim rajku.

Partyjniak z rozbitym trabantem zapytał, czy może odejść, i natychmiast został aresztowany pod groźbą broni przez Złamanego Nosa, który ry wychodził z założenia, że każdy może należeć do spisku.

Drugi policjant, maszerujący drogą najęną, zobaczył nadjeżdżające go Wartburga, zatrzymał go (również pod groźbą broni) i kazał kierowcy jechać prosto na komisariat w centrum Jeny.

Kilometr dalej zobaczyli policyjny wóz patrolowy.

Policjant w Wartburgu gorączkowym machaniem zatrzymał kolegów i wyjaśnił im, co się stało.

Za pośrednictwem samo chodowego radia zameldowali o popełnionych przestępstwach i otrzymali

68

polecenie, żeby natychmiast zgłosić się na Komendzie Głównej Policji. Tymczasem na miejsce wypadku wysłano dodatkowe samochody.

Meldunek odebrano w centrum Jeny o dwunastej trzydzieści pięć.

Odebrano go również wiele mil dalej, wysoko w górach Harzu po drugiej stronie

granicy.

Zarejestrowała go brytyjska stacja nasłuchowa, ko dowo nazwana "Archimedes".

O pierwszej po południu dr Lothar Herrmann, siedząc za własnym biurkiem w Pullach, odebrał telefon, na który czekał.

Telefonowano z laboratorium balistycznego BND w sąsiednim budynku.

Laboratorium znajdowało się obok zbrojowni i strzelnicy.

Stosowano tam przemyślną praktykę: przy wydawaniu agentowi broni bocznej nie tylko zapisywano numer seryjny obok nazwiska agenta, ale wystrzelivano dwie serie w zamkniętym pomieszczeniu, po czym zbierano i przechowywano naboje.

Technik perfekcjonista wolałby oczywiście dostać prawdziwe kule ze zwłok w Kolonii, ale fotografie też mu wystarczyły.

Każda gwintowana lufa różni się trochę od innych i każda pozostawia na wystrzelonym pocisku małe rysy.

Te ślady są jak odciski palców.

Technik porównał wyżłobienia na dwóch próbnym pociskach, wystrzelonych z walthera PPK przed dziesięciu laty, z otrzymanymi fotografiami, o których pochodzeniu nie miał pojęcia.

Identyczne?

Rozumiem.

Dziękuję panu powiedział dr Herrmann.

Zadzwoił do sekcji daktyloskopii BND przechowuje również odciski palców swoich pracowników, nie tylko podejrzanych osób i otrzymał taką samą odpowiedź.

Westchnął głęboko i ponownie sięgnął po słuchawkę.

Nie pozostało mu nic innego; musiał zawiadomić samego naczelnego dyrektora.

Ta rozmowa była jedną z najtrudniejszych w karierze Herrmanna.

Naczelnym miał obsesję na punkcie swojej Agencji i jej dobrego imienia, zarówno w Bonn, jak i wśród innych zachodnich wywiadów.

Nowina, którą usłyszał od Herrmanna, była dla niego ciosem.

Przyszło mu do głowy, żeby "zgubić" próbne kule i odciski palców Morenza, ale szybko odrzucił ten pomysł.

Prędzej czy później policja złapie Morenza, tech nicy z laboratorium otrzymają wezwanie do sądu wybuchnie jeszcze większy skandal.

BND w Niemczech jest odpowiedzialny tylko przed kanclerzem, czyli Urzędem Kanclerza.

Naczelnym wiedział, że prędzej czy później, a raczej prędzej, będzie musiał zawiadomić ich o skandalu.

Nie był zachwycony tą perspektywą.

69 .

□

Znajdźcie go rozkazał Herrmannowi.

Znajdźcie go szybko i odbierzcie te kasety.

Kiedy Herrmann odwrócił się do wyjścia, dyrektor naczelnym, który płynnie władał angielskim, wygłosił jeszcze jedną uwagę.

Doktorze Herrmann, Anglicy mają powiedzenie, które panu polecam.

"Nie zabijaj, ale nie broń życia zbyt gorliwie."

Podał cytata po angielsku.

Dr Herrmann zrozumiał, ale zdumiało go słowo "gorliwie".

Wróciwszy do swojego gabinetu sprawdził w słowniku i doszedł do wniosku, że

najlepszym tłumaczeniem jest słowo "unnötig", czyli "niepotrzebnie".

W całej swojej karierze w BND nigdy nie otrzymał wyraźniejszego rozkazu.

Zadzwoił do centralnego archiwum w Wydziale Personalnym.

Przyślijcie mi życiorys jednego z naszych pracowników, Brunona Morenza polecił.

O drugiej po południu Sam McCready czekał jeszcze na wzgórzu, gdzie z Johnsonem tkwili od siódmej rano.

Wprawdzie podejrzewał, że pierwsze spotkanie w okolicach Weimaru nie doszło do skutku, ale nie wiadomo; Morenz mógł przyjechać o świcie.

Ale nie przyjechał.

McCready ponownie sprawdził harmonogram: spotkanie o dwunastej, odjazd dwunasta

dziesięć, godzina i trzy kwadrans jazdy Morenz powinien zjawić się lada chwila.

Jeszcze raz skierował lornetkę na odległą szosę po drugiej stronie granicy.

Johnson czytał miejscową gazetę, którą kupił na stacji obsługi we

Frankenwaldzie, kiedy telefon dyskretnie zabrzączał.

Podniósł słuchawkę, posłuchał i podał ją McCreadyemu.

GCHQ oznajmił.

Do ciebie.

Dzwonił przyjaciel McCreadyego z Cheltenham.

Słuchaj, Sam powiedział chyba wiem, gdzie jesteście.

Nie daleko od was nastąpiło nagłe ożywienie w eterze.
Może powinienś za dzwonić do "Archimedes".

Oni łapią więcej od nas.

Połączenie zostało przerwane.

Daj mi "Archimedes" powiedział McCready do Johnsona.

Dyżurny oficer, sekcja wschodnioniemiecka.

Johnson zaczął wystukiwać numer.

W połowie lat pięćdziesiątych rząd brytyjski, za pośrednictwem Brytyjskiej Armii Renu, kupił stary zrujnowany zamek wysoko w górach Harzu, w pobliżu ładnego zabytkowego miasteczka Goslar.

Harz to gęsto zalesione pasmo górskie, przez które przebiega krętą linią granica

Nie70

mięć wschodnich, przecinając strome zbocza i głębokie wąwozy.

Dla potencjalnych uciekinierów z NRD była to wymarzona okolica.

Schloss Lówenstein został wyremontowany przez Brytyjczyków i ostatecznie zamieniony w miejsce ćwiczeń dla orkiestr wojskowych.

Wersję tę potwierdzały dźwięki muzyki nieustannie dobiegające z zamku, efekt uzyskiwany dzięki magnetofonom i wzmacniaczom.

Ale podczas naprawy dachu inżynierowie z Cheltenham zainstalowali kilka bardzo skomplikowanych anten, ulepszanych z biegiem lat w miarę rozwoju technologii.

Chociaż miejscowi niemieccy dygnitarze byli czasem zapraszani na prawdziwy koncert muzyki wojskowej i kameralnej w tym celu sprostowano orkiestrę samolotem to w rzeczywistości Schloss Lówenstein stanowił wysuniętą placówkę Cheltenham, znaną pod kryptonimem "Archimedes".

Jego zadaniem było nasłuchiwanie ciągłego bełkotu wschodnioniemieckich i rosyjskich przekazów radiowych po drugiej stronie granicy.

Stąd lokalizacja w górach: im wyżej, tym lepszy odbiór.

Tak, właśnie przekazaliśmy wszystko do Cheltenham powie dział oficer dyżurny, kiedy McCready potwierdził swoją tożsamość.

Upowiedzieli, że może pan zadzwonić.

Mówił przez kilka minut, a kiedy odłożył słuchawkę, McCready był błądy.

Policja w Jenie dostała koda poinformowała Johnsona.

Gdzieś na przedmieściach była kraksa.

Po stronie południowej.

Samochód z Niemiec Zachodnich, nieznanego marki, zderzył się z trabantem.

Zachodnioniemiecki kierowca dał po pysku policjantowi, jednemu z dwóch, którzy przyjechali na miejsce wypadku, a potem odjechał...

i to samochodem VOPO, wyobrażasz sobie.

Oczywiście to nie musiał być nasz człowiek.

Johnson zrobił współczującą minę, ale nie wierzył w to, podobnie jak McCready.

Co robimy?

zapytał.

McCready usiadł na tylnym zderzaku rangę rovera i objął głowę rękami.

Czekamy odparł.

Nic innego nie możemy zrobić.

"Archimedes" zawiadomi nas, jeśli coś się wyjaśni.

W tym czasie czarne BMW zostało odholowane na zamknięty teren Komendy Głównej Policji w Jenie.

Nikt nie pomyślał o odciskach palców wiedzieli, kogo chcą aresztować.

VOPO ze złamanym nosem, na który założono prowizoryczny opatrunek, składał obszerny zeznanie, podobnie jak jego kolega.

Zatrzymano i przesłuchano kierowcę trabanta oraz tuzin gapiów.

Na biurku okręgowego komendanta leżał paszport na nazwisko Hans Grauber, podniesiony z ulicy, gdzie upuścił go VOPO ze

71 .

□

złamanym nosem.

Inni detektywi badali zawartość teczek oraz podręcznej torby.

Sprowadzono dyrektora działu sprzedaży zagranicznej u Zeissa, protestującego, że nigdy nie słyszał o Hansie Grauberze, chociaż rzeczywiście w przeszłości robił interesy z BKI w Wurzburgu.

Kiedy pokazano mu sfałszowany podpis na liście z zaproszeniem, przysięgał, że to nie jego podpis.

Dla tego człowieka koszmar dopiero się zaczynał.

Ponieważ paszport był zachodnioniemiecki, komendant Policji Ludowicki rutynowo zawiadomił miejscowe biuro SSD.

Po dziesięciu minutach przyjechali.

Chcemy, żeby przewieziono samochód na platformie do naszego garażu w Erfurcie, powiedzieh.

Przestańcie zostawiać na nim odciśnięte palców.

Chcemy również dostać wszystkie przedmioty wyjęte z samochodu, kopie zeznań wszystkich świadków itd.

Natychmiast.

Pułkownik VOPO dobrze wiedział, kto tu rządzi.

Kiedy Stasi wydaje rozkaz, wszyscy słuchają.

Czarne BMW dostarczono do garażu SSD w Erfurcie o czwartej trzydzieści i mechanicy z tajnej policji przystąpili do pracy.

Pułkownik VOPO musiał przyznać, że SSD miało rację.

To było bez sensu.

Niemiec z Zachodu dostałby prawdopodobnie wysoki mandat za jazdę po pijanemu NRD ciągle potrzebowała twardej waluty.

Tę raz groziło mu długoletnie więzienie.

Dlaczego uciekł?

W każdym razie, cokolwiek Stasi zamierzali zrobić z samochodem, jego zadaniem było znalezienie człowieka.

Wydał rozkaz, żeby każdy policyjny wóz i każdy pieszy patrol w promieniu wielu kilometrów wypatrywał Graubera oraz skradzionego policyjnego samochodu.

Opis pojazdu i człowieka przekażano przez radio do wszystkich jednostek na północ aż do Apolda, na zachód do Weimaru.

Prasa nie apelowała o pomoc do społeczeństwa.

W państwie totalitarnym rzadko zdarza się, żeby społeczeństwo pomagało policji. Ale gorączkowa aktywność radiowa została w całości zarejestrowana przez "Archimedes".

O czwartej po południu dr Herrmann zadzwonił do Dietera Austa w Kolonii.

Nie poinformował go o wynikach laboratoryjnych testów ani nawet o swojej umowie z Johannem Prinzem.

Aust nie musiał tego wiedzieć.

Chcę, żebyś osobiście przesłuchał Frau Morenz powiedział.

wysłałeś do niej funkcjonariuszkę?

Dobrze, niech tam zostanie.

Jeżeli po prostu przyjdzie przesłuchać Frau Morenz, nie wtrącaj się, ale daj mi znać.

Spróbuj z niej wyciągnąć jakąś wskazówkę...

trasa podróży, letniskowy domek, mieszkanie przyjaciółki, rodzinna posiadłość, cokolwiek.

Poślij ludzi każdym tropem, jaki od niej uzyskasz.

Potem złóżysz mi raport.

72

On nie ma żadnej rodziny w Niemczech oprócz żony, syna i córki odparł Aust, który również zapoznał się z życiorysem Morenza za wartym w aktach personalnych.

Jego córka chyba jest hipiską, mieszka w domu przeznaczonym na rozbiórkę w Düsseldorfie.

Na wszelki wypadek złożymy jej wizytę.

Zrób to dodał Herrmann i rozłączył się.

Na podstawie czegoś, co znalazł w aktach Morenza, wysłał kodowy sygnał kategorii "blitz" do agenta BND w ambasadzie niemieckiej w Londynie, na Belgrave Square.

O piątej zabrzączał telefon na tylnym siedzeniu range rovera.

McCready odebrał.

Spodziewał się, że dzwoni Londyn albo "Archimedes".

Głos w słuchawce był cienki, piskliwy, jak gdyby rozmówca dławiał się.

Sam, czy to ty.

Sam?

McCready zeszywniał.

Tak warknął to ja.

Przepraszam, Sam.

Strasznie przepraszam.

Narobiłem bałaganu...

Z tobą wszystko OK?

przerwał mu McCready.

Morenz tracił cenne sekundy.

O. K.

Tak, K jak Kaput.

Jestem skończony.

Sam.

Nie chciałem jej zabić.

Kochałem ją.

Sam.

Kochałem ją...

McCready trzasnął słuchawką przerywając połączenie.

Nikt nie może zadzwonić na Zachód z budki telefonicznej w Niemczech wschodnich. Rząd wschodnioniemiecki zabronił wszelkich kontaktów.

Ale SIS ma "bez pieczny" dom w okolicach Lipska, gdzie mieszka wschodnioniemiecki agent-rezydent, pracujący dla Londynu.

Jeśli ktoś zadzwoni pod ten numer z Niemiec wschodnich, połączenie zostaje przekazane na Zachód za pośrednictwem systemu satelitarnego.

Ale rozmowa może trwać tylko cztery sekundy, nie dłużej, żeby wschodni Niemcy nie namierzali połączenia i nie zlokalizowali "bezpiecznego" domu. Morenz paplał przez dziewięć sekund.

Chociaż McCready o tym nie wiedział, służby nasłuchowe SSD dotarły już do Lipska, kiedy połączenie zostało przerwane.

Jeszcze sześć sekund i zlokalizowałyby "bez pieczny" dom razem z jego mieszkańcem.

Morenza uprzedzono, żeby używał tego numeru tylko w razie konieczności i przez bardzo krótki czas.

On jest załamany oświadczył Johnson.

Nerwy mu wysiadły.

Na litość boską, on płakał jak dziecko warknął McCready.

Kompletnie się rozkleił.

Powiedz mi coś.

O czym on gadał, do cholery?

"Nie chciałem jej zabić..."

73 .

□

Johnson zamyślił się.

On mieszka w Kolonii?

Przecież wiesz.

Johnson wcale tego nie wiedział.

Wiedział tylko, że zabrał McCreadygo z hotelu "Holiday Inn" obok lotniska w Kolonii.

Nigdy nie spotkał Ducha.

Nie było potrzeby.

Wziął miejscową gazetę i pokazał drugi wiodący artykuł na pierwszej stronie.

Był to artykuł Günthera Brauna z kolońskiego "Stadt-Anzeiger", przedrukowany

przez "Nordbayrischer Kurier", północnobawarską gazetę wychodzącą w Bayreuth.

Reportaż nadesłano z Kolonii, a nagłówek głosił: "Prostytutka i alfons zamordowani.

Strzelanina w miłosnym gniazdku".

McCready przeczytał, odłożył gazetę i popatrzył na północ.

Och, Bruno, mój biedny przyjacielu, coś ty narobił?

Pięć minut później zadzwonił "Archimedes".

Słyszeliśmy to powiedział dyżurny oficer więc wszyscy inni też chyba słyszeli.

Przykro mi.

On zniknął, prawda?

Jakie nowiny?

zapytał McCready.

Mają nazwisko Hansa Graubera odparł "Archimedes".

Szuka ją w całej południowej Turynii.

Jazda po pijanemu, napaść i kra dzież samochodu policyjnego.

Jechał czarnym BMW, zgadza się?

Zabrali go do garażu SSD w Erfurcie.

Zdaje się, że Stasi skonfiskowała wszystko, co do niego należało.

Kiedy dokładnie był ten wypadek?

zapytał Sam.

Dyżurny oficer rozmawiał z kimś przez chwilę.

Pierwszy meldunek na policję w Jenie nadano z patrolowego samochodu.

Zgłosił się ten VOPO, który nie dostał w łeb.

Użył zwrotu: "pięć minut temu".

Zgłoszenie zarejestrowano o dwunastej trzydziści pięć.

Dziękuję rzucił tylko McCready.

forsyth Fałszerz.txt

O ósmej w garażu w Erfurcie jeden z mechaników znalazł puste miejsce pod akumulatorem.

Wokół niego trzech inni mechanicy pracowali nad tym, co pozostało z BMW. Siedzenia i tapicerka leżały na podłodze, koła zdjęte, a opony wyrócono na drugą stronę.

Pozostała tylko rama i właśnie tam odkryto schowek.

Mechanik zawiadził mężczyznę w cywilnym ubraniu, majora SSD.

Obaj obejrzeli schowek i major kiwnął głową.

Etn Spionwagen stwierdził.

Samochód szpiegowski.

Mechanicy pracowali dalej, chociaż niewiele zostało do zrobienia.

Major poszedł na górę i zadzwonił do berlińskiej centrali Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego, która mieści się w wielkiej, ponurej ceglanej

74

fortecy przy Normannenstrasse 22, w dzielnicy Lichtenberg w Berlinie wschodnim.

Major wiedział, do kogo się zgłosić; połączył się bezpośrednio z Abteilung II, Spionageabwehr, czyli wydziałem kontrwywiadu.

Tam sprawa trafiła do rąk samego dyrektora Abteilung II, pułkownika Otto na Vossa.

Pułkownik po pierwsze rozkazał sprowadzić do Berlina wschodniego absolutnie wszystko, co miało związek ze sprawą.

Po drugie rozkazał aresztować i szczegółowo przesłuchać wszystkie osoby, które choćby przelotnie widziały BMW lub kierowcę, poczynając od straży granicznej z posterunku w Saale.

Później doszedł personel hotelu "Schwarzer Bar", policjanci z drogówki interesujący się BMW, zwłaszcza ci, przez których nie doszło do pierwszego spotkania, oraz dwaj VOPO, którym ukradziono wóz patrolowy.

Trzeci rozkaz Vossa dotyczył zachowania absolutnej ciszy radiowej w tej sprawie oraz używania wyłącznie sprawdzonych linii telefonicznych.

Uporawszy się z tym pułkownik podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i dostał połączenie z Abteilung IV, któremu podlegały przejścia graniczne i lotniska.

O dziesiątej wieczorem "Archimedes" po raz ostatni zadzwonił do McCreadyego.

Obawiam się, że już po wszystkim stwierdził oficer dyżurny.

Nie, jeszcze go nie złapali, ale złapią.

Widocznie odkryli coś w garażu w Erfurcie.

Duża aktywność radiowa, szifrowana, pomiędzy Erfurtem a Berlinem wschodnim.

Nagle wyciszono wszystkie pogawędki w eterze.

I wszystkie przejścia graniczne postawiono w stan pogotowia...

podwójne straże, włączone reflektory.

To tyle.

Przykro mi.

Nawet ze swojego punktu obserwacyjnego na wzgórzu McCready za uważał, że w ciągu ostatniej godziny światła samochodów wyjeżdżających z Niemiec wschodnich pojawiały się coraz rzadziej.

Widocznie trzymali ich tam całymi godzinami w blasku łukowych lamp i przeszu kiwali każdy samochód, każdą ciężarówkę, żeby nawet mysz nie mogła się prześliznąć.

O dziesiątej trzydzięci zadzwonił Timothy Edwards.

Słuchaj, wszyscy bardzo załujemy, ale to skończone powie działał.

Wracaj natychmiast do Londynu, Sam.

Jeszcze go nie złapali.

Powinienem tu zostać.

Może będę w stanie pomóc.

To jeszcze nie koniec.

Krzyki nic nie pomogą odparł Edwards.

Musimy omówić parę spraw.

Między innymi stratę przesyłki.

Nasi amerykańscy kuzyni wca75 .

□

Te nie są zachwyceni.

Proszę cię, wsiądź do pierwszego samolotu z Frankfurtu albo z Monachium.

Dowiedz się, który jest wcześniejszy.

Okazało się, że z Frankfurtu.

Johnson zawiadził go w nocy na lotnisko, a potem odprowadził rangę rovera ze sprzętem do Bonn czuł się bardzo zmęczonym mimo młodego wieku.

McCready złapał parę godzin snu na lotnisku Sheraton i wsiadł na pokład

pierwszego porannego samolotu do Londynu.
Z powodu godzinnej różnicy czasu wylądował na Heathrow tuż po ósmej.
Denis Gaunt spotkał go i zawiózł prosto do Century House.

Czwartek

Major Ludmiła Wanawskaja jak zwykle wstała wcześniej i z braku sali gimnastycznej wykonała poranne ćwiczenia w swoim pokoju w barakach KGB. Samolot miała dopiero w południe, ale chciała jeszcze zajrzeć do centrali KGB, żeby po raz ostatni sprawdzić marszrutę człowieka, które go tropiła. Wiedziała, że poprzedniego wieczoru wrócił razem z konwojem z Erfurtu do Poczdamu i spędził tam noc w oficerskich kwaterach.

Oboje mieli wracać do Moskwy tym samym samolotem, odlatującym w południe z Poczdamu.

On będzie siedział z przodu na miejscu zarezerwowanym, nawet w samolotach wojskowych, dla "własti", czyli klasy uprzywilejowanej.

Ona udawała skromną stenografistkę z olbrzymiej ambasady na Unter den Linden, siedziby prawdziwej (sowieckiej) władzy w Niemczech Wschodnich.

Nie zostaną sobie przedstawieni, on nawet jej nie zauważy, ale znajdzie się pod obserwacją, jak tylko samolot wleci na obszar powietrzny Związku Radzieckiego.

O ósmej major Wanawskaja weszła do budynku centrali KGB, oddała mu swój paszport i skierowała się do Biura Łączności.

Będą mogli zadzwonić do Poczdamu i sprawdzić, czy rozkład lotów nie został zmieniony.

Czekając na informację wzięła kawę i usiadła przy stoliku z młodym porucznikiem, który był widocznie zmęczony, ponieważ ciągle ziewał.

Całą noc na nogach?

zapytała.

Właśnie.

Nocna zmiana.

Szwaby nie dały nam chwili spokoju.

Wanawskaja była po cywilnemu i rozmówca nie wiedział, że powinien tytułować ją majorem.

Nazwał wschodnich Niemców mało pochlebny określeniem.

Wszyscy Rosjanie tak mówili.

Dlaczego?

zapytała.

Przechwycili samochód z Niemiec Zachodnich i znaleźli w nim ukryty schowek.

Myślę, że był używany przez zachodniego agenta.

Tutaj, w Berlinie?

76

Nie, w Jenie.

Gdzie dokładnie jest Jena?

Słuchaj, skarbie, ja już nie jestem na służbie.

Mam wolne i idę spać.

Wanawskaja uśmiechnęła się słodko, otworzyła torebkę i mignęła swoją legitymacją w czerwonej okładce.

Porucznik przestał ziewać i zbladł.

Major z Trzeciego Departamentu...

to nie wróżyło nic dobrego.

Pokazał jej na ściennej mapie wiszącej w kantynie.

Zwickau, Gera, Jena, Weimar, Erfurt.

Wszystkie miejscowości leżały na trasie konwoju, czyli na trasie podróży człowieka, którego tropiła.

Wczoraj...

Erfurt.

Czternaście mil od Jeny.

Blisko, cholernie blisko.

Dziesięć minut później radziecki major wyjaśniał jej, w jaki sposób pracują wschodni Niemcy.

Na pewno zajmuje się tym Abteilung II oświadczył.

Czyli pułkownik Voss.

Otto Voss.

On kieruje sprawą.

Wanawskaja zadzwoniła z jego telefonu i wykorzystując swoją rangę uzyskała spotkanie z pułkownikiem Vosselem w centrali SSD na Lichtenbergu.

O dziesiątej.

O dziewiątej czasu londyńskiego McCready zajął miejsce przy stole w sali

konferencyjnej w Century House, piętro niżej pod gabinetem sze fa.
Claudia Stuart siedziała naprzeciwko i spoglądała na niego z wyrzu tem.
Chris Appleyard, który przyleciał do Londynu, żeby osobiście es kortować do
Langley radzieckie dokumenty wojskowe, palił i patrzył w sufit.
Wyrazem twarzy mówił: to jest sprawa Angoli.
Wy to spieprzyli ście, wy to naprawiajcie.
Timothy Edwards zajmował miejsce u szczytu stołu, w roli arbitra.
Na porządku dziennym był tylko jeden punkt: oce na strat.
Na odrabianie strat, jeśli to możliwe, przyjdzie czas później.
Nikom nie trzeba było wyjaśniać, co się stało; wszyscy czytali akta spra wy i
raporty sytuacyjne.
No dobrze zaczął Edwards wygląda na to, że wasz człowiek, ten Duch,
załamał się i spaprał misję.
Zobaczmy, czy będziemy mogli coś uratować z tego bałaganu...
Po cholere go wysłałeś, Sam?
zapytała Claudia z irytacją.
Bo ktoś musiał to zrobić odparł McCready, Bo sami nie mogliście tego
załatwić.
Bo było mało czasu.
Bo zabroniono mi pojechać.
Bo Pankratin nalegał na moją obecność.
Bo Duch był jedynym możli wym zastępcą.
Bo zgodził się pojechać.
Ale okazało się przeciągnął Appleyard że właśnie zabił swoją kochankę i
był już u kresu wytrzymałości.
Nic nie zauważyłeś?
77 .

□

Nie.
wydawał się zdenerwowany, ale panował nad sobą.
Zdener wowanie jest normalne...
do pewnego stopnia.
Nie zwierzał mi się z oso bitych kłopotów, a ja nie jestem jasnowidzem.
Najgorsze jest to wtrąciła Claudia że on widział Pankratina.
Kiedy Stasi go złapią i wezmą w obroty, będzie mówił.
Straciliśmy również Pankratina i Bóg jeden wie, jakie jeszcze straty poniesiemy,
kie dy przesłuchają go na łubiance.
Gdzie jest teraz Pankratin?
zapytał Edwards.
Zgodnie z harmonogramem wsiada właśnie do wojskowego samo lotu, lecącego
z Poczdamu do Moskwy.
Nie możesz go jakoś ostrzec?
Nie, cholera.
Po powrocie bierze tygodniowy urlop.
Wyjeżdża na wieś z przyjaciółmi z wojska.
Nie możemy przekazać mu szyfrowanego ostrzeżenia, dopóki nie wróci do Moskwy...
jeśli w ogóle wróci.
A co z dokumentami?
pytał dalej Edwards.
Myślę, że Duch ma je przy sobie odparł McCready.
Natychmiast stał się ośrodkiem zainteresowania obecnych.
Appleyard przestał palić.
Dlaczego?
Proste wyliczenie czasu wyjaśnił McCready.
Spotkanie wyznaczono na dwunastą.
Założmy, że odjechał z bocznic y o dwunastej dwadzieścia.
Kraksa nastąpiła o dwunastej trzydzieści.
Dziesięć minut później i dziesięć kilometrów dalej, na przedmieściach Jeny.
Uważam, że gdyby włożył rękopis do skrytki, to nawet w tym stanie wysłuchałby
spo kojnie reprimendy za jazdę po pijanemu, spędziłby noc w celi i zapłacił
mandat.
Były spore szansę, że VOPO nie przeszuka dokładnie samocho du.
Gdyby rękopis był w BMW, myślę, że komunikaty radiowe policji zdra dzałyby
większe podniecenie.
SSD wezwano by po dziesięciu minutach, a nie po dwóch godzinach.
Myślę, że on ma to przy sobie, może pod marynarką.
Dlatego nie mógł pójść na komisariat.
Do badania krwi musiałyby zdjąć marynarkę.

Dlatego uciekł.

Na kilka minut zapadła cisza.

Więc znowu wracamy do Ducha stwierdził Edwards.

Chociaż teraz wszyscy już znali prawdziwe nazwisko agenta, woleli posługiwać się operacyjnym pseudonimem.

On musi gdzieś być.

Dokąd pójdzie?

Czy ma tam przyjaciół?

Bezpieczny dom?

Cokolwiek?

McCready potrząsnął głową.

W Berlinie wschodnim jest bezpieczny dom.

On zna ten dom z dawnych czasów.

Dzwoniłem tam.

Nie nawiązał kontaktu.

Na południu nikogo nie zna.

Nigdy tam nie był.

78

Czy może ukrywać się w lasach?

zapytała Claudia.

Nie w takiej okolicy.

To nie jest gęsto zalesiony Harz.

To otwarta równina, pola uprawne, miasta, wioski, farmy...

Kiepska kryjówka dla starszego faceta, któremu coś odbiło sko mentował Appleyard.

Więc straciliśmy go stwierdziła Claudia.

Jego.

dokumenty i Pankratina.

Sporo.

Obawiam się, że na to wygląda przyznał Edwards.

Policja Ludowa zastosuje taktykę eskalacji.

Barriere drogowe na wszystkich ulicach i uliczkach.

Skoro on nie ma żadnej kryjówki, obawiam się, że zła pią go do południa.

Zebrańie zakończyło się tą ponurą nutą.

Kiedy Amerykanie wyszli, Edwards zatrzymał McCreadyego przy drzwiach.

Sam, wiem, że to beznadziejne, ale zostań przy tej sprawie.

Prosi łem w Cheltenham, żeby sekcja wschodniemiecka prowadziła stały nasłuch i żeby zawiadomili cię, jak tylko coś usłyszą.

Kiedy złapią Du cha, bo złapią go na pewno, chcę o tym natychmiast wiedzieć.

Będziemy musieli jakoś ułagodzić naszych kuzynów, chociaż Bóg jeden wie, jak to zrobimy.

Wróciwszy do gabinetu McCready zaczął się zastanawiać, co dzieje się w głowie człowieka, który przechodzi kompletne załamanie nerwowe.

Oso biście nigdy nie zetknął się z tym zjawiskiem.

Jak teraz wygląda Bruno Morenz?

Jak reaguje na swoją sytuację?

Logicznie?

Po wariacku?

McCready dzwonił do psychiatry zatrudnionego jako konsultant w SIS, wybitnego specjalisty, którego bez cienia szacunku nazywano "konowalem".

wytropił doktora Alana Carra w jego apartamencie na Wimpole Street.

Dr Carr powiedział, że rano jest zajęty, ale chętnie spotka się z McCreadym na lunch i doraźną konsultację.

McCready umówił się z nim w hote lu "Montcalm" o pierwszej.

Punktualnie o dziesiątej major Ludmiła Wanawska weszła w głów ną bramę budynku SSD na Normannenstrasse.

Zaprowadzono ją na czwarte piętro, zajmowane przez wydział Kontrwywiadu.

Czekał na nią pułkownik Voss.

Zaprowadził ją do swojego prywatnego gabinetu i po sadził na krzesło naprzeciwko biurka.

Sam usiadł za biurkiem i zaproponował kawę.

Kiedy kelner wyszedł, pułkownik zapytał uprzejmie:

Co mogę dla was zrobić, towarzyszo majorze?

Ciekawił go powód tej wizyty.

w dodatku dzisiaj miał bardzo mało czasu.

Ale spotkania zażądał generał z centrali KGB, a pułkownik Voss

79 .

□

dobrze wiedział, kto naprawdę rządzi Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Prowadzicie sprawę w okręgu Jeny powiedziałła Wanawska.

Agent zachodnioniemiecki, który zbiegł po wypadku i zostawił swój samochód. Możecie zapoznać mnie ze szczegółami?

Voss podał szczegóły, których nie było w raporcie przekazanym Ro sjanom.

Założmy rzuciła Wanawska, kiedy Voss skończył że ten agent, Grauber, przyjechał coś zabrać albo dostarczyć...

Czy w samochodzie albo w schowku znaleziono coś, co mógł przywieźć albo wywozić?

Nie, nic.

Wszystkie osobiste dokumenty były zwykłym kamuflażem.

Schowek był pusty.

Jeśli coś przywiózł, zdążył to dostarczyć.

Jeśli chciał coś wywieźć, widocznie jeszcze tego nie odebrał...

Albo miał to jeszcze przy sobie.

Tak, całkiem możliwe.

Dowiemy się, kiedy go przesłuchamy.

Mogę spytać o powód waszego zainteresowania?

Wanawska ostrożnie dobierała słów.

Istnieje prawdopodobieństwo, chociaż niewielkie, że sprawa, nad którą pracuję, częściowo pokrywa się z waszą.

Pod maską obojętności Otto Voss był ubawiony.

Więc ta ładna rosyjska agentka podejrzewała, że zachodni agent przyjechał na Wschód, żeby nawiązać kontakt z rosyjskim informatorem, a nie ze wschodnioniemieckim zdrajcą.

Interesujące.

Jak uważacie, pułkowniku, czy Grauber miał nawiązać osobisty kontakt, czy tylko skorzystać ze skrzynki kontaktowej?

Uważamy, że przyjechał na osobiste spotkanie odparł Voss.

Chociaż miał wypadek wczoraj o dwunastej trzydzieści, przekroczył granicę we wtorek o jedenastej.

Gdyby miał tylko odebrać lub zostawić paczkę w skrzynce kontaktowej, nie potrzebowałby aż dwudziestu czterech godzin.

Mógł to załatwić w ciągu jednego dnia.

Tymczasem spędził noc z wtorku na środę w "Schwarzer Bar" w Jenie.

Uważamy, że miał coś odebrać osobiście.

Serce Wanawskiej śpiewało.

Osobiste spotkanie, gdzieś w okolicach Jeny i Weimaru, prawdopodobnie w pobliżu drogi, a właśnie wtedy tą samą drogą jechał człowiek, na którego polowała.

To z tobą miał się spotkać, ty draniu.

Czy ustaliliście tożsamość Graubera?

zapytała.

To na pewno nie jest jego prawdziwe nazwisko.

Maskując swój triumf Voss otworzył teczkę i podsunął jej portret pałacu.

Sporzędzono go przy pomocy dwóch VOPO z Jeny, dwóch

80

gliniarzy z drogówki, którzy pomogli Grauberowi dokręcić zacisk na samochodzie od Weimaru, oraz personelu hotelowego.

Portret był bardzo dobry.

Następnie Voss bez słowa podał jej dużą fotografię.

Zdjęcie i rysunek były identyczne.

Nazywa się Morenz oznajmił Voss.

Bruno Morenz.

Pełno etatowy pracownik BND, baza w Kolonii.

Wanawska była zdumiona.

A więc to jest operacja zachodnioniemiecka.

Zawsze podejrzewała, że jej człowiek pracuje dla CIA lub Brytyjczyków.

Jeszcze go nie złapaliście?

Nie, towarzyszeko majorze.

Wyznam, że dziwi mnie ta zwłoka.

Ale złapiemy go.

Wczoraj późnym wieczorem znaleziono porzucony samochód policyjny.

Raport podaje, że zbiornik paliwa był przedziurawiony.

Po wypadku samochód jechał najwyżej przez dziesięć do piętnastu minut.

Znaleziono go tutaj, w pobliżu Apolda, na północ od Jeny.

A więc nasz człowiek ucieka piechotą.

Mamy doskonały opis: wysoki, krępy, siwowłosy mężczyzna w pogniecionym płaszczu

nieprzemakalnym.

Nie ma dokumentów, nadreński akcent, fizycznie w złej kondycji.

Trudno będzie go nie zauważyć.

Chcę być przy przesłuchaniu oświadczyła Wanawska.

Nie była przewrażliwiona.

Widowała już takie rzeczy.

Jeżeli to jest oficjalne polecenie K.G.B, oczywiście dopilnuję tego.

Otrzymał polecenie zapewniła Wanawska.

Więc nie odchodźcie daleko, towarzysko majorze.

Złapiemy go pewnie do południa.

Major Wanawska wróciła do budynku KGB, odwołała swój łot z Pocz damu i zadzwoniła do generała Szaliapina używając sprawdzonej linii.

Generał wyraził zgodę.

W południe radziecki samolot transportowy Anionów 32 wystartował z Poczdamu do Moskwy.

Na pokładzie wiozł generała Pankratina oraz innych wysokich oficerów armii i lotnictwa, powracających do kraju.

Młodszy oficerowie siedzieli z tyłu, obok worków z pocztą.

Nie było ciemno ubranej "sekretarki" z ambasady, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

On jest w stanie powiedzieć dr Carr nad przystawką z melona i awokado który nazywamy stanem oderwania albo zaćmienia, albo

"fuga"

wysłuchał uważnie opisu anonimowego człowieka, który według McCreadygo przeżywał głębokie załamanie nerwowe.

Nie pytał o nic i nie doś.

□

wiedział się niczego o misji wypełnianej przez tego człowieka, tyle tylko, że załamanie nastąpiło we wrogim otoczeniu.

Zabrano puste talerze i na stół wjechała solą.

Oderwanie od czego?

zapytał McCready.

Od rzeczywistości oczywiście odpowiedział dr Carr.

To jest ten z klasycznych symptomów takiego syndromu.

Możliwe, że już wczesniej, przed ostatecznym załamaniem, zaczął się okłamywać.

I to jak, pomyślał McCready.

Wmawiał sobie, że piękna dziewczyna na prawdę go pokochała, że razem rozpoczną nowe życie, że podwójne morderstwo ujdzie mu na sucho.

Fuga ciągnął dr Carr wbijając widelec w delikatną sole meuniere oznaczając ucieczkę.

Ucieczkę od rzeczywistości, zwłaszcza surowej, nieprzyjemnej rzeczywistości.

Myślę, że z waszym człowiekiem jest naprawdę niedobrze.

Co on właściwie zrobi?

zapytał McCready.

Dokąd pójdzie?

Poszuka jakiegoś azylu, miejsca, gdzie będzie czuł się bezpieczny, gdzie będzie mógł się ukryć, gdzie wszystkie problemy znikną i wszyscy ludzie zostawią go w spokoju.

Może nawet cofnąć się do dzieciństwa.

Miałem kiedyś pacjenta, który przytłoczony nadmiarem problemów schronił się do łóżka, przybrał pozycję płodową, wsadził kciuk do ust i tak został.

Nie chciał wstać.

Dzieciństwo, rozumiesz.

Bezpieczeństwo, pewność.

Żadnych problemów.

Znakomita solą, nawiasem mówiąc.

Tak, jesz cze trochę meursaulta...

Dziękuję.

Wszystko bardzo pięknie, pomyślał McCready, ale Bruno Morenz nie ma żadnego azylu, do którego mógłby się schronić.

Urodził się i dorastał w Hamburgu, potem mieszkał kolejno w Berlinie, Monachium i Kołonii.

Nie znał okolic Jeny czy Weimaru.

McCready dolał wina i zapytał:

Załóżmy, że on nie ma dokąd pójść?

W takim razie obawiam się, że będzie po prostu wędrował bez celu, oszołomiony i zdezorientowany, niezdolny pomóc samemu sobie.

W moim przekonaniu, gdyby miał cel, potrafiłby działać logicznie.

Skoro celu nie ma...
lekarz wzruszył ramionami złapią go.
Prawdopodobnie już go złapali.
Najpóźniej do wieczora.

Ale nie złapali.

Przez całe popołudnie narastała frustracja i wściekłość pułkownika Vossa. Ponad dwadzieścia cztery godziny, niedługo minie trzydzieści; policja i tajniacy na każdym rogu, blokady drogowe na ob szarze między Apoldą, Jena i Weimarem; a wielki, ślamazarny, chory, zagubiony, zdezorionowany Niemiec z Zachodu po prostu wyparował.

Przez całą noc Voss chodził po swoim gabinecie na Normannenstrasse; Wanawska siedziała na brzegu pryczy w kwaterze dla niezamężnych

82

kobiet oficerów w barakach KGB; ludzie w Schloss Löwenstein i w Cheltenham garbili się nad radiową aparaturą; zatrzymywano-i przeszukiwa no pojazdy na wszystkich drogach w południowej Turynii; McCready wypił morze czarnej kawy w swoim gabinecie w Century House.

I...

nic.

Bruno Morenz zniknął.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piątek

Major Wanawska nie mogła spać.

Próbowała, ale tylko leżała w ciem nościach i zastanawiała się, jakim cudem wschodni Niemcy, sprawujący ścisły nadzór nad ludnością, mogli zgubić kogoś takiego jak Morenz na obszarze o boku trzydziestu kilometrów.

Czy podróżował autostopem?

Ukradł rower?

Czy kulił się gdzieś w rowie?

Co, u diabła, tam robili ci VOPO?

O trzeciej nad ranem doszła do wniosku, że czegoś tu brakowa ło, jakiegoś fragmentu łamigłównki.

Dlaczego zaszczuty, na wpół szalony człowiek nie został złapany na niewielkim terenie, gdzie roi się od Poli cji Ludowej?

O czwartej Wanawska wstała i jeszcze raz poszła do biura KGB.

wy wołała zamieszanie wśród nocnego personelu, ponieważ zażądała połą czenia z centralą SSD na bezpodstuchowej linii.

Zgłosił się pułkownik Voss, który w ogóle nie wychodził z biura.

To zdjęcie Morenza powiedziała wanawska czy było zro bione niedawno?

Jakiś rok temu odparł zdumiony Voss.

Skąd je dostaliście?

Z HVA wyjaśnił Voss.

Wanawska podziękowała mu i odłożyła słuchawkę.

Naturalnie HVA, czyli Haupt Verwaltung Aufklarung, zagraniczne ra mię wschodnioniemieckiego wywiadu, z oczywistych względów językowych specjalizowała się w organizowaniu siatek szpiegowskich w Niemczech Zachodnich.

Jej naczelnikiem był legendarny generał-pułkownik Marcus wolf.

Nawet KGB, notorycznie gardzące służbami wywiadowczymi kra jów satelitarnych, miało dla niego spory szacunek.

Marcus "Misza" wolf zorganizował kilka błyskotliwych akcji przeciwko Niemcom Zachodnim, między innymi "prowadził" osobistą sekretarkę kanclerza Brandta.

Wanawska obudziła miejscowego kierownika Trzeciego Departamen tu i przedstawiła swoje żądania, powołując się na generała Szaliapina.

To podziałało.

Pułkownik powiedział że zrobi, co będzie mógł.

Zadzwoił

83 .

□

za pół godziny.

Widocznie generał wolf to ranny ptaszek, powiedział;

przyjmie was w swoim gabinecie o szóstej.

O piątej tego ranka dział kryptografii GCHQ w Cheltenham odszy frował ostatnie z całej masy papierków, które nagromadziły się przez mi nione dwadzieścia cztery godziny.

Informacje te zostaną przekazane otwar tym tekstem przez dokładnie sprawdzone linie telefoniczne do różnych odbiorców część do SIS w Century House, część do MI 5 na Curzon Street, część do Ministerstwa Obrony w whitehallu.

Wiele zostanie "sko piowanych" na użytek dwóch lub nawet wszystkich trzech

odbiorców.

Pilne meldunki załatwiano znacznie szybciej, ale mniej ważne wiadomości najlepiej wysyłać do Londynu we wczesnych godzinach rannych, linie nie są wtedy tak przeciążone.

Wśród innych materiałów znajdował się sygnał wysłany w środę wieczorem z Pullach do pracownika BND w ambasadzie zachodnioniemieckiej.

Oczywiście Niemcy byli i pozostaną cenionym sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii. Nie miało znaczenia, że Cheltenham przechwyciło i rozszyfrowało poufną wiadomość, wysłaną przez sprzymierzeńca do własnej ambasady.

Szyfr złamano po cichu już jakiś czas temu.

Bez żadnych złych zamiarów, po prostu rutynowe działanie.

Ta konkretna wiadomość została przesłana do MI 5 i do wydziału NATO w Century House, który od powiadał za łączność z wywiadami wszystkich brytyjskich sprzymierzeńców oprócz CIA, mającej własny wydział.

To kierownik wydziału NATO pierwszy zwrócił uwagę Edwardsowi, że McCready nie powinien wykorzystywać oficera z zaprzyjaźnionego BND jako swojego osobistego agenta.

Niemniej jednak szef wydziału NATO pozostał przyjacielem McCreadyego.

Kiedy o dziesiątej rano zobaczył niemiecki kablogram, postanowił pokazać go Samowi.

Po prostu na wszelki wypadek...

Ale do południa nie miał czasu.

O szóstej major Wanawska została wprowadzona do gabinetu Marcusa Wolta, dwa piętra nad gabinetem pułkownika Vossa.

Arcyszpieg z Niemiec wschodnich nie lubił mundurów; ubrany był w dobrze skrojony ciemny garnitur.

Wolał również herbatę zamiast kawy i specjalnie sro wadzał doskonałą mieszankę z firmy "Fortnum and Mason" w Londynie.

Poczęstował filiżanką sowieckiego majora.

Towarzyszu generale, policja otrzymała najnowsze zdjęcie Bruno na Morenza.

Od was.

84

Misza Wolf popatrzył na nią spokojnie ponad krawędzią filiżanki.

Nawet jeśli miał własnych informatorów w zachodnioniemieckim aparacie władzy, nie zamierzał się do tego przyznawać przed kimś obcym.

Czy moglibyście zdobyć kopię życiorysu Morenza?

zapytała Wanawska.

Marcus Wolf zastanowił się nad tym żądaniem.

Do czego to wam potrzebne?

zapytał cicho.

Wanawska wyjaśniła.

Szczegółowo.

Łamiąc kilka przepisów.

wiem, że to tylko podejrzenie przyznała.

Nic konkretnego.

Mam wrażenie, że czegoś tu brakuje.

Może czegoś z jego przeszłości.

Wolf z aprobatą kiwnął głową.

Podobał mu się ten sposób myślenia.

Niektóre ze swoich największych sukcesów zawdzięczał przecuciom;

zwyciężał, ponieważ wierzył, że wróg musi mieć jakąś piętę Achillesową.

Teraz wstał, podszedł do segregatora i wyciągnął skoroszyt składający się z ośmiu kartek.

Bez słowa.

Był to życiorys Brunona Morenza.

Prosto z Pullach, ten sam, który Lothar Herrmann czytał w środę po południu.

Wanawska westchnęła z podziwem.

Wolf uśmiechnął się.

Specjalnością Marcusa Wolfa, jeśli tak można powiedzieć, było nie tyle przekupywanie i oczernianie wysoko postawionych Niemców z Zachodu (choć to również robił), ile podsufliwanie im odpowiednich sekretarek.

Były to sztywne, pedantyczne stare panny, dokładnie sprawdzone i pro wadzące nienaganny styl życia.

Marcus wiedział, że zaufana sekretarka widzi tyle co szef, a czasami więcej.

W minionych latach cała seria skan dala wstrząsnęła Niemcami Zachodnimi, kiedy to prywatne sekretarki urzędników ministerialnych i dostawców broni były aresztowane przez BfV albo ukradkiem wymykały się z powrotem na wschód.

Marcus wie dział, że pewnego dnia Fraulein Erdmute Keppel odejdzie z kolońskiego BND i wróci do swojej ukochanej Niemieckiej Republiki Demokracji tycznej. Na razie jednak dalej będzie przychodzić do biura godzinę przed Dieterem Austem i kopiować wszystkie interesujące dokumenty, łącznie z aktami personalnymi pracowników.

W lecie nadal będzie wychodziła na lunch do cichego parku, pedantycznie skonsumuje kanapkę z sałatką, nakarmi gołębie kilkoma okruszynami i wreszcie wrzuci pustą torebkę po kanapkach do najbliższego kosza na śmieci.

Po chwili torebkę wyjmie stamtąd dżentelmen wyprowadzający psa.

W zimie Fraulein Keppel będzie jadła lunch w ciepłej kawiarni, a wychodząc wyrzuci gazetę do śmieci nika przy drzwiach, skąd wyciągnie ją zmiatacz ulic.

A kiedy Fraulein Keppel wróci na wschód, zjawi się na rządowym przyjęciu, zostanie osobiście powitana przez ministra spraw wewnętrznych Ericha Mielke albo nawet samego przewodniczącego partii, Ericha Honeckera, otrzyma

85 .

□

medal, państwową emeryturę oraz przytulny domek na pojezierzu Furstenwalde.

Oczywiście nawet Marcus Wolf nie był jasnowidzem.

Nie mógł wie dzieć, że Niemiecka Republika Demokratyczna nie będzie istniała w 1990 roku, że Mielke i Honecker zostaną aresztowani pod zarzutem zdrady stanu oraz sprzeniewierzenia majątku państwowego, że on sam odejdzie na emeryturę i zajmie się pisaniem pamiętników za sówite honorarium, Erdmute Keppel zaś spędzi ostatnie lata życia w Niemczech Zachodnich, w miejscu odosobnienia, trochę mniej przytulnym niż przydziałowy domek w Furstenwaldzie.

Major Wanawska podniosła wzrok.

On ma siostrę zauważyła.

Tak potwierdził Wolf.

Uważacie, że ona coś wie?

Trudno odgadnąć odparła Rosjanka.

Gdybym mogła do niej pojechać...

Jeśli dostaniecie zezwolenie od przełożonych podpowiedział jej dyskretnie Wolf.

Niestety nie pracujecie u mnie.

Ale jeśli pojedę, będę potrzebowała kamuflażu.

Nie mogę występować jako Rosjanka lub obywatelka NRD...

Wolf skromnie wzruszył ramionami.

Mam rozmaite "legendy", gotowe do użytku.

Oczywiście.

To na leży do naszego niezwykłego zawodu...

Samolot Polskich Linii Lotniczych LOT miał międzylądowanie na lotnisku Schönefeld o dziesiątej rano.

Odłot wstrzymano o dziesięć minut, żeby zabrać na pokład Ludmiłę Wanawską.

Jak zauważył Wolf, znała niemiecki niezłe, ale nie dość dobrze, żeby uchodzić za Niemkę.

W Londynie spotka niewielu ludzi mówiących po polsku.

Miała dokumenty polskiej nauczycielki jadącej w odwiedziny do krewnych.

Polska cieszyła się znacznie bardziej liberalnym reżimem.

Polski samolot wylądował o jedenastej, zyskawszy jedną godzinę dzięki różnicy czasu.

Major Wanawska przeszła przez kontrolę paszportową i celną w ciągu trzydziestu minut, odbyła dwie rozmowy telefoniczne z budki w hali terminalu dwa, po czym wzięła taksówkę do dzielnicy Londynu zwanej Primrose Hill.

Telefon na biurku Sama McCreadygo zabrzączał w południe.

Sam właśnie skończył kolejną rozmowę z Cheltenham.

Odpowiedź brzmiała:

86

ciągle nic.

Minęło czterdzieści osiem godzin, a Morenz wciąż był na wolności.

Teraz dzwonił ktoś z wydziału NATO piętro niżej.

W rannej poczcie przyszedł jeden świstek powiedział.

Może to nic nie znaczy.

Jeśli tak, wyrzucić go do kosza.

W każdym razie wysyłam ci go przez posłańca.

Notatkę przyniesiono pięć minut później.

Kiedy McCready ją przeczytał i zauważył datownik, zaklął głośno.

Zasada tajności w zakulisowym świecie na ogół zdaje egzamin.

Lu dzie nie są informowani o niczym, czego nie muszą wiedzieć, żeby wy pełniać swoje obowiązki.

W ten sposób, jeśli następuje przeciek, rozmyślny albo spowodowany gadulstwem, szkody są stosunkowo niewielkie.

Ale czasami zasada działa w drugą stronę.

Informacja, która mogła zmienić bieg wypadków, nie została przekazana, ponieważ nikt nie wiedział, że była potrzebna.

Stacja nasłuchowa Ducha w górach Harzu oraz sekcja wschodnioniemiecka w Cheltenham otrzymały polecenie, żeby natychmiast przekazywać McCreadyemu wszystkie nowiny.

Kluczowymi słowami zapewniającymi bezwzględny przekaz, były nazwiska "Grauber" i "Morenz".

Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zaalarmować te sekcje, które przechwytywały dyplomatyczne i wojskowe komunikaty państw sojuszników.

Wiadomość, którą trzymał w ręku, nadano w środę po południu, o szesnastej dwadzieścia dwie.

Treść była następująca:

Od: Herannanna Do: Hetzau

Pilne.

Skontaktować się z panią A.

Parquarson, z domu Morenz, zamieszkał prawdopodobnie w Londynie.

Stop.

Zapytać, czy w ciągu ostatnich czterech dni nie widziała się z bratem i czy nie miała od niego wiadomości.

Koniec.

On nigdy mi nie powiedział, że ma siostrę w Londynie, pomyślał McCready. Nigdy mi nie powiedział, że w ogóle ma siostrę.

Ciekawe, co jeszcze ukrył przede mną mój przyjaciel Bruno.

McCready wyciągnął z półki książkę telefoniczną i poszukał pani Farquarson.

Na szczęście to nie było popularne nazwisko.

Co innego Smith.

Znalazł czternaście Farquarsonów, ale żadnej "Pani A."

Zaczął wydzwaniać do wszystkich po kolei.

Dwa numery nie odpowiadały.

Poszczęściło mu się za ósmym razem.

W spisie figurował Robert Farquarson, ale telefon odebrała kobieta.

Tak, tu pani Farquarson.

Przypadkiem nie pani A.

Farquarson?

87 .

□

Tak odparła lekko obronnym tonem.

Przepraszam, że panią niepokoję, pani Farquarson.

Dzwonię z Biura Imigracyjnego na lotnisku Heathrow.

Może ma pani brata nazwiskiem Bruno Morenz?

Długie milczenie.

On tam jest?

Na Heathrow?

Nie mogę tego powiedzieć, proszę pani.

Chyba że jest pani jego siostrą.

Tak, jestem Adelheid Farquarson.

Bruno Morenz jest moim bratem.

Mogę z nim porozmawiać?

Obawiam się, że nie.

Czy będzie pani pod tym adresem za, po widzmy, piętnaście minut?

To ważne.

Tak, będę tutaj.

McCready zadzwonił po samochód i kierowcę z garażu Firmy i zbiegł po schodach.

Był to duży apartament na dachu solidnie zbudowanej edwardiańskiej willi, ukrytej za Regents Park Road.

McCready nacisnął dzwonek.

Pani Farquarson, ubrana w malarski kitel, otworzyła mu drzwi i zaprowadziła go do zagraconej pracowni, z obrazami na sztalugach i szkicami rozrzuconymi po podłodze.

Była przystojną kobietą, siwowłosą jak jej brat, ale starszą.

McCready ocenił, że zbliżała się już do sześćdziesiątki.

Zrobiła mu miejsce, a kie dy usiadł, popatrzyła na niego spokojnie.

Na stoliku obok McCready spostrzegł dwa kubki do kawy.

Oba były puste.

Ukradkiem dotknął jed nego, kiedy pani Farquarson usiadła.
Kubek był ciepły.

Co mogę dla pana zrobić, panie...

Jones.

Chciałbym zapytać panią o brata, Brunona Morenza.

Dlaczego?

Chodzi o sprawy imigracyjne.

Pan kłamie, panie Jones.

Czyżby?

Owszem, ponieważ mój brat nie wybiera się do Anglii.

A gdyby przyjechał, nie miałby żadnych kłopotów z brytyjskim Urzędem Imigracyjnym.

On jest obywatelem Niemiec Zachodnich.

Pan jest z policji?

Nie, panie Farquarson.

Ale jestem przyjacielem Brunona.

Od wie lu lat.

Wiele razem przeszliśmy.

Proszę, żeby pani mi uwierzyła, ponie waż to jest prawda.

On ma kłopoty, tak?

Obawiam się, że tak.

Spróbuję mu pomóc, jeśli potrafię.

To nie będzie łatwe.

88

Co on zrobił?

Wygląda na to, że zabił swoją kochankę w kolonii i uciekł.

Mia łem od niego jedną wiadomość.

Powiedział, że nie chciał tego zrobić.

A potem znikł.

Pani Farquarson wstała, podeszła do okna i popatrzyła na park Primrose Hill, tonący w letniej zieleni.

Och, Bruno.

Ty głupcze.

Biedny, przestraszony Bruno.

Odwróciła się i popatrzyła McCreedyemu w oczy.

Był u mnie człowiek z niemieckiej ambasady.

Wczoraj rano.

Dzwo nił wcześniej, w środę wieczorem, kiedy wyszłam.

Nie powiedział mi tego, co pan...

spytał tylko, czy miałam wiadomości od Brunona.

Nie miałam.

Panu też nie mogę pomóc, panie Jones.

Pewnie wie pan więcej ode mnie, jeśli Bruno kontaktował się z panem.

Czy pan wie, gdzie on jest?

W tym problem.

Myślę, że przekroczył granicę.

Jest w Niemczech wschodnich.

Gdzieś w okolicach Weimaru.

Może zatrzymał się u przyja ciół.

Ale z tego, co wiem, on nigdy w życiu nie był w Weimarze.

Pani Farquarson wydawała się zaskoczona.

Jak to?

Przecież mieszkał tam przez dwa lata.

McCreedy był oszołomiony, ale zachował obojętną twarz.

Przepraszam.

Nie wiedziałem.

Nic mi nie powiedział.

Nie chciał o tym mówić.

Nienawidził tego miejsca.

To były dwa najgorsze lata w jego życiu.

Nigdy o tym nie wspominał.

McCreedy kiwnął głową.

Miał wtedy pięć lat.

Royal Air Force zbom bardował centrum Hamburga tak gęsto, że wywołał burzę ogniową.

Pło mienie wysysały tlen z całej okolicy, aż wreszcie powstało szalejące inter no, gdzie panowała tak wysoka temperatura, że stal płynęła jak woda, a beton

wybuchał jak bomby.

Burza przewaliła się przez miasto, pochła niając wszystko na swojej drodze.

Bruno i ja straciliśmy rodziców tej nocy.

Kiedy było po wszystkim, zajęły się nami władze.

Zostaliśmy ewakuowani.

Miałam wtedy piętnaście lat, a Bruno miał dziesięć.

Rozdzielono nas.

Mnie zakwaterowano u ro dziny pod Göttingen.

Bruna wysłano na farmę pod Weimarem.

Po woj nie odnalazłam go przez Czerwony Krzyż.

Wróciliśmy do Hamburga.

Zaopiekowałam się nim.

Ale on prawie nie wspominał o Weimarze.

Za częłam pracować w kantine NAAFI, żeby utrzymać Bruna.

Wie pan, czasy były bardzo ciężkie.

McCready kiwnął głową.

Tak, wiem.

Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

Była wojna.

W każdym razie w 1947 roku poznałam brytyjskiego sierżanta, Roberta Farquarsona.

Pobraliśmy się i przyjechaliśmy tutaj.

89 .

□

Robert umarł osiem lat temu.

Kiedy w 1948 Robert i ja wyjeżdżaliśmy z Hamburga, Bruno terminował w firmie wyrabiającej soczewki optycz ne.

Od tego czasu widziałam go tylko trzy czy cztery razy, a przez ostat nie dziesięć lat w ogóle nie mieliśmy ze sobą kontaktu.

Powiedziała to pani temu człowiekowi z ambasady?

Herr Fietzau?

Nie, on nie pytał o dzieciństwo Bruna.

Ale powie działam tej pani.

Pani?

Wyszła za ledwie przed godziną.

Pani z urzędu emerytur.

Emerytur?

Tak.

Powiedziała, że Bruno dalej pracował jako optyk w firmie BKI w Wtirzburgu.

Ale BKI chyba należy do Pilkington Glass w Anglii, a po nieważ Bruno niedługo przejdzie na emeryturę, potrzebny jest jego ży ciorys, żeby ustalić wysokość świadczeń.

Więc tej kobiety nie przysła li pracodawcy Bruna?

Wątpię.

Prawdopodobnie przysłała ją policja zachodnioniemiecka.

Obawiam się, że oni też szukają Bruna, ale nie po to, żeby mu pomóc.

Przepraszam.

Chyba zrobiłam straszne głupstwo.

Nie mogła pani wiedzieć.

Czy ta kobieta mówiła dobrze po an gielsku?

Tak, bardzo dobrze.

Z lekkim akcentem, chyba polskim.

McCready nie miał żadnych wątpliwości co do narodowości owej damy.

Wielu polowało na Brunona Morenza, ale tylko McCready i jeszcze jed na grupa wiedzieli o BKI w wurzburgu.

Wstał.

Niech pani spróbuje sobie przypomnieć wszystko, co Bruno mó wił w tych powojennych latach.

Czy ma kogoś, do kogo mógłby się zwró cić w potrzebie?

Poprosić o schronienie?

Pani Farquarson zastanawiała się długo i w skupieniu.

Wymienił jedno nazwisko, kogoś, kto był dla niego miły.

Jego nauczycielka w szkole podstawowej.

Fraulein...

cholera...

Fraulein Neuberg...

nie, teraz sobie przypomniałam.

Fraulein Neumann.

To jest to.

Neumann.

Oczywiście ona już pewnie nie żyje.

To było czterdzieści lat temu.

Ostatnie pytanie, pani Farquarson.

Czy powiedziała to pani tej kobiecie z firmy optycznej?

Nie, dopiero teraz sobie przypomniałam.

Powiedziałam jej tylko, że Bruno spędził kiedyś dwa lata jako wysiedleńca na farmie, dziesięć mil od Weimaru.

Wróciwszy do Century House McCready pożyczzył z wydziału wschodnich Niemiec książkę telefoniczną Weimaru.

W spisie było kilku Neumannów, ale tylko jedno nazwisko poprzedzały literki Fr1, skrót od Fraulein.

90

Stara panna.

Nastolatka nie miałaby własnego mieszkania i telefonu, nie w Niemczech wschodnich.

A więc dorosła kobieta, może pracująca za wodowo.

To był strzał w ciemno.

Mógł polecić któremuś z agentów-rezydentów po drugiej stronie Muru, żeby do niej zadzwonił.

Ale Stasi byli wszędzie, podsłuchiwali wszystko.

Zwykłe pytanie: Czy uczyła pani kie dyś małego chłopca nazwiskiem Morenz i czy on panią ostatnio odwie dził?

takie pytanie mogło spalić całą sprawę.

W następnej kolejności McCready odwiedził pewną sekcję w Century House, która zajmowała się preparowaniem niezbyt wiarygodnych doku mentów.

Potem zadzwonił do linii lotniczych British Airways, ale nie mogli mu pomóc.

Za to Lufthansa mogła.

Mieli lot o piątej piętnaście do Ha noweru.

McCready znowu poprosił Denisa Gaunta o podwiezienie na lotnisko.

Najlepsze plany myszy i ludzi czasami rozlatują się w strzępy, jakby to ujął szkocki poeta.

Powrotny lot Polskich Linii Lotniczych do warsza wy przez Berlin wschodni był wyznaczony na trzecią trzydzieści.

Ale kie dy pilot włączył systemy sterujące, zapaliło się czerwone ostrzegawcze światółko.

Okazało się, że to tylko uszkodzony solenoid, ale odlot opóz nił się do godziny szóstej.

W sali odlotów major Ludmiła wanawszka spojrzała na tablicę informacyjną, spostrzegła opóznienie "z przyczyn technicznych", zakłęta cicho i wróciła do książki.

Telefon zadzwonił, kiedy McCready wychodził z gabinetu.

Zawahał się, ale pomyślał, że powinien odebrać.

Może to coś ważnego.

To był Edwards.

Sam, mam prasę na karku.

Teraz posłuchaj, Sam, pod żadnym pozorem nie zezwalam ci na wyjazd do Niemiec wschodnich.

Czy to jasne?

Całkowicie i absolutnie, Timothy.

To dobrze mruknał zastępcza szefa i odłożył słuchawkę.

Gaunt wszystko słyszał.

McCready zaczynał go lubić.

Gaunt pracował w wydziale dopiero od sześciu miesięcy, ale udowodnił, że jest bystry, godny zaufania i potrafi trzymać język za zębami.

Ścinając zakręty na Hogarth Roundabout, za tłoczony jak zawsze w piątkowy wieczór, zdecydował się poruszyć ten temat.

Sam, wiem, że włąziłeś w gówna częściej niż hydraulik, ale jesteś spalony w Niemczech wschodnich i szef zabronił ci tam wracać.

91 .

□

Może mi zabronić odparł McCready ale nie może mi prze szkodzić.

Kiedy przechodził przez salę odlotów terminalu dwa, spiesząc na lot Lufthansy do Hanoweru, nie zwrócił uwagi na ładną młodą kobietę o lśnią cych blond włosach i przenikliwych błękitnych oczach, pochyloną nad książką dwa metry od niego.

A ona nie podniosła wzroku na niechłujne go mężczyznę średniego wzrostu, z

przerzedzonymi brązowymi włosami, ubranego w szary płaszcz nieprzemakalny.

Samolot McCreadygo odleciał według rozkładu i wylądował w Ha nowerze o ósmej czasu lokalnego.

Samolot major wanawskiej odleciał o szóstej i wylądował w Berlinie wschodnim na Schönefeld o dziewiątej.

McCready wynajął samochód i pojechał przez Hildesheim i Salzgitter do pewnego miejsca w lasach pod Goslarzem.

Wanawska wsiadła do samo chodu KGB i została zawieszona na Normannenstrasse 22.

Musiała cze kać godzinę na pułkownika Ottona Vossa, który miał naradę z ministrem spraw wewnętrznych Erichem Mielke.

McCready dzwonił z Londynu i zapowiedział swoją wizytę.

Gospodarz czekał na niego przy frontowych drzwiach okazałego budynku.

Był to pięknie położony domek myśliwski na wzgórzu, z którego w dzień roz ciągał się widok na długą dolinę porośniętą lasem iglastym.

A kilka kilo metrów dalej migotały w zmierzchu światła Goslaru.

Gdyby nie ciemność, McCready mógłby zobaczyć daleko na wschodzie, na szczycie Harzu, dach wysokiej wieży.

wyglądała trochę jak myśliwska ambona, ale była to wie za strażnicza i polowano z niej nie na dziki, tylko na mężczyzn i kobiety.

Człowiek, którego odwiedził McCready, nawet odpoczywając lubił spo głądać w stronę granicy, na której niegdyś dorobił się fortuny.

Jak on się zmienił przez te lata, pomyślał McCready, kiedy gospo darz wprowadził go do pokoju wyłożonego boazerią.

Ściany ozdabiały łby dzików i rogi jeleni.

Na kamiennym kominku buzował ogień; nawet na początku września noce w górach bywały chłodne.

Człowiek, który powitał McCreadygo, przybrał na wadze; niegdyś szczupły, teraz stał się otyły.

Oczywiście nadal był niski.

Ze swoją różową, okrągłą twarzą i śnieżnobiałymi włosami wyglądał całkiem nieszkodliwie, ale wystarczyło spojrzeć mu w oczy, żeby złudzenie prysło.

Chytre, prze biegłe oczy, które widziały zbyt wiele, handlowały życiem i śmiercią, za głądały do rynsztoków i znały reguły przetrwania.

Zepsuty potomek zim nej wojny, który był niegdyś nie koronowanym podziemnym królem Berlina.

92

Przez dwadzieścia lat, od zbudowania Berlińskiego Muru w 1961 roku aż do swojej emerytury w 1981 roku, Andre Kurzlinger był Grenzgangerem.

Oznacza to dosłownie: "przechodzący granicę", "przekraczający granicę".

Mur przyniósł mu fortunę.

Przed zbudowaniem Muru każdy Niemiec ze wschodu, który chciał uciec na Zachód, musiał tylko przyje chać do Berlina wschodniego i przejść do Zachodniego.

Potem, w nocy 21 sierpnia 1961, ustawiono wielkie betonowe bloki i podzielono Ber lin.

Wielu próbowało uciec przez Mur.

Niektórym się powiodło.

Innych, wrzeszczących, ściągnięto z powrotem i odesłano na długie lata do wię zienia.

Jeszcze inni, rozstrzelani z karabinów maszynowych, wisieli na drutach, dopóki ich nie odcięto.

Dla większości przekroczenie Muru było jednorazowym wyczynem.

Dla Kurzlingera, dawniej zwykłego berlińskiego gangstera i spekulanta, to stało się zawodem.

Przeprowadzał ludzi za pieniądze.

Przechodził na drugą stronę w najrozmaitszych przebraniach albo wysyłał emisariuszy i ustalał cenę.

Niektórzy płacili we wschodnich markach dużo wschodnich marek.

Za te pieniądze kurzlinger kupował trzy rzeczy, które były dobre w Ber linie wschodnim: węgierskie walizki ze świńskiej skóry, czechosłowackie płyty

długogrające z klasyczną muzyką oraz kubańskie cygara corona coronas.

Były tak tanie, nawet doliczając koszt przeschmugłowania na Zachód, że kurzlinger osiągał wielkie zyski.

Inni uciekinierzy obiecywali mu zapłacić w markach zachodnich, kiedy już znajdą się ha Zachodzie i zaczną zarabiać.

Niewielu złamało obietni cę.

Kurzlinger skrupulatnie ściągał długi i zatrudniał kilku silnych po mocników, którzy pilnowali, żeby go nie oszukano.

forsyth Fałszerz.txt

Krażyły plotki, że Kurzlinger pracuje dla zachodniego wywiadu. Nie prawdziwe, chociaż czasami wyprowadzał kogoś na zlecenie CIA lub SIS. Krażyły plotki, że był tajnym agentem SSD lub KGB; nieprawdopodobne, ponieważ za bardzo szkodził wschodnim Niemcom. Z pewnością prze kupił więcej strażników oraz komunistycznych urzędników, niż był w sta nie spamiętać. Mówiono, że potrafi wywęszyć przekupnego urzędnika na sto kroków. Chociaż działał głównie na terenie Berlina, kierował również kanała mi przerzutowymi na granicy wschodnio-zachodniej, które sięgały od Bałtyku po Czechosłowację. Kiedy wreszcie wycofał się z pokazną fortu ną, postanowił osiąść w Niemczech Zachodnich, nie w Berlinie Zachodnim. Ale nie mógł się oprzeć wspomnieniom. Jego dworek znajdował się zaledwie pięć mil od granicy, wysoko w górach Harzu. A więc, Herr McCready, Sam, mój przyjacielu, sporo czasu mi nęło.

93 .

□

Stał tyłem do ognia, emerytowany dżentelmen w aksamitnym smokingu, niepodobny do ulicznego dzieciaka o dzikim spojrzeniu, który w 1945 roku wypełznął z gruzów, żeby sprzedawać dziewczyny amerykańskim żołnierzom za papierosy Lucky Strike.

Ty też jesteś na emeryturze?

Nie, Andre, ciągle muszę pracować na kawałek chleba.

Nie to co ty, spryciarzu.

Kurzlingerowi to się spodobało.

Nacisnął dzwonek i służący wniósł zimne mozelskie wino w kryształowych kieliszkach.

A więc rzucił Kurzlinger wpatrując się w odbłask płomieni w winie co może zrobić stary człowiek dla potężnej służby szpiegowskiej Jej Wysokości?

McCready powiedział mu.

Stary człowiek nadal wpatrywał się w ogień, ale ściągnął usta i potrząsnął głową.

wycofałem się, Sam.

Jestem na emeryturze.

Teraz zostawiają mnie w spokoju.

Obie strony.

Ale wiesz, ostrzegli mnie, tak jak pewnie ostrze gali ciebie.

Jeśli znowu zacznę, przyjdą po mnie.

Szybka operacja, przez granicę i z powrotem w ciągu nocy.

Dopadną mnie w moim własnym domu.

Poważnie.

W swoim czasie sporo im zaszкодziłem, sam wiesz.

Wiem przyznał McCready.

Poza tym czasy się zmieniają.

Tak, dawniej w Berlinie mogłem cię przeprowadzić.

Nawet na prowincji miałem swoje kanały.

Ale w końcu wszystkie wykryto i pozatykano.

Miny, które rozbroiłem, zastąpiono no wymi.

Strażnicy, których przekupiłem, dostali przeniesienie...

wiesz, że na granicy nigdy nie trzymają długo tych samych strażników?

Ciągle ich wymieniają.

Kontakty urwały się.

Już za późno.

Muszę przejść na drugą stronę powoli powiedział McCready ponieważ mamy tam człowieka.

On jest chory, bardzo chory.

Ale jeśli go wyciągnę, prawdopodobnie złamię karierę człowiekowi, który teraz kie ruje Abteilungem II.

Chodzi o Ottona Vossa.

Kurzlinger nie drgnął, ale jego spojrzenie stało się lodowate.

Przed laty miał przyjaciela.

Bardzo bliskiego przyjaciela, chyba najbliższą osobę w całym życiu.

Tego człowieka złapano na przekraczaniu Muru.

Opó wiadano później, że podniósł ręce do góry.

Ale Voss i tak go zastrzelił.

Najpierw przestrzelił mu kolana, potem łokcie i ramiona.

Wreszcie strzelił mu w brzuch.

Miękkimi nabojami.

zapytał Kurzlinger.

McCready podał mu papiery.

Siegfried też obejrzał je dokładnie.

Są dobre orzekł ale będzie pan potrzebował darmowego biletu kolejowego.

Mam taki, jeszcze ważny.

Kiedy najlepiej iść?

zapytał McCready.

O czwartej.

Przed świtem.

Wtedy jest najciemniej i strażnicy są zmęczeni.

Nie tak często przeczesują reflektorami pas zoranej ziemi.

Będziemy potrzebowali peleryn maskujących na wypadek, gdyby światło nas dosięgło.

Maskowanie może nas uratować.

Przez następną godzinę omawiali szczegóły.

Rozumie pan, Herr McCready mówił Siegfried minęło już pięć lat.

Nie wiem, czy sobie przypominę, gdzie to było.

Zostawiłem na ziemi żyłkę w miejscu, gdzie wyciąłem ścieżkę przez pole minowe.

Może jej nie znajdę.

Wtedy wrócimy.

Wejść na pole minowe nie znając bez piecznej ścieżki to śmierć.

Albo moi dawni koledzy znaleźli ją i zamknęli.

Wtedy również wrócimy...

jeśli będziemy mogli.

Rozumiem odparł McCready.

I jestem bardzo wdzięczny.

Siegfried i McCready wyszli o pierwszej w nocy.

Czekała ich powolna, dwugodzinna jazda po górach.

Kurzlinger stał na progu.

Opiekuj się moim chłopcem zaznaczył.

Robię to tylko dla innego chłopca, którego Voss odebrał mi dawno temu.

Jeśli pan się przedostanie powiedziano Siegfried w samocho dzie niech pan pójdzie piechotą sześć mil do Nordhausen.

Niech pan ominie wieś Ellrich...

tam są posterunki i psy będą szczekać.

Z Nordhau sen pojedzie pan pociągiem na południe do Erfurtu, a potem autobu sem do Weimaru.

I w pociągu, i w autobusie będą robotnicy.

W milczeniu przejechali przez uśpione miasteczko Bad Sachsa i za parkowali na przedmieściu.

Siegfried stanął w ciemnościach z kompasem

96

i ślepa latarką.

Ustaliwszy namiary zagłębił się w sosnowy las, obierając kierunek na wschód.

McCready ruszył za nim.

Cztery godziny wcześniej major Wanawskaja rozmawiała z pułkownikiem

Vossem w jego gabinecie.

Według tego, co mówiła siostra, jest tylko jedno miejsce, gdzie on mógł się ukryć w tej okolicy.

Opowiedziała o ewakuowaniu Brunona Morena podczas wojny.

Farma?

zapytał Voss.

Jaka farma?

Tam są setki farm.

Siostra nie znała nazwiska.

wiedziała tylko, że to było jakieś pięć naście kilometrów od Weimaru.

Zorganizujcie obławę, pułkowniku.

Wy ślijcie ludzi.

Złapiecie go w ciągu jednego dnia.

Pułkownik Voss zadzwonił do Abteilungu XIII wywiadu i służby

bezpieczeństwa Narodowej Armii Ludowej, czyli NVA.

Ponieważ obecnie całą operacją kierował bezpośrednio minister Erich Mielke, nie było sprze ciwów.

W kwaterze głównej NVA w Karlhorst rozdzwoniły się telefony i przed świtem ciężarówka ruszyła na południe, w stronę Weimaru.

Krąg zamknięty oznajmił Voss o północy.

Oddziały wyru sza z Weimaru i będą przeczesywać kolejne sektory wokół miasta.

Prze szukają każdą farmę, stodołę, oborę, szopę, chlew i kurnik w promieniu

dwudziestu kilometrów.

Mam tylko nadzieję, że nie mylicie się, major wa nawska.

W akcji bierze udział wielu ludzi.

Nad ranem pułkownik Voss wyjechał swoim służbowym samochodem w kierunku południowym.

Towarzyszyła mu major Wanawska.

Akcja miała się rozpocząć o świcie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sobota

Siegfried leżał na brzuchu pomiędzy ostatnimi drzewami i przyglądał się ciemnym zarysom lasu odległego o trzysta jardów, należącego już do Niemiec Wschodnich.

McCready leżał obok.

Pięć lat wcześniej, również po ciemku, Siegfried wyciął ścieżkę, biegnącą od pnia wyjątkowo wysokiej sosny po wschodniej stronie do błyszczącej białej skały na zboczu pagórka po zachodniej stronie.

Kłopot po legał na tym, że Siegfried zawsze oglądał skałę od wschodu, połykając błado w nikłym świetle przedświt.

Nie przewidział, że będzie musiał podejść z drugiej strony.

Teraz skała znajdowała się wysoko nad jego

97 .

□

głową, przesłonięta drzewami.

Mógł ją zobaczyć jedynie z tamtego odległego miejsca na Ziemi Niczyjej.

Starannie ocenił wzrokiem kierunek, przeczołgał się przez ostatnie dziesięć metrów Niemiec Zachodnich i za czał cicho rozcinać nożycami drucianą siatkę.

Kiedy dziura była gotowa, zamachał do McCreadyego podniesionym ramieniem.

McCready wyczołgał się spod osłony drzew i popełznął w stronę siatki.

Przez ostatnie pięć minut obserwował wieże strażnicze wschodniemieckich posterunków granicznych oraz oceniał zasięg reflektorów.

Siegfried dobrze wybrał miejsce w połowie drogi pomiędzy dwoma wieżami.

Na dodatek sosny po drugiej stronie wypuściły przez lato gałęzie, które sterczały na kilka stóp nad polem minowym i częściowo przesłaniały światło przynajmniej jednego reflektora.

Dopiero jesienią zjawia się chirurdzy drzew i poprzycinają niepotrzebne gałęzie.

Drugi reflektor oświetlał dokładnie ich trasę, ale obsługujący go człowiek był widocznie zmęczony albo znużony, ponieważ wyłączał światło na długie minuty.

Po włączeniu reflektor zawsze był skierowany w bok.

Potem snop światła przesuwiał się w ich stronę, zawracał i znowu gasł.

Jeżeli operator będzie trzymał się tego schematu, zostaną ostrzeżeni kilkanaście sekund wcześniej.

Siegfried poderwał głowę i przełaził przez dziurę.

McCready przelazł jako drugi i przeciągnął przez otwór jutowy worek.

Niemiec odwrócił się i wsadził na miejsce wycięty kawałek siatki.

Rozcięcie było widoczne do piero z bliska, a strażnicy nigdy nie sprawdzali siatki, chyba że zobaczyli dziurę.

Oni też nie lubili wchodzić na pole minowe.

Kusiło, żeby przebiec sto metrów zaoranej ziemi, teraz porośniętej gęstą trawą, pośród której rosły wybujałe pokrzywy, osty i dziki szczaw.

Ale w trawie mogły kryć się naciągnięte druty, połączone do urządzenia alarmowego.

Bezpieczniej się czołgać.

Czołgali się.

W połowie drogi drzewa osłoniły ich przed reflektorem po lewej, ale reflektor po prawej włączył się.

Obaj mężczyźni znieruchomieli i rozpłaszczyli się na ziemi w swoich zielonych pelerynach.

Obaj mieli uczernione twarze i dłonie.

Siegfried zrobił to pastą do butów, McCready przypalonym korkiem, który łatwiej będzie zmyć po drugiej stronie.

Jasne światło oblało ich, zawahało się, cofnęło i znowu zgasło.

Dziesięć metrów dalej Siegfried znalazł drut pułapkę i gestem kazał McCreadyemu ominąć to miejsce.

Po następnych czterdziestu metrach dotarli do pola minowego.

Tutaj trawa i osty sięgały do piersi.

Nikt nie próbował orać na polu minowym.

Niemiec obejrzał się.
Wysoko ponad drzewami McCready widział białą skałę, plamę jasności na tle ciemnego sosnowego lasu.
Siegfried obrócił

98

głowę i spojrzał na ogromne drzewo naprzeciwko skały.
Zboczył dziesięć metrów w prawo od swojej linii.
Znowu zaczął się czołgać skrajem pola minowego.
Wreszcie zatrzymał się i zaczął delikatnie rozgarniać wysoką trawę.
Po dwóch minutach McCready usłyszał jego triumfalne syknięcie.
Pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym Niemiec trzymał cienką żyłkę.
Pociągnął ostrożnie.
Jeżeli linka puści, misja będzie skończona.
Linka napięła się i trzymała mocno.
Niech pan pilnuje żyłki szepnął Siegfried.
Zaprowadzi pana przez pole minowe do tunelu pod drutami.
Ścieżka ma tylko pół metra szerokości.
Kiedy pan wraca?

Za dwadzieścia cztery godziny szeptem odparł mu McCready.
Albo za czterdzieści osiem.
Po tym terminie zapomnijcie o mnie.
Kiedy będę wracał, dam sygnał ślepią latarką spod tego wielkiego drzewa.
Zostaw dla mnie otwartą dziurę.

wpełznął na brzuchu na pole minowe.
Wysoka trawa i chwasty prawie go zakryły.
Siegfried zaczekał, aż reflektor oświetli go po raz ostatni, i poczołgał się z powrotem na Zachód.

McCready posuwał się do przodu wzdłuż nylonowej linki.
Co jakiś czas sprawdzał, czy linka biegnie prosto.
Wiedział, że nie zobaczy żadnych min.
Nie było tu wielkich min talerzowych, które mogły wysadzić w powietrze ciężarówkę.
Tutaj były małe miny przeciwpiechotne, plastikowe, a więc niewidzialne dla wykrywaczy metali, które próbowali stosować uciekinierzy.
Miny były zakopane i reagowały na nacisk.
Nie zabijały królika lub lisa, ale wybuchały pod ciężarem ludzkiego ciała.
Dostatecznie złośliwe, żeby urwać nogę, wyszarpać wnętrzności albo rozerwać klatkę piersiową, czasami nie zabijały od razu.
Niedoszły uciekinier wrzeszczał nieraz przez całą noc i dopiero po wschodzie słońca przychodzili strażnicy z przewodnikami, żeby zabrać ciało.

McCready zobaczył przed sobą, na końcu pola minowego, wysokie zasieki z drutu najeżonego ostrzami.
Linka doprowadziła go do płytkiej jamy pod zasiekami.
Obrócił się na plecy, uniósł druty podpierając je workiem i wbił obcas w ziemię.
Powoli przesuwał się pod drutami.
Nad sobą widział błyszczące ostrza, dzięki którym ten rodzaj drutu jest o tyle bardziej niebezpieczny od drutu kołczastego.

Zasieki były szerokie na dziesięć metrów, ale spiętrzone wysoko na dwa metry.
Kiedy McCready wyczołgał się po drugiej stronie, zobaczył, że nylonowa linka była przywiązana do niedużego kołka, który ledwo się trzymał w ziemi.
Jeszcze jedno szarpnięcie i wyciągnięty kołek uniemożliwiłby całą wyprawę.
McCready przykrył kołek grubą warstwą sosnowych

99

igieł, dokładnie zapamiętał jego położenie naprzeciwko wielkiej sosny i odczołgał się, trzymając kompas przed sobą.
Czołgał się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, póki nie dotarł do ścieżki.
Tam zdjął pelerynę, owinał nią kompas i ukrył pod sosnowymi igłami dziesięć metrów w głębi lasu, żeby psy przechodzące ścieżką nie wywęszyły ubrania.
Na skraju ścieżki złamał gałąź wysoko nad głową i zo stawił ją dyndającą na strzępku kory.
Nikt inny tego nie zauważy oprócz niego.
Wracając będzie musiał znaleźć ścieżkę, złamaną gałąź i ukrytą pelerynę z kompasem.
Skręt pod kątem 270 stopni zaprowadzi go z powrotem do olbrzymiej sosny.

Odwrócił się i ruszył na wschód.

Idąc zapamiętywał każdy punkt orientacyjny: zwałone drzewo, stos desek, ostry zakręt.

Po dwóch kilometrach marszu wyszedł na drogę i zobaczył przed sobą wieżę luterańskiego kościoła w wiosce Ellrich.

Zgodnie z pouczeniem ominął wioskę idąc przez pola, z których zebrano pszenicę.

W końcu trafił na drogę do Nordhausen.

Była dokładnie piąta rano.

Trzymał się skraju drogi, gotów wskoczyć do rowu, gdyby zobaczył jakiś pojazd.

Miał nadzieję, że dalej na południu jego zniszczone na ortalionową kurtkę, sztruksowe spodnie, ciężkie buty i czapka z daszkiem, zwykły ubiór niemieckich chłopów, nie będą zwracały uwagi.

Ale tutaj społeczność była tak mała, że wszyscy znali wszystkich.

Wolał uniknąć pytań, skąd i dokąd idzie, zwłaszcza że mógł iść tylko z wioski Ellrich albo od granicy.

Niedaleko Nordhausen poszczyliło mu się.

Za płotem obok wiejskiego domu stał rower oparty o drzewo.

Zardzewiał, ale nadający się do użytku.

McCready ocenił przydatność roweru i postanowił go zabrać.

Jeśli kradzież nie zostanie zauważona w ciągu trzydziestu minut, warto zaryzykować.

Prowadził rower przez blisko sto metrów, potem wsiadł i popedałował na stację kolejową.

Była za pięć szósta.

Pierwszy pociąg do Erfurtu odchodził za piętnaście minut.

Na peronie czekało kilkudziesięciu robotników, jadących na południe do pracy.

McCready pokazał swój bilet wolnej jazdy i otrzymał miejscówkę.

Pociąg wtoczył się na stację, buchając parą ze staroświeckiej lokomotywy, ale punktualnie.

McCready, przyzwyczajony do niedociągnięć brytyjskich kolei, przyjął to z zadowoleniem.

Nadał rower na bagaż i zajął swoje miejsce na drewnianej ławce.

Pociąg zatrzymywał się w Sonderhausen, Greussen i Strausfurcie, zanim dotarł do Erfurtu o szóstej czterdzieści jeden.

McCready odebrał rower i popedałował ulicami w stronę wschodniego przedmieścia, gdzie zaczynała się szosa numer siedem do Weimaru.

100

Tuż po wpół do ósmej, kilka kilometrów na wschód od miasta, dogo nił go traktor ciągnący otwartą przyczepę.

Za kierownicą siedział stary człowiek.

Wracał z Erfurtu, dokąd dostarczał buraki cukrowe.

Traktor zwolnił i zatrzymał się.

Steig mai rauf zawołał stary przekrzykując warkot zdezelowanego silnika, który wypuszczał gęste kłęby czarnego dymu.

McCready z wdzięcznością pomachał mu ręką, załadował rower na przyczepę i wsiadł.

Hałas silnika uniemożliwiał rozmowę, na szczęście dla McCreadyego, który wprawdzie znał dobrze niemiecki, ale nie miał tego dziwnego akcentu mieszkańców Dolnej Turyngii.

Zresztą stary chłop wolał w milczeniu ssać pustą fajkę.

Piętnaście kilometrów przed Weimarem McCready zobaczył żołnierzy.

Kilka ich grup zablokowało drogę, a reszta rozproszyła się po polach z obu stron.

Widział ich hełmy wśród kukurydzy.

Po prawej od drogi odchodziła polna ścieżka.

Widać było na niej żołnierzy rozstawionych co dziesięć jardów, zwróconych w stronę Weimaru.

Traktor zatrzymał się przed blokadą.

Sierżant krzyknął na kierowcę, żeby zgasił silnik.

Stary odkrzyknął: jeśli to zrobi, silnik później nie zapali.

Czy żołnierze go popchną?

Sierżant zastanowił się, wzruszył ramionami i zażądał od starego dokumentów.

Obejrzał je, oddał właścicielowi i podszedł do McCreadyego.

Papiere powiedział.

McCready podał mu dowód osobisty.

Dokument, wydany przez okręg administracyjny Weimaru, opiewał na nazwisko

Martina Kroiła, pracownika rolnego.

Sierżant, który pochodził z miasta Schwerin na północy, pociągnął nosem.

Co tam jest?

zapytał.

Buraki cukrowe odpowiedział McCready.

Nie przyznał się, że nic go nie łączy z kierowcą traktora, ponieważ nikt o to nie pytał.

Nie wspomniał również, że przed burakami cukrowymi przyczepa przewoziła znacznie bardziej pikantny ładunek.

Sierżant zmarszczył nos, oddał mu dokumenty i gestem kazał traktorowi odjeżdżać. Od strony Weimaru zbliżała się bardziej interesująca ciężarówka, a jemu kazano szukać człowieka, siwowłosego mężczyzny z nadreńskim akcentem, pró bującego wymknąć się z obławy, a nie śmierdzącego traktora, wjeżdżają cego na teren poszukiwań.

Traktor skręcił w bok pięć kilometrów przed Weimarem.

McCready zeskoczył, zdjął rower, pomachał staremu na podziękowanie i popedało wał do miasta.

Już na przedmieściach musiał omijać ciężarówki, które wypluwały z siebie potok żołnierzy w szarozielonych mundurach NVA, Narodowej

101 .

□

Armii Ludowej, gęsto przetykanych jaśniejszą zielenią mundurów VOPO, Policji Ludowej.

Grupki weimarskich obywateli stały na rogach ulic, przy patrując się ciekawie.

Niektórzy twierdzili, że to manewry; nikt nie zaprzeczał.

Manewry wojskowe to normalna rzecz, ale nie w centrum miasta.

McCready miał ochotę spojrzeć na plan miasta, ale wiedział, że nie może tego robić publicznie.

Nie był turystą.

Przypomniał sobie trasę wytyczoną na planie, który pożyczył z wydziału

Wschodnich Niemiec w Londynie i przestudiował w samolocie do Hanoweru.

Znajdował się na Erfurterstrasse.

Pojechał dalej prosto aż do centrum Starego Miasta i zo baczył przed sobą potężny gmach Teatru Narodowego.

Ulice były tu bru kowane kocimi łbami.

Skręcił w lewo w Heinrich-Heine-Strasse i poje chał w stronę Karl-Manc-Platz.

Tam zsiadł i popychał rower z opuszczoną głową, a samochody VOPO mijały go pędząc w obu kierunkach.

Na Rathenau Platz poszukał Brennerstrasse i znalazł ją po drugiej stronie placu.

Według planu Bockstrasse powinna być na prawo.

I rze czywiście była.

Stary budynek pod numerem czternastym od dawna wy magał remontu, jak niemal wszystko w raju Herr Honeckera.

Farba łusz czyła się, tynk odpadał, a osiem nazwisk lokatorów z trudem dawało się odczytać.

Na wizytówce mieszkania nr 3 McCready odcyfrował pojedyn cze nazwisko: Neumann.

Przepchnął rower przez wielkie frontowe drzwi, zostawił go w sieni wyłożonej kamiennymi płytami i wszedł na schody.

Na każdym piętrze znajdowały się dwa mieszkania.

Numer 3 był piętro wyżej.

McCready zdjął czapkę, poprawił marynarkę i nacisnął dzwonek.

Była za dziesięć dziewiąta.

Przez chwilę nic się nie działo.

Po dwóch minutach rozległo się szu ranie i drzwi otwarły się powoli.

Fraulein Neumann była bardzo stara.

wyglądała na osiemdziesiątkę z okładem.

Miała czarną suknię, siwe wło sy i opierała się na dwóch laskach.

Podniosła wzrok na McCreadyego i zapytała: fa?

McCready uśmiechnął się szeroko, jak do kogoś znajomego.

Tak, to pani, Fraulein.

Zmieniła się pani.

Ale nie bardziej ode mnie.

Pani pewnie mnie nie pamięta.

Martin Kroił.

Uczyła mnie pani w szkole podstawowej, czterdzieści lat temu.

Popatrzyła na niego spokojnie bystrymi, błękitnymi oczami zza oku larów w złotych oprawkach.

właśnie przyjechałem do Weimaru.
Z Berlina, wie pani.
I zastana wiałem się, czy pani jeszcze tu mieszka.
W książce telefonicznej znalazłem pani nazwisko.
Pomyślałem, że powinienem panią odwiedzić.
Mogę wejść?
Odsunęła się na bok i wpuściła go do mieszkania.
Ciemny przedpó kój, cuchnący stęchlizną.
Kuśtykając zaprowadziła go do pokoju, które102
go okna wychodziły na ulicę.
Zaczekał, aż usiadła, po czym sam zajął miejsce.
A więc kiedyś pana uczyłam, w tej starej szkole podstawowej na
Heinrich-Heine-Strasse.
Kiedy to było?
No, chyba w czterdziestym trzecim i czwartym.
Bomby wygoniły nas z Berlina.
Ewakuowano mnie razem z innymi.
To chyba było w lecie czterdziestego trzeciego.
Chodziłem do jednej klasy z...
ach, te nazwi ska...
już wiem, z Brunonem Morenzem.
Był moim kolegą.
Przyglądała mu się przez chwilę, potem podniosła się z fotela.
McCreedy wstał.
Staruszka pokuśtykała do okna i wyjrzała na ulicę.
Z łoskotem przejechała ciężarówka pełna VOPO.
Wszyscy siedzieli sztywno wyprosto wani, uzbrojeni w węgierskie pistolety AP9,
tkwiące w kaburach u pasa.
Ciągle mundury rzuciła cicho Fraulein Neumann, jakby do siebie.
Najpierw naziści, teraz komuniści.
Ciągle mundury i broń.
Przedtem Gestapo, teraz SSD.
Och, Niemcy, za co nas spotyka to wszyst ko?
Odwróciła się od okna.
Pan jest Anglikiem, prawda?
Proszę usiąść.
McCreedy usiadł z wdzięcznością.
Uświadomił sobie, że mimo pode szłego wieku umysł starej nauczycielki wciąż jest
bardzo bystry.
Dlaczego pani wygaduje takie rzeczy?
zapytał z oburzeniem.
Nie przestraszyła się jego gniewu.
Z trzech powodów.
Pamiętam każdego chłopca, którego uczyłam w tej szkole podczas wojny i później.
Nie było wśród nich żadnego Martina Kroiła.
A szkoła nie znajdowała się wtedy na Heinrich-Heine-Strasse.
Heine był Żydem, naziści usunęli jego nazwisko ze wszystkich ulic i pomników.
McCreedy miał ochotę wymierzyć sobie kopniaka.
Powinien był wie dzieć, że nazwisko Heinego, jednego z największych niemieckich
pisa rzy, zostało przywrócone do łask dopiero po wojnie.
Jeśli pani zacznie krzyczeć albo wzywać pomocy powiedzia ł cicho nie
zrobię pani nic złego.
Ale oni przyjdą po mnie, zabiorą mnie i zastrzelą.
Wybór należy do pani.
Pokuśtykała do swojego fotela i usiadła.
W roku 1934 byłam profesorem na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie.
Najmłodsza i jedyną kobietą profesorem.
Naziści doszli do władzy.
Gardziłam nimi i nie ukrywałam tego.
Pewnie miałam szczęście, mogli wysłać mnie do obozu.
Ale potraktowali mnie łagodnie: wysłali mnie tutaj, żebym uczyła chłopskie
dzieci w szkole podstawowej.
Po woj nie nie wróciłam na uniwersytet.
Częściowo dlatego, że miejscowe dzieci mają takie samo prawo do nauki co zdolna
berlińska młodzież; częściowo103 .

□
wo dlatego, że nie chciałam powtarzać komunistycznych kłamstw.
Czy to jest odpowiedź na pańskie pytanie?

A jeśli mimo wszystko mnie złapią i powiem im o pani?
Uśmiechnęła się po pierwszy.

Młody człowieku, kiedy skończy pan osiemdziesiąt osiem lat, nie będą mogli panu nic zrobić, czego i tak nie robi wkrótce dobry Bóg.
Po co pan przyszedł?

Po Brunona Morenza.

Pamięta go pani?

O tak, pamiętam go.

Czy on ma kłopoty?

Tak, Fraulein, duże kłopoty.

On jest tutaj, niedaleko stąd.

Wypełniał misję...

dla mnie.

wykończył się psychicznie.

Kompletne załamane nerwowe.

Ukrywa się gdzieś tutaj.

Potrzebuje pomocy.

Policja, tylu żołnierzy.

Wszyscy szukają Bruna?

Tak.

Jeśli znajdę go pierwszy, postaram się mu pomóc.

wyciągnę go stąd, zanim będzie za późno.

Dlaczego przyszedł pan do mnie?

Rozmawiałem z jego siostrą w Londynie.

Bruno prawie nic jej nie powiedział o tych dwóch latach, które tu spędził w czasie wojny.

Tylko tyle, że był bardzo nieszczęśliwy, a jedyną jego przyjaciółką była nauczycielka, Fraulein Neumann.

Stara nauczycielka w milczeniu bujała się w fotelu.

Biedny Bruno powiedziała wreszcie.

Biedny, przestraszony Bruno.

Zawsze tak się bał.

Krzyku i bólu.

Dlaczego on się bał, Fraulein Neumann?

Pochodził z socjaldemokratycznej rodziny w Hamburgu.

Jego ojciec zginął podczas bombardowania, ale przed śmiercią widocznie wyrażał się niepocholebnie o Hitlerze.

Bruna wysłano na wieś do pewnego gospodarza, pijaka i brutala, a także gorliwego nazisty.

Kiedyś Bruno powtórzył przy nim słowa ojca.

Gospodarz wychłostał go pasem.

Mocno.

Potem ciągle go bił.

Bruno zaczął uciekać z domu.

Gdzie się ukrywał, Fraulein?

Proszę, gdzie?

W stodole.

Raz mi pokazał.

Poszłam tam, żeby przywołać do po rządka gospodarza.

Na skraju łąki stała stodoła, daleko od domu i po pozostałych budynków.

Bruno wygrzebał sobie dziurę w sianie na strychu.

Właził tam i czekał, aż gospodarz upije się i zaśnie.

Gdzie dokładnie stała ta stodoła?

Wieś nazywała się Marionhain.

Nazwa chyba pozostała.

Tylko cztery gospodarstwa.

Teraz oczywiście skolektywizowane.

Leży pomiędzy wioskami Ober i Nieder Grunstedt.

Pojedzie pan szosą na Erfurt.

Po sześciu kilometrach skręci pan na lewo w polną drogę.

Jest tam droga104

wskaż.

Gospodarstwo nazywało się Farma Mullera, ale teraz pewnie ma tylko numer.

W każdym razie niech pan szuka stodoły oddalonej o dwieście metrów od innych budynków, na skraju łąki.

Pomoże mu pan?

McCready wstał.

Jeśli on tam jest, Fraulein, spróbuję.

Przyrzekam, że spróbuję.
Dziękuję pani za pomoc...

Ruszył do drzwi.

Podobno odgadła pani, że jestem Anglikiem, z trzech powodów, ale wymieniła pani tylko dwa.

Ach tak.

Jest pan ubrany jak wieśniak, ale powiedział pan, że mieszka w Berlinie.
Berlin to nie wieś.

Więc jest pan szpiegiem.

Albo pracuje pan dla nich...

kiwnęła głową w kierunku okna, gdzie właśnie przejeżdżała kolejna ciężarówka albo dla drugiej strony.

Mogłem być agentem SSD.

Uśmiechnęła się ponownie.

Nie, mister Engländer, pamiętam brytyjskich oficerów, którzy byli tutaj przez krótki okres w 1945 roku, zanim wkroczyli Rosjanie.

Pan był za uprzejmy.

Polna droga, zgodnie ze słowami nauczycielki, odchodziła od szosy w lewo, gdzie żyzne pola leżały pomiędzy szosą numer siedem a autostradą E40. Niewielki drogowskaz głosił: Ober Grunstedt.

McCready dojechał do skrzyżowania odległego o dobry kilometr.

Droga rozgałęziała się.

Po lewej leżało Nieder Grunstedt.

McCready widział mur zielonych mundurów otaczających wioskę.

Po drugiej stronie na polu rosła ku kurydza, wysoka na pięć stóp.

McCready popadał w prawo, pochylony nisko nad kierownicą.

Ominął Ober Grunstedt i wjechał na jeszcze węższą ścieżkę.

Kilometr dalej widział jakieś zabudowania, spiczaste dachy domów w turyńskim stylu, stodoły o wysokich i szerokich wrotach, do których mogły wjechać wozy z sianem.

Marionhain.

Nie chciał przechodzić przez wioskę.

Wieśniacy natychmiast zauważyliby obcego.

Schował rower w kurydzy i wlaź na płot, żeby się rozejrzeć.

Po prawej zobaczył samotną, wysoką stodołę z cegły i smołowanych desek, oddaloną od głównych budynków.

Zaczął obchodzić wioskę kryjąc się w kurydzy, żeby dotrzeć do stodoły.

Na horyzoncie fala zielonych mundurów wylewała się z Nieder Grunstedt.

Dr Lothar Herrmann również pracował tego ranka.

W soboty zwykle miał wolne, ale dzisiaj potrzebował jakiegoś zajęcia, żeby zapomnieć o kłopotach.

Poprzedniego wieczoru jadł kolację z dyrektorem naczelnym.

Nie był to przyjemny posiłek.

105 .

□

W sprawie zabójstwa Renaty Heimendorf nikogo nie aresztowano.

Policja nie rozesłała nawet listów gończych za podejrzanym, którego na leżało przesłuchać.

Wydawało się, że komplet odcisków palców i dwa wystrzelone pociski zaprowadziły detektywów w ślepią uliczkę.

Przesłuchano dyskretnie wielu bardzo szacownych dżentelmenów w sektorze prywatnym i publicznym.

Mimo zakłopotania każdy z nich zgodził się współpracować do pewnego stopnia.

Pobrano odciski palców, przetestowano posiadaną broń, sprawdzono alibi.

Bez rezultatu.

Naczelnym dyrektorem był współczujący, ale nieugięty.

Najwyższy czas skończyć z nieudolnością służby.

W poniedziałek rano on, dyrektor naczelny, wybiera się do Urzędu Kanclerza na spotkanie z sekretarzem stanu, który jest odpowiedzialny za BND na szczeblu politycznym.

To będzie bardzo trudna rozmowa i naczelnemu wcale to się nie podoba.

Ani trochę.

Dr Herrmann otworzył gruby raport dotyczący zagranicznych przekazów radiowych w okresie od środy do piątku.

Zauważył, że było ich bardzo dużo.

Jakieś zamieszanie wśród VOPO w rejonie Jeny.

Potem jego oczy natrafiły na zwrot użyty w rozmowie pomiędzy patrolowym samochodem VOPO a centralą w Jenie.

"Wysoki, siwe włosy, nadreński akcent..." Dr Herrmann zamyślił się. Coś mu się kojarzyło...

Wszedł pomocnik i położył przed szefem następną teczkę.

Skoro Herr Doktor upiera się przy pracy w sobotę, będzie otrzymywał bieżące raporty.

Teczka zawierała grzecznościową przesyłkę od BfV z informacją, że pewien bystrocki pracownik na lotnisku w Hanowerze zwrócił uwagę na człowieka, który przyleciał do Niemiec z Londynu pod nazwiskiem Maitland.

Pracownik BfV przytomnie sprawdził jego tożsamość i przesłał informację do centrali w Kolonii.

Kolonia przekazała informację do Pullach.

Pod nazwiskiem Maitland krył się niejaki pan Samuel McCready.

Dr Herrmann był obrażony.

To bardzo nieuprzejmie, żeby oficer wywiadu wjeżdżał ukradkiem do zaprzyjaźnionego kraju.

To również bardzo niezwykłe.

Chyba że...

Jeszcze raz popatrzył na raporty z Jeny i no tatkę z Hanoweru.

On nie miałby odwagi, pomyślał.

A inna część umysłu odpowiedziała: owszem, miałby cholernie dużo odwagi.

Dr Herrmann podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wydawać polecenia.

McCready wyszedł spod osłony kukurydzy, rozejrzał się w obie strony i pokonał ostatnie kilka jardów, dzielące go od stodoły.

Zardzewiałe za wiasy zaskrzypiały, kiedy pchnął wrota.

Drobne pyłki tańczyły w smugach światła, które wpadało do wnętrza przez liczne szczeliny, wydobywając

106

z mroku niewyraźne kształty starych wozów i beczek, uprząży i rdzewiejących koryt.

McCready podniósł wzrok.

Na strych pełen siana prowa dziła drabina.

McCready wspinał się po drabinie i zawołał cicho:

Bruno.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Obszedł stos siana, wypatrując świeżych śladów poruszenia.

Na końcu stodoły pomiędzy dwiema belami zobaczył strzępek nieprzemakalnego materiału.

Ostrożnie podniósł jedną belę:

Bruno Morenz leżał na boku w swoim schronieniu.

Oczy miał otwarte, ale nie poruszał się.

Zamrugał, kiedy światło wpadło do dziury.

Bruno, to ja, Sam.

Twój przyjaciel.

Spójrz na mnie, Bruno.

Morenz powoli podniósł wzrok na McCreadyego.

Był szary na twarzy i nie ogolony.

Od trzech dni nic nie jadł i pił tylko stęchlą wodę z beczki.

Próbował skupić puste spojrzenie na McCreadym.

Sam?

Tak, Sam.

Sam McCready.

Nie mów im, że tu jestem, Sam.

Nie znajdą mnie, jeśli im nie powiesz.

Nie powiem im, Bruno.

Nigdy.

Przez szparę w deskach zobaczył linię zielonych mundurów, przesuwaną wającą się przez pole kukurydzy w stronę Ober Grunstedt.

Spróbuj usiąść, Bruno.

Pomógł Morenzowi podnieść się do pozycji siedzącej i oprzeć się plecami o belę siana.

Musimy się pospieszyć, Bruno.

Wyciągnę cię stąd.

Morenz tępo potrząsnął głową.

Zostanę tutaj.

Sam.

Tutaj jest bezpiecznie.

Nikt mnie nigdy nie znajdzie.

Tak, pomyślał McCready, pijany chłop nigdy go nie znalazł.

Lecz pięciuset żołnierzy znajdzie.
Próbował postawić Morenza na nogi, ale to było beznadziejne.
Morenz za dużo ważył.
Nie mógł się utrzymać na nogach.
Przycisnął ręce do piersi.
Miał coś pod płaszczem.
McCready opuścił go na siano.
Morenz znowu zwinął się w kłębek.
McCready wie działo, że nie może zabrać tego człowieka do granicy obok Ellrich, przeź prowadzić go przez druty i przez pole minowe.
To już skończone.

Przez szparę, pomiędzy kolbami kukurydzy, widać było zielone mury otaczające domy i budynki gospodarskie w Ober Grunstedt.
Następnie będzie Marionhain.

Złożyłem wizytę Fraulein Neumann.

Pamiętasz Fraulein Neumann?

Jest bardzo miła.

Tak, miła.

Pewnie wie, że tu jestem, ale nic im nie powie.

107 .

□

Nigdy, Bruno.

Nigdy.

Mówiła, że masz dla niej pracę domową.

Chce ci wystawić ocenę.

Morenz wyciągnął spod płaszcza gruby maszynopis w czerwonej płaskiej okładce, ozdobionej złotym sierpem i młotem.

Był bez krawata, w rozpiętej koszuli.

Z szyi zwisał mu klucz na sznurku.

McCready wziął maszynopis.

Pić mi się chce.

Sam.

McCready podał mu małą, srebrną kieszonkową flaszkę, którą wyciągnął z tylnej kieszeni spodni.

Morenz łapczywie wypił whisky.

McCready wyjrzał przez szparę.

Żołnierze skończyli już z Ober Grunstedt.

Jedni maszerowali drogą, inni rozsypali się po polach.

Ja tu zostanę.

Sam powiedział Morenz.

Tak odparł McCready zostaniesz tu.

Żegnaj, stary przyjaźnieli.

Spij spokojnie.

Nikt już nigdy nie zrobi ci krzywdy.

Już nigdy wymamrotał Morenz zasypiając.

McCready zdjął mu z szyi klucz na sznurku, wsadził maszynopis do worka, zszedł po drabinie i wśliznął się w kukurydzę.

Pierścień obławy zamknął się dwie minuty później.

Było południe.

Dwanaście godzin zabrał McCreadyemu powrót do wielkiej sosny na granicy opodal wioski Ellrich.

Nałożył pelerynę i czekał w lesie do trzeciej trzydzięści.

Potem trzy razy błysnął ślepa latarka w kierunku białej skały po drugiej stronie granicy i przeczołgał się pod drutem, przez pole minowe i pas zoranej ziemi.

Siegfried czekał na niego przy ogrodzeniu.

Wracając samochodem do Goslaru McCready obejrzał klucz, który zabrał Morenzowi.

Klucz był stalowy i miał z boku wyryte dwa słowa:

"Flughafen Koln".

Po obfitym śniadaniu McCready pożegnał się z Kurzlingerem i Siegfriedem. Następnie, zamiast wracać na północ do Hanoweru, ruszył na południe.

,

O pierwszej tego sobotniego popołudnia żołnierze wezwali pułkownika Vossa, który przyjechał służbowym samochodem.

Towarzyszyła mu kobieta w cywilnym ubraniu.

Razem weszli po drabinie i obejrzelili ciało leżące na sianie.

Przeprowadzono staranną rewizję, niemal rozebrano stodołę na kawałki, ale nie znaleziono ani jednej kartki papieru, nie mówiąc już o grubym maszynopisie.

Poza tym nie wiadomo było, czego szukać.

Żołnierz wyłuskał z dłoni zmarłego małą srebrną flaszkę i podał ją pułkownikowi.

Voss pociągnął nosem i mruknął: "Cyjanek".

Z kolei mał08

Major Wanawska obejrzała flaszkę.

Na denku znalazła napis: "Harrods, London".

Major Wanawska wyraziła się bardzo niecenzuralnie.

W uszach pułkownika Vossa zabrzmiało to jak "uprawianie miłości z własną matką".

Niedziela

W południe McCready zjawił się na lotnisku w Kolonii, skąd o pierwszej miał samolot.

Zmienił bilet powrotny z Hanoweru do Londynu na bilet z Kolonii do Londynu, wpisał się na listę pasażerów i ruszył w stronę stalowych szafek na bagaże.

Wyciągnął stalowy klucz i włożył go do zamka szafki numer 47.

Wewnątrz znajdowała się czarna brezentowa torba.

Wyjął ją.

Pozwoli pan, że wezmę pański bagaż, Herr McCready.

McCready odwrócił się.

Dziesięć stóp dalej stał zastępca dyrektora wydziału Operacyjnego BND.

Za nim stało dwóch dobrze zbudowanych dżentelmenów.

Jeden oglądał sobie paznokcie, drugi wpatrywał się w sufit, jakby szukając dziur.

Doktorze Herrmann, jak miło pana widzieć...

Co pana sprawa dź do Kolonii?

Torba...

za pozwoleniem, panie McCready.

Torba przeszła z rąk do rąk.

Herrmann podał ją jednemu z goryli.

Tryskał dobrym humorem.

No, panie McCready, my, Niemcy, jesteśmy gościnnym narodem.

Odprowadzę pana do samolotu.

Przecież nie chce pan się spóźnić.

Razem ruszyli do kontroli paszportów.

Pewien mój kolega...

zaczął Herrmann.

On już nie wróci, doktorze Herrmann.

Ach, biedaczysko.

Ale może to i lepiej.

Podeszli do kontroli paszportów.

Dr Herrmann wyjął legitymację, pokazał ją oficerowi i obaj zostali przepuszczeni.

Kiedy ogłoszono lot, McCready został doprowadzony pod same drzwi samolotu.

Panie McCready.

Odwrócił się w drzwiach.

Dopiero teraz Herrmann się uśmiechnął.

My również potrafimy podsłuchiwać zagraniczne rozmowy radio we.

Życzę dobrej podróży.

Pozdrowienia dla Londynu.

Nowiny dotarły do Langley w tydzień później.

Generał Pankratin dostał przeniesienie.

W przyszłości będzie kierował kompleksem karnych obozów wojskowych w Kazachstanie.

109 .

□

Claudia Stuart dowiedziała się tego od agenta z moskiewskiej ambasady.

Wciąż jeszcze zbierała oklaski, których jej nie szczędzono, odkąd wojskowi

analitycy przestudowali kompletne radzieckie plany ofensywne.

Potraktowała filozoficznie stratę swojego sowieckiego generała.

Jak powiedziała w kantine do Chrisa Appleyarda:

Uratował swoją skórę i pozycję.

Lepsze to niż kopalnia ołowiu w jakucji.

A dla nas to wyszło taniej niż blok mieszkalny w Santa Barbara.

110

INTERLUDIUM

Przesłuchanie kontynuowano następnego ranka, we wtorek.

Timothy Edwards zachowywał się nadal z lodowatą kurtuazją w głębi ducha żywił

nadzieję, że całą tę sprawę uda się zakończyć z minimalnym tylko opóźnieniem.

Podobnie jak dwaj siedzący po jego bokach kontrolerzy, miał co innego do roboty.

Dziękuję za przypomnienie nam tego, co wydarzyło się w roku osiemdziesiątym piątym powiedział trudno jednak oprzeć się wrażeń, że w kategoriach działalności wywiadowczej ten rok należy do innej, zamierzonej epoki.

Denis Gaunt nie przejął się zbyt tą uwagą. Wiedział, że starając się przekonać radę, by ta zarekomendowała dyrektorowi zmianę decyzji, ma prawo powołać się na dowolny, wybrany przez siebie epizod z dawnej kariery swojego szefa.

Wiedział również, że nie ma co liczyć na przychylną uwagę Timothy'ego Edwardsa. Po zakończeniu przesłuchania decyzja miała jednak zapaść większością głosów i Gaunt liczył przede wszystkim na dwóch kontrolerów.

Wstał i podszedł do urzędnika archiwum, żeby poprosić go o kolejną teczkę.

Samowi McCreedyemu było gorąco i zaczynało go to wszystko nużyć.

W przeciwieństwie do Gaunta zdawał sobie sprawę, że jego szansa się znikome. Domagał się tego przesłuchania z czystej przekory.

Oparł się o krzesło i pozwolił swobodnie płynąć myślom.

Denis Gaunt nie powie niczego, o czym by nie wiedział.

Trzydzieści lat, prawie całe swoje zawodowe życie, spędził w zamkniętym, małym kręgu Century House i Tajnej Służby Wywiadowczej.

Zastał nawiał się, dokąd pójdzie, jeśli go teraz wywalą.

Dziwił się także nie po raz pierwszy w jaki sposób udało mu się od razu trafić do tego

111 .

dziwnego, pozostającego w cieniu świata.

Jego robotnicze pochodzenie w niczym nie zapowiadało, że któregoś dnia zostanie wyższym oficerem SIS.

Urodził się wiosną 1939 w tym samym roku, kiedy wybuchła druga wojna światowa w rodzinie mleczarza, w południowym Londynie.

Tylko mgliście w jednym albo dwóch utrwalonych w pamięci obrazach przypominał sobie swojego ojca.

Po upadku Francji w roku 1940, kiedy Luftwaffe rozpoczęła długie, wypełnione nalotami na brytyjską stołicę, gorące lato, został jako niemowlę ewakuowany razem ze swoją matką z Londynu.

Nie pamiętał nic z tego okresu.

Jesienią 1940 wrócili do małego domku z tarasem przy biednej, ale zadbanej uliczce w Norbury;

w tym samym mniej więcej czasie ojciec poszedł na wojnę.

Pamiętał bardzo wyraźnie ślubny portret swoich rodziców.

Ona była cała w bieli i trzymała w ręku bukiet; obok niej stał duży mężczyzna, bardzo sztywny i nienaganny w swoim ciemnym garniturze i z goździkiem w butonierce.

Oprawiona w srebrną ramkę fotografia stała na półce nad kominkiem; matka codziennie ją odkurzała.

Później, na drugim końcu półki pojawiło się kolejne zdjęcie uśmiechniętego, dużego mężczyzny w mundurze, z naszywkami sierżanta na rękawie.

Matka wychodziła codziennie z domu i jechała autobusem do Croydon, gdzie szorowała schody i korytarze w domach zamożnej klasy średniej.

Brała również do domu pranie; pamiętał, że w ich małej kuchence zawsze unosiła się para matki prażącej przez całą noc, żeby zdażyć ze wszystkim do rana.

Któregoś dnia musiało to być w roku 1944 duży uśmiechnięty mężczyzna pojawił się w domu, złapał go i podniósł wrzeszczącego do góry.

A potem znowu zniknął, żeby wziąć udział w lądowaniu na piaskach Normandii i zginąć podczas ataku na Caen.

Sam pamiętał, że jego matka dużo tego lata płakała i że próbował ją pocieszyć, ale nie bardzo wiedział jak, więc po prostu płakał razem z nią, sam nie wiedząc dlaczego.

W styczniu następnego roku poszedł do zerówki i jego matka mogła teraz codziennie jeździć do Croydon nie trzeba było go zostawiać pod opieką ciotki Vi. Żałował tego, ponieważ ciotka Vi prowadziła przy końcu ulicy sklepik ze słodyczkami i pozwalała mu czasami zanurzyć polizany palec w słoju z sorbetem. Wiosną tego samego roku zaczęły spadać na Londyn rakiety V-1, odpalane z wyrzutni w Holandii.

Pamiętał bardzo wyraźnie ten dzień, tuż przed swoimi szóstymi urodzinami, kiedy do szkoły przyszedł człowiek w mundurze obrony przeciwlotniczej. Na głowie miał blaszany hełm, z boku bujała mu się maska przeciwgazowa.

112

wcześniej był nalot i dzieci spędziły cały ranek w piwnicy, co było o wiele zabawniejsze od lekcji.

Po obwieszczeniu końca nalotu syrenie wszyscy wrócili do klasy.

Człowiek w mundurze poszeptał o czymś przez chwilę z kierowniczką; ta wzięła małego Sama za rękę, zabrała go z klasy, zaprowadziła do swego prywatnego saloniku na tyłach szkoły i poczęstowała makowcem.

Czekał tam, bardzo mały i zagubiony, aż przyszedł po niego sympatyczny pan z sierocińca doktora Barnardo.

A potem powiedzieli mu, że nie ma już słubnego portretu w srebrnej ramce i fotografii dużego, uśmiechniętego mężczyzny z naszywkami sierżanta.

W sierocińcu radził sobie dobrze, zdał wszystkie egzaminy i jako młody chłopak wstąpił do wojska.

Kiedy miał osiemnaście lat, wysłali go na Malaje, gdzie trwała nie wypowiedziana wojna między Brytyjczykami a komunistyczną partyzantką w dżungli.

Przydzielono go w charakterze pisarza do korpusu wywiadu.

Któregoś dnia zameldował się u swojego pułkownika i przedstawił mu pewien plan.

Sporządził na ten temat notatkę polecił mu z miejsca pułkownik, który był zawodowym wojskowym.

Tak też i zrobił.

Ludziom z kontrwywiadu udało się właśnie dzięki pomocy miejscowego Chińczyka ująć jednego z przywódców partyzantki.

McCready proponował, żeby rozpuścić wśród Chińczyków plotkę, że więzień śpiwa jak z nut i że określonego dnia ma zostać przewieziony z Ipoh do Singapuru.

Kiedy terroryści zaatakowali konwój, więzienna karetka okazała się opancerzona od środka i zaopatrzona w ukryte za wąskimi otworami strzelniczymi, osadzone na trójnogach karabiny maszynowe.

Po skończeniu strzelaniny w buszu leżało szesnastu zabitych i dwunastu ciężko rannych chińskich komunistów.

Z resztą uporali się strzelcy malajscy.

Sam McCready pozostał jeszcze przez rok na swoim stanowisku w Kuala Lumpur, a potem opuścił wojsko i wrócił do Anglii.

Notatka, którą sporządził dla swego pułkownika, została z pewnością złożona do akt, ale ktoś gdzieś musiał ją przeczytać.

Stał właśnie w kolejce do pośredniaka wtedy nie nazywano jeszcze tych instytucji biurami pracy kiedy poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu.

Obrócił się.

Za nim stał facet w średnim wieku ubrany w tweedową marynarkę i brązowy kapelusz.

Zaproponował, że pójda się czegoś napić w pobliskim pubie.

Po dwóch tygodniach i trzech kolejnych rozmowach został przyjęty do Firmy.

113 .

Od tamtej chwili przez trzydzieści lat Firma stanowiła jedyną rodzinę, jaką miał kiedykolwiek w życiu.

Usłyszał wymienione przez kogoś swoje nazwisko i otrząsnął się z zamyślenia. Mógłbyś lepiej uważać, po myślał, mowa jest o twojej karierze.

To był Denis Gaunt.

W rękach trzymał opasłą teczkę.

Sądzą, panowie powiedział że nie od rzeczy będzie przyjąć się bliżej pewnym wydarzeniom z roku tysiąc dziewięćset osiemnastego, które same tylko stanowią wystarczający powód, by ponownie rozpatrzyć kwestię wcześniejszego odejścia na emeryturę Sama McCreadyego.

wydarzeniom, które zapoczątkowane zostały, przy najmniej jeśli o nas chodzi, pewnego wiosennego ranka na nizinie Salisbury...

114

WIANO

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po prawej stronie, nad noszącym nazwę Lisiej Nory zagajnikiem, wciąż unosiły się strzępy mgły.

Zapowiadał się ciepły dzień.

Na szczycie rozległego wzniesienia, określanego przez kolejne żołnierskie roczniki mianem Żabięgo wzgórza, zajęła stanowiska grupa poubie ranych w różne mundury wojskowych.

W ramach obserwowanych przez nich manewrów miało się odbyć starcie dwóch oddziałów, każdego w sile jednego batalionu.

Oba składały się z żołnierzy brytyjskich, podzielonych jednak z przyczyn dyplomatycznych nie na "naszych" i "obcych", lecz na Niebieskich i Zielonych.

Ze względu na niektórych stojących na wzgórzu oficerów w grę nie wchodziło nawet normalne w takich razach oznaczenie jednego z oddziałów mianem Czerwonych.

Na całym otwartym terenie, stanowiącym północny skraj niziny Salisbury, którą tak upodobała sobie armia brytyjska z racji jej podobieństwa do Niziny Środkowoniemieckiej (gdzie, jak przewidywano, rozegra się prawdopodobnie trzecia wojna światowa), rozmieszczeni zostali ob serwatorzy.

Przydzielone przez nich punkty miały zdecydować o wyniku starcia.

Ludzi nie czekała tego dnia śmierć; mieli się tylko lepiej przygotować do jej zadawania.

Z tyłu, za grupą oficerów, stały pojazdy, które ich tutaj przywiozły; kilka samochodów sztabowych i większa liczba mniej wygodnych land roverów, pomalowanych na matowy zielony kolor albo w typowe kamuflażowe pasy. Żołnierze z kwatermistrzostwa zaczęli rozpakowywać kanapki i usta wiać kuchnie polowe.

Trzeba było zagrzać wodę, żeby zapewnić odpowiednio dużo dzbanków z gorącą herbatą i kawą, które z pewnością będą się cieszyć powodzeniem w ciągu dnia.

115 .

Oficerowie przechadzali się albo stali w miejscu w wystudiowanych pozach, zachowując się dokładnie tak, jak to robią na całym świecie ob serwujący ćwiczenia wojskowi.

Część z nich studiowała umieszczone w pla stikowych okładkach mapy, na których naniesione zostaną później ołówkiem i zmasane gumką odpowiednie znaki.

Inni lustrowali przez potężne lornetki teren.

Jeszcze inni z powagą konferowali ze sobą.

W środku grupy znajdował się najwyższy rangą generał brytyjski, głów nodowodzący Okręgu Południowego.

Tuż obok stał podejmowany przez niego osobiście, najstarszy rangą generał reprezentujący gości.

Pomiędzy nimi, cofnięty trochę do tyłu, stał młody, błyskotliwy oficer, świeżo po szkole języków obcych.

Stłumionym głosem tłumaczył na żywo ich rozmowę.

Grupa oficerów brytyjskich była liczniejsza i składała się z ponad trzydziestu osób.

Wszyscy zachowywali się z powagą, zdając sobie sprawę zarówno z niezwykłości, jak i znaczenia tej chwili.

Wydawali się również cokolwiek skrępowani, jakby trudno im było pozbyć się nawyków, których nabrali przez lata.

Był to bowiem pierwszy rok pieństrojki i sowieccy oficerowie, chociaż zapraszani byli już wcześniej na brytyjskie manewry w Niemczech, po raz pierwszy pojawili się w sercu Anglii w charakterze gości armii brytyjskiej.

Trudno się pozbyć starych nawyków.

Rosjanie byli tak samo poważni jak Brytyjczycy, a może nawet bardziej.

Było ich siedemnastu; każdy został starannie wybrany i sprawdzony.

Kilku mówiło nie najgorzej po angielsku i nie robiło z tego tajemnicy; pięciu opanowało ten język bez zarzutu i udawało, że nie rozumie ani słowa.

Najważniejszym kryterium ich doboru nie była jednak znajomość angielskiego.

Liczyła się przede wszystkim wiedza wojskowa.

Każdy so wiecki oficer był ekspertem w swojej dziedzinie dobrze zaznajomiony z brytyjskim wyposażeniem, taktyką i strukturami dowodzenia.

Każdy im nie tylko słuchać tego, co powiedzą gospodarze (a w jeszcze mniejszym stopniu brać to za dobrą monetę), ale bacznie się wszystkie mu przyglądać, niczego nie pominąć i złożyć po powrocie raport o tym, jaka naprawdę jest wartość bojowa Brytyjczyków, jakie mają wyposażenie i jak się nim posługują, a przede wszystkim, gdzie leżą ich słabe punkty.

Po jednodniowym pobycie w Londynie przybyli do bazy wojskowej w Tidworth poprzedniego wieczoru, którego większą część spędzili we włości snej ambasady.

Podczas pierwszej kolacji w oficerskim kasynie panowała dość oficjalna, może nawet napięta atmosfera, nie doszło jednak do żadnego incydentu.

Czas na żarty i piosenki przyjdzie później, być może drugiego albo trzeciego wieczoru.

Rosjanie zdawali sobie sprawę, że spośród siedemnastu członków ich delegacji co najmniej pięciu obserwuje pozostałych i prawdopodobnie jeden drugiego.

116

Żaden z gości nie wspominał o tym grupie brytyjskiej, podobnie jak żaden z Brytyjczyków nie uznał za stosowne wskazać, że w skład ich włości snej trzydziestoosobowej ekipy wchodzi czterech pracowników kontrwywiadu, dokładnie

rzecz biorąc, służby obserwacyjnej.

Przynajmniej jed nak brytyjscy obserwatorzy byli tutaj wyłącznie po to, żeby obserwować Rosjan, nie swoich rodaków.

Delegacja rosyjska składała się z dwóch generałów, z których jeden, sądząc po insygniach, reprezentował wojska zmotoryzowane, drugi pan cerne; dyplomowanego pułkownika sztabu generalnego; pułkownika, majora i kapitana z wywiadu wojskowego wszystkich "zgłoszonych", to znaczy nie ukrywających faktu, że są pracownikami wywiadu; dalej pułkownika wojsk desantowych, spod którego połowej, rozchylonej na szyi bluzy wycierał trójkątny kawałek podkoszulka w niebieskie i białe pasy oznaka przynależności do Specnazu, czyli Sił Specjalnych; na stępnie pułkownika i kapitana z piechoty oraz dwóch oficerów tej sa mej rangi z wojsk pancernych.

Poza tym był jeszcze podpułkownik, major i dwóch kapitanów ze sztabu operacyjnego oraz pułkownik i major z wojsk łączności.

Sowiecki wywiad wojskowy znany jest jako GRU i trzech jego "zgłoszonych" funkcjonariuszy miało przypięte właściwe insygnia.

Tylko oni wiedzieli, że do GRU należą również choć nie zostali bynajmniej "zgłoszeni" major łączności i jeden z dwóch kapitanów sztabowców.

Pozostali Rosjanie i Brytyjczycy nie mieli o tym pojęcia.

Brytyjczycy ze swej strony nie uważali za konieczne poinformować Rosjan, iż do pilnowania kasyna w Tidworth wyznaczono dwudziestu funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa (Security Service), którzy mieli tu pozostawać aż do przewidzianego na rano trzeciego dnia wyjazdu so wieckiej delegacji najpierw autokarem do Londynu, a stamtąd samo lotem do Moskwy.

Obserwatorzy zajmowali się teraz pielęgnowaniem trawników i rabatek, podawaniem do stołu i polerowaniem mosiężnych klamek.

W nocy "luzowali" się wzajemnie, obserwując budynek kasyna z dogodnych, rozrzuconych wokół niego szerokim pierścieniem stanowisk.

Lepiej, żeby nam się nie zgubił żaden z tych palantów stwierdził przed kilkoma dniami szef sztabu generalnego w rozmowie z głów nodowodzącym Okręgu Południowego podczas odprawy w ministerstwie.

Manewry rozpoczęły się zgodnie z planem o dziewiątej rano i trwały przez cały dzień.

Zaraz po lunchu nastąpił desant poprowadzony siłami drugiego batalionu pułku komandosów.

Major drugiego batalionu od krył nagle, że stoi tuż obok sowieckiego pułkownika wojsk desantowych, bacznie przyglądającego się spadochroniarzom.

117 .

Widzę zauważył Rosjanin że wasze kompanie nadal zaopa trzone są w dwucalowe moździerze.

Przydatna broń zgodził się Brytyjczyk.

Skuteczna i wciąż niezawodna.

Zgadzam się odparł powoli i z wyraźnie obcym akcentem Rosjanin.

Używałem ich w Afganistanie.

Faktycznie.

Ja używałem ich na Falklandach oznajmił major z drugiego batalionu.

Różnica polega na tym pomyślał że my po radziliśmy sobie na Falklandach z palcem w nosie, a wy dostajecie w dupę w Afganistanie.

Rosjanin kwaśno się uśmiechnął.

Brytyjczyk odwzajemnił uśmiech.

Sukinsyn pomyślał Rosjanin uważa pewnie, że dostajemy w dupę w Afganistanie.

Obaj nie przestawali się uśmiechać.

Żaden z nich nie mógł przewi dzieć, że za dwa lata nowy, wybitny sekretarz

generalny w Moskwie roz każe sowieckiej armii zakończyć afgańską awanturę.

Nowy okres dopiero się zaczynał, a niełatwo jest zerwać ze starymi nawykami.

Tego wieczoru atmosfera przy kolacji nie była już tak napięta.

Stru mieniami lało się wino; pokazała się także rzadko pita w brytyjskiej armii wódka.

Mimo bariery językowej zaczęły się żarty.

Rosjanie brali przy kład ze swego generała, dowódcy wojsk zmotoryzowanych, który cały promieniał rozmawiając (za pośrednictwem tłumacza) z brytyjskim generałem wolno się było zatem odprężyć.

Sowiecki major sztabowiec przysłuchiwał się opowiadaniem przez brytyjskiego czołgistę dowcipowi i już miał wybuchnąć śmiechem, kiedy uświadomił sobie, że oficjalnie nie rozumie przecież ani słowa po angielsku i musi poczekać na przekład.

Major z drugiego batalionu siedział tuż obok "zgłoszonego" majora z GRU.

Uznał, że nadarzyła się odpowiednia okazja, żeby zaprezentować swoją skromną znajomość rosyjskiego.

Goworitie wy po angijski?
zapytał.

Rosjanin tryskał radością.

Oczeń maleńko odparł, po czym przerzucił się na łamaną angielszczyznę. Bardzo mało, obawiać się.

Próbować czytać książki, ale mówić bardzo słabo.

Z pewnością lepiej niż ja po rosyjsku stwierdził spadochroniarz.

A propos, nazywam się Paul Sinclair.

Proszę, przepraszam oznajmił na to Rosjanin.

Obrócił się do niego podając rękę.

Paweł Kuczenko.

Kolacja była udana i zakończyła się zbiorowymi pieśniami przy barze. O jedenastej obie grupy odmaszerowały do swoich pokojów.

Wielu biesiadników wdzięcznych było losowi za to, że nazajutrz będą mogli trochę dłużej wylegiwać się w łóżku ordynansom nakazano pojawić się z filiżankami herbaty dopiero o siódmej rano.

W rzeczywistości jednak major Kuczenko wstał już o godzinie piątej i całe dwie godziny przesiedział cicho przy zgaszonych światłach za oknami z firankami, które wisiały w oknach jego pojedynczej sypialni. Przyglądał się alejce, która biegła od kasyna w stronę głównej bramy i da lej aż do szosy prowadzącej do Tidworth.

W szarówce wczesnego poranka dostrzegł, albo wydawało mu się, że dostrzegł, trzech mężczyzn, którzy prawdopodobnie obserwowali dom.

Zauważył również, punktualnie o godzinie szóstej rano, wychodzące go z kasyna frontowymi drzwiami, prawie dokładnie pod jego sypialnią, pułkownika Arbuthnota, który zamierzał najwyraźniej trochę sobie rano pobiegać.

Kuczenko miał powody wierzyć, że pułkownik robi to regularnie poprzedniego ranka również oglądał go podczas joggingu.

Pułkownika Arbuthnota nie było trudno poznać, nie miał bowiem lewej ręki.

Stracił ją przed wielu laty, dowodząc patrolem w owej dziwniej, na pół zapomnianej wojnie, którą wspomagane kontyngentem omanckim brytyjskie siły specjalne toczyły w górach Dhofar przeciwko komunistycznym partyzantom pragnącym obalić sułtana Omanu i przejąć kontrolę nad cieśniną Ormuz. Komisja wojskowa, ulegając sentymentom, pozwoiliła pułkownikowi pozostać w armii; od tamtej pory pełnił funkcję oficera zaopatrzeniowego kasyna w Tidworth. Starał się zachować dobrą kondycję przebiegając każdego ranka trasę do szosy i z powrotem sylwetka w kapturze i obszytym niebieską lamówką białym dresie, z pustym lewym rękawem przypiętym elegancko do boku stała się popularna. Major Kuczenko przyglądał się jej w zamyśleniu.

Drugi dzień manewrów minął bez żadnego incydentu; po ich zakończeniu wszyscy oficerowie brytyjscy i sowieccy przyznali zgodnie, że obserwatorzy nie pomylili się przyznając techniczne zwycięstwo Zielonym, którzy wyparli Niebieskich z ich pozycji na Żabim Wzgórzu i zabezpieczyli Lisia Norę przed kontratakami.

Podczas trzeciej kolacji panowała prawdziwie rodzinna atmosfera wznoszono liczne toasty, a młody sowiecki sztabowiec, który, jak się okazało, nie był wcale szpiegiem, lecz obdarzonym wspaniałym barytonem solistą, odśpiewał nagrodzoną rzęsami oklaskami kalinę.

Nazajutrz po śniadaniu Rosjanie mieli się zebrać o godzinie dziewiątej rano w głównym hallu i wsiąść do autokaru, jadącego na Heathrow.

Autokarem miało przyjechać z Londynu dwóch pracowników ambasady, których zadaniem było dopilnowanie, by wszystko na lotnisku przebiegło jak należy.

Podczas występu śpiewającego kapitana nikt nie zauważył mężczyzny, który wślizgnął się do nie zamkniętego

119 .

na klucz pokoju pułkownika Arbuthnota, po sześćdziesięciu sekundach wyszedł stamtąd tak samo cicho, jak wszedł, a następnie dołączył do grupy przy barze, nadchodząc od strony męskiej toalety.

Za dziesięć szósta rano następnego dnia postać w obszytym niebieską lamówką białym dresie, z kapturem i przypiętym do boku pustym lewym rękawem zbiegła truchtem schodkami kasyna i skierowała się ku głównej bramie. Zauważył ją obserwator siedzący za oknem oddalonego o dwieście jardów budynku. Zanotował to w swoim zeszycie, ale nie podjął żadnej akcji.

Pełniący wartę przy bramie kapral wyszedł ze stróżówki i zsalutował

biegaczowi, który pochylił się, żeby przejść pod szlabanem. Biegacz nie miał na głowie czapki, nie mógł więc prawidłowo oddać salutu, ale po zdrowiu kaprała uniesioną dłońią, po czym skręcił w tę samą co zwykle stronę i oddalił się w kierunku Tidworth.

Dziesięć po szóstej kaprał podniósł wzrok i wytrzeszczył oczy.

Właśnie zobaczyłem pułkownika Arbuthnota poinformował swojego sierżanta.

I co z tego?

zapytał tamten.

Po raz drugi odparł kaprał.

Sierżant był zmęczony.

Za dwadzieścia minut miała nastąpić zmiana warty.

Czekało na nich śniadanie.

Wzruszył ramionami.

Musiał czegoś zapomnieć powiedział.

wkrótce miał gorzko pożalować swojej niefrasobliwości.

Podczas przesłuchania przed komisją dyscyplinarną.

Po przebiegnięciu pół mili major Kuczenko skręcił między rosnące przy drodze drzewa, ściągnął z siebie skradziony biały dres i schował go w gęstych krzakach.

Kiedy z powrotem wyszedł na drogę, ubrany był w szare flanelowe spodnie, tweedową marynarkę, koszulę i krawat.

Tylko adidasy na nogach nie pasowały trochę do jego nowego odzienia.

Podej rzewał, choć nie był tego pewien, że milę za nim biegnie podenerwowa ny

pułkownik Arbuthnot, który straciwszy dziesięć minut na bezskutecz nych

poszukiwaniach swego normalnego dresu, doszedł w końcu do wniosku, że musiał go

zabrać do prania jego ordynans.

Założył więc swój zapasowy dres i na razie nie zorientował się jeszcze, że

zniknęła również jego koszula, krawat, marynarka i spodnie.

Kuczenko mógł z łatwością zachować odpowiedni, dzielący go od pułkownika

dystans aż do chwili, kiedy Arbuthnot będzie musiał zawrócić z powrotem do

koszar, ale z kłopotu wybawił go samochód, który nadjechał z tyłu i zatrzymał

się na jego machnięcie.

Kuczenko nachylił się do okna od strony pasażera.

120

Strasznie mi przykro powiedział ale zepsuł mi się samo chód, Zostawiłem go tam, z tyłu.

Tak się zastanawiam, może będą mogli mi pomóc w warsztacie w North Tidworth?

Trochę wcześniej stwierdził kierowca.

Ale mogę pana tam podrzucić.

Niech pan wsiada.

Major wojsk desantowych zdumiałby się, widząc, jak szybko Kuczenko

opanował w mistrzowskim stopniu język angielski.

Wciąż jednak wy czuwalny był obcy akcent.

Pan nie z tych stron, prawda?

zapytał kierowca, żeby nawiązać jakąś rozmowę.

Kuczenko roześmiał się.

Nie.

Jestem z Norwegii.

Zwiedzam wasze brytyjskie katedry.

Za dziesięć siódma uprzedzmy kierowca zostawił Kuczenkę w centrum zaspanego

miasteczka North Tidworth i pojechał dalej w kierunku Marlborough.

Nigdy nie uzna za stosowne wspomnieć komuś o przygodnym pasażerze; nikt go też

nigdy o niego nie zapyta.

W centrum miasteczka Kuczenko znalazł budkę telefoniczną i dokładnie za

minutę siódma wykręcił londyński numer wrzucając do automatu

pięćdziesięciopensową monetę.

Słuchawka została podniesiona po piątym dzwonku.

Chciałbym mówić z panem Rothem, panem Joem Rothem po wiedział Kuczenko.

Joe Roth przy telefonie odparł głos po drugiej stronie.

Szkoda odparł Rosjanin.

Widzi pan, tak naprawdę to miałem nadzieję zamienić parę stów z Chrisem

Hayesem.

Joe Roth zastygł bez ruchu w swoim małym, ale eleganckim aparta mencie w Mayfair.

Całe jego profesjonalne przygotowanie kazało mu zachować najwyższą czujność.

Był na nogach dopiero od dwudziestu minut, wciąż w piżamie i nie ogolony.

Należało właśnie wody do wanny i przyrządzał sobie swoją pierwszą w ciągu dnia

kawę.

Kiedy zadzwonił telefon, szedł z kuchni do salonu z sokiem w jednej i kawą w drugiej ręce.

Było wcześniej, nawet dla niego, a Joe Roth nie należał do śpiochów, chociaż jako zastępca radcy prasowego w mieszczącej się w odległości ćwierci mili przy Grosvenor Square ambasadzie amerykańskiej nie mu siał meldować się w pracy przed godziną dziesiątą.

Joe Roth był pracownikiem CIA, nie pełnił jednakże funkcji szefa placówki londyńskiej.

Zaszczyt ten przypadł w udziale Williamowi Carverowi, który podobnie jak wszyscy szefowie placówek terenowych wcho dził w skład Wydziału Półkuli Zachodniej (Western Hemisphere Division).

Jako taki, działał jawnie, co oznaczało, że prawie każdy wiedział, kim jest

121 .

□
i jaką wykonuje pracę.

Zasiadał także ex officio jako przedstawiciel Kom panii w Londynie, w brytyjskim Komitecie Połączonych Służb Wywiadu (Joint Intelligence Committee).

Roth należał do Biura Zadań Specjalnych (Office of Special Projects), komórki założonej zaledwie przed sześciu laty, zajmującej się, jak sama nazwa wskazuje, przedsięwzięciami i akcjami, które uznawano w Langley za wystarczająco delikatne, by szef placówki mógł później z czystym sumieniem wyprzeć się jakiegokolwiek w nich udziału nawet wobec sojuszników Ameryki.

Wszyscy pracownicy CIA, niezależnie od tego, do jakiego wydziału należą, mają dwa nazwiska: prawdziwe oraz profesjonalne, czyli opera cyjne.

W zaprzyjaźnionych ambasadach prawdziwe nazwisko jest rzeczy wiście prawdziwe; Joe Roth nazywał się naprawdę Joe Roth i na takie nazwisko wystawiony był jego paszport dyplomatyczny.

W przeciwień stwie jednak do Carvera nie działał jawnie; o jego prawdziwej funkcji wiedziało najwyżej trzech albo czterech kolegów z brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej (SIS).

I tylko oni oraz parę osób w Ameryce zna ło jego nazwisko operacyjne.

Wymówione o siódmej rano przez telefon głosem o wyraźnie niebrytyjskim akcencie zabrzmiało niczym ostrzegaw czy brzęczyk.

Przykro mi powiedział ostrożnie ale rozmawia pan z Joem Rothem.

Kto mówi?

Niech pan słucha uważnie, panie Roth albo panie Hayes.

Nazy wam się Piotr Aleksandrowicz Orłów.

Jestem pułkownikiem KGB...

Niech pan posłucha.

Jeśli to ma być żart...

To, że wymieniam pańskie nazwisko operacyjne, wcale pana nie powinno śmieszyć, panie Roth.

Podobnie jak mnie nie śmieszy przejście na stronę amerykańską, bo taka jest właśnie moja oferta.

Chcę się do stać do Ameryki, szybko.

Mam bardzo mało czasu.

Potem nie będę mógł się już wycofać i wrócić do swoich.

Nie zaakceptują żadnego wytłuma czenia.

Jestem w posiadaniu olbrzymiej liczby informacji o wielkiej war tości dla pańskiej Agencji, panie Roth.

Musi pan szybko podjąć decyzję, w przeciwnym razie wycofam się, póki jeszcze mogę...

Roth bazgrał szybko w notatniku, który ściągnął ze stojącego w salo nie stolika.

Na pierwszej stronie wciąż widniały wyniki rozegranej wczoraj późnym wieczorem z Samem McCreadym partyjki pokera.

Pamiętał później pierwszą myśl, która przeleciała mu przez głowę: Jezu kochany, gdyby to słyszał Sam, zesrałby się chyba z wrażenia.

Gdzie pan się teraz dokładnie znajduje, pułkowniku?

zapytał.

w budce telefonicznej w małym miasteczku na skraju niziny Salisbury brzmiała odpowiedź.

Gramatycznie angielski był niemal bez

122

zarzutu.

Tylko akcent był wyraźnie obcy.

Rotha nauczono rozróżniać ak centy, umiejscawiać je.

Ten był słowiański, najprawdopodobniej rosyjski.

wciąż bał się, że to jeden ze zwariowanych żartów Sama McCreadyego, czekał na nagłą salwę śmiechu w słuchawce.
Do cholery pomyślał minął już prima aprilis, dzień, w którym Anglicy płąatają sobie kawały.

Był ranek trzeciego kwietnia.

Przez trzy dni ciągnął swoje głos obserwowałem wraz z gru pą sowieckich oficerów brytyjskie ćwiczenia wojskowe na nizinie Salisbury.

Zakwaterowano nas w koszarach w Tidworth.

Występowałem pod na zwiskiem majora Pawła Kuczenki z GRU.

Godzinę temu opuściłem koszary.

Jeśli nie znajdę się tam z powrotem w ciągu godziny, droga po wrotna jest dla mnie raz na zawsze zamknięta.

Powrót do koszar może mi zająć około pół godziny.

Ma pan trzydzieści minut, żeby udzielić mi odpowiedzi, panie Roth.

W porządku, pułkowniku.

To mi wystarczy.

Na razie.

Chcę, żeby pan zadzwonił do mnie ponownie za piętnaście minut.

Linia będzie wolna.

Otrzyma pan wtedy odpowiedź.

Piętnaście minut.

Potem wracam odparł głos i połączenie zo stało przerwane.

Roth gorączkowo rozmyślał.

Miał trzydzieści dziewięć lat; dwanaście z nich spędził w Agencji.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się coś po dobrego.

Cóż, są ludzie, którzy spędzili całe swoje życie w Agencji i ani razu nie poczuli zapachu sowieckiego zdrajcy.

Ale przecież wiedział, że się pojawiają, wszyscy o nich wiedzieli, wszyscy pracownicy operacyjni przechodzili kursy i szkolenia, które miały ich przygotować na spotkanie z człowiekiem, który przybywał stamtąd.

Większość ucieczek, wiedział o tym, następowała po wstępnych, prób nych kontaktach.

Potencjalny dezerters długo się na ogół namyślał i sta rannie przygotowywał.

Do operujących na danym terenie pracowników Agencji docierała wiadomość.

Chcę się spotkać, chcę omówić warunki.

Zwykle proszono taką osobę, żeby pozostała na miejscu i dostarczała przez jakiś czas informację dopiero potem organizowano "przejście".

Jeśli Rosjanin odmawiał, nalegano, żeby dostarczył przynajmniej przy uciecz ce jakieś wartościowe dokumenty.

Od tego, co udało mu się przekazać przed "przejściem" albo co zabrał ze sobą, zależała jego późniejsza po zycja, jego wynagrodzenie i styl życia.

W tym fachu nazywało się to wia nem panny młodej.

Wyjątkowo, tylko wyjątkowo, dochodziło do czegoś, co określało się jako "wejście z marszu".

Dezerters po prostu się pojawiał, spaliwszy za sobą wszystkie mosty, mając zamkniętą drogę powrotu.

Nie było w takich ra123 .

□ zach wielkiego wyboru: albo przyjmowało się go, albo odsyłało do obozu dla uchodźców.

To ostatnie zdarzało się rzadko; przyjmowano nawet bez użytecznych, zajmujących niskie stanowiska uciekinierów takich na przykład jak marynarz floty handlowej lub szeregowiec którzy napraw dę nie mieli nic do zaoferowania.

Odrzucano wyłącznie w jednym przy padku: kiedy wykrywacz kłamstw wykazał, że rzekomy uciekinier to w rze czywistości agent przeciwnika, a jego zadaniem jest prowadzenie akcji dezinformacyjnej.

Ameryka nie życzyła sobie mieć z kimś takim do czy nienia.

Rosjanie godzili się na ogół z porażką, docierali do swojego agenta i zabierali go do domu.

Z tego, co wiedział Roth, KGB wysłedziła raz odrzuconego uciekinie ra w obozie dla uchodźców i zlikwidowała go.

Doszło do tego, ponieważ facet został odrzucony przez wykrywacz kłamstw mimo że mówił praw dę.

Maszyna zinterpretowała jego nerwowość jako kłamstwa.

Przeklęty pech.

Ale zdarzyło się to dawno temu; wykrywacze są dzisiaj lepsze.

A teraz pojawia się facet, podający się za pułkownika KGB, który chce wejść z marszu.

Bez żadnego uprzedzenia.

Bez żadnych targów.

Bez walizki wypełnionej dokumentami z jego ostatniej rezydentury.

Chce przejść na drugą stronę akurat w sercu Anglii, nie na Środkowym wscho dzie ani Ameryce Łacińskiej.

I oddać się w ręce Amerykanów, nie Bry tyjczyków.

A może skontaktował się już z Brytyjczykami?

I został odrzu cony?

Roth gorączkowo zastanawiał się nad różnymi możliwościami.

Mijały kolejne minuty.

Pięć po siódmej, pięć po drugiej w Waszyngtonie.

Wszyscy tam śpią.

Powinien zadzwonić do swojego szefa, Calvina Baileya, kierownika Za dań Specjalnych.

Na pewno śpi teraz snem sprawiedliwego w swoim domu, w Georgetown.

Ale czas...

nie było czasu.

Odsunął ściankę, za którą mieścił się jego osobisty komputer.

Szybko połączył się z głównym kom puterem zainstalowanym głęboko w podziemiach ambasady przy Grosvenor Square.

Uruchomił system kodujący i poprosił główny komputer o dane na temat znanych na Zachodzie wyższych oficerów KGB.

Kim jest Piotr Aleksandrowicz Orłów?

zapytał.

Jedną z osobliwości tajnego światka jest panująca w nim prawie klu bowa atmosfera.

Na owe szczególne rodzaju koleżeństwo pozwalają sobie również piloci, ale im wolno jest to czynić nieomal jawnie.

To samo można powiedzieć o wojskach desantowych i siłach specjalnych.

Profesjonaliści obdarzają się wzajemnym szacunkiem, nawet mimo dzielących ich barier: wzajemnej rywalizacji, animozji, a nieraz otwartej wrogości.

W czasie drugiej wojny światowej piloci należących do Luftwaffe i RAF-u myśliciów rzadko nienawidzili się wzajemnie, pozostawiając te

124

uczucia fanatykom i cywilom.

Profesjonaliści lojalnie służą swoim mocodawcom i biurokratom, ale przy barze wolą na ogół napić się piwa z kimś, kto posiadał te same co oni rzadkie umiejętności nawet jeśli reprezen tuje akurat przeciwną stronę.

W tajnym światku zwraca się baczną uwagę na to, kto akurat zbiera cięgi w obozie przeciwnika.

Odnotowuje się starannie i umieszcza w ak tach wszelkie promocje i transfery w sojusznicych, rywalizujących ze sobą, a także wrogich tajnych służbach.

W każdej stolicy rezydent KGB wie prawdopodobnie, który z Amerykanów i

Brytyjczyków pełni funkcję sze fa miejscowej placówki i vice versa.

Kiedyś, podczas przyjęcia dyplo matycznego w Dar-es-Salaam, szef KGB podszedł z whisky i wodą sodo wą do kierownika miejscowej placówki SIS.

Panie Child powiedział z namaszczeniem.

Pan wie, kim ja jestem, i ja wiem, kim pan jest.

Nasza profesja nie jest łatwa.

Nie powin niśmy się wzajemnie ignorować.

Wypili za to.

Główny komputer CIA w Londynie połączony jest bezpośrednio z cen tralą w Langley, -w stanie Wirginia, i w odpowiedzi na pytanie Rotha małe elektryczne impulsy zaczęły przebiegać wzdłuż listy znanych Centralnej Agencji wywiadowczej funkcjonariuszy KGB.

Były tam setki "potwierdzo nych" i tysiące "podejrzanych".

Głównym źródłem tych informacji byli właśnie uciekinierzy, ponieważ jedną z

dziedzin, którą oficerowie śled czy zawsze chętnie poruszają podczas przesłuchania świeżo przybyłego na Zachód dezertera, są dane na temat, kto jest kim; kto został ostatnio przeniesiony, kto zdegradowany, kto awansowany i tak dalej.

Wiedza o tym rośnie wraz z każdym zmieniającym klubowe barwy agentem.

Roth wiedział, że w ciągu ostatnich czterech lat bardzo pomocni oka zali się w tej dziedzinie Brytyjczycy, dostarczając setki nazwisk, z których wiele było nowych, a inne potwierdzały stare podejrzenia.

Informacje pochodziły częściowo z nasłuchu, częściowo z inteligentnej analizy da nych, częściowo zaś od uciekinierów, takich choćby jak Władimir Kuziczkin,

pracownik Zarządu do Spraw Nielegalnych, którego udało się przeszmuglować z Bejrutu.

Niezależnie, skąd pochodziły umieszczone w jego pamięci dane, kom puter w Langley nie tracił czasu.

Na małym ekranie Rotha rozbłysły zie lone litery.

PIOLR ALEKSANDROWICZ ORŁÓW.

KGB.

PUŁKOWNIK.

PRZEZ OSTAT NIE CZTERY ŁATA PRAWDOPODOBNIIE W TRZECIM DEPARTAMENCIE.

ZAKAMUFLOWANY PRAWDOPODOBNIIE JAKO MAJOR GRU W WYDZIA LE CENTRALNEGO PLANOWANIA SZTABU ARMII CZERWONEJ.

PO125 .

□

PRZEDNIO W WYDZIALE PLANOWANIA OPERACYJNEGO W MOSKWIE ORAZ W PIERWSZYM DEPARLAMENCIE (ZARZĄD DO SPRAW NIELEGAL NYCH) W JAZIENIEWIE.

Roth wydał stłumiony gwizd, kiedy maszyna pokazała wszystko, co było jej wiadome o człowieku nazwiskiem Orłów.

wyłączył komputer.

To, co usłyszał przez telefon, trzymało się kupy.

Zadaniem Trzeciego Depar tamentu, czyli Departamentu do Spraw Sił Zbrojnych KGB, było nieustan ne strzeżenie lojalności Armii Czerwonej.

Jego pracownicy budzili głę boką niechęć, ale trzeba było godzić się z ich obecnością.

Funkcjonariusze Trzeciego Departamentu infiltrowali na ogół wojsko pod przykrywką ofi cerów GRU, czyli wywiadu wojskowego.

To wyjaśniało ich nagłe pojawia nie się i znikanie, zadawane przez nich pytania, ciągłą czujność.

Jeżeli Orłów rzeczywiście spędził ostatnie cztery lata zakamuflowany jako ma jor GRU, w Wydziale Centralnego Planowania w sowieckim Ministerstwie Obrony, będzie chodzącą encyklopedią.

Wyjaśniało to również jego obec ność w grupie sowieckich oficerów zaproszonych w ramach niedawnego porozumienia pomiędzy NATO a Paktem Warszawskim na odbywające się właśnie brytyjskie manewry.

Roth popatrzył na zegarek.

Siódma czternaście.

Za mało czasu na telefon do Langley.

Miał sześćdziesiąt sekund na podjęcie decyzji.

Zbyt wielkie ryzyko.

Trzeba kazać mu wracać do koszar, niech wślizgnie się z powrotem do pokoju i zaczeka na filiżankę herbaty, którą przyniesie mu brytyjski steward.

Niech jedzie na lotnisko.

Trzeba namówić go, żeby uciekł na Heathrow.

Wtedy będzie dość czasu, żeby skontaktować się z Calvinem Baileyem w Waszyngtonie.

Zadzwoił telefon: Panie Roth, obok budki zatrzymał się autobus.

Pierwszy tego ranka.

Sądzę, że zabiera cywilów, którzy pracują przy sprzą taniu koszar.

Mogę jeszcze wrócić na czas.

Roth wziął głęboki oddech.

Od tego, co teraz robi, zależała cała jego kariera.

w porządku, pułkowniku Orłów, przyjmijmy pana.

Skontakt tuję się z moimi brytyjskimi kolegami.

Za trzydzieści minut będzie pan bezpieczny.

Nie.

Głos był twardy, nie dopuszczający sprzeciwu.

Oddam się wyłącznie w ręce Amerykanów.

Chcę wydostać się stąd i jak najszyb ciej znaleźć się w Ameryce.

Takie są moje warunki, panie Roth.

w prze ciwnym razie nici z umowy.

Niech pan zrozumie, pułkowniku...

Nie, panie Roth, chcę, żeby przejął mnie pan osobiście.

Za dwie godziny.

Na parkingu przed stacją kolejową Abingdon.

A potem prosto

126

do amerykańskiej bazy lotniczej w Upper Heyford.

Wsadzi mnie pan tam do samolotu lecącego do Ameryki.

Tylko pod takim warunkiem godzę się do was przejść.

W porządku, pułkowniku.

Zgoda.

Będę tam za dwie godziny.

W ciągu dziesięciu minut Roth ubrał się, złapał paszport, legitymację CIA, pieniądze oraz kluczyki do samochodu i zbiegł do podziemnego garażu, gdzie stał jego samochód.

Piętnaście minut po odłożeniu słuchawki skręcał już w Park Lane, kierując się w stronę Marble Arch i Bayswater Road.

Wolał pojechać tędy, niż wlec się przez Knightsbridge i Kensington.

O ósmej minął Heathrow i skręcił na południe wjeżdżając na autostradę M25.

następnie zaś na południowy zachód autostradą M3, która doprowadziła go do drogi A303, na Abingdon.

Zajeżdżał przed stację dziesięć po dziewiątej.

Bez przerwy zatrzymywały się tutaj i po kilku sekundach odjeżdżały samochody podwożące podróżnych, którzy różnym krokiem podążali na peron.

Tylko jeden mężczyzna nigdzie się nie spieszył.

Stał oparty o ścianę, w tweedowej marynarce i szarych spodniach, przeglądając poranną gazetę.

Roth podszedł do niego.

Sądzę, że pan jest człowiekiem, którego miałem tutaj spotkać powiedział cicho.

Tamten podniósł wzrok znad gazety.

Miał spokojne szare oczy i twardą twarz.

Wyglądał na czterdzieści parę lat.

To zależy od tego, czy ma pan właściwą legitymację odparł.

To był ten sam głos, który Roth słyszał przez telefon.

Pokazał swoją legitymację.

Orłów sprawdził ją i kiwnął głową.

Roth wskazał gestem swój blokujący podjazd samochód, który zostawił na chodzie.

Orłów rozejrzał się, jakby po raz ostatni mówił do widzenia światu, który znał.

Potem wsiadł do środka.

Roth kazał dyżurnemu w ambasadzie zawiadomić Upper Heyford, że przybędzie tam w towarzystwie gościa.

Dojazd do położonej w hrabstwie Oxfordshire bazy US Air Force zajął kolejne dwie godziny.

Roth podjechał prosto pod barak komendanta bazy.

Po dwóch telefonach do Waszyngtonu Langley wyjaśniło sprawę z Pentagonem, który przekazał odpowiednie instrukcje komendantowi.

Na pokładzie samolotu lecącego go o trzeciej po południu z Upper Heyford do bazy sił powietrznych w Andrews, w stanie Maryland, miało się znaleźć dwóch dodatkowych pasażerów.

Pięć godzin wcześniej kręgi afery, która wybuchła rankiem w Tidworth, dotarły do Londynu.

Na długo przed odlotem samolotu odbyła się prawdziwa bitwa na słowa między armią brytyjską.

Ministerstwem Obrony, Służbą Bezpieczeństwa a sowiecką ambasadą.

127 .

□

Około godziny ósmej grupa Rosjan zeszła na śniadanie.

W jadalni gawędzili swobodnie z brytyjskimi kolegami.

O ósmej dwadzieścia grupa liczyła dokładnie szesnaście osób.

Zauważono nieobecność majora Kuczenki, ale nikt nie podnosił alarmu.

Mniej więcej za dziesięć dziewiąta Rosjanie zebrali się ponownie w

głównym hallu tym razem z bagażami i znowu brak było wśród nich majora Kuczenki.

Do jego pokoju wysłano ordynansa.

Miał go po prosić, żeby się pospieszył.

Na zewnątrz czekał autokar.

Ordynans powrócił mówiąc, że pokój majora jest pusty, ale wciąż są tam jego rzeczy.

Dwóch oficerów brytyjskich i dwóch Rosjan udało się na górę, żeby go poszukać.

Odkryli, że łóżko było używane tej nocy, że ręcznik jest mokry i że w pokoju znajduje się całe ubranie Kuczenki, co wskazywało, że musi być gdzieś w pobliżu ubrany w piżamę i szlafrok.

Prze szukano łazienkę w korytarzu (tylko dwóch rosyjskich generałów miało do dyspozycji własne łazienki), bez żadnych widocznych efektów.

Sprawdzono również toalety były puste.

Twarze dwóch Rosjan, z których jeden był pułkownikiem GRU, mocno się wydłużyły.

Brytyjczycy również zaczęli się niepokoić.

Przeszukano gruntownie cały budynek bez rezultatu.

Brytyjski kapitan wywiadu wyślizgnął się na zewnątrz, żeby porozmawiać z cichociemnymi ze służby Bezpieczeństwa.

Ich zapiski wskazywały, że dwóch oficerów w dresach wyszło tego ranka pobiegać, ale tylko jeden powrócił do bazy.

Czym prędzej zadzwoniono do budki wartowników przy bramie.

W ich nocnym raporcie była mowa wyłącznie o tym, że pułkownik Arbuthnot najpierw opuścił teren bazy, a potem przybiegł z powrotem.

Żeby rozstrzygnąć zagadkę, obudzono kaprała, który pełnił tej nocy wartę.

Opowiedział o dwukrotnym pojawieniu się pułkownika Arbuthnota.

Ten ostatni, zapytany o to, stanowczo zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek wybiegł przez bramę, zawrócił i wybiegł ponownie.

Przeszukano jego pokój.

Okazało się, że zniknął gdzieś biały dres, a także marynarka, ko szuła, krawat i spodnie.

Kapitan wywiadu odbył szeptem rozmowę z naj wyższym rangą generałem brytyjskim, który z grobową miną zaprosił najstarszego rangą Rosjanina do swego gabinetu.

Kiedy Rosjanin pojawił się z powrotem w hallu, był blady z wściekłości i zażądał, by natychmiast odwieziono go sztabowym samochodem do ambasady sowieckiej.

Złe wieści rozeszły się wśród pozostałych piętnastu Rosjan, którzy stali się nagle lodowato chłodni i nieprzystępni.

Była dzie siąta rano.

Zaczęły się telefony.

Brytyjski generał zadzwonił do szefa sztabu w Londynie i przedstawił mu kompletny raport sytuacyjny.

Kolejny raport przekazał swoim

128

zwierzchnikom w siedzibie Służby Bezpieczeństwa przy Curzon Street w Londynie dowódca obserwatorów.

Wiadomość wylądowała na biurku za stępcy dyrektora generalnego, który od razu zwietrzył w tym rękę organu niszczenia TSAR.

(Tym przyjaznym akronimem obdarza się czasami w Służbie Bezpieczeństwa kolegów z Tajnej Służby Wywiadowczej.

TSAR to skrót od "Those Shits Across the River", co w luźnym tłumaczeniu oznacza "tych gnojków po drugiej stronie rzeki").

Po drugiej, południowej stronie Tamizy, w Century House, telefon z Curzon Street odebrał zastępca dyrektora, Timothy Edwards.

Zdecydowanie zaprzeczył, jakoby w całej aferze maczała palce SIS.

Odkładając słuchawkę nacisnął brzęczyk na biurku.

Poproś do mnie zaraz Sama McCreadyego warknął.

Około południa rosyjski generał i pułkownik GRU zamknęli się w jednym z pomieszczeń ambasady sowieckiej w Kensington Pałace Gardens razem z attache wojskowym, który udawał generała piechoty, a w rzeczy wistości był generałem GRU.

Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że major Kuczenko to w rzeczywistości pułkownik Orłów z KGB wiedziało o tym zaledwie kilku sztabowców w Dziale Planowania w Moskwie.

Trzem oficerom w Londynie sprawiłoby to wielką ulgę; mało jest rzeczy, które ucieszyłyby rosyjskich wojskowych bardziej niż fakt, że KGB powinęła się noga. Byli jednak przekonani, że stracili majora GRU i bardzo niepokoiła ich spodziewana reakcja Moskwy.

W Cheltenham, w siedzibie Kwatery Głównej Rządowych Służb Łączności (GCHQ), gdzie znajduje się krajowy punkt nasłuchu elektronicznego, odnotowano nagły wzrost łączności radiowej pomiędzy ambasadą sowiecką i Moskwą.

Komunikaty kodowane były za pomocą szyfru dyplomatycznego i wojskowego. Złożono na ten temat odpowiedni raport.

W porze lunchu ambasador sowiecki, Leonid Zamiatin, złożył stanowczy protest w brytyjskim Foreign Office, oskarżając Brytyjczyków o kidnaping i żądając natychmiastowego dostępu do majora Kuczenki.

O protestie natychmiast poinformowano wszystkie tajne służby, te jednak rozłożyły bezradnie ręce na znak swojej niewinności.

U nas go nie ma, oświadczyły zgodnie.

Na długo przed południem zdumienie Brytyjczyków dorównało wściekłości Rosjan.

Sposób, w jaki Kuczenko (wciąż go tak nazywano) dokonał swego przejścia, był

delikatnie mówiąc dziwaczny.

Uciekinierzy nie urywają się po to, żeby wstąpić do jakiegoś baru na piwo; zmierzają prostą drogą do celu, który na ogół wcześniej przygotowują. Wiadomo było, że gdyby Kuczenko pojawił się na posterunku policji, ta natychmiast powia domiłaby Londyn.

A skoro udziału w sprawie wyparły się wszystkie służ129 .

by brytyjskie, możliwość była tylko jedna: Kuczenko zwrócił się do jakiejś innej, działającej na brytyjskiej ziemi agencji.

Bili Carver, szef stacji CIA w Londynie, znajdował się w drażliwej sytuacji.

Roth zmuszony był skontaktować się z Langley, żeby dostać pozwolenie na lot USAF, a Langley poinformowało Carvera.

Ameryka nie wiedziała, jak regulowało te sprawy odpowiednie porozumienie anglo-amerykańskie sprzątnięcie Anglikom prosto sprzed nosa rosyjskiego uciekiniera stanowiło poważny kamień obrazy.

Carverowi kazano jednak czekać z poinformowaniem sojuszników aż do momentu, kiedy wiozący Kuczenkę MATS opuści brytyjską przestrzeń powietrzną.

Znałazł wyjście pozostając nieuchwytny przez cały ranek, a następnie prosił o spotkanie Timothyego Edwardsa o pilne spotkanie o godzinie trzeciej po południu.

Prośba została przyjęta.

Carver spóźnił się do ostatniej chwili siedział w samochodzie trzy przecznice dalej, czekając na telefoniczne potwierdzenie startu samolotu.

Zanim dotarł do gabinetu Edwardsa, było dziesięć po trzeciej amerykański odrzutowiec właśnie minął Bristol Channel i leciał teraz nad południową Irlandią.

Następny przystanek czekał go dopiero w Maryland.

Stając przed Edwardsem, Carver dysponował już pełnym raportem od Rotha, dostarczonemu z bazy lotniczej przez specjalnego posłańca na motocyklu. Roth wyjaśniał, że nie miał innego wyjścia: mógł albo natychmiast przejąć Kuczenkę/Orłowa, który godził się oddać wyłączenie w ręce Amerykanów, albo pozwolić mu wracać do Rosjan.

Carver użył tego argumentu, starając się udobruchać Brytyjczyków. Edwards był już po rozmowie z McCreadym i wiedział doskonale, kim jest Orłowa amerykańskie dane, z których nad ranem skorzystał Roth, pochodziły przede wszystkim z SIS.

Prywatnie Edwards zdawał sobie sprawę, że gdyby jemu samemu trafiła się taka gratka, postąpiłby podobnie jak Roth; na zewnątrz jednak pozostał chłodny i urażony.

Po formalnym przyjęciu raportu Carvera, natychmiast powiadomił swoje ministerstwo obrony, Foreign Office i siostrzaną służbę, Security Service. Kuczenko (Edwards nie widział na razie potrzeby, by informować wszystkich o prawdziwym nazwisku uciekiniera) znajduje się na suwerennym terytorium amerykańskim, poza zasięgiem brytyjskiej jurysdykcji.

Godzinę później do siedziby Foreign Office przy King Charles Street przybył pan Zamiatin.

Wprowadzony został bezpośrednio do gabinetu ministra.

Chociaż oficjalnie przyjął wyjaśnienie ze sceptycyzmem, prywatnie nie gotów był uwierzyć sir Geoffreyowi Howei, którego uważał za czło1wieka honoru.

Udając zagniewanego, wrócił do ambasady i poinformo130

wał o wszystkim Moskwę.

Grupa sowieckich wojskowych odleciała tego wieczoru do domu, niezbyt uszczęśliwiona perspektywą nie kończących się przesłuchań, które z pewnością czekały ją po powrocie.

W Moskwie tymczasem rozgorzała zawzięty spór między KGB a GRU.

KGB oskarżał wojskowych o niezachowanie odpowiednich środków nadzoru, ci z kolei zarzucali KGB, że hołubi w swoich szeregach zdrajców.

Przesłuchano odchodzącą od zmysłów i rozpaczliwie broniącą swej niewinności żonę Orłowa, podobnie jak jego kolegów, zwierzchników, przyjacielów i łączników.

W Waszyngtonie dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej odbył przez telefon przykrą rozmowę z sekretarzem stanu, który ze swej strony otrzymał w sprawie Orłowa nie mniej bolesny telegram od sir Geoffreya Howea.

Odkładając słuchawkę dyrektor Agencji spojrzął na siedzących za biurkiem dwóch mężczyzn: zastępcę dyrektora do spraw operacyjnych oraz szefa Zadań Specjalnych, Calvina Bailey'a.

Ten młody Roth zwrócił się do tego drugiego niezłe namieszając z tym Rosjaninem.

Powiadasz, że działał na własną rękę?

Tak.

Z tego, co wiem, tamten nie dał mu czasu, żeby załatwić to normalnymi kanałami. Zagrał va banque.

Bailey był szczupłym, zamkniętym w sobie mężczyzną; nie przyjaźnił się z żadnym z pracowników Agencji.

Ludzie uważali go za wyniosłego i chłodnego.

Ale był dobrym fachowcem.

Zegraliśmy na nerwach Brytyjczykom.

Czy ty też podjąłbyś takie ryzyko?

zapytał dyrektor.

Nie wiem odparł Bailey.

Nie będziemy wiedzieć, dopóki nie porozmawiamy z Orłowem.

Nie porozmawiamy szczerze.

Dyrektor kiwnął głową.

W tajnym świecie, podobnie jak i gdzie indziej, obowiązuje prosta reguła.

Jeśli podejmie się ryzyko, które się opłaca, jest się mądrym facetem,

zasługującym na najwyższe stanowiska.

Jeśli gra się nie uda, idzie się na zieloną trawkę.

Dyrektor chciał uzyskać konkretną odpowiedź.

Czy bierzesz odpowiedzialność za Rotha?

Na dobre i na złe?

Tak odparł Bailey.

Biorę.

I tak już w to wdepnęliśmy.

Te raz musimy zobaczyć, co z tego wyniknie.

Kiedy zaraz po godzinie osiemnastej czasu waszyngtońskiego MATS wylądował w bazie Andrews, na pasie startowym czekało już pięć należących do Agencji limuzyn z przyciemnionymi szybami.

Zanim zeszli na ziemię członkowie załogi, z samolotu wyprowadzono dwóch mężczyzn, których nikt z bazy nie znał ani nie miał kiedykolwiek oglądać w przyśrodku.

Wkrótce znaleźli się między oczekującymi na dole samochodu131 .

□

mi. Bailey skinął chłodno głową Orłowowi i poczekał, aż ten wsiądzie do drugiego wozu.

Oddaję go w twoje ręce, Joe zwrócił się do Rotha.

Ty go przejąłeś, ty go przesłuchasz.

Nie jestem oficerem śledczym zawahał się Roth.

Przesłuchania to nie moja specjalność.

Bailey wzruszył ramionami.

Ty go przejąłeś.

Ma wobec ciebie dług wdzięczności.

Może będzie z tobą bardziej rozluźniony.

Zapewnimy ci pełne zaplecze: tłumaczy, analityków, specjalistów w każdej dziedzinie, którą poruszy.

Zabierz go na Ranczo czekają tam na was.

I jeszcze jedno: chcę wiedzieć o wszystkim.

Natychmiast, kiedy tylko coś od niego wyciągniesz, przekazuj to osobiście mnie. Rozumiesz?

Roth kiwnął głową.

Zaledwie siedemnaście godzin wcześniej, zakłatając biały dres w angielskiej sypialni, Paweł Kuczenko vel Piotr Orłów był zaufanym sowieckim oficerem; miał dom, żonę, wysoką pozycję za wodową i ojczyznę.

Teraz był nikim łachmanem, rzuconym na tylne siedzenie limuzyny w obcym kraju, czekającym, aż przepuszczą go przez wyżymaczkę, i z całą pewnością odczuwającym, jak wszyscy oni, pierwsze wątpliwości, być może pierwsze oznaki paniki.

Roth nachylił się, żeby wsiąść do samochodu obok Rosjanina.

Ostatnia rzecz, Joe.

Jeżeli Orłów, występujący od teraz pod kryptonimem Minstrel, okaże się podstawiony, dyrektor wyrwie mi nogi z tyłka.

Mniej więcej trzydzieści sekund po tym, jak ja wyrwę je tobie.

Po wodzenia.

Należące do CIA Ranczo było i jest nadal autentyczną farmą położoną w znanej z hodowli koni południowej Wirginii.

Niezbyt oddalone od waszyngtonu, ale schowane wśród gęstych lasów, otoczone jest wysokim ogrodzeniem i strzeżone przez wysportowanych młodych ludzi, którzy ukończyli z wyróżnieniem kursy strzeleckie i szkolenie w zakresie wschodnich technik walki w Quantico.

Orłów został wprowadzony do komfortowego, pomalowanego na spokojne kolory apartamentu, zaopatrzonego w łazienkę i wszystkie akcesoria, które spotkać można w porządnym pokoju hotelowym: telewizor, wideo, magnetofon, fotele i wysoki stół.

Podano coś do zjedzenia pierwszy posiłek Orłowa w Ameryce.

Joe Roth zasiadł do stołu razem z nim.

Podczas lotu obaj mężczyźni uzgodnili, że będą do siebie mówić Peter i Joe. Teraz okazało się, że ich znajomość miała się pogłębić.

Nie zawsze będzie to łatwe, Peter powiedział Roth obserwując, jak Rosjanin zмага się z wielkim hamburgerem. Miał na myśli nie

132

dające się otworzyć kuloodporne szyby, fałszywe lustro we wszystkich pokojach, nagrywanie każdego wymówionego w apartamencie słowa.

Rosjanin skinął głową.

Jutro będziemy musieli zacząć, Peter.

Musimy porozmawiać, szczerze porozmawiać.

Najpierw sprawdzimy cię za pomocą wykrywacza kłamstw.

Jeżeli przejdziesz pomyślnie test, będziesz musiał powiedzieć mi... mnóstwo rzeczy.

Dokładnie rzecz biorąc, wszystko.

Wszystko, co wiesz albo podejrzewasz.

I będziemy do tego wracać bez końca.

Orłów odłożył widelec i uśmiechnął się.

Joe, obaj spędziliśmy w tym dziwnym świecie całe nasze życie.

Nie musisz...

poszukał odpowiedniego zwrotu owijając niczego w bawełnę.

Powinienem teraz okazać się godny ryzyka, które podjąłeś, żeby mnie stamtąd wyciągnąć.

Nazywacie to wianem panny młodej, prawda?

Roth roześmiał się.

Tak, Peter, tego właśnie potrzebujemy.

Wiana panny młodej.

W Londynie Tajna Służba Wywiadowcza nie siedziała bynajmniej z założonymi rękoma.

Timothy Edwards szybko odkrył, jak naprawdę nazywa się zaginiony funkcjonariusz sowieckiego Ministerstwa Obrony, Paweł Kuczenko.

Jego własny bank danych niezwłocznie poinformował go, że pod tym nazwiskiem ukrywa się w rzeczywistości pułkownik Piotr Orłów z Trzeciego Departamentu KGB. To wtedy właśnie wezwał do siebie Sama McCreadyego.

Ochraniłem amerykańskich kuzynów tak ostro, jak tylko potrafiłem. Uważamy to za wyjątkową zniewagę, wszyscy są do żywego dotknię ci, coś w tym rodzaju.

Bili Carver gryzie paznokcie; uważa, że poważnie zagrożona jest jego tutejsza pozycja.

Tak czy inaczej, będzie naciskał Langley, żeby podzieliło się z nami wynikami, kiedy je uzyskają, o ile w ogóle cokolwiek z niego wyciągną.

Chcę powołać małą grupę, która przyjrzy się uzyskanym od Orłowa informacjom, kiedy do nas dotrą.

Chciałbym, żebyś tym się zajął... pod moim kierownictwem.

Dziękuję odparł Fałszerz.

Aleja poszedłbym jeszcze dalej.

Poprosiłbym o bezpośredni dostęp.

Możliwe, że Orłów wie o rzeczach, które mają dla nas olbrzymie znaczenie, a nie znajdują się wcale wysoko na liście zainteresowań Langley.

Wolałbym się z nim rozmówić osobiście.

To może się okazać trudne zafrasował się Edwards.

Prawdo podobnie zamelinowali go gdzieś w Wirginii.

Ale zawsze mogę poprosić.

Ma pan do tego prawo naciskał McCready.

Dostali od nas ostatnio cholernie dużo informacji.

133 .

□

Nie dopowiedział myśli do końca.

Obaj wiedzieli, skąd pochodziła większość materiałów, które docierały w ciągu tych ostatnich czterech lat.

W zeszłym roku przekazali między innymi do Langley pełny tekst sowieckiej

doktryny wojennej.

Jeszcze jedno dodał Sam.

Chciałbym zasięgnąć języka na temat Orłowa.

U Reepsakea.

Edwards popatrzył twardo na McCreadygo.

Agent, którego krypto nim brzmiał Keepsake, Pamiątka, był współpracującym z SIS Rosjaninem.

Zajmował tak wysokie i kluczowe stanowisko, że tylko czterech ludzi w całym Century House wiedziało, kim jest, a mniej niż tuzin poinformowanych było w ogóle o jego istnieniu.

Do tych pierwszych należał Szef, następnie Edwards, kontroler bloku sowieckiego oraz McCready, oficer, który go "prowadził".

Czy to rozsądne?

zapytał Edwards.

Moim zdaniem usprawiedliwione.

Zachowaj ostrożność.

Czarny samochód, następnego ranka, zaparkowany był wyraźnie przy podwójnej żółtej linii i policjant z drogówki bez wahania zabrał się do wypisywania mandatu.

Właśnie skończył go pisać, wsadził do plastikowej koperty i wtykał pod wycieraczkę, kiedy z pobliskiego sklepu wyszedł szczupły, elegancko ubrany mężczyzna w szarym garniturze, zobaczył mandat i zaczął protestować.

Scenka była na tyle banalna, że nikt nie zwrócił na nią uwagi, nawet na londyńskiej ulicy.

Przypadkowy widz spostrzegłby co najwyżej gorączkową gestykulację kierowcy i niewzruszoną postawę policjanta.

Ciągnąc przedstawiciela włączył za rękaw kierowca skłonił go w końcu do obejścia samochodu i przyjrzenia się znakom rejestracyjnym.

Obok tablicy z numerami policjant ujrzał wiele mówiące literki CD, którymi oznacza się pojazdy należące do korpusu dyplomatycznego.

Najwyraźniej uszły one przedtem jego uwagi, ale specjalnie się tym nie przejął.

Zagraniczni dyplomaci mogli być zwolnieni od płacenia grzywny, ale nie od wystawienia mandatu.

Odwrócił się, żeby odejść.

Kierowca wyrwał mandat spod wycieraczki i zaczął machać nim przed nosem policjanta.

Ten zadał jakieś pytanie.

Chcąc udowodnić, że naprawdę jest dyplomata, kierowca pogrzebał w kieszeni, wy dostał z niej swoją legitymację i zmusił policjanta, żeby ją sobie obejrzał.

Policjant rzucił okiem, wzruszył ramionami i odszedł.

Rozwścieczony cudzoziemiec zmiął mandat, wrzucił go przez otwartą szybę do środka swej limuzyny, wsiadł do niej i odjechał.

Przypadkowy widz nie spostrzegłby wcale wetkniętej do środka legitymacji kartki, na której widniał napis: Czytelnia British

134

Museum, jutro, godz.

14. Nie miał również szansy zobaczyć, że po przejechaniu mili kierowca rozprostował mandat za nieprawidłowe parkowanie i przeczytał po jego drugiej stronie: Pułkownik Piotr Aleksandrowie!

Orłów oddał się w ręce Amerykanów.

Czy coś o nim wiesz?

Fałszerz skontaktował się właśnie z Keepsakeem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Traktowanie albo "obsługa" uciekiniera różni się znacznie w zależności od jego stanu emocjonalnego i zwyczajów, jakie panują w tej dziedzinie w przesłuchującej go agencji.

Jedno wiadomo na pewno: sprawa jest za wsze delikatna i skomplikowana.

Przed wszystkim trzeba umieścić delikwenta w otoczeniu, które choć nie przypomina więziennej celi, jest w stanie uniemożliwić mu ucieczkę, często dla jego własnego dobra.

Dwa lata po Orłowie Amerykanie fatalnie pokpiли sprawę z witalijem Urczenko, innym uciekinierem, który przeszedł na ich stronę prosto "z marszu".

Starając się stworzyć normalną atmosferę, zaprosili go do restauracji w Georgetown, w Waszyngtonie.

Facetowi nagle coś się odmieniło i zwiął przez okno w męskiej toalecie.

Wrócił do ambasady sowieckiej i oddał się w ręce swoich rodaków.

Specjalnie na tym nie zyskał; wysłano go z powrotem do Moskwy, pod dano brutalnemu przesłuchaniu i rozstrzelano.

Uciekiniera trzeba zatem chronić przed nim samym; ale i przed możliwością zemsty.

ZSRS, a konkretnie KGB, znane jest z tego, że nigdy nie wybacza tym, których uważa za zdrajców; jeśli to tylko możliwe, stara się do nich dotrzeć i zlikwidować.

Im wyższe stanowisko zajmował uciekinier, tym bardziej haniebna jego zdrada a wyższy oficer KGB to ktoś, kto doszedł do samych szczytów.

Do KGB należą najlepsi z najlepszych, lu dzie, którzy w żyjącym o głodzie i chłodzie kraju korzystają z wszelkich możliwych luksusów i przywilejów.

Odrzucenie tego stylu życia, najlepszej rzeczy, jaką ma do zaoferowania Związek Sowiecki, stanowi przejaw nie wdzięczności i zniewagi tak wielkiej, że zmazać ją może tylko śmierć.

Ranczo zabezpiecza, oczywiście, przed możliwością odwetu.

Głównych komplikacji może przysporzyć stan psychiczny samego uciekiniera.

Po pierwszym, wspomaganym adrenaliną, gorączkowym okresie, wielu z nich zaczyna żałować swojego kroku.

Dopiero teraz widzą całą potworność tego, czego się dopuścili, uświadamiają sobie, że nigdy już nie zobaczą żony, rodziny, przyjaciół, ojczyzny.

To prowadzi do depresji, podobnie jak po fazie euforii następuje faza załamania u narkomana.

135 .

□

Żeby temu przeciwdziałać, wiele przesłuchań zaczyna się od niespiesznego przypomnienia życiorysu uciekiniera, od pytań na temat jego dzie ciństwa i młodości.

Opowiadanie o tych odległych czasach, o rodzicach i kolegach ze szkoły, o parku, do którego przesłuchiwany zimą chodził na łyżwy, o wycieczkach na wieś w lecie zamiast wpędzać go w jeszcze większą nostalgię i depresję, na ogół go uspokaja. Wszystko najmniej szy szczegóły i gesty jest odnotowywane.

Rzecz, która zawsze żywo interesuje przesłuchujących, jest motywacja. Dlaczego zdecydowałeś się do nas przejść?

(Nigdy nie używa się słowa "zdradzić".

Kojarzy się ono z niełojalnością, a nie wynikającą z racjonalnych przesłanek zmianą światopoglądu).

Czasami przesłuchiwany kłamliwie przedstawia swoje motywy.

Twierdzi, że nie mógł już dłużej patrzeć na korupcję, cynizm i nepotyzm systemu, któremu służył i który zostawił za sobą.

W wielu przypadkach tak to rzeczywiście wygląda; taka jest w każdym razie najczęstsza przyczyna.

Ale nie zawsze.

Zdarza się, że uciekinier zdefraudował pieniądze i wie, że dostanie za to po łapach od KGB.

Czasami wzywają go do Moskwy, żeby ukarać za romans, w który się nieopatrznie uwikłał.

Prawdziwą przyczyną może być także degradacja albo nienawiść zwierchnika.

Zdarza się, że gospodarze świetnie zdają sobie sprawę z prawdziwej przyczyny ucieczki.

Przesłuchujący będzie się wtedy uważnie i z sympatią przysłuchiwał temu, co facet ma do powiedzenia nawet wiedząc, że kłamie.

Wszystko zanotuje.

Uciekinier mógł z czystej próżności kłamliwie przedstawić motywy swojej ucieczki, ale nie musi to zaraz oznaczać, że fałszywy jest także przedstawiony przez niego właściwy materiał wywiadowczy.

Nie musi, ale może...

Inni kłamią, bo są zarozumiali; starają się wyolbrzymić swoje przesłane znaczenie, wyrzucić wrażenie na gospodarzach.

Wszystko zostanie sprawdzone; wcześniej czy później przesłuchujący będą znali prawdziwą przyczynę, prawdziwe stanowisko.

Na razie przysłuchują się wszystkiemu z zachęcającym uśmiechem.

Dopiero później przesłuchiwanego weźmie się w krzyżowy ogień pytań tak jak w sądzie.

Kiedy przedmiotem rozmowy staną się w końcu tajne informacje, zastawia się na przesłuchiwanego liczne pułapki.

Zadane zostanie wiele pytań, na które przesłuchujący znają od dawna odpowiedź.

A jeśli nawet o czymś nie wiedzą, pracujący nocami analitycy i tak dojdą prawdy, sprawdzając i porównując różne fragmenty zeznań.

Na Zachód przeszło w końcu mnóstwo agentów i tutejsze tajne służby zdołały

zgrupować olbrzymią wiedzę na temat KGB, GRU, sowieckiej armii, marynarki i lotnictwa, nawet samego Kremla.

Jest z czego korzystać.

136

Jeżeli uciekiniera złapie się na kłamstwie w kwestii, w której o ile rzeczywiście zajmował podane przez siebie stanowisko powinien się dobrze orientować, natychmiast nabiera się wobec niego podejrzeń. Może kłamać z czystej brawury i chęci zaimponowania albo dlatego, że nigdy nie miał dostępu do tego rodzaju informacji i tylko udaje dobrze poinformowanego; albo dlatego, że zapomniał; albo...

Nie jest łatwo okłamać gospodarzy podczas długiego i żmudnego przesłuchania.

Może ono trwać całymi miesiącami, nawet latami wszystko zależy od tego, ile dostarczonych przez gościa informacji nie trzyma się kupy.

Jeżeli jakiś podany przez gościa fakt różni się od tego, co uważa się za prawdę, zawsze może się zdarzyć, że nieprawdziwe jest to, co dotychczas uważano za prawdę.

Analitycy sprawdzają ponownie oryginalne źródło informacji.

Możliwe, że to oni przez cały czas się mylili; że rację ma ten nowy.

Na razie, póki trwa sprawdzanie, sprawę odkłada się ad acta.

Powróci się do niej później.

A potem znów i raz jeszcze.

Zdarza się często, że przesłuchiwany nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia jakiejś drobnej informacji, którą przekazuje nie przywiązując do niej żadnej wagi.

To, co jemu wydaje się bagatelką, dla gospodarzy stać może czasem ostatni, brakujący fragment układanki, nad którym od dawna łamali sobie głowę.

Wśród pytań, na które odpowiedzi znane są już od dawna, pojawiają się takie, na które rzeczywiście poszukuje się odpowiedzi.

To jakby przesiewanie złotonośnego piasku.

Czy ten nowy uciekinier jest w stanie powiedzieć nam coś, czegośmy dotąd nie wiedzieli;

a jeżeli tak, to jak ważne są te informacje?

W przypadku pułkownika Piotra Aleksandrowicza Orłowa CIA już po czterech tygodniach doszła do wniosku, że trafiła w jego osobie na prawdziwy samorodek. Facet dostarczał fantastycznego materiału.

Przed wszystkim od samego początku był bardzo chłodny i opanowany. Opowiedział Joemu Rothowi swój życiorys poczynając od chwili, kiedy urodził się, zaraz po wojnie, w skromnej chacie niedaleko Mińska, aż po pewien dzień, przed sześcioma miesiącami, kiedy uznał, że nie może dłużej tolerować społeczeństwa i systemu, którymi głęboko gardzi.

Nigdy nie zaprzeczał, że nadal darzy głęboką miłością swoją ojczyznę, Rosję, i okazywał normalne w tych okolicznościach przygnębiające, uświadamiając sobie, że nigdy już jej nie zobaczy.

Stwierdził, że jego małżeństwo z Gają odnoszącą sukcesy dyrektorką teatru w Moskwie od trzech lat było czysto fikcyjne.

Nie kryjąc normalnego w tych okolicznościach gniewu opowiedział o jej romansach z młodymi, przystojnymi aktorami.

137

Przeszedł pomyślnie trzy przeprowadzone za pomocą wykrywacza kłamstw testy, dotyczące jego pochodzenia, kariery, życia prywatnego i zmiany politycznych ideałów.

A potem zaczął przekazywać pierwszorzędnej wagi informacje.

Przed wszystkim jego kariera była bardzo urozmaicona.

Cztery spędzone w Trzecim Departamencie lata, podczas których pracował jako major Kuczenko z GRU w Wydziale Centralnego Planowania dowództwa armii, pozwoliły mu poznać dobrze wielu wyższych oficerów, a także rozlokowanie różnych dywizji wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki na morzu i w portach.

Fascynująca była jego analiza klęsk ponoszonych przez Armię Czerwoną w Afganistanie; opowiadał o zaskakującej demoralizacji przebywających tam sowieckich oddziałów i rosnącym rozczarowaniu, które budzi w Moskwie marionetkowy afgański dyktator, Babrak Karmal.

Zanim przeszedł do Departamentu Sił Zbrojnych, spędził jakiś czas we wchodzącym w skład Departamentu Pierwszego Zarządzenia do Spraw Nielegalnych.

Komórka ta odpowiedzialna jest za prowadzenie na całym świecie sieci nielegalnych agentów.

Działają oni w największym ukryciu i albo szpiegują przeciwko własnemu państwu

(jeśli są jego obywatelami), albo żyją głęboko zamaskowani w obcym kraju. W przeciwieństwie do pracownika ambasady, któremu grozi co najwyżej uznanie za persona non grata i wydalenie, agentów tych nie chroni immunitet dyplomatyczny; ich ujawnienie i ujęcie pociąga za sobą bardziej bolesną terapię w postaci aresztowania, brutalnego śledztwa, a czasami egzekucji.

Chociaż jego wiedza w tej dziedzinie pochodziła sprzed czterech lat, Orłów wydawał się mieć wprost encyklopedyczną znajomość dosłownie każdej siatki, którą sam kiedyś pomagał montować i prowadzić, w więk szości w Ameryce Południowej i Środkowej, za który to obszar był odpo wiedzialny. Teraz demaskował jedną po drugiej.

Kiedy informacje udzielone przez gościa okazują się kontrowersyjne, oficerowie przesłuchującej go agencji dzielą się zazwyczaj na dwa obo zy na tych, którzy wierzą i popierają nowego uciekiniera, oraz tych, którzy mają wątpliwości i zwalczają go. W historii CIA najbardziej zna nym przypadkiem tego typu była sprawa Golicyna i Nosenki.

W roku 1960 przeszedł na Zachód Anatolij Golicyn, człowiek, które go ambicją stało się przekonanie CIA, że KGB maczała palce dokładnie w każdej aferze, jaka miała miejsce na tej planecie od zakończenia dru giej wojny światowej.

Dla Golicyna nie było takiej podłości, przed którą cofnąłby się i której nie przygotowywałby sowiecki wywiad.

To była woda na młyn frakcji jastrzębi w CIA, której przewodził szef kontrwywiadu

138

James Angleton, od lat ostrzegający swoich zwierzchników mniej więcej o tym samym.

Golicyn stał się obsypywanym nagrodami gwiazdorem.

W listopadzie 1963 zamordowany został prezydent Kennedy.

Uzna no, że zamachowcem był ożeniony z Rosjanką lewicowiec o nazwisku Lee Harvey Oswald, który wyjechał kiedyś do ZSRS i mieszkał tam przez ponad rok.

W styczniu 1964 przeszedł na Zachód Jurij Nosenko.

Zeznał, że w Rosji "opiekował się" Oswaldem, że KGB miała z Amerykaninem same kłopoty, zerwała z nim wszelkie kontakty i nic jej nie łączy z zama chem na Kennedyego.

Golicyn, popierany przez Angletona, natychmiast stwierdził, że jego rodak jest sowiecką wtyczką.

Nosenkę poddano wyjątkowo brutal nemu śledztwu, ten jednak uparcie trzymał się swojej wersji.

Spór na długie lata rozdarł Agencję na dwa zwalczające się obozy i ucichł do piero po dwóch dekadach.

W zależności od odpowiedzi na pytanie: "Kto miał rację, a kto się mylił?"

", rodziły się i załamywały kariery, tak to już bowiem jest, że rosną akcje tych, których uznaje się za współautorów wielkiego sukcesu.

W przypadku Piotra Orłowa nie było mowy o żadnych kontrowersjach, a cała chwała spłynęła na ramiona człowieka, który sprowadził go do Ameryki kierownika Zadań Specjalnych, Calvina Bailey'a.

Nazajutrz po tym, jak Joe Roth zamieszkał wspólnie z pułkownikiem Orłowem w południowej Wirginii, Sam McCready dyskretnie przekroczył podwoje British Museum mieszczącego się jeszcze podówczas w samym sercu Bloomsbury i skierował się prosto do wielkiej, okrągłej, zwieńczo nej kopułą czytelnii.

Towarzyszyło mu dwóch młodszych podwładnych Denis Gaunt, którego stopniowo obdarzał coraz większym zaufaniem, oraz drugi funkcjonariusz o nazwisku Patten. Żaden z członków ekipy ubez pieczającej nie miał oglądać twarzy Keepsake'a nie było to potrzeb ne i mogło się okazać niebezpieczne.

Ich obowiązkiem było kręcić się koło wejścia, przeglądać wyłożone tam gazety i pilnować, żeby żaden intruz nie przeszkodził przypadkiem ich szefowi w kontakcie z agentem.

McCready podszedł do jednego ze stolików, zasłoniętego w dużej części półkami na książki i grzecznie zapytał siedzącego tam mężczyznę, czy nie przeszkadza.

Tamten, nie podnosząc głowy znad tomu, z które go sporządzał notatki, wskazał mu bez słowa krzesło po drugiej stronie i czytał dalej.

McCready czekał w milczeniu.

Po kilku chwilach bezszelest nie podszedł do stolika bibliotekarz przynosząc mu książkę, na którą złożył wcześniej zamówienie.

139 .

□

Człowiek po drugiej stronie stołu dalej nie unosił głowy.

Jak się masz, witalij?

zapytał ledwo poruszając ustami McCready, kiedy zostali sami.

Dobrze mruknął mężczyzna zapisując coś w swoim notesie.

Masz jakieś wiadomości?

Spodziewamy się w przyszłym tygodniu wizyty.

W rezydenturze.

Z centrali?

Tak.

Generał Drozdów we własnej osobie.

McCready nie dał po sobie nic poznać, skupiony na książce.

Ktoś siedzący na zewnątrz utworzonej przez biblioteczne półki małej niszy nie

byłby w stanie usłyszeć cichego szeptu i nie miał też prawa wejść do środka.

Nie pozwoliliby na to Gaunt i Patten.

Ale nazwisko generała wywarło na McCreadym wrażenie.

Drozdów, niski, krępy mężczyzna, odznaczają cy się zadziwiającym podobieństwem

do prezydenta Eisenhowera, był szefem Zarządu do Spraw Nielegalnych i rzadko

ośmielał się przekraczać granice ZSRS.

To, że wybierał się do jaskini lwa w Londynie, było w naj wyższym stopniu

niezwykłe i mogło mieć wyjątkowe znaczenie.

To dobra czy zła wiadomość?

zapytał McCready.

Nie wiem odparł Keepsake.

Na pewno dziwna.

Nie jest moim bezpośrednim przełożonym, ale nie mógłby tu przyjechać bez zgody

Kriuczkowa.

(Generał Władimir Kriuczkow, pełniący od roku 1988 stanowisko przewodniczącego KGB, kierował wówczas wywiadem zagranicznym, in nymi słowy Departamentem Pierwszym).

Czy będzie rozmawiał z tobą na temat zainstalowanych w Wielkiej Brytanii "nielegalnych"?

Wątpię.

Lubi sam zajmować się swoimi "nielegalnymi".

To może mieć coś wspólnego z Orłowem.

Cała ta sprawa potężnie śmierdzi.

Dwaj pozostali, wchodzący w skład delegacji oficerowie GRU, są już przesłuchiwani.

W najlepszym wypadku postawieni zostaną przed sądem wojskowym za karygodne zaniedbanie.

Albo...

Czy jest jakaś inna przyczyna przyjazdu Drozdowa?

Keepsake westchnął i po raz pierwszy uniół oczy znad książki.

McCready odwzajemnił jego spojrzenie.

Przez te kilka lat zaprzyjaźnił się z Rosjaninem; ufał mu i wierzył w niego.

To tylko przeczucie powiedział Keepsake.

Może chce sprawdzić naszą miejscową rezydenturę.

Nie wiem nic konkretnego; po prostu coś wisi w powietrzu.

Może nabrali jakichś podejrzeń.

Witalij, to nie może trwać wiecznie.

Obaj o tym wiemy.

Wcześniej czy później zaczną pasować do siebie wszystkie kawałki układanki.

Zbyt

140

wiele przecieków, zbyt wiele koincydencji.

Czy chcesz teraz przejść?

Mogę to zaaranżować.

Powiedz tylko słowo.

Jeszcze nie teraz.

Może już niedługo, ale nie teraz.

Są jeszcze materiały, które powinienem wam przekazać.

Jeśli rzeczywiście zaczną remontować siatkę londyńską, zorientuję się, że mają na mnie jakieś goście.

Z odpowiednim wyprzedzeniem, żeby się wycofać.

Ale jeszcze nie teraz.

A swoją drogą, nie zatrzymujcie przypadkiem Drozdowa.

Jeśli mają jakieś podejrzenia, to będzie dla nich kolejny argument.

Lepiej powiedz mi, kiedy przylatuje i pod kogo się podszywa, na wypadek, gdyby miała się rzeczywiście przytrafić jakaś przygoda na Heathrow powiedział

McCready.

Jako szwajcarski biznesmen odparł Rosjanin.

Lotem British Airways z Zurychu, we wtorek.

Dopilnuję, żeby się go nie czepiano.

Coś jeszcze o Orłowie?

Na razie nic stwierdził Keepsake.

Jego nazwisko obito mi się o uszy, ale nigdy się z nim osobiście nie spotkałem.

Jego ucieczka trochę mnie dziwi.

Cieszył się jak najlepszą opinią.

Podobnie jak i ty odparł McCready.

Rosjanin uśmiechnął się.

Oczywiście.

Nie brali pod uwagę kwestii gustu.

Postaram się wy dobyć coś na jego temat.

Dlaczego tak cię to interesuje?

Nic konkretnego odparł McCready.

Tak jak sam powiedzia łeś, coś wisi w powietrzu.

Sposób, w jaki przeszedł, to, że nie dałjemu Rothowi czasu na rozpoznanie.

Tak postępuje marynarz, który daje nogę z okrętu.

Ale nie pułkownik KGB.

Mógł ubić lepszy interes.

Zgadza m się odparł Rosjanin.

Zrobię, co będę mógł.

Rosjanin zajmował w ambasadzie tak kluczowe stanowisko, że spotka nia z nim twarzą w twarz stanowiły duże ryzyko i nie były z tej racji zbyt częste.

Następne miało się odbyć na początku maja, w małej, obskurnej kawiarence w Shoreditch, na londyńskim East Endzie.

W końcu kwietnia dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej odbył w Białym Domu naradę z prezydentem.

Nie było w tym nic niezwykle go, obaj panowie spotykali się bowiem wyjątkowo regularnie w ramach zebrań Krajowej Rady Bezpieczeństwa albo prywatnie.

Tym razem jed nak prezydent wyrażał się o Agencji w samych superlatywach.

Podziękow ania, które przekazały CIA liczne instytucje i służby korzystające z pły nącego z Rancza w południowej Wirginii strumienia informacji, dotarły aż do Gabinetu Ovalnego.

141 .

□

Dyrektor CIA, twardy mężczyzna, którego początki kariery sięgały czasów Office of Strategie Services (OSS) i drugiej wojny światowej, był oddanym przyjacielem Ronalda Reagana.

Znany z prostolinijności, nie widział powodu, by należna część pochwał nie miała spłynać na odpo wiedzialnego za sprowadzenie pułkownika Orłowa szefa Zadań Specjal nych.

Po powrocie do Langley wezwał Calvina Baileya.

Bailey zastał swego dyrektora stojącego przy szerokim panoramicznym oknie, które wypełniało prawie całą ścianę mieszczącego się na naj wyższym piętrze gabinetu.

Wpatrywał się w dolinę, tam gdzie pasmo obsypanych świeżymi wiosennymi liśćmi drzew skryło za sobą widoczną jeszcze niedawno w zimie wstęgę Potomacu.

Po chwili odwrócił się do Baileya z szerokim uśmiechem.

Cóż ci mogę powiedzieć, Cal?

Należą ci się gratulacje.

Marynar ka jest zachwycona; twierdzą, że czekają na więcej.

Meksykanie nie mogą się nacieszyć; zwinęli właśnie siatkę liczącą siedemnastu agentów, razem z kamerami, krótkofalówkami i mnóstwem innego sprzętu.

Dziękuję odparł ostrożnie Calvin Bailey.

Znany był z powścią gliwości, z tego, że nie okazywał swoich uczuć.

Wszyscy wiemy stwierdził dyrektor że pod koniec roku przechodzi na emeryturę Frank Wright.

Będę potrzebował nowego za stępcy do spraw operacyjnych.

Być może, Calvin, powtarzam, być może, wiem już, kogo powołam na to stanowisko.

Chłodna, nieprzenikniona fizjonomia Baileya rozjaśniła się w nagłym przypływie zadowolenia.

Dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej zostaje zawsze któryś z polityków; tak jest od trzydziestu lat.

Podlegają mu dwie główne części składowe Agencji: wydział Operacyjny, kierowa ny przez zastępcę dyrektora do spraw operacyjnych, oraz wydział do Spraw Analizy Informacji wywiadowczych, kierowany przez zastępcę dy rektora do spraw wywiadu.

Są to najwyższe stanowiska, na które może rozsądnie liczyć profesjonalista. Zastępca do spraw operacyjnych kieruje zbieraniem danych, a zastępca do spraw wywiadu przetwarzaniem surowego materiału w zrozumiałe i użyteczne informacje.

Pozwoliwszy nacieszyć się swemu podwładnemu perspektywą światła nej przyszłości, dyrektor przystąpił do spraw bardziej przyziemnych.

Słuchaj, chodzi o Brytyjczyków.

Jak wiesz, odwiedziła nas niedawno Margaret Thatcher.

Calvin Bailey kiwnął głową.

Więzy przyjaźni łączące brytyjską panią premier i amerykańskiego prezydenta dla nikogo nie były tajemnicą.

Przywiozła ze sobą Christophera...

Dyrektor wymienił nazwi sko ówczesnego szefa brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej.

Od142

byliśmy szeregi udanych spotkań.

Przekazał nam naprawdę wartościowy materiał.

Mamy wobec nich dług.

Cał.

Chodzi po prostu o przysługę.

Chcę wyrównać rachunki.

Zwrócili się do nas z dwiema sprawami.

Są, jak twierdzą, bardzo wdzięczni za wszystkie przesyłane, pochodzące od Minstrela informacje, ale jak mówią na temat działających w Anglii sowieckich agentów otrzymują na razie wyłącznie kryptonimy.

Czy Minstrel mógłby przypomnieć sobie jakieś prawdziwe nazwisko albo choćby zajmowane przez któregoś z nich stanowisko...

coś, co pozwoliłoby im zidentyfikować działających na ich własnym podwórku szpiegów.

Bailey zastanawiał się przez chwilę.

Pytaliśmy go już wcześniej odparł.

wysłaliśmy Brytyjczykom wszystko, co choćby w odległy sposób ich dotyczy.

Zapytam go jeszcze raz, dopilnuję, żeby Joe Roth spróbował wyciągnąć od niego jakieś prawdziwe nazwiska.

To da się załatwić.

To świetnie, to świetnie...

ucieszył się dyrektor.

Ale jest jeszcze coś.

Bez przerwy domagają się dostępu.

U siebie.

Tym razem jestem skłonny im ulec.

Myślę, że możemy sobie na to pozwolić.

wolałbym, żeby pozostał u nas.

Tutaj jest bezpieczny.

Tam również jesteście w stanie zapewnić mu bezpieczeństwo.

Możemy umieścić go w amerykańskiej bazie powietrznej.

W Upper Heyford, Lakenheath, Alconbury.

Gdziekolwiek.

Mogą się z nim spotkać, pogadać z nim pod naszym nadzorem, a potem przywieziemy go z powrotem.

Nie podoba mi się to oświadczył Bailey.

Calvin...

w głosie dyrektora zabrzmiała stal.

Już to uzgodniłem.

Po prostu tego dopilnuj.

Calvin Bailey wybrał się na Ranczo, by osobiście porozmawiać z Joeem

Rothem.

Przeszli do położonego na pierwszym piętrze, nad centralnym portykiem, apartamentu Rotha.

Bailey zauważył, że jego podwładny jest zmęczony i wymizerowany.

Przesłuchiwanie uciekiniera to męcząca robota;

po długim dniu przychodzi długa noc, podczas której trzeba przygotować pytania na następną sesję.

W programie zajęć nie przewidziano czasu na odpoczynek, a kiedy na dodatek, jak to się często zdarza, gość nawiąże osobisty kontakt z przesłuchującym go oficerem, trudno jest udzielić temu ostatniemu urlopu i zastąpić go kimś innym.

Waszyngton jest zadowolony powiedział Bailey.

Bardziej niż zadowolony; uszczęśliwiony.

Wszystko, co mówi Orłów, okazuje się prawdziwe.

Rozmieszczenie jednostek armii, marynarki wojennej i sił powietrznych potwierdzają inne źródła oraz dane satelitarne. Stany uzbrojenia, poziomy gotowości, cały ten burdel w Afganistanie Pentagon jest tym wszystkim zachwycony. Dobrze się spisałeś, Joe. Bardzo dobrze.

143 .

□
Czeka nas jeszcze długa droga stwierdził Roth. Jest jeszcze do przekazania mnóstwo materiałów. Musi być. Ten facet to istna encyklopedia. Fenomenalna pamięć. Czasami zdarza mu się jakaś drobna luka w pamięci, jednak wcześniej czy później wszystko sobie przypomnia. Mimo to...

Co mimo to?

Posłuchaj, Joe, on obraca wniwecz długie lata kołowej roboty KGB w Ameryce Południowej i Środkowej. Nasi tamtejsi przyjaciele likwidują jedną siatkę po drugiej. Facet jest w porządku. Wiem, że jesteś zmęczony. Po prostu rób dalej to, co robisz. Powtórzył Rothowi to, co usłyszał od dyrektora na temat zbliżającego się wakat na stanowisku zastępcy do spraw operacyjnych. Nie lubił być niedyskretny, nie widział jednak powodu, żeby żałować swemu podwładnemu zachęty podobnej do tej, której udzielił mu dyrektor. Jeżeli dostanę tę nominację, Joe, to otworzy się kolejny wakat: na stanowisku szefa Zadań Specjalnych. Dużo będzie zależało od mojej rekomendacji. A ja widzę na tym stanowisku ciebie. Chciałem, żebyś o tym wiedział.

Roth podziękował, ale nie wpadł bynajmniej w zachwyt.

Był nie tylko zmęczony. Coś po prostu nie dawało mu spokoju. Czy on stwarza jakieś problemy?

zapytał Bailey. Czy ma wszystko, czego chce? Może potrzebuje kobiecego towarzystwa? A ty?

Jesteście tutaj tacy odizolowani. Minał cały miesiąc. Można coś zorganizować.

Wiedział, że liczący trzydzieści dziewięć lat Roth jest rozwiedziony i żyje samotnie.

Agencja ma legendarny wskaźnik rozwodów. To należy do uroków tego zawodu mawia się w Langley.

Nie, już mu to proponowałem.

Potrząsnął tylko głową. Razem pracujemy.

To pomaga. Biegamy po lesie tak długo, aż dosłownie pada my z nóg. Nigdy nie byłem w tak dobrej kondycji.

Jest ode mnie starszy, ale bardziej wysportowany.

To jedna z rzeczy, które nie dają mi spokoju.

On nie ma żadnej skazy, żadnej słabości.

Gdyby się choć raz upił, narozrabiał, uronił parę łez z tęsknoty za ojczyzną, wściekł się...

Próbowałeś go sprowokować?

zapytał Bailey.

Prowokacja próba wyprowadzenia uciekiniera z równowagi i wyzwolenia tłumionych w nim długo emocji miewa czasami pozytywny efekt terapeutyczny.

Tak przynajmniej twierdzą zatrudnieni w Firmie psychiatry.

Tak.

Zarzucałem mu, że jest konfidentem, chorągiewką na wietrze.

I nic.

Zagonił mnie niemal na śmierć i wyśmiał.

A potem powiedział, żebyśmy się zabrali do poważnej roboty.

I zaczął denuncjować rozsianych na całym świecie agentów KGB.
To stuprocentowy profesjonalista.

144

Dlatego właśnie jest najlepszy ze wszystkich, których dotąd mieli śmy,
Joe.

Nie zawał sprawy.

Bądź wdzięczny losowi...

Calvin, to nie jest jedyna rzecz, która nie daje mi spokoju.

Osobiście go lubię.

Nawet szanuję.

Nigdy nie sądziłem, że będę szanował ucie kiniera.

Ale jest jeszcze inna sprawa.

On chowa coś w zanadrzu.

Calvin Bailey zastygł w bezruchu.

Testy za pomocą wykrywacza kłamstw wcale tego nie wykazały.

Nie, nie wykazały.

Dlatego właśnie nie mam ostatecznej pewno ści.

To tylko przeczucie.

Jest coś, co przed nami ukrywa.

Bailey pochylił się do przodu i wpatrywał się twardo w Rotha.

Choć lernie dużo rzeczy zależało od odpowiedzi na pytanie, które miał teraz zadać.

Joe, czy istnieje twoim zdaniem jakakolwiek możliwość, że pomi mo
wszystkich zakończonych pozytywnym wynikiem testów facet może być wtyczką KGB?
Roth westchnął.

Wyszło w końcu na jaw to, co spędzało mu sen z po wiek.

Nie wiem.

Nie wydaje mi się, ale nie dałbym sobie ręki uciąć.

Istnieje według mnie dziesięcioprocentowy margines wątpliwości.

Szósty zmysł mówi mi, że on trzyma coś w zanadrzu.

Ale nie potrafię tego na razie racjonalnie wytłumaczyć.

Więc postaraj się, Joe.

Postaraj się dojść prawdy zaznaczył Calvin Bailey.

Nie potrzebował dodawać, że jeżeli okaże się, iż coś jest nie tak z pułkownikiem
Piotrem Orłowem, w odstawkę pójdzie prawdo podobnie dwóch funkcjonariuszy CIA.
Wstał.

Osobiście uważam to za nonsens, Joe.

Ale rób to, co musisz.

Roth zastał Orłowa w jego apartamencie, leżącego na sofie i słucha
jącego swojej ulubionej muzyki.

Chociaż w gruncie rzeczy był tutaj kimś w rodzaju więźnia, Ranczo oferowało mu
warunki niczym nie różniące się od ekskluzywnego klubu.

Oprócz biegów po lesie, w czasie których zawsze towarzyszyło mu czterech
wysportowanych młodych ludzi z Quantico, pozwolono mu korzystać z sali
gimnastycznej, sauny, basenu, doskonałej kuchni i barku, do którego jednak nie
zaglądał zbyt często.

Wkrótce po przyjeździe zdradził swoje upodobania muzyczne; do jego
ulubionych wykonawców należeli balladziści z lat sześćdziesiątych i po czątku
siedemdziesiątych.

Odtąd Roth przyzwyczał się, że ilekroć od wiedza Rosjanina, z magnetofonu
płynnie muzyka Simona i Garfunkela, Seekersów albo powolne, przesłodzone tony
Presleya.

Tego wieczoru, kiedy wszedł do pokoju, w powietrzu rozbrzmiewał czysty
dziecinny głos Mary Hopkin.

To była jedna z jej najbardziej zna145 .

nych piosenek.

Orłów usiadł na sofie i z uśmiechem zadowolenia poka zał magnetofon.

Podoba ci się?

Posłuchaj...

Roth słuchał.

To byfy dni, mój mity, zdawało nam się, że nigdy się nie skończą...

Tak, to ładne stwierdził Roth, który wolał jazz tradycyjny i mainstream.

Wiesz, co to jest?

Piosenkarka jest, zdaje się, Angielką?

rzucił Roth.

Nie, nie.

Nie piosenkarka, melodia.

Myślisz pewnie, że to angielska piosenka?
Skomponowana prawdopodobnie przez Beatlesów.
Chyba tak odparł z uśmiechem Roth.
Nieprawda stwierdził triumfalnie Orłów.
To stara rosyjska piosenka.
Dorogoj dlinnoju da noczkoj łunnoju.
Długą drogą przy świetle księżycy.
Nie wiedziałeś o tym?
Nie, nie miałem pojęcia.
Skoczna piosenka dobiegła końca i Orłów wyłączył magnetofon.
Chcesz, żebyśmy coś przedyskutowali?
zapytał.
Nie odparł Roth.
Tak tylko wpadłem, żeby zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku.
Idę spać.
To był długi dzień.
A propos, niedługo wracamy do Anglii.
Chcę z tobą porozmawiać Angole.
Trzeba dać im szansę.
Nie masz nic przeciwko?
Orłów zmarszczył brwi.
Umawialiśmy się, że przechodzę tutaj.
Tylko tutaj.
Wszystko będzie w porządku, Peter.
Zatrzymamy się tylko na krótko w którejś z amerykańskich baz powietrznych.
Praktycznie biorąc na terytorium amerykańskim.
Ja też tam będę, żeby bronić cię przed dużymi złymi Angolami.
Orłów wcale się nie uśmiechnął.
Idziesz spać?
zapytał Roth.
Trochę jeszcze posiedzę.
Poczytam, posłucham muzyki odparł Rosjanin.
Światła w pokoju Orłowa rzeczywiście paliły się aż do wpół do drugiej.
Kiedy na Ranczo wtargnęła ekipa zabójców z KGB, dochodziła trzecia.
Orłowski opowiedziano później, że uciszyli dwóch strażników przy
ogrodzeniu wystrzelonymi z potężnych kusz pociskami, przebiegli nie zauważeni
przez trawnik na tyłach domu i dostali się do środka przez kuchnię.
Pierwszą rzeczą, którą Roth lub Orłów usłyszeli na piętrze, były do
biegające z parteru strzały z pistoletu maszynowego, a potem tupot wbie-
gających na górę stóp.
Orłów obudził się niczym kot, wyskoczył z łóżka i przebiegł przez apartament w
czasie nie dłuższym od trzech sekund.
Otworzył drzwi w korytarz i spostrzegł skręcającego w stronę schodów nocnego
strażnika z Ouantico.
Sylwetka w czarnym kombinezonie i ko miniarce zatrzymała się w połowie schodów i
oddała krótką serię.
Ame rykanin oberwał prosto w pierś.
Zawisł na balustradzie, cały zalany krwią.
Orłów zatrzęsnał drzwi i zawrócił do sypialni.
Wiedział, że okna w jego apartamencie się nie otwierają; ta droga była
przed nim zamknięta.
Nie miał także broni.
Znalazł się w sypialni w tej samej chwili, kiedy do apartamentu wbiegł ścigany
przez kolejnego Ame rykanina człowiek w czerni.
Zanim zatrzęsnał drzwi, zobaczył, jak zabójca z KGB odwraca się i kładzie
trupem strażnika.
To dało mu czas na zamknięcie drzwi i zasunięcie zasuwki.
Ale odroczył tylko w ten sposób egzekucję.
Po kilku sekundach za machowiec odstrzelił zamek i otworzył na oścież drzwi
mocnym kopniem ciem.
W słabym, dobiegającym poprzez salon z korytarza świetle Orłów zobaczył, jak
kagebista odrzuca od siebie pusty pistolet maszynowy i wy ciąga zza pasa
pistolet makarow kaliber 9 milimetrów.
Nie widział ukrytej za maską twarzy Rosjanina, ale zrozumiał wypowiedziane po
rosyjsku pojedyncze słowo i zawartą w nim pogardę.
Człowiek w czerni ujął pistolet w obie ręce i celując nim prosto w twarz
Orłowa syknął: Priedatiel.
Zdrajca.

Na stoliku przy łóżku stała kryształowa popielniczka. Orłów nigdy jej nie używał, ponieważ w odróżnieniu od większości Rosjan nie palił tyto niu. Mimo to nikt jej stamtąd nie zabrał. Ostatnim obronnym odruchem złapał popielniczkę i cisnął ją podkręconą w twarz rosyjskiego zabójcy. Padal zawołał.

Ścierwo.

Człowiek w czerni uchylił się przed szybującym w stronę jego twarzy ciężkim przedmiotem.

Kosztowało go to ułamek sekundy.

W tym czasie do salonu wpadł szef ekipy strażników z Ouantico i strzelił mu dwa razy w plecy ze swego ciężkiego colta kaliber 44 magnum.

Rosjanina rzuciło do przodu, a pierś eksplodowała strugami krwi, które ochlapały narzutę i pościel.

Orłów zrobił krok do przodu, żeby kopnięciem wytrącić pisto let z ręki padającego, ale nie było to już potrzebne.

Nikt, kto oberwał dwoma pociskami wystrzelonymi z magnum, nie jest zdolny do dalszej walki.

Kroił, facet, który strzelał, wbiegł do sypialni.

Był zdyszany i blady z wściekłości.

Nic się panu nie stało?

sapnął.

Orłów pokręcił głową.

147 .

□
Ktoś spierdolił sprawę orzekł Amerykanin.

Było ich dwóch.

Załatwili dwóch moich ludzi, a może jeszcze kogoś na zewnątrz.

Nadszedł Joe Roth, wciąż w piżamie.

O Boże, Peter, przepraszam cię.

Musimy się stąd zabierać.

Natych miast.

I dokąd pojedziemy?

zapytał Orłów.

Wydawało mi się, iż mówiłeś, że to bezpieczny dom.

Był blady, ale spokojny.

Zgadza się, ale najwyraźniej nie jest już bezpieczny.

I nigdy nie będzie.

Przeprowadzimy śledztwo i dowiemy się, jak do tego doszło.

Później.

Teraz ubieraj się.

I spakuj swoje rzeczy.

Kroił, zostań z nim.

w odległości zaledwie dwudziestu mil od Rancza znajdowała się baza wojskowa.

Langley ustaliło wszystko z jej komendantem.

W ciągu dwóch godzin Roth, Orłów i ci, którzy ocaleli z ekipy z Ouantico, zajęli całe piętro w miejskowych koszarach.

Budynek został otoczony przez żandar merię.

Roth nie musiał nawet używać samochodu; oddano do jego dys pozycji helikopter, który wylądował na trawniku obok klubu oficerskie go, wrywając wszystkich ze snu

Było to tylko tymczasowe miejsce pobytu.

Przed nastaniem następ nej nocy przenieśli się do innej, należącej do CIA kwatery, o wiele lepiej strzeżonej i położonej w Kentucky.

Kiedy grupa Rotha i Orłowa przebywała w bazie wojskowej, na Ranczo wrócił Calvin Bailey.

Zażądał pełnego raportu.

Rozmawiał już przez telefon z Rothem, żeby zapoznać się z jego wersją wydarzeń.

Najpierw wysłuchał Kroiła, ale człowiekiem, na którego relacji najbardziej mu za leżało, był Rosjanin w czarnym kombinezonie, który trzymał Orłowa na muszce pistoletu.

Młody oficer Zielonych Beretów masował spuchnięty nadgarstek w miej scu, gdzie kopnął go Orłów, wytrącając z ręki pistolet.

Dawno już zmyto z niego sztuczną krew; zdjął także z siebie czarny kombinezon z dwiema dziurami z przodu oraz uprząż zawierającą dwa małe ładunki wybuchowe i woreczki z realistycznie wyglądającą krwią, która zachlapała łóżko.

werdykt?
zapytał Bailey.

To autentyczny uciekinier odparł mówiący po rosyjsku oficer.
Albo nie zależy mu na życiu.

Ale w to raczej wątpię.

Większości ludzi jednak zależy.

Nie zorientował się, że to bluff?

Nie, sir.

Można to było poznać po jego oczach.

Uwierzył, że czeka go śmierć.

Chciał umrzeć walcząc.

Twardy facet.

Co innego miał do wyboru?

zapytał Bailey.

Oficer wzruszył ramionami.

148

Tylko jedno.

Jeśli jest wtyczką i pomyślał, że likwiduje go jego własna strona, powinien krzyknąć coś na swoją obronę.

Jeżeli tego nie zrobił, to zakładając, że zależy mu na życiu, jest najodważniejszym facetem, jakiego w życiu spotkałem.

Uważam oświadczył później Rochowi przez telefon Bailey że uzyskaliśmy odpowiedź na nasze pytanie.

Facet jest w porządku i możesz to traktować jako oficjalne stanowisko.

Postaraj się wydobyć z niego jakieś nazwisko, dla Brytyjczyków.

Lecicie w następnym wtorek wojskowym odrzutowcem.

Do Alconbury.

Dwa następne dni Roth spędził razem z Orłowem w ich nowym miejscu zamieszkania, wracając do nielicznych informacji, które Rosjanin przeказаł już na temat działających w wielkiej Brytanii sowieckich agentów.

W Zarządzie do Spraw Nielegalnych zajmował się głównie sprawami Ameryki Południowej i Środkowej i nie orientował się w związku z tym zbyt dobrze w problematyce brytyjskiej.

Mimo to usiłował sobie coś przypomnieć.

Wszystko, co przychodziło mu do głowy, to były kryptonimy.

Do piero pod koniec drugiego dnia zaczęło mu coś świtać.

Wyższy urzędnik w Ministerstwie Obrony w Whitehall.

Pieniądze wpłacał zawsze na jego konto w Midland Bank przy Croydon High Street.

To niezbyt wiele oświadczył funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, MI 5, kiedy został o tym poinformowany.

Siedział w gabinecie Timothyego Edwardsa, w siedzibie siostrzanej organizacji, SIS.

Dawno temu mógł je stamtąd podjąć.

Mógł założyć konto pod fałszywym nazwiskiem.

Ale zbadamy sprawę.

Wrócił na Curzon Street w Mayfair i wydał odpowiednie polecenia.

w brytyjskich bankach nie obowiązuje nakaz całkowitej dyskrecji, ale nie oznacza to, że przekazują one informacje na temat prywatnych kont pierwszemu lepszemu facetowi z ulicy.

Jedyną instytucją, która zawsze, z mocy prawa, może liczyć na ich współpracę, jest urząd podatkowy.

Fiskus zgodził się pomóc i wkrótce złożono poufną wizytę dyrektorowi w Midland Bank przy Croydon High Street, na dalekich peryferiach południowego Londynu.

Dyrektor był nowo mianowany, ale jego komputer orientował się we wszystkim.

Rozmowę poprowadził funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa towarzyszący autentycznemu inspektorowi skarbowemu.

Miał ze sobą listę wszystkich zatrudnionych w ciągu ostatniej dekady urzędników Ministerstwa Obrony.

Poszukiwania, co dziwne, trwały bardzo krótko.

Tylko jeden urzędnik ministerstwa miał rachunek w Midland Bank przy Croydon High Street.

Postano po wyciągi bankowe.

Facet wciąż mieszkał w okolicy.

Miał konto bieżące i drugie, terminowe.

w ciągu kilku lat na konto depozytowe wpłacono łącznie 20 tysięcy

funtów; zawsze gotówką, osobiście przez właściciela rachunku i w regu larnych odstępach czasu.

Nazwisko właściciela brzmiało Anthony Milton-Rice.

W naradzie, która odbyła się tego wieczoru w Whitehall, wzięli udział dyrektor i zastępca dyrektora MI 5 oraz dowodzący Oddziałem Specjalnym zastępca komisarza londyńskiej policji.

Służba Bezpieczeństwa w Wielkiej Brytanii nie może samodzielnie dokonywać aresztowań.

Leży to w wyłącznych kompetencjach policji.

Kiedy MI 5 chce kogoś "zgarnać", zaszczyt aresztowania przypada Oddziałowi Specjalnemu.

Naradę kierował przewodniczący Komitetu Połączonych Służb Wywiadu (JIC).

Zaczął od kilku pytań.

Kim dokładnie jest pan Milton-Rice?

Zastępca dyrektora generalnego MI 5 zerknął do swoich notatek.

Urzędnik drugiej rangi w dziale zaopatrzenia.

Dosyć nisko w hierarchii?

Ale w dość kluczowym miejscu.

Systemy obronne, dostęp do danych na temat nowego uzbrojenia.

No tak...

zafrasował się przewodniczący.

Co chcecie te raz zrobić?

Rzecz w tym, Tony oznajmił dyrektor generalny że nie mamy na niego zbyt dużo.

Nie wyjaśnione wpłaty w przeciągu wielu lat.

To nie wystarczy, żeby go zatrzymać, nie mówiąc już o uzyskaniu wyroku skazującego.

Facet może zawsze powiedzieć, że grał na wyścigach i miał szczęście.

Oczywiście może się też przyznać.

Ale to wcale nie jest takie pewne.

Policjant pokiwał głową.

Nie dysponując przyznaniem się do winy nieźle się będzie musiał napocić, nim Prokuratura Królewska wyda na kaz wszczenia śledztwa.

Kimkolwiek był człowiek, który zadenuncjował Milton-Ricea, wydawało się wątpliwe, czy pojawi się kiedykolwiek w charakterze świadka w sądzie.

Na początek roztoczymy nad nim obserwację powiedział dyrektor generalny.

Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Jeśli skontaktuje się z Rosjanami, jest nasz, niezależnie od tego, czy się przyzna.

Na tym stanęło.

Postawiono w stan pogotowia obserwatorów, elitarny zespół agentów MI 5, którzy przynajmniej na swoim własnym terenie uważani są przez wszystkie zachodnie agencje za najlepsze psy gończe na całym świecie.

Następnego ranka mieli rozpocząć trwającą dwadzieścia

cztery godziny na dobę obserwację Anthonyego Milton-Ricea dokładnie w chwili, gdy wejdzie do budynku Ministerstwa Obrony.

Anthony Milton-Rice, jak wiele osób mających stałą pracę, miał pewne stałe nawyki.

Był człowiekiem systematycznym.

W dni robocze dokładnie za dziesięć ósma wychodził ze swego domu w Addiscombe i przebywał pieszo odległość pół mili do stacji East Croydon.

Tylko kiedy padał rzęsi sty deszcz, stary kawaler decydował się na jazdę autobusem.

Wsiadał co dziennie do tego samego podmiejskiego pociągu, okazywał miesięczny i jechał do Londynu, gdzie wysiadał na Victoria Station.

Stamtąd autobusem z Victoria Street podążał na położony nieopodal Parliament Square.

Przecinał Whitehall i wkraczał do budynku ministerstwa.

Następnego ranka po naradzie, której główny temat stanowiła jego skromna osoba, trzymał się tego samego scenariusza.

Nie zwrócił uwagi na grupę wyrostków, którzy wsiedli na Norwood Junction.

Zauważył ich dopiero, kiedy wkroczyli do zatłoczonego, pozbawionego przedziałów wagonu, w którym rozległy się zaraz piski kobiet i gniewne okrzyki mężczyzn.

Młodociągnięci bandyci przystąpili z miejsca do tak zwanego "czyszczenia", wyrwijąc kobietom torebki i biżuterię, domagając się portfeli od mężczyzn i grożąc nożem każdemu, kto ośmieliłby się im stawiać opór lub choćby zdobyć się

na słowo sprzeciwu.

Kiedy pociąg zatrzymał się na następnej stacji, licząca dwudziestu kilku opryszków banda wyskoczyła na peron.

Wciąż wykrzykując głośno swój gniew przeciwko całemu światu, przeskoczyli barierki i rozbiegli się po uliczkach Crystal Palace, zostawiając za sobą rozhisteryzowane kobiety, wstrząśniętych mężczyzn i sfrustrowaną policję kolejową.

Nikogo nie udało się zatrzymać; wszystko wydarzyło się zbyt szybko i zbyt nieoczekiwanie.

Powodując zakłócenia w całym rozkładzie jazdy, zatrzymano pociąg na stacji; do wagonu wkroczyła policja kolejowa, żeby zebrać zeznania.

Dopiero kiedy poklepano po ramieniu drzemiącego sobie spokojnie w kącie podróżnego w jasnoszarym płaszczu, ten pochylił się powoli do przodu i bezgłośnie osunął na podłogę.

Rozległy się ponowne piski kobiet; spod skurczonej postaci, z zadanej prosto w serce wąskim sztyletem rany zaczęła się sączyć krew.

Pan Anthony Milton-Rice nie dawał znaku życia.

Kawiarnia "U Iwana", sądząc po nazwie idealny lokal na spotkanie z Rosjaninem, mieściła się przy Crondall Street w Shoreditch.

Sam McCready, mimo że pierwszy zjawił się na miejscu spotkania, do środka wszedł jak zwykle jako drugi.

151 .

□

Keepsake o wiele bardziej od niego narażony był na inwigilację i dla tego właśnie Sam przyjeżdżał zawsze pół godziny wcześniej i siedząc w samochodzie obserwował udającego się na miejsce spotkania Rosjanina, po czym czekał jeszcze kolejny kwadrans, żeby sprawdzić, czyjego pracujący w sowieckiej ambasadzie agent nie przyciągnął za sobą "ogona".

Po wejściu zamówił przy kontuarze herbatę i ruszył pod ścianę, tam gdzie stały zsunięte ze sobą dwa stoliki.

Przy jednym z nich siedział Keepsake zasłonięty płachtą "Sporting Life".

McCready rozłożył swój "Evening Standard" i zagłębił się w lekturze.

Jak minęła wizyta pocziwego generała Drozdowa?

zapytał cicho.

Jego głos zagłuszał szum ekspresu i syk imbryka z gotującą się

herbatą.

Czarujący i enigmatyczny odparł Rosjanin studiując skład koni wystawionych do gonitwy w Sandown, o 15.30.

Obawiam się, że chciał nas skontrolować.

Będę wiedział więcej, jeśli odwiedzi nas ktoś z wydziału "K" albo uaktywnią się nagle moi ludzie z tego wydziału.

Wydział "K" zajmuje się w KGB kontrwywiadem i bezpieczeństwem wewnętrznym.

Jego pracownicy w o wiele większym stopniu niż szpiegostwem interesują się pilnowaniem swoich kolegów z KGB i wewnętrzny mi przeciekami.

A czy obito ci się może przypadkiem o uszy nazwisko Anthonyego Milton-Ricea?

Nie.

Nigdy.

Dlaczego pytasz?

Nie prowadziła go przypadkiem wasza rezydentura?

Był urzędnikiem w Ministerstwie Obrony.

Nigdy o nim nie słyszałem.

Nigdy nie miałem do czynienia z do starczanym przez niego materiałem.

Facet nie żyje.

Za późno, żeby zapytać, kto go zwerbował.

Jeśli w ogóle ktoś to zrobił.

Czy mógł być prowadzony bezpośrednio z Moskwy przez Zarząd do Spraw Nielegalnych?

To jedyne wyjaśnienie, jeśli dla nas pracował mruknął Rosjanin.

Wydział "PR" w Londynie nie miał z nim nic wspólnego.

Jak już powiedziałem, nigdy nie zetknęliśmy się z dostarczonymi przez niego informacjami.

Musiał komunikować się z Moskwą za pośrednictwem kontrolera spoza ambasady.

Dlaczego zginął?

McCready westchnął.

Nie wiem.

Wiedział jednak, że o ile nie doszło do wyjątkowego zbiegu okoliczności, ktoś musiał to dokładnie zorganizować.

ktoś, kto znał codzienny rozkład zajęć urzędnika, kto nadał opryszkom robotę w pociągu i kto im

152
zapłacił.

Całkiem możliwe, że Milton-Rice wcale nie pracował dla Rosjan.

Dlaczego zatem został zadenuncjowany?

Skąd wzięły się wpłaty na jego konto?

A może Milton-Rice był rzeczywiście szpiegiem, a jego kontroler składał raporty bezpośrednio do Zarządu do Spraw Nielegalnych w Moskwie, z pominięciem Keepsakea.

Całkiem niedawno był w mieście gene rał Drozdów.

A on właśnie kieruje Zarządem do Spraw Nielegalnych...

Zadenuncjowano nam go powiedział McCready.

I zaraz potem zginął.

Kto go zadenuncjował?

zapytał Keepsake.

Zamieszał swoją herbatę, chociaż nie miał wcale zamiaru pić słodkiej, zmieszanej z mlekiem mikstury.

Pułkownik Piotr Orłów odparł cicho McCready.

A właśnie...

mruknął Keepsake.

Mam dla was coś na jego temat.

Piotr Aleksandrowicz Orłów jest lojalnym i oddanym oficerem KGB.

Jego zdrada jest tak samo autentyczna jak trzydolarowy banknot.

To wtyczka, agent podrzucony wam w ramach akcji dezinformacyjnej.

Jest bardzo dobry i świetnie przygotowany do swego zadania.

No to teraz, pomyślał McCready, czeka nas niezły pasztet.

ROZDZIAŁ TRZECI

Timothy Edwards słuchał uważnie trwającej pół godziny relacji

McCreadyego.

Czy jesteś całkowicie pewien, że możemy wierzyć Keepsakeowi?

zapytał spokojnie, kiedy umilkł jego podwładny.

McCready spodziewał się tego.

Od dnia, kiedy Keepsake nawiązał w Danii kontakt z oficerem SIS i zaoferował swe usługi Brytyjczykom, minęły już cztery lata, ale żyli w świecie, gdzie nikt nie był wolny od podejrzeń.

Zawsze istniała możliwość znikoma, ale była że Keepsake jest podwójnym agentem, a jego właścicielami mocodawcami Rosjanie.

Świadczyć o tym mógł choćby jego obecny zarzut pod adresem Orłowa.

Korzystamy z jego usług przez cztery lata powiedział.

Przez cztery lata dostarczane przez Keepsakea informacje zostały sprawdzone według wszystkich znanych kryteriów.

Są prawdziwe.

Tak, oczywiście odparł łagodnie Edwards.

Ale gdyby choć jedno słowo z tego, o czym tutaj mówimy, dotarło do naszych kuzynów, powiedzieliby nam dokładnie coś odwrotnego że nasz człowiek kłamał, a ich jest czysty jak łąka.

Podobno w Langley wszyscy są wręcz zakochani w tym Orłowie.

153 .

□

Nie sądzę, by trzeba im było mówić o Keepsakeu zaoferował McCready.

Starał się chronić, jak tylko mógł, pracującego w sowieckiej ambasadzie Rosjanina.

Poza tym Keepsake uważa, że jego czas prawdopodobnie zbliża się do końca.

Instynkt podpowiada mu, że w Moskwie coraz bardziej podejrzewają istnienie przecieku.

Jeśli nabiorą pewności, umiejscowienie go w Londynie będzie tylko kwestią czasu.

Możemy wyjechać wszystko z kuzynami, kiedy będziemy mieli Keepsakea u siebie.

W tym momencie poszerzenie kręgu tych, którzy wiedzą, mogłoby się okazać bardzo niebezpieczne.

Edwards podjął decyzję: Zgadza się, Sam.

Ale zamierzam spotkać się jeszcze w tej sprawie z szefem.

Dzisiaj rano wezwano go do gabi netu premiera.

Złapię go później.

Bądź ze mną w kontakcie.

W tym samym czasie, kiedy w mieszczącym się na najwyższym piętrze Century House dyrektorskim apartamencie Edwards spożywał skromny lunch w towarzystwie sir Christophera, w położonej na północ od targowego miasta

Huntingdon, w hrabstwie Cambridgeshire, bazie po wietrznej Stanów Zjednoczonych w Alconbury wylądował przystosowany dla potrzeb wojska grunman gulfstream III. Wystartował o północy z bazy przeciwlotniczej Trenton, New Jersey, a jego pasażerów przywieziono z Kentucky i wprowadzono na pokład pod osłoną nocy i w znacznej odległości od zabudowań lotniska.

Decydując się na Alconbury, Calvin Bailey dokonał trafnego wyboru. W bazie tej stacjonuje 527 Szwadron "Agresorów" United States Air Force (USAF), którego latający na myśliwcach F-5 piloci mają do spełnienia bardzo specyficzne zadanie.

Nazywają ich "Agresorami", ponieważ F-5 mają charakterystykę bojową bardzo zbliżoną do rosyjskiego MiG-29 i w odbywanych razem z amerykańskimi i brytyjskimi pilotami ćwiczeniach grają rolę atakujących sowieckich myśliwców. Ich piloci pilnie studiują stosowaną przez Rosjan taktykę walk powietrznych i do tego stopnia wczuli się w swoją rolę, że w powietrzu porozumiewają się ze sobą wyłącznie po rosyjsku.

Ich zaprogramowane elektronicznie działki i rakiety trafiają i chybają tylko "na niby", ale insygnia, kombinacje, taktyka bojowa i żargon niczym nie różnią się od rosyjskich.

Wysiadających z grunmana Rotha, Orłowa, Kroiła i towarzyszące im osoby zaopatrzone w kombinizony "Agresorów".

Nikt nie zwrócił na nich uwagi i wkrótce znaleźli się w przeznaczonym specjalnie dla nich, oddalonym od innych parterowym budynku, mieszczącym pokoje gościnne, kuchnię, sale konferencyjne oraz naszpikowane urządzeniami podsłuchowymi pomieszczenie, gdzie miało się odbyć przesłuchanie Minstrela.

Podczas rozmowy, którą odbył Roth z komendantem bazy, ustalono, że

154

ekipa brytyjska zostanie wpuszczona na jej teren następnego ranka.

Te raz zaś zmęczeni po podróży i z powodu zmiany czasu przybysze udali się na spoczynek.

Telefon McCreadyego zadzwonił o trzeciej po południu.

Edwards ponownie prosił go do siebie.

Wnioski zostały przyjęte oświadczył.

Nasza wersja jest następująca: Keepsake mówi prawdę, a Amerykanie padli ofiarą dezinformacji.

Problem w tym, że nie wiemy na razie, po co został wysłany Orłow.

Wygląda na to, że dostarcza im wartościowych informacji i dlatego nasi kuzyni wcale nie będą skłonni nam uwierzyć, tym bardziej że, zda niemi Szefa, nie możemy zdradzić im istnienia Keepsakea, nie mówiąc już o jego tożsamości.

Jak zatem według ciebie, powinniśmy to rozegrać?

Wezmę go w obroty powiedział McCready.

Mamy prawo z nim porozmawiać.

Można nam zadawać pytania.

Amerykanami kieruje Joe Roth, a ja go znam.

Nie jest głupi.

Może uda mi się przycisnąć Orłowa, przycisnąć go naprawdę mocno, zanim Roth zdąży krzyknąć "dość!"

"Zasieję ziarno wątpliwości.

Sprawię, że kuzyni zaczną się zastanawiać, czy Orłow jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje.

W porządku oznajmił Edwards.

Zajmij się tym.

Powiedział to tak, jakby decyzja należała do niego; w rzeczywistości to Szef podczas lunchu zasugerował, by sprawą zajął się McCready.

Nazajutrz wczesnym rankiem McCready wyruszył samochodem do Alconbury.

Prowadził Denis Gaunt, na którego obecność podczas przesłuchania Edwards zgodził się na specjalną prośbę McCreadyego.

Z tyłu siedziała funkcjonariuszka MI 5.

Służba Bezpieczeństwa domagała się, by do Orłowa dopuszczono również kogoś od nich palili się wprost, żeby zadać mu bardzo ważne pytania na temat działających w Wielkiej Brytanii sowieckich szpiegów.

Alice Daltry niedawno przekroczyła trzy dziesiątki, była ładna, bardzo bystra i nadal czuła nieco przesadny respekt przed McCreadyem.

Mimo obowiązującej zasady, że każdy powinien wiedzieć dokładnie tyle, ile powinien i ani trochę więcej, w ich ciasnym, zamkniętym światku rozeszła się wieść o zeszłorocznej aferze Pankratina.

W samochodzie znajdował się również zabezpieczony przed podsłuchem telefon.

Wyglądał jak normalny telefon samochodowy, jednak komunikując się z Londynem

można było uruchomić specjalne urządzenie kodujące. Mogło się okazać potrzebne w celu skonsultowania z centralą wyników przesłuchania.

155 .

Przez większą część podróży McCready siedział w milczeniu, wpa trzony w wyłaniający się przed przednią szybą krajobraz letniego wczesnego poranka. Kolejny raz podziwiał piękno angielskiej przyrody o tej porze roku.

Powrócił myślą do tego, co usłyszał od Keepsakea.

Rosjanin oświadczył, że przed wieloma laty zaangażowany był marginalnie w przygotowanie pierwszego etapu wielkiej operacji dezinformacyjnej, której ostatecznym urzeczywistnieniem mogła być wyłącznie misja pułkownika Orłowa. Operację opatrzone kryptonimem Projekt Potiomkin.

Ironiczna nazwa, pomyślał McCready, charakterystyczna dla iście wisielczego poczucia humoru KGB.

Z pewnością nie nazwano tej operacji na cześć pancernika "Potiomkin" ani tym bardziej marszałka, który dał mu swoje imię.

Nazwa nawiązywała do tak zwanych potiomkinowskich wsi.

Dawno temu cesarzowa Katarzyna Wielka, jedna z najokrutniejszych władczyń, jakich zaznała udręczona Rosja, wyjeżdżała czasem dla kaprysu z Petersburga, aby popatrzeć, jak żyje się jej szczęśliwym włościom. W obawie, żeby nie zobaczyła drżących z zimna, gnieźdzących się w lodowatych chałupach chłopów, jej minister Potiomkin wysyłał przodem stolarzy, tynkarzy i malarzy.

Wzdłuż trasy przejazdu wznosili oni piękne fasady czystych zadbanej domków z wymalowanymi w oknach uśmiechami i pozdrawiającymi imperatorową wieśniakami.

Krótkowzroczna cesarzowa wracała do pałacu pokrzepiona widokiem kwitnącego kraju.

Potem robotnicy demontowali fasady z powrotem odsłaniając stojące za nimi nędzne chałupy.

Te oszukańcze wsie nazywano potiomkinowskimi.

Ostrze operacji wymierzone jest w CIA mówił Keepsake.

Nie wiedział, jaki jest dokładny cel ani w jaki sposób zadane zostanie uderzenie.

Przygotowania nie były prowadzone bezpośrednio przez jego departament, który poproszono tylko o niewielką pomoc.

To musi być coś w stylu potiomkinowskich wsi twierdził.

Świadczyć o tym będą dwa fakty.

Po pierwsze, żadna z dostarczonych przez Orłowa informacji nie wyrządzi dużych i nieodwracalnych szkód interesom Związku Sowieckiego.

Po drugie, nastąpi ogromne załamanie się morale wewnątrz samego CIA.

O tym drugim z całą pewnością nie było na razie mowy, pomyślał McCready.

Dochodząc do siebie po niewątpliwiej wpadce, jaką stanowiła zeszłoroczna afera Urzeczki, jego amerykańscy przyjaciele znajdowali się obecnie w stanie prawdziwej euforii, w głównej mierze dzięki swojemu świeżemu nabytkowi.

Postanowił skoncentrować się na pierwszym aspekcie sprawy.

156

Przy głównej bramie bazy McCready pokazał swoją wystawioną na inne nazwisko legitymację i poprosił, by pozwolono mu porozmawiać z Joem Rothem przez zakodowany telefon.

Po kilku minutach Roth podjechał do nich dziupem się powietrznym.

Cieszę się, że cię znowu widzę, Sam.

Miło zobaczyć cię z powrotem, Joe.

Na niezły urlop się wybrałeś.

Naprawdę mi przykro.

Nie miałem wyboru ani czasu, żeby się wytłumaczyć.

Mogłem albo go przejąć, albo wysłać z powrotem.

w porządku, Joe odparł uspokajającym tonem McCready.

Wszystko zostało wyjaśnione.

I załagowane.

Pozwól, że przedstawię ci dwójkę moich kolegów.

Roth wsadził głowę do samochodu i uściśnął dłonie Gaunta i Daltry.

Był rozluźniony i wylewny.

Nie przewidywał żadnych kłopotów i cieszył się, że Brytyjczycy także dostaną swoją porcję cukierków.

Załatwił z do wódcą straży wjazd całego towarzystwa na teren bazy, po czym podjechali do stojącego na uboczu bloku, w którym zakwaterowana była ekipa z

CIA.

Jak wiele wojskowych budynków, nie stanowił on może architektonicznej perły, ale był całkiem funkcjonalny. Z biegnącego przez całą jego długość korytarza wiodły drzwi do sypialni, kuchni, toalet i sal konferencyjnych.

Na zewnątrz otaczało budynek kilkunastu funkcjonariuszy żandarmerii sił powietrznych, wszyscy uzbrojeni po uszy i, zdaniem McCreadyego, wyraźnie starający się zwrócić na to uwagę.

Roth zaprowadził ich do pomieszczenia pośrodku bloku.

Okna były tu zamknięte i zasłonięte okiennicami; światło wyłącznie sztuczne. Pod ścianami stały krzesła i stoły dla ewentualnych stenografów; w środku ustawiono kilka wygodnych foteli.

Roth gestem gospodarza wskazał Brytyjczykom fotele i zamówił kawę.

Pójdę po Minstrela powiedział chyba że chcecie najpierw trochę pogadać.

McCready potrząsnął głową.

Możemy od razu przystąpić do rzeczy, Joe.

Kiedy Roth wyszedł, McCready dał znak Gauntowi i Daltry, żeby zajęli miejsca za stołami pod ścianą.

Oznaczało to: obserwujcie i słuchajcie, nie pomińcie niczego.

Z korytarza dobiegała wpadająca w ucho melodia Bridge Over Troubled Waters.

Nagle urwała się; ktoś wyłączył magnetofon.

Po chwili zjawił się z powrotem Roth.

Wprowadził do pokoju krępego męża czystą w sportowych butach, spodniach i bluzie polo.

Nowo przybyły sprawiał wrażenie twardego faceta.

Sam, pozwól, że przedstawię ci pułkownika Piotra Orłowa.

Peter, to jest Sam McCready.

157 .

□

Rosjanin przyglądał się McCreadyemu pozbawionymi wyrazu oczyma.

Musiał o nim słyszeć; wysocy rangą oficerowie KGB wiedzieli już to i owo o McCreadym.

Ale nie dał po sobie nic poznać.

Stąpając po leżącej na środku pokoju dywanie McCready podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

Drogi pułkowniku Orłów.

Jestem szczęśliwy mogąc pana poznać powiedział z ciepłym uśmiechem.

Podano kawę i wszyscy usiedli; McCready naprzeciwko Orłowa, Roth z boku. Zaczęły się obracać szpule stojącego na stole magnetofonu.

Na stoliku do kawy nie stał ani jeden mikrofon.

To rozpraszałoby uwagę.

Magnetofon i tak wszystko zapisze.

McCready zaczął grzecznie, od pochlebstw, i nie zmieniał tonu przez pierwszą godzinę.

Orłów odpowiadał płynnie i z łatwością.

W miarę upływu czasu McCready coraz bardziej się niecierpliwił albo takie tylko sprawiał wrażenie.

To są wszystko znakomite, bardzo ciekawe materiały oświadczył w końcu.

Martwi mnie tylko jedno, to znaczy, jestem pewien, wszystkich nas to martwi.

Wszystko, czego się od pana dowiadujemy, to są kryptonimy.

Gdzieś w Ministerstwie Obrony działa agent o kryptonimie wildfowl; inny agent o kryptonimie Kestrel jest prawdopodobnie oficerem marynarki wojennej albo pracującym na jej potrzeby cywilem.

Mój problem, rozumie pan, pułkowniku, polega na tym, że żadna tego rodzaju wiadomość nie pomoże nam nikogo ujawnić ani aresztować.

Panie McCready, jak już wielokrotnie tutaj i w Ameryce wyjaśniałem, w Zarządzie do Spraw Nielegalnych pracowałem przeszło cztery lata temu.

I rejonem moich zainteresowań była Ameryka Południowa i Środkowa.

Nie miałem dostępu do akt agentów działających w Europie Zachodniej, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych.

Były one ściśle chronione, podobnie jak, jestem tego pewien, ma to miejsce tutaj.

Tak, oczywiście, głupi byłem, że na to nie wpadłem odparł McCready.

Ale miałem na myśli przede wszystkim okres, który spędził pan w Wydziale Planowania.

Z tego, co wiemy, przygotowywane są tam fałszywe życiorysy, "legendy" dla ludzi, którzy mają zostać przerzuceni na Zachód albo po prostu być zwerbowani.

A także metody nawiązania kontaktu, przekazywania informacji...

i opłacania agentów.

W za kres tych spraw wchodzi informacje o wykorzystywanych w tym celu bankach, o wysokościach wpłat, okresach, w których się ich dokonuje, kosztach bieżących. Wygląda na to, że wszystko to...

umknęło panu z pa mięci.

158

W wydziale Planowania pracowałem jeszcze wcześniej zaop nował Orłów. Osiem lat temu.

Numery kont bankowych to ośmiocyfrowe liczby, nie sposób ich wszystkich spamiętać.

W jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

Zaczynał się denerwować.

Roth zmarszczył brwi.

Chociaż jeden numer kontynuował McCready, jakby głośno myślał.

Chociaż jeden bank.

Sam...

Roth pochylił się nagle do przodu.

Do czego ty zmierzasz?

Próbuję tylko ustalić, czy którakolwiek z informacji, przekazanych nam w ciągu minionych sześciu tygodni przez pułkownika Orłowa, jest w stanie wyrządzić poważne i nieodwracalne szkody interesom Związku Sowieckiego.

O czym pan opowiada?

Orłów poderwał się z fotela nie kry jąc zdenerwowania.

Godzina po godzinie podaję wam szczegóły na temat sowieckiego planowania wojskowego, na temat dyslokacji, stanów uzbrojenia, poziomów gotowości, konkretnych osób.

Szczegóły na te mat Afganistanu.

Na temat siatek szpiegowskich w Ameryce Południo wej i Środkowej, które zostały teraz rozbite.

A pan traktuje mnie jak...

jak kryminalistę.

Roth także wstał z fotela.

Sam, czy mógłbym zamienić z tobą stówko?

Na osobności.

Na zewnątrz.

Skierował się ku drzwiom.

Orłów usiadł i wpatrywał się ponurym wzrokiem w podłogę.

McCready wstał i podążył w ślad za Rothem.

Dałtry i Gaunt nie ruszyli się z za swoich stołów, a młody funkcjonariusz CIA wyłączył magnetofon.

Roth zatrzymał się dopiero na trawniku, na ze wnątrz budynku.

Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz, Sam?

wsiadł na McCreadyego.

Ten wzruszył ramionami.

Próbuję sprawdzić bona fide Orłowa odparł.

Po to właśnie.

tu jestem.

Ustalmy to raz na zawsze stwierdził stanowczo Roth.

Nie zaproszono cię tutaj, żebyś sprawdzał bona fide Orłowa.

To zostało już zrobione.

Przez nas.

Wielokrotnie.

Ustaliliśmy, że Orłów jest autentycz nym uciekinierem i że w miarę swoich sił próbuje sobie wszystko przypo mnieć.

Ty znalazłeś się tutaj w wyniku udzielonej przez dyrektora Agen cji koncesji wyłącznie po to, żeby się czegoś od Minstrela dowiedzieć.

To wszystko.

159 .

□

McCready popatrzył sennym wzrokiem na falujące za ogrodzeniem pola owsa.

A twoim zdaniem, ile tak naprawdę są warte te jego informacje,

JO

Dużo.

Tak jak sam powiedział: ujawnia nam rozmieszczenie jed nostek wojskowych, stany uzbrojenia, plany...

Wszystko to może zostać zmienione mruknął Sam szybko i bez większych trudności.

Zakładając, że wiedzą, co ci powiedział.

A Afganistan?
dodał Roth.

McCready milczał.

Nie mógł powtórzyć swojemu koledze tego, co powiedział mu przed dwudziestoma godzinami Keepsake, ale słyszał w uszach szept Rosjanina.

"Pomyśl o tym nowym człowieku w Moskwie, o Gorbaczowie mó wił Keepsake.

Na razie bardzo mało o nim wiecie.

Sam.

Ale ja go znam.

Byłem odpowiedzialny za jego ochronę, kiedy złożył tutaj wizytę Margaret Thatcher, jeszcze zanim został sekretarzem generalnym.

Roz mawialiśmy ze sobą.

Jest niezwykle ciekawym człowiekiem, bardzo otwartym, bardzo szczerym.

Ta cnłapieriestnyka, o której tyle mówi, ta głasnosc.

Wiesz, co to wszystko oznacza, mój przyjacielu?

Za dwa lata, w roku 1988, może 1989, wszystkie te szczegółowe dane nie będą miały żadnego znaczenia.

On naprawdę nie ma zamiaru zaatakować was na polach Niziny Srodkowoniemieckiej.

Naprawdę chce i stara się przebudować całą sowiecką ekonomię i społeczeństwo.

Nie uda mu się to, oczywiście, ale będzie próbował.

Wycofa się z Afganistanu, wycofa z Europy.

Wszystko, co opo wiada wam teraz Orłów, za dwa lata będzie się nadawało tylko do archi wów.

Ale wielkie kłamstwo, kiedy już je przedstawi, o tak, ono się bę dzie liczyć.

Przez całą dekadę.

Zaczekajcie na wielkie kłamstwo.

Cała reszta jest drobnym poświęceniem wkalkulowanym przez KGB w koszty całego przedsięwzięcia.

Oni dobrze grają w szachy, moi byli koledzy."

A siatki szpiegowskie w Ameryce Południowej?

upierał się Roth.

Do diabła, Meksyk, Chile i Peru są zachwycone.

Zwinęli całe mnóstwo sowieckich agentów.

Wszystko to zwerbowani na miejscu pomagierzy odparł McCre ady.

Nie ma wśród nich ani jednego etnicznego Rosjanina.

Zużyte, wyprztykane siatki, nienasyce ni agenci, pośledniego sortu konfidenci.

Do jednorazowego użytku.

Roth bacznie mu się przyglądał.

Mój Boże szepnął bezgłownie.

Ty myślisz, że to wtyczka, prawda?

Że to podwójny agent.

Skąd się o tym dowiedziałeś, Sam?

Czy macie jakieś źródło, jakiegoś agenta, o którym my nie wiemy?

160

Skądże odparł bez przekonania McCready.

Niechętnie okła mywał Rotha, ale rozkazy były rozkazami.

Prawdę mówiąc, CIA od sa mego początku otrzymywała uzyskane od Keepsakea materiały, ale w znie kształconej formie i przypisane siedmiu różnym informatorom.

Chcę go po prostu mocno przycisnąć.

Myślę, że facet trzyma coś w zanadrzu.

Nie jesteś przecież głupcem, Joe.

Na pewno w głębi ducha gnębi cię dokładnie to samo.

To pchnięcie było celne.

Gdzieś głęboko gnębiły wciąż Rotha stare podejrzenia.

Kiwnął głową: w porządku.

Weźmiemy go ostro w ob rotę.

Nie przyjechał tu zresztą na wakacje.

I jest twardy.

Wracajmy.

Dalszy ciąg przesłuchania zaczął się za kwadrans dwunasta.

McCre ady powrócił do pytania o sowieckich agentów w Wielkiej Brytanii.

Jednego już wam dałem oświadczył Orłów.

Jeśli potraficie go wykryć.

Facet, którego nazywali agentem Juno.

Ten, który ma konto w Midland Bank, w Croydon.

Dotarliśmy do niego odparł spokojnie McCready.

Nazywa się, a raczej nazywał Anthony Milton-Rice.

No proszę powiedział Orłów.
Co masz na myśli mówiąc "nazywał się"?
zaniepokoił się Roth.
Facet nie żyje.
Nie wiedziałem o tym odparł Orłów.
To było przed wieloma laty.
Na tym polega moje kolejne zmartwienie oświadczył ze smutkiem McCreedy
ponieważ on nie zmarł przed wieloma laty, lecz wczoraj rano.
Zamordowany, zlikwidowany zaledwie godzinę przed tym, nim mogła roztoczyć nad
nim opiekę nasza ekipa obserwatorów.
Zapadło nagłe milczenie.
Po chwili Roth zerwał się znowu na nogi, skrajnie wyprowadzony z równowagi.
Po dwóch minutach znowu znaleźli się obaj na zewnątrz budynku.
Do czego ty, do cholery, zmierzasz.
Sam?
krzyknął.
Możeś mnie uprzedzić.
Chciałem zobaczyć reakcję Orłowa odparł bez osłonek Sam.
Obawiałem się, że jeśli ci wcześniej powiem, możesz sam się z tym wyrwać.
Widziałeś jego reakcję?
Nie.
Patrzyłem na ciebie.
Nie było żadnej reakcji stwierdził McCreedy, Myślałem, że będzie
zaskoczony.
Nawet zmartwiony.
Że będzie rozważał w myśli konsekwencje.
On ma nerwy ze stali odparł Roth.
To profesjonalista w każdym calu.
Jeśli nie chce dać po sobie niczego poznać, to nic nie
161 .
□
zobaczysz.
A swoją drogą, czy to prawda?
Facet nie żyje?
Czy tylko blefowałeś?
Och, facet nie żyje, co do tego możesz nie mieć żadnych wątpliwości.
Został zaszyty w drodze do pracy przez jednego z młodościanych czarnych
oprysków.
My nazywamy to "czyszczeniem", wy nazywacie to "zdziczeniem".
Nieżyły pasztet, nieprawdaż?
Przeciek mógł nastąpić po waszej stronie.
McCreedy potrząsnął głową: Za mało czasu.
Przygotowanie takiego morderstwa trochę trwa.
Ustaliśmy tożsamość faceta przedwczoraj wieczerając po trwającej dwadzieścia
cztery godziny policyjnej robocie.
Zała twili go wczoraj rano.
Za mało czasu.
Powiedz mi, jak wygląda obróbka uzyskanych od Minstrela materiałów?
Najpierw idą do Calvina Bailey'a, bezpośrednio, z ręki do ręki.
Potem do analityków.
Potem do klientów.
Kiedy Orłów poinformował was o szpiegu w naszym Ministerstwie Obrony?
Roth powiedział mu.
Pięć dni...
zadumał się McCreedy.
Zanim do nas dotarło.
Dostatecznie czasu...
Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków...
zaprotestował Roth.
Co daje nam trzy możliwości ciągnął swoje McCreedy.
Albo jest to wyjątkowy zbieg okoliczności, ale w naszym fachu nie możemy wierzyć
w nie zbyt często.
Albo ktoś puścił farbę pomiędzy tobą a operatorem teleksu.
Albo wszystko zostało z góry ukartowane.
To znaczy mordowanie z góry wyznaczono na określony dzień i określoną porę.
Na ja kiś czas przed tym terminem Orłowowi nagle coś się przypomina.
Zadenuncjowany agent ginie jednak, zanim dobrzy faceci zdążą roztoczyć nad nim
swoje opiekuńcze skrzydła.

Nie wierzę, żebyśmy mieli przeciek w Agencji oświadczył zde cydowanym tonem Roth.

Nie wierzę także, żeby Orłów był wtyczką.

Więc dlaczego nie jest z nami szczerzy?

Wracajmy do niego za sugerował łagodnie McCready.

Kiedy pojawili się powtórnie w pokoju.

Orłów sprawiał wrażenie przy gnębionego.

Wiadomość, że szpieg, którego zadenuncjował, został w krótki czas potem zamordowany, najwyraźniej nim wstrząsnęła.

McCready zmienił ton.

Przemawiał teraz bardzo delikatnie.

Pułkownik Orłów, jest pan cudzoziemcem na obcej ziemi.

Nie pokoi pana myśl o przyszłości.

Dlatego woli pan zachować pewne informacje dla siebie; chce się pan zabezpieczyć.

Rozumiemy to.

Ja zachowywałbym się tak samo, gdybym znalazł się w Moskwie.

Wszyscy musimy

162

się jakoś asekurować.

Ale obecny tutaj Joe twierdzi, że pańska pozycja w Agencji jest teraz tak wysoka, że nie potrzebuje pan się dłużej asekurować.

Czy zna pan zatem jakieś prawdziwe nazwiska, które mógłby nam pan przekazać?

W pokoju zapadła grobowa cisza.

Orłów powoli skinął głową.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Peter odezwał się przymilnie Roth naprawdę już czas, że byś je ujawnił...

Riemienc oświadczył Piotr Orłów.

Giennadij Riemienc.

Roth nie krył rozdrażnienia.

Wiemy o Riemiencu powiedział.

Działa w Waszyngtonie pod przykrywką przedstawiciela Aeroftotu poinformował McCreadyego.

FBI zgarnęła go dwa lata temu i przeszedł na naszą stronę.

Od tego czasu pracuje dla nas.

Nie powiedział podnosząc wzrok Orłów.

Mylicie się.

Jego wpadka została zaaranżowana przez Moskwę.

Umyślnie dał się złapać.

Jego przejście na waszą stronę było udawane.

Wszystkie informacje, które rych dostarcza, są starannie preparowane przez Moskwę.

Wyrażone przez niego szkody będą jeszcze kosztować Amerykę grube miliony.

Riemienc jest majorem w Zarządzie do Spraw Nielegalnych.

Kieruje cztery niezależnymi od siebie siatkami w środkowych stanach i zna prawdziwe nazwiska wszystkich ich agentów.

Roth zagwizdał.

Jeżeli to prawda, w takim razie to kapitalna informacja.

Jeżeli to prawda...

Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić oświadczył McCready.

Musicie zgarnąć Riemienc, nafałszować go penthotałem i zobaczyć, co powie.

Z tego, co wiem, trwa u was właśnie przerwa na lunch.

To dwa wspaniałe pomysły w ciągu dziesięciu sekund przyznał Roth.

Chłopaki, muszą teraz jechać do Londynu, żeby porozmawiać z Langley.

Zróbmy sobie przerwę na dwadzieścia cztery godziny.

Joe Roth połączył się z Calvinem Baileyem dokładnie o ósmej wie czorem czasu londyńskiego.

W Waszyngtonie była godzina trzecia.

Roth znajdował się w pokoju szyfrów, mieszczącym się głęboko w podziemiach amerykańskiej ambasady przy Grosvenor Square; Bailey siedział w swoim gabinecie.

Mimo że wyraźnie wymawiali każde słowo, ich przepuszczone przez urządzenia szyfrujące głosy mogły się wydawać nieco cienie.

Dzięki temu jednak bezpiecznie pokonywały Atlantyk.

Cały ranek spędziłem razem z Brytyjczykami w Alconbury po wiedział Roth. To było ich pierwsze spotkanie z Minstrelem.

163 .

□

Jak poszło?

Fatalnie.

Zartujesz.

Niewdzięczne sukinsyny.

Co poszło źle?

Do przesłuchania wyznaczono Sama McCreadyego.

Nie jest na stawiony źle do Amerykanów i nie jest głupi.

Uważa, że Minstrel to wtyczka.

Bzdura.

Powiedziałeś mu, ile razy sprawdzaliśmy Minstrela.

I że naszym zdaniem facet jest w porządku?

Tak, dokładnie.

Ale McCready upiera się przy swoim.

Czy przedstawił jakieś konkretne dowody na poparcie tej swojej fantazji?

Nie.

Powiedział, że to wynika z przeprowadzonej przez Brytyjczyków analizy dostarczonych przez Minstrela informacji.

Jezu, to jakieś głupoty.

W ciągu tych sześciu tygodni Minstrel dostarczył fantastycznych materiałów.

Co w nich się nie podoba temu McCreadyemu?

Omawialiśmy trzy tematy.

W sprawie informacji wojskowych stwierdził, że Moskwa może wszystko pozmieniać, o ile dokładnie wie, co prze kazał nam Minstrel.

A wie, jeśli to ona go wysłała.

Brednie.

Co dalej?

Na temat Afganistanu nie mówił wiele.

Ale ja znam Sama.

Wy glądało na to, że wie coś, o czym nie wiem ja, ale nie chce tego powie dzieć. Wszystko, co udało mi się z niego wyciągnąć, to "być może".

Dał do zrozumienia, że Brytyjczycy są zdania, iż Moskwa może wkrótce wycofać się z Afganistanu, a wtedy wszystkie informacje Minstrela na ten temat będą się nadawały tylko do archiwum.

Czy mamy jakieś po twierdzające to analizy?

Joe, nie mamy żadnego dowodu, że Ruscy zamierzają opuścić Kabul ani jutro, ani pojutrze.

Co jeszcze nie podobało się panu McCreadyemu?

Oznajmił, że jego zdaniem sowieckie siatki, które zwinęliśmy w Ameryce Środkowej i Południowej, były zużyte i, jak określił, wyprztykane, a poza tym składały się wyłącznie ze zwerbowanych na miejscu pomagierów.

Nie było tam ani jednego etnicznego Rosjanina.

Zrozum, Joe.

Minstrel zdemaskował tuzin prowadzonych przez Moskwę siatek w czterech krajach. To prawda, że wszyscy agenci byli zwerbowani na miejscu.

Przesłuchano ich, przyznaję, niezbyt delikatnie.

Okazało się naturalnie, że wszyscy mieli kontakty z sowiecką ambasadą.

Wydalono z wielkim szumem tuzin rosyjskich dyplomatów.

W diabły po szły lata koronkowej roboty KGB.

McCready pieprzy od rzeczy.

164

W jednym może mieć słusność...

Cały materiał, który Minstrel przekazał Brytyjczykom na temat działających na ich terenie sowieckich agentów, to były kryptonimy.

Z wyjątkiem jednego.

A ten jeden akurat nie żyje.

Słyszałeś coś o tym?

Jasne.

Przeklęty pech.

Fatalny zbieg okoliczności.

Sam nie uważa tego za zbieg okoliczności.

Uważa, że albo mamy u siebie przeciek, albo Minstrel wiedział z wyprzedzeniem, że facet zo stanie załatwiony określonego dnia o określonej godzinie i specjalnie zdradził nam jego tożsamość za późno, żeby mogli się nim zająć Brytyjczycy.

I jedno, i drugie to bzdury.

Uważa, że bardziej prawdopodobna jest druga wersja.

Jego zda niem Minstrel pracuje dla Moskwy.

Czy cwany pan McCready przedstawił ci jakieś dowody na poparcie swojej

wersji?

Nie.

Zapytałem go bez ogródek, czy ma w Moskwie jakiegoś agenta, który zadenuncjował Minstreła.

Zaprzeczył.

Oświadczył, że nie, że wszystko to są wnioski, które jego ludzie wyciągnęli z analizy dostarczonych przez Minstreła materiałów.

Po drugiej stronie zapadła cisza, tak jakby Bailey usilnie się nad czymś zastanawiał.

Tak też było w istocie.

Uwierzylesz w te jego zaprzeczenia?

zapytał.

Szczerze mówiąc, nie.

Myślę, że kłamie.

Podejrzewam, że mają kogoś, o kim nic nie wiemy.

Więc dlaczego Brytyjczycy nie odsłonią przed nami wszystkich kart?

Nie wiem, Calvin.

Jeżeli nawet mają agenta, który zadenuncjował Minstreła, to nie chcą się do tego przyznać.

W porządku.

Teraz słuchaj, Joe.

Przekaż ode mnie McCreadyemu, żeby albo się przymknął, albo zabierał do domu.

W sprawie Minstreła odnieśliśmy olbrzymi sukces i nie zamierzam pozwolić, żeby wszystko to diabli wzięli wskutek jakiejś podstępnej kampanii organizowanej w Century House.

Niech przedstawia konkretne dowody, naprawdę konkretne.

Zrozumialesz, Joe?

Jasno i wyraźnie.

Jeszcze jedna sprawa.

Nawet jeśli rzeczywiście dostali cynk, że Orłów to wtyczka, to może to być typowa zagrywka Rosjan.

Moskwa go straciła, my go przejęliśmy, a cała gratka przeszła Brytyjczykom koło nosa.

Więc teraz Rosjanie puszczają przeciek, że cały nasz triumf to wielka hucpa.

A Brytyjczycy łatwo dają się złapać na lep, bo mają nam za złe,

165 .

□

że podebraliśmy im Minstreła.

Jeżeli o mnie chodzi, to uważam brytyjski cynk za dezinformację.

Jeśli rzeczywiście mają jakiegoś informatora, to on jest wtyczką.

A nasz człowiek jest w porządku.

Zgadza się, Calvin.

Czy mogę powtórzyć to Samowi, jeśli znowu będzie robił kłopoty?

Absolutnie.

Taki jest oficjalny punkt widzenia Langley i będzie my go bronić.

Zaden z rozmówców nie zdawał się już pamiętać, że od oczyszczenia z zarzutów Orłowa zależą teraz w poważnym stopniu ich kariery.

Sam odniósł jeden sukces dodał Roth.

Wsiadł na Minstreła bardzo ostro.

Dwa razy musiałem go stamtąd wyciągać...

Ale w rezultacie Orłów przypomniał sobie nowe nazwisko.

Giennadij Riemiańc.

To nasz agent zaproponował Bailey.

Jego informacje od dwóch lat przechodzą przez moje biurko.

Roth wyjaśnił, kim, zdaniem Orłowa, są prawdziwi mocodawcy Riemiańca.

Przekazał także sugestię McCreadyego, że najlepszym sposobem wyjaśnienia całej sprawy będzie zatrzymanie przedstawiciela Aeroflotu i nafaszerowanie go penthotałem.

Bailey milczał.

Być może odpowiedział w końcu.

Przemyślimy to sobie.

Porozmawiam z zastępcą do spraw operacyjnych i z FBI.

Jeżeli zdecydujemy, że trzeba go sprawdzić, dam ci znać.

Tymczasem trzymaj McCreadyego z daleka od Minstreła.

Daj im obu trochę od siebie odpocząć.

Następnego ranka Sam z chęcią przyjął zaproszenie Joego Rotha na śniadanie.

Mieli je zjeść w apartamencie Rotha.

Nie musisz się obawiać uspokajał go Amerykanin. Wiem, że jest tutaj w okolicy kilka znakomitych hoteli, a wuja Sama stać byłoby na śniadanie dla dwóch osób, aleja sam jestem całkiem niezłym kucha rzem. Co powiesz na jajka na szynce, wafle, sok i kawę?

McCready roześmiał się przez telefon.

Wystarczy sok i kawa.

Zastał Amerykanina w kuchni, w założonym na koszulę fartuszk, z dumą demonstrującego swój talent w dziedzinie przyrządzania jajek na szynce.

McCready zmiękł i nałożył sobie trochę.

Sam, chciałbym, żebyś zrewidował swoją opinię na temat Min strela oświadczył Roth przy kawie.

Wczoraj wieczorem rozmawia łem z Langley.

Z Calvinem?

Tak.

Jak zareagował?

166

Zmartwiła go twoja postawa.

Zmartwiła, powiadasz?

Założę się, że mówiąc o mnie użył jakie goś miłego staroświeckiego anglo-saksońskiego epitetu.

W porządku, zrobił to.

Nie był zadowolony.

Jego zdaniem byliśmy i tak bardzo wielkoduszni dopuszczając cię do Minstrela.

Mam ci coś prze kazać.

Punkt widzenia Langley jest następujący: przejęliśmy Minstrela;

Moskwa jest wściekła jak jasna cholera.

Próbuje go zdyskredytować pod rzucając Londynowi umiejętnie spreparowane kłamstwo o tym, że w rze czwistości Minstrel jest sowiecką wtyczką.

Tak to widzi Langley.

Przykro mi, Sam, ale w tej sprawie jesteś w błędzie.

Orłów mówi prawdę.

Joe, nasi ludzie nie są przecież kompletnymi głupcami.

Nie dali byśmy się nabrać jakiemuś świeżemu uciekinierowi.

Gdybyśmy nawet dysponowali jakąś informacją, źródła której nie moglibyśmy ujawnić, co w tym wypadku nie ma oczywiście miejsca, pochodziłaby ona od kogoś, z kim rozpoczęliśmy współpracę na długo przed ucieczką Orłowa.

Roth odstawił filiżankę i wpatrywał się w McCreadygo z otwartymi

ustami.

Pokrętny język nie zdołał go ogłupić.

Jezus, Sam, wy macie jakiegoś agenta w Moskwie!

Na litość bo ską, graj w otwarte karty...

Nie mogę odparł Sam.

A zresztą i tak nie mamy.

Nie mamy w Moskwie nikogo, o kim byście nie wiedzieli.

Dokładnie rzecz biorąc, wcale nie kłamał.

Keepsake nie znajdował się w Moskwie.

W takim razie przykro mi, Sam, ale Orłów mówi prawdę.

Jest w porządku.

Naszym zdaniem wtyczką jest wasz człowiek.

Ten, który nie istnieje.

To wy, a nie my, dajecie się wodzić za nos.

Taki jest nasz oficjal ny punkt widzenia.

Na litość boską.

Orłów przeszedł trzy testy za pomo cą wykrywacza kłamstw.

To chyba wystarczy.

Zamiast odpowiedzi McCready wyciągnął z kieszonki na piersi zapi saną kartkę papieru i położył ją przed Rothem.

Amerykanin rzucił na nią okiem.

"Doszliśmy do wniosku przeczytał że są wśród wschodnich Europejczyków osobnicy, którzy potrafią, kiedy tylko chcą, przejść pozy tywnie test za pomocą wykrywacza kłamstw.

Amerykanie nie potrafią dobrze kłamać, ponieważ wychowuje się ich w atmosferze poszanowania dla prawdy i kiedy kłamią, łatwo to stwierdzić.

Okazuje się jednak, że wobec licznych Europejczyków wykrywacz kłamstw okazuje się bezradny.

W tej części świata łatwo natknąć się na ludzi, którzy przez całe swoje życie kłamali w tej lub innej sprawie i nabrali w tym takiej wprawy, że potrafią oszukać wykrywacz kłamstw."

□

Roth odsunął od siebie kartkę z prychnięciem.

To jakieś profesorskie gadanie.

Facet nie ma pojęcia, jak wygląda naprawdę praca w Langley stwierdził.

Prawdę mówiąc oświadczył łagodnie McCready powiedział to przed dwoma laty Richard Holmes.

Richard Holmes, człowiek-legenda, pełnił przed laty funkcję dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Roth sprawiał wrażenie wstrząsniętego.

McCready wstał.

Joe, Moskwa od dawna marzy o tym, żeby Brytyjczycy i jankesi zaczęli ze sobą walczyć niczym koty na targu w Kilkenny.

Do tego do kładnie zmierzamy, a Orłów jest tutaj dopiero od czterdziestu ośmiu godzin.

Przemyśl to sobie.

W Waszyngtonie dyrektor CIA i Federalne Biuro Śledcze doszli do wniosku, że jedynym sposobem ustalenia, czy Riemienc jest rzeczywiście podwójnym agentem, będzie jego zatrzymanie.

Szczegółami operacji zajęto się tego samego dnia, kiedy Roth i McCready zjedli wspólnie śniadanie.

Aresztowanie miało się odbyć wieczorem, w chwili gdy Riemienc wyjdzie z położonego w centrum Waszyngtonu biura Aerofłotu mniej więcej o piątej po południu czasu lokalnego i grubo po zmierzchu w Londynie.

Kilka minut po piątej Rosjanin wyszedł z budynku i ruszył w dół ulicy, tam gdzie zostawił swój samochód.

Po drodze musiał przejść przez nieduży skwerek.

Biuro Aerofłotu było pod obserwacją; Riemienc nie zdawał sobie sprawy z obecności podążających za nim przez skwerek sześciu uzbrojonych agentów FBI. Zamierzali oni dokonać aresztowania w chwili, kiedy Rosjanin będzie wsiadał do samochodu.

Wszystko miało się odbyć szybko i dyskretnie, tak żeby nikt niczego nie zauważył.

Przy przecinających zaśmiecony i podeptany skwerek alejkach stały tu i ówdzie ławki, na których zgodnie z intencjami ojców miasta powinni się wygrzewać na słońcu i zjadać swoje drugie śniadania porządni obywatele Waszyngtonu.

Zapobiegliwi urzędnicy nie przewidzieli jednak, że placzyk obiorą sobie za miejsce spotkań handlarze narkotyków i ich klienci.

W chwili gdy Riemienc przecinał skwerek, na jednej z ławek dobijali właśnie targu Latynos i Murzyn.

Obu im towarzyszyła liczna obstawa.

Sygnał do rozpoczęcia sporu dał Latynos zrywając się z krzykiem z miejsca i dobywając noża.

Jeden z goryli Murzyna wyciągnął pistolet i wypalił do Latynosa.

Rozpętała się strzelanina, w której wzięło udział co najmniej ośmiu członków obu band.

Kilku postronnych przechodniów rzuciło się z krzykiem do ucieczki.

Agenci FBI, zaskoczeni w pierwszej

168

chwili nagłością wydarzeń, zareagowali tak, jak nauczono ich na kursach w Quantico: padając na ziemię, dokonując przepisowego obrotu i wyciągając broń.

Riemienc dostał pojedynczym, płasko ściętym nabojem w tył głowy i upadł na twarz.

Jego zabójcę natychmiast zastrzelił agent FBI.

Obie bandy, czarnych i Kubańczyków, rozpierzchnęły się w różnych kierunkach.

Cała strzelanina nie trwała dłużej niż siedem sekund; na placu boju pozostało dwóch poległych: Kubańczyk i Rosjanin.

Amerykanie zbyt wielką może wiarę pokładają w technice i często są z tego powodu krytykowani; nikt jednak nie zaprzeczy, że kiedy nie pła ta im ona figli, osiągają czasami wspaniałe rezultaty.

Dwóch zabitych przetransportowano do najbliższej kostnicy, gdzie sprawą zajęło się FBI.

Pistolet użyty przez Kubańczyka oddano do analizy, ale nie przyniosła ona żadnych rewelacji.

Był to nie notowany cze ski star, importowany prawdopodobnie z Ameryki Południowej lub Środkowej.

Ciekawsze okazały się odciski palców.

Zabójca zidentyfikowany został jako Gonzalo Appio, mający swoje dossier w

archiwach FBI.

Komputer podał także, że interesowała się nim Agencja do Zwalczania Narkotyków oraz policja w Miami.

Zarabiał na życie jako handlarz narkotyków i morderca do wynajęcia. Wcześniej był w swym żalosnym życiu jednym z Marielitos Kubańczyków, których wspaniałomyślnie "uwolnił" w swoim czasie Fidel Castro wyprawiając na Florydę z portu Mariel wszelkich kryminalistów, psychopatów, pederastów i wykolejeńców zapętlających kubańskie więzienia i domy wariatów.

Ameryka dała się wywieść w pole i wszystkich ich przyjęła.

FBI podejrzewało również chociaż w przeciwieństwie do innych przewinień Appia nie miało w tej kwestii ostatecznej pewności że jest on w rzeczywistości agentem od mokrej roboty pozostającym na usługach DGI, czyli kubańskiej, zdominowanej przez KGB, tajnej policji.

Podejrzewano, iż maczał palce w zamordowaniu dwóch znanych antycastrowskich dziennikarzy pracujących w radiostacji w Miami.

FBI przekazało dossier Appia do Langley, gdzie wywołało ono głębką konsternację.

Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych.

Frank Wright, postanowił nie korzystać z pośrednictwa Bailey'a i odbył rozmowę telefoniczną z pozostającym w Londynie Rothem.

Musimy wiedzieć, Joe.

Teraz, szybko.

Jeżeli istnieją jakieś konkretne powody, dla których Brytyjczycy są nieufni wobec Minstrela, musimy je znać.

Nie cackaj się z nim, Joe.

Zastosuj wykrywacz kłamstw, wszystko, co masz do dyspozycji.

Jedź tam i dowiedz się, dlaczego umoczyliśmy sprawę.

169 .

□

Przed wyjazdem do Alconbury Roth ponownie zobaczył się z Samem McCreadym.

Nie było to przyjemne spotkanie.

Roth był rozgoryczony i wściekły.

Sam, jeśli coś wiesz, coś naprawdę ważnego, powinieneś odkryć przede mną karty.

Jeżeli popełnimy jakiś błąd dlatego, że coś przed nami zataiłeś, ty poniesiesz za to odpowiedzialność.

My nic przed wami nie kryjemy.

Powiedz, co trzymacie w zanadru.

McCready spoglądał na swego przyjaciela z kamiennym wyrazem twarzy.

Był zbyt wytrawnym pokerowym graczem, by dać po sobie coś po znać, coś, czego nie chciał zdradzić.

Osobiście wolałby powiedzieć Joemu Rothowi o istnieniu Keepsake'a, dać Amerykaninowi niezbity dowód podważający jego wiarę w Orłowa.

Ale sam Keepsake również stąpał po bardzo cienkiej linii, a sowiecki kontrwywiad każdego dnia wysuływał z niej kolejne nitki, czekając na coś konkretnego, coś, co pomogłoby umiejscowić przeciek w Europie Zachodniej.

McCready nie mógł, nie ośmieliłby się zdradzić nawet samego istnienia Keepsake'a, nie mówiąc o jego ranach i stanowisku.

To wasz problem, Joe odparł.

Ja nie ponoszę tu żadnej winy.

Posunąłem się tak daleko, jak mogłem.

Sądzę, że obaj zgodzimy się, że przypadkowa mogła być śmierć Milton-Rice'a, ale nie obie.

Przeciek może być gdzieś tutaj powiedział Roth i zaraz tego pożałował.

Niemożliwe oświadczył chłodno McCready.

Musieliśmy wiedzieć, kiedy i gdzie uderzyć w Waszyngtonie.

Nie wiedzieliśmy.

Albo wystawia ich Orłów zgodnie z ustalonymi przedtem uzgodnieniami, albo przeciek jest po waszej stronie.

Znasz moje zdanie: to Orłów.

A swoją drogą, ile osób ma u was dostęp do materiałów Orłowa?

Szesnaście odparł Roth.

Jezus.

Równie dobrze moglibyście dać ogłoszenie w "New York Timesie".

Ja, dwóch asystentów, ludzie zajmujący się aparaturą, analitycy trochę się tego uzbierało.

FBI wiedziało o Riemanacu, ale nie o Milton-Risie.

Szesnaście osób dowie się o nich obu w odpowiednim czasie.

Obawiam się, że mamy przeciek gdzieś na niskim szczeblu: jakiś urząd nik, szyfrant, może sekretarka.

A ja uważam, że macie fałszywego uciekiniera.

Cokolwiek to jest, mam zamiar to odkryć.

Czy mogę z tobą pojechać?

zapytał Sam.

Przykro mi, kolego, ale nie tym razem.

To jest teraz wewnętrzna sprawa CIA.

Do zobaczenia.

Sam.

170

Kiedy Roth pojawił się z powrotem w Alconbury, pułkownik Piotr Orłów natychmiast odczuł zmianę w zachowaniu otaczających go osób.

W ciągu kilku minut ulotniła się gdzieś rodzinna atmosfera.

Przebywają cy wewnątrz budynku personel CIA zaczął się do niego odnosić z oficjalnym chłodem.

Orłów cierpliwie czekał.

Kiedy Roth zasiadł naprzeciwko Rosjanina w pokoju przesłuchań, dwóch asystentów wtoczyło maszynę na kółkach.

Orłów rzucił na nią okiem.

Oglądał ją już przedtem.

wykrywacz kłamstw.

Jego oczy powę drowały z powrotem do Rotha.

Coś poszło źle, Joe?

zapytał cicho.

Tak, Peter, bardzo źle.

w kilku zwięzłych zdaniach poinformował Rosjanina o Fiasku w Waszyngtonie.

Coś zabłysło w oczach Orłowa.

Strach?

Poczucie winy?

Od powie na to maszyna.

Orłów nie protestował, kiedy technicy mocowali dyski na jego piersi, przegubach i czole.

Roth nie obsługiwał maszyny; miał do tego specjalnego asystenta.

Ale znał pytania, które chciał zadać.

wykrywacz kłamstw wygląda i działa podobnie jak elektrokardiograf, który znaleźć można w każdym szpitalu.

Odnotowuje bicie serca, puls, wydzielanie się potu wszystkie symptomy, które zdradza normalnie ktoś poddawany psychicznej presji, kiedy kłamie.

Presję wywołuje się poprzez samo poddanie delikwenta testowi.

Roth zaczął od prostych pytań, których rolą było ustalenie "normy odpowiedzi".

Cienki pisak leniwie biegł po wstędze papieru, łagodnie wznosząc się i opadając. Trzykrotnie Orłów poddawany był temu testowi i trzykrotnie nic nie świadczyło o tym, by kłamał.

Roth zapytał go o jego młodość, lata spędzone w KGB, przejście na Zachód, o informacje, które rych do tej pory udzielił.

Dopiero potem przeszedł do właściwych pytań.

Czy jesteś podwójnym agentem pracującym dla KGB?

Nie.

Cienki pisak leniwie unosił się i opadał.

Czy informacje, których dostarczyłeś do tej pory, są prawdziwe?

Tak.

Czy jest jakaś ważna informacja, której nam nie przekazałeś?

Orłów milczał.

Zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

Nie.

Pisak skoczył gwałtownie do góry, a potem w dół, kreśląc wyraźne zygzaki, zanim powrócił do normy.

Roth spojrzął na operatora, który kiwnął potakująco głową.

Wstał, podszedł do wykrywacza, przyjrzał się wstędze papieru i kazał technikowi wyłączyć maszynę.

171 .

□

Przykro mi, Peter, ale to kłamstwo.

W pokoju zapadła cisza.

Pięć osób wpatrywało się w Rosjanina, który wbił wzrok w podłogę.

W końcu podniósł oczy.

Joe, przyjacielu, czy mogę z tobą porozmawiać?

Sam na sam?

Naprawdę, w cztery oczy?

Bez żadnych mikrofonów, tylko ty i ja?

To było wbrew przepisom i stanowiło poważne ryzyko.

Roth zastana wiał się.

Dlaczego?

Co takiego coś, czego nie mogli wysłuchać nawet sprawdzeni wielokrotnie technicy CIA chciał mu zakomunikować ten enigmatyczny mężczyzna, który po raz pierwszy dał się złapać na kłamstwie?

Gwałtownie kiwnął głową.

No więc?

zapytał, kiedy zostali sami, a cała aparatura wyłączona.

Rosjanin westchnął głęboko.

Czy zastanawiałeś się kiedyś, Joe, nad sposobem, w jaki do was przeszedłem?

Nad szybkością.

Nad tym, że nie dałem ci czasu na skon taktowanie się z Waszyngtonem?

Tak, myślałem o tym.

Pytałem cię o to.

Szczerze mówiąc, nigdy nie zadowalały mnie do końca twoje odpowiedzi.

Dlaczego uciekłeś w ten sposób?

Ponieważ nie chciałem skończyć tak jak wołków.

Roth usiadł, jakby ktoś zdzielił go prosto w brzuch.

Wszyscy w tym fachu znali tragiczną historię wołkowa.

Na początku września 1945 Konstantin wołków, pełniący funkcję sowieckiego wicekonsula w Stambule, skontaktował się z brytyjskim konsulem Generalnym i oświadczył zdu mionemu urzędnikowi, że w rzeczywistości jest zastępcą szefa tureckiej placówki KGB i chce przejść na Zachód.

Zaoferował ujawnienie 314 so wieckich agentów w Turcji i 250 w wielkiej Brytanii.

Co najważniejsze, oświadczył, że zna nazwiska pracujących dla Rosjan dwóch dyplomatów z Foreign Office i jednego wysokiego oficera brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej.

Wiadomość wysłana została do Londynu, a wołków wrócił do swoje go konsulatu.

W Londynie sprawę oddano w ręce szefa sekcji rosyjskiej.

Oficer ten podjął niezbędne kroki, po czym poleciał do Stambułu.

Po raz ostatni widziano wołkowa, kiedy wpychano go, całego w bandażach, na pokład sowieckiego, lecącego do Moskwy samolotu transportowego.

Nie doszły uciekinier zmarł po okrutnych torturach na łubiance.

Brytyjski szef sekcji rosyjskiej przybył zbyt późno.

Nic dziwnego ponieważ najpierw musiał poinformować z Londynu o wszystkim Moskwę.

Nazywał się Kim Philby i był tym samym sowieckim szpiegiem, którego chciał ujawnić wołków.

17.2

Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć, Peter?

Musiałem uciec w ten sposób, ponieważ wiedziałem, że mogę ci ufać.

Nie zaszedłeś jeszcze dość wysoko.

Dość wysoko, żeby co?

Dość wysoko, żeby być nim.

Nie nadażam za tobą, Peter stwierdził Roth, chociaż nie była to prawda.

Rosjanin mówił wolno i wyraźnie, jakby zrzucał z barków długo do skwierające mu brzemię.

Od siedemnastu lat KGB ma w CIA swojego człowieka.

Sądzę, że w tym czasie zaszedł tam bardzo wysoko.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Joe Roth leżał na łóżku w swojej sypialni w stojącym na uboczu bu dynku bazy Alconbury i zastanawiał się, co robić.

Fascynująca sprawa, dzięki której zaledwie przed sześcioma tygodniami spodziewał się zrobić oszałamiającą karierę, okazała się ponurym koszmarem.

Przez całe czterdzieści lat, od czasu jej powołania w roku 1948, CIA obsesyjnie starała się chronić własne szeregi przed sowiecką infiltracją.

W ramach podejmowanych przez kontrwywiad środków bezpieczeństwa wydane zostały na ten cel miliardy dolarów.

Cały zatrudniony personel poddawano nie kończącym się testom za pomocą

wykrywaczy kłamstw;

sprawdzano, badano, przesłuchiowano i na nowo sprawdzano.

Efekty były niepodważalne.

Podczas gdy Wielką Brytanią wstrząsnęła we wczesnych latach pięćdziesiątych zdrada Philbyego, Burgessa i Macleana, Agencja pozostała czysta.

Kiedy wyrzucony z SIS Philby najpierw zaszył się w Bejrucie, a potem, powodując kolejny skandal, ostatecznie zrezygnował do Moskwy, Agencja pozostała nie naruszona.

We wczesnych latach sześćdziesiątych, gdy we Francji doszło do afera Georges Paquesa, a w Wielkiej Brytanii wykryto kolejnego sowieckiego szpiega, Georgea Blakea, do CIA nie przeniknęła ani jedna wtyczka przeciwnika. Przez cały ten okres wewnętrznym Urzędem Bezpieczeństwa (Office of Security) Agencji kierował James Jesus Angleton, człowiek niezwykły, lecz zarazem samotny i ogarnięty skrytymi obsesjami. Jego je dynym życiowym celem było uchronienie Agencji przed sowiecką infiltracją.

W końcu Angleton padł ofiarą własnej wrodzonej podejrzliwości.

Doszedł do wniosku, że podejmowane przez niego wysiłki okazały się nieefektywne.

Uwierzył, że mimo ciągłych kontroli i testów w szeregu organizacji zakradł się jednak szpieg.

Rozumowanie Angletona było następujące: nawet jeśli nie ma wewnątrz CIA wrogiego agenta, to przecież powinien tu być.

A więc musi być; a więc jest.

Połowanie na wyimagi nowego "Saszę" zajmowało coraz więcej czasu i starań.

Cierpiący na paranoję rosyjski uciekinier, Golicyn, wedle którego KGB ponosiło odpowiedzialność za wszelkie zło popełnione na tej planecie, zgodził się, że wtyczka istnieje.

To była woda na młyn Angletona.

Połowanie na "Saszę" weszło w kolejną fazę.

Rozeszła się plotka, że nazwisko zdrajcy zaczyna się na literę K.

Oficerowie, których nazwiska zaczynały się na tę literę, stwierdzali nagle, że z dnia na dzień diabli biorą ich kariery.

Jeden, ogarnięty nie smakiem, złożył rezygnację; dwóch innych zostało zwolnionych, ponieważ nie umieli udowodnić swojej niewinności.

Było to może przejawem chwalebnej ostrożności, ale poważnie podkopało morale organizacji.

Połowanie trwało przez dziesięć kolejnych lat od roku 1964 do 1974.

W końcu dyrektor William Colby stwierdził, że ma tego dosyć.

Wysłał Angletona na emeryturę.

Urząd Bezpieczeństwa objął ktoś inny.

Do jego zadań nadal należała ochrona Agencji przed sowiecką penetracją, ale spełniał je w sposób o wiele mniej hałaśliwy i agresywny.

Ironia losu sprawiła, że po uporaniu się ze swymi starymi, "ideologicznymi" zdrajcami Brytyjczycy nie mieli u siebie więcej afer szpiegowskich, przynajmniej w szeregach służb tajnych.

W Ameryce natomiast, która tak dzielnie opierała się szpiegom od późnych lat czterdziestych, nagle odkryto całe ich mrowie w dodatku nie byli to żadni komunisty, lecz kanalie gotowe zdradzić swój kraj dla pieniędzy.

Wahadło odwróciło się w drugą stronę.

Kolejno dowiadywano się o Boycie, Lee, Harperze, Walkerze i na koniec Howardzie, pracowniku CIA, który ujawnił Rosjanom nazwiska działających w Związku Sowieckim amerykańskich agentów.

Zadenuncjowany przez Urczenkę, jeszcze przed żalosnym powrotem Rosjanina do własnej ambasady, Howard zdołał zbiec przed aresztowaniem i przedostał się do Moskwy.

Poprzedzające o rok ucieczkę Orłowa perypetie z Howardem i z Urczenko poważnie nadszarpane reputację Agencji.

Ale wszystko to było niczym w porównaniu z następstwami, jakie mogło pociągnąć za sobą oświadczenie Orłowa.

Jeśli było ono prawdziwe, straszliwe spustoszenia przyniesie samo polowanie na szpiega.

Jeśli było ono prawdziwe, ocena poniesionych strat potrwa lata, a sprawdzenie tysięcy agentów oraz odtworzenie zagranicznych siatek, szyfrów i sołtysów

zuzuje zajmie całą dekadę i kosztować będzie miliony dolarów.

Wszystko to przez długie lata kłóść się będzie cieniem na reputacji Agencji.

Pytanie, które gnębiło w tę bezsenność Rotha, było następujące:

do kogo się zwrócić?

Tuż przed świtem znalazł na nie odpowiedź.

Wstał, ubrał się i spakował neseser.

Zanim wyszedł, rzucił okiem na śpiącego smacznie Orłowa.

Pilnuj go dobrze przykazał Krollowi.

Nikogo tu nie wpuszczaj i nikogo nie wypuszczaj.

Ten facet stał się dla nas niesłychanie ważny.

Kroił nie miał pojęcia dlaczego, ale kiwnął potakująco głową.

Był człowiekiem, który wykonuje rozkazy i nigdy nie zadaje pytań.

Mówiąc słowami poety: spełnia swą powinność lub ginie.

Roth pojechał do Londynu.

Nie zachodząc do ambasady wstąpił do swojego mieszkania i zabrał stamtąd paszport wystawiony na cudze na zwisko.

Udało mu się dostać jedno z ostatnich miejsc w samolocie prywatnej brytyjskiej linii do Bostonu; na bostońskim lotnisku Logan prześiadł się do waszyngtonu.

Mimo że zaoszczędził pięć godzin na zmianie czasu, w Georgetown pojawił się dopiero o zmierzchu.

Zaparkował wyjęty samochód przy krawężniku i ruszył w dół ulicy, docierając prawie do jej końca, tam gdzie zaczynał się campus Uniwersytetu Georgetown.

Dom, którego szukał, był eleganckim budynkiem z czerwonej cegły od innych, stojących w sąsiedztwie, różnił się wyłącznie rozbudowanym systemem bezpieczeństwa, umożliwiającym obserwowanie całej ulicy i wszystkich, którzy się do niego zbliżali.

Agenci ochrony zaczęli Rotha, kiedy przechodził ulicę, kierując się w stronę portyku.

Okazał im swoją legitymację CIA, a przy drzwiach poprosił o spotkanie z osobą, do której przyjechał.

Odpowiedziano mu, że dzentelmen ów właśnie je kołację i prosi o przekazanie wiadomości.

Po kilku minutach wpuszczono Rotha do środka i wprowadzono do wyłożonej boazerią biblioteki.

Uno sił się w niej zapach cygar i oprawnych w skórę książek.

Roth usiadł i czekał.

Po jakimś czasie drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Nie zwykł przyjmować w swoim prywatnym domu młodych i stosunkowo niskich rangą funkcjonariuszy CIA chyba że sam ich tu wezwał zasiadł jednak w skórzanym, klubowym fotelu, wskazał Rothowi siedzenie naprzeciwko i cichym głosem zapytał o powód wizyty.

Roth opowiedział mu o wszystkim, starannie dobierając słowa.

Dyrektor przekroczył siedemdziesiątkę.

To niezwykły wiek, jak na to stanowisko, ale też zajmował je niezwykły człowiek.

Podczas drugiej wojny światowej służył w OSS, wysyłając agentów do okupowanej przez nazistów Francji, Belgii i Holandii.

Po wojnie, kiedy zlikwidowano OSS,

175 .

□

wrócił do interesów, przejmując od swego ojca niewielką fabryczkę i przekształcając ją w potężny koncern.

Kiedy na miejsce OSS utworzono Centralną Agencję Wywiadowczą, odrzucił ofertę współpracy, złożoną mu przez jej pierwszego dyrektora, Allana Dullesa.

Po wielu latach, już jako bogaty człowiek i czołowy sponsor Partii Republikańskiej, zwrócił uwagę i związał swe losy z rosnącą polityczną karierą byłym aktorem, który kandydował właśnie do urzędu gubernatora stanu Kalifornia. Kiedy Ronald Reagan wprowadził się do Białego Domu, poprosił swego zaufanego przyjaciela, by pokierował CIA.

Dyrektor był katolikiem, długoletnim wdowcem i zagorzałym moralnym purytaninem.

Za plecami określano go w Langley jako "starego, twardego sukinsyna".

Nagradzał talent i inteligencję, ale w największej cenie była u niego lojalność. Miał kiedyś dobrych przyjaciół, którzy zgineśli w kaźniach gestapo, a trafili do nich, ponieważ ktoś ich zdradził.

Zdrada była jedyną rzeczą, której nie wybaczał nigdy, niezależnie od okoliczności.

Zdrajcy budzili w nim fizyczny wstręt.

Według dyrektora CIA nie zasługiwali nawet na cień litości.

wysłuchał uważnie tego, co miał mu do powiedzenia Roth, wpatrując się w wygaszony z powodu ciepłej nocy gazowy kominek.

Nie dał po sobie nic poznać, zacisnął tylko mocno dolną szczękę z charakterystycznym lekko obwisłym podbródkiem.

Przyjechałeś prosto tutaj?

zapytał, kiedy Roth skończył.

Z nikim na ten temat nie rozmawiałeś?

Roth wyjaśnił, w jaki sposób odbył całą podróż, zakradając się niczym złodziej do własnego kraju okrężną drogą i używając fałszywego paszportu.

Starzec skinął głową: sam podróżował kiedyś podobnie do opa nowanej przez Hitlera Europę.

Wstał, podszedł do stojącego przy ścianie stylowego stolika, podniósł stojącą na nim karafkę i nalał brandy do kieliszka.

Wracając poklepał Rotha uspokajająco po ramieniu.

Sprawiłeś się dobrze, mój chłopcze.

Podał kieliszek Rothowi, ten jednak potrząsnął głową.

Siedemnaście lat, powiadasz?

według Orłowa.

Wszyscy moi zwierzchnicy, wliczając w to Franka Wrighta, pracują w Agencji co najmniej od siedemnastu lat.

Nie wiedziałem, do kogo innego się zwrócić.

Tak, oczywiście, nie miałeś wyboru.

Dyrektor usiadł z powrotem w fotelu i pograżył się w rozmyślaniach.

Roth nie przerywał mu.

Musi się tym zająć Urząd Bezpieczeństwa oznajmił w końcu starzec.

Ale nie jego szef.

Jest całkowicie lojalny, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości, ale pracuje w Agencji od dwudziestu pięciu

176

lat. Wyślę go na urlop.

Ma zastępcę, bardzo bystrego chłopaka.

Nie wy daje mi się, żeby był u nas dłużej niż piętnaście lat.

Dyrektor wezwał swego sekretarza i zlecił mu przeprowadzenie kilku

rozmów.

Potwierdzono, że zastępca szefa Urzędu Bezpieczeństwa ma lat czterdzieści jeden i wstąpił do Agencji jako absolwent prawa dokładnie przed piętnastu laty.

Został wezwany ze swego domu w Alexandrii.

Na zwał się Max Kellogg.

Nigdy nie pracował pod Angletonem zauważył dyrektor.

Jego nazwisko zaczyna się od K.

Max Kellogg, zaintrygowany i trochę wystraszony, zjawił się na krót ko przed północą.

Właśnie miał kłaść się do łóżka, kiedy zadzwonił tele fon; ku swojemu zdumieniu usłyszał w słuchawce głos szefa Agencji.

Opowiedz mu powiedział dyrektor.

Roth powtórzył swoją relację.

Żydowski adwokat wysłuchał jej bez mrugnięcia okiem, nie opuścił niczego, zadał dwa dodatkowe pytania i nie zrobił żadnych notatek.

Dlaczego wezwał pan mnie?

zapytał na koniec.

Harry jest w mieście.

Jesteś u nas dopiero od piętnastu lat odpowiedział dyrektor.

Aha.

Postanowiłem zatrzymać na razie Orłowa...

Minstrela, czy jakkolwiek go jeszcze nazwiemy, w Alconbury oświadczył dyrektor.

Jest tam prawdopodobnie tak samo bezpieczny jak tu, a może nawet bardziej.

Spław jakoś Brytyjczyków, Joe.

Powiedz im, że Minstrel udzielił właśnie ważnych nowych informacji, które dotyczą wyłącznie interesów Stanów Zjednoczonych.

Powiedz im, że odzyskają do niego dostęp, kiedy tylko je sprawdzimy.

Polećcie z samego rana...

spojrzał na zegarek spe cjalnym lotem prosto do Alconbury.

Wszystkie metody dozwolone.

Za późno, żeby działać w rękawiczkach.

Stawka jest zbyt wysoka.

Orłów zro zumie.

Będzie tylko do waszej dyspozycji.

Chcę znać wszystkie wyniki.

Ale przede wszystkim chcę znać jak najszybciej odpowiedź na dwa pyta nia.

Czy to prawda, a jeżeli tak, kto to jest.

Od tej chwili wy dwaj pracujecie dla mnie, tylko dla mnie.

Bezpośrednie raporty.

Żadnych kopii.

Nie odpowiadajcie na żadne pytania.

Odsyłajcie wszystkich do mnie.

Ja zajmę się sprawami tutaj, na miejscu.

W oczach starego człowieka zapaliły się ogniki.

Jak wtedy, podczas wojny.

Roth i Kellogg próbowali zdrzemnąć się trochę na pokładzie grunmana lecącego z bazy Andrews z powrotem do Alconbury.

Po wylądowaniu wciąż byli niewyspani i zmęczeni.

Przelot z zachodu na wschód jest zawsze najgorszy.

Na szczęście obaj mężczyźni nie ratowali się alkoholem.

□

Łem; pili jedynie wodę.

W bazie umyli się tylko, trochę ogarnęli i zaraz zapukali do drzwi pułkownika Orłowa.

Roth usłyszał znajomy, dobiegający z taśmy głos Arta Garfunkela.

Pasuje, pomyślał ponuro Roth, rzeczywiście przyszliśmy porozmawiać z tobą znowu.

Tym razem nie będzie już jednak brzmienia ciszy.

Ale Orłów nie krył teraz przed nimi niczego.

Pogodził się już chyba z utratą ostatniej, chowanej w zanadrzu informacji, która miała stanowić jego "ubezpieczenie".

Zaoferował całe swoje "wiano".

Nie wiadomo było tylko, czy przyjmie je pan młody.

Nigdy nie znałem jego nazwiska oświadczył w spokoju przez słuchawkę.

Kellogg kazał wyłączyć wszystkie zamontowane tutaj mikrofony i sprzęt nagrywający.

Miał swój własny przenośny magnetofon, które go zapis uzupełniał sporządzanymi własnoręcznie notatkami.

Nie życzył sobie, by ktokolwiek inny był obecny przy przesłuchaniu i by kopiować na taśmę.

Techników oddalono; za dźwiękoszczelnymi drzwiami stał krokiem wraz z dwoma innymi strażnikami.

Ostatnią rzeczą, którą zlecono technikom, było sprawdzenie, czy w pokoju nie są zamontowane jakieś dodatkowe "pluskwy".

Nie kryli swego zdumienia z powodu nowych reguł.

Przysięgam.

Znany był tylko pod kryptonimem Sparrowhawk, Krogulec, i prowadzony bezpośrednio przez generała Drozdowa.

Gdzie i kiedy został zwerbowany?

Sądzę, że w Wietnamie, w roku 1968 albo 1969.

Sądziysz?

Nie, wiem na pewno, że to było w Wietnamie.

Pracowałem wtedy w Wydziale Planowania.

Prowadziliśmy dużą operację, głównie w Sajgonie i jego okolicach.

Posługiwaliśmy się oczywiście zwerbowanymi na miejscu pomocnikami z Vietcongu, ale mieliśmy tam również naszych własnych ludzi.

Jeden z nich donosił, że Vietcong skontaktował go z Amerykaninem, który zraził się do swoich.

Nasz miejscowy rezydent zaopiekował się face'em i namówił go do współpracy.

W końcu 1969 roku generał Drozdów osobiście poleciał do Tokio, żeby porozmawiać z Amerykaninem.

Wtedy właśnie nadano mu kryptonim Krogulec.

Skąd o tym wszystkim wiesz?

Trzeba było poczynić przygotowania, ustalić sposoby kontaktowania się, przekazać fundusze.

Byłem za to wszystko odpowiedzialny.

Przesłuchanie trwało tydzień.

Orłów przypominał sobie banki, do których przez wszystkie te lata wpłacano pieniądze, oraz miesiące (a czasem nawet dni), w których dokonywano wpłat.

Z biegiem lat wpłaty stały się coraz większe, co prawdopodobnie wiązało się z coraz wyższym

178

zajmowanym przez agenta stanowiskiem i jakością dostarczanych przez niego informacji.

Po przesunięciu mnie do Zarządu do Spraw Nielegalnych i przejściu pod

bezpośrednie rozkazy generała Drozdowa nadal zajmowałem się sprawą Krogulca. Tym razem nie interesowały mnie transfery pieniędzy.

Zadania miały bardziej operacyjny charakter.

Jeżeli Krogulec demaskował jakiegoś pracującego przeciwko nam agenta, informowałem o tym odpo wiedni departament na ogół wykonawczy, znany również jako depar tament "mokrej roboty" który albo likwidował szpiega, jeśli działał poza naszym terytorium, albo aresztował go, jeśli był na miejscu.

Załatwiliśmy w ten sposób czterech Kubańczyków, którzy zwalczali reżim Castra.

Max Kellogg notował wszystko, a w nocy przesłuchiwał taśmy.

Istnieje tylko jeden człowiek, do którego można dopasować wszystkie te zarzuty oświadczył w końcu Rothowi.

Nie wiem jeszcze, kim jest, ale to uda się znaleźć w archiwach.

Teraz to już tylko kwestia spraw dnia dokumentów.

Długiego, mozolnego wgrzania się w akta.

Mogę tego dokonać tylko w Waszyngtonie.

Muszę wracać.

Poleciał następnego dnia.

Pięć godzin spędził u dyrektora Agencji w jego domu w Georgetown, a potem zamknął się w archiwum.

Otrzymał carte blanche na mocy osobistego polecenia dyrektora.

Nikt nie os miał się czegokolwiek odmówić Kelloggowi.

Mimo że obowiązywał na kaz dyskrecji, w Langley zaczęły rozchodzić się plotki.

Coś się działo.

Jakaś afera związana z bezpieczeństwem wewnętrznym.

Zaczęło szwan kować morale.

Takich rzeczy nigdy nie da się utrzymać w całkowitej tajemnicy.

Niedaleko Golders Hill, w północnym Londynie, obok rozległych wrzosowisk Hampstead Heath, znajduje się niewielki zwierzyniec, w któ rym znalazły schronienie jelenie, łosie oraz kaczki i inne dzikie ptactwo.

Tutaj właśnie, tego samego dnia, kiedy Max Kellogg odleciał do Waszyng tonu, McCready spotkał się z Keepsakeem.

W ambasadzie nie dzieje się zbyt dobrze stwierdził Rosjanin.

Człowiek z wydziału "K" zaczął na rozkaz Moskwy wyciągać akta sprzed wielu lat.

Sądzę, że wszczęto dochodzenie we wszystkich zachodnioeuro pejskich ambasadach. Wcześniej czy później dojdą, że przeciek ma miej sce w Londynie.

Czy możemy coś zrobić, żeby ci pomóc?

Chyba tak.

Co?

179 .

□

Dobrze byłoby, gdybym mógł przekazać im coś naprawdę war tościowego; na przykład jakąś dobrą wiadomość o Orłowie.

Kiedy tajne służby zwerbują jakiegoś podwójnego agenta, podejrzane byłoby, gdyby od tej chwili nie dostarczył już swoim poprzednim mo codawcom ani jednej użytecznej informacji.

Jego nowi zwierzchnicy zaopatrują go więc od czasu do czasu w autentyczne materiały wywia dowcze, które wysyła do domu, żeby pokazać, jakim to jest zdolnym szpiegiem.

Keepsake zdążył już poinformować McCreadyego o wszystkich zna nych mu, działających w wielkiej Brytanii sowieckich szpiegach, a wie dział o znakomitej większości.

Brytyjczycy żadnego naturalnie nie aresz towali w ten sposób wydałaby się cała gra.

Niektórym odebrano dostęp do zastrzeżonych informacji nie od razu, lecz powoli, w trakcie zmian "administracyjnych".

Niektórych nawet awansowano odsuwając zara zem od spraw o tajnym charakterze.

Innym podsuwano na biurka spe cjalnie spreparowany materiał, który bardziej mógł zaszkodzić Rosjanom aniżeli pomóc.

Keepsakeowi pozwolono nawet "zwerbować" kilku nowych agentów, żeby mógł w ten sposób udowodnić swoją przydatność dla Moskwy.

Jed nym z nich był archiwista w Centralnym Rejestrze samej SIS, człowiek w rzeczywistości bezgranicznie lojalny wobec swojej ojczyzny, który jed nak przekazywał to, co kazano mu przekazać.

Moskwa była wprost za chwycona materiałem dostarczonym przez agenta Volverine, czyli Roso maka.

Uzgodniono, że za dwa dni Rosomak przekaże Keepsakeowi kopię sporządzonego ręką Denisa Gaunta memorandum, w którym mowa bę dzie o tym, że Orłów znajduje się

obecnie w Alconbury, gdzie Ameryka nie próbują wyciągnąć z niego wszystko, co

wie; podobnie zresztą jak Bry tyjczy.

Co słyhać w sprawie Orłowa?

zapytał Keepsake.

Amerykanie nabrali wody w usta odparł McCready.

Miałem do niego dostęp przez pół dnia i do niczego nie doszedłem.

Sądę, że zasiałem jednak jakieś ziarno wątpliwości w duszy Joego Rotha, za równo gdy byliśmy tam, jak i potem w Londynie.

On pojechał z powrotem do Alconbury, rozmawiał z Orłowem, a następnie wybrał się do Sta now legitymując się fałszywym paszportem.

Na razie nie wrócił, przynajmniej żadną regularną linią.

Mógł przylecieć bezpośrednio do Alconbury samolotem wojskowym.

Keepsake przestał rzucać okruszki kaczkom i odwrócił się do McCreadyego: Czy rozmawiali z tobą od tego czasu, czy zaprosili cię na dalszy ciąg przesłuchań?

180

Nie.

Minął już cały tydzień.

Absolutne milczenie.

W takim razie przedstawił im swoje wielkie kłamstwo, to, z którym przyjechał.

Dlatego nie dopuszczają do niego nikogo spoza CIA.

Czego ono może dotyczyć?

Keepsake westchnął.

Na miejscu generała Drozdowa rozumowałbym jak typowy funkcjonariusz

KGB.

Są dwie rzeczy, o których KGB zawsze śniło po nocach.

Pierwsza to wszczęcie wojny pomiędzy CIA i SIS.

Czy zaczęli może was atakować?

Wprost przeciwnie, są uprzedzająco grzeczni.

Ale niekomunikatywni.

W takim razie chodzi o to drugie.

Ich drugim marzeniem jest rozbicie CIA od wewnątrz.

Zniszczenie morale.

Spowodowanie wewnętrznych tarć.

Orłów oskarży któregoś z funkcjonariuszy CIA, że jest agentem KGB.

To oskarżenie wywrze spodziewany skutek.

Ostrzegalem cię:

operacja Potiomkin zakrojona jest na długi okres.

Skąd możemy wiedzieć, o kogo chodzi, jeżeli nam nie powiedzą?

Keepsake ruszył w drogę powrotną do swego samochodu.

Zwróćcie uwagę, kto w CIA znajdzie się nagle w niełasce za wołał obracając się przez ramię.

To będzie ten człowiek.

I będzie nie winny.

Edwards był skonsternowany.

Poinformować Moskwę, że Orłów znajduje się teraz w bazie w Alconbury?

Gdyby Langley kiedykolwiek się o tym dowiedziało, z miejsca wypowiedzieliby nam wojnę.

Dlaczego, na litość boską, mamy to zrobić?

To będzie test.

Wierzę w Keepsakea.

Jest moim przyjacielem.

Ufam mu.

I w związku z tym uważam Orłowa za wtyczkę.

Jeżeli Moskwa nie zareaguje, nie będzie starała się zlikwidować Orłowa, będziemy mieli dowód.

Uwierzą nam nawet Amerykanie.

Będą oczywiście wściekli, ale przemówi do nich sama logika faktów.

A jeżeli jakimś cudem Rosjanie zaatakują i zabiją Orłowa?

Czy zgodzisz się opowiedzieć o wszystkim Camnowi Baileyowi?

Nie zaatakują odparł McCready.

To pewne jak to, że po nocy przychodzi dzień.

A propos, właśnie do nas przyjeżdża.

Kto?

Calvin.

Z żoną i córką.

Przesłałem jego akta na twoje biurko.

Chciałbym, żeby Firma odpowiednio go przyjęła.

Kilka kolacji z ludźmi,
181 .

□

z którymi miałyby ochotę się spotkać.

Przez wszystkie te lata był wypróbowanym przyjacielem wielkiej Brytanii.

Przynajmniej tyle mu się od nas należy.

Naburmuszony McCready zszedł na dół i rzucił okiem na leżącą na jego biurku teczkę.

Naprzeciwko niego zasiadł Denis Gaunt.

Jest miłośnikiem opery powiedział Sam czytając akta.

Chyba możemy mu załatwić bilety do Covent Garden, Glyndenbourne, tego rodzaju rzeczy.

Jezus, ja od lat nie mogę dostać się do Glyndenbourne oświadczył z zazdrością w głosie Gaunt.

Mają tam siedmioletnią listę oczekujących.

Wizyta w letni wieczór we wspaniałym, położonym wśród zielonych pagórków hrabstwa Sussex pałacu, mieszczącym w swym wnętrzu jeden z najlepszych w kraju teatrów operowych, stanowiła nadal najbardziej wyidealizowaną ucztę duchową dla każdego miłośnika opery.

Lubisz operę?

zapytał McCready.

Jasne.

To świetnie.

Możesz zaopiekować się Calvinem i panią Bailey podczas ich pobytu.

Załatw bilety do Garden i do Glyndenbourne.

Po służ się nazwiskiem Timothyego.

Nie zapomnij o żadnym z jego tytułów.

W tej nieszczęsnej robocie należą nam się w końcu jakieś przywileje, chociaż niech mnie diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek ja z któregoś sko rzystałem!

wstał i ruszył do wyjścia.

Zbliżała się pora lunchu.

Gaunt wziął do ręki teczkę.

Kiedy możemy się go spodziewać?

zapytał.

Za tydzień zawołał od drzwi McCready.

Zadzwoń do niego.

Powiedz, co przygotowujesz.

Zapytaj, co lubi.

Jeżeli już mamy się tym zająć, zrobmy to dobrze.

Max Kellogg zamknął się w archiwum i nie wychodził stamtąd przez dziesięć dni.

Jego żonie w Alexandrii powiedziano, że wyjechał z miasta.

Uwierzyła.

Kelloggowi przysyłano posiłki, ale przetrwał głównie dzięki diecie składającej się z kawy i zbyt wielu papierosów z filtrem.

Do jego dyspozycji postawiono dwóch archiwistów.

Nie wiedzieli nic o prowadzonym przez niego śledztwie; po prostu przynosili mu kolejne akta, których zażądał.

Wyciągali fotografie z wetkniętych głęboko te czeki które dawno temu uznano za prawie bezwartościowe.

Jak wszystkie te tajne służby, CIA nigdy niczego nie wyrzuca, niezależnie od tego, jak

182

bardzo niejasne lub zdezaktualizowane byłyby to materiały; nigdy nie wiadomo, czy któregoś dnia nie będzie potrzebny jakiś mały szczegół, wycinek gazety albo fotografia.

Kellogg potrzebował ich teraz bardzo dużo.

W połowie prowadzonego przez niego dochodzenia do Europy wysłano dwóch agentów.

Jeden odwiedził Wiedeń i Frankfurt, drugi Sztokholm i Helsinki.

Każdy zaopatrzony był w legitymację funkcjonariusza Agencji do Spraw Zwalczenia Narkotyków i osobisty list od amerykańskiego sekretarza skarbu z prośbą o udzielenie daleko idącej pomocy.

Zaniepokojeni podejrzeniem, że ich bank został użyty do prania brudnych, pochodzących z handlu narkotykami pieniędzy, dyrektorzy każde go z nich pokonferowali ze sobą i utworzyli swoje archiwa.

Wezwano kasjerów i pokazano im fotografię.

Przytoczono daty i numery rachunków; jeden kasjer nie potrafił sobie

przypomnieć; trzech pozostałych skinęło głowami.

Agencji zabrali fotokopie rachunków, asygnat i przekazów.

Wzięli również do analizy grafologicznej próbki złożonych na różne nazwiska podpisów.

Kiedy udało im się zgromadzić wszystko to, po co przyjechali, wrócili do Waszyngtonu i złożyli swoje trofea na biurku Maxa Kellogga.

Z początkowej grupy około dwudziestu oficerów CIA, którzy służyli w Wietnamie w interesującym Kellogga okresie a rozszerzył on po dane przez Orłowa ramy czasowe o dwa lata w każdą stronę szybko udało się wyeliminować pierwszą dwunastkę.

A potem kolejno odpadali następni.

Albo nie znajdowali się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu; albo nie mogli udzielić określonej informacji, ponieważ nie mieli do niej dostępu; albo nie mogli uczestniczyć w określonym spotkaniu, ponieważ przebywali akurat w innym rejonie świata.

Wszyscy oprócz jednego.

Jeszcze zanim agenci powrócili z Europy, Kellogg wiedział, że zna łaz

winnego.

wyciągi bankowe tylko potwierdziły jego przypuszczenia.

Kiedy był gotów, kiedy miał w ręku wszystkie dowody, udał się ponownie do domu dyrektora w Georgetown.

Trzy dni wcześniej Calvin Bailey wraz ze swoją żoną i córką Clarą

przylecieli z Waszyngtonu do Londynu.

Bailey uwielbiał Londyn; w gruncie rzeczy był zagorzałym anglofilem.

Fascynowała go zwłaszcza widoczna na tu na każdym kroku historia.

Uwielbiał odwiedzać wzniesione w odległych epokach stare zamki i majestatyczne rezydencje, błądzić po wiejących chłodem krużgankach starożytnych opactw i uniwersytetów.

Zainstalował się w apartamencie w Mayfair, wynajmowanym przez CIA specjalnie dla ważnych osobisto

183 .

ści, wypożyczył samochód i wybrał się do Oksfordu.

Zamiast autostradą wolał jechać bocznymi drogami, a lunch zjadł na świeżym powietrzu w Bisham, w gospodzie "Pod Bykiem", której dębowe belki pamiętały czasy sprzed narodzin królowej Elżbiety I.

Następnego wieczoru wpadł na drinka Joe Roth.

Po raz pierwszy miał okazję spotkać nie wyróżniającą się specjalną urodą panią Bailey oraz Clarę, trochę niezdarne, ośmioletnie dziecko w okularach, z prostymi, rudymi warkoczami i wystającymi zębami.

Nigdy przedtem nie widział rodziny swego szefa; niełatwo było wyobrazić sobie Bailey'a w roli opo wiadającego bajeczki do poduszki taty albo piekącego kiełbaski na roz nie gospodarza pikniku.

Ale tym razem normalna powściągliwość Calvina gdzieś się ulotniła Roth nie potrafił powiedzieć, czy ma to coś wspólnego z perspektywą awansu czy też rozpoczynającymi się właśnie wakacjami, których wspaniałe urozmaicenie stanowiły wizyty w opo rze, na koncertach i w galeriach sztuki miejscach, które jego szef tak uwielbiał.

W wieku trzydziestu dziewięciu lat Roth nie zestarzał się jeszcze na tyle, by nie odczuwać potrzeby zwierzenia się komuś z dręczących go kłopotów.

Kusiło go, żeby powiedzieć Baileyowi o zamęcie, jaki wywoła ło sensacyjne oświadczenie Orłowa rozkazy dyrektora Agencji były jednak wyraźne.

Na razie nie wolno było informować nikogo nawet Calvina Bailey'a, szefa Zadań Specjalnych, lojalnego i zaufanego funk cjonariusza Agencji z długoletnim i wzorowym przebiegiem służby.

Kie dy oskarżenie Orłowa potwierdzone zostanie przez niezbite dowody bądź też kiedy okaże się fałszywe dyrektor osobiście zapozna najwyższe kierownictwo Agencji z całą sprawą.

Do tego czasu cisza.

Nie wolno było odpowiadać na żadne pytania, a tym bardziej informować o czymkolwiek z własnej inicjatywy.

Joe Roth musiał więc kłamać.

Powiedział Baileyowi, że przesłuchanie Orłowa rozwija się pomyślnie, ale że postępy nie są już tak szybkie.

Zebrano już naturalnie wszystkie informacje, które utkwiły Minstrelowi wyraźnie w pamięci.

Teraz chodzi ło o to, żeby uzyskać od niego bardziej szczegółowy materiał.

Orłów jest chętny do współpracy i Brytyjczycy są z niego bardzo zadowoleni.

w tej chwili powraca się po wielokroć do tematów, które zostały już poruszone

wcześniej.

Zajmuje to trochę czasu, ale każde takie cofnięcie się przynosi kilka nowych, drobnych szczegółów drobnych, lecz wartościowych.

Kiedy Roth popijał swego drinka, w drzwiach pokazał się Sam McCready.

Towarzyszył mu Denis Gaunt; dokonano zaraz niezbędnych prezen tacji.

Roth nie mógł opanować podziwu, kiedy obserwował zachowanie swego brytyjskiego kolegi.

McCready bez zmrużenia powiek pogratulo184

wał Baileyowi wspaniałego sukcesu z Orłowem i zaprezentował "menu" przygotowanych przez SIS atrakcji, które miały uprzyjemnić Amerykani nowi jego wizytę w Wielkiej Brytanii.

Bilety do Covent Garden i Glyndenbourne wprawiły Baileya w wy śmienity humor.

Oba spektakle miały stanowić ukoronowanie dwunastodniowego pobytu jego rodziny w Londynie.

A potem z powrotem do Stanów?

zapytał McCready.

Nie.

Zamierzamy jeszcze na krótko zatrzymać się w Paryżu, Salzburgu i Wiedniu.

Dopiero potem wracamy do domu odparł Bailey.

McCready skinął głową.

Teatry w Salzburgu i Wiedniu należą do czo łowych scen operowych świata.

wieczór okazał się całkiem udany.

Korpulentna pani Bailey krzątała się wokół nich dolewając alkoholu; zaproszono Clare, żeby mogła poze gnać się przed pójściem spać.

Trzej goście wyszli po dziewiątej.

Jak idzie śledztwo, Joe?

mruknął McCready do Rotha, kiedy znaleźli się na ulicy.

Macie fałszywe informacje odparł Roth.

Bądźcie ostrożni powiedział McCready.

Nie dajcie się wy wieść w pole.

Według nas to wy właśnie dajecie się wodzić za nos.

Kogo on zadenuncjował, Joe?

Odwał się warknął Roth.

Od teraz Minstrelem zajmuje się wyłącznie Kompania.

Nie macie tu czego szukać.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę Grosvenor Square.

Dwie noce później Max Kellogg zasiadł razem z dyrektorem Agencji w bibliotece tego ostatniego.

Ze sobą miał akta, własne notatki, kopie wyciągów bankowych i fotografie.

Był ledwo żywy ze zmęczenia, wyczerpany pracą, której wykonanie w normalnych okolicznościach zajęłoby i powinno było zająć dwa razy tyle czasu całemu zespołowi ludzi.

Pod oczyma miał ciemne kręgi.

Dyrektor siadł po drugiej stronie starego dębowego stołu, który kazał tu specjalnie wstawić, żeby było gdzie rozłożyć papiery.

Łysa pomarszczo na głowa zgarbionego w swojej welwetowej podomce starca rzucała refleksy światła.

Spod krzaczastych brwi obserwowały Kellogga, rzucając co jakiś czas szybkie spojrzenia na leżące dokumenty, oczy starej jaszczurki.

Nie może być żadnych wątpliwości?

zapytał dyrektor, kiedy Kellogg zakończył swoją relację.

Ten potrząsnął głową.

Minstreł dostarczył nam dwadzieścia siedem punktów, na których można było oprzeć oskarżenie.

Dwadzieścia sześć potwierdziło się.

185 .

□

Wszystko to są poszlaki?

W tego rodzaju sprawie to nieuniknione.

Z wyjątkiem zeznań trzech kasjerów.

Dokonali pozytywnej identyfikacji oczywiście na podstawie fotografii.

Czy można skazać kogoś wyłącznie na podstawie dowodów poszła kowych?

Tak jest, sir.

Istnieją udokumentowane precedensy.

Nie zawsze potrzebne są zwłoki ofiary, żeby skazać kogoś za morderstwo.

Czy potrzebne jest przyznanie się do winy?

Niekoniecznie.

Wątpię poza tym, czy możemy się go spodziewać w tym wypadku. Mamy do czynienia z przebiegłym, utalentowanym, twardym i bardzo doświadczonym agentem.

Dyrektor westchnął.

Jedź do domu, Max.

Wracaj do swojej żony.

Nic nikomu nie mów.

Kiedy będę cię znów potrzebował, pošlę po ciebie.

Dopóki nie dam ci znać, nie pokazuj się w biurze.

Zrób sobie urlop.

Odpuść.

Wskazał ręką drzwi.

Max Kellogg wstał i wyszedł.

Starzec wezwał se kretarza i polecił mu wysłać zaszyfrowany telegram, skierowany osobiście i przeznaczony tylko dla oczu Joego Rotha w Londynie.

Treść jego była prosta: wracaj natychmiast.

Tą samą trasą.

Ztóż mi raport.

W tym samym miej scu.

Zamiast podpisu pod treścią telegramu widniało specjalne hasło, po którym Roth miał poznać, że wiadomość pochodzi bezpośrednio od dyrektora Agencji.

Nad Georgetown zapadał owej letniej nocy coraz głębszy mrok; po dobie mroczne myśli opanowały umysł starego człowieka.

Dyrektor się dźiał samotnie w bibliotece i rozmyślał o starych czasach, o przyjacielach i kolegach, młodych, bystrych mężczyznach i kobietach, których wysłał za wał Atlantycki i którzy zginęli podczas śledztwa, ponieważ wydał ich zdrajca.

W tamtych czasach nie było wybaczenia, nie było Maxów Kelloggów, którzy zbadaliby dokładnie sprawę i zebrali niezbite dowody.

Nie było wtedy także litości nie dla konfidenta.

Popatrzył na leżącą przed nim fotografię.

Ty łajdaku powiedział cicho ty zdradziecki, farbowany lisie.

Następnego dnia do gabinetu Sama McCreadyego w Century House wkroczył posłaniec z wiadomością z sali szyfrów.

McCready był akurat zajęty; dał znak Gauntowi, żeby otworzył kopertę.

Gaunt przeczytał, gwizdnął i podał swemu szefowi.

Telegram wysłany został z centrali CIA w Langley.

Proszono w nim, żeby nie udostępniać Calvinowi Baileyowi żadnych zastrzeżonych informacji podczas jego wakacji w Europie.

Orłów?

zapytał Gaunt.

186

Założę się, że to on odparł McCready.

Co mam, do dia bła, zrobić, żeby ich przekonać?

Podjął w tej sprawie szybką decyzję.

Używając działającego tylko w jedną stronę kanału łącznościowego poprosił Keepsakea o niezwłoczne spo tkanie.

W porze lunchu dotarła do niego rutynowa notatka od podlegającej MI 5 służby obserwacyjnej na Heathrow.

Dowiedział się z niej, że legity mujący się tym samym co przedtem fałszywym paszportem Joe Roth ponownie opuścił Londyn udając się do Bostonu.

Tego samego wieczoru, zarabiając pięć godzin na zmianie czasu, Joe Roth przemierzył Atlantyk i zasiadł za dębowym stołem w prywatnym domu dyrektora CIA.

Naprzeciw niego usiadł dyrektor, po prawej stronie Max Kellogg.

Z twarzy starego człowieka wycierała zawziętość; Kellogg był tylko trochę podenerwowany.

W swoim domu w Alexandrii przespał większość dwudziestu czterech godzin, które upłynęły od jego powrotu do telefonu wzywającego go z powrotem do Georgetown.

Zo stawił swoje dokumenty u dyrektora, ale teraz wszystkie ponownie le żały przed nim.

Zacznij od początku, Max.

Tak jak opowiedziałeś to mnie.

Kellogg popatrzył na Rotha, poprawił okulary i podniósł kartkę le żącą na szczycie sterty papierów.

W maju 1967 roku Calvin Bailey został wysłany jako oficer terenowy, G-12, do Wietnamu.

Tu jest jego nominacja.

Przydzielono go, jak wi dzisz, do Programu Phoenix.

Słyszałeś chyba, co to był za program, Joe.

Roth skinął głową.

W szczytowym okresie wojny wietnamskiej Ame rykanie przystąpili do operacji, której celem było przeciwdziałanie dra stycznym efektom osiągniętym przez Vietcong poprzez wybiórcze, publicz ne i okrutne egzekucje miejscowej ludności. Chodziło o zastosowanie terroru wobec samych terrorystów, o zidentyfikowanie i likwidację agen tów Vietcongu.

Na tym właśnie polegał Program Phoenix.

Nigdy nie ustalono, ilu podejrzanych o przynależność do Vietcongu wysłano w ten sposób do ich stwórcy bez zapewnienia im godziwego procesu i zebra nia dowodów winy.

Niektórzy szacują ich liczbę na dwadzieścia tysięcy;

CIA twierdzi, że było ich tylko osiem tysięcy.

Jeszcze bardziej problematyczne jest ustalenie, ilu podejrzanych na leżało rzeczywiście do Vietcongu.

Wietnamczycy zaczęli bowiem wkrótce oskarżać o to wszystkich, do których mieli jakąś zadrę.

Wydawano ludzi Amerykanom z powodu waśni rodzinnych, kłótni o ziemię, nawet nie uiszczonych długów choć przecież śmierć wierzyiciela w sposób nie odwoławny uniemożliwiała ich spłacenie.

187 .

□

Zadenuncjowane osoby przekazywane były na ogół w ręce tajnej wiet namskiej policji, AVRN.

Tortury, jakim ich tam poddawano, i sposób, w jaki umierali, były dość wyszukane, nawet jeśli weźmie się pod uwagę tradycyjną w tej dziedzinie wschodnią pomysłowość.

Młodzi Amerykanie, świeżo ze Stanów, widzieli tam rzeczy, któ rych nikomu nie powinno się kazać oglądać.

Niektórzy wystąpili ze służ by, inni wymagali potem specjalistycznego leczenia. Jeden z nich nawró cił się na filozofię wyznawaną przez ludzi, z którymi przyjechał tu walczyć.

Tym człowiekiem był Calvin Bailey.

Zmienił zapatrywania, podobnie jak uczynił to George Blake w Korei.

Nie możemy tego udowodnić, ponie waż nikt nie wie, co dzieje się w ludzkim umyśle, ale poszlaki, które zgromadziłem, czynią to przypuszczenie całkiem prawdopodobnym...

To w marcu sześćdziesiątego ósmego nastąpiło coś, co możemy uznać za prze łomowe doświadczenie.

Bailey był obecny w wiosce My Lai w parę go dzin po dokonanej tam masakrze. Pamiętasz My Lai?

Roth ponownie skinął głową.

Wszystko to było częścią historii.

16 mar ca 1968 roku amerykańska kompania piechoty weszła do małej wioski o nazwie My Lai.

Podejrzewano, że mogą się tam ukrywać bojownicy Vietcongu lub ich sympatycy. Nie udało się później dokładnie ustalić, kiedy Amerykanie stracili nad sobą panowanie i wpadli w morderczy szał.

Nie mogąc uzyskać odpowiedzi na swoje pytania, zaczęli strzelać, a kiedy już zaczęli, strzelali tak długo, aż w wielkich stosach legły poskręcane trupy co najmniej czterystu pięćdziesięciu bezbronnych cywilów mężczyzn, kobiet i dzieci. Osiemnaście miesięcy trwało, zanim wiadomość o tym dotarła do amerykańskiej opinii publicznej.

I prawie trzy lata, zanim porucznik William Calley został skazany przez sąd wojskowy.

Ale Calvin Bailey był tam w cztery godziny po masakrze i wszystko widział.

Oto jego raport z tamtego okresu oświadczył Kellogg wydo bywając kilka kartek papieru.

Pisany jego własną ręką.

Jak łatwo za uważyć, pisany był przez człowieka do głębi wstrząśniętego.

Niestety, wydaje się, że to właśnie doświadczenie uczyniło z Baileya skrytego sym patyka komunistów.

Sześć miesięcy później Bailey doniósł, że udało mu się zwerbować dwóch Wietnamczyków, kuzynów, Nguyen Van Troca i Vo Nguyen Cana, a następnie umieścić ich w organizacji wywiadowczej Vietcongu.

Był to poważny sukces, pierwszy z wielu.

Wedle relacji Baileya prowadził tych dwóch agentów przez dwa lata.

Według Orłowa było do kładnie na odwrót.

To oni byli kontrolerami Baileya.

Spójrz na to...

Podał Rothowi dwie fotografie.

Pierwsza z nich przedstawiała dwóch wietnamczyków na tle dżungli.

Twarz jednego była przekreślona krzyżykiem, co oznaczało, że już nie żyje.

Na drugim, wykonanym dużo później

zdjęciu, widać było grupę wietnamskich oficerów siedzących wygodnie w trzcinowych fotelach na werandzie.

Podający im herbatę kelner uśmiechał się do obiektywu.

Kelner skończył jako jeden z boat-people, w brytyjskim obozie dla uchodźców w Hongkongu.

Bardzo był dumny z tej fotografii, ale Brytyjczyków zainteresowali

przedstawieni na niej oficerowie i odebrali mu ją.

Przyjrzyj się facetowi po lewej stronie kelnera.

Roth spojrzał.

To był Nguyen Van Troc, dziesięć lat starszy, ale ten sam.

Na ramieniu miał insygnia wyższego oficera.

Jest teraz zastępcą szefa wietnamskiego kontrwywiadu.

Punkt dla nas.

oświadczył Kellogg.

Następnie mieliśmy stwierdzenie Minstrela, że Bailey już tam w Sajgonie przeszedł pod bezpośredni nadzór KGB.

Minstrel wymienił z nazwiska nieżyjącego już szwedzkiego biznesmena, który pełnił w roku 1970 w Sajgonie funkcję rezydenta KGB.

Wiemy już od roku 1980, że biznesmen nie był tym, za kogo się podawał, a szwedzki kontrwywiad dawno już rozpracował jego legendę.

Facet nigdy w życiu nie był w Szwecji, przybył więc prawdopodobnie prosto z Moskwy.

Bailey mógł się z nim spotykać, kiedy tylko chciał.

Potem było Tokio.

Minstrel twierdzi, że w 1970 roku Drozdów osobiście poleciał tam i przejął kontrolę nad Baileyem nadając mu kryptonim Krogulec.

Nie możemy udowodnić, czy rzeczywiście był tam Drozdów, ale Minstrel ma miętą daty z dużą dokładnością, a Bailey był w Tokio w podanych terminach.

Oto jest jego rozkaz przeniesienia potwierdzony przez Air America, linię lotniczą, która obsługuje CIA.

Wszystko pasuje.

Wrócił do Ameryki w 1971 roku jako oddany sprawie agent KGB.

Następnie Calvin Bailey pełnił służbę na dwóch placówkach w Ameryce Środkowej i Południowej i trzech w Europie, kontynencie, który później, kiedy wspiął się na wyższy szczebel w hierarchii, wielokrotnie odwiedzał w ramach

inspekcji.

Nalej sobie drinka, Joe mruknął dyrektor.

Teraz będzie

najgorsze.

Minstrel wymienił cztery banki, do których jego wydział w Moskwie wysyłał pieniądze dla zdrajcy.

Podał nawet dokładne daty transferów.

Oto wyciągi z czterech kont prowadzonych w wymienionych przez Minstrela bankach; we Frankfurcie, Helsinkach, Sztokholmie i Wiedniu.

A to potwierdzenia wpłat, na duże sumy i w gotówce.

Wszystkie wpłaty następowały w ciągu miesiąca od dnia otwarcia konta.

Czterem kasjerom pokazano fotografię; trzech potwierdzili, że przedstawia ona człowieka, który otworzył rachunki.

Oto ta fotografia.

Kellogg podsunął Rothowi zdjęcie Calvina Baileya.

189 .

□
Roth spoglądał na twarz swojego zwierzchnika tak, jakby należała do kogoś obcego.

Nie mógł w to uwierzyć.

Tak niedawno jadł i pił z tym człowiekiem, tak niedawno spotkał się z jego rodziną.

Twarz z fotografii wpatrywała się weń martwym wzrokiem.

Minstrel podał nam pięć posiadanych przez KGB informacji, które nigdy nie powinny dotrzeć do Rosjan.

Oraz daty, kiedy je uzyskali.

Każda z nich znana była Calvinowi Baileyowi i tylko kilku innym osobom...

Nawet triumfy Baileya, sukcesy, dzięki którym awansował, aranżowane były przez KGB.

Przekazywano mu prawdziwe informacje, żeby podnieść jego pozycję w naszych szeregach.

Minstrel wymienił cztery zakończone sukcesem operacje Baileya.

Zgodnie z prawdą.

Tyle że on twierdzi, iż wszystkie zostały przeprowadzone za zgodą Moskwy.

I oba wiam się, że ma rację, Joe...

To daje razem dwadzieścia cztery punkty, wszystkie sporządzone na podstawie informacji Minstrela.

Dwadzieścia trzy zostały potwierdzone.

Są jeszcze trzy, znacznie świeższej daty.

Kiedy Orłów zadzwonił do ciebie tamtego dnia w Londynie, jakiego nazwiska użył?

Hayes.

Twojego nazwiska operacyjnego.

Skąd je znał?

Roth wzruszył ramionami.

Przyjrzyjmy się na koniec zabójstwom dwóch wymienionych przez Orłowa agentów.

Bailey kazał przekazywać sobie w pierwszej kolejności cały materiał uzyskiwany od Orłowa, prawda?

Tak.

Ale to normalna praktyka.

Operacja prowadzona była przez Biuro Zadań Specjalnych, a uzyskiwany materiał wydawał się mieć pierw szorzędne znaczenie.

Bailey chciał mu się przyjrzeć, zanim trafi do ko goś innego.

Kiedy Orłów wskazał tego Brytyjczyka, Milton-Ricea, Bailey do wiedział się pierwszy?

Roth kiwnął głową..

Angole dopiero trzy dni później?

Tak.

A Milton-Rice zginął, zanim zdążyli się nim zająć Brytyjczycy.

To samo z Riemiencem.

Przykro mi, Joe.

To pewne, jak amen w pacierzu.

Po prostu za dużo mamy dowodów.

Kellogg zamknął ostatnią teczkę.

Przed Rothem leżał cały zgromadzony materiał dowodowy: fotografie, wyciągi bankowe, bilety lotnicze, roz kazy przeniesienia.

Przypominało to złożoną do końca układankę.

Nie brakowało ani jednego fragmentu.

Był nawet logiczny motyw: owe strasz liwe doświadczenia w Wietnamie.

190

Kellogg został odprawiony.

Dyrektor spojrzał na Rotha przez stół.

Co o tym myślisz, Joe?

Wie pan, że Brytyjczycy uważają Minstrela za wtyczkę?

rzucił w odpowiedzi Roth.

Mówiłem o tym panu podczas mojej pierwszej wizyty...

Dyrektor machnął niecierpliwie ręką.

Dowody, Joe.

Prosiłeś ich o niezbite dowody.

Czy dali ci jakieś?

Roth potrząsnął głową.

Czy twierdzą, że mają w Moskwie wysoko umiejscowionego agen ta, kogoś, kto podważa wiarygodność Minstrela?

Nie, sir.

McCready zaprzeczył, żeby mieli kogoś takiego.

więc opowiadają bzdury stwierdził dyrektor.

Nie mają żad nego dowodu, Joe.

Powoduje nimi po prostu rozgoryczenie, że Minstrel nie oddał się w ich ręce.

Tu masz dowody, Joe.

Całe strony dowodów.

Roth przyglądał się bez słowa papierom.

Uświadomienie sobie, że przez długie lata pracował razem z człowiekiem, który stale i z premedytacją zdradzał swój kraj, było niczym uderzenie w przeponeę.

Zrobiło mu się niedobrze.

Co chce pan, żebym zrobił, sir?

zapytał cicho.

Jestem dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Miano wał mnie na to stanowisko sam prezydent.

Moim zadaniem jest chronić ten kraj najlepiej, jak potrafię i jak mogę.

Chronić przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi.

Nie mogę i nie zamierzam pójść do prezydenta i powiedzieć mu, że grozi nam

kolejny kolosalny skandal, przy którym wszystkie poprzednie afery to małe piwo.

Nie zrobię tego po ostatniej serii niepowodzeń w dziedzinie bezpieczeństwa.

Nie wy stawię prezydenta na bezlitosne ataki prasy i na pośmiewisko innych

narodów.

Nie będzie aresztowania i procesu, Joe.

Proces odbył się tutaj, werdykt został przedstawiony, a wyrok z Bożą pomocą

muszę wydać ja.

Co chce pan, żebym zrobił?

powtórzył Roth.

W ostatecznym rozrachunku, Joe, mógłbym nie martwić się z powodu

nadużytego zaufania, sprzedanych tajemnic, nadszarpniętego morale, grzebiącej

się w brudach prasy i wyśmiewających się z nas cudzoziemców.

Ale nie mogę nie pomyśleć o zadencjonowanych agentach, o wdowach i sierotach.

Dla zdrajcy może być tylko jeden wyrok, Joe...

On nigdy już tutaj nie wróci.

Nie skala już tej ziemi swoją stopą.

Na zawsze pozosta nie w mroku zapomnienia.

Wrócisz do Anglii i zanim uda mu się umknąć do Wiednia i stamtąd przez granicę

do Węgier, do czego z całą pewnością się przygotowuje, odkąd pojawił się u nas

Minstrel, zrobisz to, co trzeba zrobić.

191 .

□

Nie jestem pewien, czy potrafię, sir.

Dyrektor Agencji pochylił się przez stół i ujął w dłoń podbródek Rotha

tak, że patrzył teraz prosto w oczy młodemu oficerowi.

Jego własne były twarde jak obsydian.

Zrobisz to, Joe.

Ponieważ jako twój dyrektor daję ci taki rozkaz, ponieważ w imieniu prezydenta

reprezentuję to państwo i ponieważ wy maga tego dobro tego kraju.

Wracaj do Londynu i zrób to, co trzeba zrobić.

Tak jest, sir odpowiedział Joe Roth.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Statek odbił od przystani westminsterskiej dokładnie o godzinie trze

ciej i wypłynął w kolejny wycieczkowy rejs w dół Tamizy, w kierunku Greenwich.

Za relingiem tłoczyli się japońscy turyści; pstrykanie ich aparatów, którymi

uwieczniali obraz oddalającego się gmachu parlamentu, przypominało stłumiony

terkot karabinów maszynowych.

Kiedy statek wypłynął na środek rzeki, mężczyzna w lekkim szarym

garniturze dyskretnie wstał i przeszedł na rufę, gdzie stanął za relingiem i

obserwował spieniony kilwater.

Po kilku minutach z innej ławki wstał ubrany w letni deszczowiec tu

rysta i dołączył do stojącego na rufie.

Jak się mają sprawy w ambasadzie?

zapytał cicho McCready.

Niezbyt dobrze odparł Keepsake.

Wiadomo już, że trwa zakrojona na szeroką skalę operacja kontrwywiadowcza.

Jak na razie sprawdza się tylko niższy personel.

Ale intensywnie.

Kiedy tamci okażą się czyści, podejrzenia skierują się wyżej, to znaczy w moją

stronę.

Zacie ram za sobą ślady najlepiej, jak umiem, ale nie mogę po prostu zlikwi

dować pewnych teczek, przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku.

Ile ci jeszcze, twoim zdaniem, zostało czasu?

Najwyżej kilka tygodni.

Bądź ostrożny, przyjacielu.

Dmuchał na zimne.

Pod żadnym pozorem nie chcemy kolejnego Pienkowskiego.

Na początku lat sześćdziesiątych pułkownik GRU, Oleg Pienkowski, przez

wspañał dwa i pół roku współpracował z Brytyjczykami.

Był naj bardziej wartościowym sowieckim agentem, jakiego do tego czasu i dłu go

potem udało się zwerbować zachodnim służbom; jego działalność przyniosła

największe szkody interesom Związku Sowieckiego.

W tym krótkim okresie zdołał przekazać ponad pięć tysięcy ściśle tajnych dokumentów, z których największą wartość miały materiały na temat sowieckich rakiet na Kubie w roku 1962 informacje, które pozwoliły prezydentowi Kennedyemu wyciągnąć asa z rękawa w sporze z Chruszczowem.

Ale Pienkowski nie wyczuł w porę, że kończy się jego czas.

Przynaglany do ucieczki, uparł się, że pozostanie na miejscu jeszcze przez kilka ostatek tygodni.

Został zdemaskowany, poddany śledztwu, osądzony i rozstrzelany.

Keepsake uśmiechnął się.

Nie martw się.

Afera Pienkowskiego już się więcej nie powtórzy.

A co słychać u ciebie?

Niedobrze.

Orłów zadencjonował, według naszych danych, Calvina Baileya.

Keepsake gwizdnął cicho.

Tak wysoko.

No, no.

Samego Calvina Baileya.

A więc to on był celem Operacji Potiomkin.

Sam, musisz ich przekonać, że się mylą, że Orłów kłamie.

Nie potrafię odparł McCready.

Już próbowałem.

Chwycili kość w zęby.

Musisz spróbować jeszcze raz.

Stawką jest tutaj życie człowieka...

Nie myślisz chyba...

O tak, stary przyjacielu, właśnie tak myślę powiedział Rosjanin.

Dyrektor Agencji to zawzięty człowiek.

Nie sądzę, żeby na tym etapie kariery swego prezydenta zamierzał pozwolić na rozpętanie kolejnego olbrzymiego skandalu, większego niż wszystkie pozostałe razem wzięte.

Będzie chciał zapewnić sobie milczenie.

Na zawsze.

Ale to się oczywiście nie uda.

On myśli, że jeżeli to zrobi, sprawa nigdy nie wyjdzie na jaw.

Ale my wiemy lepiej, prawda?

Bardzo szybko zaczną krążyć plotki, zadba już o to KGB.

Jest w tym przecież bardzo dobre.

A para doksalne jest to, że Orłów właściwie osiągnął już swój cel.

Jeżeli Bailey zostanie aresztowany, jego procesowi towarzyszyć będzie druzgocąca kampania środków przekazu.

Jeżeli zostanie załatwiony po cichu i to się rozejdzie, morale CIA obniży się jak jeszcze nigdy w historii.

Jeżeli wy rzucą go z Agencji bez emerytury, odwoła się i cały spór będzie się toczył przez długie lata.

W każdym przypadku górą jest Orłów.

Musisz ich przekonać...

Próbowałem.

Wciąż uważają, że materiały Orłowa są niezwykle wartościowe i oczywiście autentyczne.

Wierzą mu.

Rosjanin wpatrywał się w spienioną wodę za rufą.

Mijali właśnie przebudowywane doki w tamtym okresie wciąż wznosił się tam gęsty las dźwigów i przeznaczony do rozbiórki, opuszczone portowe składy.

193 .

□

Czy opowiadałem ci kiedyś o mojej teorii popielniczki?

Nie odparł McCready.

Nie sądzę.

Kiedy wykładałem w szkole KGB, opowiadałem ją swoim kursantom.

Bierze się krysztalową popielniczkę i rozбивa na trzy kawałki.

Jeśli odzyskasz jeden z nich, wiesz tylko, że masz kawałek szkła.

Jeśli odzyskasz dwa, wiesz, że masz dwie trzecie krysztalowej popielniczki, ale na dół nie możesz w niej zgasić papierosa.

Żeby móc z niej skorzystać, musisz mieć wszystkie trzy kawałki.

Co z tego wynika?

To, że wszystkie dostarczone przez Orłowa informacje stanowią w istocie jeden albo dwa kawałki popielniczki.

Nigdy nie zaoferował Amerykanom wszystkich trzech kawałków. Jakiejś tajemnicy, której Rosjanie rzeczywiście strzegliby jak źrenicy oka i nie chcieli zdradzić nikomu.

Po proś, żeby poddali go testowi prawdy.

Nie przejdzie go.

Ale ja, przycho dząc do was, dostarczę całą popielniczkę.

Wtedy nam uwierzą.

McCready zamyślił się.

Czy Orłów zna nazwisko Piątego?

zapytał w końcu.

Keepsake przez chwilę się zastanawiał.

Prawie na pewno, mimo że ja go nie znam powiedział.

Orłów spędził długie lata w Zarządzie Nielegalnych.

Ja nigdy tam nie pracowałem.

Moje miejsce było zawsze w Dziale "PR"; działałem z tere nu ambasady.

Obaj odwiedziliśmy Izbę Pamięci to wchodzi w skład rutynowego szkolenia.

Ale tylko on mógł oglądać Czarną Księgę.

Tak, on będzie znał nazwisko...

W samym sercu mieszczącej się w Moskwie przy placu Dzierżyńskiego numer dwa siedziby KGB znajduje się Izba Pamięci, stanowiąca w tym pozbawionym Bogam gmachu coś w rodzaju kaplicy, w której czci się wielkich prekursorów organizacji.

Wiszą tam między innymi portrety Arnolda Deutscha, Teodora Małego, Anatolija Górskiego i Jurija Modina, lu dzi, którzy zwerbowali, a następnie poprowadzili najbardziej szkodliwą siatkę, jaką kiedykolwiek zmontowało spośród Brytyjczyków KGB.

Kaptowano przyszłych współpracowników przeważnie spośród młodych studentów Uniwersytetu Cambridge w połowie i pod koniec lat trzydziestych. Wszyscy flirtowali wtedy z komunizmem, w przeciwieństwie jednak do innych pięć osób pozostało mu wiernych do końca życia i służyło Moskwie tak znakomicie, że po dziś dzień określa się ich mianem wspaniałej Piątki albo Pięciu Gwiazd.

Pierwszy był Donald Maclean, który po opuszczeniu Cambridge wstąpił do służby dyplomatycznej.

W końcu lat czterdziestych znalazł się w ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie i to właśnie dzięki niemu do Moskwy

dotarły sekrety na temat nowej bomby atomowej, które Ameryka nie przekazywała Brytyjczykom.

Następny, Guy Burgess, to nałogowy palacz, pijak i rozpasany homo seksualista, któremu długo o wiele za długo udawało się uniknąć wydalenia ze służby.

Spełniał funkcje łącznika pomiędzy Macleanem a jego moskiewskimi mocodawcami. Obaj zostali w końcu "spaleni" w roku 1951, ale zdolali, po ostrzeżeniu, uniknąć aresztowania i zbiec do Moskwy.

Trzeci to Anthony Blunt, również pedał, wspaniały łowca talentów i intelektów, które podsuwał jak na tacy Moskwie.

Dzięki swojej wiedzy w dziedzinie historii sztuki został kustoszem osobistej kolekcji królowej i zyskał tytuł szlachecki.

To on właśnie uprzedził w 1951 Burgessa i Macleana o grożącym im aresztowaniu.

Po całej serii przesłuchań, podczas których bezwstydnie chełpił się swymi sukcesami, ujawniono w końcu jego rolę, pozbawiono tytułu i okryto hańbą ale stało się to dopiero w latach osiemdziesiątych.

Najwięcej sukcesów z nich wszystkich odniósł Kim Philby, funkcjonariusz SIS, który doszedł do stanowiska szefa działu sowieckiego.

Ucieczka Burgessa i Macleana postawiła go w kręgu podejrzanych; podczas przesłuchania nie przyznał się do niczego, zwolniono go jednak ze służby.

W roku 1963 uciekł do Moskwy z Bejrutu.

Portrety wszystkich czterech wiszą w Izbie Pamięci.

Oprócz nich był jeszcze piąty, ale w miejscu, gdzie powinien wisieć jego portret, znajduje się tylko czarny kwadrat.

Prawdziwe nazwisko Piątego można odnaleźć wyłącznie w Czarnej Księdze.

A przyczyna jest prosta.

Wywołanie zamętu i demoralizacja przeciwnika stanowi jeden z głównych celów ukrytej wojny i jeden z powodów, dla których zbyt późno, co prawda powołano prowadzony przez McCreadygo wydział.

Od początku lat pięćdziesiątych Brytyjczycy zdawali sobie sprawę, że w zmontowanej przed laty siatce był jeszcze ktoś piąty, ale nigdy nie udało im się odkryć jego tożsamości.

Wszystko to było na rękę Moskwie.

forsyth Fałszerz.txt

Przez wszystkie te lata a było ich dokładnie licząc trzydzieści pięć zagadka doprowadzała do obłędu brytyjskie tajne służby. Oli wy do ognia dolewały polujące jak zawsze na sensację środki przekazu i kolejne książki.

Rosjanie zacierali ręce z radości.

W kręgu podejrzanych znalazło się ponad tuzin lojalnych, długoletnich pracowników wywiadu; ich kariery legły w gruzach, a życie zamie niło się w koszmar.

Głównym podejrzany był nieżyjący już były dyrektora MI 5, sir Roger Hollis. Szczególnie uwziął się na niego Peter Wright, przerażający człowiek, ogarnięty podobną do Angletona obsesją.

Posta195 .

□

nowił on zbić fortunę pisząc śmiertelnie nudną książkę, w której po raz któryś z rzędu prezentuje swe egocentryczne skargi na zbyt niską emeryturę jej wysokość nie różni się od innych) oraz przeświadczenie, że to Roger Hollis był Piątą Gwiazdą.

Podejrzewano również innych, w ich liczbie dwóch zastępców Hollisa oraz wybitnego patriotę lorda Victora Rothschilda. Wszystko to były za rzuty bez pokrycia, ale tajemnica wciąż domagała się wyjaśnienia.

Czy Piąty wciąż żyje, piastując być może wysokie stanowisko w służbie rządu wej bądź w wywiadzie?

Jeżeli to prawda, konsekwencje byłyby katastrofalne.

Sprawę można było odłożyć na półkę dopiero z chwilą ostatecznego odkrycia tożsamości zwerbowanego przed wielu laty Piątego.

Przez całe trzydzieści pięć lat KGB strzegło oczywiście zazdrośnie swego sekretu.

Poprosz Amerykanów, żeby zapytali Orłowa o jego nazwisko powiedział Keepsake.

Nie zdradzi go.

Ale ja odkryję, kim był Piąty, i powiem wam, kiedy do was przejdę.

Jest jeszcze kwestia czasu orzekł McCready.

Ile to potrwa?

Nie dłużej niż kilka tygodni, a może nawet krócej.

Mogą nie czekać tak długo, jeśli prawidłowo odgadłes reakcję dyrektora.

Czy nie ma innego sposobu, żeby ich powstrzymać?

zapytał Rosjanin.

Jest.

Ale muszę mieć twoją zgodę...

Keepsake słuchał przez kilka minut.

Skinął głową.

Jeżeli ten Roth da słowo.

A ty jesteś przekonany, że go dotrzyma.

Tylko w takim przypadku się zgadzam.

Kiedy następnego ranka, po nocnym locie z Waszyngtonu, Joe Roth wyszedł z budynku lotniska, kręciło mu się lekko w głowie i nie był w naj lepszym nastroju.

Za dużo wypił w samolocie i wcale nie rozśmieszyło go, gdy ktoś zaskrzeczał mu prosto do ucha, parodiując irlandzki akcent:

Dzieńdoberek, panie Casey.

Witamy z powrotem!

Odwrócił się.

Przy jego łokciu stał Sam McCready.

Sukinsyn naj wyraźniej wiedział o jego wystawionym na nazwisko Caseya paszporcie i sprawdził listy pasażerów w waszyngtonie, żeby mieć pewność, że trafi na właściwy samolot.

Wskakuj powiedział McCready, kiedy zbliżyli się do krawężnika.

Podrzucę cię do Mayfair.

Roth wzruszył ramionami.

Czemu nie?

Zastanawiał się, co jeszcze wie McCready albo czego się domyśla.

Brytyjczyk gawędził z nim niezobowiązująco

wiązujące aż do chwili, kiedy znaleźli się na przedmieściach Londynu.

Nagle, bez ostrzeżenia, przeszedł do sedna sprawy.

Jaka była reakcja dyrektora?

zapytał.

Nie wiem, o czym mówisz.

Daj spokój, Joe, Orłów zadenuncjował przecież Calvina Baileya. To bzdura.
Nie bierzecie chyba tego poważnie?
Mówisz od rzeczy, Sam.
Dostaliśmy od was notę w Century House.
Mamy trzymać Baileya z dala od wszelkich zastrzeżonych informacji. Jest więc podejrzany.
Twierdzisz, że to nie dlatego, iż Orłów oskarżył go o szpiegostwo na rzecz Rosjan?
To rutynowe środki bezpieczeństwa, na litość boską.
Doszło do nas, że ma zbyt wiele przyjaciółek.
Niech mnie kule biją odparł McCready.
Dużo można o Calvinie powiedzieć, ale nie to, że jest rozpustnikiem. Spróbuj czegoś innego.
Nie naciskaj mnie.
Sam.
Nie wystawiaj na próbę naszej przyjaźni.
Już ci mówiłem: to jest teraz wyłącznie sprawa Kompanii.
Nie mieszaj się w to.
- Joe, na miłość boską.
To zaszło już za daleko.
Sprawa wymyka wam się z rąk.
Orłów okłamuje was i boję się, że gotowi jesteście zrobić coś strasznego.
Joe Roth stracił nad sobą panowanie.
Zatrzymaj samochód wrzasnął.
Zatrzymaj ten cholerny samochód!
McCready zaparkował jaguara przy krawężniku.
Roth sięgnął do tyłu, odblokował zamek i otworzył drzwi.
McCready złapał go za ramię.
Joe, jutro o wpół do trzeciej.
Muszę ci coś pokazać.
Zabiorę cię spod twojego bloku o wpół do trzeciej.
Puszczaj odparł Amerykanin.
Tylko kilka minut.
Czy proszę o zbyt wiele?
Przystan na to, Joe, w imię starej przyjaźni.
Roth wysiadł z samochodu i ruszył ulicą, rozglądając się za taksówką.
Ale następnego dnia stał o wpół do trzeciej na chodniku przed swoim blokiem.
McCready zaczekał w jaguarze, aż Roth wsiądzie, i nie mógł wiać ani słowa ruszyć z miejsca.
Jego przyjaciel był wciąż rozdrażniony i podejrzliwy.
Nie przejechali nawet pół mili.
Roth pomyślał nawet przez chwilę, że McCready wiezie go do jego własnej ambasady, tak blisko zna leżli się Grosvenor Square.
Jaguar zatrzymał się jednak przy Mount Street, jedną przecnicę bliżej.
197 .

□
W połowie Mount Street mieści się "Scotts" jedna z najlepszych rybnych restauracji w Londynie.
Dokładnie o godzinie trzeciej w jej drzwiach pojawił się elegancki mężczyzna w jasnoszarym garniturze i zatrzymał się przy wejściu.
Prawie natychmiast ruszyła ku niemu stojąca nieopodal, należąca do sowieckiej ambasady limuzyna.
Pytałeś mnie dwukrotnie, czy mamy jakiegoś agenta w KGB w Moskwie powiedział cicho McCready.
A ja dwukrotnie zaprzeczyłem.
W gruncie rzeczy wcale nie kłamałem.
Nie mamy go w Moskwie, mamy go tutaj, w Londynie.
Właśnie na niego patrzysz.
Nie wierzę własnym oczom szepnął Roth.
To Nikołaj Gorodow.
Jest szefem całej pieprzonej rezydentury KGB w Wielkiej Brytanii.
Zgadza się.
I pracuje dla nas, robi to od czterech lat.
Przekazywa liśmy wam wszystkie uzyskane od niego materiały, zacierając źródło, ale nic poza tym.
To on twierdzi, że Orłów kłamie.
Udowodnij to powiedział Roth.

Zawsze powtarzasz, że Orłów powinien przedstawić jakieś dowody.
Teraz tyje przedstaw.

Udo wodnij, że to wasz człowiek.

Jeżeli Gorodow podrapie się prawą ręką w lewe ucho, zanim wsiądzie do samochodu, jest nasz odparł McCready.

Czarna limuzyna stanęła przed wejściem.

Gorodow ani razu nie spoj rzał w stronę jaguara.

Podniósł tylko prawą rękę, pogładził palcami pła tek lewego ucha i wsiadł do należącego do ambasady samochodu, który natychmiast odjechał.

Roth pochylił się do przodu i schował twarz w dłoniach.

Odetchnął kilka razy głęboko, po czym podniósł głowę: Muszę poinformować dyrektora powiedział.

Osobiście.

Muszę lecieć z powrotem.

Nie ma mowy odparł McCready.

Dałem Gorodowowi sło wo, a dziesięć minut temu ty dałeś mi swoje.

Muszę poinformować dyrektora.

W przeciwnym razie kłamka za padła.

Nie mamy teraz odwrotu.

W takim razie graj na zwłokę.

Może uda ci się znaleźć jakiś inny dowód albo przynajmniej przyczynę opóźnienia.
Chcę ci przedstawić teo rię popielniczki...

Powtórzył Rothowi to, co przed dwoma dniami opowiedział mu pod czas rejsu Tamizą Keepsake.

Zapytaj Orłowa o nazwisko Piątego.

Zna je, ale ci nie powie.

Ale Keepsake je zdobędzie i przekaże nam, kiedy do nas przejdzie.

Kiedy to nastąpi?

Już niedługo.

Najwyżej za parę tygodni.

Moskwa nabrała podej rzeń.

Zaciskają wokół niego sieć.

198

Mam tylko tydzień stwierdził Roth.

Za tydzień Bailey wy jeżdża do Salzburga i Wiednia.

Nie może dostać się do Wiednia.

Dyrek tor uważa, że zamierza stamtąd zbiec na Węgry.

Wezwijcie go w pilnej sprawie.

Wezwijcie go do Waszyngtonu.

Je żeli posłucha, spowoduje to dalszą zwłokę.

Jeżeli odmówi, poddamę się.

Roth zastanowił się nad propozycją.

Spróbuję powiedział.

Najpierw pojedę do Alconbury.

Ju tro wrócę tutaj i jeśli Orłów nie wymieni nazwiska Piątego, wyślę tele gram do dyrektora.

Poinformuję go, że Brytyjczycy zaprezentowali nowe dowody świadczące o tym, iż Orłów może kłamać, i poproszę o pilne wezwanie Baileya do Langley.W charakterze testu.

Sądzę, że dyrektor się zgodzi, przynajmniej na to.

Spowoduje to kilkutygodniową zwłokę.

To wystarczy, stary przyjacielu odparł McCready.

To wię cej, niż potrzebujemy.

Do tego czasu Keepsake przejdzie na naszą stronę i będziemy mogli odkryć karty przed dyrektorem.

Zaufaj mi.

Roth zjawił się w Alconbury tuż po zachodzie słońca.

Odnalazł Orłowa w jego pokoju, leżącego na łóżku, pogrążonego w lekturze i słuchają cego muzyki.

Nasycił się już Simonem i Garfunkelem Kroił twierdził, że członkowie ochrony nauczyli się na pamięć wszystkich dwudziestu największych przebojów duetu i przerzucił na The Seekers.

Kiedy do pokoju wszedł Roth, Rosjanin wyłączył Morningtown i usiadł z uśmie chem na łóżku.

Wracamy do Stanów?

zapytał.

Zanudzę się tutaj na śmierć.

Nawet na Ranczu było lepiej, mimo ryzyka.

Przybrał na wadze od ciągłego leżenia; nie było tutaj gdzie pobiegać. Uwaga na temat Rancza była żartem.

Po sfingowanej próbie zamachu Roth przez jakiś czas nie wyprowadzał Orłowa z błędu utrzymując, że akcję przeprowadziło KGB i że Moskwa dowiedziała się o lokalizacji Rancza od Urczenki, którego poddawano tutaj przesłuchaniom, zanim nieopatrnie nie oddał się w ręce KGB.

Potem jednak przyznał, że zamach sfingowała Agencja i że jego celem było sprawdzenie reakcji Orłowa.

Z początku Rosjanin był wściekły.

"Ale z was sukinyńki krzyczałem, że już ze mną koniec!"

"Później jednak żartował sobie z całego incydentu.

Wkrótce odpowiedział Roth.

Wkrótce stąd wyjedziemy.

Tego wieczoru wspominał podczas wspólnej kolacji o Izbie Pamięci w Moskwie.

Orłów kiwnął głową.

Jasne, byłem tam.

Zwiedzają ją wszyscy zaprzysiężeni oficerowie.

Żeby przyjrzeć się bohaterom i podziwiać ich.

Roth tak pokierował rozmową, żeby zagadnąć Rosjanina o portrety Pięciu

Gwiazd.

Orłów przeżuwał akurat kawałek steku.

Potrząsnął głową.

199 .

□

Czterech sprostował.

Są tam tylko cztery portrety.

Burgessa, Philbyego, Macleana i Blunta.

Czterech Gwiazd.

Ale jest tam też i piąta rama, a w niej po prostu czarny kwadrat? drażnył dalej Roth.

Szczyki Orłowa nie poruszały się już tak szybko.

Tak przyznał połykając kęs.

Pusta rama, bez portretu.

A więc istniał także ktoś piąty?

Na to wygląda.

Roth nie zmieniał tonu luźnej pogawędki, obserwując zarazem Orłowa przez zęby widelca.

Ale ty byłeś przecież dyplomowanym majorem w Zarządzie Nielegalnych. Musiałeś widzieć jego nazwisko w Czarnej Księdze.

Coś błysnęło w oczach Orłowa.

Nigdy nie pokazywali mi żadnej Czarnej Księgi odparł spo kojniami.

Peter, kim był Piąty Agent?

Jego nazwisko, proszę.

Nie wiem, przyjacielu.

Przysięgam.

Uśmiechnął się ponownie, szeroko i ujmująco.

Chcesz to sprawdzić za pomocą wykrywaacza kłamstw?

Roth odwzajemnił uśmiech.

O, nie, Peter, pomyślał, obawiam się bo wiem, że kiedy tylko chcesz, potrafisz sobie świetnie poradzić z wykrywaczem.

Postanowił wrócić rano do Londynu i wysłać telegram z prośbą o odroczenie akcji.

Niech wezwą Bailey'a do Waszyngtonu.

To będzie test.

Jeżeli istniała jakakolwiek wątpliwość a mimo niezbitych, zgro madzonych przez Kellogga dowodów właśnie zaczynał ją żywić nie wykona rozkazu.

Nie wykona go, nawet gdyby oznaczało to nieposłuszeństwo wobec dyrektora i kres jego własnej, dobrze zapowiadającej się kariery.

Czasami cena jest po prostu za wysoka.

Następnego ranka w baraku pojawiły się sprzątaczkę.

Były to mieszkanie Huntingdon, te same, które sprzątały pozostałe zabudowania bazy.

Każda została skontrolowana i otrzymała przepustkę uprawniającą do wejścia na otoczony kordonem teren.

Roth jadł śniadanie w stołówce, siedząc naprzeciwko Orłowa i starał się przekrzyknąć hałas pracującej na korytarzu froterki.

Natarczywy jazgot maszyny podnosił się i opadał, w miarę jak obracały się polerujące podłogę szczotki.

Orłów otarł kawę z ust, mruknął, że musi iść do toalety, i wyszedł. W przyszłości Roth nigdy już nie zlekceważy wysyłanego mu przez szósty zmysł sygnału.

Kilka sekund po wyjściu Orłowa ucho Amerykanina wy czuło zmianę tonu w warkocie froterki.

Wyszedł ze stołówki, żeby zoba200

czyć, co się dzieje.

Nie obsługiwana przez nikogo froterka stała pośród korytarza; jej szczotki obracały się w powietrzu, a silnik emitował wysoki, jednostajny ton.

Widział tę sprzątaczkę, kiedy szedł na śniadanie, szczupłą kobietę w kolorowym kombinezonie i osłoniętymi chustką lokówkami na głowie.

Odsunęła się, żeby pozwolić mu przejść, a potem nie podnosząc oczu sprzątała dalej.

Teraz zniknęła.

W końcu korytarza wciąż poruszały się lekko wahadłowe drzwi do męskiej toalety.

Kroił!

wrzasnął Roth, ile miał sił w płucach, i pobiegł koryta rzem.

Kobieta klęczała na środku męskiej toalety, wśród wysypanych z pla stikowego wiadra ścierek i proszków do czyszczenia.

W ręku trzymała przemycony pod ścierkami pistolet sig sauer z tłumikiem.

W przeciwle głym kącie pomieszczenia otworzyły się drzwi do kabiny i wyłonił się zza nich Orłów.

Klęcząca postać podniosła broń.

Roth nie mówił po rosyjsku, ale znał kilka słów w tym języku.

Stój!

wrzasnął tak głośno, jak tylko potrafił.

Kobieta nie wsta jąc z klęczek odwróciła się, Roth padł na podłogę, rozległo się głośne "fut" i poczuł nad głową podmuch powietrza.

Wciąż leżał na kafelkach, kiedy doszedł go z tyłu ogłuszający grzmot i poczuł rozchodzące się wokół kolejne fale powietrza.

Zamknięte toalety nie absorbują dobrze fal ude rzeniowych powstałych przy strzale z magnum kaliber 44.

Za nim stał w progu kroił trzymając w obu dłoniach swojego colta.

Nie trzeba było strzelać ponownie.

Kobieta leżała na plecach; zakwitają ca na jej piersiach czerwona plama konkurowała z różami, w które po małowany był jej kombinezon.

Prawdziwą sprzątaczkę znaleziono potem związaną i zakneblowaną w jej własnym domu w Huntingdon.

Orłów wciąż stał w drzwiach kabiny, z pobladłą jak płótno twarzą.

To wasza kolejna zagrywka!

krzyknął.

Dość już tych waszych numerów!

To nie jest żadna zagrywka odparł mu Roth wstając z po dłogi.

To nie było sfingowane.

To KGB.

Orłów przyjrzał się ponownie rozlewającej się po kaflach, ciemnoczer wonej kałuży.

To nie była sztuczna krew z hollywoodzkiej charakteryzatorni.

Nie tym razem.

Dwie godziny zabrało Rothowi załatwienie samolotu, którym Orłów i reszta ekipy mieli wrócić do Ameryki, oraz przygotowanie ich natych miastowego transportu na Ranczo.

Orłów wyjeżdżał zadowolony, zabie rając ze sobą swoją bezcenną kolekcję ballad.

Kiedy samolot transporto wy MATS wystartował do Stanów, Roth wsiadł do samochodu i ruszył do Londynu.

wypełniała go złość i rozgoryczenie.

201 .

□

Częściowo winił samego siebie.

Powinien wiedzieć, że po wyjściu na jaw zdrady Baileya baza w Alconbury nie może dalej stanowić bezpiecz nego schronienia dla Orłowa.

Ale tak go zaabsorbowała interwencja Bry tyjczyków, że wyleciało mu to po prostu z głowy.

Nikt nie jest nieomylny.

Zastanawiał się, dlaczego Bailey nie skontaktował się z Moskwą wcz e śniej żeby zaaranżować zamach na Orłowa, zanim ten zdąży go wy dać.

Może miał nadzieję, że pułkownik KGB nigdy go nie zadenukuje, że nie dysponuje odpowiednimi informacjami.

Błąd Bailey'a.

Nikt nie jest nieomylny.

Kiedy dojechał do ambasady, wiedział już, co powinien zrobić.

Kolejny krok należał teraz do McCreadyego.

Jeśli dalej upierał się, że Gorodow mówi prawdę, a Orłów jest sowieckim agentem, który z premedytacją wrabia niewinnego Bailey'a, istniał tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

McCready powinien ewakuować Gorodowa natychmiast. Langley będzie wte dy mogło z nim bezpośrednio porozmawiać i ostatecznie rozstrzygnąć zagadkę.

Ruszył do swego pokoju, żeby zadzwonić do Century House, do McCreadyego.

Na korytarzu spotkał szefa placówki.

Dobrze, że cię widzę powiedział Bili Carver.

Właśnie przy szła wiadomość z Century House.

Wygląda na to, że u naszych przyjaciół w Kensington Palace Gardens trwa jakieś większe przemeblowanie.

Ich rezydent, Gorodow, wyleciał dzisiaj rano do Moskwy.

Zostawiłem ci to na biurku.

Roth już nie zadzwonił.

Siadł za biurkiem.

Był oszołomiony.

Okazało się, że rację ma on, jego dyrektor i jego Agencja.

Właściwie w głębi serca trochę mu było nawet żal McCreadyego.

To musiał być dla niego dru zgotący cios kiedy wyszło na jaw, jak bardzo się myli, jak bardzo dawał się wodzić za nos przez te cztery lata.

On sam odczuwał jednak dziwny spokój i odprężenie mimo tego, co musiał teraz zrobić.

Nie miał już nawet cienia wątpliwości.

Usunęły je ostatecznie dwa wydarzenia tego jednego poranka.

Dyrektor Agencji miał rację.

Trzeba zrobić to, co trzeba zrobić.

Wciąż żal mu było McCreadyego.

W Century House musieli mu się teraz nieźle dobierać do skóry.

Roth nie mylił się.

Dokładnie rzecz biorąc do skóry dobierał się Fałszerzowi Timothy Edwards.

Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Sam, ale sprawa wygląda wyjątkowo paskudnie.

Właśnie rozmawiałem z Szefem, który twierdzi, że powinniśmy całkiem serio rozważyć możliwość, iż Keepsake był od samego początku sowiecką wtyczką.

Nie był zaprzeczył stanowczo McCready.

202

To ty tak mówisz, ale to, co się stało, wydaje się wskazywać, że rację mogą mieć nasi amerykańscy kuzyni, a my daliśmy się nabrać.

Wiesz, jakie będą tego konsekwencje?

Domyślam się.

Będziemy musieli na nowo ocenić każdy strzęp informacji, jaki uzyskaliśmy w ciągu tych czterech lat od Keepsakea.

To olbrzymia pra ca.

Co gorsza, przekazywaliśmy wszystko kuzynom, ich więc również musimy poprosić o dokonanie ponownej oceny.

Oszacowanie strat zaj mie nam całe lata.

Poza tym to duża afera.

Szef nie jest zadowolony.

Sam westchnął.

Tak to zawsze bywa.

Kiedy uzyskiwane od Keepsakea materiały były atrakcją sezonu, zasługę przypisywano całej Firmie.

Teraz wszystkiemu winien był Fałszerz.

Czy dał ci w jakikolwiek sposób do zrozumienia, że wybiera się do Moskwy?

Nie.

Kiedy miał się wycofać i przejść do nas?

Za dwa, trzy tygodnie odparł McCready.

Zamierzał zawia domić mnie, kiedy jego sytuacja stanie się beznadziejna, i dopiero wte dy się ewakuować.

Ale nie zrobił tego.

Pojechał do domu.

Najprawdopodobniej do browolnie.

Służba obserwacyjna podaje, że przeszedł przez kontrolę na Heathrow przez nikogo

nie przymuszany.
Musimy teraz zakładać, że to Moskwa jest jego prawdziwym domem.
Na dodatek mamy na głowie tę historię w Alconbury.
Co cię, na litość boską, opętało?
Mówiłeś, że to test.
No i świetnie, Orłów zdał go celująco.
Te sukinsyny próbowały go zabić.
Mieliśmy wyjątkowe szczęście, że nie zginął nikt oprócz samej zabójczyni.
Na ten temat kuzyni nie mogą się dowiedzieć ani słowa.
Ni gdy.
Zatuszuj to.
Nadal nie wierzę, żeby keepsake był "nasłany".
Dlaczego się upierasz?
Przecież wrócił do Moskwy.
Może po to, żeby przywieźć nam ostatnią walizkę dokumentów.
To cholernie niebezpieczne.
Musi być niespełna rozumu.
W jego sytuacji?
To prawda.
Być może popełnił błąd.
Ale on już taki jest.
Dawno temu obiecał, że przy ewakuacji dostarczy nam coś ekstra.
Jestem prze świadczony, że właśnie po to pojechał.
Czy masz jakieś dowody, aby poprzeć to twoje przeświadczenie?
Przecucie.
Przecucie powtórzył z przekazem Edwards.
Do niczego nie dojdziemy, opierając się wyłącznie na przecuciach.
203 .

□
Kolumbowi się udało.
Nie pogniewasz się, jeśli utnę sobie poga wędkę z Szefem?
Chcesz zwrócić się do samego Cezara?
Proszę bardzo.
Nie sądzę, żeby udało ci się coś zmienić.
Ale McCreedyemu się udało.
Sir Christopher uważnie przysłuchiwał się jego propozycji.
A jeśli okaże się, że facet jest jednak lojalny wobec Moskwy?
zapytał w końcu.
Zorientuję się po paru sekundach.
Mogą cię zgarnąć zauważył Szef.
Nie sądzę.
Panu Gorbaczowowi nie zależy w tej chwili na dyplomatycznej wojnie.
Nie będziemy toczyć o ciebie żadnej wojny zapewnił go zde cydowanym tonem Szef.
Jedziesz tam na swoją odpowiedzialność.
McCreedy gotów był jechać i na takich warunkach.
Żywił tylko na dzieję, że nie zna ich pan Gorbaczow.
Przygotowanie całej operacji zaję ło mu trzy dni.
Drugiego z nich Joe Roth zadzwonił do Calvina Baileya.
Cześć, Calvin.
Właśnie wróciłem z Alconbury.
Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.
Jasne, Joe, możesz zaraz wpaść.
Właściwie to nie ma wielkiego pośpiechu.
Co byś powiedział na wspólną kolację jutro wieczorem?
Ja zapraszam.
No cóż, to bardzo miło z twojej strony, Joe.
Ale Gwen i ja mamy dość przeładowany rozkład zajęć.
Dzisiaj na przykład jadłem lunch w Izbie Lordów.
Serio?
Żebyś wiedział.
Z szefem Ministerstwa Obrony.
Roth nie wierzył własnym uszom.
W Langley Bailey był oschły, chłod ny, sceptyczny.
W Londynie zachowywał się jak dziecko wpuszczone do sklepu ze słodyczami.
Nic dziwnego.
Za sześć dni znajdzie się bezpiecz ny w Budapeszcie.
Wiesz co, Calvin, znam taką fantastyczną knajpę nad Tamizą w Eton.

Podają tam frutti di mare, kuchnia jest wspaniała.
Powiadają, że Henryk VIII kazał przywozić tam łodzia na potajemne schadzki Annę Boleyn.

Naprawdę?

Taka stara knajpa?

... Dobrze, Joe, niech pomyślę.

Ju tro wieczorem idziemy do Covent Garden.

Ale czwartek mam wolny.

Dobrze.

W takim razie we czwartek, Calvin.

Załatwione.

Będę na ciebie czekał przed twoim blokiem o ósmej.

We czwartek.

204

Następnego dnia Sam McCready zakończył przygotowania.

Wreszcie miał szansę porządnie się wyspać, chociaż ta noc mogła się okazać jego ostatnią, spędzoną w Londynie.

Rankiem przyleciało do Moskwy różnymi samolotami trzech męż czyzn.

Pierwszym z nich był rabbi Birnbaum.

Przybył z Zurychu na po kładzie Swissairu.

Oficer sprawdzający paszporty na Szeremietiewie, młody człowiek z lodowatymi błękitnymi oczyma i włosami koloru pszenicy, był funkcjonariuszem Departamentu Straży Granicznej KGB.

Długo przyglądał się rabinowi, a potem zainteresował się jego paszportem.

Dokument był amerykański, wystawiony na niejakiego Normana Birnbauma, liczącego sobie 56 wiosen.

Gdyby oficer kontroli paszportowej był starszy, pamiętałby czasy, kiedy Moskwę i całą Rosję zamieszkiwało wielu ortodoksyjnych Żydów, wyglą dających kubek w kubek tak jak rabbi Birnbaum tęgi mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie, z gęstą siwą bro dą i wąsami.

Twarz rabina kryła się pod szerokim rondem czarnego ka pelusza i soczewkami okularów tak grubymi, że łzawiły mu oczy.

Spod kapelusza wystawały po obu stronach twarzy kręcone siwe pejsy.

Twarz na zdjęciu w paszporcie była taka sama, tyle że bez kapelusza.

Wiza też była w porządku, wystawiona przez sowiecki konsul generalny w No wym Jorku.

Oficer ponownie podniósł wzrok.

W jakim celu przyjechał pan do Moskwy?

Żeby odwiedzić syna.

Pracuje tutaj w amerykańskiej ambasadzie.

Chwileczkę powiedział oficer wstając z krzesła.

Przez szklaną szybę widać było, jak konsultuje się ze swym zwierzchnikiem.

Tamten bacznie przyjrzał się paszportowi.

Ortodoksyjni Żydzi nie są częstym wi dkiem w kraju, w którym ostatnią szkołę rabinacką zlikwidowano przed dziesiątkami lat.

Młodszy funkcjonariusz powrócił na swoje miejsce.

Proszę zaczekać powiedział, wskazując następnemu w kolejce, żeby podał swój paszport.

Zadzwoniono do kogo trzeba.

Ktoś w Moskwie skontrolował listę dy płomatów.

Starszy oficer wrócił z paszportem do swego podwładnego i szepnął mu coś do ucha.

Na liście personelu dyplomatycznego rzeczy wiście figurował Roger Birnbaum, pracownik sekcji ekonomicznej amba sady amerykańskiej.

Nie odnotowano tam jednak ani słowem, że jego prawdziwy ojciec przebywa na emeryturze na Florydzie, a synagogę od wiedził po raz ostatni przed dwudziestu laty z okazji bar-micwy swego syna.

Rabina przepuszczono.

205 .

□
Czekała go jeszcze kontrola celna.

W torbie miał normalną ilość ko szul, skarpetek i szortów na zmianę, drugi czarny garnitur, przybory do mycia i Siddur w języku hebrajskim.

Celnik podejrzliwie przerzucił kart ki i pozwolił rabinowi przejść.

Przyciągając przez cały czas zaciekawione lub rozbawione spojrzenia, pan

Birnbaum zajął miejsce w autobusie Aerofłotu jadącym do centrum Moskwy.

Z budynku terminalu udał się na plac Maneżowy do hotelu "Nacjonal", wszedł do męskiej toalety, użył pisuaru dopiero, kiedy wy szli wszyscy pozostali, a

następnie wślizgnął się do kabiny.

Spirytusowy rozpuszczalnik znajdował się we flakonie z wodą kolońską. Kiedy rabin wyszedł na zewnątrz, nadal miał na sobie ciemną marynarkę, ale odwrócone na drugą stronę spodnie były teraz koloru szarego.

Kapelusz spoczywał na dnie torby razem z krzaczastymi brwiami, brodą, wąsami, koszulą i krawatem.

Siwie włosy rabina były teraz kaszta nowate, a tors okrywała kanarkowożółta koszulka polo, którą przemycił pod koszulą.

Nie zauważony przez nikogo opuścił hotel i złapał taksówkę, która zawiozła go tuż pod bramę ambasady brytyjskiej, mieszczącej się przy bulwarze naprzeciwko Kremla.

Przed wejściem, jeszcze na sowieckim terytorium, stało na straży dwóch milicjantów.

Kazali mu się wylegitymować.

Pokazał swój brytyjski paszport młodemu strażnikowi i zaczął się do niego wdzięczyć.

Poirytowany i zakłopotany milicjant szybko oddał dokument i rzucając porozumiewawcze spojrzenie swemu koledze, wskazał angielskiemu pedałowemu bramę, za którą rozciągał się teren jego ambasady.

Po kilku sekundach Anglik zniknął za zamkniętymi drzwiami.

W rzeczywistości rabbi Birnbaum nie był ani rabinem, ani Amerykaninem, ani pedałem.

Jego prawdziwe nazwisko brzmiało David Thornton i był jednym z najlepszych charakteryzatorów w brytyjskim przemyśle filmowym.

Różnica między charakteryzacją teatralną a tą, której wymaga film, polega na tym, że na scenie światła są ostre, ale odległość od publiczności dość znaczna. W filmie oświetlenie jest także intensywne, ale kamera operuje nieraz w dużym zbliżeniu, w odległości kilku cali od twarzy.

Charakteryzacja filmowa musi być w związku z tym bardziej subtelna, bardziej realistyczna.

David Thornton pracował w Pinewood Studios, gdzie od wielu lat istniało niezmiennie wysokie zapotrzebowanie na jego usługi.

Zaliczał się również do owego przedziwnego zespołu ekspertów, do których, kiedy tylko zachodzi taka potrzeba, zawsze mogą się zwrócić z prośbą o pomoc brytyjskie tajne służby.

Drugi mężczyzna przyleciał bezpośrednio z Londynu na pokładzie British Airways.

Był nim Denis Gaunt, który wyglądał dokładnie tak jak

206

Denis Gaunt, jeśli nie brać pod uwagę postarzających go o jakieś piętnaście lat siwych włosów.

Do jego lewego przegubu przypięta była dyskretne łańcuszkiem wąska dyplomatką, a na błękitnym krawacie widniał motyw charta, oznaka przynależności do Służby Kurierskiej Jej Królewskiej Mości.

Wszystkie kraje mają swoich dyplomatycznych kurierów, którzy spędzają życie w podróży wożąc dokumenty z ambasady do ambasady i z powrotem do domu. Na mocy ustaleń Traktatu wiedeńskiego traktowani są jako dyplomaci, a ich bagaż nie podlega kontroli.

Paszport Gaunta wystawiono na inne nazwisko, ale był brytyjski, autentyczny i ważny.

Okazał go i przeszedł na drugą stronę.

Na zewnątrz czekał na niego brytyjski jaguar, który natychmiast zaabrał go do ambasady.

Gaunt pojawił się tam w godzinę po Thorntonie i mógł mu zaraz oddać przywiezione we własnej walizce narzędzia jego pracy.

Trzecim przybyszem był Sam McCready.

Przyleciał z Helsinek na pokładzie Finnair.

On również legitymował się wystawionym na cudze nazwisko, ważnym brytyjskim paszportem i również był zmieniony nie do poznania.

Ale coś złego musiało się stać w nagrzanym wnętrzu samolotu.

Jego ruda peruka przekrzywiła się lekko na bok i wyjrzał spod niej kosmyk ciemniejszych włosów.

Guma arabska, którą przymocowane były rude wąsy, w jednym miejscu najwyraźniej się rozpuściła i od górnej wargi odstawał fragment wąsika.

Oficer kontroli paszportowej wpatrywał się w zdjęcie w paszporcie i oblicze stojącego przed nim cudzoziemca.

Twarze były takie same włosy, wąsy i wszystko.

Noszenie peruki nie jest zabronione, nawet w Rosji;
używa jej wielu łysych mężczyzn.

Ale odlepiające się włosy?

Oficer inny niż ten, który odprawiał rabiego Birnbauma, Szeremietiew jest bowiem dużym lotniskiem także skonsultował się ze swoim zwierzchnikiem, który zerknął na McCreadyego przez jednostronne lustro.

Pstryknęła kilkakrotnie migawka umieszczonego za tym samym lustrem aparatu.

Wydano odpowiednie rozkazy i kilka czekających w pełnym gotowości osób przeszło do pełnego statusu operacyjnego.

Kiedy McCready pojawił się na zewnątrz, czekały tam już dwa moskwiaki na cywilnych znakach.

Również po niego przyjechał samochód z ambasady, ale nie tak dobrej marki jak jaguar.

W drodze do ambasady mu po piętach dwa lotne patrole, których załogi złożyły następnie odpowiedni raport swoim zwierzchnikom w Drugim Departamencie KGB.

Późnym popołudniem fotografie dziwnego przybysza dotarły do wiośni Jazieniewo, gdzie mieści się siedziba zajmującego się wywiadem za207 .

granicznym Pierwszego Departamentu KGB.

Wylądowały w końcu na biurku zastępcy dyrektora, generała Wadima W. Kirpiczenki.

Ten przyrzekał im się uważnie, przeczytał dołączony raport o peruce i odlepiającym się skraju włosach, po czym zabrał zdjęcia na dół, do laboratorium.

Zobaczcie, czy nie uda wam się usunąć peruki i włosów pole cię.

Technicy użyli specjalnego sprayu.

Kiedy zobaczył efekt ich pracy, o mało nie wybuchnął śmiechem.

Niech mnie kule biją mruknął.

To Sam McCready.

Poinformował Departament Drugi, że od tej chwili sprawę przejmują jego ludzie. Wydał odpowiednie rozkazy.

Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Jeżeli z kimś się skontaktuje, zgarnijcie obu.

Zatrzymajcie go także, jeśli odbierze coś ze skrytki albo gdyby się zbliżał do Mauzoleum Lenina.

Odłożył słuchawkę i odczytał ponownie dane spisane z paszportu McCreadyego.

Występował on jako przybysz z Londynu przez Helsinki technik elektronik, który w ramach rutynowej kontroli ma sprawdzić, czy w budynku ambasady nie działają urządzenia podsłuchowe.

Ale jaka jest, u diabła, twoja prawdziwa misja?

Zapytał generała leżącą na biurku fotografię.

W ambasadzie nad rzeką Moskwa McCready, Gaunt i Thornton zje dli tego wieczoru kolację sami.

Wizyta trzech gości nie przypadła szczególnie do gustu ambasadorowi, ale depecha w ich sprawie nadeszła prosto z biura rządu, a poza tym miał nadzieję, że całe zamieszanie nie potrwa dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

Zdaniem Jego Ekscelencji, im szybciej wyniosą się stąd te podejrzane typki, tym lepiej.

Mam nadzieję, że nam się uda oświadczyć przy kawie Gaunt.

Rosjanie są mistrzami w grze w szachy.

To prawda odparł ze spokojem McCready.

Jutro zobaczymy, czy są tak samo dobrzy w grze w trzy karty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Był ciepły lipcowy poranek.

Dokładnie za pięć ósmą z bramy ambasady brytyjskiej w Moskwie wynurzył się nieoznakowany Austin Montego.

Przejechał przez most na rzece Moskwa i ruszył w stronę centrum miasta.

Według późniejszego raportu KGB za kierownicą siedział Sam McCready;

oprócz niego w samochodzie nie było nikogo.

Jego ruda peruka i włosy były tym razem idealnie przymocowane; siedzący w kilku samochodach

dach obserwatorzy widzieli je wyraźnie przez przednie szyby swoich pojazdów.

Wycelowali teleobiektywy i wykonali kilka zdjęć; później, w ciągu dnia zrobiono dalsze.

Brytyjski agent przejechał ostrożnie przez centrum Moskwy, po czym skierował się w stronę położonej na północy wystawy Osiągnięć Gospodarczych

ZSRS.

Po drodze wykonał kilka manewrów mających na celu pozbycie się ewentualnego "ogona".

Bezskutecznie.

Nie zorientował się również, że jest śledzony.

KGB dysponowało sześcioma pojazdami; za den z nich nie trzymał się za austinem dłużej niż przez kilkaset jardów.

Agent SIS zostawił swój samochód na skraju rozległych terenów wystawowych i wybrał się na spacer.

Dwa należące do KGB pojazdy pozostawały na posterunku przy zaparkowanym austinie. Ludzie z czterech pozostałych wysiedli i rozproszyli się między różnymi eksponatami, otaczając Anglika ze wszystkich stron niewidoczną zasłoną.

On tymczasem kupił sobie lodówkę i większą część poranka przesiedział na ławce udając, że czyta gazetę, i często spoglądając na zegarek, tak jakby na kogoś czekał.

Nikt się jednak nie pojawił oprócz pewnej starszej pani, która zapytała go o godzinę.

Nie mówiąc ani słowa, pokazał jej tarczę zegarka; przyjrzała się jej, podziękowała i odeszła.

Zabrano ją zaraz na posterunek, zrewidowano i przesłuchano.

Po dwudziestu czterech godzinach oficerowie KGB zmuszeni byli uznać, że zatrzymana jest po prostu starszą panią, która chciała się dowiedzieć, jaki jest dokładny czas.

Zatrzymano również sprzedawcę lodów.

Krótko po dwunastej agent z Londynu wyjął z kieszeni owinięte w papier drugie śniadanie i nie spiesząc się zjadł przyniesione kanapki.

Na stopniach wstał, wrzucił papier do kosza na śmieci, kupił sobie następnego lodówkę i z powrotem usiadł na ławce.

Wzięto pod obserwację kosz na śmieci, ale nikt nie usiłował z niego nic wyjąć aż do chwili, kiedy przybyła ze swym wózkiem ekipa śmieciarzy.

Zanim zdążyli opróżnić kosz, opakowanie zostało zarekwirowane przez agentów KGB i przesłane do drobiazgowej analizy.

Szukano śladów sympatycznego atramentu, mikropunktów oraz ukrytych między dwoma warstwami papieru mikrofilmów.

Niczego takiego nie stwierdzono.

Znaleziono natomiast ślady chleba, masła, ogórka i jajka.

Na długo przed tym odkryciem, bo już kilka minut po godzinie pierwszej, agent z Londynu wstał, wrócił do samochodu i opuścił teren wystawy.

Jego pierwsze rendez-vous najwyraźniej nie doszło do skutku.

Wszystko wskazywało, że drugie albo awaryjne spotkanie wyznaczone zostało w walutowym sklepie "Bieriozka", do którego udał się po opuszczeniu terenów wystawowych.

Dwaj agenci KGB weszli za nim do sklepu i kręcili

209 .

□

się między półkami, wypatrując, czy Anglik nie kładzie przypadkiem ja kiejs paczuski między oferowanymi w tym miejscu luksusowymi towarami albo czy niczego nie zabiera.

Gdyby dokonał jakiegokolwiek zakupu, zostałby zgodnie z otrzymanymi rozkazami aresztowany; zarzucano by mu, że nabyty przez niego towar kryje w sobie

prawdopodobnie materiały szpiegowskie; a cały sklep służy jako skrzynka kontaktowa.

Anglik nie kupił jednak niczego i samotnie opuścił sklep, po czym wsiadł do samochodu i wrócił do ambasady brytyjskiej.

Dziesięć minut później wyjechał z niej ponownie.

Siedział teraz na tylnym siedzeniu jaguara prowadzonego przez szofera ambasady. Kiedy jaguar wyjechał z miasta i znalazł się niedaleko lotniska, szef ekipy obserwatorów połączył się bezpośrednio z generałem Kirpiczenko.

Obserwowany zbliża się do portu lotniczego, towarzyszu generale.

Czy nawiązał z kimś jakiś kontakt?

Jakikolwiek kontakt?

Nie, towarzyszu generale.

Oprócz starszej kobiety i sprzedawcy lodów, którzy zostali zatrzymani, nie rozmawiał z nikim; nikt również nie powiedział do niego ani słowa.

W naszym posiadaniu jest wyrzucona przez niego gazeta i papier, w który miał opakowane kanapki.

Poza tym nicze go nie dotykał.

Misja spaliła na panewce, pomyślał Kirpiczenko.

Ale McCready jesz cze tu wróci.

A my będziemy na niego czekali.

Wiedział, że udający technika z Foreign Office brytyjski agent legitymuje się dyplomatycznym paszportem.

Nie zatrzymujcie go powiedział.

Uważajcie na sztuczny tłok w hali dworcowej.

Jeżeli nie dojdzie do żadnego przelotnego kontaktu, śledźcie go aż do chwili, kiedy wejdzie do samolotu.

Później generał zbada uważnie dostarczone mu przez jego ekipę, zro bione przez teleobiektyw zdjęcia, każe sobie przynieść duży mikroskop, spojrzy ponownie i wyprostuje się, czerwony ze złości.

Wy głupie dupki wrzaśnie.

To nie jest McCready!

Dziesięć po ósmej tego samego ranka z bramy ambasady wyjechał jaguar, za którego kierownicą siedział szef moskiewskiej placówki SIS, Barry Martins.

Auto potoczyło się dostojnie w stronę starego Arbatu, wzdłuż którego wąskich uliczek stoją eleganckie domy dawno już nieżyjących zamożnych kupców.

Ruszył za nim, w ramach rutynowej akcji, pojedynczy moskwicz.

"Jedenasty garnitur" tak określali Brytyjczycy agentów KGB, którzy uganiali się za nimi po całej Moskwie wypełniając najbardziej żmudną, jaką można sobie wyobrazić, czarną robotę.

Jaguar kręcił się bez celu po Arbacie; kierowca co jakiś czas zatrzymywał się przy krawężniku i spoglądał na plan miasta.

210

Dwadzieścia po ósmej z ambasady wyjechał mercedes.

Prowadził go ubrany w niebieską kurtkę i czapkę z daszkiem szofer.

Nikt nie przyjrzał się dokładnie tylnemu siedzeniu i nie zauważył skulonej i przykrytej kocem postaci, która leżała na podłodze.

W ślad za mercedesem ruszył kolejny moskwicz.

Mercedes wjechał na Arbat i minął zaparkowanego jaguara.

W tej samej chwili Martins, który wciąż biedził się nad planem miasta, zdecydował się wreszcie, gdzie chce jechać, odbił od krawężnika i zajął miejsce pomiędzy mercedesem i śledzącym go moskwiczem.

Konwój składał się teraz z mercedesa, jaguara i dwóch podążających za nimi moskwiczów.

Jaguar wjechał w ślad za mercedesem w wąską jednokierunkową uliczkę i nagle coś złego stało się z jego silnikiem.

Zakaszłał, strzelił i zgasł.

Dwa moskwicze zatrzymały się z tyłu; ze środka wysypali się agenci KGB.

Martins pociągnął za dźwignię, wysiadł i otworzył maskę.

Natychmiast otoczyła go sfera rozjuszonych mężczyzn w skórzanych marynarkach.

Mercedes oddalał się szybko i za chwilę zniknął za rogiem.

Na wąskich chodnikach przysłuchiwali się awanturze rozbawieni moskwianie.

Słuchaj no, mój dobry człowieku oświadczył dowódcy ekipy kierowca jaguara jeśli taki z ciebie chojrak, to zasuwasz na piechotę.

Nic nie cieszy moskwian bardziej niż widok czekistów, którym coś poszło nie po myśli.

Jeden z funkcjonariuszy wrócił do samochodu i połączył się przez radio ze swoimi zwierzchnikami.

Opuściwszy Arbat, siedzący za kierownicą mercedesa David Thornton odwrócił się do tyłu, żeby dowiedzieć się, jak ma dalej jechać.

Wskaźnik udzielił mu Sam McCready, który wynurzył się spod koca, za niego nie przebrany i wyglądający dokładnie tak, jak Sam McCready.

Po dwudziestu minutach mercedes zatrzymał się na opustoszałej, wysadzonej drzewami alei w środku parku Gorkiego.

McCready oderwał umocowaną z tyłu na specjalnych zatrzaskach tabliczkę ze znaczkiem CD, a na miejsce brytyjskich znaków rejestracyjnych umieścił nowe, opatrzone od wewnętrznej strony silną warstwą samoprzylepną.

Thornton zrobił to samo z przodu.

McCready wyjął z bagażnika pudełko z przybora mi do charakteryzacji i usiadł z powrotem na tylnym siedzeniu.

Thornton zamienił swoje błękitne nakrycie głowy na bardziej typową w Rosji skórzaną czarną czapkę i zajął miejsce za kierownicą.

Osiemnaście minut po godzinie dziewiątej pułkownik Nikołaj Gorodow wyszedł ze swego mieszkania przy ulicy Szabołowskiej i ruszył pieszo w stronę placu Dzierżyńskiego i mieszczącej się tam siedziby KGB.

Był błady i wymizerowany; rychło ujawniła się tego przyczyna.

Z klatki

schodowej wynurzyli się dwaj mężczyźni i ruszyli w ślad za nim, nie kryjąc bynajmniej, że go śledzą.

Pułkownik przeszedł już około dwustu jardów, kiedy do krawężnika podjechał i zwolnił dotrzymując mu kroku czarny mercedes. Usłyszał szelest otwieranej elektrycznie szyby.

Dzień dobry, pułkowniku powiedział do niego ktoś po angielsku. Nie idzie pan przypadkiem w moją stronę?

Gorodow przystanął i wytrzeszczył oczy. Osłonięty tylnymi zasłonami od dwóch funkcjonariuszy KGB patrzył na niego z okna samochodu Sam McCready.

Gorodow był zdumiony, ale w jego oczach nie było ani śladu triumfu. Taki wyraz twarzy, pomyślał McCready, spodziewałem się zobaczyć. Gorodow doszedł do siebie.

Dziękuję, towarzyszu, bardzo to miło z waszej strony powie działał wystarczająco głośno, żeby usłyszeli go dwaj szpicle.

Wsiadł do samochodu, który natychmiast odjechał. Dwaj funkcjonariusze KGB stali bez ruchu przez trzy sekundy... i zbaranieli.

Przyczyna była prosta: na tablicach rejestracyjnych mercedesa widniały literki MOC i dwie cyfry.

Ekskluzywne, opatrzone literami MOC tablice należą wyłącznie do członków Komitetu Centralnego; nie każdy szeregowy pracownik KGB ośmielił się zadzierać z taką grubą rybą.

Dwaj szpicle zapisali niemniej numery i używając swoich podręcznych krótkofalówek czym prędzej połączyli się z centralą.

Martins dobrze wybrał.

Te konkretne numery należały do zastępcy członka Biura Politycznego, który przebywał akurat na Dalekim wscho dzie, gdzieś koło Chabarowska. Minęły cztery godziny, zanim go odnaleziono i ustalono, że posiadanym przez niego samochodem jest czajka, a nie mercedes, i że bezpiecznie garażuje ona w Moskwie.

Wtedy było już za późno; mercedes stał z powrotem na parkingu ambasady, z bez trosko powiewającym na drążku Union Jackiem.

Gorodow oparł się o tylne siedzenie. Spalił teraz za sobą wszystkie mosty.

Jeżeli pracujesz dla Rosjan stwierdził McCready zapłacę za to gardłem. Gorodow przemyślał to sobie: A jeżeli ty pracujesz dla Rosjan odparł ja jestem już martwy.

Dlaczego wróciłeś?

zapytał McCready.

Popęłniłem, jak się okazało, błąd oświadczył Gorodow. Obiecałem ci coś kiedyś.

Okazało się, że nie mogę tego odkryć w Londy212 nie, a ja lubię dotrzymywać słowa.

Rosjanie wezwali mnie na pilne konsultacje. Nieposłuszeństwo oznaczałoby konieczność natychmiastowego przejścia na Zachód. W żaden sposób nie mógłbym usprawiedliwić swego dalszego pozostawiania w ambasadzie.

Doszedłem do wniosku, że mogę przyjechać na tydzień do Moskwy. Odszukam, myślałem, to, czego potrzebuję, a potem pozwolą mi wrócić do Londynu. Że jest już za późno, zo rientowałem się dopiero po przyjeździe. Podejrzewają mnie.

W moim mieszkaniu i gabinecie założony jest podsłuch; nie pozwolono mi wyjechać do Jazieniewa, skazany jestem na bezsensowne przekładanie papierów w mo skiewskiej centrali.

A propos, tak się składa, że coś dla ciebie mam.

Otworzył dyplomatkę i podał McCreadyemu cienką tekturową teczkę. W środku było pięć kartek, każda opatrzona zdjęciem i nazwiskiem. Pod pierwszą fotografią widniało nazwisko Donalda Macleana, pod drugą Guya Burgessa.

W tym czasie obaj już nie żyli, pochowani w stolicy swej przybranej ojczyzny. Na trzecim arkuszu widniała znajoma twarz i nazwisko Kima Philbygo, dożywającego wówczas swoich dni w Moskwie.

Czwarte zdjęcie przedstawiało wąskie, ascetyczne rysy Anthonyego Blunta, żyjącego wtedy w niełaskie w Anglii.

McCready odwrócił kolejną kartkę.

Piąta fotografia była bardzo stara.

Widniała na niej twarz szczupłego młodego mężczyzny ze zmierzwioną falującą czupryną, w dużych, sowych okularach na nosie.

Pod zdjęciem można było przeczytać dwa słowa: John Cairncross.

McCready odchylił się do tyłu i westchnął.

Niech to diabli.

To był cały czas on.

Znał to nazwisko.

W czasie wojny i zaraz po niej Cairncross pełnił mimo młodego wieku wysokie funkcje państwowe.

Zajmował wiele różnych stanowisk pracował jako prywatny sekretarz ministra lorda Hankeya; potem w wywiadzie łączności w Bletchly Park, a następnie w Ministerstwie Skarbu i Wojny.

W późnych latach czterdziestych miał dostęp do tajemnic broni atomowej.

Na początku pięćdziesiątych nabrano wobec niego podejrzeń.

Do niczego się nie przyznał i został zwolniony.

Nie sposób było mu nic udowodnić, pozwolono mu zatem na przeprowadzkę do Rzymu, gdzie podjął pracę w Organizacji Wyżywienia i Rolnictwa (FAO).

W roku 1986 przebywał na emeryturze we Francji.

Zakończyło się trwające trzydzieści pięć lat polowanie.

Nikommu nie groziły już niesłuszne oskarżenia.

Powiedz mi, Sam zapytał nieśmiało Gorodow dokąd do kładnie jedziemy?

Mój horoskop odparł McCready mówi mi, że dzisiaj wy jeżdżam na Zachód.

Twój twierdzi to samo.

213 .

□

Thornton ponownie zatrzymał samochód między drzewami Parku Gorkiego, zamienił się miejscami z jednym ze swoich pasażerów i zabrał do pracy.

Siedzący z przodu udawał szofera.

Nikt nie powinien się inte resować limuzyną członka Komitetu Centralnego, nawet gdyby ją przy padkiem tutaj zobaczył.

Wyżsi działacze partyjni zawsze kryją się w swoich samochodach za wewnętrznymi zasłonami; te w mercedesie również zostały zasunięte.

Thornton pracował nad swoim klientem tych, który rym robił make-up, zawsze określał jako klientów przy przyćmionym, prześwitującym przez zasłony światła dnia.

Kamizelka ratunkowa dodała szczupłemu mężczyźnie tuszy upodab niając go do korpulentnego rabiego Birnbauma.

Potem doszła biała koszula, czarne spodnie, krawat i marynarka.

Thornton przykleił klientowi gęstą siwą brodę i wąsy, ufarbował mu na ten sam kolor czuprynę i przymocował do skroni kręcone siwe pejsy ortodoksyjnego rabina.

Gdyby dodać czarny kapelusz i neseser, stworzony przez Thorntona rabin niczym nie różniłby się od tego, który wylądował poprzedniego dnia w Moskwie.

Tyle tylko, że był nim zupełnie ktoś inny.

Na koniec zajęto się samochodem przywracając mu wygląd pojazdu ambasady brytyjskiej.

Rabiego podwieziono pod hotel "Nacjonal", gdzie spożył suty posiłek, płacąc zań amerykańskimi dolarami.

Po lunchu pojechał taksówką na lotnisko.

Po południu miał zarezerwowany lot do Londynu.

Na bilecie zaznaczono, że przesiada się tam na samolot do Nowego Jorku.

Thornton wrócił mercedesem na teren ambasady brytyjskiej i natychmiast zabrał się do pracy przy drugim kliencie, którego przemycił skur czonego pod kocem za przednim siedzeniem.

Do dyspozycji miał rude wąsy i perukę, kremy podkładowe, koloranty, barwione szkła kontakto we i farbę do zębów.

W tym czasie dotarł do ambasady swoim austinem montego Denis Gaunt cały spocony i ze swędzącą skórą pod iden tycznymi rudymi wąsami i peruką, które nosił przez cały boży dzień spe cjalnie po to, żeby zrobić przyjemność KGB.

Dziesięć minut po jego przyjeździe autentyczny szofer odwiózł drugiego mężczyznę na lotnisko, tym razem jaguarem.

Po godzinie Barry Martins zawiózł na Szeremietiewo Thorntona przeobrażonego dla odmiany w Kuriera Jej Królew skiej Mości.

Postać rabina przyciągała jak zwykle zaciekawione spojrzenia, ale jego papiery były w porządku i po trwających piętnaście minut formalnościach przepuszczono go do hali odlotów.

Usiadł i zaczął czytać Siddur, mru cząc co jakiś czas niezrozumiałe modlitwy.

Wąsaty rudzielec został odprowadzony prawie do samych drzwi hali odlotów

tak liczna była ekipa funkcjonariuszy KGB, którzy starali się

214

upewnić, że nikomu nie przekazał ani od nikogo nie otrzymał żadnej paczki ani wiadomości.

Ostatni przybył Kurier Jej Królewskiej Mości, z dyplomatką przymocowaną łańcuszkiem do przegubu ręki.

Tym razem bezcenny warsztat pracy Thorntona znajdował się we własnej walizce; nikt nie musiał go za niego nosić, ponieważ jego bagaż nie podlegał kontroli.

Denis Gaunt pozostał w ambasadzie.

Odzyska zdolność ruchów do piero po trzech dniach, kiedy do Moskwy zawita kolejny udający kuriera pracownik SIS, niejaki Mason, i wręczy mu paszport wystawiony na to samo nazwisko.

Dokładnie w tym samym momencie dwóch różnych Masonów przejdzie przez dwa różne punkty kontroli paszportowej na lotnisku Szeremietiewo, a British Airways przewiezie ich obu za cenę jednego biletu.

Tego popołudnia samolot brytyjski wystartował zgodnie z rozkładem i opuścił sowiecką przestrzeń powietrzną dokładnie o 17.15.

Krótko po tem rabin podniósł się ociężale z fotela, przeszedł do kabiny dla pałacych i pochylił się nad mężczyzną z rudymi włosami.

Nikołaj, mój przyjacielu, jesteś już na Zachodzie powiedział, po czym kupił szampana, którego wypili wspólnie z kurierem Jej Królewskiej Mości. Cała sztuczka udała się, ponieważ McCready uprzytomnił sobie, że wszyscy on sam, Gaunt i Gorodow są tego samego wzrostu i budowy ciała.

Zyskując na czasie lecieli bowiem na zachód wylądowali na Heathrow kilka minut po siódmej.

Czekała już tam na nich specjalna ekipa z Century House, zaalarmowana przez Martinsa z Moskwy.

Zaraz po wyjściu z samolotu zostali odtransportowani w bezpieczne miejsce.

Tego wieczoru Timothy Edwards w drodze specjalnego wyjątku po zwolnił McCreadyemu zabrać Nikołaja Gorodowa do prywatnego mieszkania Sama w Abingdon Villas.

Obawiam się, pułkowniku, że jutro rano będzie się musiało zacząć prawdziwe przesłuchanie.

Przygotowano w tym celu bardzo przyjemny domek na wsi.

Nie będzie ci tam niczego brakowało, zapewniam cię.

Dziękuję.

Rozumiem odparł Gorodow.

Kilka minut po dziesiątej zjawił się wezwany telefonicznie przez McCreadyego Joe Roth.

W hallu ujrzał dwóch osiłeków z SIS; dwóch kolejnych okupowało korytarz przed drzwiami prowadzącymi do skromnego mieszkania McCreadyego.

Trochę go to zdziwiło.

McCready otworzył drzwi, ubrany w spodnie i sweter, ze szklaneczką whisky w dłoni.

Dziękuję, że przyszedłeś, Joe.

Wchodź.

Jest u mnie ktoś, kogo chciałem ci od dawna przedstawić.

Nie wyobrażasz sobie jak bardzo.

215 .

□

Zaprowadził go do salonu.

Stojący tam przy oknie mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął.

Dobry wieczór, panie Roth powiedział Gorodow.

Dobrze, że się w końcu spotykamy.

Roth stanął w miejscu jak sparaliżowany.

Potem opadł ciężko na krzesło i przyjął oferowaną mu przez McCreadyego whisky.

Gorodow usiadł naprzeciwko niego.

Lepiej ty mu wszystko opowiedz zwrócił się McCready do Rosjanina.

Znasz sprawę lepiej ode mnie.

Gorodow upił trochę swojego drinka, zastanawiając się, od czego zacząć.

Opracowywanie Operacji Potiomkin rozpoczęło się osiem lat temu oświadczył.

Na jej pomysł wpadł pewien młodszy oficer, ale potem zajął się tym osobiście generał Drozdów.

Operacja stała się jego, jak wy to mówicie, oczkiem w głowie.

Jej celem było zadenuncjowanie jakiegoś wyższego oficera CIA jako sowieckiej wtyczki w sposób tak przekonujący i za pomocą tak wielu pierwszych rzut oka niezbitych dowodów, że nikt rozsądnie myślący nie mógłby ich odrzucić.

forsyth Fałszerz.txt

Celem długoterminowym było sprowokowanie trwającego lata mor derczego sporu wewnątrz Agencji, a co za tym idzie podkopanie na całą dekadę morale jej pracowników i popsucie stosunków, jakie łączy ją z SIS w Wielkiej Brytanii. Z początku nie mieliśmy na uwadze żadnego konkretnego oficera, ale po rozważeniu kilku kandydatur wybór padł na Calvina Baileya.

Przyczyny były dwie.

Po pierwsze wiedzieliśmy, że nie jest specjalnie lubiany w Agencji z powodu swojego oschłego sposobu bycia.

Po drugie służył w Wietnamie, a tam łatwo go było zwerbować.

Calvin Bailey został rozpoznany jako agent CIA w Wietnamie w wyniku czystej rutyny.

Jak wiecie, wszyscy staramy się zidentyfikować funkcjonariuszy przeciwnika, a kiedy już nam to się uda, bacznie obserwujemy, w jaki sposób przebiega ich kariera.

Czasami brak awansów powoduje rozgoryczenie, a to może wykorzystać sprytny werbownik.

Wszyscy to robimy, wiecie o tym.

Podobnie jak CIA, KGB nigdy niczego nie wyrzuca.

Zatrzymujemy i archiwizujemy każdy najmniejszy skrawek informacji, każdy mikroskoptyczny fragment.

Przełom w sprawie nastąpił, kiedy Drozdów przejrzał ponownie materiał, który otrzymaliśmy od Wietnamczyków po ostatecznym upadku Sajgonu w roku 1975.

Większość waszych papierów została spalona, ale niektóre ocalały w panującym wtedy chaosie.

W jednym z nich była mowa o jakimś Nguyen Van Trocu, który pracował dla Amerykanów.

216

Ten dokument stanowił wyrok na Van Troca.

On i jego kuzyn zostali zatrzymani; nie udało im się uciec.

Kuzyna rozstrzelano, ale Van Troc, choć brutalnie przesłuchiwany, przeżył i wysłany został po kilku miesiącach do położonego w północnym Wietnamie obozu pracy niewolniczej.

Tam właśnie, wciąż żywego, odnalazł go w roku 1980 Drozdów.

Poddany torturom Troc przyznał, że pracował dla Calvina Baileya jako jego wtyczka w Vietcongu.

Rząd w Hanoi zgodził się na współpracę i zaaranżowana została sekcja fotograficzna.

Van Troca zabrano z obozu, porządnie odkarmiono i ubrano w mundur pułkownika wietnamskiego wywiadu.

Zaraz po przyjeździe na Kambodżę zrobiono mu szereg zdjęć, na których razem z innymi oficerami beztrząsco popija herbatę.

Posłużono się trzema różnymi kelnerami wszyscy byli agentami Hanoi a potem wysłano ich razem z fotografiami na Zachód.

Kiedy wszystko było gotowe, Van Troc został zlikwidowany.

Jeden z kelnerów udawał uciekiniera, który przedostał się do Hongkongu.

Tak długo pokazywał z dumą swoją fotografię każdemu brytyjskiemu oficerowi, który miał ochotę na nią spojrzeć, aż w końcu została skonfiskowana i wysłana do Londynu tak jak zaplanowano.

Przesłaliśmy kopię do Langley stwierdził McCready w ramach zwykłej uprzejmości.

Rzecz wydawała nam się pozbawiona większej wartości.

Drozdów wiedział już wtedy, że Bailey uczestniczył w Programie Phoenix ciągnął swoją opowieść Gorodow.

Został rozpoznany przez naszego rezydenta w Sajgonie, którym był rzekomy Szwed zaopatrzonej tutaj cudzoziemską kolonię w napoje wysokowe.

O fakcie zaś, że Bailey był w My Lai, Drozdów dowiedział się z zeznań, które składał podczas procesu tego młodego oficera.

Publiczne archiwa są w Ameryce otwarte prawie dla każdego.

KGB stale w nich myszkuje.

Tak czy owak, wyglądało na to, że znaleźliśmy odpowiedni motyw zdrady Baileya.

Wiedzieliśmy także o jego wyjeździe do Tokio w roku 1970 odnotowano to w ramach czystej rutyny.

Drozdów musiał tylko poinstruować Orłowa, że sam zjawił się określonego dnia w Tokio, żeby osobiście przejąć prowadzenie amerykańskiego renegeata z CIA.

Kiedy to błyskawicznie sprawdziliście, okazało się, że daty się zgadzają.

Oczywiście Drozdowa w ogóle tam nie było w roku 1970.

Ten element dodano później.

Od tej chwili klocek po klocek budowano sprawę przeciwko Baileyowi. Piotr Orłów został wyznaczony do całej operacji około roku 1981; od tego czasu szkolono go i przeprowadzano ciągłe próby symulacyjne. 217 .

□
Urczenko, który tak głupio do nas wrócił, dostarczył przed swoją śmiercią wartościowych informacji na temat tego, w jaki sposób wy, Amerykanie, traktujecie uciekinierów.

Orłów mógł się dokładnie przygotować; wiedział, jak unikać pułapek i jak dawać sobie radę z wykrywaczem kłamstw.

A przede wszystkim że zawsze powinien mówić wam to, co chcecie słyszeć. Nie za wiele, ale wystarczająco dużo, żebyście to sprawdzili i żeby pasowało.

Kiedy Drozdów wybrał już swoją ofiarę, Bailey poddany został intensywnej obserwacji.

Odnutowywano każdą podróż, w którą się udawał.

Kiedy awansował i zaczął odbywać inspekcje w Europie i gdzie indziej, zaczęły się rachunki w bankach.

Kiedy tylko Bailey pojawiał się w jakimś europejskim mieście, natychmiast zakładano tam rachunek w banku, zawsze na nazwisko, które mógłby wybrać, na przykład jego zamężnej szwagierki albo babki od strony matki.

Drozdów przygotował aktora, do złudzenia przypominającego Bailey'a, który na każde wezwanie leciał zakładać te rachunki, tak żeby potem kasjer mógł rozpoznać Bailey'a jako swego klienta.

Później wpłacane były na te konta duże sumy pieniędzy zawsze gotówką i przez człowieka z silnym środkowoeuropejskim akcentem.

Informacje pochodziły z najróżniejszych źródeł: luźnej rozmowy, na słuchów radiowych, podsłuchu telefonicznego, publikacji technicznych (nie do wiary, ile można się dowiedzieć z niektórych waszych amerykańskich publikacji technicznych).

Wszystkie przypisano Baileyowi.

Podstę chujemy nawet rozmowy w waszej własnej ambasadzie w Moskwie wie dzieliście o tym?

Nie?

Dobrze, o tym później.

Drozdów zmienił tylko daty.

Fragmety materiałów wywiadowczych, które dotarły do nas we wczesnych latach osiemdziesiątych, zostały, we dług Orłowa, uzyskane w połowie lat siedemdziesiątych od Calvina Bailey'a.

Wszystko to było kłamstwem, ale bardzo sprytnym.

I wszystkiego nauczył się na pamięć Orłów.

Przypisano Baileyowi triumfy, jakie udało się odnieść KGB w walce z CIA.

A także te przeprowadzone przez CIA operacje, które zakończyły się fiaskiem.

I zawsze zmieniano daty, tak żeby wywołać wrażenie, że wiedzieliśmy o czymś wcześniej niż w rzeczywistości co było oczywiście niemożliwe bez sowieckiej, ulokowanej w CIA wtyczki.

Jednak jeszcze dwa lata temu Drozdów nie dysponował pełnym materiałem.

Brakowało mu wewnętrznych plotek, pseudonimów znanych tylko wewnątrz organizacji, takich chociażby jak pańskie operacyjne na zwisko Hayes, panie Roth.

Wtedy właśnie przeszedł do Rosji Edward Howard i Drozdów miał nareszcie wszystko, czego potrzebował.

Dowie

218

dział się o nie znanych do tej pory prawdziwych sukcesach odniesionych przez Bailey'a i mógł poinstruować Orłowa, żeby przedstawił je jako ustępstwa ze strony Moskwy poczynione specjalnie dla zapewnienia awansu jej agentowi Sparrowhawkowi.

Oczywiście te sukcesy nie były żadnym ustępstwem Bailey zapracował na nie w pocie czoła.

Na koniec pozwolono przejść na Zachód Orłowowi i to specjalnie w tak nietypowy sposób, żeby mógł później twierdzić, iż obawiał się, że jeżeli rozegra to inaczej, Sparrowhawkowi uda się go zatrzymać i zdradzić.

Z tego samego powodu zwrócił się do Amerykanów, a nie do Brytyjczyków.

Ci ostatni pytaliby go o inne sprawy, i

Pojawił się więc i zadencjonował dwóch agentów KGB na chwilę przed tem, nim zostali zlikwidowani.

Wszystko zostało naturalnie wcześniej zaaranżowane.
Ale można było odnieść wrażenie, że ktoś w Waszyngto nie przekazuje do Moskwy szczegóły jego przesłuchań.

Dopiero kiedy jego słuchacze byli gotowi połknąć przynętę, zaserwował im wiadomość o uło kowanej wysoko w CIA sowieckiej wtyczce.
Czy nie tak?

Roth kiwnął głową.

wyglądał na załamane.

A próba zamachu w Alconbury?

zapytał.

Dlaczego do niej doszło?

Dodatkowa asekuracja Drozdowa.

Nie wiedział oczywiście o mnie.

Chciał po prostu dostarczyć wam kolejnego dowodu.

Zabójczyni była jed ną z jego najlepszych agentek, bardzo niebezpieczna profesjonalistka.

Kazano jej ranić, nie zabić; a potem uciec.

W pokoju zapadła cisza.

Joe Roth utkwiał wzrok w swojej whisky.

Po jakimś czasie wstał.

Muszę iść powiedział krótko.

McCready odprowadził go po schodach.

W hallu poklepał Ameryka nina po plecach.

Rozchmurz się, Joe.

Do diabła, każdy czasem popełnia błąd w tej grze.

Moja Firma dała niejedną płamę w przeszłości.

Spójrz na to od jaśniejszej strony.

Możesz wrócić do ambasady i wysłać telegram do dy rektora, że wszystko się wyjaśniło.

Bailey jest niewinny.

Chyba polecę tam sam i powiem mu to osobiście mruknął Roth i ruszył do wyjścia.

McCready eskortował go aż na ulicę, ale Roth nie wykrztusił już z siebie ani słowa.

Dwaj członkowie obstawy rozstąpili się przed wracającym do swego

mieszkania Samem, przepuścili go, po czym zamknęli drzwi od zewnątrz.

W salonie siedział Gorodow wpatrując się w rozpostarty na stole "Eve Standard", do którego lektury zabrał się czekając na McCreadyego.

nim

219 .

□

Bez słowa posunął gazetę w stronę Brytyjczyka i wskazał na notatkę na stronie piątej.

Policjny nurkowie wydobyli dzisiaj z Tamizy przy śluzie Teddington ciało amerykańskiego turysty.

Według informacji uzyskanych od rzecznika policji, tu rysta ów zatonął wczoraj wieczorem w okolicy Eton.

Zmarłego zidentyfikowano jako Calvina Baileya, amerykańskiego urzędnika, przebywającego na waka cjach w Londynie.

Według informacji uzyskanych w ambasadzie Stanów Zjednoczonych, pan Bailey był w Eton na kolacji razem ze swoim przyjacielem, drugim sekretarzem ambasady.

Po obiedzie panu Baileyowi zrobiło się słabo i wyszedł, żeby zaczerp nąć świeżego powietrza.

Jego przyjaciel został trochę dłużej, żeby zapłacić ra chunek.

Kiedy wyszedł, nie mógł nigdzie odnaleźć pana Baileya.

Po godzinie doszedł do wniosku, że pan Bailey postanowił samotnie wracać do Londynu.

Kiedy po odbyciu rozmowy telefonicznej okazało się, że tak nie jest, przyjaciel zawiadomił policję w Eton.

W mieście zarządzono nocne poszukiwania, ale nie dały one żadnego rezultatu.

Dzisiaj rano rzecznik policji w Eton oświadczył, iż pan Bailey wybrał się prawdopodobnie po ciemku na przechadzkę ścieżką flisacką, pośliznął się i wpadł do wody.

Pan Bailey nie umiał pływać.

Nie udało nam się skontaktować z panią Gwen Bailey.

Po zażyciu środków uspo kajających przebywa ona w wynajętym przez państwa Bailey w Londynie apar tamencie.

McCready odłożył gazetę i spojrzął w stronę drzwi.

Ty sukinsynie szepnął.

Ty cholerny, nieszczęsny sukinsynie.

Joe Roth udał się pierwszym porannym samolotem do Waszyngtonu, a stamtąd prosto do Willi w Georgetown.

Wręczył tam swoją rezygnację, która weszła w życie dwadzieścia cztery godziny później.

Pozostawił dyrektora człowiekiem mądrzejszym o kolejne bolesne doświadczenie.

Przed wyjściem Roth miał do niego tylko jedną prośbę.

Dyrektor wyraził zgodę.

Roth dotarł na Ranczo bardzo późno tej samej nocy.

Pułkownik Orłów jeszcze nie spał.

Siedział samotnie w swoim pokoju grając w szachy z komputerem.

Był całkiem niezłym szachistą, ale komputer okazał się lepszy.

Komputer grał białymi; figury Orłowa nie były czarne, lecz ciemnoczerwone.

Z magnetofonu sączyła się muzyka Seekersów z roku 1965.

Kroił wszedł pierwszy, odsunął się na bok i zajął pozycję przy ścianie.

W ślad za nim wkroczył Roth i zamknął za sobą drzwi.

Zaskoczony Orłów podniósł na nich wzrok.

220

Kroił wpatrywał się w niego pozbawionymi wyrazu oczyma; niczego nie można było wyczytać z jego twarzy.

Pod lewą pachą kurtki widniało charakterystyczne wybrzuszenie.

Orłów zauważył je i spojrzął na Rotha;

Ten patrzył na niego lodowatym wzrokiem.

W miejsce zdumienia na twarzy Orłowa pojawiło się zrozumienie i rezygnacja.

Nikt nie wymówił ani słowa.

Pokój wypełnił czysty, dźwięczny głos Judith Durham:

Zegnam cię, mój jedyny prawdziwy kochanku,

Po raz ostatni mówimy sobie do widzenia...

Dłoń Kroiła powędrowała w kierunku magnetofonu.

Skończył się czas karnawału...

Palec Kroiła nacisnął przycisk "stop" i z powrotem zapadła cisza.

Orłów powiedział tylko jedno słowo, drugie słowo w języku rosyjskim, jakie wymówił od czasu przyjazdu do Ameryki.

Kto?

zapytał.

Gorodow odpowiedział Roth.

Było to niczym uderzenie w splot słoneczny.

Orłów przymknął oczy i potrząsnął głową, jakby nie chciał w to uwierzyć.

Spojrzał na leżącą przed nim klawiaturę i dotknął czubkiem wskaźującego palca korony swojego króla.

Nacisnął i zwolnił klawisz.

Czerwonemu królowi przechylił się i upadł; w ten sposób gracz przyznaje się do porażki.

Wesela nie będzie mimo że wiano panny młodej zostało wręczone i przyjęte.

Czerwony król obrócił się raz wokół swojej osi i legł nieruchomo.

A pułkownik Piotr Aleksandrowicz Orłów, bardzo dzielny człowiek i patriota, wstał i dał krok w ciemność na spotkanie potężnego Boga, który go stworzył.

221 .

□

INTERLUDIUM

Wszystko to bardzo piękne, Denis powiedział Timothy Edwards, kiedy zarząd zebrał się ponownie we środę rano.

Musimy jednak zadać sobie pytanie: czy te wybitne talenty będą kiedyś w przyszłości pożyteczne?

Niezupełnie cię rozumiem, Timothy przyznał Denis Gaunt.

Sam McCready usadowił się wygodnie, na ile mu pozwalało proste oparcie krzesła, i pozwolił im szemrać dalej.

Rozmawiali o nim, jakby był meblem, czymś minionym, tematem do pogawędki w klubie przy

winie.

Wyjrzał na jaskrawy błękit lipcowego nieba za oknami.

Był tam cały świat, inny świat, w który miał już wkrótce wejść torując sobie drogę bez udziału małej grupki równych sobie pracowników wywiadu, wśród których spędził większą część swego dorosłego życia.

Pomyślał o żonie; gdyby jeszcze żyła, chciałby wraz z nią przejść na

emeryturę i osiąść w jakimś małym domku nad morzem w Devon lub w Kornwalii. Czasem marzył o własnej łódce rybackiej: kołysałaby się na wodzie w przystani o kamiennych ścianach, bezpieczna od zimowych wichrów i gotowa do letnich rejsów, z których wracałby na kolację z dor szem, płastugą albo gładką, błyszczącą makrełą.

W swoich marzeniach występował jako pan McCready z tego domu nad przystanią albo po prostu Sam, który siadywał przy piwie w zaciszu miejscowej gospody z rybakami i poławiaczami krabów z miasteczka. Ale były to oczywiście tylko marzenia, które go nachodziły czasami w ciemnych, zasnutych deszczem zaułkach Czechosłowacji lub Polski, gdy czekał na "kontakt" lub gdy obserwował skrzynkę kontaktową, by sprawdzić, czy nie została namierzona, zanim sięgnął po wiadomość.

222

Leć May odeszła, a on został sam na świecie, zdany jedynie na braterstwo najmniejszego z małych świątków, tych innych ludzi, którzy zdecydowali się służyć swoim krajom żyjąc w miejscach mrocznych, gdzie śmierć przychodzi nie w blasku chwały, lecz w błysku latarki w twarz i łó mocie żołnierskich butów na bruku.

Przeżył to wszystko, lecz wiedział, że mandarynów nie przeżyje.

Poza tym tam, na południowym zachodzie, będzie samotny z dala od innych weteranów wojny, którzy popijają swój dzin w klubie służb specjalnych na końcu Herbert Crescent.

Jak większość ludzi, którzy spędzili życie w cieniu, w duchu był samotnikiem, z trudem zawierał nowe przyjaźnie, jak stary lis przedkładający znajome kryjówki nad otwarte przestrzenie.

Mam po prostu na myśli mówił Timothy Edwards że czas, gdy trzeba było wślizgiwać się do Niemiec wschodnich i z powrotem to już przeszłość.

W październiku Niemcy wschodnie przestaną istnieć, a już dzisiaj istnieją właściwie tylko z nazwy.

Stosunki z ZSRS zmieniły się w sposób zasadniczy; nie będzie już uciekinierów, tylko honorowi goście.

O Boże, pomyślał McCready, musiał się ucześcić akurat tego.

A co się stanie, mój drogi Timothy, gdy w Moskwie zapanuje głód i beton przycisnie osaczonego Michaiła Gorbaczowa?

Mniejsza z tym, zobaczysz...

Przestał uważać i pomyślał o swoim synu.

Udany, fajny chłopak, właśnie skończył szkołę i chciał zostać architektem.

No i dobrze.

Miał śliczną blondynkę, z którą żył oni chyba teraz wszyscy tak robią...

Śliczne dziewczyny nie potrzebują sprawdzania resortu.

A dań przyjeżdżać go od czasu do czasu odwiedzać.

To było miłe.

Ale chłopiec miał własne życie, przyszłość, ku której zmierzał, przyjaźnie, które miał zawrzeć, i różne miejsca, które go czekały, piękniejsze i bezpieczniejsze, jak się spodziewał, niż te, w których sam bywał.

Żałował, że nie poświęcał chłopcu więcej czasu, że nie baraszkował z nim po dywanie w living-roomie i nie czytał mu bajek na dobranoc.

Zbyt często pozostawiał to May, bo był akurat gdzieś daleko na jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi granicy, wpatrzony w drut kolczasty, cze kając, aż przeczołga się przezeń jego agent lub nasłuchując klaksonów, które znaczyły, że już go więcej nie zobaczy.

Tyle było rzeczy, które zrobił i widział, i miejsc, w których był, a o których istotnie nie mógł rozmawiać z tym młodym człowiekiem, ciągle jeszcze nazywającym go tatą.

Timothy, jestem ci bardzo wdzięczny za tę sugestię, która w pewnym sensie wyprzedziła moją.

223 .

□

Denis Gaunt dokazywał cudów skłaniając sukinsynów do słuchania i miarę jak mówił, nabierał pewności siebie.

Był dobry; prawdziwy facet z centrali, ale dobry.

Ponieważ ciągnął Gaunt Sam zdaje sobie sprawę równie dobrze jak każdy z nas, że nie możemy tkwić ciągle w przeszłości, przeżuając w kółko zimną wojnę. Chodzi o to, że są inne niebezpieczeństwa, które zagrażają naszemu krajowi i które stale narastają.

Jak na przykład rozprzeźwienie nowoczesnej broni wśród bardzo niestabilnych tyrańców Trzeciego Świata.

Doskonale wiemy, co Francja sprzedała Irakowi...

No i jest oczywiście kwestia terroryzmu.

W związku z tym wziął burą teczkę od pracownika kancelarii i otworzył chciałbym przypomnieć wam o aferze, która zaczęła się w kwietniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku i skończyła, jeśli w ogóle można mówić o jakimkolwiek zakończeniu w odniesieniu do problemu irlandzkiego, późną wiosną osiemdziesiątego siódmego.

Takie afery prawdopodobnie będą się dalej zdarzały, a zadaniem Firmy będzie je dalej likwidować.

Pozbyć się Sama McCreadyego?

Byłoby to, szczerze mówiąc, bardzo głupie, proszę panów.

Inspektorzy Półkuli Zachodniej i Operacji Krajowych skinęli, gdy Edwards łypnął w ich stronę.

Ten rodzaj potwierdzenia nie był mu nawet potrzebny.

Gaunt jednak uprzejmie czytał o wypadkach z kwietnia 1986 roku, jakie zapoczątkowały sprawę, która ciągnęła się przez większą część wiosny 1987.

Szesnastego kwietnia osiemdziesiątego szóstego roku samoloty myśliwskie startujące z lotniskowców amerykańskich w zatoce Syrta i myśliwce bombardujące operujące z baz brytyjskich zniszczyły prywatną rezydencję pułkownika Kadafiego pod Trypolisem.

Sypialnie Kochanego pułkownika zostały trafione przez myśliwiec startujący z okręgu Stanów Zjednoczonych Exeter, znak wywoławczy Łodziarz Cztery.

Kadafi ocalał, ale doznał załamania nerwowego.

Kiedy przyszedł do siebie, zaprzysiął zemstę zarówno Stanom, jak i wielkiej Brytanii, a to dlatego, że zezwoлилиśmy bombowcom F-111 startować z naszych baz w Upper Heyford i Lakenheath.

Wczesną wiosną osiemdziesiątego siódmego roku dowie dzieliśmy się, w jaki sposób Kadafi zamierzał wyrzucić tę zemstę na Anglii, i sprawa została powierzona Samowi McCreadyemu...

224

OFIARA WOJNY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ojciec Dermot OBrien otrzymał wiadomość z Libii normalną dla takiego pierwszego kontaktu drogą pocztą.

Był to najzwyczajniejszy list i gdyby go ktoś otworzył czego nikt nie zrobił, ponieważ w Republice Irlandii nie przechwytyje się poczty nie znalazłby w nim nic ciekawego.

Stempel pocztowy wskazywał, że przyszedł z Genewy, co było prawdą, a znaki graficzne obok znaczka informowały, że nadawca pracuje w Światowej Radzie Kościołów, co prawdą nie było.

Ojciec OBrien znalazł list w swojej skrytce w głównej sieni obok re

fektarza pewnego ranka wczesną wiosną 1987, kiedy wstał od śniadania.

Przejrzał pozostałe cztery listy, które do niego przyszły, lecz wzrok jego wrócił do tego z Genewy.

Delikatny znaczek zrobiony ołówkiem na odwrocie koperty powiedział mu, że nie powinien otwierać listu publicznie ani zostawiać go na wierzchu.

Kapłan życzliwie skinął głową dwóm kolegom, którzy właśnie mieli wejść do refektarza, i wrócił do swojej sypialni na pierwszym piętrze.

List został napisany na zwykłym bibułkowym papierze lotniczym.

Treść była ciepła i przyjazna i zaczynała się od słów: "Mój drogi Dermocie..." w tonie, w jakim zwracają się do siebie starzy przyjaciele zaangażowani w pracę duszpasterską.

Chociaż Światowa Rada Kościołów jest organizacją protestancką, przypadkowy obserwator nie dopatrzyłby się niczego dziwnego w tym, że luterański duchowny pisze do przyjaciela, który jest akurat kapłanem katolickim.

Były to dni ostrożnego ekumenizmu, szczerze mówiąc w stosunkach międzynarodowych.

Przyjaciel w Genewie życzył Dermotowi dobrze, wierzył, że zdrowie mu dopisuje, i plotkował o pracy ŚRK w Trzecim Świecie.

Rodzynek był

225 .

□
w trzecim ustępie maszynopisu.

Autor listu informował, że jego biskup mile wspominał poprzednią rozmowę z ojcem OBrienem i wyrażał chęć ponownego spotkania.

Podpis brzmiał po prostu "Twój serdeczny przyjaciel Harry".

Ojciec OBrien odłożył list w zamyśleniu i spojrzął przez okno po nad zielonymi polami hrabstwa Wicklow w kierunku Bray i dalej na szare fale Morza Irlandzkiego.

Wody były przesłonięte przez fałdy wzgórz, a nawet spiczaste dachy Bray wydawały

się zamglone i dalekie od starego dworu w Sandymount, w którym mieściła się główna siedziba zakonu.

Lecz słońce świeciło jasno na zielone łąki, które ojciec O'Brien ukończył tak bardzo, jak bardzo nienawidził wielkiego wroga za morzem.

List zaintrygował zakonnika.

Było to dawno, prawie dwa lata temu, kiedy przyjechał do Trypolisu na prywatną audiencję do pułkownika Muammara Kadhafiego, wielkiego wodza Libijskiej Dżamahirij, strażnika słowa Allaha, człowieka, którego w liście nazywano "biskupem".

Był to rzadki przywilej, lecz mimo kwiecistego języka, modulowane go głosu i przesadnych obietnic ostatecznie nic z tego nie wynikło.

Ani pieniędzy, ani broni dla Irlandii.

Spotkanie zakończyło się rozczarowaniem, a człowiek, który je zorganizował, Hakim al-Mansur, szef Zagranicznego Wydziału Libijskiej Tajnej Policji, Muchabratu, który podpisał się "Harry", musiał przeproszać.

A teraz znów wezwanie, no bo do tego się list sprowadzał.

I mimo że nie podano żadnego terminu spotkania z biskupem, ojciec O'Brien wiedział, że nie ma takiej potrzeby.

Harry miał na myśli "bezzwłocznie".

I chociaż Arabowie potrafią zwlekać latami, kiedy jest im to na rękę, to przecież na takie wezwanie Kadhafiego po prostu się szło, zwłaszcza gdy się potrzebowało jego hojności.

A ojciec O'Brien wiedział, że jego zaufani przyjaciele w sprawie na prawdę tej hojności potrzebowali.

Fundusze z Ameryki kończyły się, a ciągnęły apele rządu w Dublinie ludzi, których ojciec O'Brien uważał za zdrajców, żeby nie przysyłać do Irlandii broni ani pieniędzy, odnosiłby skutek.

Byłoby rzeczą niemądrą zignorować wezwanie z Trypolisu.

Sęk w tym, aby znaleźć dobre usprawiedliwienie dla ponownej podróży.

W normalnych warunkach ojciec O'Brienowi przydałby się parotygodniowy urlop.

Zaledwie trzy dni temu wrócił z Amsterdamu, oficjalnie z seminarium poświęconego wojnie z Niedostatkiem.

Podczas pobytu w Europie zdołał się wymknąć z Amsterdamu i użyć wajęc funduszu, który wcześniej przytąił w Utrechcie, podpisał dwie długoterminowe umowy najmu na fałszywe nazwiska, jedną na mieszkanie w Roermond w Holandii, drugą w Münstereifel w Niemczech Zachodnich.

226

Te mieszkania miały się stać w przyszłości miejscami azylu dla młodych bohaterów, którzy poniosą wojnę tam, gdzie wróg się tego najmniej spodziewał.

Podróże były częścią życia Dermota O'Briena.

Jego zakon prowadził prace misyjne i ekumeniczne, on zaś pełnił funkcję Sekretarza do Spraw Międzynarodowych.

Był to doskonały kamuflaż dla wojny; nie dla wojny z Niedostatkiem, lecz wojny przeciw Anglikom, która stała się jego powołaniem i treścią życia od chwili, gdy przed laty w Derry trzymał w rękach głowę umierającego młodego człowieka z pękniętą czaszką i widział brytyjskich spadochroniarzy biegnących ulicą, a następnie udzielił konającego ostatniego namaszczenia i złożył inne, własne ślubowanie, o którym jego zakon i jego biskup nic nie wiedzieli.

Odtąd żywił i pielęgnował swoją żywiołową nienawiść do ludzi z za morza i oddał swe usługi sprawie.

Zostały one chętnie przyjęte i przez dziesięć lat ojciec O'Brien był głównym międzynarodowym "ochroniarzem" Tymczasowej IRA.

Zbierał fundusze, przynosił pieniądze z jednego do głęboko zakonspirowanego konta bankowego na drugie, załatwiał fałszywe paszporty, organizował bezpieczny transport i magazynowanie semtekstu i detonatorów.

Za jego sprawą bomby w Regents Parku i Hyde Parku rozerwały młodych członków orkiestry wojskowej i ich konie; za jego sprawą ostre bolce autokaru na ulicy przed Harrodsem wybebeszały ludzi ucinając im ręce i nogi.

Żałował, że było to konieczne, lecz nie wątpił, że sprawiedliwe.

Czytał potem reportaże w gazetach i oglądał telewizję z przerażonymi konfratrami; poproszony przez któregoś z braci o pomoc w pracy duszpasterskiej, poszedł i z czystym sumieniem odprawił mszę świętą.

Owego wiosennego poranka jego problem został przypadkowo rozwiązany przez mały anons w "Dublin Press", której egzemplarz leżał jeszcze na łóżku Dermota, gdzie czytał gazetę pijąc poranną herbatę.

Pokój ojca O'Briena był zarazem jego biurem, z własnym telefonem.

Zadzwoił w dwa miejsca i w drugim usłyszał ciepłe zaproszenie do wzięcia

udziału w zbliżającej się pielgrzymce, anonsowanej w gazecie. Następnie poszedł do swego superiora.

Jest mi to potrzebne, Frank powiedział.

Kiedy siedzę w biurze, telefon się urywa.

Muszę mieć trochę spokoju i czasu na modlitwę.

Jeśli się bez mnie obejdiesz, to chciałbym jechać.

Superior spojrzął na plan pielgrzymki i skinął głową.

Błogosławię ci na drogę, Dermot.

Pomódł się za nas wszystkich, jak tam będziesz.

227 .

□

Do pielgrzymki był jeszcze tydzień.

Ojciec O'Brien wiedział, że nie musi porozumiewać się z Radą Armii w sprawie zezwolenia na wyjazd.

Jak po powrocie będzie miał jakąś wiadomość, to tym lepiej.

Jeśli nie po co Radzie zawracać głowę?

Wysłał list do Londynu z dodatkową opłatą zapewniającą dostarczenie w ciągu dwudziestu czterech godzin, wie dząc, że dojdzie do Libijskiego Biura Ludowego (ambasada) w ciągu trzech dni.

To da czas ludziom w Trypolisie na przygotowania.

Pielgrzymka rozpoczęła się mszą i modłami w irlandzkiej świątyni w Knock, a stamtąd przeszła na lotnisko w Shannon do czarterowego odrzutowca lecącego do Lourdes u stóp francuskich Pirenejów.

Tutaj ojciec O'Brien wymknął się z tłumu pielgrzymów, świeckich, zakonnic i księży i wsiadł do zczarterowanego małego samolotu, który czekał na niego na lotnisku w Lourdes.

W ciągu czterech godzin samolot dostarczył go do Valletty na Malcie, gdzie przejęli go Libijczycy.

Ich nieoznaczony odrzutowiec rządowy wylądował w małej bazie wojskowej pod Syrtą w dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy irlandzki ksiądz opuścił Shannon.

Czekał tam na niego układny i greczny jak zwykle Hakim al-Mansur.

Z powodu pilności powrotu do Lourdes i dołączenia do pielgrzymów, nie było spotkania z pułkownikiem Kadafim.

W gruncie rzeczy nie stało ono zapowiedziane.

Była to operacja powierzona al-Mansurowi do załatwienia we własnym zakresie.

Mężczyźni rozmawiali w bazie, w pokoju dla nich wydzielonym i oto czynom osobistą ochroną al-Mansura.

Gdy skończyli, Irlandczyk uciął sobie parogodzinną drzemkę i wyjechał z powrotem na Maltę i do Lourdes.

Był podniecony.

Gdyby zaowocowało to, czego się dowiedział, stałoby to olbrzymim przełomem dla sprawy.

Hakim al-Mansur załatwił sobie osobiste widzenie z wielkim wodzem w trzy dni później.

Został wezwany jak zawsze do natychmiastowego stawienia się w miejscu, w którym Kadafi akurat tego dnia przebywał.

Od czasu ubiegłorocznego bombardowania przywódca libijski skrupulatniej niż poprzednio przenosił się z miejsca na miejsce, spędzając coraz więcej czasu na pustyni, o godzinę jazdy od Trypolisu.

Był tego dnia w nastroju, jak to al-Mansur po cichu nazywał, "beduińskim".

Spoczywał wygodnie na stercie poduszek w wielkim ozdobnym namiocie w swym pustynnym obozie, ubrany tylko w biały kaftan.

Robił wrażenie ospałego jak zwykle, gdy słuchał sprawozdań dwóch zdenerwowanych ministrów, którzy siedzieli przed nim po turecku.

Ministrowie, urodzone mieszczyki, woleliby oczywiście siedzieć za swoimi biurkami.

Lecz jeżeli taki był kaprys wielkiego wodza, siedzieli na poduszkach.

228

Kadafi gestem dłoni przyjął do wiadomości pojawienie się al-Mansura i wskazał mu miejsce z boku, by tam poczekał na swoją kolej.

Po odprawieniu ministrów wypił łyk wody i spytał o sprawozdanie z postępów.

Młodszy oficer przekazał sprawozdanie bez zbędnych ozdób i bez przesady.

Jak wszyscy w otoczeniu przywódcy, bał się Muammara Kadafiego.

Ten człowiek był zagadką, a ludzie zawsze boją się zagadek, szczególnie zaś takich, które jednym skinieniem ręki mogą nakazać na tychmiastową egzekucję.

Al-Mansur wiedział, że wielu cudzoziemców, zwłaszcza wśród Amerykanów wysokiego szczebla, uważało Kadafiego za szaleńca.

On sam nie wątpił, że w Muammarze Kadafim nic z szaleńca nie było. Gdyby był pomyłony, nie przeżyłby osiemnastu lat sprawując najwyższą i niekwestionowaną władzę nad swoim niesfornym, podzielonym i gwałtownym narodem.

W gruncie rzeczy był subtelny i wykształconym politykiem.

Owszem, popełniał błędy i żywił iluzje, szczególnie dotyczące świata poza jego własnym krajem i swojej pozycji w tym świecie.

Autentycznie wierzył, że jest samotną gwiazdą pierwszej wielkości w centralnym punkcie sceny politycznej.

Rzeczywiście wierzył, że jego długie nie trzymające się kupy przemówienia przyjmowane są z czcią przez milionowe "masy" poza granicami jego kraju, które zachęcał do obalenia ich przywódców i oddania się pod jego niekwestionowane przywództwo w sprawie oczyszczenia islamu zgodnie z jego osobistym pośłannictwem.

Nikt z najbliższego otoczenia Kadafiego nie ośmielił się temu sprzeciwić.

Jednak na terenie Libii nie miał konkurencji i jego pozycja była praktycznie nie zagrożona.

Polegał na radach małego grona zaufanych.

Mi nistrowie zmieniali się, lecz jego osobiste grono najbliższych, o ile nie podejrzewał któregoś z nich o zdradę, cieszyło się zaufaniem wodza i praktycznie sprawowało władzę.

Niewielu z nich wiedziało o tym dziwnym miejscu "za granicą".

W tej sprawie wychowany w angielskiej szkole Hakim al-Mansur był specjalistą.

Al-Mansur wiedział, że Kadafi ma do niego słabość.

Było to uzasadnione; jako szef służby zagranicznej Muchabaratu w dawnych czasach dowiódł swej lojalności osobiście dokonując egzekucji na trzech przeciwnikach politycznych Kadafiego w ich europejskich kryjówkach.

Mimo to beduiński dyktator wymagał delikatnego obchodzenia się z nim.

Niektórzy załatwiali to kwiecistymi pochlebstwami.

Al-Mansur po dejrzał, że Kadafi traktował je z odrobiną sceptycyzmu.

Sam zachowywał się z szacunkiem, ale nie upiększał prawdy.

Formułował ją starannie i na pewno nie podawał w całości byłoby to samobójcze sądził

229 .

□ jednak, że pod pozorami sennego uśmiechu i niemal zniewieściałych gestów rąk Muammara Kadafiego kryje się pragnienie prawdy.

Tego dnia, w kwietniu 1987, Hakim al-Mansur powiedział swemu przywódcy o wizycie irlandzkiego księdza i ich rozmowach.

Kiedy mój wił, jeden z osobistego zespołu lekarzy Kadafiego ten, który przy stole w rogu mieszał jakieś lekarstwo zbliżył się i podał wodzowi małą filiżankę.

Kadafi przełknął napój i gestem oddał lekarza, który spakował swoje medykamenty i po chwili opuścił namiot.

Chociaż od czasu, kiedy bombowce amerykańskie zniszczyły jego prywatną rezydencję, minął już rok, Muammar Kadafi nie całkiem przy szedł do siebie.

Ciągle jeszcze trapiły go zmyślenia nocne i skutki nadmiernej napięcia.

Doktor podał mu łagodny środek uspokajający.

Podział materiału pół na pół.

Akceptują?

spytał.

Książdz przedstawi im ten warunek powiedział al-Mansur.

Jestem pewien, że Rada Armii wyrazi zgodę.

A sprawa ambasadora amerykańskiego?

To też.

Kadafi westchnął jak ktoś, na czyich barkach spoczywa zbyt wielki ciężar.

Mało rzucił sennie.

Musi być więcej.

Na kontynencie amerykańskim.

Prowadzimy poszukiwania.

Ekscelencjo.

Problem pozostaje ciągle ten sam.

W Wielkiej Brytanii istnieje Tymczasowa IRA, która wyrze za pana sprawiedliwą zemstę.

Niewierni zniszczą niewiernych z pana roz kazu.

To był wspaniały pomysł...

Pomysł użycia Tymczasowej IRA jako narzędzia zemsty Kadafiego na wielkiej

Brytanii zrodził się właściwie w głowie al-Mansura, lecz Kadafi wierzył teraz, że była to jego idea powstała z inspiracji Allacha.

Al-Mansur mówił dalej: W Ameryce nie ma, niestety, miejscowej sieci partyzanckiej, którą można by się posłużyć w ten sam sposób.

Ale poszukiwania trwają.

I narzędzia pańskiej zemsty zostaną znalezione.

Kadafi kilkakrotnie skinął głową, po czym gestem ręki dał znać, że to koniec rozmowy.

Dopilnuj tego mruknął cicho.

Zbieranie informacji wywiadowczych jest dziwnym zajęciem.

Rzadko kiedy za jednym zamachem da się uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania, nie mówiąc już o rozwiązaniu wszystkich problemów.

Szukanie jakiegos jednego cudownego rozwiązania jest cechą specyficzną Amerykanów.

Najczęściej obraz wyłania się jak w starannie układanej łamigłówce

230

obrazkowej po kawałku.

Zazwyczaj ostatni tuzin elementów nie pojawia się nigdy; dobry analityk poradzi sobie na podstawie dostępnych mu fragmentów.

Czasami kawałki nie należą do tej szczególnej łamigłówki, tylko do innej.

Czasem są po prostu sfałszowane.

I nie pasują tak dobrze jak prawdziwe, o dokładnie powycinanych brzegach.

W Century House, siedzibie brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej, są wysokiej klasy specjaliści od takich łamigłówek.

Rzadko odchodzą od swoich biur; to zbieracze, agenci terenowi dostarczają im elementów.

Analitycy próbują je złożyć w całość.

Przed końcem kwietnia do Century House przybyły dwa kawałki nowej łamigłówki.

Jeden nadszedł od libijskiego lekarza, który był w namiocie, kiedy

Kadafi zażywał lekarstwo.

Facet miał kiedyś syna, którego bardzo kochał.

Chłopak studiował w Anglii i miał zostać inżynierem, gdy pewnego dnia zgłosił się do niego Muchabarat sugerując, żeby jeśli kocha swego ojca wykonał dla Wielkiego Wodza pewne zadanie.

Bomba, którą mu dali do podłożenia, wybuchła przedwcześnie.

Ojciec ukrył swój smutek głęboko, lecz jego serce wypełniła nienawiść i zaczął przekazywać Brytyjczykom wszelkie możliwe informacje, jakie zawdzięczał swojej pozycji na dworze Muammara Kadafiego.

Jego sprawozdania z części rozmowy usłyszanej w namiocie, zanim został odprawiony, nie przesłano przez ambasadę brytyjską w Trypolisie, bo była ona dzień i noc pod nadzorem.

Przekazano je do Kairu, dokąd doszło w tydzień później.

Z Kairu poleciało do Londynu, gdzie uznano je za dostatecznie ważne, by je natychmiast przesłać prosto na samą górę.

I co on zamierza?

zastanawiał się Szef, po otrzymaniu raportu.

wygląda na to, że prezent w postaci materiałów wybuchowych i broni dla

IRA powieźdzał Timothy Edwards, który w tym miesiącu został awansowany z asystenta szefa na zastępcę szefa.

A w każdym razie to chyba jedyne wytłumaczenie podsłuchanej rozmowy.

Jak ta propozycja została przekazana?

Najwyraźniej przez irlandzkiego księdza, który poleciał do Libii.

Czy wiemy, który to był?

Nie, sir.

wcale nie musiał być prawdziwym księdzem.

Mógł to być przebrany facet z Rady Armii.

Ale wszystko wskazuje na to, że propozycja wyszła od Kadafiego.

Aha.

Musimy ustalić, kim jest ten tajemniczy duchowny.

Zwrócę się do Boksu i zobaczę, czy coś mają.

Jeśli jest na Północy, należy do nich.

Jeśli jest na Południu czy gdzieś indziej, my go bierzemy.

231 .

□

Boks Pięćset to w wewnętrznym żargonie nazwa MI 5, Brytyjskiej Służby Bezpieczeństwa, wydział kontrwywiadu, którego zadaniem jest przeciwdziałać terroryzmowi w Irlandii Północnej jako terytorium brytyjskim.

Do Tajnej Służby Wywiadowczej należał wywiad lub ofensywne operacje kontrwywiadowcze gdzie indziej, włącznie z Republiką Irlandii, czyli "Południem".

Tego dnia szef zjadł obiad ze swoim kolegą, dyrektorem generalnym MI 5. Trzecim uczestnikiem obiadu był przewodniczący Komitetu Połą czonych Służb Wywiadowczych; jego sprawą było zaalarmować Urząd Gabinetu Rządowego.

W dwa dni później pewna operacja MI 5 dostarczyła drugiego elementu łamigłówek.

Nie było w tym nic przewidzianego z góry; był to po prostu jeden z tych szczęśliwych trafów, które czasami ułatwiają życie.

Pewien młody członek IRA, wiozący w bagażniku samochodu armalit, wjechał niespodziewanie na posterunek drogowy obsadzony przez Królewską Policję Ulsterską.

Nasto latek zawahał się, myśląc o broni w samochodzie, której odkrycie gwarantowało mu wiele lat w więzieniu Maže, i próbował rozbić szlaban.

Prawie mu się udało.

Gdyby miał więcej doświadczenia, pewnie by to zrobił.

Sierżant i dwóch policjantów przy szlabanie musiało odskoczyć na bok, kiedy skradziony wóz nagle runął do przodu.

Ale trzeci policjant stojący w pewnym oddaleniu wyciągnął broń i oddał do przyspieszającego go samochodu cztery strzały.

Jeden z nich odstrzelił chłopakowi wierzch głowy.

Był to tylko kurier, lecz IRA zdecydowała, że zasługuje na pogrzeb z honorami wojskowymi.

Uroczystość odbyła się w rodzinnej wiosce chłopaka, małej miejscowości w południowym Armagh.

Pogrążonej w żałobie rodzinie złożył wyrazy współczucia Gerry Adams, przewodniczący Sinn Fein², i poprosił o wyświadczenie pewnej grzeczności.

Czy zgodzą się, aby zamiast miejscowego proboszcza pogrzeb odprawił ksiądz przyjezdny, przedstawiony jako wieloletni przyjaciel rodziny?

Rodzina zakamieniali republikanie z drugim synem odsiadującym dożywocie za morderstwo zgodziła się bez wahania.

Pogrzeb został odprawiony należycie przez ojca Dermota OBriena.

Armagh Irlandia Północna.

Od V w.

ośrodek religijny Irlandii; katedra ufundowana przez św.

Patryka w V w.

, odbudowywana w XIII -XV w.

(przyp.

tłum.).

² "Sinn Fein" w języku irlandzkim znaczy "my sami".

Była to tajna organizacja powstała na terenie południowej Irlandii w roku 1905.

Celem jej była walka o niepodległość Irlandii.

W roku 1917 organizacja wyszła częściowo z podziemia i przekształcił się w partię republikańską (przyp.

tłum.).

232

Mało kto wie, że pogrzeby członków IRA chowanych w Irlandii Północnej stanowią stałe miejsce spotkań i narad przywódców tej organizacji.

I że są ściśle nadzorowane przez bojówkarzy IRA.

Każdy spośród żałobników, czy to mężczyźni, kobiety czy dzieci, jest z reguły zagorzałym zwolennikiem IRA.

W niektórych wioskach południowego Armagh i Fermanagh, jak również południowego Tyrone, wszyscy co do jednego mieszkańcy są dosłownie fanatykami ruchu.

Mimo że uroczystości te są często pod ostrzałem kamer telewizyjnych, schowani w tłumie przywódcy IRA mrucząc pod nosem odbywają całe konferencje decydują, przekazują informacje lub układają plany przyszłych operacji, co nie jest łatwe dla ludzi pod stałym nadzorem.

Gdyby się bowiem brytyjski żołnierz lub policjant ośmielił zbliżyć do pogrzebu, stałoby się to od razu sygnałem do rozruchów lub do zamordowania żołnierza, jak to się już zdarzało.

Tak więc obserwacji dokonywano za pomocą kamer z długimi obiektywami, które jednak nie są w stanie zarejestrować rozmów prowadzonych pod nosem.

W ten sposób IRA wykozystuje nawet majestat śmierci, by planować dalsze jatki.

Gdy się o tym Brytyjczycy przekonali po raz pierwszy, nie zwlekali długo.

Ktoś kiedyś powiedział, że najważniejszą rzeczą, której uczy się angielski dżentelmen, jest rozpoznanie momentu, kiedy należy prze stać być dżentelmenem.

Tak więc Brytyjczycy zakładali podsłuchy w trumnach.

W nocy przed pogrzebem w Ballycrane dwóch żołnierzy Specjalnych Sił Lotniczych, działając po cywilnemu, wdarło się do zakładu pogrzebowego, gdzie czekała pusta trumna.

Ciało, zgodnie z irlandzką tradycją, spoczywało jeszcze w salonie, w rodzinnym domu na tej samej ulicy.

Jeden z żołnierzy był elektronikiem, drugi, Francuz, wysoko wykwalifikowanym lakiernikiem meblowym i stolarzem.

W ciągu godziny w drewnie trumny został założony podsłuch.

Żywoć jego miał być krótki, jako że już nazajutrz przed południem miał się znaleźć sześć stóp pod ziemią.

Z tajnej kryjówki na zboczu wzgórza ponad wioską faceci ze Specjalnych Sił Lotniczych obserwowali pogrzeb, fotografując twarze wszystkich obecnych kamerą, której obiektyw przypominał lufę działka bezodrzutowego.

Ktoś inny nagrywał dźwięki dochodzące z urządzenia znajdującego go się w trumnie, gdy ją niesiono przez ulicę wioski do kościoła.

Urządzenie zarejestrowało przebieg całego pogrzebu i żołnierze patrzyli, jak trumna wyłania się z kościoła i zmierza w kierunku otwartego grobu.

Ksiądz w sutannie powiewającej na porannym wietrze wygłosił ostatnie słowa i sygnął garść ziemi na zjeżdżającą w dół trumnę.

Łomot ziem uderzającej w jej drewniane wieko był tak głośny, że podsłuchujący

233 .

□

żołnierze aż drgnęli.

Nad otwartym grobem ojciec Dermot O'Brien stał obok człowieka znanego Anglikom jako zastępca szefa sztabu Rady Armii IRA.

Spuściwszy głowy, ukrywając usta, mężczyźni zaczęli szeptać.

To, co mówili, znalazło się na taśmie na zboczu pagórka.

Stamtąd poszło do Lurgan, z Lurgan na lotnisko Aldergrove i do Londynu.

Była to tylko operacja rutynowa, lecz obrodziła szczerym złotem.

Ojciec O'Brien informował Radę Armii o szczegółach oferty pułkownika Kadafiego.

Ile?

zapytał w dwa dni później w Londynie sir Anthony, przez wodniczący Komitetu Połączonych Służb Wywiadowczych.

Dwadzieścia ton.

Tony.

Taka jest oferta.

Dyrektor generalny MI 5 zamknął segregator, który jego kolega do piero co skończył przeglądać, i włożył go z powrotem do swojej teczki.

Właściwej taśmy nie było.

Sir Anthony, człowiek bardzo zajęty, zadowolony się pisemnym streszczeniem.

Taśma była w MI 5 w Londynie przez ponad jeden dzień, a oni pracowali

szybko.

Jakość dźwięku w oczywisty sposób nie mogła być dobra.

Po pierwsze, urządzenie podsłuchowe wysiłało się, by usłyszeć słowa przez półcentymetrową warstwę drewna, a poza tym szło w dół do grobu, gdy rozpoczęła się rozmowa.

Po drugie, występowały zakłócenia w postaci innych dźwięków: pobliskiego zawodzenia matki młodego terrorysty, szumu wiatru nad otwartym grobem, łopotu obfitych szat księdza i huku trzech salw ślepych naboju oddanych w powietrze przez honorową eskortę IRA w czarnych kominarkach.

Radiowiec uznałby tę taśmę za złom.

Ale to nagranie nie było przeznaczone do celów audycji radiowych.

Co więcej, technika wzmocnienia elektronicznego jest bardzo zaawansowana.

Inżynier dźwięku starannie wyeliminował zakłócenia, "przenosząc" słowa mówione na inny poziom częstotliwości i oddzielając je od wszystkiego innego.

Celebrujący kapłan i stojący obok niego członek Rady Armii nie zdobyliby nagrody za dykcję, lecz to, co mówili, było wystarczająco wyraźne.

A warunki?

zapytał sir Anthony.

Zadnych wątpliwości co do warunków?

Żadnych odparł dyrektor generalny.

W ramach tych dwudziestu ton będą jak zwykle karabiny maszynowe i zwykajne, granaty, wyrzutnie, moździerze, pistolety, bomby zegarowe i działka bezodrzutowe, prawdopodobnie czeskie RPG-7.

Plus dwie metryczne tony semteksu-H.

Z tego połowa musi być użyta do celów kampanii bombowej na terenie właściwej Anglii, wliczając w to poszczególne zabójstwa, łącznie z ambasadorem

amerykańskim.

Najwyraźniej Libijczycy bardzo na to nastawali.

234

Bobby, chciałbym, żebyś zaniósł to wszystko do Tajnej Służby Wywiadowczej orzekł w końcu sir Anthony.

I bardzo proszę: żądaj rywalizacji między służbami.

Całkowita współpraca, cały czas.

Wygląda, że będzie to operacja międzynarodowa ich Sprawa.

Od Libii do jakiejś zakazanej zatoczki na wybrzeżu Irlandii to będzie operacja zagra niczna.

Chcę, żebyś im zapewnił wszelką możliwą pomoc, poczynając od ciebie w dół.

Bez problemu powiedział dyrektor generalny.

Współpraca będzie.

Przed zmkrokiem szef Tajnej Służby Wywiadowczej i jego zastępca Timothy Edwards wzięli udział w pełnym i długim spotkaniu informacyjnym w siedzibie ich siostrzanej służby na Curzon Street.

Szef wyjątkowo gotów był przyznać, że po części może potwierdzić informację z Ulsteru za pomocą raportu libijskiego lekarza.

Normalnie za żadne pieniądze nie wyraziłby nawet w najbardziej powściągliwych słowach uznania dla działań Tajnej Służby Wywiadowczej za granicą, ale ta sytuacja nie była normalna.

Poprosił i uzyskał współpracę, jakiej się domagał.

MI 5 zaostrzy inwigilację, bezpośrednią i elektroniczną, nad członkiem Rady Armii IRA.

Dopóki ojciec OBrien pozostaje na Północy, dotyczy to również i jego.

Kiedy wróci do Republiki Irlandii, przyjmie go Tajna Służba Wywiadowcza.

Inwigilacja zostanie podwojona w odniesieniu do pewnego innego człowieka wspomnianego w rozmowie nad grobem, dobrze znanego brytyjskim siłom bezpieczeństwa, ale nigdy nie oskarżonego ani nie uwięzionego.

Szef kazał swoim własnym siatkom w Republice Irlandii obserwować powrót ojca OBriena, śledzić go i nade wszystko zaalarmować Londyn, gdyby wyjechał drogą lotniczą lub morską za granicę.

Ujęcie będzie znacząco łatwiejsze na kontynencie europejskim.

Po powrocie do Century House szef wezwał Sama McCreadyego.

Zatrzymaj to, Sam powiedział w końcu.

Zatrzymaj to u siebie źródła w Libii albo w drodze.

Te dwadzieścia ton nie może dojść do celu przeznaczenia.

Sam McCready siedział wiele godzin w przyciemnionym pokoju oglądając film z pogrzebu.

Po zarejestrowaniu całego nabożeństwa w kościele kamera powędrowała na zewnątrz cementarza, wybierając grupę z obywateli IRA, której zadaniem polegało na niedopuszczeniu nikogo w pobliże konduktu.

Wszyscy oni byli nie do zidentyfikowania w czarnych wełnianych kominiarkach.

Kiedy orszak wyłonił się znów z portyku kościoła, by przejść do otwarcia tego grobu, z sześcioma zamaskowanymi żałobnikami niosącymi trumny.

□

nę, poprosił techników, by zsynchronizowali dźwięk i wizję.

Nie mówio no nic, co mogłoby w najmniejszym choćby stopniu wydać się podejrzane, aż do chwili, kiedy ksiądz z pochyloną głową stanął przy grobie obok członka Rady Armii IRA.

Raz tylko podniósł głowę, by wyrazić współczucie płaczącej matce chłopaka.

Klatka stop.

Zbliżenie.

Wzmocnić.

Kiedy twarz ojca OBriena wypełniła ekran, McCready wpatrywał się w nią przez dwadzieścia minut, zapamiętując każdy rys, dopóki się nie upewnił, że rozpozna tę twarz wszędzie.

Czytał transkrypcję tej części taśmy, w której ksiądz zdawał sprawę ze swej wizyty w Libii, raz i jeszcze raz.

Później siedział sam w swoim biurze i gapił się na fotografię.

Na jednej był Muammar Kadafi, z niesfornymi czarnymi włosami, które wystawały spod wojskowej czapki, z ustami na wpół otwartymi, po nieważ akurat mówił.

Na drugiej był Hakim al-Mansur, wysiadający z samolotu w Paryżu, w szykownym ubraniu z Savile Row, gładki, wytworzony, dwujęzyczny, z angielskim jako drugim językiem, płynnie mówiący po francusku, wykształcony, czarujący, kosmopolityczny i całkowicie, do szpiku kości, śmiertelny.

Trzeci był szef sztabu Rady Armii IRA, przemawiający na publicznym zebraniu w

Belfaście w swej drugiej roli jako przestrzegający prawa i odpowiedzialny radny miejscowego samorządu z ramienia partii politycznej Sinn Fein.

Było jeszcze czwarte zdjęcie przedstawiało ono człowieka wzmiankowanego przy grobie jako tego, którego Rada Armii prawdopodobnie wybierze do przejęcia i przeprowadzenia operacji, tego, którego ojciec OBrien miał przedstawić i polecieć listem Hakimowi al-Mansurowi.

Brytyjczycy wiedzieli, że jest on byłym dowódcą brygady IRA południowego Armagh, obecnie przenie sionym ze Spraw Lokalnych do Zadań Specjalnych, bardzo inteligentnym, wysoce doświadczonym i bezwzględnym zabójcą. Nazywał się Kevin Mahoney.

McCready godzinami studiował fotografie, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o umysłach, jakie się kryły za tymi twarzami. Jeśli miał wygrać, musiał się z nimi zmierzyć na umysły.

Na razie oni byli górą.

Przypuszczalnie wiedzieli nie tylko, co zamierzają zrobić, ale i jak. I kie dy.

Wiedział pierwsze, ale nie miał pojęcia o drugim ani trzecim.

Miał dwa atuty.

Wiedział, co oni planują; oni nie wiedzieli, że on wie.

On ich rozpoznawał, oni go nie znali.

Czy może al-Mansur znał jego twarz?

Libijczyk współpracował z KGB, a Rosjanie znali McCreadyego.

Czy opisałi Libijczykowi twarz Fałszerza?

Szef nie był przygotowany na podjęcie takiego ryzyka.

236

Przykro mi.

Sam, ale ty w to osobiście w żadnym razie wejść nie możesz.

Nawet gdyby istniał tylko jeden procent szansy, że mają twoją twarz w kartotece, odpowiedź brzmi: nie.

Nie ma w tym nic osobistego.

Po prostu ciebie w żadnym wypadku nie mogą wziąć żywcem.

Nie chcę nowej afery Buckleya.

Richard Buckley, szef placówki CIA w Bejrucie, został wzięty żywcem przez Hezbollah.

Umierał powoli i straszliwie.

Fanatycy przesłali w końcu do CIA taśmę wideo, z wizją i fonią, pokazującą, jak go żywcem ob dzierają ze skóry.

I oczywiście mówił, powiedział wszystko.

Musisz znaleźć kogoś innego powiedział szef.

I niech Bóg ma go w swojej opiece.

Tak więc McCready dzień w dzień wertował teczki, w tę i z powrotem, przesiewając i sortując dane, rozważając i odrzucając.

Ostatecznie wybrał jedno nazwisko, jedną "możliwość".

I przyniósł Timothyemu Edwardsowi.

Zwariowałeś, Sam odparł mu na to Edwards.

Wiesz, że on jest absolutnie nie do przyjęcia.

MI 5 go nie cierpi.

Staramy się z nimi współpracować, a ty przychodzisz z tym...

zdrajcą.

Przecież to łobuz kąsający rękę, która go wykarmiła.

W życiu go nie weźmiemy.

Ale o to tu chodzi powiedział Sam spokojnie.

Edwards zaczął z innej beczki.

W każdym razie nigdy nie będzie dla nas pracował.

Ale mógłby...

Podaj chociaż jeden powód.

McCready podał.

No cóż stwierdził Edwards z punktu widzenia kartoteki fa cet po prostu nie istnieje.

Nie wolno takiego używać.

Oczywiście...

wyjrzał przez okno pewnie i tak zrobisz, jak uważasz.

Takie słowa tworzą długie i błyskotliwe kariery.

Czubkiem palca Edwards wyłączył przed ostatnim zdaniem magnetofon pod biurkiem.

McCready nie miał złudzeń co do Tymczasowej IRA.

Ci dziennikarze z prasy brukowej, co to określali terrorystów irlandzkich jako kupę idio tów, którym się czasem udaje, po prostu nie wiedzieli, o czym mówią.

Tak mogło być w dawnych czasach, pod koniec lat sześćdziesiątych i na

początku siedemdziesiątych, gdy kierownictwo IRA stanowiła garstka ideologów, ludzi w średnim wieku chodzących w trenczach, z małymi librowymi pistoletami i robiących w garażach przy bocznych uliczkach bomby ze sztucznego nawozu do ogródków.

Wtedy można ich było "wyjąć" i z miejsca zatrzymać.

Lecz jak zwykle politycy się mylili, nie docenili niebezpieczeństwa, uznali, że zamachy bombowe to przejaw działań

ności ekstremalnej grupy ruchu praw obywatelskich.

Dni te dawno już minęły.

W połowie lat osiemdziesiątych IRA dojrzała, stając się w opinii wielu najsprawniejszą ze wszystkich grup terrorystycznych.

Oznaczeni czterema cechami, bez których żadna grupa terrorystyczna na świecie nie utrzymałaby się przez dwadzieścia lat tak jak oni.

Po pierwsze, mieli szerokie poparcie plemienne i stały dopływ młodej gotowej wypełniać luki powstałe po poległych i "nieobecnych" przebywających w więzieniu.

I chociaż nigdy nie mieli więcej niż stu pięćdziesięciu terrorystów czynnych, a prawdopodobnie i nie więcej niż dwa razy tyle "czynnych" zwolenników, gotowych udzielić schronienia lub dziom, kryjówek dla broni i technicznego wsparcia a także mimo że stracili dobrze ponad stu zabitych i kilkuset "nieobecnych", stale na pływali młodzi rekruci ze sfanatyzowanej społeczności republikańskiej Północy i Południa, aby zająć ich miejsce.

Rezerwuariat nowych sił nigdy nie wysychał.

Po drugie, mieli bezpieczną kryjówkę w postaci Południa, Republiki Irlandii, z której mogli przeprowadzać operacje na rządzonej przez Brytyjczyków Północy.

Południe było też zawsze dostępnym miejscem ucieczki dla wielu mieszkających na Północy terrorystów, gdzie mogli łatwo zniknąć w razie potrzeby.

Gdyby sześć hrabstw Północnej Irlandii stanowiło wyspę, od lat by już problem IRA nie istniał.

Po trzecie, dzięki poświęceniu i bezwzględności nie cofali się przed żadnym okrucieństwem.

Z czasem weterani z późnych lat sześćdziesiątych, z ich idealistycznym zapałem do zjednoczenia wyspy w demokratyczny sposób w jedną Zjednoczoną Irlandię zostali odsunięci.

Zastąpili ich twardzi zapalczyki, dobrze wyszkoleni i sprytni, z wykształceniem i inteligencją maskującymi okrucieństwo.

Nowy narybek był oczywiście oddany sprawie Zjednoczonej Irlandii, ale pod ich rządami i według zasad marksistów skich oddany w sposób, który należało ukrywać przed amerykańskimi dobroczyńcami.

I wreszcie zorganizowali stały dopływ pieniędzy, tej prawdziwie życiodajnej krwi zasilającej akcje terrorystyczne lub rewolucyjne.

Początkowo były to darowizny barów z Bostonu lub przypadkowe napady na miejsca we banki.

W połowie lat osiemdziesiątych Tymczasowa IRA opanowała krajową sieć klubów z wyszynkiem, gangi parające się "ochroną" i zwykłą działalnością kryminalną, które dawały olbrzymi dochód roczny, wystarczający na finansowanie kampanii terrorystycznej.

Tak jak się nauczyli zdobywać pieniądze, tak samo nauczyli się zasad bezpieczeństwa we wnętrzu, niezbędnych reguł i ścisłych podziałów.

Dawno minęły czasy, kiedy za dużo mówili i za dużo pili.

238

Ich piętą achillesową była sprawa broni.

Mieć bowiem pieniądze na jej zakup to jeszcze nie wszystko.

Trzeba je było zamieniać na karabiny maszynowe N-60, moździerze, działa bezodrzutowe lub pociski ziemiapowietrze.

Mieli w tej dziedzinie sukcesy, ale mieli i porażki.

Nieraz próbowali sprowadzać broń z Ameryki, lecz zazwyczaj FBI było szybsze.

Dostawali też broń z bloku komunistycznego, przez Czechosłowację, za przyzwoleniem KGB.

Ale od czasu Gorbaczowa poparcie Sowietów dla terroryzmu na Zachodzie wydatnie zmalało, aż w końcu ustało zupełnie.

McCready wiedział, że potrzebują broni i że jak już jest okazja, wyślą po nią najinteligentniejszych i najlepszych.

O tym myślał jadąc samochodem z małego miasteczka Cricklade przez nieoznaczone granice hrabstwa do Gloucestershire.

Przerobiona stodoła była tam, gdzie mu powiedziano, przy bocznej drodze:

stary budynek z kamienia Cotswold, który kiedyś służył za schronienie dla bydła i skład siana.

Ktokolwiek przebudował stodołę na cichy wiejski dom, odwalił kawał dobrej roboty.

Otoczony kamiennym murem ozdobionym kołami od wozu, dom stał w ogrodzie mieniącym się wio sennymi kwiatami.

McCready wjechał przez bramę i zatrzymał się na wprost drewnianych drzwi.

ładna młoda kobieta, która pełła kwietną rabatkę, odłożyła łubiankę i wstała.

Słucham pana powiedziała pan w sprawie kilimu?

Aha, pomyślał, jako zajęcie uboczne handluje kilimami.

Z tego wynika, iż wiadomość o tym, że książki nie idą zbyt dobrze, była prawdziwa.

Nie, niestety nie odparł.

Właściwie przyjechałem do Toma.

Uśmiech jej przygasł, w oczach pojawił się cień podejrzenia, jakby już wcześniej widziała takich mężczyzn, którzy wchodzili w życie jej męża, a to z reguły oznaczało kłopoty.

On pisze.

W swojej altanie w głębi ogrodu.

Skończy za jakąś go dzinę.

Poczeka pan?

Oczywiście, że poczekam.

Podawała mu kawę w jasnym pokoju z perkalowymi zasłonami i czekali.

Rozmowa się nie kleiła.

Po godzinie usłyszeli w kuchni kroki.

Kobieta podskoczyła.

Nikki...

W drzwiach ukazał się Tom Rowse; na widok gościa przystanął.

Jego uśmiech nie drgnął, ale oczy stały się bardzo czujne.

Kochanie, pan przyjechał do ciebie.

Czekaliśmy.

Napijesz się kawy?

Nie patrzył na nią, wzrok miał skierowany na McCreadyego.

Pewnie, marzę o kawie.

239 .

□

Kobieta wyszła.

McCready przedstawił się.

Rowse usiadł.

Z kartoteki wynikało, że ma trzydzieści trzy lata.

Nie podali, że jego kondycja fizyczna jest wspaniała.

Nie było potrzeby.

Tom Rowse służył jako kapitan w pułku Specjalnych Sił Lotniczych.

Trzy lata temu wystąpił z wojska, ożenił się z Nikki i kupił walącą się stodołę na zachód od Cricklade.

Przebudowy dokonał sam, wyładowując swoją pasję w ciągu długich dni wypełnionych walką z cegłami i zaprawą, belkami i krokwiami, oknami i rurami wodociągowymi.

Dzięką łaskę skopał zamieniając ją w gładki trawnik, założył kwietne rabatki, zbudował mur.

To w dzień; w nocy pisał.

Miała to być oczywiście powieść; literatura faktu byłaby zakazana przez ustawę o tajemnicy państwowej.

Nawet jako powieść jego pierwsza książka wywołała wściekłość w siedzibie MI 5 na Curzon Street.

Traktowała o Północnej Irlandii z punktu widzenia żołnierza tajnej służby i szargała opinię MI 5 jako kontrwywiadu.

Brytyjska administracja potrafi być nadzwyczaj lojalna w stosunku do tych, którzy są lojalni wobec niej, i bardzo mściwa w stosunku do tych, którzy się przeciwko niej obrócą.

Powieść Toma Rowsea znalazła w końcu wydawcę i nawet odniosła skromny sukces, jak na pierwszą powieść nie znanego autora.

Wydawca zawarł z nim umowę na drugą książkę, nad którą właśnie pracował.

Lecz z Curzon Street poszedł cynk, że Tom Rowse, były kapitan Specjalnych Sił Lotniczych, jest na indeksie, poza nawiasem, że należy się trzymać od niego z daleka i w żaden sposób mu nie pomać.

Rowse wiedział o tym i miał to w nosie.

Stworzył sobie nowy świat, z nowym domem i nową żoną.

Nikki podała kawę, wyczuła atmosferę i znikła.

Była pierwszą żoną Rowsea, lecz on nie był jej pierwszym mężem. Przed czterema laty Rowse, skulony za furgonetką na głównej ulicy zachodniego Belfastu, obserwował Nigela Quaida, jak sunie chwiejnie niby olbrzymi opancerzony krab w kie runku czerwonego forda sierra zaparkowanego w odległości stu jardów.

Rowse podejrzewał, że w bagażniku samochodu jest bomba. Wybuch kontrolowany załatwiłby sprawę, lecz starszyna chciała, aby bombę w miarę możliwości rozbroić. Brytyjczycy znają prawie wszystkich produ centów bomb IRA w Irlandii; każdy z nich zostawia swój osobisty "pod pis" w sposobie wykonania bomby. "Podpis" ten zostaje zniweczony w przypadku jej zdetonowania, lecz jeśli się ją uda zachować po usu nięciu zapalnika, staje się dosłownie skarbnicą informacji: skąd pocho dzą materiały wybuchowe, spłonki, detonator, nie mówiąc o odciskach palców.

Ale nawet i bez odcisków palców łatwo zidentyfikować ręce, które wykonały bombę.

240

Tak więc Quaid, przyjaciel Rowsea z czasów szkolnych, szedł zakuty w pancerz, ciężki, że ledwie się ruszał, aby otworzyć bagażnik i próbować rozbroić bombę.

Nie udało mu się.

Maska bagażnika otworzyła się, ale urządzenie zapłonowe było przyklejone pod klapą.

Quaid patrzył w dół o pół sekundy za długo.

Gdy światło padło na fotokomórkę, bomba wybuchła.

Mimo pancerza urwało mu głowę.

Rowse pocieszał młodą wdowę.

Pocieszanie przeszło w sympatię, a sym patia w miłość.

Gdy się oświadczył, postawiła jeden warunek.

Wyjechać z Irlandii, wystąpić z armii.

Kiedy zobaczyła McCreadyego, zaczęła coś po dejrzewać; już wcześniej widywała takich ludzi.

Cichych, zawsze cichych.

Tamten, który przyszedł wtedy do Nigela i zażądał, żeby poszedł na głów ną ulicę zachodniego Belfastu, też był cichy.

Nikki ze złością wyrwała chwasty w ogrodzie, kiedy jej mąż rozmawiał z cichym.

McCready mówił przez dziesięć minut.

Rowse słuchał.

Gdy starszy mężczyzna skończył, były żołnierz powiedział:

Niech pan wyjrzy przez okno.

McCready spojrział.

Aż po horyzont ciągnęła się żyzna ziemia.

Śpie wał ptak.

Stworzyłem tu sobie nowe życie.

Z dała od tego brudu, od szu mowin.

Jestem poza nawiasem, panie McCready.

Dokładnie poza nawia sem.

Czy na Curzon Street panu tego nie mówili?

Jestem trędowaty.

Nowe życie, żona, dom, który nie jest wilgotną rudera ą tonącą w irlandzkim bagnie, nawet skromne utrzymanie z książek.

Po cholere ą miałbym się znów w to ładować?

Szukam człowieka.

Tom.

Kogoś znającego teren.

Kto by mógł jeź dzić po Środkowym wschodzie z dobrą legendą.

Twarzy, której nie znają.

Niech pan poszuka innej.

Jeżeli to eksploduje, ta tona metryczna semteksu-H, tutaj, w An glii, podzielona na pięćset dwukilowych paczek, to będziemy mieli nową setkę Nigeli Quaidów.

Nowy tysiąc Marych Feeney.

Próbuję przeszkodzić w dostarczeniu tego.

ładunku.

Nie, panie McCready.

To nie ja.

Po cholere ą mi to?

Z ich strony będzie tym kierował taki jeden facet.

Myślę, że pan go zna.

Kevin Mahoney...

Rowse zesztyniał, jakby dostał cios.
To będzie on?

spytał.

Sądźmy, że będzie tym kierowcą.

Jeżeli mu się nie uda, to koniec z nim.

Rowse gapił się długo na widok za oknem.

Ale przed oczyma miał inną wieś, bardziej zieloną, lecz nie tak zadbaną; i podwórze z garażami;

241 .

□

i małe ciało przy drodze, które kiedyś było dziewczynką, Mary Feeney.

Wstał i wyszedł na dwór.

McCready usłyszał ciche głosy i płacz Nikki.

Rowse wrócił i poszedł spakować neseser.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wprowadzenie Rowsea w sprawę trwało tydzień i McCready zajął się tym osobiście.

Zapoznawać go z otoczeniem Century House, nie mówiąc już o Curzon Street, nie było potrzeby.

McCready wypożyczył jeden z trzech cichych wiejskich domów niecałą godzinę jazdy z Londynu, które Tajna Służba Wywiadowcza ma do takich celów, i kazał nie zbędne materiały przysłać z Century House.

Były materiały na piśmie i film, w większości niewyraźny, kręcony z dużej odległości albo przez dziurę w ścianie furgonetki, albo pośród krzaków i z dużej odległości.

Ale twarze były dosyć wyraźne.

Rowse widział film i przesłuchiwał taśmę ze sceną z cmentarza w Ballycrane tydzień wcześniej.

Studiował twarze irlandzkiego księdza, który służył jako łącznik, i członka Rady Armii, który stał przy nim.

Ale gdy patrzył na leżące obok siebie fotografie, spojrzenie jego zawsze wracało ku chłodnej, przystojnej twarzy Kevina Mahoneya.

Przed czterema laty mało nie zabił bojownika IRA.

Mahoney ukrywał się i operacja wyśledzenia go kosztowała tajniaków tygodnie żmudnej pracy.

W końcu dał się podstępem zwabić do Irlandii Północnej, dokąd przybył ze swojej kryjówki w okolicy Dundalk na Południu.

Wiózł go drugi człowiek IRA i zatrzymali się, żeby zatankować na stacji benzynowej koło Moira.

Rowse jechał za nim, spory kawał z tyłu, informowany przez obywateli wzdłuż drogi i z powietrza.

Kiedy usłyszał, że Mahoney bierze paliwo, zdecydował się zbliżyć.

W chwili gdy dojechał do podjazdu stacji benzynowej, szofer z IRA zdążył już zatankować i siedział w samochodzie.

Nie było przy nim niko go.

Przez chwilę Rowse myślał, że mu ofiara umknęła.

Partnerowi kazał pilnować szofera IRA, a sam wysiadł.

Kiedy był zajęty przy dystrybutorze, otworzyły się drzwi od męskiej toalety i wyszedł Mahoney.

Rowse miał swojego trzynastostrzałowego służbowego browninga 13-wetkniętego z tyłu za pasek, pod granatowym waciakiem.

Była jakaś niana czapka zasłaniała mu znaczną część głowy, a kilkudniowy zarost maskował twarz.

Wyglądał jak irlandzki robotnik, którego udawał.

Gdy pojawił się Mahoney, Rowse przykucnął obok pompy benzynowej, wyciągnął broń, wycelował trzymając ją oburącz i ryknął:

242

Mahoney, nie ruszaj się!

Mahoney był szybki.

Już kiedy Rowse wyciągał browninga, sięgnął po swoją broń.

Zgodnie z prawem Rowse mógł go załatać na miejscu.

Żałował, że tego nie zrobił, że krzyknął raz jeszcze:

Rzuć broń albo zginiesz!

Mahoney wyjął broń, ale trzymał ją jeszcze nisko.

Spojrzał na czło wieka na wpół ukrytego za pompą benzynową, zobaczył browninga i zrozumiał, że nie wygra.

Upuścił swojego colta.

w tej chwili na betonowy podjazd wjechały dwie starsze kobiety w volkswagenie.

Nie mając pojęcia, co się dzieje, wpakowały się prosto między Rowsea przy pompie i Mahoneya przy murze.

Człowiekowi z IRA to wy starczyło.

Schylił się błyskawicznie i podniósł rewolwer.

Jego towarzysz próbował podjechać mu na pomoc, lecz partner Rowsea był już przy nim z pistoletem, który wsadził przez okno samochodu i przytknął mu do skroni.

Rowse nie mógł otworzyć ognia z powodu dwóch pań, które wyłączyły silnik i zaczęły krzyczeć.

Mahoney wyszedł zza volkswagena, pochylony obiegł tył zaparkowanej ciężarówki i w jednej chwili już był na drodze.

W chwili gdy Rowse minął ciężarówkę, znajdował się na środku szosy.

Starszawy kierowca morrisa minora nacisnął hamulce, by nie przejechać biegnącego.

Mahoney, mając między sobą a Rowseem morrisa, wyszarpnął starego za marynarkę z samochodu, ogłuszył coltem, wsadził go na miejsce kierowcy i odjechał.

W samochodzie był jeszcze pasażer.

Stary człowiek wioził wnuczkę do cyrku.

Rowse stał na drodze i patrzył, jak drzwi od strony pasażera się otwierają i dziecko zostaje wyrzucone.

Usłyszał cienki krzyk, zobaczył, jak mała uderza o asfalt i jak ją potraça nadjeżdżająca ciężarówka.

Tak orzekł McCready miękko wiemy, że to był on.

Mimo osiemnastu świadków, którzy stwierdzili, że w tym czasie był w barze w Dundalk.

Nadal pisując do matki tej małej powiedział Rowse.

Rada Armii też pisała dodał McCready.

Wyrazili ubolewa nie.

Napisali, że wypadła przypadkowo.

Została wyrzucona powtórzył Rowse.

Widziałem jego rękę.

Rzeczywiście on ma tym kierować?

Tak sądzimy.

Nie wiemy, czy będzie to transport lądem, morski czy lotniczy, ani gdzie się Mahoney pokaże.

Sądzimy jednak, że będzie dowodził akcją.

Słuchałeś taśmy.

McCready przedstawił Rowseemu jego legendy.

Miał mieć dwie, nie jedną.

Pierwsza miała być umiarkowanie przejrzysta.

Przy odrobinie szczęścia 243 .

□

ścia ci, co ją będą badali, poznają się na oszustwie i odkryją drugą le gendę. I znów przy odrobinie szczęścia zadowolą się tą drugą.

Gdzie zaczynam?

spytał Rowse, gdy tydzień zbliżał się do końca.

A gdzie chciałbyś zacząć?

spytał McCready.

Każdy, kto śledzi międzynarodowy handel bronią na potrzeby swojej następnej powieści, szybko stwierdzi, że są dwie bazy europejskie tego handlu: Antwerpia i Hamburg powiedział Rowse.

Racja zgodził się McCready.

Masz jakieś kontakty w któ rymś z tych miast?

Znam takiego faceta w Hamburgu odparł Rowse.

Jest nie bezpieczny, zwariowany, ale może mieć powiązania z międzynarodowym podziemiem.

Nazywa się?

Kleist.

Ulrich Kleist.

Jeżu, ty znasz różnych dziwnych sukinsynów, Tom!

Ocaliłem mu tyłek wyjaśnił Rowse.

W Mogadyszju.

Wtedy nie był jeszcze wariatem.

To się stało później, gdy ktoś wpędził jego syna w narkotyki.

Chłopak umarł.

No tak przyznał McCready.

Można od tego zwariować...

Racja, to przecież Hamburg.

Będę z tobą cały czas.

Nie zobaczysz mnie, i te łobuzy też nie.

Ale ja będę gdzieś w pobliżu.

Jeśli sprawy pójdą źle, znajdę się blisko, z dwoma twoimi dawnymi kolegami z pułku.

Nic ci się nie stanie; pomożemy ci w razie potrzeby.

Musimy się od czasu do czasu kontaktować, żeby stałe być w kursie.

Rowse skinął głową.

Wiedział, że to bujda, ale miła.

McCreadyemu potrzebne były stałe kontakty, by w razie nagłej wpadki Rowsea Tajna

Służba Wywiadowcza wiedziała, co osiągnął.

Albowiem Rowse miał tę wła ściwość tak cenioną u superszpiegów: był do zastąpienia.

Przyjechał do Hamburga w środku maja.

Nie zapowiedziany i sam.

Wiedział, że McCready i dwóch "opiekunów" pojechali wcześniej.

Nie widział ich i nie szukał.

Zdawał sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie zna tych dwóch ludzi ze

Specjalnych Sił Lotniczych, ale nie znał ich na zwisk.

Nie miało to żadnego znaczenia; oni go znali i ich rzeczą było trzymać się blisko, lecz w ukryciu.

To była ich specjalność.

Obaj musieli płynnie mówić po niemiecku.

Musieli być na lotnisku w Hamburgu, na ulicach, w pobliżu jego hotelu, obserwując jego ruchy i informując McCreadyego, który był jeszcze głębiej ukryty.

Rowse unikał hoteli luksusowych, jak "Vier Jahrzeiten i "Atlantik", wybierając skromniejszy hotel koło dworca kolejowego.

Wynajął mały

244

samochód w Avisie, odpowiadający skromnym środkiem średnio prosperującego pisarza zabiegającego o materiały do swojej następnej książki.

Po dwóch dniach znalazł Ulricha Kleista, który pracował jako opera tor wózka widłowego w porcie.

Wielki Niemiec wyłączył silnik i wychodził właśnie z kabiny, gdy Rowse go zawołał.

W jednej chwili Kleist zakręcił się, gotów do obrony, ale szybko rozpoznał Rowsea.

Jego surowa twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Tom!

Witaj, stary przyjacielu.

Rowse zginął w miażdżącym niedźwiedzim uścisku.

Gdy został uwol niony, cofnął się i spojrzał na byłego żołnierza Sił Specjalnych, którego widział ostatnio cztery lata temu, a po raz pierwszy spotkał na rozprażonym lotnisku w Somalii w 1977.

Rowse miał wtedy dwadzieścia cztery lata, a Kleist był o sześć lat starszy.

Ale teraz wyglądał na więcej niż czterdzie ści, znacznie więcej.

Trzynastego października 1977 roku czterech palestyńskich terrory stów porwało samolot Lufthansy lecący z Majorki do Frankfurtu z osiemdziesięcioma sześcioma pasażerami i pięcioosobową załogą.

Obserwowana przez władze porwany samolot lądował kolejno w Rzymie, Larnace, Bahrajnie, Dubaju i Adenie, zanim wreszcie usiadł, po wyczerpaniu pa liwa, w Mogadiszu, ponurej stolicy Somalii.

Tutaj, w parę minut po północy z siedemnastego na osiemnasty paź dziernika, został wzięty szturmem przez niemieckie siły specjalne GSG9, które współzawodniczyły z brytyjskimi specjalnymi siłami Lotniczymi i zostały przez nie w znacznym stopniu wyszkolone.

Była to pierwsza zagraniczna "wycieczka" oddziałów uderzeniowych pułkownika Ulricha Wegenera.

Byli dobrzy, bardzo dobrzy, mimo to pojechało z nimi dwóch sierżantów ze Specjalnych Sił Lotniczych.

Jednym z nich okazał się Tom Rowse zanim jeszcze awansował na oficera.

Przyczyny zabrania Brytyjczyków były dwojakie.

Mieli doświadcze nie w zdobywaniu zamkniętych drzwi samolotu pasażerskiego w ułam ku sekundy; wiedzieli również, jak się obchodzić z opracowanymi przez Brytyjczyków granatami ogłuszającymi, które poprzez trzy różne efekty potrafiły obezwładnić terrorystę na dwie najważniejsze sekundy.

Jednym był błysk, który oślepił gołe oko, drugim fala uderzeniowa, która po wodowała dezorientację, trzecim huk, który za pośrednictwem bębenków wstrząsał mozzgiem i paraliżował reakcję.

Po szczęśliwym uwolnieniu samolotu kanclerz Helmut Schmidt ustawił w szeregu swoich wojowników i wszystkim dał medale w imieniu wdzięcznego narodu. Brytyjczycy zdematerializowali się, zanim politycy i prasa zdążyli się pojawić.
245 .

Chociaż dwaj sierżanci Specjalnych Sił Lotniczych byli tam tylko jako doradcy techniczni na co brytyjski rząd labourzystowski twardo nastawał to naprawdę było tak: Brytyjczycy pierwsi weszli po drabinie, aby odjąć tylne drzwi pasażerskie, do których podchodzili od tyłu i pod samolotem dla uniknięcia wykrycia przez terrorystów.

Ponieważ zmiana położenia na szczycie aluminiowej drabinki w komórkach ciemnościach była niemożliwa, ludzie ze Specjalnych Sił Lotniczych weszli pierwsi przez otwór i rzucili granaty ogłuszające.

Następnie odstawili na bok, by przepuścić zespół GSG-9, który miał skończyć robotę.

Pierwszymi dwoma Niemcami byli Uli Kleist i jakiś drugi żółtaczka. Doszli do środkowego przejścia i zgodnie z rozkazem rzucili się plackiem na ziemię z bronią wymierzoną w przód, tam gdzie, jak im powiedziano, mieli być terroryści.

I byli tam, pod przednią ścianą, dochodząc do siebie po wybuchu. ZohairYussefAkache, alias kapitan Mahmud, który zdążył już zamordować kapitana Lufthansy Jiirgena Schumanna, podnosił się właśnie z pi stoletem maszynowym. Obok niego jedna z dwu kobiet, Nadia Hind Alameh, wstawała z granatem w ręce, drugą ręką sięgając do zawleczonej.

Uli Kleist nigdy tego nie robił z tak bliska, więc Rowse wyszedł na przejście między fotelami z korytarzyka przy toalecie i załatwił to za niego.

Następnie zespół GSG-9 skończył robotę, rozwalając drugiego mężczyznę, terrorystę Nabiego Ibrahima Harba, i raniąc drugą kobietę Suheilę Saleh. W sumie zajęło im to osiem sekund.

Dziesięć lat później Uli Kleist stał w słońcu na kei w Hamburgu i uśmiechał się do szczupłego młodego mężczyzny, który tak dawno temu wypalił dwa razy nad jego głowę w ciasnej kabinie samolotu.

Co cię sprowadza do Hamburga, Tom?

Postawię ci obiad i wtedy ci powiem.

Zjedli pieprzne danie węgierskie w czardzie przy jednej z bocznych uliczek w Sankt Pauli, z daleka od jaskrawych świateł i wysokich cen Reeperbahn, popijając to Byczą Krwią.

Rowse mówił, Kleist słuchał.

Ja, to wygląda na dobry pomysł orzekł w końcu.

Jeszcze nie czytałem twoich książek.

Są przetłumaczone na niemiecki?

Jeszcze nie przyznał Rowse.

Mój agent ma nadzieję na podpisanie umowy z niemieckim wydawcą.

Byłoby dobrze; Niemcy to wielki rynek.

To co, można się utrzymać pisząc takie sensacyjne książki?

Rowse wzruszył ramionami: Starczy na komorne.

A ta nowa, ta o terrorystach, handlarzach bronią i o Białym Domu, masz już dla niej tytuł?

246

Jeszcze nie.

Niemiec zastanowił się.

Spróbuję zdobyć dla ciebie trochę informacji, tylko w celach badawczych, prawda?

Zaśmiał się i potarł nos, jakby mówiąc: oczywiście, wiem, że to nie tylko to, ale przecież każdy z nas musi zarobić na żyć cie.

Daj mi dwadzieścia cztery godziny, porozmawiam z pewnymi moimi przyjaciółmi i zorientuję się, gdzie mógłbyś znaleźć tego rodzaju materiały.

To co, nieźle sobie radziłeś po wyjściu z wojska.

Ja...

trochę gorzej.

Słyszałem o twoich kłopotach powiedział Rowse.

Ach, dwa lata w hamburskim mamrze.

Pestka.

Jeszcze dwa i mo głętem tym wszystkim kierować.

Tak czy owak, było warto.

Kleist, choć rozwiedziony, miał syna, którego w wieku zaledwie szesnastu lat ktoś namówił na kokainę, a potem na crack.

Chłopak przedawkował i umarł.

Wściekłość uczyniła Uli Kleista mało delikatnym.

Odszukał nazwiska kolumbijskiego hurtownika i niemieckiego detalisty i odpowiedział im, że to oni zabili jego syna, wszedł do restauracji, gdzie jedli kolację, i obu im rozwalił łby.

Kiedy weszła policja, Kleist nawet się nie opierał.

Sędzia ze starej szkoły, który miał własne zdanie o handlarzach narkotyków, wysłuchał głosu obrony o prowokacji i dał Kleistowi cztery lata.

Kleist odsiedział dwa i wyszedł przed sześciu miesiącami.

Mówiło się, że wyznaczono cenę na jego głowę.

Kleista to ni cholery nie obchodziło.

Nie którzy twierdzili, że zwariował.

Rozstali się o północy i Rowse wziął taksówkę do hotelu.

Przez całą drogę jechał za nim ktoś na motocyklu.

Motocyklista dwukrotnie mówił przez radiotelefon.

Kiedy Rowse zapłacił za taksówkę, z cienia wynurzył się McCready.

Nie śledzili cię powiedział.

W każdym razie jeszcze nie.

Masz ochotę na jednego?

Pili piwo w całonocnym barze koło dworca i Rowse wprowadził go w sprawę.

Uważa twoją opowieść o zbieraniu materiałów do książki za bzdurę?

spytał McCready.

Podejrzewa.

Dobrze, miejmy nadzieję, że puści ją dalej.

Wątpię, czy z tą legendą dobiedziesz się do prawdziwych drani.

To raczej oni przyjdą do ciebie.

Rowse powiedział, że czuje się jak serw pułapce na myszy, i zlął z barowego stołka.

Bardzo mocny, silnie uzależniający narkotyk, syntetyczna kokaina.

247 .

□

W dobrej pułapce zauważył McCready, gdy wychodzili z baru ser jest nie ruszony.

Ta wiem, ty wiesz, ale powiedz to serowi skwitował Rowse i poszedł spać.

Z Kleistem spotkał się nazajutrz wieczorem.

Niemiec potrząsnął

głową.

Rozpytywałem dokoła powiedział ale to, o czym mówisz, jest za mądre na

Hamburg.

Tego typu materiały robi się w laboratoriach państwowych i w fabrykach broni.

Na czarnym rynku ich nie ma.

Ale jest pewien facet, a przynajmniej takie chodzą słyuchy.

Tu w Hamburgu?

Nie, w Wiedniu.

Tamtejszy ruski attache wojskowy, niejaki major Witalij Koriagin.

Jak z pewnością wiesz, Wiedeń to główne okno na świat dla Omnipolu, czeskiego producenta.

Gros swojego eksportu mogą załatwiać na własne konto, ale część towarów i niektórzy nabywcy muszą być akceptowani przez Moskwę.

Agentem, przez którego idą te zezwolenia, jest Koriagin.

Dlaczego miałyby pomóc?

Mówią, że lubi dobre rzeczy.

Jest oczywiście w GRU, ale nawet oficerowie sowieckiego wywiadu wojskowego mają swoje prywatne gusty.

Wygląda na to, że lubi panienki, drogie panienki, takie, którym trzeba dawać kosztowne prezenty.

A więc i on bierze prezenty, prezenty go tówkowe, w kopertach.

Rowse zastanowił się.

wiedział, że przekupstwo to raczej reguła niż wyjątek w społeczeństwie sowieckim, ale żeby brał major GRU?

Świat broni jest bardzo dziwny; wszystko jest w nim możliwe.

A tak przy okazji rzucił Kleist w tej...

w tej twojej powieści będzie coś o IRA?

Czemu pytasz?

Rowse nie wspomniał mu o IRA.

Kleist wzruszył ramionami.

Mają tu grupę.

Działa poprzez bar, który prowadzą Palestyńczycy.
Są łącznikami z innymi grupami terrorystycznymi w skali międzynarodowej i kupują broń.

Chcesz się z nimi zobaczyć?

Po co, na miłość boską?

Kleist roześmiał się odrobinę za głośno.

Może być śmiesznie powiedział.

A ci Palestyńczycy wiedzą, że odstrzeliłeś czterech z nich?

spytał Rowse.

Prawdopodobnie.

W naszym świecie każdy zna każdego.

Zwłaszcza cza wrogów.

Ale mimo to chodzę do ich baru.

248

Dlaczego?

Dla zabawy.

Lubię czasem pociągnąć tygrysa za ogon.

Naprawdę jesteś wariat pomyślał Rowse.

Sądzę, że powinienes tam pójść stwierdził McCready póź niej, wieczorem.

Mógłbyś się czegoś dowiedzieć, coś zobaczyć.

Albo oni cię mogą zobaczyć, zastanawiać się, po co tu jesteś.

Jeśli zaczną rozpytywać, nadzieją się na historię o zbieraniu materiałów do powieści.

Nie uwierzą, dojdą do wniosku, że naprawdę kupujesz broń do użytku w Ameryce.
I fama idzie.

A my chcemy, żeby szła.

wypij sobie tylko parę piw i siedź cicho.

Potem trzymaj się z daleka od tego zwariowanego Niemca.

McCready nie uważał za konieczne wspominać, że sam znał ten lokal.

Bar nazywał się "Mysia Dziurka" i krążyły pogłoski, że w zeszłym roku niemiecki tajny agent pracujący dla Brytyjczyków został zdemaskowany i zastrzelony w pokoju na piętrze.

Facet zniknął bez śladu.

Było to za mało dla policji niemieckiej, żeby przetrząsnąć to miejsce, a niemiecki kontrwywiad wolał zostawić Palestyńczyków i Irlandczyków w spokoju. Zniszczenie ich ośrodka dyspozycyjnego oznaczałoby po prostu, że założyliby go gdzieś indziej.

Mimo to pogłoski utrzymywały się nadal.

Następnego wieczoru Uli Kleist zapłacił za taksówkę na Reeperbahn i poprowadził Rowsea Davidstrasse, obok stalowych wrót wejściowych do Herbertstrasse, gdzie dniem i nocą siedziały w oknach prostytutki, obok bram browarów i w dół na sam koniec ulicy, gdzie w księżycowym blasku połyskiwała łaba.

Skręcił w prawo w Bernhard Nochtstrasse i po przejściu dwustu metrów zatrzymał się przed nabijanymi ćwiekami drewnianymi drzwiami.

Przycisnął dyskretnie ukryty z boku dzwonek, na co odsunęła się nie wielka kratka.

Spoczęło na nim jakieś oko, odbyła się jakaś szeptana konferencja wewnątrz i drzwi się otworzyły.

Portier i stojący koło niego mężczyzna w stroju wieczorowym byli Arabami.

Dobry wieczór, panie Abdallah rzucił ochoczo po niemiecku Kleist.

Umieram z pragnienia i chciałbym się czegoś napić.

Abdallah spojrział na Rowsea.

On jest w porządku, to przyjaciel zaznaczył Kleist.

Arab skinął głową w stronę portiera, który otworzył drzwi, by mogli wejść.

Kleist wydawał się wielki, ale portier był zwalisty, ogolony na zero, i widać było, że nie ma z nim żartów.

Przed laty, jeszcze w obozach libańskich, był "egzekutorem" PLO.

Pozostał nim, w pewnym sensie.

Abdallah poprowadził ich do stolika, kiwnięciem dłoni wezwał kelnera i zarządził po arabsku, żeby się zajął jego gośćmi.

Dwie cyfry

249 .

□

dziewczyny przy barze, obie Niemki, odeszły od baru i siadły przy ich stoliku. Kleist uśmiechnął się.

Mówiłem ci.

Nie ma sprawy.

siedzieli i pili.

Od czasu do czasu Kleist tańczył zjedną z dziewczyn.

Rowse bawił się swoją szklanką i przyglądał się sali.

Mimo marnej ulicy, przy której się znajdowała, "Mysia Dziurka" była obficie udekorowana, miała prawdziwą orkiestrę i alkohole nie rozcieńczone wodą.

Nawet dziewczyny były ładne i dobrze ubrane.

Część klienteli stanowili Arabowie z zagranicy, resztę Niemcy.

wyglądali na bogatych i nastawionych wyłącznie na dobrą zabawę.

Rowse włożył garnitur; tylko Kleist został w swojej brązowej skórzanej kurtce i rozpiętej pod szyją koszuli.

Gdyby nie był tym, kim był, ze swoją reputacją, pan Abdallah mógłby go z powodzeniem nie wpuścić z powodu stroju.

Nie licząc groźnego portiera, Rowse nie dostrzegł nic, co by wskazywało, że jest to coś innego niż miejsce spotkań biznesmenów, gotowych pozbyć się dużych pieniędzy w nadziei niemal z pewnością płonnej że uda im się jedną z dziewczyn zabrać do domu.

Większość piła szampana; Kleist zamówił piwo.

Nad barem wisiało ogromne lustro, w którym odbijały się stoliki.

Za lustrem znajdowało się biuro kierownika.

Dwaj ludzie stali i patrzyli w dół.

Kim jest twój facet?

cicho spytał jeden szorstkim akcentem z Belfastu.

Niemiec, nazywa się Kleist.

Wpada tu czasami.

Kiedyś był w GSG9.

Teraz już nie, wyszedł z tego.

Odsiedział dwa lata za morderstwo i...

Nie o Niemca mi chodzi przerwał mu pierwszy o tego dru giego, tego, co jest z nim.

O tego Brytyjczyka.

Nie mam pojęcia, Seamus.

Po prostu, przyszedł z nim.

Sprawdź go powiedział pierwszy.

Ja już go gdzieś widziałem.

Weszli, gdy Rowse był w ubikacji.

Skorzystał z pisuaru i mył ręce, gdy weszli dwaj mężczyźni.

Jeden z nich podszedł do pisuaru, stanął przed nim i zaczął majstrować przy rozporoku.

To ten wielki.

Szczuplejszy, przy stojny Irlandczyk, został przy drzwiach.

Wyjął z kieszeni marynarki mały drewniany klin, upuścił go na ziemię i bokiem stopy wsunął pod drzwi.

Nie było mowy choćby o chwili nieuwagi.

Rowse dostrzegł ten gest w lustrze, ale udawał, że nie widzi.

Gdy oł brzym odwrócił się od pisuaru, był gotów.

Obrócił się, zrobił unik przed pierwszym ciosem wielkiej pięści wymierzonym w jego głowę i dał face-1 towi kopniaka we wrażliwe ścięgno pod rzepeką lewego kolana.

Ołbrzym zaskoczony, jęknął z bólu.

Jego lewa noga ugięła się, przez co głowa znalazła się na poziomie talii.

Kolano Rowsea uderzyło mocno i

250

w szczękę.

Zachręściły wybijane zęby i trysnęła krew ze zranionych ust.

Rowse czuł, jak ból kontuzjowanego kolana idzie w górę do uda.

Walkę zakończył trzeci cios cztery nastawione kłykcie, które Rowse wpako wał przeciwnikowi w gardło.

Następnie zwrócił się do faceta przy drzwiach.

Spokojnie, przyjacielu odezwał się facet imieniem Seamus.

On chciał tylko z tobą pogadać.

Miał szeroki rozbrajający uśmiech, który musiał robić cuda z dziewczynami.

Jego oczy pozostały chłodne i czujne.

Quest-ce qui se passę?

spytał Rowse.

Wchodząc przedstawił się jako przyjezdny Szwajcar.

Niech pan da spokój, panie Rowse rzucił Seamus.

fo pierw sze, ma pan napisane na czole, że jest pan Brytyjczykiem.

Po drugie, pana zdjęcie jest na okładce pańskiej książki, którą przeczytałem z wielkim za interesowaniem.

Po trzecie, przed laty w Belfaście był pan w Specjalnych Siłach Lotniczych. Przypomniałem sobie, że już pana gdzieś widziałem.

No i co z tego odparł Rowse.

Ja już z tego wyszedłem.

Na dobre.

Żyję z pisanie powieści.

To wszystko.

Seamus OKeefe przemyślał tę informację.

Możliwe przyznał.

Gdyby Anglicy przysyłali agenta do mojego pubu, to chybaby nie wzięli faceta, którego twarzą jest wytapetowane tyle książek.

A zresztą może?

Owszem, mogliby powiedział Rowse ale nie mnie.

Ja bym już więcej dla nich nie pracował.

Rozeszły nam się drogi.

Też to słyszałem.

No dobrze, chodź pan się napić.

Prawdziwego drinka.

Za dawne czasy.

wykopał klin spod drzwi, a następnie je otworzył.

Ołbrzym dźwigał się z posadzki na czworakach.

Rowse wyszedł.

OKeefe zatrzymał się, by szepnąć coś do ucha wielkiemu mężczyźnie.

w barze Uli Kleist dalej siedział przy stoliku.

Dziewczyny poszły.

Kie rownik i zwalisty portier stali obok niego.

Gdy Rowse przechodził, Kleist uniósł brew.

Gdyby Rowse mu kazał, biłby się, nawet nie mając szans.

Rowse potrząsnął głową.

w porządku.

Uli powiedział.

Spokojnie.

Idź do domu.

Skon taktuję się z tobą.

OKeefe wziął go do swojego mieszkania.

Pili Jamesona z wodą.

Powiedz mi o tym "zbieraniu materiałów", pisarzu zażądał spokojnie

OKeefe.

Rowse wiedział, że w korytarzu, w zasięgu głosu, są jeszcze dwaj face

ci.

Dalsza szarpanina nie miałaby sensu.

Naszpicował OKeefemu intrygę swojej następnej powieści.

251 .

□

A więc to nie będzie o chłopakach z Belfastu?

OKeefe był zaskoczony.

Nie mogę powtarzać tego samego pomysłu przyznał Rowse.

wydawcy by nie wzięli.

To będzie o Ameryce.

Rozmawiali przez całą noc.

I pili.

Rowse miał mocną głowę do whi sky; i całe szczęście.

OKeefe puścił go o świcie.

Rowse poszedł do hotelu pieszo, bo mu się kurzyło ze łba.

Tamci pracowali nad Kleistem w opuszczonym magazynie, do którego zabrali go, gdy Rowse opuścił klub.

Trzymał go wielki portier; drugi Pale styńczyk operował narzędziami.

Uli Kleist był twardy, ale Palestyńczycy nauczyli się sporo o bólu w południowym Bejrucie.

wytrzymał, ile mógł, ale przed świtem zaczął mówić.

O wschodzie słońca pozwolili mu umrzeć.

Była to upragniona ulga.

Irlandczyk z męskiej toalety patrzył i słuchał, co jakiś czas dotykając krwawiących ust.

Gdy było po wszystkim, uzyskane informacje przekazał OKeefemu.

Szef placówki IRA skinął głową.

Przypuszczałem, że jest w tym coś więcej niż powieść powie działa. Następnie wysłał telegram do faceta w Wiedniu. Telegram był bar dzo starannie sformułowany.

Kiedy Rowse opuścił mieszkanie OKeefa i poszedł przez budzące się miasto do hotelu przy stacji kolejowej, jeden z jego opiekunów spo kojnie ruszył za nim.

Drugi pilnował opuszczonego magazynu, ale nie interweniował.

W porze lunchu Rowse zjadł wielką Bratwurst obficie udekorowaną słodką niemiecką musztardą.

Kupił ją w Schnellimbiss, jednym z naroż nych kiosków, które handlują pysznymi kiełbaskami przeznaczonymi dla tych, którzy się spieszą.

Jedząc kątem ust rozmawiał z człowiekiem stoją cym obok.

Myślisz, że OKeefe ci uwierzył?

spytał McCready.

Mógł.

Jest to dość prawdopodobne wyjaśnienie.

Autorzy powieści sensacyjnych muszą, mimo wszystko, grzebać się w różnych dziwnych rzeczach w różnych dziwnych miejscach.

Ale mógł mieć wątpliwości.

Nie jest głupi.

A sądzisz, że Kleist ci uwierzył?

Rowse roześmiał się.

Nie, nie Uli.

Uli musi być przekonany, że jestem pewnego rodza ju renegatem, który został najemnikiem i rozgląda się w sprawie zakupu broni dla jakiegoś klienta.

Był zbyt uprzejmy, żeby mi to powiedzieć, ale historii o zbieraniu materiałów do powieści nie kupił z pewnością.

Rozumiem rzucił McCready.

To chyba ubiegła noc była dodatkową premią.

Na pewno zaczynają cię zauważać.

Zobaczmy, czy

252

F

Wiedeń puści cię dalej tym tropem.

Przy okazji, zabukowałeś się na lot jutro rano.

Zapłać gotówką na lotnisku.

Lot do Wiednia był przez Frankfurt i samolot wystartował o czasie.

Rowse leciał klasą klubową.

Po starcie stewardesa rozniosła gazety.

Po nieważ były to linie krajowe, nie miała prasy angielskiej.

Rowse doga dywał się łamaną niemczyzną i potrafił odcyfrować tytuły.

Ten, który obejmował dolną połowę pierwszej strony "Morgenpost", nie wymagał odcyfrowywania.

Twarz na zdjęciu miała oczy zamknięte i otaczały ją śmieci.

Tytuł gło sił: "Zabójca magnatów narkotykowych zamordowany".

Tekst podawał, że dwaj śmieciarze znaleźli ciało koło pojemnika na śmieci w zaułku w po bliżu nabrzeża.

Policja uważa to zabójstwo za wynik porachunków gang sterskich.

Rowse wstał i minąwszy zasłony ruszył przejściem prowadzącym do toalet klasy ekonomicznej.

Prawie na samym końcu samolotu opuścił gazetę na kolana wyiętego faceta czytającego magazyn linii lotniczej.

Ty skurwysynu syknął.

Ku niejakiemu zdumieniu Rowsea major Koriagin odebrał jego te lefon w ambasadzie sowieckiej już za pierwszą próbą.

Rowse mówił po rosyjsku.

Żołnierze Specjalnych Sił Lotniczych, a szczególnie oficerowie, mu są być osobnikami wszechstronnie utalentowanymi.

Ponieważ podstawowa jednostka bojowa Specjalnych Sił Lotniczych liczy tylko czterech lu dzi, wymaga to szerokiego zakresu sprawności.

W czteroosobowej grupie wszyscy przechodzą szkolenie sanitarne wyższego stopnia, potrafią obsłu giwać radio i znają jako zespół kilka języków, nie mówiąc o umiejętności wal ki.

Ponieważ pułk, niezależnie od swej roli w NATO, działał na Mała jach, w Indonezji, Omanie i Środkowej oraz Południowej Ameryce, naj większą wagę przykładano do malajskiego, arabskiego i hiszpańskiego.

Ze względu na rolę w NATO preferowano oczywiście rosyjski i jeden lub dwa języki krajów sojusznicznych.

Rowse mówił po francusku i rosyjsku i posługiwał się też irlandzkim galickim. Telefon kogoś zupełnie obcego do majora Koriagina w ambasadzie nie był niczym specjalnie dziwnym.

Niezależnie od swojej oficjalnej funkcji attache wojskowego, jako człowiek GRU Koriagin miał również za zadanie pilnować napływających strumieniem zgłoszeń do czeskiej agencji handlującej bronią Ompol.

253 .

Zgłoszenia rządowe były kierowane do rządu Husaka w Pradze.

Nie dotyczyły Koriagina.

Inne, ze źródeł bardziej wątpliwych, przychodziły do zagranicznego biura Ompol, z siedzibą w neutralnym Wiedniu.

Te wszystkie trafiały do Koriagina.

Niektóre zatwierdzał, inne odsyłał do Moskwy do decyzji, jeszcze inne stopował od ręki.

Nie mówił jednak Moskwie, że jego ocena mogła zależeć od szczodrej łapówki.

Zgodził się na wieczorne spotkanie z Rowseem u Sachera.

Nie wyglądał na Rosjanina z karykatur.

Był gładki, zadbane, ogolony i dobrze ubrany.

I znany w tej słynnej restauracji.

Główny kelner wskazał mu stolik w rogu z dala od orkiestry i wrzawy głosów innych gości.

Dwaj mężczyźni usiedli i zamówili sznycle z lekkim wytrawnym austriackim czerwonym winem.

Rowse wyjaśnił potrzebę zbierania informacji do swojej następnej książki.

Koriagin słuchał grzecznie.

Ci amerykańscy terroryści westchnął, gdy Rowse skończył.

Terroryści powieściowi uściślił Rowse.

Naturalnie, ci amerykańscy terroryści powieściowi, czego oni mają szukać?

Rowse podał mu arkusz maszynopisu, który wyjął z wewnętrznej kieszeni.

Rosjanin przeczytał listę, uniósł brew i zwrócił kartkę.

To niemożliwe orzekł rozmawiając z niewłaściwym czło wiekiem.

Po co pan się ze mną umawiał?

Pewien przyjaciel z Hamburga powiedział mi, że pan jest nadzwyczaj dobrze poinformowany.

Zmienię pytanie: po co w ogóle spotykać się z kimkolwiek?

Dla czego sobie tego nie wymyślić?

To w końcu przecież tylko powieść.

Chodzi o autentyczność zaznaczył Rowse.

Nowoczesny autor nie może sobie pozwolić na pisanie rzeczy całkowicie niezgodnych z rzeczywistością.

Czytelnicy nie dadzą się dziś nabrać na szkolne błędy w tekście.

Przykro mi, ale ciągle pan nie rozumie, o co chodzi, panie Rowse.

Niektóre pozycje tej listy nie mieszczą się w definicji broni konwencji.

Teczki-pułapki, miny Claymorea...

po prostu blok socjali styczny tego nie dostarcza.

Czemu nie użyć prostszych broni w pana...

powieści?

Ponieważ terroryści...

Terroryści powieściowi mruknął Koriagin.

Oczywiście, powieściowi terroryści...

to znaczy zamierzam ich w tej książce...

chcę, żeby dokonali zamachu dotyczącego Białego Domu.

Zwykłe strzelby dostępne w każdym sklepie z bronią w Teksasie nie wystarczą.

254

Nie mogę panu pomóc stwierdził Rosjanin wycierając usta.

Mamy czasy głośności.

Broń w rodzaju min Claymorea, które i tak są amerykańskie i nieosiągalne...

Mają kopię w Bloku Wschodnim powiedział Rowse.

Po prostu się ich nie dostarcza, z wyjątkiem zamówień międzyrządowych, i to tylko dla legalnych celów obronnych.

Mój kraj nie śniłby nawet o dostarczaniu takich materiałów czy tolerowaniu ich dostaw przez kraj zaprzyjaźniony.

Jak Czechosłowacja.

No właśnie, jak na przykład Czechosłowacja.

Ale jednak broń ta trafia do rąk pewnych grup terrorystycznych rzucił

Rowse.

Powiedzmy Palestyńczyków.

Możliwe, ale nie mam zielonego pojęcia jak oświadczył Rosja nin i zaczął wstawać.

A teraz, jeśli pan pozwoli...

Wiem, że to śmiałe pytania powiedział Rowse ale poszu kując autentyczności rozporządzam skromnym funduszem na te cele...

Uniósł róg złożonej gazety, która leżała na trzecim krześle, ukazując wąską białą kopertę.

Koriagin usiadł z powrotem, wyciągnął kopertę i spoj rzał na marki niemieckie. Popatrzył na nie w zamyśleniu, następnie wsu nął kopertę do wewnętrznej kieszeni.

Gdybym ja był na pana miejscu i gdybym chciał zdobyć pewne materiały, aby je następnie sprzedać jakiejś grupie amerykańskich terrorystów, całkowicie fikcyjnych oczywiście, to wybrałbym się do Trypolisu i próbował się zobaczyć z niejakim pułkownikiem Hakimem al-Mansurem.

A teraz naprawdę muszę się spieszyć.

Dobranoc, panie Rowse.

Dobre i to powiedział McCready, gdy stali obok siebie w toa lecie męskiej nędznego baru w pobliżu rzeki.

Myślę, że powinienes tam jechać.

A co z wizą?

Najlepiej spróbuj Libijskiego Biura Ludowego w Valletcie.

Jeśli ci udziela wiza bez czekania, to znaczy, że zostałeś zapowiedziany.

Myślisz, że Koriagin da znać do Trypolisu?

spytał Rowse.

Jasne.

Inaczej po co by ci radził tam jechać?

Tak, Koriagin daje swemu przyjacielowi al-Mansurowi szansę, by mógł cię zobaczyć i nie co głębiej wejrzeć w twoją śmieszna historię.

No bo oczywiście przynajmniej w tę historię o zbieraniu materiałów do powieści nikt już nie wierzy.

Wzięłaś pierwszą przeszkodę.

Te łobuzy naprawdę zaczynają myśleć, że jesteś zdrajcą, który próbuje zrobić szybkie pieniądze pra255 .

□

cując dla jakiejś szemranej grupy amerykańskich szaleńców.

Al-Mansur będzie chciał znacznie więcej niż to, oczywiście.

Z Wiednia Rowse poleciał do Rzymu, a stamtąd do stolicy Malty.

Dwa dni później nie ma potrzeby ich poganiać, stwierdził McCready złożył w Biurze Ludowym podanie o wizę na przyjazd do Trypolisu.

Jako powód podał badania do książki o zdumiewającym postępie Ludowej Dżamahirii. Wiza przysła w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Nazajutrz rano Rowse poleciał Libijskimi Liniami Lotniczymi z Valletty do Trypolisu.

Gdy za połyskliwie błękitnym Morzem Śródziemnym pojawiło się brązowe jak ochra wybrzeże Trypolitanii, pomyślał o pułkowniku Dawidzie Stirlingu i innych, o Paddy Maynie, Jocku Lewisie, Reillym, Almondsie, Cooperze i całej reszcie ludzi ze Specjalnych Sił Lotniczych, którzy tuż po utworzeniu grupy zaatakowali i powysadzali niemieckie bazy wzdłuż wybrzeża z górą dziesięć lat przed jego urodzeniem.

I pomyślał o słowach McCreadyego wypowiedzianych na lotnisku wValletcie, gdy dwaj opiekunowie czekali w samochodzie: "Obawiam się, że Trypolis jest jednym z tych miejsc, w które nie mogę za tobą poje chać.

Tam nie będziesz miał wsparcia.

Będziesz sam..."

Jak jego poprzednicy z roku 1941, z których część dalej leżała po chowana w piaskach pustyni, Rowse miał się przekonać, że w Libii bę dzie całkowicie samotny.

Samolot opuścił jedno skrzydło i zaczął tracić wysokość zbliżając się do lotniska w Trypolisie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Początkowo wydawało się, że nie będzie problemu.

Rowse leciał klasą ekonomiczną i był jednym z ostatnich, którzy wysiedli z samolotu.

Scho dził za innymi pasażerami po schodkach w pałające słońce libijskiego poranka.

Z tarasu obserwacyjnego nowoczesnego budynku dworca lotni czego wyłowiła go para

beznamiętnych oczu, a lornetka na krótko skierowała się na niego, gdy przez pole startowe szedł w stronę drzwi "Dla przyjeżdżających".

Po chwili lornetkę odłożono i ktoś wymruczał cicho parę słów po arabsku. Rowse wszedł w klimatyzowany chłód terminalu dla przyjeżdżających i zajął miejsce na końcu kolejki do kontroli paszportowej. Ciemnoocy urzędnicy imigracyjni działali bez pośpiechu: przeglądali każdy paszport

256

strona po stronie, wpatrując się w twarze pasażerów i porównując je dłużej z fotografiami, a następnie zaglądając do listy trzymanej poza zasięg wzroku innych pod pulpitem.

Posiadacze paszportów libijskich czekał w oddzielnej kolejce.

Dwaj amerykańscy inżynierowie naftowi, którzy siedzieli w części dla palących i byli za Rowseem, zamykali kolejkę.

Dojście do okienka zajęło Rowseowi dwadzieścia minut.

Oficer w zielonym mundurze wziął od niego paszport, otworzył i spojrział w dół na notatkę.

Z pozbawioną wyrazu twarzą podniósł wzrok i skierował go do kogoś za Rowseem.

Ten ktoś pociągnął Rowsea za łokieć.

Rowse obrócił się.

Inny mundurowy, młodszy, grzeczny, lecz stanowczy.

Nie opo dał stało dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Pan pozwoli ze mną odezwać się młody oficer w znośnej angielszczyźnie.

Czy coś jest nie w porządku?

spytał Rowse.

Dwaj Amerykanie zamilkli.

W krajach dyktatury wyjęcie pasażera z kolejki paszportowej skutecznie wstrzymuje rozmowy.

Młody oficer obok niego sięgnął pod kratką i odebrał jego paszport.

Tędy, proszę powiedział.

Dwaj żołnierze podeszli z tyłu, po jednym z każdej strony.

Prowadził oficer, za nim szedł Rowse, żołnierze z tyłu.

Skręcili z głównej hali i poszli długim białym korytarzem.

Na końcu, z lewej, oficer otworzył drzwi i gestem kazał Rowseowi wejść.

Żołnierze zajęli miejsce po obu stronach drzwi.

Oficer wszedł za Rowseem do pokoju i zamknął drzwi.

Był to biały nagi pokój z okratowanymi oknami.

Pośrodku stał stół i dwa krzesła na przeciwko siebie; to wszystko.

Ze ściany wdziały się portret Muammara Kadafiego.

Rowse usiadł na jednym z krzesła; oficer na drugim i zaczął studiować jego paszport.

Nie rozumiem, o co chodzi powiedział Rowse.

Moja wiza została wydana wczoraj przez wasze Biuro Ludowe w Valletcie.

Chyba jest w porządku?

Oficer ospałym gestem ręki zwyczajnie dał mu znak, że ma być cicho.

Był cicho.

Bzyczała mucha.

Minęło pięć minut.

Z tyłu Rowse usłyszał, że ktoś otwiera drzwi.

Młody oficer spojrział, zerwał się na nogi i zsalutował.

Następnie bez słowa opuścił pokój.

A więc jest pan w końcu, panie Rowse.

Głos był głęboki i modulowany, a angielszczyzna rodem z jednej z lepszych prywatnych szkół średnich w wielkiej Brytanii.

Rowse obrócił się.

Nie dał po sobie poznać, że cokolwiek kojarzy, ale godzinami studiował zdjęcie tego faceta podczas rozmów wprowadzających z McCreadym.

257 .

□

"Jest gładki, układny i wykształcony, przez nas mówił mu McCready.

Jest również całkowicie pozbawiony skrupułów i bardzo niebezpieczny.

Uważaj z Hakimem al-Mansurem..."

Szef zagranicznego wydziału libijskiego wywiadu był młodszy, niż to wynikało z jego zdjęć, a niewiele starszy od Rowsea.

Trzydzieści cztery lata, według dossier.

W 1969 Hakim al-Mansur był piętnastoletnim chłopcem, uczniem prywatnej szkoły średniej w Harrow pod Londynem, synem i spadkobiercą nadzwyczaj bogatego człowieka, zaufanego i bliskiego królowi Libii Idrysowi.

To właśnie w tym roku grupa młodych radykalnie nastawionych oficerów z nieznanym pułkownikiem, Beduinem z pochodzenia, o nazwisku Kadafi na czele, przeprowadziła zamach stanu, gdy król był za granicą, i go obaliła. Natychmiast ogłosili utworzenie Ludowej Dżamahirii, republiki socjalistycznej. Król i jego dwór schronili się ze swymi znaczącymi zasobami w Genewie i zwrócili się do Zachodu o pomoc w przywróceniu ich do władzy. Nikt na tę prośbę nie zareagował.

Poza świadomością ojca młody Hakim zachwyił się biegiem wypadków we własnym kraju.

Zdażył się już wyrzec i ojca, i całej jego polityki, za ledwie rok wcześniej bowiem jego młoda wyobraźnia została rozpalona przez rozruchy i niemal rewolucję radykalnych studentów i robotników w Paryżu.

Radykalne poglądy często urzekają rozbudzonych młodych ludzi, a uczeń Harrow przeszedł metamorfozę na duszy i ciele.

Zaczął bombardować podaniaми ambasadę Libii w Londynie domagając się zezwolenia na opuszczenie Harrow i powrót do kraju, by wziąć udział w socjalistycznej rewolucji.

Jego listy były dostrzegane i odrzucane.

Lecz jeden z dyplomatów, zwolennik starego reżimu, dał znać al-Mansurowi seniorowi w Genewie.

O odbyła się gwałtowna kłótnia między ojcem i synem.

Chłopak odmówił pokajania się.

W wieku siedemnastu lat, bez środków do życia, Hakim al-Mansur opuścił przedwcześnie Harrow.

Przez rok jeździł po Europie, próbując przekonać Trypolis o swej lojalności, stale odrzucany.

W roku 1972 udał, że zmienił poglądy, pojednał się z ojcem i pojechał do Genewy na dwór królewski na wygnaniu.

Przebywając tam poznał szczegóły spisku byłych oficerów Brytyjskich Sił Specjalnych, finansowanego przez ministra skarbu króla Idrysa dla przeprowadzenia zamachu przeciw Kadafiemu przez atak komandosów na wybrzeże libijskie ze statku "Leonardo da Vinci" z Genui.

Mieli wyłać mać bramę głównego więzienia w Trypolisie, tak zwanego Hiltona Tripoli, i uwolnić wszystkich szefów klanów pustynnych, którzy popierali

258

króla Idrysa i nienawidzili Kadafiego.

I którzy mieli się następnie rozjechać, poderwać swoje plemiona do walki i obalić uzurpatora.

Hakim al-Mansur natychmiast ujawnił cały plan libijskiej ambasadzie w Paryżu.

W rzeczywistości plan ten był już "spalony" (przez CIA, która późnie tego żałowała) i został zlikwidowany przez włoskie siły bezpieczeństwa na żądanie Amerykanów.

Lecz gest al-Mansura zaowocował długą rozmową w paryskiej ambasadzie.

Al-Mansur zdażył już sobie przyswoić większość niezbornych przez mówień Kadafiego i jego poronionych idei, a entuzjazm chłopaka zrobił takie wrażenie na przesłuchującym go urzędniku ambasad, że zafundowano młodemu zapaleńcowi podróż do kraju.

Dwa lata później udzielo no mu poparcia na wstąpienie do Korpusu Wywiadowczego Muchabarat.

Kadafi osobiście przyjął i z miejsca poczuł sympatię do młodego czło wieka, awansując go bardziej, niżby to usprawiedliwiał jego wiek.

W okresie 1974-1984 al-Mansur wykonał dla Kadafiego szereg "mokrych robót" za granicą, bez trudu poruszając się po wielkiej Brytanii, Ameryce i Francji, gdzie jego płynna angielszczyzna i układność robiły bardzo dobre wrażenie, jak również po ośrodkach terroryzmu na Środkowym Wschodzie, gdzie umiał być stuprocentowym Arabem.

Dokonał osobiście trzech zabójstw na politycznych przeciwnikach Kadafiego za granicą i będąc wszechstronnie powiązany z PLO stał się bliskim przyjacielem i wielbi cielem stratega i mózgu Czarnej Wrzesnia, Abu Hassana Salameha, którego sam bardzo przypominał.

Jedynie zimna krew powstrzymała go przed wspólną z Salamehem grą w squasha o świcie tego dnia w 1979 roku, gdy izraelski Mossad ostatecznie dopadł człowieka, który odpowiadał za masakrę ich zawodników podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium, i rozwalił go na kawałki. Zespół "kidon" z Tel Awiwu nigdy się nie dowiedział jak blisko był tego, by jedną bombą załatwić dwa podobne ptaszki.

W roku 1984 Kadafi awansował al-Mansura na szefa wszystkich za granicznych akcji terrorystycznych, a w dwa lata później amerykańskie bomby i

rakiety zrobiły z dyktatora wraka nerwowego.
Kadafi chciał odwetu i rzeczą al-Mansura było sprawę załatwić, i to szybko.
Od strony Brytyjczyków nie było problemu; ludzie IRA (których prywatnie uważał za zwierzęta), będą znaczyć swój ślad krwią i śmiercią na terenie całej Anglii, jeśli im się dostarczy niezbędnych środków.
Problem polegał na znalezieniu grupy, która robiłaby to samo w Ameryce.
I tu pomyślano o tym młodym Brytyjczyku, który mógł być, ale równie dobrze mógł nie być renegatem.

259 .

Moja wiza, powtarzam, jest w zupełnym porządku powiedział Rowse z rozdrażnieniem więc czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

Oczywiście, panie Rowse, odpowiedź jest prosta.

Odmawia się panu wjazdu do Libii.

Al-Mansur przeszedł przez pokój, aby wyrzeć przez okno na hanga- ry remontowe linii lotniczych.

Ale dlaczego?

zapytał Rowse.

Moja wiza została wydana wczoraj w Valletcie.

Jest w porządku.

Przyjechałem tylko zebrać materia- i ły do paru fragmentów mojej następnej powieści.

Panie Rowse, niech pan sobie daruje pozę skrzywdzonej niewin ności.

Jest pan byłym żołnierzem Brytyjskich Sił Specjalnych, który, jak i utrzymuje, przeszedł na pisanie powieści.

I zjawia się pan tutaj twierdząc, że chce opisać nasz kraj w swojej najnowszej książce.

Szczerze mówiąc wątpię, czy ten pański opis byłby szczególnie pochlebny, a naród libijski, niestety, nie podziela waszej brytyjskiej skłonności do autoironii.

Nie, pa nie Rowse, nie może pan zostać.

Proszę ze mną, odprowadzę pana z po wrotem do samolotu na Malte.

wydał rozkaz po arabsku i drzwi się otworzyły.

weszli dwaj żołnierze. Jeden z nich złapał walizkę Rowsea.

Al-Mansur wziął ze stołu jego pasz port.

Drugi żołnierz stanął z boku, by przepuścić cywilów.

Al-Mansur.

wyprowadził Rowsea innym przejściem na dwór, w słońce.

Libijski samo lot pasażerski stał gotowy do odlotu.

Moja walizka rzucił Rowse.

Jest już na pokładzie, panie Rowse.

Czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

spytał Rowse.

W tej chwili nie, mój przyjacielu.

Po prostu proszę mnie nazywać...

panem Azizem.

No a dokąd pan się zamierza stąd udać w sprawie tych swoich poszukiwań?

Nie wiem wyznał Rowse.

Chyba utknąłem w martwym punkcie.

To niech pan zrobi przerwę doradził mu al-Mansur.

I je dzie na krótki urlop.

A co by pan powiedział na Cypr?

Śliczna wyspa.

Osobiście cenię sobie chłodne powietrze gór Troodos o tej porze roku.

Tuż za Pedhoulas w dolinie Marathassa jest uroczy stary hotel "Apollonia".

Naprawdę polecam.

Interesujący ludzie się tam zatrzymują...

Bez pieczonej podróży, panie Rowse.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jeden z sierżantów specjalnych sił

Lotniczych zauważył przechodzącego Rowsea na lotnisku w Vallet cie.

Nie spodziewali się go tak szybko z powrotem.

Sierżanci dzielili pokój w hotelu lotniskowym, pełniąc na zmianę czterogodzinne dyżury

260

w hali przylotów.

Facet mający akurat służbę czytał magazyn sportowy, kiedy zauważył Rowsea wychodzącego z odprawy celnej, z neseserkiem w jednej i z walizką w drugiej ręce.

Nie podnosząc głowy pozwolił mu przejść i obserwował go, gdy Rowse zbliżył się do stanowiska z napi sem "Cypryjskie Linie Lotnicze".

Następnie użył telefonu ściennego, by poderwać kolegę w hotelu.

Kolega poderwał McCreadyego w śród mieściu Valletty.

Cholera zaklął McCready dlaczego, u diabła, tak prędko /wrócił?

Nie wiem, szefie powiedział sierżant ale Danny mówi, że rozmawiał na stanowisku linii cypryjskich.

McCready myślał z wściekłością.

Miał nadzieję, że Rowse zostanie w Trypolisie przez kilka dni, że jego legenda o poszukiwaniu wymyślnej broni dla grupy powieściowych amerykańskich terrorystów doprowadzi w końcu do aresztowania i przesłuchania przez samego al-Mansura.

A wy głąda na to, że go wyrzucili.

Ale dlaczego Cypr?

Czyżby Rowse wymknął im się spod kontroli?

Musi się do niego dostać i sprawdzić, co się zda rzyło w Trypolisie.

Lecz Rowse nie przyjechał do hotelu, gdzie można było w tajny sposób uzyskać od niego raport sytuacyjny.

Jechał dalej.

Może myślał, że te łobuzy mają go teraz na oku...

Bili polecił do telefonu powiedz Dannyemu, żeby go pil nował.

A jak będzie odpowiedni moment, podejdz do stanowiska linii cypryjskich i spróbuj się dowiedzieć, dokąd poszedł.

Następnie bukuj Dannyego na ten sam lot, a nas na następny.

Ja tam zaraz będę.

Ruch w śródmieściu Valletty jest ostry o zachodzie słońca i zanim McCready dotarł na lotnisko, wieczorny samolot do Nikozji już odle ciał z Rowseem i Dannyem na pokładzie.

Następny lot był dopiero nazajutrz.

McCready również zatrzymał się w hotelu lotniskowym.

O pół nocy miał telefon od Dannyego.

Halo, wujku.

Jestem w hotelu na lotnisku w Nikozji.

Ciocia po szła spać.

Musi być zmęczona powiedział McCready.

Czy to ładny hotel?

Tak, bardzo dobry.

Mamy pokój super.

Sześć dziesięć.

To świetnie.

Prawdopodobnie po przyjeździe też się tam zatrzy mam.

Jak tam wakacje?

wspaniale.

Ciocia wypożyczyła na jutro samochód.

Myślę, że po jedziemy w góry.

Może być cudownie rzucił jowialnie McCready do swojego ..siostrzeńca" poprzez wschodnią część Morza Śródziemnego.

Wiesz

261 .

□

co, zarezerwuj dla mnie pokój.

Przyjadę do ciebie i do cioci, jak tylko będę mógł.

Dobranoc, drogi chłopcze.

Odłożył słuchawkę.

Skurwysyn wybiera się jutro w góry mruknął ponuro.

Cze go on się tam dowiedział w tym Trypolisie?

wyjaśni się jutro, szefie uspokoił go Bili.

Danny zostawi wiadomość w zwykłym miejscu.

Bili nie widział powodu, dla którego nie miałyby wykorzystać czasu na spanie, gdy była taka możliwość, obrócił się więc na bok i w ciągu trzy dziesiętu sekund spał mocno.

W jego zawodzie nigdy nie wiadomo, kiedy nadarzy się następna okazja.

Samolot McCreadyego z Valletty lądował na lotnisku stolicy Cypru tuż po jedenastej, tracąc godzinę z powodu różnicy czasu.

Trzymali się z Billem oddzielnie, chociaż wysiedli z tego samego samolotu i skorzy stali z tego samego autobusu dowożącego pasażerów do hotelu lotnisko wego.

McCready rozsiadł się w barze w hotelowym hallu, podczas gdy Bili poszedł do pokoju 610.

Zastał tam sprzątaczkę.
Skinął jej głową, uśmiechnął się i wyjaśnił, że zapomniał brzytwy.
Wszedł do łazienki, gdzie Danny zostawił swój raport przyklejony taśmą do spodu pokrywy zbiornika klozetu.
Wyszedł z łazienki i trzymając brzytwę, którą wyjął z kieszeni, powtórnie skinął głową sprzą-

taczce, co zostało odwzajemnione pełnym zrozumienia uśmiechem, a następnie zszedł na dół.

Przekazali to sobie w męskiej toalecie w pobliżu hallu.
McCready ;

zamknął się w kabinie i przeczytał raport.
Całe szczęście, że Rowse nie ;
próbował się kontaktować.
Według Dannego, krótko po wyjściu Rowse z sali odpraw celnych w valletcie ruszył za nim jego "ogon", młody ;

człowiek o ziemistej cerze i w beżowym ubraniu.
Agent libijski szedł za Rowseem do chwili, gdy samolot linii cypryjskich wystartował do Nikozji, ale sam nie poleciał.
Inny "ogon", prawdopodobnie wezwany z Libijskiego Biura Ludowego w Nikozji, czekał na lotnisku i szedł za Rowseem do hotelu, gdzie spędził noc w hallu.
Rowse mógł zauważyć każdego z nich, ale nie dał żadnego znaku.
Danny wypatrzył obu i trzymał się

z daleka.

(

A
Rowse poprosił w recepcji, żeby mu zamówili na siódmą rano samo- j chód.
Znacznie później to samo zrobił Danny.
Rowse poprosił również o mapę wyspy i radził się szefa recepcji, jak najlepiej dojechać do Troodos.

; W ostatniej części swego raportu Danny podawał, że zamierza wyjść z hotelu o piątej, zaparkować tam, gdzie znajdzie jedyną drogę wyjazdową z parkingu, i czekać na pojawienie się Rowsea.

Nie mógł naturalnie wiedzieć, czy rezydent libijski pojedzie za Rowseem aż na samo miejsce, w góry, czy też po prostu tylko zobaczy, jak będzie wyjeżdżał.
On, Danny, będzie się trzymał jak najbliżej i zadzwoni do recepcji hotelu, kiedy ustali cel podróży Rowsea i znajdzie automat telefoniczny.
Poprosi pana Meldruma.

McCready wrócił do hallu i odbył z jednego z automatów krótką rozmowę z ambasadą brytyjską.
Parę minut później rozmawiał z szefem Tajnej Służby Wywiadowczej na Cyprze ważne stanowisko, biorąc pod uwagę tutejsze bazy brytyjskie i bliskość Libanu, Syrii i Izraela oraz palestyńskie ośrodki za morzem.
McCready znał go z czasów londyńskich i szybko uzyskał to, co chciał: nieznaczony wóz z szoferem, który płynnie mówił po grecku.
Samochód miał podjechać w ciągu godziny.

Telefon do pana Meldruma był dziesiąty po drugiej.
McCready wzięty słuchawkę z rąk szefa recepcji.

Jeszcze raz zastosowali schemat wujek-siostrzeniec.

Cześć, chłopcze, jak się masz.

Miło, że dzwonicz.

Cześć, wujku.

Zjedliśmy z ciocią lunch w ślicznym hotelu wysoko w górach w pobliżu wsi Pedhoulas.

Nazywa się "Apollonia".

Myślę, że ciocia będzie chciała się tam zatrzymać, jest tak pięknie.
Pod koniec miałem pewne problemy z samochodem, więc go zostawiłem w warsztacie w Pedhoulas, prowadzonym przez niejakiego pana Demetriou.

Nie szkodzi.

Jak tam oliwki?

Tu nie ma oliwek, wujku.

Tylko sady jabłkowe i wiśniowe.

Oliwki rosną na nizinach.

McCready odłożył słuchawkę i poszedł do męskiej toalety.

Bili ruszyli za nim.

Poczekali, aż wyszedł jedyny gość poza nimi, sprawdzili kabiny i zaczęli

rozmawiać.

Czy wszystko w porządku z Dannym, szefie?

Jasne.

Jechał za Rowseem aż do hotelu wysoko w górach Troodos.

Wygląda na to, że Rowse się tam zatrzymał.

Danny jest we wsi, w warsz tacie samochodowym Demetriou.

Będzie tam na nas czekał.

Libijczyk, ten ciemnoskóry facet, został tutaj, widocznie zadowolony, że Rowse pojechał, gdzie miał pojechać.

Za chwilę będzie samochód.

Weź walizkę i wyjdź.

Czekaj na nas jakąś milę dalej przy drodze.

Pół godziny później rzeczywiście podjechał samochód pana Meldru ma, ford orion z wieloma wgnieceniami stanowiącymi jedyny znak roz poznawczy nie oznaczonego samochodu na Cyprze.

Kierowcą był młody czujny facet, pracownik komórki wywiadowczej w Nikozji.

Nazywał się

263 .

□

Bertie Marks i mówił płynnie po grecku.

Zabrali Billa spod drzewa przy drodze i skierowali się na południowy zachód w stronę gór.

Jazda była długa.

Zapadł już zmierzch, kiedy przyjechali do malowniczej wioski Pedhoulas w samym sercu zagłębia wiśniowego gór Troodos.

Danny czekał na nich w kawiarni naprzeciwko garażu.

Biedny pan Demetriou nie zdołał jeszcze naprawić wynajętego samochodu, który Danny uszkodził tak, by naprawa potrwała nie krócej niż pół dnia.

wskazał na hotel "Apollonia", po czym obaj z Billem objęli całe oto

czenie w zapadającym zmroku profesjonalnym spojrzeniem.

Skoncentrowali się na zbozcu górskim po przeciwległej stronie doliny patrząc ze wspaniałej jadalni hotelowej na tarasie, złapali walizeczki i w milczeniu zniknęli w wiśniowych sadach.

Jeden z nich niósł ręczny radiotelefon, który Marks przywiózł z Nikozji.

Drugi radiotelefon miał zostać u McCreedyego.

Dwaj ludzie z Tajnej Służby wywiadowczej znaleźli sobie mniej szą i skromniejszą tawernę w wiosce i tam się zatrzymali.

Rowse przyjechał w porze lunchu po przyjemnej i wygodnej jeździe z hotelu lotniskowego.

Zakładał, że jest pilnowany przez swoich opiekunów ze Specjalnych Sił Lotniczych, a nawet miał nadzieję.

Poprzedniego wieczora na Malcie świadomie guzdrał się przy załatwianiu formalności paszportowych i celnych.

Wszyscy pasażerowie, z wyjątkiem jednego, odprawili się przed nim.

Tylko młody facet o śniadej cerze z libijskiego Muchabaratu się ociągał.

W ten sposób Rowse się dowiedział, że Hakim al-Mansur posłał za nim człowieka.

Nie rozglądał się za sierżantami ze Specjalnych Sił Lotniczych na dworcu

lotniczym na Malcie, spodziewa jąc się, że będą się trzymali z daleka.

wiedział, że "ogon" z Trypolisu nie polecał za nim do Nikozji, i dla tego przyjmował, że inny będzie tam na niego czekał.

I rzeczywiście.

Rowse zachowywał się w sposób całkowicie naturalny i spał dobrze.

Zobaczył, że zgubił Libijczyka po drodze z lotniska w Nikozji i miał nadzieję, że gdzieś z tyłu jest facet ze Specjalnych Sił Lotniczych.

Nie spieszył się, ale też się i nie rozglądał.

Tym bardziej nie czekał w ukryciu ani nie próbował kontaktu.

Gdzieś wśród wzgórz mógł być ulokowany inny Libijczyk.

w "Apollonii" mieli wolny pokój, więc go wziął.

Może zorganizował to al-Mansur, a może nie.

Był to przyjemny pokój z fantastycznym widokiem poprzez dolinę na zbocza wzgórz pokryte drzewami wiśniowymi, obecnie tuż po okresie kwitnienia.

Zjadł skromny, lecz smaczny lunch, duszone jagnię z lekkim czerwonym winem Omhodos, a potem świeże owoce.

Hotel był starą tawerną, przebudowaną i zmodernizowaną, z takimi udogodnieniami, jak wysu

264

nięty nad dolinę taras jadalny na palach, ze stolikami ustawionymi z dala od siebie pod pasiastymi markizami.

Niezależnie od tego, ile gości bytów hotelu, niewielu przyszło na lunch. Był jakiś starszawy jegomość o łśniących, czarnych włosach, sam przy stoliku w rogu, który mamrotał do kelnera po angielsku, i kilka par, najwyraźniej miejscowych, które mogły po prostu przyjść coś zjeść.

Gdy Rowse wszedł na taras, wychodziła właśnie bardzo ładna młoda kobieta. Rowse obejrzał się za nią; rzeczywiście zwracała uwagę urodą, a ze swą grzywą pszenicznosłotych włosów /prawie na pewno nie była Cypryjką.

Rowse zauważył, że wszyscy trzej gnący się w ukłonach kelnerzy odprowadzali ją pełnymi zachwyty spoj rzeniami, zanim jeden z nich wskazał mu stolik.

Po lunchu Rowse poszedł do swego pokoju na krótką drzemkę.

Jeśli zawiła aluzja al-Mansura znaczyła, że jest "w grze", to nie pozostawało mu nic innego, jak tylko patrzeć i czekać.

Zrobił, co mu radzono.

Na następny ruch, jeżeli w ogóle istniał jakiś następny ruch, był w bramce libijskiej.

Miał tylko nadzieję, że jeśli sprawy pójdą źle, to może liczyć na wsparcie swoich, którzy gdzieś tutaj czuwają.

Do czasu, kiedy się obudził z drzemki, "wsparcie" było już na poste runku.

Dwaj sierżanci znaleźli mały kamienny domek wśród drzew wiśniowych na zboczu wzgórza na wprost tarasu hotelowego.

Dzięki ostrożnemu wysunięciu jednego z kamieni w ścianie od strony doliny powstała dobra szczelina umożliwiająca obserwację hotelu z odległości siedmiuset jardów.

Ich silne lornetki przybliżyły taras jadalny na odległość, jak się wydawało, bliską dwudziestu stóp.

Zmierzchnął, gdy odezwali się do McCreadyego i dali mu wskaźniki, by się zbliżył do ich kryjówki z drugiej strony góry.

Zgodnie z tą instrukcją Marks wyjechał z Pedhoulas i dalej jechał po śladach, aż zoba czyli stojącego na drodze Dannyego.

Wysiadłszy z samochodu, McCready idąc za Dannyem okrążył górę, aż zniknęli obaj w wiśniowym sadzie, skąd mogli dostać się do chatki nie zauważeni z drugiej strony doliny.

Bili wręczył McCreadyemu swoją nocną lornetkę.

Na tarasie jadalnym zapalały się światła wianek kolorowych żarówek otaczający jadalnię dokoła; na każdym stoliku świece w lichtarzach.

Będą nam potrzebne ubrania cypryjskich chłopów, szefie mruknął Danny. Nie mogę na dłuższą metę tak się kręcić po tym zboczku ubrany po naszemu.

McCready w duchu zrobił notatkę, że trzeba Marksa wysłać do jakiejś odległej o milę wioski, żeby kupił coś w rodzaju płóciennych fartuchów i spodni, jakie widzieli po drodze u robotników rolnych.

Przy odrobinie

265 .

□

szczęścia do szopy nikt nie przyjdzie w maju było za późno na opryski kwiatów, a za wcześnie na zbiory.

Szopa stała najwidoczniej opuszczona i miała na wprost zawalony dach. Wszystko pokrywał kurz; opartych o ścianę stało kilka połamanych motylek i oskardów.

Dla sierżantów Spełniających Sił Lotniczych, którzy tygodniami leżeli w wilgotnych kryjówkach na zboczach pagórków Ulsteru, był to hotel czterogwiazdkowy.

No, no mruknął Bili, który wziął z powrotem lornetkę.

Smakowita...

Podał lornetkę McCreadyemu.

Z głębi hotelu wyszła na taras jakaś młoda kobieta.

Rozpromieniony kelner prowadził ją do stolika.

Miała na sobie prostą, -lecz elegancką białą suknię, która ładnie kontrastowała ze złocistą opalenizną.

Jasne blond włosy opadały jej na ramiona.

Usiadła i najwyraźniej zamówiła coś do picia.

Skupcie się na swojej robocie warknął McCready.

Gdzie jest Rowse?

Sierżanci uśmiechnęli się.

A, Rowse...

Rząd okien nad tarasem.

Trzecie okno w prawo.

McCready przesunął lornetkę.

W żadnym z okien zasłony nie były zaciągnięte.

W wielu paliło się światło.

McCready zobaczył nagą postać, z wyjątkiem ręcznika na biodrach, która wyłoniła się z łazienki, i prze szła przez sypialnię.

Był to Rowse.

Na razie było w porządku.

Ale żaden z łobuzów się nie pokazał.

Na taras przybyło dwóch innych gości: opasły kupiec lewantyński z pierścieniami połyskującymi na obu rękach i starszawy jegomość, który siedział samotnie w rogu tarasu i studiował menu.

Westchnął.

W jego życiu było bardzo dużo czekania, a on ciągle nie mógł tego polubić.

Oddał lornetkę i spojrzął na zegarek.

Siódma piętnaście.

Jeszcze dwie godziny, zanim weźmie Marksa do wioski na kolację.

Sier żanci będą czuwać całą noc.

Byli w tym najlepsi pomijając akcje wy magające przemocy fizycznej.

Rowse ubrał się i spojrzął na zegarek.

Siódma dwadzieścia.

Zamknął pokój i zszedł na taras na drinka przed kolacją.

Słońce chowało się za góry, zatapiając drugą stronę doliny w głębokim mroku, podczas gdy sylwetki wzgórz były wspaniale podświetlone od tyłu.

Na brzegu Pafos miało się jeszcze przez godzinę aż do zachodu słońca cieszyć cie płym wieczorem późnej wiosny.

Na tarasie było trzech ludzi: grubas o wyglądzie śródziemnomorskim, stary człowiek o nieprawdopodobnie czarnych włosach i ta kobieta.

Się działa plecami do niego, podziwiając widok rozciągający się za doliną.

Zjawił się kelner.

Rowse skinął w kierunku stolika obok kobiety, pod ba lustradą tarasu.

Kelner uśmiechnął się i pospiesznie go tam zaprowadził.

Rowse zamówił uzo i karafkę miejscowej wody mineralnej.

266

Gdy siadał, dziewczyna rzuciła okiem w bok.

Skłonił się i mruknął:

"wieczór".

Odkłoniła się i w dalszym ciągu wpatrywała się w ciemniejącą dolinę.

Podano mu uzo.

I Rowse spojrzął w dolinę.

Po chwili rzucił:

Czy mogę zaproponować toast?

Była zdumiona.

Toast?

Szklanką wskazał spowite cieniem szczyty gór otaczające ich niby wartownicy i czerwoną łunę pomarańczowego zachodu za nimi.

Za spokój.

I olśniewające piękno.

/ Uśmiechnęła się lekko.

Za spokój powtórzyła i wypiła łyk swego wytrawnego białe go wina.

Kelner przyniósł dwie karty.

Studiowali je przy oddzielnych stolikach.

Dziewczyna zamówiła pstrąga górskiego.

Sam bym lepiej nie wybrał.

Dla mnie też pstrąg powiedział Rowse do kelnera.

A gdy ten wyszedł, Rowse spytał od niechcienia: Pani sama?

Tak, sama odpowiedziała ostrożnie.

Ja też przyznał.

I to mnie gniewa, ponieważ jestem bogo bojnym człowiekiem.

Zmarszczyła brwi.

A co do tego ma Bóg?

Uświadomił sobie, że jej wymowa nie jest brytyjska, jakby lekko nosowa; amerykańska?

Machnął ręką poza taras.

Widok, spokój, wzgórz, zachodzące słońce, wieczór.

On to wszyst ko stworzył, ale przecież nie po to, żebyśmy samotnie jedli kolację.

Roześmiała się błysk czystych białych zębów w słońecznozłotej twarzy.

Staraj się je rozśmieszać, mówił mu ojciec, one to lubią.

Czy mogę się dosiąść?

Tylko na kolację?

Czemu nie.

Na kolację, proszę.

Wziął szklankę i usiadł naprzeciwko niej.

Tom Rowse powiedział.

Monika Browne.

Rozmawiali, prowadząc zwykłą pogawędkę.

wyjaśnił, że jest autorem książek cieszących się średnim powodzeniem i że prowadzi w tej okolicy pewne badania do swojej następnej powieści, która ma się obracać wokół spraw polityki lewantyńskiej i środkowowschodniej.

Zdecydował się zakończyć swoją podróż po wschodniej części Morza Śródziemnego krótkim odpoczynkiem w tym hotelu, poleconym mu przez przyjaciela ze względu na dobre jedzenie i spokój.

A pani?

spytał.

267 .

□

Nic aż tak interesującego.

Zajmuję się hodowlą koni.

Byłam tu w okolicy, żeby zakupić trzy ogiery czystej krwi.

Czasem długo się czeka na papiery.

Więc...

Wzruszyła ramionami.

Trzeba coś robić.

Po myślałam, że lepiej posiedzieć tu, niż tracić czas w porcie.

Ogiery?

Na Cyprze?

Nie.

W Syrii.

Aukcja roczniaków w Hama.

Czyste araby.

Najlepiej sze.

Czy pan wie, że każdy koń wyścigowy w wielkiej Brytanii pochodzi od trzech koni arabskich?

Akurat trzech?

Nie, nie wiedziałem.

Dziewczyna entuzjasmowała się swoimi końmi.

Dowiedział się, że jest żoną znacznie starszego od siebie majora Erika Brownea i że są właścicielami i wspólnie prowadzą stadninę w Ashford.

Pochodzi z Kentucky, gdzie zdobyła swoją wiedzę o hodowli i wyścigach konnych.

Znał Ashford mgliście małe miasteczko w Kencie przy drodze z Londynu do Dover.

Podano pstrąga z rusztu na węgiel drzewny, smakowicie przypieczono nego.

A do tego miejscowe wytrawne białe wino z doliny Marathassa.

Wewnątrz hotelu, za otwartymi na taras drzwiami patio, weszła do baru grupa trzech mężczyzn.

Jak długo będzie pani musiała czekać?

spytał Rowse.

Na ogiery?

Lada dzień, mam nadzieję, to czekanie się skończy.

Martwię się o konie.

Może powinnam była zostać z nimi w Syrii.

Są bardzo ostre.

W transporcie robią się nerwowe.

Ale tutejszy spedytor jest bardzo dobry.

Zawiadomi mnie, jak tylko przyjadą, i wtedy osobiście dopilnuję wysyłki.

W barze mężczyźni skończyli whisky i wskazano im miejsce przy stołku na tarasie.

Rowse pochwycił w ich akcencie coś szczególnego.

Pewną ręką podniósł do ust kęs pstrąga na widelcu.

Powiedz swojemu facetowi, żeby dostarczył jeszcze raz to samo rzucił jeden z mężczyzn.

Po drugiej stronie doliny Danny odezwał się spokojnym głosem:

Szefie...

McCready zerwał się na równe nogi i podszedł do wąskiej szczeliny w kamiennej ścianie.

Danny podał mu lornetkę i odstał do tyłu.

McCready wyregulował szkła i wydał długie westchnienie.

Tak!

powiedział.

Oddał lornetkę.

Obserwuj cały czas, ja idę z Marksem pilnować frontu hotelu.

Bili, chodź ze mną.

Było już wtedy tak ciemno na zboczu, że mogli iść do samochodu bez obawy, że zostaną dostrzeżeni z tamtej strony doliny.

Na tarasie Rowse skupił się całkowicie na Monice Browne.

Jedno spojrzenie powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Dwóch z tych

268

Irlandczyków nigdy do tej pory nie widział.

Trzeci, najwyraźniej szef grupy, to był Kevin Mahoney.

Rowse i Monika Browne odmówili deseru i poprosili o kawę.

Wraz z kawą przyniesiono im małe klejące cukierki.

Niedobre na figurę i niedobre w ogóle orzekła.

A pani figura nie powinna doznać uszczerbku, jest oszołamiąją ca- Zbyła śmiechem ten komplement, lecz nie bez zadowolenia.

Na chyliła się do przodu.

w blasku świecy mignął Rowseowi rowek między jej pełnymi piersiami przyprawiając go o zawrót głowy.

/ Zna pan tych ludzi?

spytała poważnie.

Nie, nigdy ich nie widziałem odparł Rowse.

Jeden z nich gapi się ciągle na pana.

Rowse wolał się nie obracać, ale po tej uwadze byłoby podejrzane, gdyby tego nie zrobił.

Oczy w ciemnej przystojnej twarzy Kevina Mahoneya, żującego właśnie kotlet z jagnięcia, były w niego wlepione.

Ich spojrzenia się spotkały.

Rowse znał te oczy.

Było w nich zaskoczenie i za kłopotanie.

Spojrzenie kogoś, kto nie może sobie przypomnieć, gdzie tę osobę widział.

Rowse odwrócił się z powrotem.

Pojęcia nie mam, kto to może być.

Jakieś prymitywy.

I to raczej z daleka.

Czyżby rozpoznała pani ich akcent?

spytał Rowse.

Irlandzki powiedziała.

Północnoirlandzki.

Gdzie się pani nauczyła odróżniać irlandzkie akcenty?

Oczywiście wyścigi konne.

Było mi bardzo miło, Tom, ale już pój dę, jeśli pan pozwoli.

Wstała.

Rowse też się podniósł.

Pozwalam odparł z uśmiechem.

Była to cudowna kolacja.

Mam nadzieję, że uda nam się jeszcze zjeść coś razem.

Czekał na znak, że ma jej towarzyszyć, ale się nie doczekał.

Mogła mieć trzydzieści parę lat, robiła wrażenie niezależnej i niegłupiej.

Gdyby chciała, okazałaby mu w jakiś delikatny sposób, że życzy sobie jego towarzystwa.

Skoro nie, głupio byłoby wszystko popsuć.

Obdarzyła go pro miennym uśmiechem i znikła.

Rowse zamówił jeszcze jedną kawę i odwrócił się od trzech Irlandczyków, by patrzeć na ciemne góry.

Wkrótce usłyszał, że wracają do baru i do swojej whisky.

Mówiłem panu, że to czarujące miejsce odezwał się głęboki kulturalny głos za nim.

Hakim al-MansurJak zwykle nienagannie ubrany, wsunął się na opróżnione krzesło i skinieniem zamówił kawę.

Po drugiej stronie doliny Dan ny odłożył lornetkę i szybko zamruczał do radiotelefonu.

W Orionie zapar269 .

□

kowanym na drodze wiodącej do głównego wejścia "Apollonii" McCreedy słuchał.

Nie widział, jak Libijczyk wchodził do hotelu, lecz al-Mansur mógł być tam już od wielu godzin.

forsyth Fałszerz.txt

Informuj mnie na bieżąco powiedział do Dannyego.

Rzeczywiście tak pan mówił, panie Aziz rzucił Rowse spokojnie.

I tak jest.

Ale jeśli chciał pan ze mną porozmawiać, to czemu wydalił mnie pan z Libii?

O, proszę, tylko nie wydalił wycedził al-Mansur.

Po prostu odmówił panu prawa wjazdu.

A przyczyna była taka, że chciałem rozmawiać z panem zupełnie prywatnie.

Nawet w mojej ojczyźnie bywają for malności, akta, trzeba zaspokajać ciekawość przełożonych.

Tu...

nic, tylko spokój i cisza.

I możliwość przeprowadzenia cichej likwidacji zostawiając władzę cypryjskie ze zwłokami Brytyjczyka i koniecznością wyjaśnień pomyślał Rowse, a głośno powiedział: A więc, muszę panu podziękować za pańską uprzejmość, że się pan jednak zgodził pomóc mi w moich poszukiwaniach.

Hakim al-Mansur roześmiał się cicho.

Myślę, że darujemy sobie już tę błazenadę, panie Rowse.

Widzi pan, zanim pewnie...

stworzenia...

wyciągnęły go z tarapatów, pański zmarły przyjaciel Herr Kleist był całkiem rozmowny.

Rowse obrócił się do al-Mansura ze złością.

Gazety podały, że został zabity przez handlarzy narkotyków z zemsty za to, co im zrobił.

Niestety nie.

Ludzie, którzy zrobili z nim to, co zrobili, rzeczywiście pracują w narkotykach.

Ale głównie zajmują się lokowaniem bomb w miejscach publicznych, szczególnie w Wielkiej Brytanii.

Ale dlaczego?

Dlaczego ci cholerni Irlandczycy mieli się interesować Ulrichem?

Oni się nie interesowali Ulrichem, drogi panie Rowse.

Ich intencją było, po co pan naprawdę przyjechał do Hamburga, i uznali, że pański przyjaciel może to wiedzieć.

Albo podejrzewać.

I tak też było.

Przypuszczał, że pańskie opowiadki o powieściowych terrorystach amerykańskich kryją zupełnie inne cele.

Informacja ta, w połączeniu z innymi wiadomościami, które otrzymaliśmy z Wiednia, skłoniła mnie do tego, żeby z panem pogadać.

Mam nadzieję, że nasza rozmowa okaże się owocna, panie Rowse; dla pańskiego dobra, naprawdę mam taką nadzieję.

I właśnie przyszedł czas, żeby pogadać.

Ale nie tutaj.

Za Rowseem pojawiło się dwóch ludzi.

Byli wielcy i mieli oliwkową cerę.

Wyberzemy się na małą przejażdżkę powiedział al-Mansur.

270

Czy to jest ten rodzaj przejażdżki, z której się wraca? spytał Rowse.

Hakim al-Mansur wstał.

Zależy to w dużej mierze od tego, czy jest pan w stanie odpowiedzieć satysfakcjonująco na kilka prostych pytań odparł.

Kiedy samochód wyłonił się z portyku "Apollonii" na drogę, McCready już na niego czekał; był uprzedzony przez Dannyego z drugiej strony doliny.

Widział, jak wóz Libijczyka, z Rowseem na tylnym siedzeniu między dwoma goryłami, skręca oddalając się od hotelu.

/ Jedziemy za nimi, szefie?

spytał Bili, który siedział na tylnym siedzeniu Oriona.

Nie odparł McCready.

Jechać z nimi bez świateł byłoby samobójstwem na tych agrafkach.

A włączyć reflektory, to jakby się zdrażić.

Al-Mansur dobrze wybrał teren.

Jeżeli Rowse wróci, powie nam, o co idzie.

Jeżeli nie...

no, przynajmniej gra się końcu zaczęła.

Sprawdzanie przynęty.

Rano będziemy wiedzieli, czy została wzięta, czy nie.

Przy oka zji, Bili, dasz radę wejść do hotelu tak, żeby cię nikt nie widział?
Bili spojrzał, jakby został ciężko obrażony.

Wsuń mu to pod drzwi powiedział McCready i podał sierżan towi folder turystyczny.

Jazda trwała godzinę.

Rowse z trudem powstrzymał się przed rozglądaniem na boki.

Jednak dwa razy, kiedy libijski szofer pokonywał ostre zakręty, mógł spojrzeć do tyłu na drogę, którą jechali.

Nie było smugi reflektorów żadnego innego samochodu za nimi.

Dwa razy kierowca zjechał na bok, zgasił światła i czekał przez pięć minut.

Nikt ich nie wyprzedził.

Tuż przed północą przyjechali do sporej willi i wjechali przez bramę z kutego żelaza.

Rowsea wepchnięto przez drzwi, które otworzył inny libijski osiłek.

Razem z al-Mansurem było ich pięciu.

Marne szansę.

W wielkim salonie, do którego wepchnięto Rowsea, czekał jeszcze jeden mężczyzna, zwalisty, o wydatnych szczękach, z brzuchem, grubo po czterdziestce, o brutalnej, pospolitej twarzy i wielkich czerwonych rękach.

Z całą pewnością nie-Libijczyk.

I rzeczywiście, Rowse zidentyfikował go bez trudu, choć nie dał tego po sobie poznać.

Twarz ta należała do Galerii Bandziorów McCreadyego; pokazano mu jajako jedną z tych, które może ujrzeć pewnego dnia, jeśli zgodzi się dać nura w świat terroryzmu i Środ kowego wschodu.

Frank Terpil był renegatem CIA, wyrzuconym przez Agencję w 1971 roku. Krótco potem poświęcił się swemu ulubionemu i bardzo lukratywnemu 271 .

□

nemu zajęciu polegającemu na dostarczaniu narzędzi tortur i pułapek terrorystycznych oraz na doradztwie dla Idi Amina w Ugandzie.

Kiedy potwór z Ugandy został obalony i jego tajne Państwowe Biuro Śledcze się rozleciało, Amerykanina przedstawiono Muammarowi Kadafiemu.

Od tamtej pory Terpil, nieraz wspólnie z innym renegatem Edem wilsonem, specjalizował się w dostawach szerokiego asortymentu urządzeń terrorystycznych i technologii dla najbardziej ekstremistycznych grup na Środ kowym wschodzie, zawsze pozostając sługą libijskiego dyktatora.

I choć od ponad piętnastu lat przebywał poza środowiskiem zachodniego wywiadu, ciągle uważano go w Libii za "amerykańskiego eksperta".

Bardzo mu to ułatwiało ukrycie faktu, że już pod koniec lat osiemdziesiątych był zupełnie nie zorientowany.

Rowseowi kazano siąść na krzesło pośrodku pokoju.

Niemal wszystkie meble okrywały pokrowce.

Niewątpliwie willa była domem letnim jakiejś bogatej rodziny, zamkniętym na zimę.

Libijczycy po prostu objęli ją na tę noc, co było powodem, dla którego nie zawiązano Rowseowi oczu.

Al-Mansur zdjął pokrowiec i okazując wybredny gust usadowił się w fotelu obitym brokatem.

Nad Rowseem wisiała pojedyncza żarówka.

Dobra, chłopcze, pogadajmy.

Jeździsz po Europie szukając broni.

Broni bardzo specjalnej.

O co ci, do diabła, naprawdę chodzi?

Prowadzę badania do nowej powieści.

Mówiłem to już dziesiątki razy.

To jest moja praca, tym się zajmuję.

Piszę powieści sensacyjne.

O żołnierzach, szpiegach, terrorystach, fikcyjnych.

Terpil uderzył go raz, z boku twarzy, niezbyt mocno, ale wystarczająco, by pokazać, że w każdej chwili może dostać więcej.

Przestań pieprzyć powiedział bez wrogości.

Chcę poznać prawdę, obojętne w jaki sposób.

Może być równie dobrze bezbolesny, dla mnie bez różnicy.

Dla kogo pracujesz naprawdę?

Rowse starał się ciągnąć opowieść długo, tak jak go uczono, czasem przypominając sobie wszystko dokładnie, czasem szukając w pamięci szczegółów.

Co za pismo?

"Soldier of Fortune".

Który numer?
Kwietniowy...
majowy z ubiegłego roku.
Nie, majowy, nie kwiet niowy.
Co było w tym ogłoszeniu?
"Potrzebny ekspert do spraw broni, na terenie Europy, praca in
teresująca..." coś w tym rodzaju.
Numer skrytki.
Bzdura.
Dostaję to pismo co miesiąc.
Nie było takiego ogłoszenia.
272
Było.
Może pan sprawdzić.
O, sprawdzimy, sprawdzimy mruknął al-Mansur w rogu pokoju.
Robił notatki cienkim złotym piórem w notatniku od Gucciego.
Rowse wiedział, że Terpil blefuje.
Było takie ogłoszenie w piśmie.
Zna laż je McCready, a parę telefonów do jego przyjaciół w CIA i FBI sprawiło,
że a przynajmniej Rowse mocno w to wierzył ten, kto dał ogłoszenie, nie będzie
osiągalny, aby zaprzeczyć, że kiedykolwiek otrzymał odpowiedź od pana Thomasa
Rowsea z Anglii.
/ A więc odpowiedziałeś na ogłoszenie.
/ Tak.
Na zwykłym papierze.
Adres zwrotny.
Podałem moje dane, zakres doświadczeń.
Instrukcję w sprawie odpowiedzi, gdyby miała być.
Jaką instrukcję?
Drobne ogłoszenia w londyńskim "Daily Telegraph".
Przyto czył treść.
Nauczył się jej na pamięć.
Ogłoszenie się ukazało?
Skontaktowali się?
Tak.
Kiedy?
Rowse podał datę.
Październik.
McCready wynalazł również i to ogłoszenie.
Wybrane zostało na chybił trafił, autentyczne drobne ogłoszenie niewinnego
brytyjskiego obywatela, ale o treści, która mogła pasować.
Ludzie z "Telegraph" zgodzili się zmienić papiery tak, by wskazywały, że zostało
zamieszczone przez kogoś z Ameryki i zapłacone gotówką.
Przesłuchanie toczyło się dalej.
Telefon otrzymał z Ameryki po za mieszczeniu następnego ogłoszenia w "New York
Times".
(To także zna leziono po wielogodzinnych poszukiwaniach prawdziwe ogłoszenie
podające brytyjski numer telefonu.
Numer Rowsea został zmieniony tak, żeby pasował).
Po co to całe kręcenie z kontaktowaniem się?
Pomyślałem, że trzeba zachować dyskrecję na wypadek, gdyby fałt dający
pierwsze ogłoszenie okazał się wariatem.
A poza tym uznałem, że moja tajemniczość może zrobić dobre wrażenie, ktokolwiek
to będzie.
I tak się stało?
Najwidoczniej.
Facet powiedział przez telefon, że mu się to podo ba.
Ustalił spotkanie.
Kiedy?
W zeszłym roku w listopadzie.
Gdzie?
W Georges Cinq w Pa ryżu.
Co za facet?
Raczej młody, dobrze ubrany, poprawnie mówiący.
Nie zameldo wany w hotelu.
Sprawdziłem.
Przedstawił się jako Galvin Pollard.
Oczywiście lipne nazwisko.

Facet jakby z kręgu yuppies.
Terpil nie zrozumiał.
273 .

□
Jaki facet?
Młody, prężny, z łbem wycedził al-Mansur.

Nie nadążasz.
Terpil poczerwieniał.
Co mówił?

Powiedział, że reprezentuje grupę ultraradykałów, którzy mają powyżej uszu administracji Reagana, z jej wrogością do So wietów i Trzeciego Świata, a szczególnie im się nie podobało użycie amerykańskich samolotów i pieniędzy podatników do bombardowania kobiet i dzieci w Trypolisie w kwietniu ubiegłego roku.

I przedstawił listę tego, co chce?

Tak.

Tę listę?

Rowse spojrział.

Była to kopia listy, którą pokazał Koriaginowi w więzieniu.
Facet musiał mieć nadzwyczajną pamięć.

Tak.

Miny Claymorea, na miłość boską.

Semteks-H.

Teczki-pułapki.

To najwyższa technika.

Do czego im to, u diabła, było?

Mówił, że jego ludzie szykują cios.

Prawdziwy cios.

Wspomniał o Białym Domu.

I Senacie.

Robił wrażenie szczególnie zawziętego na Senat.

Pozwolił, żeby wyciągnęli z niego sprawy finansowe.

Konto w Kreditanstalt w Akwizgranie na pół miliona dolarów.

(Dzięki McCreadyemu rzeczywiście było takie konto, antydatowane na odpowiedni okres.

A ta jemnica bankowa nie jest wcale taka pewna.

Libijczycy to sprawdzą, jak będą chcieli).

No i za ile to wszystko?

Ustalono dwadzieścia procent prowizji.

Sto tysięcy dolarów.

Pestka.

Nie dla mnie.

Pamiętaj, że piszesz powieści sensacyjne.

Które wcale tak dobrze nie idą.

Mimo reklamy wydawcy.

Chciałbym zarobić trochę szmalcu.

Szmalcu?

Forsy mruknął al-Mansur.

O czwartej rano Terpil i al-Mansur poszli się naradzić.

Rozmawiali cicho w sąsiednim pokoju.

Czy rzeczywiście może być w Stanach radykalna grupa gotowa do końca poważnego zamachu na Biały Dom i Senat?

spytał al-Mansur.

Z pewnością odparł tęgi Amerykanin, który nienawidził swojej ojczyzny.

W tak wielkim kraju można spotkać wszelkiego rodzaju świrów.

O Jezu, jedna mina Claymorea w teczce na trawniku przed Białym Domem.

Możesz sobie to wyobrazić?

274

Al-Mansur mógł.

Mina Claymorea to jedna z najbardziej śmiertelnych antypiechotnych min, jakie kiedykolwiek zostały wynalezione.

Jest w kształcie tarczy i po zdetonowaniu skacze w górę, po czym rozrzuca ze swego obrotu tysiące żyzek kulowych na wysokości pasa człowieka.

Strumień tych pocisków może poprzecinać setki ludzkich ciał.

Odpałona w przeciętnej hali dworcowej mina Claymorea, niewielu spośród tysięcy dojeżdżających do pracy pozostawi przy życiu.

Z tego powodu Amerykanie ostro zaprotestowali przeciwko używaniu tych min.

Ale za/ wsze są naśladownictwa...

O wpół do piątej dwaj mężczyźni wrócili do salonu. Chociaż Rowse o tym nie wiedział, los uśmiechnął się do niego tej nocy. Al-Mansur po trzebował bezzwłocznie dostarczyć swemu wodzowi coś, co by zaspokoilo jego pragnienie zemsty na Ameryce; Terpil musiał potwierdzić wobec swoich mocodawców, że jest nadal człowiekiem, o którego im chodzi:

doradcą w sprawach Ameryki i Zachodu. Wreszcie uwierzyli mu ze wzglę dów, dla których wierzy większość ludzi ponieważ chcieli uwierzyć.

Może pan jechać, panie Rowse powiedział al-Mansur łagod nie. Oczywiście sprawdzimy, co trzeba, i będziemy w kontakcie. Niech pan zostanie w "Apollonii", dopóki ja albo ktoś z moich ludzi się z pa nem nie skontaktuje.

Dwóch osiłków, którzy go przywieźli, odwiozło go z powrotem i zo stawilo przed bramą hotelu.

Po wejściu do pokoju Rowse zapalił światło, ponieważ po zachodniej stronie było jeszcze nie dość widno.

Na drugim brzegu doliny Bili, na którego akurat wypadła zmiana, uruchomił radio telefon i obudził McCreadyego w Pedhoulas.

Rowse schylił się, by podnieść coś z dywanu. Był to folder zaprasza jący do odwiedzenia historycznego monasteru Kykko ze złotą ikoną Matki Boskiej.

Obok tej informacji ktoś dopisał flamastrem: "10 rano".

Rowse nastawił budzik na trzy godziny snu.

Pieprzony McCready mruknął zasypiając.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kykko, największy monaster na Cyprze, został założony w dwunastym wieku przez cesarzy bizantyjskich.

wybrali to miejsce dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że życie mnichów powinno upływać w odosobnieniu, na me dytacjach i w samotności.

Przestronny budynek wznosi się wysoko na szczycie góry na zachód od doliny Marathassa, w miejscu tak odosobnionym, że wiodą do niego

275 .

□ tylko dwie drogi, po jednej z każdej strony.

Poniżej klasztoru te dwie drogi łączą się w jedną, która prowadzi do bramy.

Wzorem cesarzy bizantyjskich McCready również dobrze wybrał miej sce.

Danny został w kamiennej szopie po drugiej stronie doliny obser wując hotel i

zasłonięte okna pokoju, w którym spał Rowse, podczas gdy Bili, na motocyklu

wynajętym tu na miejscu przez mówiącego po grecku Marksa, pojechał do Kykko.

O świcie sierżant Specjalnych Sił Lotniczych był już dobrze ukryty wśród sosen powyżej wąskiej drogi wiodącej do monasteru.

Widział, jak przyjechał McCready z Marksem za kierownicą, i obser wował, kto jeszcze przyjedzie.

Gdyby pojawił się ktoś z irlandzkiej trójki albo samochód Libijczyków (zapisali jego numer), McCready zostałby zaalarmowany przez trzy ostrzegawcze piśnięcia przez radiotelefon i ulot niłby się.

Lecz tego majowego poranka sunął w górę jedynie zwykły wąż turystów, głównie Greków i Cypryjczyków.

W ciągu nocy szef placówki w Nikozji wysłał jednego ze swoich mło dych ludzi do Pedhoulas z kilkoma informacjami z Londynu i z trzecim radiotelefonem.

Każdy z sierżantów miał swój, nie licząc aparatu McCreadyego.

O wpół do ósmej Danny zawiadomił, że Rowse pojawił się na tarasie i jadł lekkie śniadanie składające się z bułeczek i kawy.

Nie było śladu Mahoneya i jego dwóch przyjaciół ani "lalki" Rowsea z

poprzedniego wieczoru, jak też żadnego innego gościa hotelowego.

Robi wrażenie zmęczonego powiedział Danny.

Nikt nie mówił, że to będą wakacje dla któregośkolwiek z nas warknął McCready ze swego stanowiska na podwórzu klasztoru o dwa dzieścia mil dalej.

Dwadzieścia po dziewiątej Rowse wyjechał informował Danny.

Opuścił Pedhoulas mijając wielki malowany kościół Świętego Michała Archanioła, wznoszący się ponad górską wioską, i skierował się na pół nocny zachód na drogę do Kykko.

Danny w dalszym ciągu obserwował hotel.

O wpół do dziesiątej do pokoju Rowsea weszła sprzątaczk a i od sunęła zasłony.

Ułatwiając tym Dannyemu życie.

Jednocześnie zostały rozsunięte inne zasłony od strony doliny.

Mimo że miał wschodzące słońce prosto w oczy, sierżant został nagrodzony wspaniałym widokiem: przez dziesięć minut Monika Browne ćwiczyła na wprost okna

całkiem naga.

To lepsze od południowego Armagh mruknął wdzięczny we teran.

Za dwadzieścia dziesiąta Bili zawiadomił, że Rowse jest w zasięgu wzroku i że się wspina stromą i krętą drogą do Kykko.

McCready wstał

276

i wszedł do wnętrza podziwiając pracę tych, którzy wwindowali te potężne bloki skalne tak wysoko na szczyt góry, i kunszt artystów, którzy malowali freski pokrywając je złotą blaską, szkarłatem i błękitem i upięk szając w ten sposób przesycone kadzidlana wonią wnętrze.

Rowse znalazł go przed sławną Złotą Ikoną Przenajświętszej Panny.

Na zewnątrz Bili zapewnił, że za Rowseem nie idzie żaden "ogon", i dał McCreadyemu sygnał polegający na dwóch podwójnych piśnięciach te lefonu w wewnętrznej kieszeni starszego agenta.

/ Wygląda, że jesteś czysty mruknął McCready, gdy Rowse po jawił się obok niego.

Nie było nic dziwnego w tym, że rozmawiali po cichu; wszędzie do koła nich turyści mówili szeptem, jakby się bali zakłócić spokój świątyni.

To co, zaczniemy chyba od początku orzekł McCready.

Od chwili, kiedy cię żegnałem na lotnisku w Valletcie przed twoją krótką wizytą w Trypolisie.

Od tego momentu wszystkie szczegóły, jeśli łaska.

Rowse zaczął od początku.

Spotkałeś się więc z tym osławionym Hakimem al-Mansurem powiedział

McCready po chwili.

Właściwie nawet nie marzyłem, że sam się pojawi na lotnisku.

Wiadomość od Koriagina z wiednia musiała rzeczywiście rozpać jego wyobraźnię. Dalej.

Część opowieści Rowsea McCready mógł potwierdzić z obserwacji własnej lub sierżantów młody agent o śniadej cerze, który śledził Rowsea do Valletty i odprowadził aż na cypryjski samolot; drugi agent w Nikozji, który szedł za nim, dopóki Rowse nie wyjechał w góry.

Widziałeś moich dwóch sierżantów?

Twoich dawnych kolegów?

Nie, nigdy.

Powinniście mnie przekonać, że w ogóle są powie dział Rowse.

Patrzyli razem na Madonnę, której spokojne i współczujące oczy spoglądały na nich z góry.

Naturalnie, że są zapewnił go McCready.

Jeden jest w tej chwili na zewnątrz, pilnuje, żeby nikt nie śledził ani ciebie, ani mnie.

W gruncie rzeczy bawi ich branie udziału w twoich przygodach.

Jak już będzie po wszystkim, możecie sobie razem wypić.

Teraz nie.

No więc...

kiedy przyjechałeś do hotelu...

Rowse przeszedł do momentu, gdy po raz pierwszy zobaczył Ma honeya i jego dwóch kumpli.

Chwileczkę, a ta dziewczyna?

Co ona za jedna?

Po prostu podryw wakacyjny.

Hoduje konie, czeka na dostawę trzech arabskich ogierów, które kupiła w zeszłym tygodniu na aukcji żre biat roczniaków w Harna w Syrii.

Urodzona w Ameryce.

Monika Browne.

Przez "e" na końcu.

Nic takiego, po prostu ładna towarzysza kolacji.

277 .

□

Zauważyliśmy to mruknął McCready.

Dalej.

Rowse opowiedział o przybyciu Mahoneya i podejrzliwych spojrze niach, jakie dziewczyna pochwyciła na tarasie.

Myślisz, że cię poznał?

Po tym spotkaniu na podjeździe stacji benzynowej?

Nie mógł odparł Rowse.

Miałem wełnianą czapkę naciągniętą głęboko na oczy, zarost na całej twarzy i byłem na wpół ukryty za dystrybutorem.

Nie, gapił się jak na każdego Anglika, bo usłyszał akcent.

Wiesz, że on nienawidzi nas wszystkich.

Możliwe.

Dalej.

Nagłe pojawienie się Hakima al-Mansura i całonocne przesłucha nie przez Franka Terpila było tym, co naprawdę zainteresowało McCreadygo.

Wiele razy przerywał Rowseowi, żeby wyjaśnić szczegóły.

Miał ze sobą książkę w twardej oprawie o kościołach i klasztorach bizantyjskich na Cyprze.

Gdy Rowse mówił, robił wyczerpujące notatki pisząc na greckim tekście.

Jego ołówek nie pozostawiał żadnych znaków miały ukazać się dopiero później po zastosowaniu chemikaliów.

Dla każdego z postronnych był po prostu turystą robiącym uwagi o tym, co widzi dokoła siebie.

Jak dotąd może być rozmyślał McCready.

wysyłka broni jest chyba gotowa i tylko czeka na sygnał.

Mahoney i al-Mansur w tym sa mym hotelu na Cyprze to zbyt wiele, żeby mogło znaczyć cokolwiek in nego.

Naszą sprawą jest dowiedzieć się tylko, kiedy, gdzie i jak.

Łądem, morzem, powietrzem?

Skąd i dokąd.

I przewoźnik.

TIR, fracht lotniczy, statek?

Jesteś nadal pewny, że to zrobią?

Nie odwołają całej historii?

Jestem pewny.

Nie było potrzeby mówić Rowseowi.

Nie musiał wiedzieć.

Ale do stali nową wiadomość od lekarza z Libii, który opiekował się Muammarem Kadafim.

Będzie to dostawa dla kilku adresatów.

Część broni dla separatystów baskijskich w Hiszpanii, dla ETA.

Więcej dla francuskich ultralewackich grup Action Directe.

Osobna przesyłka dla małej, lecz niebezpiecznej organizacji terrorystów belgijskich CCC.

Hojny dar dla niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii; bez wątplenia co najmniej w połowie do wykorzystania w barach uczęszczanych przez żołnierzy amerykańskich. Więcej niż połowa całej dostawy dla IRA.

Informowano, że jednym z zadań IRA ma być zabójstwo amerykańskiego ambasadora w Londynie.

McCready podejrzewał, że IRA mając na względzie zbiórki pieniężne w Ameryce, sceduje tę sprawę na Niemców z Frakcji, spadkobierców gangu Baader-Meinhof, grupę skromniej

szą liczebnie, lecz ciągle bardzo niebezpieczną i gotową wykonywać za dania na zamówienie w zamian za broń.

Czy pytali, gdzie chcesz tej dostawy dla amerykańskich terrorystów, jeśli zgodzą się sprzedać broń?

Tak.

I powiedziałaś?

Gdziekolwiek w Europie Zachodniej.

I plany przesłania do Stanów?

/ Powiedziałem im, co chciałeś.

Odbieram przesyłkę, małą co do objętości, stamtąd gdzie ją dostarczą, i lokuję w wynajętym garażu, który tylko ja będę znał.

Przyjeżdżam ponownie wozem kempingowym lub małym karawanem z tajnymi skrytkami między ścianami.

Jadę mikrobu sem na północ przez Danię, promem do Szwecji, do Norwegii i ładuję się na jeden z wielu frachtowców idących do Kanady.

Po prostu jeszcze jeden turysta spędzający wakacje na podglądaniu dzikiej przyrody.

I to im się spodobało?

Terpilowi tak.

Powiedział, że to rzecz zgrabna i czysta.

Al-Mansur miał zastrzeżenia, że to oznacza przekraczanie wielu granic.

Zwróciłem uwagę, że w okresie wakacyjnym wozy kempingowe płyną strumieniem przez całą Europę i że za każdym razem będę mówił, że odbieram żonę i dzieciaki na lotnisku następnej stolicy, jak tylko przylecą.

Kilka razy przytaknął.

Dobrze.

Zrobiliśmy, cośmy mogli.

Teraz musimy czekać.

Zobaczy my, czy ich przekonaliśmy.

Albo czy ich żądza zemsty na Białym Domu weźmie górę nad zwykłą ostrożnością. To się czasem zdarza.

Co będzie potem?

spytał Rowse.

Wracasz do hotelu.

Jeśli kupią ten plan amerykański i włączą twoją przesyłkę w dostawę, to al-Mansur da ci znać albo osobiście, albo przez kuriera.

Działaj dokładnie według jego wskazówek.

Ja się zgłoszę do ciebie po raport sytuacyjny, jeśli grunt będzie pewny.

A jeśli nie?

Jeśli nie kupią?

To spróbują cię uciszyć.

Prawdopodobnie poproszą Mahoneya i je go chłopców, żeby to za nich załatwili jako akt dobrej woli.

Wtedy będziesz miał szansę załatwić Mahoneya.

A sierżanci będą w pobliżu.

I cię z tego wyciągną.

Akurat, wyciągną pomyślał Rowse.

Korzyść z tego, że Londyn wie o spisku, zostanie zaprzepaszczone.

Irlandczycy rozproszą się, a cała do stawa pójdzie inną trasą w innym czasie i w inne miejsce.

Jeśli al-Man sur po niego sięgnie, pośrednio czy bezpośrednio, to będzie zdany wy łącznie na siebie.

279 .

□

Czy chcesz mieć sygnalizator ostrzegawczy?

spytał McCready.

Coś takiego, żeby nas pilnie wezwać?

Nie powiedział Rowse krótko.

Nie było sensu mieć sygnalizatora.

Nikt by nie przyszedł.

To wracaj do hotelu i czekaj rzucił na koniec McCready.

I nie trać kondycji na śliczną panią Browne.

Z "e" na końcu.

Możesz po trzebować się na później.

Zmieszał się z tłumem.

Prywatnie McCready wiedział równie dobrze jak Rowse, że nie będzie mógł interweniować, gdyby Libijczycy lub Irlandczycy dopadli Rowsea.

No, ale nikt nie mówił, że to będą wczasy.

Jedyne, co zamierzał zrobić, gdyby libijski lis nie uwierzył Rowseowi, to sprowadzić znacznie większy zespół obserwatorów i mieć na oku Mahoneya.

Jak on się ruszy, to pójdzie w ruch irlandzka przesyłka broni.

Te raz, gdy znalazł Mahoneya przez Rowsea, członek IRA był lepszy jako ślad prowadzący do przesyłki.

Rowse skończył zwiedzanie monasteru i wyszedł w pełne słońce do samochodu.

Bili ze swej kryjówki pod piniami na wzgórzu poniżej grobowca zmarłego prezydenta Makariosa zobaczył, jak odjeżdża, i zaalarmował Dannyego, że ich człowiek jest w drodze powrotnej.

Dziesięć minut później wyjechał McCready z Marksem za kierownicą.

Zjeżdżając z góry podwieźli jakiegoś cypryjskiego wieśniaka stojącego przy drodze i w ten sposób przywieźli do Pedhoulas Billa.

W piętnastej minucie czterdziestominutowej jazdy radiotelefon McCreadyego zatrzeszczał.

Był to Danny.

Mahoney i jego ludzie weszli właśnie do pokoju naszego faceta.

Przetrząsają go.

Bardzo dokładnie.

Czy mam wyjść na drogę i go ostrzec?

Nie orzekł McCready.

Nic nie rób.

Bądź w kontakcie.

Jak dodam gazu, to możemy go prześcignąć rzucił Marks.

McCready spojrział na zegarek.

Pusty gest.

Nawet nie obliczał mil ani prędkości do Pedhoulas.

Za późno powiedział.

Nie złapiemy go.

Biedny poczciwy Tom odezwał się z tyłu Bili.

Jak nigdy w stosunku do podwładnych, Sam McCready stracił panowanie nad sobą: Jeżeli nawalimy, jeżeli ten ładunek gówna przejdzie, to biedni poczciwi klienci Harrodsa, biedni poczciwi turyści w Hyde Parku, biedne poczciwe kobiety i dzieci w całym naszym cholernym kraju!

Zapadło milczenie na całą resztę drogi do Pedhoulas.

Klucz Rowsea wisiał ciągle na haczyku w recepcji.

Wziął go sam nikogo nie było za kontuarem i poszedł na górę.

Zamek nie był uszko dzony; Mahoney użył klucza i oddał go w recepcji.

Ale drzwi zostały nie

280

zamknięte.

Rowse pomyślał, że może to sprzątaczką robi jeszcze łóżka, i po prostu wszedł do środka.

Zaraz po wejściu trafiony potężnym ciosem człowieka ukrytego za drzwiami poleciał do przodu.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i zatarasował je sobą krępy mężczyzna.

Fotografie robione obiektywem teleskopowym Daniego zawiózł przed świtem kurier do Nikozji, skąd zostały przesłane faksem do Londynu i zidentyfikowane.

Krępy mężczyzna to był Tim OHerlihy, facet od mokrej roboty z brygady Derryego,

ryzy osiłek przy kominku Eamonn Kane, "egzekutor" z zachodniego Belfa"stu.

Mahoney siedział na jedynym w tym pokoju krześle, tyłem do okna, którego zasłony były zaciągnięte dla przyćmienia jaskrawego światła dziennego.

Kane bez słowa złapał słaniającego się Anglika, obrócił go i ustawił pod ścianą.

Wprawnymi dłońmi szybko przejechał po jego koszuli z krótkimi rękawami i po nogawkach spodni.

Gdyby Rowse miał sygnalizator, który mu proponował McCready, znaleźliby go natychmiast i zabawa zakończyłaby się raz na zawsze.

W pokoju panował bałagan; każda szuflada została otwarta i opróżniona, a zawartość szafy rozrzucona po podłodze.

Jedyną pociechą Rowsea było to, że nie miał nic, czego by nie mógł mieć pisarz zbierający materiały do książki, a więc: notatniki, plan powieści, mapy turystyczne, broszury, walizkową maszynę do pisania, ubranie i przybory toaletowe.

Kane wyciągnął mu z tylnej kieszeni paszport i rzucił Mahoneyowi.

Mahoney przekartkował go, ale paszport nie powiedział mu nic więcej poza tym, co już wiedział.

Może mi teraz powiesz, pisarzu, co tu, do cholery, robisz na prawdę?

Na twarzy miał zwykły czarujący uśmiech, który jednak nie sięgał oczu.

Nie wiem, u diabła, o czym pan mówi rzucił Rowse z oburzeniem.

Kane wysunął pięść, która trafiła go w splot słoneczny.

Rowse mógł uniknąć ciosu, ale za nim stał OHerlihy, a z boku Kane.

Szansę były ni kłębki, nawet bez Mahoneya.

Ci ludzie nie byli nauczycielami z niedzielnej szkółki.

Rowse jęknął, złożył się we dwoje i oparł o ścianę ciężko dysząc.

Nie wiesz?

Nie wiesz?

Mahoney nawet nie wstał.

Normalnie nie mam innych sposobów, nie słowa, by wyjaśnić, o co mi chodzi, ale dla ciebie, pisarzu, zrobię wyjątek.

Pewien mój przyjaciel z Hamburga zidentyfikował cię parę tygodni temu.

Tom Rowse, były kapitan pułku Specjalnych Sił Lotniczych, znanego klubu kibiców ludu irlandzkiego, zadał mi jakieś bardzo śmieszne pytania.

Ma za sobą dwie tury na Emerald Isle, a teraz zjawia się w samym środku Cypru akurat, kiedy ja i moi przyjaciele

przejechaliśmy tu na parę dni spokojnego wypoczynku.

A więc pytam tam raz jeszcze: co tu robisz?

No cóż...

odezwał się po chwili Rowse.

Byłem w pułku.

Ale rzuciłem to.

Nie mogłem znieść tego dłużej.

Odżegnałem się od tych sukinsynów.

Trzy lata temu.

Rzuciłem to na dobre.

Władze brytyjskie nie kiwnęłyby palcem, gdyby mi się coś stało.

Teraz utrzymuję się z pisania książek.

Sensacyjnych powieści.

To wszystko...

Mahoney skinął ku OHerlihyemu.

Uderzenie z tyłu trafiło Rowsea w nerki.

Krzyknął i upadł na kolana.

Mimo braku szans mógł się bić i wykończyć przynajmniej jednego z nich, a może i dwóch, zanimby sam zgiął.

Ale przyjął cios i osunął się na ziemię.

Mimo bezczelnego zachowania Mahoneya podejrzewał, że szef terrorystów był zaskoczony.

Musiał zauważyć Rowsea z Hakimem al-Mansurem podczas rozmowy na tarasie tamtej nocy przed odjazdem.

Rowse wrócił z całonocnego przesłuchania.

A Mahoney miał właśnie doznać wielkiej uprzejmości od al-Mansura.

Nie, ten człowiek IRA nie zada ciosu śmiertelnego jeszcze nie teraz.

Po prostu się bawi.

Łiesz, pisarzu, a ja tego nie lubię.

Słyszałem już te historie o zbieżności materiałów.

Widzisz, my, Irlandczycy, jesteśmy bardzo literaccy.

A część pytań, które zadajesz, nie ma nic wspólnego z literaturą.

No więc co tu robisz?

Powieści sensacyjne wyrzeźbił Rowse.

Sensacje muszą być dzisiaj bardzo wiarygodne.

Mętne ogólniki nie wystarczą.

Niech pan spojrzy na Le Carrego, Clancyego...

Myśli pan, że oni nie sprawdzają każdego najmniejszego szczegółu?

Dzisiaj można tylko w ten sposób.

Rzeczywiście?

A pewien dzentelmen zza wielkiej wody, z którym rozmawiałeś wczoraj wieczorem, to jeden z twoich współautorów?

To sprawa między nami.

Jego niech pan pyta.

O, spytałem, pisarzu, spytałem.

Dzisiaj rano, telefonicznie.

I on po prosił, żebym miał na ciebie oko.

Jeśli o mnie chodzi, to kazałbym chłopa pakom spuścić cię z bardzo wysokiej góry.

Ale mój przyjaciel prosił, że bym miał na ciebie oko.

Więc będę miał, dzień i noc, póki nie wyjedziesz.

O nic więcej nie prosił.

A to taki drobiazg, od nas dla ciebie za dawne czasy.

Kane i OHerlihy zabrali się do dzieła.

Mahoney patrzył.

Gdy nogi odmówiły Rowseowi posłuszeństwa, zgięty wóół, osłaniając podbrzusze i genitalia, padł na ziemię.

Leżał zbyt nisko, by mogli go wygodnie bić, więc załatwiali to nogami.

Odsunął głowę, by uniknąć uszkodzenia mózgu; czuł wbijające mu się w plecy,

barki, piersi i żebra czubki butów, czuł obezwładniającą falę bólu, dopóki po kopniaku w tył głowy nie ogarnęła go miłosierna ciemność.

282

Przyszedł do siebie w taki sposób, jak ludzie po wypadkach drogo wych; najpierw niejasno zdał sobie sprawę z tego, że żyje, a potem, że go wszystko boli.

Pod koszulą i w spodniach jego ciało było jednym wielkim bólem.

Leżał twarzą w dół i przez chwilę wpatrywał się we wzór dywanu.

Odwrócił się: błąd.

Przysunął rękę do twarzy.

Jeden guz na policzku pod lewym okiem, poza tym mniej więcej ta sama twarz, którą golił latami.

Próbował usiąść, ale skrzywił się z bólu.

Jakieś ramię objęło go z tyłu i po mogło zająć pozycję siedzącą.

Co tu się, u diabła, działo?

spytała.

Obok niego klęczała Monika Browne, obejmując go ramieniem.

Chłodne palce jej prawej ręki dotknęły guza pod jego lewym okiem.

Przechodziłam, zobaczyłam otwarte drzwi...

Musiałem zemdleć i walnąłem się upadając powiedział.

Czy to było przedtem, czy potem, jak zdemolowałeś pokój?

Rozejrzał się.

Zapomniał o powyciąganych szufladach i porzucił nym ubraniu.

Rozpięła mu koszulę.

Jezu, nie widziałam jeszcze takiego upadku.

To było wszystko, co powiedział.

Potem pomogła mu wstać i zaprowadziła do łóżka.

Usiadł.

Pchnęła go do tyłu, uniosła mu nogi i ułożyła na materacu.

Nie wychodź powiedziała niepotrzebnie.

Mam u siebie w pokoju jakąś maść.

Wróciła po paru minutach, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Zsunęła mu koszulę z ramion, cmokając na widok czterech siniaków nabierają cych teraz koloru granatowego, które zdobiły jego piersi i żebra.

Czuł się bezsilny, ale Monika Browne najwyraźniej wiedziała, co robi.

wyjęła korek z małej butelki i delikatnie palcami wtarła maść w posinia czone miejsca.

Zapiekiło go.

Powiedział: Ou.

Dobrze ci to robi, zmniejszy opuchliznę, zlikwiduje przebarwie nia.

Obróć się...

Położyła więcej maści na jego ramionach i plecach.

Jakim cudem masz przy sobie taką maść?

wymamrotał.

Czy wszyscy, którzy jedzą z tobą kolację, w ten sposób kończą?

To dla koni wyjaśniła.

Dziękuję bardzo.

Nie denerwuj się, tak samo działa na głupich mężczyzn.

Obróć się.

Usłuchał.

Stała nad nim, ze złotymi włosami opadającymi na ramiona.

Bili cię i po nogach?

Wszędzie.

Odpięła mu pasek spodni, potem zamek błyskawiczny, a następnie zdjęła mu spodnie bez zażenowania.

Była to rzecz codzienna dla mł283 .

□

dej żony, której mąż za dużo pije.

Oprócz guza na prawym goleniu było jeszcze pół tuzina niebieskawych plam na udach.

Wmasowała w nie maść.

Po chwili pieczenia była to czysta przyjemność.

Zapach przypomniał mu o czasach, kiedy grywał w szkole w rugby.

Przerwała i postawiła butelkę.

Czy to też guz?

spytała.

Spojrzał w dół na swoje slipy.

Nie, to nie był guz.

Dzięki Bogu mruknęła.

Odwróciła się i sięgnęła do zamka błyskawicznego z tyłu sukni z kremowego szantungu.

Światło sączące się przez zasłony pograżało pokój w chłodnym mroku.

Gdzie się nauczyłaś o guzach?

spytał.

Po pobiciu i masażu czuł się senny.

A w każdym razie dotyczyło to jego głowy.

Kiedyś, w Kentucky, mój młodszy brat był dżokejem amatorem powiedziała.

Parę razy łątałam mu skórę.

Jej kremowa suknia zsunęła się na podłogę tworząc rodzaj kałuży.

Miała na sobie cieniutkie majteczki Janet Roger.

Żaden stanik nie prze cinał jej pleców.

Mimo dużych piersi nie był jej potrzebny.

Odwróciła się.

Rowse przełknął ślinę.

Ale tego zaznaczyła nie uczyłam się od żadnego brata.

Pomyślał przelotnie o Nikki w Gloucestershire.

Od czasu ich ślubu nie robił tego z żadną inną kobietą.

Ale, tłumaczył sobie, wojownik cza sem potrzebuje pociechy, a kiedy mu ją ktoś przynosi, byłoby rzeczą nie ludzką taką pociechę odtrącić.

Wyciągnął do niej rękę, gdy go dosiadała, ale chwyciła go za przegub by dłoni i przycisnęła je do podeszki.

Leż spokojnie szepnęła.

Jesteś o wiele za słaby, żeby brać w tym czynny udział.

Ale przez następną godzinę czy coś koło tego robiła wrażenie całkiem zadowolonej, że dowiodł jej pomyłki.

Tuż przed czwartą wstała i przeszła przez pokój, by odsunąć zasłony.

Słońce minęło już zenit i chyliło się ku górom.

Po drugiej stronie doliny sierżant Danny poprawił ostrość lornetki i powiedział:

Rany, Tom, ty bezczelny sukinsynu.

Romans trwał trzy dni.

Ani konie nie przybywały z Syrii, ani żadna wiadomość dla Rowsea od Hakima al-Mansura.

Monika Browne regu larnie kontaktowała się ze swoim agentem na wybrzeżu, lecz odpowiedź brzmiała niezmiennie: "Jutro".

Chodzili więc po górach, urządzali sobie

284

pikniki wysoko nad sadami wiśniowymi, gdzie rosły drzewa iglaste, i kochali się wśród szpilek sosnowych.

Jadali śniadania i kolacje na tarasie, podczas gdy Danny i Bili obserwowali ich w milczeniu z drugiej strony doliny, a Mahoney i jego kum ple rzucali im od baru ponure spojrzenia.

McCready i Marks mieszkali w swoim pensjonacie w Pedhoulas i McCready próbował zorganizować więcej ludzi z komórki na Cyprze i jeszcze paru z Malty. Jak długo Hakim al-Mansur nie kontaktował się z Rowseem, żeby mu dać znać, że jego spreparowana opowieść została lub nie została przyjęta, sedno sprawy stanowił Irlandczyk Mahoney i jego dwóch towarzyszy.

Kierowali sprawą od strony IRA i dopóki tu pozostawali, było wiadomo, że operacja nie przeszła w fazę dostawy.

Dwóch sierżantów Specjalnych Sił Lotniczych miało kryć Rowsea; reszta miała przez cały czas pilnować ludzi z IRA.

Na drugi dzień po tym, jak Rowse i Monika zaczęli ze sobą sypiać, grupa była na posterunku: z rozrzuconych po wzgórzach punktów obserwacyjnych pilnowali wszystkich dróg dojazdowych i wyjazdowych w rejonie.

Na linii telefonicznej do hotelu został założony podsłuch.

Monitorowanie odbywało się w sąsiednim hotelu.

Niewielu spośród przybyłych mówiło po grecku, lecz na szczęście było dostatecznie dużo turystów, by dodatkowy tuzin nie wzbudzał podejrzeń.

Mahoney i jego ludzie nigdy nie opuszczali hotelu.

I oni na coś czekali; na wizytę, telefon albo wiadomość doręczoną przez posłańca.

Trzeciego dnia Rowse wstał jak zwykle tuż po świcie.

Monika spała i to on odebrał tacę z poranną kawą od kelnera przy drzwiach.

Kiedy podniósł dzbanek, by wlać sobie pierwszą filiżankę, zobaczył pod nią złożony świstek papieru.

Włożył go między filiżankę i spodek, nalał kawy i poszedł z tym do łazienki.

Wiadomość była krótka: "Klub Rosalina, Pafos, 23.00, Aziz".

Stwarza to pewien problem, pomyślał spuszczaając kawałki papieru w klozecie.

Wyrwanie kilku godzin, które zajmie wyjazd do Pafos i z powrotem w środku nocy, nie będzie łatwe ze względu na Monikę.

Problem został rozwiązany koło południa przez los w postaci spedytora Moniki, który zadzwonił, by powiedzieć, że ogiery przybędą z Latakiji do portu w Limassol wieczorem i że może byłaby łaskawa przyjechać, podpisać odbiór i dopilnować umieszczenia ich w boksach stojących poza portem.

Gdy pojechała o czwartej, Rowse ułatwił życie swoim opiekunom w ten sposób, że poszedł do Pedhoulas i zadzwonił do kierownika "Apollonii"

285 .

□ mówiąc, że musi jechać na kolację do Pafos i może by mu powiedzieli, którądy się tam najlepiej dostać.

Wiadomość ta została przejęta przez podsłuch i przekazana McCreadyemu.

Klub "Rosalina" okazał się kasynem gry w sercu starego miasta.

Rowse wszedł tam tuż przed jedenastą i wkrótce ujrzał smukłą, elegancką postać Hakima al-Mansura, siedzącego przy jednym ze stołów ruletki.

Obok niego było wolne krzesło.

Rowse usiadł na nim.

Dobry wieczór, panie Aziz, co za miła niespodzianka.

Al-Mansur poważnie skinął głową.

Faites vos jeux wezwał krupier.

Libijczyk postawił parę sztonów o dużych nominałach na kombina cje wysokich numerów.

Koło zawirowało, roztańczona kulka zdecydowała się na numer cztery.

Al-Mansur nie okazał gniewu, gdy jego sztony zo stały zgarnięte.

Jeden rzut dałby utrzymanie libijskiemu chłopu wraz z ro dziną na cały miesiąc.

Miło, że pan przyszedł powiedział równie poważnie.

Mam dla pana wiadomości.

Dobre, ucieszy się pan.

To zawsze miło przynosić dobre wiadomości.

Rowse poczuł ulgę.

Sam fakt, że Libijczyk przysłał wiadomość, zamiast kazać Mahoneyowi "zgubić"

Anglika na zawsze gdzieś w górach, napa wał otuchą.

Teraz wyglądało to jeszcze lepiej.

Patrzył, jak al-Mansur stracił nowy stos sztonów.

Znał pokusę hazardu i uważał koło ruletki za najgłupszy i najnudniejszy przedmiot, jaki kiedykolwiek wynaleziono.

Lecz Arabów jako graczy można porównać tylko z Chińczykami i nawet chłodny

al-Mansur nie spuszczał oka z krę cącego się krążka.

Cieszę się, że mogę panu powiedzieć oznajmił al-Mansur po rozłożeniu

następnych sztonów że nasz sławny wódz przystał na pań ską prośbę.

Wyposażenie, którego pan potrzebuje, zostanie dostarczone, w pełnym zakresie.

Co pan na to?

Jestem zachwycony powiedział Rowse.

Nie wątpię, że moi szefowie użyją go...

w dobrym celu.

Wszyscy musimy gorąco w to wierzyć.

Bo taki jest, jak to wy, żoł nierze brytyjscy, mówicie, cel ćwiczenia.

Jaką przyjmujemy formę płatności?

spytał Rowse.

Libijczyk machnął ręką z przyganą.

Potraktujcie to jako dar od Ludowej Dżamahirii, panie Rowse.

Jestem bardzo wdzięczny.

A i moi szefowie też z pewnością będą.

Wątpię, ponieważ byłby pan głupi, gdyby pan im to powiedział.

A pan nie jest głupi.

Najemnik, może, ale nie głupi.

Jeśli więc zarobi pan

286

na tym nie sto tysięcy dolarów, tylko pół miliona, to chyba się pan ze rzną podzieli?

Powiedzmy pół na pół?

Na fundusz walki, oczywiście...

Oczywiście.

Raczej fundusz emerytalny pomyślał Rowse, a głośno rzucił:

Szanowny panie Aziz, interes ubity.

Kiedy otrzymam pieniądze od klientów, połowa idzie do pana.

Mam nadzieję mruknął al-Mansur.

Tym razem wygrał i stos sztonów został popchnięty w jego stronę.

Mimo swego obycia nie ukry\ał zachwytu.

Moje ramię jest długie.

Proszę mi zaufać odparł Rowse.

No, no, bo się obrażę, w naszym świecie...

Muszę coś wiedzieć o dostawie.

Gdzie odbiór.

Kiedy.

I będzie pan wiedział.

wkrótce.

Prosił pan, żeby to był port euro pejski.

Myślę, że można to będzie zorganizować.

Teraz wróci pan do "Apollonii", a ja się z panem skontaktuję w najbliższym czasie.

Wstał i wręczył Rowseowi pozostały stos swych sztonów.

Niech pan nie wychodzi z kasyna przez najbliższe piętnaście mi nut

powiedział.

Proszę, niech się pan zabawi.

Rowse poczekał piętnaście minut, potem wymienił sztony na gotówkę. Wolał kupić coś ładnego dla Nikki.

Wyszedł z kasyna i ruszył w kierunku samochodu.

Z powodu wąskich uliczek starego miasta miejsca do parkowania były tu na wagę złota, nawet późno w nocy.

Zostawił więc samochód dwie ulice dalej.

Nie zauważył Dannyego ani Billa, którzy stali w bramach w obu kierunkach ulicy. Gdy zbliżył się do swego wozu, stary człowiek w niebieskim drellichu i furażerze wymiatał miotłą śmieci z rynsztoka.

Kali spera wychrypiał stary zamiatacz.

Kali spera odpowiedział Rowse.

Zatrzymał się.

Stary był jednym z tych życiowych rozbitków, którzy wykonują czarną robotę na całym świecie.

Przypomniał sobie harmonię pieniędzy od al-Mansura, wyciągnął duży banknot i wetknął go staremu do górnej kieszeni.

Pocziwy Tom odezwał się wtedy zamiatacz zawsze wiedział, że masz dobre serce.

Co tu, u diabła, robisz, McCreedy?

Majstruj kluczykami od samochodu i mów mi, co było poleciał mu McCreedy suwając miotłą.

Rowse opowiedział.

Dobrze.

Wygląda, że to będzie statek.

Prawdopodobnie wysłesz twój nieduży ładunek razem ze znacznie większym dla IRA.

Miejmy nadzieję.

Jeśli twój zostanie nadany oddzielnie i pójdzie inną trasą i w innym kon287 .

□

tenerze, to wrócimy do punktu wyjścia.

Zostaniemy z Mahoneyem.

Ale ponieważ twój ładunek jest tylko na furgonetkę, to mogą zapakować wszystko razem.

Wiesz, który port?

Nie, tylko tyle, że Europa.

Wracaj do hotelu i rób, co ci facet powiedział poleciał McCreedy.

Rowse odjechał.

Danny ruszył za nim na motocyklu.

Wtedy podjechał samochodem Marks z Billem, żeby zabrać McCreedyego, który potem siedząc na tylnym siedzeniu cały czas rozmyślał.

Statek, o ile to ma być statek, nie będzie w rejestrze pod flagą libijską.

To zbyt oczywiste.

Prawdopodobnie z charterowanym frachtowcem z kapitanem i załogą, którzy nie zadają pytań.

Są tłumy takich w całej wschodniej części Morza Śródziemnego, a Cypr jest wymarzoną krajem do wpisania w rejestrze.

Jeśli zostanie charterowany na miejscu, będzie musiał popłynąć do portu libijskiego, żeby wziąć broń, prawdopodobnie całkowicie przykrytą normalnym ładunkiem, takim jak skrzynki oliwek lub daktyli.

Ludzie IRA pojedą pewnie razem z ładunkiem.

Kiedy opuszczą hotel, trzeba będzie ich śledzić aż do nabrzeża zaokrętowania, żeby poznać nazwę statku dla późniejszego przechwycenia.

Raz zauważony statek będzie śledzony przez łódź podwodną na głębi bokości peryskopowej.

Łódź stała w pogotowiu na wodach Malty.

Samo lot typu Nimrod z brytyjskiej bazy lotniczej na Akrotiri na Cyprze miał ją doprowadzić do płynącego frachtowca, a potem zniknąć.

Łódź miała załatwić resztę, dopóki okręty nawodne Marynarki Królewskiej nie przechwycą go w kanale La Manche.

Potrzebna mu była nazwa statku albo chociaż port przeznaczenia.

Znając port mógł kazać swym przyjacielom z wywiadu towarzystwa ubezpieczeniowego Lloyda ustalić, które statki mają zarezerwowane nabrzeża i na które dni.

To by ograniczyło możliwości.

Mógłby już nie potrzebować Mahoneya, gdyby tylko Libijczycy powiedzieli Rowseowi.

Wiadomość dla Rowsea przyszła w dwadzieścia cztery godziny później przez telefon.

Nie był to głos al-Mansura, lecz czyjś inny.

Później ludzie McCreadyego wytropili go aż do Libijskiego Biura Ludowego w Nikozji.

Niech pan jedzie do domu, panie Rowse.

Ktoś się tam z panem skontaktuje bardzo prędko.

Pańskie oliwki przyjdą statkiem do któregoś z europejskich portów.

Otrzyma pan osobiście wiadomość wraz ze szcze gółami w sprawie terminu dostawy i odbioru.

McCready studiował sprawę przechwycenia w swoim pokoju hotelo wym.

Czy al-Mansur coś podejrzewa?

Czy przejrzał Rowsea, ale zdecy

288

dował się na podwójny bief?

Jeśli podejrzewał rzeczywistych mocodawców Rowsea, to wiedziałby, że Mahoney i jego grupa też są pod obser wacją.

Hm, wysyła więc Rowsea do Anglii, żeby zdjąć nadzór z Maho neya?

Możliwe.

W razie gdyby ta wersja była nie tylko możliwa, ale i prawdziwa,

McCready zdecydował się grać na dwa fronty.

Wyjedzie z Rowseem do Londynu, ale zostawi ludzi, żeby dalej pilnowali Mahoneya.

Rowse postanowił powiedzieć Monice rano.

Wrócił do hotelu z Pafos przed nią.

Przyjechała z Limassol zarumieniona i podniecona.

Jej ogie"ry były w świetnej kondycji, obecnie w stajni poza Limassolem.

Jeszcze tylko formalności związane z transportem i może je przewieźć do Anglii.

Rowse obudził się wcześniej po swojej rozmowie telefonicznej, ale ona

była szybsza.

Spojrzał na puste miejsce w łóżku obok siebie, potem po szedł korytarzem, żeby sprawdzić w jej pokoju.

Wiadomość czekała w re cepcji, krótki list w hotelowej kopercie.

"Kochany Tomie, było cudownie, ale już się skończyło.

Wracam do mego męża, mego życia i moich koni.

Myśl o mnie ciepło, tak jak ja będę myślała o tobie.

Monika."

Westchnął.

Miała rację, oczywiście.

Każde z nich ma własne życie; on w swoim wiejskim domu ze swoim pisaniem i z Nikki.

Nagle bardzo mocno zapragnął zobaczyć Nikki.

Jadąc z powrotem na lotnisko w Nikozji domyślał się, że dwaj sier zanci są gdzieś za nim.

Byli.

Ale bez McCreadyego.

Z pomocą szefa komórki wywiadu w Nikozji złapał lot komunikacyjny RAF do Lyneham, Wiltshire, który przylatywał przed planowym lotem Brytyjskich Linii Lotniczych.

Tuż przed południem Rowse spojrzał przez okienko samolotu i zo baczył zielony masyw gór Troodos umykający spod skrzydła.

Pomyślał o Monice i o Mahoneyu stale podpierającym bar, i o al-Mansurze i był rad, że wraca do domu.

Przynajmniej zielone pola Gloucestershire będą o wiele bezpieczniejsze od całego tego lewantyńskiego kotła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rowse wylądował tuż po lunchu zyskując na czasie, ponieważ leciał z Cypru na zachód.

McCready wyprzedził go o godzinę, chociaż Rowse tego nie wiedział.

Kiedy wyszedł z kabiny samolotu do rękawa łączącego go z terminalem, zobaczył elegancką dziewczynę w uniformie Brytyjskich Linii Lotniczych trzymającą w ręku kartkę z napisem: "Pan Rowse".

289 .

□
Zgłosił się.

Jest dla pana wiadomość w informacji lotniska, tuż za halą od- praw celnych powiedziała.

Podziękował jej, zaskoczony, i poszedł w kierunku kontroli paszpor-; townej.

Nie mówił Nikki, że wraca, chciał jej zrobić niespodziankę.

Wia- domość brzmiała: "U Scotta.

Ósma wieczór.

Homary na koszt firmy." ;

Zaklął.

To znaczy, że do domu pojedzie najwcześniej rano.

Jego sa mochód stał na parkingu długoterminowym gdyby nie wrócił, ta naj-;

solidniejsza z firm zwróci go wdowie po nim.

Pojechał autobusem linii lotniczej, odebrał samochód i zameldował,,!

się w jednym z hoteli lotniskowych.

Zyskał czas na kąpiel, golenie, sen, i przebranie się w garnitur.

Ponieważ nie zamierzał żałować sobie wina, jako że miała stawiać firma,

postanowił wziąć taksówkę do londyńskiego!

West Endu i z powrotem.

3

Przede wszystkim jednak zadzwonił do Nikki.

Była w siódmym nie-j bie, w jej głosie pochwyił ostrą nutkę radości pomieszanej z ulgą.

Cały i zdrowy, kochanie?

Tak, w porządku.

I już po wszystkim?

Tak, zbieranie materiałów zakończyłem, z wyjątkiem paru szcze głów, ale to już mogę załatwić tu w Anglii.

A co u ciebie?

Och, cudownie.

Wszystko gra.

Zgadnij, co się stało?

Niech to będzie niespodzianka.

Kiedy cię nie było, przyjechał pewien facet.

Powiedział, że urzą dza w Londynie wielkie mieszkanie dla firmy i że się rozgląda za dy-1 wanami i chodnikami.

Kupił bardzo dużo, praktycznie wszystko, co mie liśmy.

Zapłacił gotówką.

Szesnaście tysięcy funtów.

Kochanie, jesteśmy bogaci.

Rowse trzymając słuchawkę, patrzył na reprodukcję Degasa na ścianie.

A ten facet, skąd on był?

Pan Da Costa?

Portugałczyk.

A bo co?

Ciemnowłosa, śniady?

Tak, chyba tak.

Arab, pomyślał Rowse.

Libijczyk.

Co znaczyło, że gdy Nikki była w stodole, gdzie trzymała wszystkie dywany i chodniki, których sprze daż traktował jako dodatkowe źródło dochodu, ktoś wszedł do domu i prawdopodobnie założył podsłuch telefoniczny.

Pan al-Mansur najwy raźniej chciał się zabezpieczyć na wszystkie ewentualności.

A zresztą powiedział wesoło wszystko jedno, skąd był.

skoro płacił gotówką, to jest cudowny.

290

Kiedy wracasz do domu?

spytała z podnieceniem w głosie.

Jutro rano.

Będę około dziewiątej.

Stawił się we wspaniałej restauracji rybnej na Mount Street dziesięć po ósmej i wskazano mu stół w rogu, przy którym siedział Sam McCre ady.

McCready lubił stoliki w rogu.

w ten sposób każdy z jedzących może siedzieć tyłem do ściany, pod kątem prostym jeden do drugiego; nie tylko łatwiej rozmawiać niż siedząc obok siebie, ale jeszcze każdy może patrzeć na restaurację.

"Pamiętaj, żebyś zawsze miał za plecami ścianę" ma wiał jeden z jego oficerów szkoleniowych przed laty.

Facet został później zdradzony przez Georgea Blakea i ściana, którą miał za plecami, była ścianą celi przesłuchań KGB.

McCready znaczną część swego życia spędził plecami do ściany.

Rowse zamówił homara i poprosił go a la Neuberg.

McCready jadł swojego na zimno w majonezie.

Rowse poczekał, aż im naleją po szklan ce meursault i aż zniknie sommelier, i dopiero potem wspomniał o tajem niczym amatorze dywanów.

McCready pogryzł homara Benbecula, którego miał właśnie pełne usta, połknął i powiedział po prostu:

Cholera.

Czy często dzwoniłeś z Cypru do Nikki?

Miał na myśli: "zanim założyłem podsłuch telefoniczny w hotelu", ale nie powie

dział tego.

Nie było potrzeby.

Wcale odparł Rowse.

Pierwszy raz zadzwoniłem z hotelu "Post House" parę godzin temu.

Dobrze.

Dobrze i źle.

Dobrze, bo nie było mimowolnych potknięć.

Złe, że al-Mansur posuwa się aż tak daleko.

Mówi się trudno orzekł Rowse.

Nie mogę być pewien, ale zdaje mi się, że zauważyłem motocykl.

Na długoterminowym parkingu, kiedy odbierałem swój samochód, i w hotelu "Post House".

Nie widziałem go z taksówki jadąc do Londynu, ale ruch był wielki.

Cholera jasna zaklął McCready z uczuciem.

Chyba masz rację.

Na końcu baru jest parka, która cały czas tu na nas zerka.

Nie roz glądaj się, jedz.

Mężczyzna i kobieta, młodzi?

Tak.

Poznajesz któreś?

Tak mi się zdaje.

W każdym razie mężczyznę.

Obróć głowę i za wołaj kelnera od win.

Zobacz, czy poznasz faceta.

Proste, gładkie włosy, obwisłe wąsy.

291 .

□

Rowse odwrócił się, żeby przywołać kelnera.

Para siedziała na końcu baru, oddzielonego u Scotta od głównej części restauracji ekranem.

Rowse odbył intensywne szkolenie antyterrorystyczne.

Oznaczało to przejrzenie setek albumów fotograficznych, nie wszystkich z IRA.

Odwrócił się z po wrotem do McCreadygo.

Mam go.

Niemiecki prawnik.

Ultraradykalny.

Bronił członków grupy Baader-Meinhof, potem do nich przystał.

Oczywiście.

Wolfgang Ruetter.

A dziewczyna?

Nie wiem.

Ale Frakcja Czerwonej Armii ma wielu sympatyków.

Chodzi o nowe twarze.

Obserwatorzy al-Mansura?

Bardziej prawdopodobne, że to na prośbę twojego kumpla Mahoneya.

Istnieje duża współpraca między Frakcją a IRA.

Boję się, że nasza miła kolacyjka wzięła w łeb.

Widzieli mnie z tobą.

Jeśli ta informacja stąd wyjdzie, to koniec z całą operacją i z tobą też.

A nie możesz być moim agentem albo wydawcą?

McCready potrząsnął głową.

To nic nie da powiedział.

Jeśli wyjdę tylnymi drzwiami, to oni tylko na to czekają.

Jeśli wyjdę frontowymi, jak zwykły gość, to jest poważne niebezpieczeństwo, że zostaną sfotografowany.

Gdzieś we wschod niej Europie to zdjęcie zostanie-zidentyfikowane.

Rozmawiaj w sposób naturalny, ale uważaj.

Nic więcej od ciebie nie chcę.

Podczas kawy Rowse wezwał kelnera i spytał o męską toaletę.

Toaleta była z obsługą; McCready to wiedział.

Napiwek dla babki klozetowej był bardziej niż hojny był horrendalny.

Tylko za telefon?

Proszę bardzo, panie prezesie.

Telefon był do wydziału Specjalnego, do przyjaciela McCreadyego.

Rowse odbył tę rozmowę w chwili, gdy McCready podpisywał rachunek na kartę kredytową.

Dziewczyna opuściła restaurację, jak tylko poprosił o rachunek.

A gdy Rowse i McCready wychynęli spod oświetlonego szyldu restauracji,

dziewczyna stała na wpół ukryta w zaułku obok sklepu z drobiem.

Złapała w obiektyw twarz McCreadyego i strzeliła dwa szybkie zdjęcia.

Flesza nie było, oświetlenie szyldu wystarczyło.

McCready zauważył ruch, ale nie dał po sobie poznać.

Obaj z Rowseem poszli z wolna w kierunku zaparkowanego jaguara McCreadyego.

Ruetter w tym czasie wyszedł z restauracji i przeszedł do swego motocykla.

Wyjął z kosza hełm i założył, opuszczając wizor.

Dziewczyna wyszła z zaułka i siadła na motorze za nim.

Mają, czego chcieli powiedział McCready.

Mogą się teraz urwać w każdej chwili.

Miejmy jednak nadzieję, że ciekawość zatrzyma ich jeszcze przez jakiś czas...

292

Zabrzącał telefon w samochodzie McCreadyego.

McCready odebrał.

Terrorysty, prawdopodobnie uzbrojeni.

Park Battersea, w pobliżu pagody poinformował przyjaciela z wydziału Specjalnego i odłożył słuchawkę.

Spojrzał w lusterko.

Są ciągle dwieście metrów za nami.

Poza nerwowym napięciem jazda do rozległego parku Battersea, nor malnie zamkniętego o zmierzchu na cztery spusty, upłynęła bez przygód.

Gdy zbliżyli się do pagody, McCready spojrzał za siebie i przed siebie:

nic. I nic dziwnego park został otwarty na skutek telefonu Rowsea.

Zasady ochrony dyplomatów, pamiętasz?

Yhm mruknął Rowse i sięgnął do hamulca ręcznego.

Szarpnął ostro za hamulec, gdy jednocześnie McCready gwałtownie skręcił jaguara o sto osiemdziesiąt stopni.

Tył samochodu zarzucił, opony zaprotestowały piskiem.

W ciągu dwóch sekund limuzyna zawróciła jadąc w przeciwną stronę.

McCready grzał prosto na zbliżające się światło motocykla.

Dwa zaparkowane w pobliżu nie oznaczone samochody włączyły reflektory, a ich silniki zaczęły pracować.

Ruetter skręcił, by uniknąć zderzenia z jaguarem, co mu się udało.

Potężna honda zbczyła z drogi i pokonując krawężnik wjechała do parku, prawie omijając ławkę ale niezupełnie.

Siedzącemu na miejscu pasażera Rowseowi mignął wyskakujący w górę motocykl i jego padający w trawę pasażerowie.

Podjechały pozostałe dwa samochody i wysiadło z nich trzech mężczyzn.

Ruetter stracił oddech, ale nic mu się nie stało.

Usiadł i sięgnął pod kurtkę, ale w tym momencie jakiś głos koło niego powiedział: Policja z bronią.

Nie ruszać się.

Ruetter obrócił się i spojrzał w lufę służbowego webleya kaliber 0.38.

Twarz nad nim uśmiechała się.

Ruetter, który też widział film "Brudny Harry", postanowił nikomu zbytnio nie ułatwiać życia.

Cofnął rękę.

Sierżant wydziału Specjalnego odstał do tyłu, mierząc oburącz w czoło Niemca.

W tym czasie jeden z jego kolegów wyjął z kurtki motocyklisty parabellum walthera P.38.

Dziewczyna była nieprzytomna.

Wielki mężczyzna w lekkim, szarym płaszczu przeszedł od jednego z samochodów w stronę McCreadyego.

Co masz, Sam?

Frakcja Czerwonej Armii.

Uzbrojeni, groźni.

Dziewczyna nie jest uzbrojona powiedział bardzo wyraźnie po angielsku

Ruetter.

To skandal.

Dowódca grupy specjalnej wyjął z kieszeni mały rewolwer, podszedł do dziewczyny, wetknął jej broń w prawą rękę, po czym wrzucił splot do woreczka i

dodał spokojnie: Teraz już jest.

293 .

□

Protestuję rzucił się Ruetter.

To jawne pogwałcenie naszych praw obywatelskich.

To prawda przyznał ze smutkiem dowódca grupy.

Masz jakieś życzenia, Sam?

Mają moje zdjęcie, mogą znać moje nazwisko.

I widzieli mnie z nim.

Kiwnął głową w stronę Rowsea.

Jeśli to wyjdzie na jaw, uli ce Londynu pogrążą się w wielkiej żałobie.

Trzeba ich zatrzymać bez moż liwości porozumiewania.

Żadnych śladów, żadnego pokazywania się.

Mu są być ciężko ranni po takim wypadku.

Może jakiś pewny szpital...

Tylko izolatka.

Bo co z takimi biedakami zrobić?

Nieprzytomni, bez papierów, samo zidentyfikowanie ich potrwa kilka tygodni...

Nazywam się Wolfgang Ruetter powiedział Niemiec.

Je stem prawnikiem z Frankfurtu i żądam, by mi umożliwiono widzenie z ambasadorem.

To zabawne, jak głuchym można być w średnim wieku po skarżył się dowódca.

Do samochodu z nimi, chłopcy.

Jak tylko zdo łam ich zidentyfikować, staną przed sądem.

Ale to może potrwać.

Bę dziemy w kontakcie, Sam.

Z reguły, zgodnie z ustawą o zapobieganiu terroryzmowi, nawet uzbrojony i zidentyfikowany członek grupy terrorystycznej aresztowa ny na terytorium wielkiej Brytanii nie może być przetrzymywany bez sądu dłużej niż siedem dni. Ale od wszystkich reguł bywają wyjątki, nawet w państwie demokratycznym.

Nazajutrz rano Rowse wrócił do Gloucestershire do swego życia i cze kania na obiecaną przez Hakima al-Mansura wiadomość.

Tak jak sobie to wyobrażał, po otrzymaniu informacji co do czasu i miejsca przybycia statku z bronią da znać McCreedyemu.

Tajna Służba Wywiadowcza wy śledzi wtedy statek w drodze, ustali jego tożsamość na Morzu Śródziem nym i dopadnie na wschodnim Atlantyku lub w kanale La Manche z Mahoneyem i jego ludźmi na pokładzie.

Nic prostszego.

Wiadomość nadeszła w siedem dni później.

Na podwórzu domu Row se zajechał wolno czarny porsche, z którego wysiadł młody mężczyzna.

Rozglądał się przez chwilę wśród zielonej trawy i grządek kwiatowych w promieniach późnego majowego słońca.

Miał ciemne włosy, był chmur ny i przybywał ze znacznie bardziej suchego i surowego kraju.

Tom!

zawołała Nikki ktoś do ciebie.

Tom przyszedł zza domu.

Jego twarz nie zdradzała nic poza grzeci nym pytaniem, mimo że rozpoznał faceta od razu.

Był to "ogon", który

294

jechał za nim z Trypolisu do Valletty, a potem odprowadził go do samo lotu na Cypr dwa tygodnie temu.

Słucham pana?

powiedział.

Pan Rowse?

Tak.

Mam wiadomość od pana Aziza.

Jego angielski był nie naj gorszy, ale niepewny, zbyt staranny, żeby mógł być płynny.

wyrecytował tekst tak, jak się go nauczył.

Pańskie cargo przyjdzie do Bremerhaven.

Trzy skrzynie, wszystko oznaczone jako maszyny biurowe.

Pański podpis zapewni ich zwolnienie.

Nabrzeże zero dziewięć.

Magazyn Neuberg.

Rossmannstrasse.

Musi pan odebrać skrzynki w ciągu dwudziestu czterech godzin.

W przeciwnym razie znikną.

Czy to jest jasne?

Rowse powtórzył dokładny adres, utrwalając go sobie w pamięci.

Młody człowiek wszedł z powrotem do samochodu.

Jeszcze jedno.

Kiedy?

Którego?

A, racja.

Dwudziestego czwartego.

Przychodzą dwudziestego czwar tego w południe.

Odjechał, pozostawiając Rowsea z rozdziawionymi ustami.

W parę minut później Rowse pędził do miasteczka do publicznego telefonu.

Jego telefon ciągle był na podsłuchu, co potwierdzili fachowcy, ale musiał jeszcze przez jakiś czas pozostać.

Co to, u diabła, znaczy, ten dwudziesty czwarty?

szalał już po raz dziesiąty McCready.

To znaczy za trzy dni.

Trzy cholerne dni!

Mahoney ciągle jest na miejscu?

spytał Rowse.

Pojechał do Londynu na nalegania McCreadyego, by się spotkali w jednym z bezpiecznych miejsc Firmy, w pewnym mieszkaniu w Chelsea.

Nie byłoby bezpiecznie sprowadzać Rowsea do Century House oficjalnie był persona non grata.

Tak, ciągle podpira bar w "Apollonii", zawsze w otoczeniu swo jej drużyny, cały czas czeka na wiadomość od al-Mansura i w dalszym ciągu pod nadzorem moich ludzi.

McCready doszedł do wniosku, że są tylko dwie możliwości.

Albo Libijczycy kłamali co do dwudziestego czwartego, jeszcze raz sprawdza jąc Rowsea i chcąc się przekonać, czy do magazynu Neuberg przyjdzie policja.

W tym przypadku al-Mansur miałby czas skierować statek gdzie indziej.

Albo został nabrany on, McCready, a Mahoney i jego ludzie są tylko przynętą, o czym prawdopodobnie sami nie wiedzą.

Jednego był pewien: żaden statek nie może dopłynąć z Cypru do

Bremerhaven przez Trypolis lub Syrtę w ciągu trzech dni.

Gdy Rowse jechał do Londynu, McCready porozumiał się ze swoim przyjacielem

295 .

□

z Dibben Place w Colchester, gdzie mieści się wywiad Lloyda.

Facet nie ;

miał wątpliwości.

Jeden dzień zajmie podróż z, powiedzmy, Pafos do Try-

polisu lub Syrty.

Jeden dzień czy raczej jedna noc na załadunek.

Dwa :

dni do Gibraltaru i jeszcze cztery do pięciu do północnych Niemiec.

Się- ;

dem dni co najmniej, a bardziej prawdopodobne, że osiem.

Tak więc albo był to test na Rowsea, albo statek jest już na morzu.

Według faceta od Lloyda, aby cumować w Bremerhaven dwudziestego czwartego,

statek musiałby być gdzieś na zachód od Lizbony i płynąć na i północ, by ominąć Finisterre.

Lloyd sprawdzał nazwy statków wychodzą cych z portów Morza Śródziemnego, a oczekiwanych w Bremerhaven;

dwudziestego czwartego.

Zadzwoił telefon.

Był to ekspert Lloyda.

Nic takiego nie ma powiedział.

Żaden statek z Morza i Śródziemnego nie jest oczekiwany dwudziestego czwartego.

Musiałeś zo stać źle poinformowany.

I to jeszcze jak pomyślał McCready.

W osobie Hakima al-Mansu- j ra trafił na drugiego mistrza gry.

Zwrócił się do Rowsea: s,

Czy w hotelu był jeszcze ktoś, kto mógłby chociaż trochę śmier-1 dzieć

IRA?

Rowse potrząsnął głową.

Obawiam się, że musimy wrócić do albumów fotograficznych - stwierdził McCready.

Przeglądaj je na okrągło.

Jeżeli znajdziesz ja kās twarz, w ogóle cokolwiek, co zauważyłeś podczas swego pobytu w Trypolisie, na Malcie lub na Cyprze, to daj mi znać.

Zostawiam cię z nimi.

Mam coś do załatwienia.

Nawet nie porozumiewał się z Century House w sprawie zwrócenia się do Amerykanów o pomoc.

Było za mało czasu, aby iść zwykłymi ka nałami.

Dotarł do szefa komórki CIA na Grosvenor Square.

Nadał był nim Bili Carver.

Rany, nie wiem, Sam.

Skierowanie satelity nie jest takie proste.

Nie możecie użyć nimroda?

Nimrody Królewskich Sił Lotniczych mogą robić zdjęcia statków na morzu z dużą precyzją, ale muszą lecieć tak nisko, że same są widoczne.

W tej sytuacji muszą też wielokrotnie powtarzać te loty, by objąć znaczną część oceanu.

McCready przedłożył plan zamordowania amerykańskiego ambasado ra w Londynie.

Obaj wiedzieli, że Charles i Carol Priceowie byli najbar dziej popularnymi amerykańskimi dyplomatami w ciągu ostatnich kilku-, dziesięciu lat.

Pani Thatcher niełatwo wybaczyłaby organizacji, która by pozwoliła, aby wyrządzono krzywdę Charliemu Priceowi.

Carver skinął.

To ułatwia sprawę...

przynajmniej mnie.

296

Była prawie północ, gdy znużony Rowse wrócił do albumu pierwsze go, z dawnych czasów.

Siedział z ekspertem od fotografii z Century House.

Projektor i ekran zainstalowano tak, że zdjęcia można było rzucać na ekran i wprowadzać zmiany na twarzy.

Tuż przed pierwszą Rowse przerwał.

Tego powiedział możesz rzucić tego na ekran?

Twarz wypełniła po chwili prawie całą ścianę.

Nie bądź głupi wtrącił się McCready.

Ten już od lat w tym nie jest.

\ Twarz patrzyła na nich zmęczonymi oczyma zza okularów w grubej oprawce; nad zmarszczonym czołem sterczały siwe włosy.

Usunąć okulary Rowse obstawał przy swoim.

Dać mu brą zowe szkła kontaktowe.

Technik dokonał zmian.

Okulary znikły, oczy z niebieskich stały się brązowe.

Jak dawne jest to zdjęcie?

Około dziesięciu lat.

Proszę go postarzyć o dziesięć lat.

Rzadsze włosy, więcej zmarszczek, obwisły podbródek.

Technik zrobił, co mu kazano.

Facet wyglądał teraz na siedemdziesiąt lat.

A teraz włosy czarne, lśniące.

Farbowane.

Rzadkie siwe włosy stały się kruczoczarne.

Rowse gwizdnął.

Siedział sam w kącie tarasu powiedział w "Apollonii".

Z ni kim nie rozmawiał, trzymał się na uboczu.

Stephen Johnson był szefem sztabu IRA, d a w n e j IRA, dwadzie ścia lat temu stwierdził McCready.

Porzucił organizację dziesięć lat temu po piekielnej awanturze z młodym pokoleniem w sprawie polityki.

Ma teraz sześćdziesiąt pięć lat.

Handluje maszynami rolniczymi w hrab stwie Clare, na miłość boską!

Był asem, miał awanturę, odszedł zde gustowany, wiadomo, że jest poza resortem.

Dla tych, którzy pozostali: trędowaty.

Czy to ci może ko goś przypomina?

Podsunał mu Rowse.

Widzę, że z wiekiem nawet i ty potrafisz być dowcipny przy znał McCready.

Zadzwoił do przyjaciela w irlandzkiej policji. Garda Siochana.

Oficjalnie kontakty między irlandzką Gardą i jej brytyjskimi partnerami w walce z terroryzmem powinny być formalne, lecz na odległość. W rze297 .

□
Czywistości między profesjonalistami stosunki te są często cieplejsze i bliższe, niżby sobie niektórzy z twardych polityków życzyli.

Tym razem facet z irlandzkiego wydziału Specjalnego, obudzony u siebie w domu w Ranelagh, spisał się jak trzeba.

Jest na urlopie powiedział potem McCready.

Według miejscowej Gardy gra w golfa i od czasu do czasu wyjeżdża sobie pograć, zwykle do Hiszpanii.

Do południowej Hiszpanii?

Możliwe.

A dlaczego?

Pamiętasz aferę gibraltarską?

Obaj pamiętali ją aż nadto dobrze.

Trzech zabójców z IRA planują cich podłożenie ogromnej bomby w Gibraltarze zostało "wyjętych" przez grupę Specjalnych Sił Lotniczych przedwcześnie, lecz na dobre.

Policja hiszpańska i kontrwywiad okazały wielką pomoc terroryści przy jechali z Costa del Sol do Gibraltaru w charakterze turystów.

Ciągle chodziły pogłoski, że był jeszcze czwarty, który został w Hiszpanii przypomniał Rowse.

A w okolicach Marbelli jest gęsto od pól golfowych.

Skurwysyn warknął McCready.

Stary skurwysyn.

Znowu działa.

Rankiem McCready otrzymał telefon od Billa Carvera i obaj z Rowseem pojechali do ambasady amerykańskiej.

Carver przyjął ich w głównym hallu, podpisał ich wejście i zabrał do swego biura w suterenie, gdzie również miał pomieszczenie do oglądania fotografii i gdzie wszystko było przygotowane.

Satelita dobrze się spisał, kołyszając się łagodnie wysoko w przestrzeni nad wschodnim Atlantykiem i celując swymi kamerami o długich obiektywach w dół, tak by za jednym zamachem objąć pas wody szerokości ponad stu mil wzdłuż wybrzeży portugalskich, hiszpańskich i francuskich.

Działając zgodnie z sugestią informatora od Lloyd'a, McCready po prosił o przestudiowanie prostokąta wody od Lizbony na północ do Zatok Biskajskiej. Stały strumień fotografii, który płynął do stacji od biorczej Państwowego Biura Zwiadowczego pod Waszyngtonem, został podzielony na zdjęcia poszczególnych statków znajdujących się w tym prostokącie.

Ptaszek zrobił zdjęcie wszystkiego, co jest większe od pływającej puszkii po coca-coli zauważył z dumą Carver.

Chcicie zaczynać?

298

Było ponad sto dwadzieścia statków w tym prostokącie wody.

Prawie połowę stanowiły statki rybackie.

McCready pominął je, chociaż nie wykluczał, że jeszcze do nich wróci.

Bremerhaven miało port i dla statków rybackich, ale były to jednostki niemieckie; obcy statek wpływający, by wyładować nie ryby, lecz zwykłe cargo, wyglądałby dziwnie.

McCready skoncentrował się na frachtowcach i kilku dużych prywatnych jachtach, pomijając również cztery duże liniowce pasażerskie.

Lista uzyskana w drodze eliminacji liczyła pięćdziesiąt trzy jednostki.

Jedno po drugim oglądał powiększenia małych metalowych skorupki na wielkim przestworzu wody, które zajmowały cały ekran.

Szczegółowo oglądali je wraz z nim znajdujący się w pokoju ludzie. Część płynęła nie w tę stronę; tych, które zmierzały na północ w kierunku kanału La Manche, było razem trzydzieści jeden.

O wpół do trzeciej poprosił, by zatrzymano projektor.

Ten facet zwrócił się do technika Billa Carvera.

Ten, który stoi z boku na mostku.

Może go pan przybliżyć?

Proszę powiedział Amerykanin.

Frachtowiec był na wysokości Finisterre tuż przed zachodem słońca poprzedniego dnia.

Jeden z członków załogi wykonywał jakieś rutynowe czynności na pokładzie dziobowym, podczas gdy drugi stał z boku na mostku i przyglądał mu się.

McCready i Rowse patrzyli, jak na ekranie statek robi się coraz większy i większy, a mimo to ostrość jest ciągle dobra.

W pewnym momencie dziób i rufa znikły i tylko postać samotnie stojącego mężczyzny rosła coraz bardziej.

Na jakiej wysokości jest satelita? spytał Rowse.

Sto dziesięć mil.

To jest technika.

Łapie bezbłędnie numer samochodu przyznał Amerykanin z dumą.

Było ponad dwadzieścia klatek tylko tego jednego frachtowca. Kiedy stojący na mostku człowiek wypełnił całą ścianę, Rowse poprosił, aby wszystkie je rzucić na ekran w tym samym powiększeniu.

Gdy obrazy się zmieniały, człowiek wydawał się poruszać sztywno jak postać na wiktoriańskim biogramie.

Odwrócił się od marynarza i spojrzał na morze, następnie zdjął czapkę i przejechał ręką po rzadkich włosach.

Być może zaskrzeczał nad nim jakiś ptak, obojętne zresztą co, w każdym razie podniósł twarz.

Zatrzymać!

zawołał Rowse bliżej.

Technik powiększył twarz, aż zaczęła się rozmazywać.

299 .

□

Tak szepnął McCready nad ramieniem Rowsea.

To on.

Johnson.

Zmęczone stare oczy pod rzadkimi czarnymi włosami spoglądały na nich z ekranu.

Stary człowiek z rogu tarasu w "Apollonii".

Były.

Nazwa statku rzucił McCready potrzebna jest nam nazwa statku.

Była na dziobie, a satelita, kiedy statek zniknął za horyzontem na północy, ciągle jeszcze filmował.

Jedno ze zdjęć zrobione pod małym kątem chwyciło słowo obok kotwicy.

"Regina IV".

McCready sięgnął po telefon i zadzwonił do swojego człowieka z wywiadu Lloyd'a.

To niemożliwe powiedział facet z Colchester, kiedy oddzwonił w trzydzieści minut później.

"Regina IV" ma powyżej dziesięciu tysięcy ton i jest na wysokości Wenezueli.

Musieliście źle odczytać.

wykluczone odparł McCready.

Ma dwa tysiące ton i płył nie na północ; w tej chwili na wysokości Bordeaux.

Chwileczkę zabrzmiał wesoły głos z Colchester.

Czy jest może "niegrzeczna"?

Prawie na pewno przyznał McCready.

Zadzwonię za chwilę powiedział facet od Lloyd'a.

Zadzwonił prawie za godzinę.

McCready spędził większą część tego czasu telefonu jąc do pewnych ludzi, którzy mają swoją bazę w Poole, w Dorset.

"Regina" wyjaśnił facet od Lloyd'a to bardzo częsta nazwa.

Jak "Stella Maris".

Dlatego po nazwie dają dodatkowe litery albo rzymskie cyfry.

Żeby odróżnić jeden od drugiego.

Tak się składa, że jest też "Regina VI", port macierzysty Limassol, obecnie, jak się przypuszcza, stoi w Patos.

Około dwóch tysięcy ton.

Niemiecki Szyper, cypryjska załoga.

Nowi właściciele firma zarejestrowana w Luksemburgu.

Rząd libijski, pomyślał McCready.

Był to prosty fortel.

Opuścić Morze Śródziemne jako "Regina VI"; na Atlantyku zamałować pałkę za piątką i namalować drugą przed.

Ktoś zręczny zmienia papiery statku tak, aby pasowały.

Agenci zabukują bardzo szacowną "Reginę IV" w Bremerhaven z ładunkiem maszyn

biurowych i z drobnicą z Kanady, a kto sprawdzi, że "Regina IV" jest naprawdę na wysokości Wenezueli?

O świcie trzeciego dnia kapitan Holst wyjrzał przez przednie okno swego mostka na powoli rozjaśniające się morze.

Bez wątpienia była to rakietka: rozprysnęła się na niebie na wprost niego, zawisała na chwilę i opa dła do wody.

Rakietka alarmowa.

Wpatrując się w mrok świtu odróżnił coś jeszcze na milę lub dwie przed sobą migotanie żółtego płomienia.

300

Nakazał maszynowni zredukowanie prędkości do połowy, podniósł we wnetrzny telefon i zadzwonił do jednego ze swych pasażerów śpiącego w koi na dole.

Mężczyzna przyszedł w niespełna minutę.

Kapitan Holst wskazał w milczeniu przez szybę.

Na spokojnej wodzie przed nimi kołysał się jak pijany motorowy statek rybacki. Musiał mieć eksplozję w maszynowni; spod pokładu snuła się smuga czarnego dymu, mieszając się z pomarańczowymi błyskami ognia.

Burty były opalone i okryte sadzą.

Gdzie jesteście?

spytał Stephen Johnson.

Na Morzu Północnym, między Yorkshire i wybrzeżem holender skim wyjaśnił Holst.

Johnson wziął lornetkę kapitana i skierował na mały statek rybacki. "Fair Maid, Whitby" można było przeczytać na dziobie.

Musimy się zatrzymać, udzielić im pomocy powiedział Holst po angielsku. Takie jest prawo morza.

Nie wiedział dokładnie, co wiezie, i nie chciał wiedzieć.

Dostał od swoich szefów rozkazy i niewiarygodnie wysoką premię.

O załodze też nie zapomniano.

Skrzynki oliwek z Cypru zostały dostarczone na pokład w Patos i były całkowicie legalne.

Podczas dwudniowego postoju w Syrcie na wybrzeżu libijskim część ładunku została zabrana i potem zwrócona.

Wyglądała tak samo.

Zdawał sobie sprawę, że gdzieś tam musi być ładunek niedozwolony, ale nie wiedział gdzie i nie zamierzał go szukać.

Do wodom na to, że ładunek jest szczególnie niebezpieczny, było sześciu pasażerów dwóch z Cypru i jeszcze czterech z Syrtu.

I zmiana numera, jak tylko minęli Słupy Herkulesa.

W ciągu dwunastu godzin miał się tego wszystkiego pozbyć.

Popłynię z powrotem przez Morze Północne, na wodzie zamieni się znów w "Reginę VI" i spokojnie wróci do swojego macierzystego portu w Limassol jako człowiek znacznie bogatszy.

Potem pójdzie na emeryturę.

Lata przewożenia dziwnych ładunków, ludzi i skrzyń do Afryki Zachodniej, zagadkowe rozkazy przychodzące do niego obecnie od nowych właścicieli z Luksemburga wszystko to będzie należało do przeszłości.

Pójdzie na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat z oszczędnościami, które pozwolą jemu i jego greckiej żonie Marii otwóżyć małą restauracyjkę na wyspach greckich i w spokoju dożyć swoich dni.

Johnson popatrzył niepewnie.

Nie możemy się zatrzymać orzekł.

Musimy.

Robiło się coraz jaśniej.

Zobaczyli jakąś postać, poparzoną i osmałoną, która wyszła ze sterówki statku rybackiego i powlokła się na przedni pokład.

Bolesna próba pomachania skończyła się upadkiem na twarz.

301 .

□ Za Holstem pojawił się drugi człowiek IRA. Kapitan poczuł lufę pi stoletu na żebrach.

Mijaj go usłyszał nie znoszący sprzeciwu głos.

Holst nie zlekceważył broni, lecz spojrzął na Johnsona.

Jeśli tak zrobimy, a im potem udzieli pomocy inny statek, jak to się prędzej czy później stanie, to złożą na nas raport.

Zostaniemy zatrzymani i będą nas pytać, dlaczego tak się zachowaliśmy.

Johnson kiwnął głową.

To go staranuj powiedział ten, który trzymał broń.
Nie za trzymujemy się.

Możemy udzielić im pierwszej pomocy i wezwać holenderską straż przybrzeżną podsunął Holst.

Nikt nie wejdzie na pokład.

Jak się zjawi kuter holenderski, odpłyniemy.

Pomachają nam z wdzięczności i za pomną.

Johnson został przekonany.

Kiwnął głową.

Odłóż broń rozkazał.

Holst ustawił telegraf maszynowy w pozycji na CAŁA WSTECZ i "Regina" zwolniła gwałtownie.

Wydając po grecku rozkaz sternikowi Holst opuścił mostek i zanim przeszedł na pokład dziobowy, szedł na śródo kręcie.

Spojrzał w dół na zbliżający się statek rybacki, a następnie poma chał ręką do sternika.

Maszyny stanęły "Regina" siłą bezwładności szła ku dotkniętej nieszczęściem jednostce.

Ahoj, "Fair Maid"!

zawołał Holst, wpatrując się w statek rybac ki widoczny już pod dziobem.

Leżący na pokładzie człowiek próbował się poruszyć, lecz zemdlał ponownie.

"Fair Maid" podskakiwała na fali przy burcie większej od siebie "Reginy", aż doszła do śródo kręcia, gdzie reling był niższy.

Holst przeszedł kawałek i krzyknął po grecku do jednego z członków załogi, by rzucił linę na pokład "Fair Maid".

Nie było potrzeby.

Gdy statek rybacki przesuwał się wzdłuż śródo kręcia "Reginy", czło wiek leżący na pokładzie dziobowym odzyskał przytomność, z zadziwia jącą jak na kogoś tak ciężko poparzonego szybkością skoczył, porwał hak i cisnął za reling "Reginy" mocując linę haka do kołka na dziobie "Fair Maid".

Z kabiny statku wybiegł drugi mężczyzna i to samo zrobił na ru fie.

"Fair Maid" przestała dryfować.

Z kabiny wybiegło jeszcze czterech ludzi, skoczyło na dach i przesa dziło reling "Reginy".

Wszystko to odbyło się tak szybko i w sposób tak zgrany, że kapitan Holst zdążył tylko krzyknąć:

Was zum Teufel ist denn das!

Mężczyźni byli ubrani jednakowo, w czarne jednoczęściowe kombi nezony, gumowe buty i czarne wełniane czapki.

Twarze ich były również

302

poczernione, ale nie sadzą.

Bardzo twarda pięść ugodziła Holsta w splot słoneczny i kapitan osunął się na kolana.

Miał później powiedzieć, że nigdy przedtem nie widział ludzi ze Specjalnej Eskadry Okrętowej morski odpowiednik Specjalnych Sił Lotniczych w akcji i nigdy nie chce ich więcej widzieć.

Na pokładzie było w tym momencie czterech Cypryjczyków z załogi.

Jeden z ludzi w czerni krzyknął do nich jakiś rozkaz po grecku.

Usłucha li go; położyli się płackiem na pokładzie, twarzą na dół, wszyscy, poza czterema ludźmi z IRA, którzy wysypali się przez boczne drzwi nadbu dówki.

Wszyscy mieli pistolety.

Dwaj zorientowali się szybko, że wobec pistoletów maszynowych MP5 heckler and koch ze swoją bronią nie mają szans, rzucili ją więc na po kład i podnieśli ręce do góry.

Dwóch próbowało strzelać.

Jeden miał szczę ście: dostał krótką serię w nogi i przeżył, by resztę życia spędzić na wóz ku.

Drugi nie miał tyle szczęścia dostał cztery kule w pierś.

Po pokładzie "Reginy" kręciło się sześciu ubranych na czarno ludzi.

Trzecim w kolejności, który dostał się na pokład, był Tom Rowse.

Pobiegł do schodów wiodących na mostek.

Na górze wyłonił się z wnętrza Stephen Johnson.

Na widok Rowsea podniósł ręce do góry.

Nie strzelaj, pisarzu.

To już koniec!

krzyknął.

Rowse odsta pił na krok i skierował lufę pistoletu maszynowego w stro nę schodów.

Na dół!
powiedział.

Gdy Johnson zaczął schodzić na główny pokład, za Rowseem coś się poruszyło, ktoś stał w drzwiach sterówki.

Na wpół obrócony Rowse wyczuł ruch i usłyszał trzask broni.

Kula rozdarła mu kombinezon na ramieniu.

Nie było czasu zastanawiać się czy krzyknąć.

Strzelił, jak go uczyli szybki podwójny strzał, potem jeszcze raz: dwie pary dziewięciomilimetrowych pocisków w ciągu niespełna pół sekundy.

Pochwycił obraz tej postaci w drzwiach, gdy brała w piersi wszystkie cztery kule.

Najpierw odrzuciło ją na framugę drzwi, a potem zamiata jąc pszenicznózłotą burzą włosów poleciała do przodu.

W jednej chwili leżała na stalowym pokładzie, zupełnie martwa.

Z ust, które całował, sączył się cienki strumyk krwi.

No, no rzucił jakiś głos z boku.

Monika Browne.

Z "e" na końcu.

Rowse odwrócił się.

Ty skurwysynu powiedział wolno wiedziałeś.

Nie wiedziałem, podejrzewałem odparł McCready.

Po ustaniu strzelaniny przeszedł sobie spokojnie w cywilnym ubraniu ze statku ry303 .

□

backiego.

Widzisz, Tom, po kontaktach z tobą musieliśmy ją sprawdzić.

Jest...

była naprawdę Moniką Browne, ale urodzoną i wychowaną w Dublinie.

Po pierwszym zamążpójściu, w wieku dwudziestu lat, poje chała na osiem lat do Kentucky.

Po rozwodzie wyszła za majora Eryka Brownea, znacznie od siebie starszego, lecz bogatego, który w swoim alkoholowym zamroczeniu nawet nie podejrzewał fanatycznego oddania sprawie IRA swojej młodej żony.

Owszem, prowadziła stadninę, ale nie w Ashford w Kencie, w Anglii, tylko w Ashford, w hrabstwie Wicklow w Ir landii...

Zespół spędził dwie godziny na "porządkach".

Kapitan Holst okazał się chętny do współpracy.

Przyznał, że był przeładunek skrzyń na statek rybacki na wysokości Rnisterre.

Podał nazwę tej jednostki, a McCready przekazał ją do Londynu dla władz hiszpańskich.

Mogli dzięki temu mieć broń przeznaczoną dla ETA bardzo szybko, póki jeszcze była na pokła dzie trawlera.

W ten sposób Tajna Służba Wywiadowcza dziękowała Hisz panom za pomoc w aferze gibraltarskiej.

Kapitan Holst zgodził się również co do tego, że znajdował się aku rat na brytyjskich wodach terytorialnych, gdy dokonano abordażu.

Po tem miała to już być sprawa dla prawników, o ile w grę wchodziła brytyj ska jurysdykcja.

McCready nie chciał, by ludzie IRA zostali przekazani do Belgii i natychmiast uwolnieni jak ojciec Ryan.

Dwa ciała przyniesiono z kabin na dole na główny pokład i ułożono obok siebie, zawinięte w prześcieradła.

Z pomocą cypryjskich członków załogi zdjęto pokrywy luków i przejrzano ładunek. Zrobili to komandosi Specjalnej Eskadry Okrętowej.

Po dwóch godzinach porucznik, który nimi dowodził, zgłosił się do McCreadyego.

Nic nie ma, sir.

Co znaczy: nic?

Dużo oliwek, sir.

Same oliwki?

Parę skrzyń oznaczonych jako maszyny biurowe.

A zawierają?

Maszyny biurowe, sir.

I trzy ogiery.

Bardzo zdenerwowane, sir.

Pieprzyć konie, jeśli o mnie chodzi powiedział McCready po-1 nuro.

Pokaż.

Porucznik oprowadził go po czterech lukach statku.

w jednym z nich przez boki rozbitych skrzyń widać było kopiarki i maszyny do

pisania z Japonii.

W drugim z porozwałanych skrzyń sypały się puszkki cypryjskich oliwek.

Nie było ani jednej całej skrzyni.

Czwarty luk zawierał trzy duże boksy dla koni.

W każdym z nich rżał ogier wspinając się ze strachu.

304

McCready doznał w żołądku przykrew sensacji, jak wtedy, kiedy wie my, że nas nabrano, żeśmy przyjęli niewłaściwy kierunek działania i że trzeba będzie słońcu za to zapłacić.

W luku zawierającym konie był z nimi teraz młody komandos.

Robił wrażenie, że zna się na koniach; przema wiał do nich łagodnie, uspokajająco.

Sir?

spytał.

Tak?

Dlaczego one są transportowane?

To araby.

Czystej krwi, przeznaczone do stadniny.

Nie, to nie są araby sprostował młody komandos.

To są szkapy ze szkółki jeździeckiej.

Ogierzy, ale zwykłe szkapy.

\ Przeszukanie zostało praktycznie zakończone, kiedy zerwano pierw sze deski z zewnętrznej ściany pierwszego boksu.

Między wewnętrzną i ze wnątrzną ścianą specjalnie zbudowanych boksów było bowiem miejsca na dobrą stopę, a oczom zebranych ukazały się stosy bloków semteksu-H, zwarte szeregi wyrzutni rakietowych RPG-7 i ręcznych pocisków ziemiapowietrze. Pozostałe boksy dla koni zawierały ciężkie karabiny maszynowe, amunicję, granaty, miny i moździerze.

Myśle powiedział McCready że możemy teraz wezwać Ma rynarkę wojenną.

Opuścili luk i wrócili na ciepłe słońce głównego pokładu.

Marynarka doprowadzi "Reginę" do Harwich.

Tam statek zostanie formalnie prze jęty, a jego załoga i pasażerowie aresztowani.

"Fair Maid" wypompowano dla dokonania reperacji.

Granaty dymne do wytwarzania specjalnych efektów, które nadały jej wygląd płonącego statku, dawno już wrzucono do morza.

Facet z IRA z roztrzaskanym kolanem, którego krwawienie zostało zatamowane przez prymitywny, lecz prawidłowy opatrunek założony przez komandosów, siedział z twarzą szarą jak popiół, plecami oparty o grodz i czekał na chirurga marynarki, który miał przybyć fregatą odległą zale dwie o pół mili. Pozostałych dwóch przykuto do podpory dalej na po kładzie, a McCready miał klucze do kajdanek.

Kapitan Holst i jego załoga bez szemrania zeszli do jednego z lu ków nie tego z bronią i siedzieli tam wśród oliwek, dopóki ludzie z marynarki nie spuścili im drabiny.

Stephen Johnson został zamknięty w swojej kabinie pod pokładem.

Po zakończonej akcji pięciu ludzi ze Specjalnej Eskadry Okrętowej wskoczyło na dach kabiny "Fair Maid" i po chwili zniknęło wewnątrz.

Silnik zastartował.

Dwaj komandosi wyszli ponownie i zrzucili cumy.

Po rucznik pomachał do McCreadyego w geście pożegnania i statek rybac305 .

□

ki odpłynął.

Byli to cisi wojownicy; zrobili, co do nich należało, i nie mieli powodu dłużej czekać.

Tom Rowse usiadł przygarbiony na krawędzi luku obok wspaniałego ciała Moniki Browne.

Po drugiej stronie pokładu "Reginy" stała przy burcie fregata; jej załoga rzucała rzutki i pierwsi ludzie wchodzili na pokład.

Rozmawiali z McCreadym,

Wiatr zerwał róg prześcieradła z twarzy, którą przykrywało.

Rowse patrzył na tę piękną twarz, tak spokojną po śmierci.

Bryza dmuchnęła w pszenicznazłote włosy, których pukiel zatrzymał się na czole.

Rowse się- gnał, by go odsunąć.

Ktoś usiadł przy nim i objął go ramieniem.

No już.

Tom.

Przecież nie mogłeś wiedzieć.

Nie twoja wina.

Wie działa, co robi.

Gdybym wiedział, że tu była, to jej bym nie zabił powiedział Rowse tępo.
Ale wtedy ona zabiłaby ciebie.

Taka była.

Dwóch marynarzy wypuściło ludzi IRA i poprowadziło w stronę fregaty.
Dwóch sanitariuszy pod nadzorem chirurga położyło rannego na noszach i wyniosło.
Co dalej?

spytał Rowse.

McCready spojrział na morze i niebo i westchnął.

Teraz, Tom, sprawą zajmą się prawnicy.

Prawnicy zawsze zajmują się takimi sprawami sprowadzając wszystko, co jest
życiem i śmiercią, namiętnością, chciwością, odwagą, pożądaniem i sławą do
suchych ter-1 minów swojego zawodowego żargonu.

'

A ty?

j

O, ja wracam do Century House i zaczynam na nowo.

A co wie czór idę do mojego małego mieszkanka, słucham muzyki i pogryzam palone
pestki.

A ty wrócisz do Nikki, mój przyjacielu.

Przytul ją mocno, pisz dalej swoje książki i zapomnij o tym wszystkim.

Hamburg, Wiedeń, Malta, Trypolis, Cypr, zapomnij o tym.

To masz już za sobą.

Przyjdą po mnie?

;

Nie, nie sędzę.

Nasi ludzie zdejmą podsłuch z twojego telefonu i przeszukają cały dom.

Ale al-Mansur jest fachowcem.

Zrobi to, co ja bym:

zrobił: postawi grubą kreskę; spíše to na straty.

Akcja, która prawie się powiodła.

Zacznie od nowa.

Następnym razem być może mu się uda;

i rzeczywiście bomby IRA zaczną wybuchać w całej Anglii.

Ale ciebie to nie dotyczy.

Ty masz to z głowy.

Właśnie prowadzono Stephena Johnsona.

Zatrzymał się, by rzucić okiem na dwóch Anglików: Jeszcze przyjdzie nasz dzień
powie dział.

Było to hasło Tymczasowej IRA.

306

McCready spojrział i potrząsnął głową.

Nie, panie Johnson, pana dzień już dawno się skończył

Dwóch sanitariuszy położyło zwłoki zabitego członka IRA na noszach i
wyniosło.

Dlaczego to zrobiła, Sam?

Dlaczego to, u diabła, zrobiła?

spytał Rowse.

„

McCready nachylił się i zasłonił prześcieradłem twarz Moniki Browne.

Sanitariusze wrócili po jej ciało.

Ponieważ wierzyła, Tom.

W złą sprawę, oczywiście.

Ale wierzyła McLready podniósł się, pociągając Rowsea za sobą.

Chodź, chłopie, idziemy do domu.

Daj spokój, Tom.

Daj spokój Odeszła tak, jak chciała, na własne życzenie.

Jest jeszcze jedną ofiarą wojny.

Tak jak ty, Tom; jak my wszyscy.

307 .

□

INTERLUDIUM

W czwartek przypadał czwarty dzień rozprawy, czyli zgodnie z planem
Timothyego Edwardsa dzień ostatni.

Denis Gaunt nie zdążył jeszcze zabrać głosu i Edwards postanowił pokrzyżować
jego zamiary.

Zorientował się, że jego dwaj koledzy za stołem kontrolerzy Ope racji na

Kraj i Półkulę Zachodnią wykazują pewne złagodzenie kur su: gotowość do wyjątkowego potraktowania sprawy Sama McCreadyego i zatrzymania go pod takim czy innym pretekstem.

To się absolutnie nie mieściło w scenariuszu Edwardsa.

W przeciwieństwie do pozostałych wiedział, że decyzja urzędnika "pokazówki" na oko licząca przejście Fałszerza na wcześniejszą emeryturę wyszła od stałego podsekretarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; ten człowiek z czwór-1 ką innych zbierze się pewnego dnia na naradzie i zadecyduje, kto będzie następnym szefem SIS.

Przeciwstawiać się takiej figurze to idiotyzm.

Dziękuję, Denis, z wielkim zainteresowaniem wysłuchaliśmy two-

go przypomnienia licznych zasług Sama i wszyscy tu jesteśmy pod wraż-

eniem.

Jednak liczy się fakt, że musimy obecnie stawić czoło wyzwaniom j lat dziewięćdziesiątych, kiedy pewne...

jak by to nazwać?

... powiedzmy: aktywne działania, godzące w uzgodniony porządek, zostaną wyeliminowane.

Nie muszę tu chyba przypominać wrzawy wywołanej przebiegiem akcji, jaką nasz drogi Sam przedsięwziął ostatniej zimy na Karaibach?

Nie trudź się, Timothy przerwał Gaunt.

Właśnie miałem zamiar przypomnieć tamte zdarzenia jako ostatni przykład, że Sam zna komicie nadaje się do naszej służby.

Bardzo proszę zachęcił go Edwards zadowolony, że będzie to ostatnia mowa obrończa, jakiej wysłucha przed wydaniem nieodwołalnego wyroku.

Podejrzewał poza tym, że dwaj koledzy z komisji na pewno

308

przychylały się do opinii, iż McCready poczynił sobie jak jakiś kowboj, a nie miejscowy przedstawiciel Jej Majestatu.

Bardzo pięknie, że młodszy pan cownicy powitali Sama wybuchem entuzjazmu, kiedy ten po powrocie, tuż przed Nowym Rokiem, zajrzał do baru "Dziura w Murze".

Ale nikt inny tylko Edwards musiał przerwać wtedy własne świętowanie, żeby ugłaskać nabzdyczonego Scotland Yard, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i pełne oburzenia Foreign Office.

Denis Gaunt z ociąganiem przeszedł pod przeciwległą ścianę do pul pita protokolanta otworzył podsunętą mu teczkę.

Pomimo tego, co przed chwilą mówił, afera karaibska stanowiła temat, który najchętniej by przemilczał.

Żywił głęboki podziw dla szefa swojej komórki, lecz wie działał jednocześnie, że Sam o mało nie połamał sobie na tym zębów.

Aż za dobrze pamiętał wszystkie te noty i pisma, którymi zasypano Century House zaraz po Nowym Roku, oraz długą rozmowę w cztery oczy z Szefem, który objął kierownictwo Służby zaledwie czternaście dni wczesniej i na biurku zastał noworoczny prezent w postaci raportu z wyprawy karaibskiej Sama.

Na szczęście sir Mark i Fałszerz sięgnęli do przeszłości i podobno Szef, po burzliwych fajerwerkach części oficjalnej, wydobył sześć puszek ulubionego piwa McCreadyego, by wznieść toast noworoczny i zawrzeć umowę: koniec z łamaniem przepisów.

Gaunt mylił się przypuszczając, że Szef czekał tylko na odpowiedni moment i gdy nadeszło lato, pozbywa się McCreadyego.

Nie miał pojęcia, z jak wysokiego szczebla przyszedł rozkaz.

McCready wiedział.

Nikt nie musiał mu o tym mówić ani przedstawiać dowodów.

On znał Szefa.

Jak każdy dobry dowódca, sir Mark mówił każdemu wprost o niedociągnięciach, nie patyczkował się, kiedy ktoś podpadł, potrafił nawet wyrzucić z roboty, jeśli miał powody.

Ale zrobił by to osobiście.

W przeciwnym razie walczył o swoich ludzi jak lew, broniący przed atakami z zewnątrz.

Dlatego ta sprawa najprawdopodobniej przyszyła z góry, skoro sam Szef musiał się podporządkować.

Kiedy Denis Gaunt wrócił z teczką na miejsce, Timothy Edwards napotkał wzrok McCreadyego i uśmiechnął się.

Z ciebie jest nieobliczalny typ.

Sam pomyślał.

Masz wspaniały talent, ale tu nie pasujesz.

Szkoda, serio.

Gdybyś trochę zmadrał i nie łamał przepisów, znalazłoby się dla ciebie miejsce. Ale już za późno.

Zdążyłeś narazić się ludziom w rodzaju Roberta Inglisa. Lata dziewięć dziesiąte to będzie nowa rzeczywistość, mój świat, świat ludzi podobnych do mnie.

Za trzy, może cztery lata zasiądę przy biurku Szefa, a dla ta kich jak ty zabraknie miejsca tak czy owak.

Możesz równie dobrze odejść już teraz, Sam, przyjacielu.

My tu sobie stworzymy całkiem nowy zespół

309 .

□

oficerów: zdolnych, młodych pracowników, którzy wykonują polecenia, :
przestrzegają przepisów i nie narażają się ludziom.

Sam McCready odpowiedział uśmiechem.

Z ciebie jest patentowany dupek, Timothy pomyślał.

Ty napraw dę uważasz, że zbieranie informacji wywiadowczych polega na odbywa niu konferencji, czytaniu wydruków z komputera i całowaniu tyłka tym z Langley, żeby udostępniali nam swoje dane.

Jasne, Amerykanie mają świetny wywiad elektroniczny.

Najlepszy na świecie, dzięki technologii, satelitom, nasłuchom.

Ale technikę można wywieść w pole, Timothy, przy jacielu.

Nie słyszałeś pewnie o czymś, co się nazywa "maskirowka".

To po rosyjsku, Timothy, sztuka budowania fałszywych lotnisk, hangarów, mostów, całych dywizji czołgów z blachy i tektury, które mogą zmylić amerykańskie cuda techniki.

Dlatego czasem trzeba wejść tam po ziemi, wprowadzić agenta w sam środek twierdzy, zwerbować niezadowolonego, zatrudnić miejscowego informatora.

Ty nigdy nie zostałbyś agentem z ty mi twoimi krawatami z ekskluzywnych klubów i żoną arystokratką.

KGB by cię capnęło za jaja najdalej po dwóch tygodniach.

Gaunt rozpoczął ostatnią mowę obrończą, próbując usprawiedliwić to, co zdarzyło się na Karaibach, nie tracąc przy tym sympatii obu kontrole rów, którzy ostatnio byli skłonni zmienić zdanie i zalecić odroczenie kary.

McCready gapił się w okno.

Jasne, że czasy się zmieniały, ale nie tak, jak wyobrażał sobie Timo thy

Edwards.

Świat po wyjściu z zimnej wojny wariował po cichu ha-;

łaś rozlegnie się później.

w Rosji rekordowe plony zostały na polach ze względu na brak sprzętu żniwnego, jesienią zaś zgnije to, co czekało na bocznicach, gdyż taboru kolejowego także nie wystarczy.

Głód przyjdzie w grudniu, może w styczniu, rzucając Gorbaczowa z powrotem w ramiona KGB i wyższego Do-;

wództwa, a oni już wygzekwują zapłatę za herezje lata 1990.

Rok 1991 zapowiadał się mało zabawnie.

Bliski wschód był wielką beczką prochu, a najlepiej poinformowany wywiad w tym regionie izraelski Mossad w waszyngtonie trakto wano pogardliwie, Timothy Edwards zaś czerpał swoje dane od Amery-i kanów.

McCready westchnął.

Może rejs łodzią rybacką w zaciszu Devonl stanowi właściwe rozwiązanie.

:

Wszystko tak naprawdę zaczęło się rozpoczął Gaunt otwierając teczkę w początkach grudnia na małej wysepce północnego Mo rza Karaibskiego.

Wyrwany z zamyślenia McCready wrócił do rzeczywistości Century:

House.

No tak, Karaiby pomyślał pieprzone karałby.

310

PODARUJ MI TROCHĘ SUNSHINE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

"Panna Zatoki" wracała do portu wśród migoczących blaskiem morskich fal na godzinę przed zachodem słońca.

Julio Gomez przysiadł pochylony do przodu, sporych rozmiarów siedzenie wsparł o dach kabiny, a obute w mokasyny stopy o pokład dziobowy.

Z zadowoleniem za ciągał się swoją portorykańską cygaretką, której paskudny zapach rozwiewał się ponad ciepłą tonią Morza Karaibskiego.

Niczego nie brakowało mu w owej chwili do szczęścia.

Dziesięć mil za rufą został podwodny uskoc, gdzie wielka ławica Bahamska opada w Rów Santaren; tam ryby królewskie ścigają się z makrelami, a tuńczyk goni

bonito, który poluje z kolei na drobnicę, czasem zaś wszystkie na raz przegoni żaglica albo wielki marlin.

W starej dziurawej skrzyni na otwartym pokładzie od strony rufy leżały dwie piękne dorady, jedna dla niego, druga dla szypra, który z rumplem steru w dłoni odwoził zapalonego wędkarza z powrotem do Port Plaisance.

Nie znaczy to wcale, że przez cały dzień udało się złowić zaledwie dwie ryby; trafiła się piękna żaglica, którą po oznakowaniu wypuścili do morza, cała masa niedużych bonito zużytych na przynętę, żółtopłetwy tuń czyk, którego przed wypuszczeniem ocenił na jakieś trzydzieści pięć kilo, a potem musiał odciąć linkę, gdy ryba dała nura tak gwałtownie w głąb, że w przeciwnym razie urwałaby kołowrotek jak nic, wreszcie dwie ogromne seriole z każdą z nich walczył dobre pół godziny.

Wszystkie wypuścił do morza, zatrzymując tylko dwie dorady, ponieważ są to jedne z najsmaczniejszych ryb tropikalnych.

Julio Gomez nie lubił zabijać; na coroczną pielgrzymkę do ciepłych wód przywiódł go emocje chwili, kiedy zgina się wędzisko, a linka w załłłł .

Wrotnym tempie ucieka z terkoczącego kołowrotka i rozpoczyna się ekscytujący pojedynek pomiędzy wdychającą powietrze istotą ludzką i po twornie silną, szamoczącą się rybą.

To był wspaniały dzień.

W oddali, po jego lewej ręce, za wyspą Dry Tortugas niewidoczną poniżej zachodniego horyzontu, wielka czerwona kula słońca spadała ku morzu, gubiąc po drodze swój ognisty żar i ustępując miejsca chłodnej wieczornej bryzie, która zwiastuje nadejście nocy.

Przed dziobem "Panny Zatoki" górowała nad wodą odległa o trzy mile wyspa.

Za dwadzieścia minut przybiją do brzegu.

Gomez pstryknął bru natnym niedopałkiem cygaretki w wodę i pomasował sobie ramiona.

Mimo swej naturalnie ciemnej karnacji i oliwkowej skóry będzie musiał wieczorem posmarować się grubą warstwą kremu.

Jimmy Dobbs przy sterze nie miał takich problemów; był rodowitym wyspiarzem, właścicielem łodzi, którą udostępniał turystom amatorom wędkarstwa, i jego hebano wej skórze słońce nie zagrażało.

Julio Gomez przerzucił nogi z pokładu dziobowego i zsunął się z dachu kabiny na rufę.

Wy ręczę cię, Jim.

Możesz się brać do szorowania.

Jimmy Dobbs odpowiedział uśmiechem od ucha do ucha, oddał ster, wziął wiadro i szczotkę, po czym zaczął wyrzucać rybnie łuski i inne odpadki przez luki odpływowe.

Całkiem niktąd pojawiło się z pół tuzina mew, by natychmiast wyławiać kołyszące się na wodzie resztki.

W oceanie nic się nie zmarnuje, to znaczy nic organicznego.

Po Morzu Karaibskim oczywiście kursowały również bardziej nowo czesne łodzie do wynajęcia, wyposażone w specjalny wąż do zmywania pokładu, łodzie z koktajlbarem, telewizją, a nawet wideo, z mnóstwem elektronicznego sprzętu do wyszukiwania ryb i z urządzeniami nawigacji cyjnymi, jak w podróży dookoła świata. "Panna Zatoki" nie miała żadnych podobnych bajerów, była starą obdartą łajbą z drewna na nakładkę, napędzaną dymiącym dieslem Perkinsa, bywała jednak na szerszych wodach niż snoby na jachtach z Florydy oglądają na swoich radarach. Z przodu miała niedużą kabinę, zwoje linek i wędzisk z zapachem ryb i tłuszczu, z tyłu zaś otwarty pokład rufowy z dziesięcioma uchwytami do wędek i pojedynczym dębowym siedziskiem domowej produkcji do zmagania z dużą sztuką poduszki na życzenie.

Jimmy Dobbs nie zapewniał krzemowych dyskierek do szukania ryb.

Sam je wynajdywał, tak jak nauczył go ojciec: trzeba wypatrywać prawie niedostrzegalnych zmian koloru głębin, nieoczekiwanego zmarszczenia tafli wody, nurkujących mew hen, daleko i trzeba mieć wewnętrzny instyngt, który podpowie, dokąd one płyną w tym tygodniu i czym się

312

pożywią.

Dlatego też Julio Gomez spędzał z nim każdy urlop na łowie niu ryb.

Odpowiadała mu swoista prostota życia na wyspach i prymitywnej łodzi pozbawionej nowoczesnych urządzeń.

Sporą część życia zawodowego spędzał na korzystaniu z najnowszej amerykańskiej technologii, występując pytaniem na komputerowej klawiaturze albo prowadząc

samochód przez zatłoczone ulice centrum Miami.

Na wakacjach potrzebował mo rza, słońca i wiatru, nie licząc ryb, albowiem Julio Gomez miał w życiu tylko dwie pasje: swoją pracę i wędkarstwo.

Temu drugiemu zajęciu od dawał się już piąty dzień i zostały mu zaledwie dwa piątek i sobota.

W niedzielę będzie musiał odlecieć do domu na Florydę i stawić się przed Eddiem w robocie w poniedziałek rano.

Na myśl o tym westchnął.

Jimmyemu Dobbsowi również niczego nie brakowało do szczęścia.

Spędził dobry dzień ze swym zaprzyjaźnionym klientem, miał w kieszeni parę dolarów na kieckę dla starej i do tego pyszną rybę na kolację dla nich dwojga i czerechy dzieci.

Czegoż więcej myślał można ocze kiwać od życia?

Parę minut po piątej przybili do zbutwiałego drewnianego pomostu dla rybaków, który dawno temu powinien się zawalić, ale jakoś się trzy mał.

Poprzedni gubernator obiecał wystarać się w Londynie o dotację na zbudowanie nowego nabrzeża, lecz wkrótce władzę objął nowy gubernator, sir Marston Moberley, którego nie interesowało łowienie ryb.

Rów nie mało obchodzili go sami wyspiarze, jeśli wierzyć plotkom z barów w Shantytown a tam zawsze powiedzą prawdę.

Jak zwykle zbiegły się dzieciaki, żeby zobaczyć, co przyniósł połów, i pomóc zanieść ryby na brzeg, wśród zwykłej wrzawy i przekomarzań ze śpiewnym akcentem wyspiarskim, "Pannę Zatoki" zaś przycumowano na noc.

Wolny jesteś jutro, Jimmy?

zapytał Gomez.

Pewno, że tak.

Wypływamy znowu?

Po to tu jestem.

Do zobaczenia o ósmej.

Julio Gomez zapłacił chłopaczkowi dolara za przeniesienie ryby i obaj wyszli z doku wprost w mroczniejące uliczki Port Plaisance.

Nie mieli daleko: żadna odległość w Port Plaisance nie jest zbyt wielka.

Osada nie przypominała dużego miasta, prędzej już wieś.

Takie miasteczka spotkać można na większości karaibskich wyseppek:

natłok krytych gontem, kolorowo pomalowanych domków przeważnie z drewna oddzielonych alejkami wysypanymi stłuczka z muszli.

Wzdłuż morskiego brzegu, wokół małej przystani okolonej mołem z ko rałowych bloków, do którego przybijał co tydzień handlowy parowiec,

313 .

□

wznosiły się bardziej okazałe, jasne budowle: urząd celny, budynek sądu oraz pomnik upamiętniający wojnę.

Wszystkie wzniesiono z pociętych i sklejonych zaprawą bloków koralowca w dawnych czasach.

Trochę bardziej w głębi miasteczka znajdował się ratusz, mały kościół łek anglikański, komisariat policji oraz główny hotel o nazwie "Quarter Deck".

Oprócz nieciekawie wyglądającego baraku z blachy falistej, gdzie mieścił się portowy skład, budynki były przeważnie drewniane.

Nad brze giem morza, tuż za miastem, stała rezydencja gubernatora, zwana Do mem Rządowym, cała biała za białym murem, z dwoma armatami z cza sów napoleońskich przy frontowej bramie i masztem pośrodku zielonego, j wypielęgowanego trawnika. W ciągu dnia na maszcie łopotała brytyj-, ska flaga i kiedy Julio Gomez wędrował przez miasteczko do pensjona-;

tu, gdzie wynajmował pokój, trwał właśnie ceremoniał opuszczania flagi, przez funkcjonariusza policji, w obecności adiutanta gubernatora, j

Gomez mógł zamieszkać w "Quarter Decku", lecz wolał domową at mosferę pensjonatu pani Macdonald.

Właścicielka była wdową, miała j koronę bielusiękich kręconych włosów i podobnie obfite kształty jak Gomez, poza tym przyrządzała najlepszą na świecie zupę rybną.

Skręcił w jej uliczkę, nie zwracając uwagi na krzykliwe plakaty wybor cze przytwierdzone do większości ścian i płotów, zaraz też dostrzegł ją, zajętą wieczornym zamiataniem schodków swej zadbanej willi odby wała ten rytuał kilka razy dziennie.

Powitała go i jego rybę rozpromienionym jak zwykle uśmiechem.

O, pan Gomez, a cóż to za wspaniała ryba!

To nasza kolacja, pani Macdonald.

Myślę, że starczy dla wszystkich.

Gomez odprawił chłopca, który umknął z nowo nabytą fortuną, a sam j wszedł na górę do swego pokoju.

Pani Macdonald zniknęła w kuchni, by j przyprawić doradę przed upieczeniem na ruszcie.

Gomez umył się, ogo- j lił i przebrał w kremowe spodnie i jaskrawą koszulę plażową z krótkim rękawem.

Uznał, że dobrze mu zrobi bardzo duże bardzo zimne piwo, powędrował wobec tego z powrotem przez miasteczko do baru hotelo wego w "Quarter Decku".

Była dopiero siódma, lecz zapadł już zmrok i ulice były całkiem ciem-; ne, jeżeli nie padał na nie blask świateł w oknach.

Gomez wynurzył się z bocznej uliczki, by znaleźć się wreszcie na Parliament Square z ładnie ogrodzoną malowniczą kępą palm pośrodku, zwieńczonym z trzech stron przez kościół anglikański, komisariat policji i hotel "Quarter Deck".

Minął siedzibę stróżów porządku, gdzie jeszcze paliły się elektryczne światła zasilane z miejskiego generatora, którego brzęczenie rozlegało się w ciszy doku.

W tym niewielkim budynku z bloków koralowca główny

314

inspektor Brian Jones i wspaniałe umundurowane siły policji, składające się z dwóch sierżantów oraz ośmiu funkcjonariuszy, reprezentowali pray/o i porządek w społeczeństwie o najniższym wskaźniku przestępczości na całej półkuli zachodniej.

Jako przybysz z Miami Gomez nie mógł się nadziwić społeczności, w której nie istnieją narkotyki, gangi, napady, pro stytucja, gwałty, za to jest jeden bank (dlatego nigdy go nie obrabowano) i notuje się może pół tuzina kradzieży rocznie.

Westchnął, mijając fasadę pogrążonego w mroku kościoła, i wkroczył do hotelu "Quarter Deck".

Bar znajdował się po lewej stronie.

Gomez usiadł na wysokim stołku przy samym końcu i zamówił swoje duże zimne piwo. Zanim ryba się upiecze, minie pewnie godzina, starczy więc czasu, by drugie piwo do trzymało towarzystwa pierwszemu.

Bar był już w połowie zapełniony, gdyż stanowił dla miasta ulubiony wodopój, przy którym zbierali się też tury ści i inni przyjezdni.

Wesoły barman Sam, ubrany w białą marynarkę, rozdzielał wieczorne porcje koktajli rumowych, piwa, soków, coca-coli i na pojów z wodą sodową do popijania ognistych łyków rumu mount gay.

Dochodziła ósma i Julio Gomez sięgnął do kieszeni po parę dolarów dla uregulowania rachunku.

Kiedy podniósł wzrok znieruchomiał, wpatrzony w mężczyznę, który właśnie wszedł i zamawiał coś do picia przy przeciwległym końcu baru.

Po dwóch sekundach Julio odchylił się na stołku tak, by postać sąsiada przy barze przesłaniała mu widoczność.

Oczom nie wierzył, lecz wiedział, że się nie myli.

Nie można spędzić czterech dni i nocy swego życia naprzeciwko człowieka, patrząc mu w oczy pełne nienawiści i pogardy, następnie zapomnieć jego twarz, nawet po upływie ośmiu lat.

Nie zapomniał twarzą człowieka, z którego przez cztery dni i noce usiłował wydobyć choćby jedno słowo i nie udało się; z braku nazwiska musiał nadać mu pseudonim, żeby cokolwiek wpisać do akt.

Gomez dał znak Samowi, że powtarza kolejkę, zapłacił za swoje trzy piwa i przeniósł się na miejsce w kącie, w półmroku.

Jeżeli ten człowiek tutaj jest, to nie bez powodu.

Może zameldował się w hotelu podając nazwisko?

Gomez chciał je zdobyć.

Czekał i obserwował więc ze swego kąta.

O dziewiątej tamten człowiek, który pił bez towarzystwa wyłącznie rum mount gay, wstał i wyszedł.

Gomez opuścił swój kąt i podążył za nim.

Na Parliament Square tamten wskoczył do odkrytego dżipa produk cji

japońskiej, zapalił silnik i odjechał.

Gomez rozglądał się rozpaczli wie.

Nie miał własnego środka lokomocji.

Koło wejścia do hotelu stał zaparkowany skuter z kluczykiem w stacyjce.

Z niebezpiecznym przechy łem Gomez ruszył śladem dżipa.

Ścigany pojazd opuścił miasteczko i z równą prędkością sunął wzdłuż brzegu morza po jedynej drodze, która biegła wokół całej wyspy.

Do

posiadłości leżących na wzgórzach części centralnej prowadziły osobne piaszczyste ścieżki łączące się w dół z główną szosą. Dżip przejechał przez następną większą osadę wioskę tubylców zwaną Shantytown po tem minął lotnisko z porośniętym trawą pasem startowym.

Zwolnił dopiero na drugim końcu wyspy.

Tutaj droga okrążyła przez strzeń zatoki Teach, noszącej nazwisko Edwarda Teacha Czarnobrodego Pirata, który kiedyś zarzucił tu kotwicę, by się zaopatrzyć przed dalszą drogą.

Dżip skręcił z nadmorskiej szosy na biegnący w górę krótki podjazd pod bramę z kutego żelaza, za którą leżała rozległa, otoczona murem posiadłość.

Nawet jeśli kierowca zauważył pojedyncze światło ko podskakującego reflektorka, które przebyło za nim całą drogę z hotelu "Quarter Deck", nie dał tego poznać po sobie.

Ale zauważył je z całą pewnością.

Z cienia przy bramie wyszedł jakiś człowiek, by wpuścić kierowcę dżipa, lecz ten przyhamował i stanął.

Ze schowka nad głową wyjął silny przenośny reflektor.

Kiedy Gomez mijał wylot podjazdu, prześliznął się po nim snop światła, który wrócił i oświetlał go rześcicie, dopóki Julio nie zniknął z pola widzenia na szosie.

W pół godziny później Gomez odstawił skuter na miejsce przed swoim domem i poszedł piechotą do domu.

Był głęboko zamyślony i równie głęboko zaniepokojony.

Widział tego właśnie człowieka i wiedział, że wzrok go nie myli.

Dowiedział się także, gdzie tamten mieszka.

Ale jego też widziano.

Mógł się jedynie modlić, by po upływie ośmiu lat, w mrokach karaibskiej nocy, nie został rozpoznany podczas tych paru sekund, kiedy przemykał na skuterze.

Pani Macdonald była wzburzona z powodu jego spóźnionego powrotu na kolację i to prawie pełne dwie godziny po czasie, o czym zresztą nie omieszkała mu powiedzieć.

Tak czy inaczej, podała do stołu i pała trzyła, jak jej gość połyka doradę bez apetytu.

W zamyśleniu raz tylko się odezwał.

Ale co pan opowiada ofuknęła go.

U nas na wyspach nie ma czegoś podobnego.

Julio Gomez spędził bezsenność na rozważaniu, co wybrać.

Nie miał pojęcia, jak długo ten człowiek zamierza pozostać na wyspie.

Lecz o jego obecności powinni dowiedzieć się Brytyjczycy, a zwłaszcza poznać miejscę jego pobytu.

To przecież niezwykle istotne.

Można udać się z tym do gubernatora, ale co właściwie może urzędnik?

Prawdopodobnie nie ma żadnego powodu, by dokonać aresztowania.

Tamten nie przebywa już na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Gomez nie wierzył również, że główny inspektor Jones i jego policja na miarę tego miniaturowego miasteczka zdziała więcej niż gubernator.

Potrzebny będzie nakaz z Londynu na osobę

316

bistą prośbę wujka Sama.

Można by co prawda jutro zatelefonować lecz odrzucił tę myśl.

Połączenia telekomunikacyjne z wyspy jak za dawnych czasów biegły otwartą linią telefoniczną do Nassau na Bahamach i dopiero stamtąd do Miami.

Nic z tego musi rano wrócić na Florydę.

Tego samego wieczoru samolot linii lotniczych Delta z waszyngtonu wylądował na lotnisku w Miami.

Wśród pasażerów znajdował się pewien zmęczony brytyjski urzędnik państwowy, a z jego paszportu wynikało, iż jest to pan Frank Dillon.

Miał przy sobie także inne papiery, których nie potrzebował okazywać po zakończeniu lotu wewnątrz kraju, a wynikało z nich, że zatrudnia go brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i uprasza niniejszym wszystkie osoby i instytucje, by okazywały mu wszelką możliwą pomoc.

Ani paszport, którego zresztą nie musiał okazywać, ani inne papiery nie ujawniały, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Sam McCready.

O tym wiedziała tylko grupka oficerów wyższego szczebla CIA w Langley, stan Wirginia, ponieważ właśnie w ich towarzystwie spędził pracowity tydzień, uczestnicząc w seminarium na temat roli współpracy wywiadów państw wolnego świata

w nadchodzącej dekadzie lat dziewięćdziesiątych.

Ozna czało to konieczność wysłuchiwania gromady profesorów i innych uczo nych, z których każdy zamiast jednego prostego słowa wolał użyć dzie sięciu skomplikowanych.

McCready przywołał taksówkę czekającą przy wyjściu z terminalu lot niska i kazał się zawieźć do hotelu "Sonesta Beach" na Key Biscayne.

Tam, po załatwieniu formalności meldunkowych, zjadł wykwinną kolację z ho mara, by następnie zapaść w głęboki, wolny od trosk sen.

Miał w per spektywie przynajmniej tak mu się zdawało siedem dni na leża ku przy basenie, które spędzi na lekturze zajmujących powieści szpiegowskich, podnosząc od czasu do czasu wzrok znad szklanki kok tajlu, by rzucić okiem na opalone dziewczyny.

Century House odpłynął w dal, a cały kram dezinformacji, pozorowania i operacji psychologicz nych został w dobrych rękach jego świeżo mianowanego zastępcy, Denisa Gaunta.

Czas, żeby troszkę się poopalać myślał zasypiając.

W piątek rano Julio Gomez zwolnił pokój u pani Macdonald bez żądania rabatu za dwie nie wykorzystane doby, za to z wylewnymi prze prosinami.

Chwycił swoją torbę i udał się na Parliament Square, gdzie wynajął jedną z dwóch miejskich taksówek, by go zawiozła na lotnisko.

317 .

□

Miał bilet z rezerwacją na regularny lot liniami BWIAW niedzielę rano do Miami, z przesiadką w Nassau.

Chociaż w linii prostej do Miami od ległość była mniejsza, rozkład nie przewidywał lotów bezpośrednich, tyl ko przez Nassau.

W miasteczku nie istniała żadna agencja turystyczna rezerwacji dokonywano wprost na pasie startowym mógł więc jedynie żywić na dzieję, że BWIA lata w piątek rano.

Nie zauważył, iż ktoś go obserwował, jak odjeżdża z placu taksówką.

Na miejscu czekało go rozczarowanie.

Budynek lotniska, czyli poje dynczy długi barak, mieszczący ławę do odprawy celnej i niewiele prócz niej, był otwarty, lecz właściwie pusty.

Samotny oficer paszportowy się dział sobie w porannym słońcu czytając gazetę "Miami Herald" sprzed tygodnia, którą ktoś zostawił, może nawet Gomez.

Nie dziś, przyjacielu rzucił z uśmiechem w piątki nie ma lotów.

Gomez potoczył wzrokiem po pasie startowym.

Na zewnątrz jedyne go blaszanego hangaru stała awionetka navajo chief, przy której coś maj strował biały człowiek w drelichowych spodniach i bluzie.

Gomez ruszył w jego stronę i po chwili zapytał: Leci pan dzisiaj?

Lecę potwierdził pilot, również Amerykanin.

Można pana wyczarterować?

Mowy nie ma odparł pilot.

To samolot prywatny.

Właści ciel mnie zatrudnia.

Dokąd pan leci?

Do Nassau?

spytał Gomez.

Nie.

Na Key West.

Gomez nabrał otuchy.

Z Key West są częste połączenia do Miami.

Można jakoś pogadać z właścicielem?

To pan Klinger.

Będzie tu za godzinę.

Zaczekam stwierdził Gomez.

Pod ścianą hangaru znalazł zacienione miejsce, gdzie się usadowił.

Za kępą krzewów natomiast ktoś się podniósł, wyprowadził na drogę motocykl i odjechał nadmorską szosą.

Sir Marston Moberley spojrział na zegarek, po czym wstał od śniada nia w ogrodzie na tyłach Domu Rządowego i wolnym krokiem ruszył w stronę schodów prowadzących na werandę, do swego gabinetu.

Lada chwila miała przybyć ta uciążliwa delegacja.

Wielka Brytania zachowała bardzo niewiele swych kolonii na Morzu, Karaibskim.

Czasy kolonialne należą do przeszłości.

A jednak nadal ist-,

318

nieje ich pięć, niczym uroczą pamiątkę minionej epoki.

Obecnie nie nazywa się już ich koloniami określenie jest nie do przyjęcia. Dziś noszą miano Terytoriów Podległych.

Jednym z nich są Kajmany, wyspy raczej znane dzięki licznym i bardzo dyskretnym instytucjom bankowym.

podczas referendum, które miało zdecydować o przyznaniu niepodległości, ludność wszystkich trzech wysp kajmańskich przytłaczającą większością wybrała przynależność do wielkiej Brytanii.

Odtąd prosperują kwitnąco, w przeciwieństwie do niektórych sąsiadów.

Inny archipelag to Brytyjskie Wyspy Dziewicze, przystań żeglarzy i rybaków.

Do Terytoriów Podległych należy też mało znana wyspa Anguilla, której mieszkańcy przeprowadzili jedyną w historii kolonializmu rewolucję o to, by pozostać pod panowaniem brytyjskim, a przeciw narzuconemu mu połączeniu z dwoma sąsiednimi wyspami, gdyż ich premier budził gwałtowne i uzasadnione podejrzenia.

Jeszcze mniej znane są archipelagi Turks i Caicos, gdzie życie toczy się ospale w cieniu palm i flagi brytyjskiej, nie zakłócanie przez handel narkotyków, oddziały tajnej policji, zamachy stanu bądź próby fałszerstwa wyborów.

We wszystkich czterech terytoriach Londyn sprawuje rządy bez narzucania się; w przypadku ostatnich trzech przejmuje tylko z końcem roku ich deficyt budżetowy.

Z kolei lokalna społeczność wydaje się zadowolona z ceremonii codziennego wciągania flagi, z wizerunku królowej Elżbiety na banknotach i policyjnych kasków.

Zimą roku 1989 piąte i ostatnie terytorium stanowiły Barclaye, kołczyca ośmiu wysepek leżących przy zachodnim uskoku wielkiej ławicy Bahamskiej, na zachód od wyspy Andros, na północny wschód od Kuby i wprost na południe od Floryda Keys.

Dłaczego Barclayów nie włączono do archipelagu Bahama prawie nikt nie pamięta.

W Foreign Office żartowano, że ktoś o nich po prostu zapomniał, co jest całkiem prawdopodobne.

Małeńki archipelag liczył niecałe dwadzieścia tysięcy mieszkańców, tylko dwie wysepki były w ogóle zamieszkałe, a główna wyspa i zarazem siedziba władz nosiła słoneczną nazwę Sunshine, jak przystało na raj dla wędkarzy.

wyspy nie były bogate.

Miały przemysł równy zeru i niewiele wyższy dochód.

Większość środków pochodziła z zarobku młodych ludzi, którzy wyjeżdżali, by pracować jako kelnerzy, pokojówki i boye w różnych eleganckich hotelach, gdzie szybko stali się ulubieńcami turystów z Europy i Ameryki dzięki swej słonecznej dobroduszości i promiennym uśmiechom.

Dochód przynosili również turyści, amatorzy wędkowania pielgrzymujący z przesiadką w Nassau, a także licencje

319 .

□

na lądowanie samolotów, sprzedaż bardzo mało znanych znaczków, tu dzieł homarów i muszli.

Skromne dochody pozwalały importować, w łazdowniach zawijającego co tydzień parowca, podstawowe artykuły, których nie zapewniało morze.

Hojny ocean dostarczał większości pożywienia, były też owoce z gajów i ogrodów uprawiane na zboczach dwóch wzgórz: Spyglass i Sawbones.

Wreszcie na początku 1989 roku ktoś w Foreign Office uznał, że Barclaye dojrzały do niepodległości.

Pierwsza "notatka" na ten temat zyskała rangę "opinii" i przekształciła się w decyzję polityczną.

Brytyjski rząd zmagał się tego roku z potężnym deficytem handlowym, spadającą popularyznością w ankietach oraz kłótnią z powodu różnic w podejściu do polityki europejskiej.

Taki drobniaczek, jak sprawa niepodległości nie znał nikomu, małeńkiego archipelagu na Morzu Karaibskim, przeszedł bez dyskusji.

Ówczesny gubernator złożył jednak protest, został więc w porę odwołany i zastąpiony osobą sir Marstona Moberleya.

Wysoki, pełen próżności mężczyzna, który chlubił się podobieństwem do nieznanego aktora, Georgea Sandersa, został wysłany na Sunshine po jednej z sesji z zastępcą sekretarza generalnego Departamentu Karaibów, który mu krótko rzecz wyłożył.

Barclaye mają przyjąć niepodległość.

Trzeba zachęcić do kandydowania na stanowisko premiera i wyznaczyć dzień wyborów.

Po dokonaniu demokratycznego wyboru pierwszego premiera Barclayów uzgodni się z nim i jego gabinetem dogodny termin (powiedzmy po upływie trzech, miesięcy), w którym pełna niepodległość zostanie nader chętnie przyznana.

Sir Marston miał dopilnować realizacji tego planu, by uwolnić skarb państwa od kolejnego obciążenia.

Po przybyciu wraz z małżonką, lady ;

Moberley, na Sunshine pod koniec lipca, sir Marston ochoczo przystąpił \ do wypełniania swoich obowiązków.

;

Zgłosili się wkrótce dwaj potencjalni kandydaci na urząd premiera.

Pan { Marcusjohnson zamożny miejscowy człowiek interesu i zarazem filan- i trop, który powrócił na rodzinną wyspę po zrobieniu fortuny w Ameryce ;

Środkowej i zamieszkał w okazałej posiadłości po drugiej stronie wzgórza 1 Sawbones był twórcą Sojuszu na Rzecz Dobrobytu Barclayów i obiecywał rozwój gospodarczy wysp oraz pomnażanie bogactwa obywateli.

Hasła bardziej chwytliwe i populistyczne głosił pan Horatio Livingstone, założyciel Frontu Niepodległości Barclayów, który mieszkał w Shantytown, będąc właścicielem sporego kawałka wioski.

Wybory miały się odbyć już za trzy tygodnie: termin wyznaczono na piątego stycznia.

Sir Marston z zadowoleniem obserwował ożywiony przebieg kampanii wyborczej, podczas której obaj kandydaci zachęcali wyśpiał-

320

rzy do poparcia za pomocą przemówień na wiecach, ulotek i plakatów na każdej ścianie czy drzewie.

Tylko jedna sprawa spędzała sir Marstonowi sen z powiek tak zwany Komitet Zaangażowanych Obywateli pod przywództwem bardzo uciążliwego człowieka, wielbionego Waltera Drakea, miejscowego dusz pastusza baptyistów.

Delegację tegoż komitetu sir Marston zgodził się przyjąć owego ranka o godzinie dziewiątej.

Przyszło osiem osób.

Anglikański pastor, blady, nijaki i nieudolny Anglik, z którym umiałby sobie poradzić.

Kolejna szóstka wywodziła się z miejscowej śmietanki: lekarz, dwaj sklepikarze, rolnik, właściciel baru i prowadząca pensjonat niejaka pani Macdonald.

Wszyscy byli raczej w po deszłym wieku i z wykształceniem podstawowym.

Nie dorównywali mu pod względem łatwości wystawiania się po angielsku czy siły perswazji.

Na miejsce każdej z tych osób mógłby znaleźć tuzin innych, które opo wiedziałyby się za niepodległością.

Marcusjohnson, kandydat partii "dobrobytu", zyskał poparcie dyrektora lotniska, właścicieli doków (Johnson obiecał im wybudowanie tam nadmorskiego kurortu) oraz większości przedsiębiorców, którzy wzbogać się dzięki planom rozwojowym.

Livingstone natomiast szukał po plecach wśród proletariatu: biedoty, której obiecywał cudowne podniesienie poziomu życia wskutek nacjonalizacji.

Problem stanowił przywódca delegacji, wielbiony Walter Drake po tężny jak byk męczyzna w czarnym garniturze który ocierał sobie właśnie pot z czoła.

Był urodzonym kaznodzieją, mówił głośno i przeko nywajaco, wykształcenie zaś zdobył w Ameryce.

W kłapie nosił mały zna czek ryby, jako narodzony powtórnie chrześcijanin.

Sir Marston zastana wiał się czasem, z jakiej formy życia on się powtórnie narodził, lecz jakoś nigdy o to nie zapytał.

Wielbiony Drake zamasyście położył plik papie rów na biurku gubernatora.

Sir Marston dopilnował, by nie starczyło krzesel dla wszystkich; będą musieli rozmawiać na stojąco.

On sam również stał.

W ten sposób spotkanie potrwa krócej.

Przyjrzał się plikowi papierów.

Panie gubernatorze, oto petycja zagrział wielbny Drake.

Tak, petycja.

Podpisana przez ponad tysiąc naszych obywateli.

Chcemy, by wysłał pan tę petycję do Londynu, do rąk własnych pani Margaret Thatcher.

Albo nawet królowej.

Wierzmy, że szacowne damy poświęcą nam chwilę uwagi, nawet jeśli pan tego nie

robi.

Sir Marston westchnął.
Wszystko wskazywało, że będzie to...
(tu poszu kał swego ulubionego określenia)...
bardziej uciążliwe, niż przypuszczał.
- Rozumiem odparł.

A czegoż domaga się owa petycja?

321 .

□

Chcemy referendum, tak samo jak Brytyjczycy w sprawie Wspól nego Rynku.
Żądamy referendum.

Nie życzymy sobie niepodległości narzuconej siłą.

Chcemy żyć jak dotychczas, jak zawsze żyliśmy.

Nie od powiada nam objęcie władzy przez pana Johnsona lub pana Livingstonea.

Odwołujemy się do Londynu.

Na lotnisko zajechała taksówka i wysiadł z niej pan Barney Klinger.

Był niskim, pękatym mężczyzną, zamieszkałym w Coral Gables, w Mia mi, gdzie miał wielką rezydencję w stylu hiszpańskim.

Towarzyszająca mu tancerka rewiewa nie była ani niska, ani pękata; była

olśniewająca i tak młoda, że mogła być jego córką.

Pan Klinger utrzymywał dom na zboz czy wzgórz Spyglass, gdzie od czasu do czasu przyjeżdżał na dyskretny i wypoczynek z dala od pani Klingerowej.

Zamierzał lecieć na Key West,;

odesłać przyjaciółkę rejsowym samolotem do Miami, następnie wrócić do domu własną awionetką całkiem samotnie, jak zmęczony człowiek inte-1 resu po podróży służbowej związanej z omawianiem jakiegoś nudnego kontraktu, l

Pani Klinger miała spotkać go na lotnisku w Miami i przekonać się, że jest sam.

Nadmiar ostrożności nigdy nie zawadzi.

Pani Klinger znała kilku bardzo zręcznych adwokatów.

Julio Gomez dźwignął się na nogi i podszedł.

Przepraszam, czy pan Klinger?

Klinger zdrętwiał.

Prywatny detektyw?

Kto pyta?

Widzi pan, mam problem.

Spędzałem tu urlop i właśnie zadzwoniła do mnie żona.

Nasze dziecko miało wypadek.

Muszę natychmiast wracać.

Koniecznie.

Dziś nie ma lotów.

Żadnych, nawet czarterów.

Pomyślałem sobie, że może pan zgodziłby się podrzucić mnie do Key West?

Będę panu wdzięczny do końca życia.

Klinger wahał się.

To jednak może być prywatny detektyw wynajęty przez panią Klinger.

Oddał torbę bagażowemu, który wpakował ją wraz z resztą jego walizek do komory bagażowej navajo chiefa.

Cóż...

bo ja wiem...

zastanawiał się Klinger głośno.

Przy samolocie zgromadziło się sześć osób: oficer paszportowy, Go mez, bagażowy, Klinger, jego dziewczyna i jeszcze jeden człowiek, który pomagał ładować walizy.

Bagażowy sądził, że szósty mężczyzna jest od Klingera, towarzystwo Khngera zaś myślało, że należy on do obsługi lot niska.

Pilot siedział w kabinie i niczego nie słyszał, a kierowca taksówki;

załatwiał potrzebę w krzakach parę metrów dalej.

322

Ojej, skarbie, to straszne.

Musimy mu pomóc zawołała tancer ka rewiewa do Klingera.

Dobrze odparł.

Pod warunkiem, że zaraz wystartujemy.

Oficer paszportowy szybko podstemplował paszporty, zamknięto ko more bagażu, pasażerowie wsiedli, pilot uruchomił oba silniki i trzy mi nuty później navajo chief wystartował z Sunshine, z przewidzianym łą dowaniem na Key West po siedemdziesięciu minutach lotu.

Drodzy przyjaciele.

Myślę, że wolno mi tak się do was zwrócić zaczął sir Marston Moberley.

Proszę was, byście spróbowali zrozumieć stanowisko rządu Jej Królewskiej Mości. W obecnej sytuacji referendum jest rzeczą absolutnie niewskazaną.

Spowoduje nieobliczalne komplikacje administracyjne.

Nie na darmo robił karierę w dyplomacji: na licznych placówkach w krajach wspólnoty Brytyjskiej świetnie opanował protekcjonalny ton.

Proszę wyjaśnić huknął Drake dlaczego referendum jest czymś bardziej skomplikowanym niż wybory powszechne.

Domagamy się prawa decydowania, czy w ogóle chcemy wyborów.

Wyjaśnienie było nader proste, lecz nie nadawało się na argument. Za zorganizowanie referendum musiałby płacić rząd brytyjski, kampanię wyborczą zaś finansowali sami kandydaci i sir Marston nie wnikał, w jaki sposób.

Zmienił temat.

Jeżeli takie są pańskie odczucia, dlaczego nie zgłosi pan w wyborach własnej kandydatury?

Zgodnie z tym, co pan twierdzi, powinien pan zwyciężyć.

Siedmioro delegatów wyglądało na zbitych z tropu.

Wielebny Drake natomiast wycelował w jego kierunku paluch wielkości serdelka.

Doskonale pan wie dlaczego, gubernatorze.

Tamci kandydaci ko rzystają z ulotek, nagłośnienia, a nawet z usług menedżerów przywiezionych z zewnątrz.

Do tego wcale się nie patyczkują, tłuką ludzi...

W tej sprawie nie mam żadnych dowodów, kompletnie żadnych przerwał gubernator lekko czerwieniejąc.

Ponieważ pan nie chodzi do miasta, żeby zobaczyć, co się właściwie dzieje ryknął duszpasterz baptystów.

Ale my wiemy.

To się zdarza za każdym rogiem.

A zastraszanie opozycji...

Kiedy dostanę raport od głównego inspektora Jonesa, podejmę stosowne działania wycedził sir Marston.

Ależ nie musimy się kłócić łagodził pastor anglikański.

Chodzi o jedno: czy pan gubernator wyśle naszą petycję do Londynu?

323 .

□

A

Oczywiście, że wyśle odrzekł gubernator.

Przynajmniej tyle] mogę tu uczynić.

Obawiam się jednak, że nic ponadto.

Niestety, mam związane ręce.

Wobec tego państwo wybaczą...

↑

wyszli razem uzyskawszy to, po co przyszli.

Kiedy opuszczali budynek, lekarz, a zarazem wuj szefa policji, spytał: Myślicie, że on to zrobi?

Och, z pewnością odparł pastor.

Przecież nam obiecał.

Tak, wyśle to zwykłą pocztą warknął wielebny Drake.

Po- winno dojść do Londynu koło połowy stycznia.

Musimy pozbyć się tego gubernatora i postarać się o kogoś nowego, j

obawiam się, że to niemożliwe stwierdził pastor.

Sir Mar- ston nie złożył rezygnacji.

W ramach długotrwałej wojny z inwazją przemytu narkotyków od strony południowych wybrzeży rząd amerykański sięgnął do kosztownych i po myślowych technik obserwacyjnych.

Między innymi rozmieszczono serie zamaskowanych balonów, które umocowano w miejscach na uboczu, gdzie, teren jest własnością Waszyngtonu, został wykupiony bądź wynajęty.

W podwieszonych do balonów gondolach znajduje się zestaw ultranowoczesnego sprzętu radarowego oraz radio-monitorów, który obejmuje swym zasięgiem cały basen Morza Karaibskiego, od Jukatana na zachodzie do Anegady na wschodzie i od Florydy na północy aż po wybrzeża Wenezueli.

Każdy samolot, bez względu na wielkość, który wystartuje w obrębie tego akwenu, jest natychmiast dostrzeżony.

Urządzenie podaje jego kurs, prędkość i wysokość.

Każdy jacht, frachtowiec, krążownik czy transatlantyk jest po wyjściu z portu natychmiast odszukany i śledzona z nieba przez dalekie, niewidzialne oczy i uszy.

Wyposażenie technologiczne gondoli pochodzi głównie z firmy Westinghouse Inc.

j

Awionetka piper navajo chief została namierzona w momencie startu z wyspy Sunshine przez Westinghousea cztery-zero-cztery. Rutynowo obliczono jej kurs na Key West, gdyż trzysta dziesięć stopni z poprawką na siłę wiatru od południa dawało kierunek wprost na wieżę kontrolni tamtejszego lotniska.

Pięćdziesiąt mil od Key West samolot rozerwał się w powietrzu i zniknął z ekranów monitora.

Na miejsce wysłano jednostkę straży przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych, lecz nie udało się znaleźć żadnych szczątków.

W poniedziałek Julio Gomez, śledczy w Wydziale Policji Metro-Dade nie pojawił się w pracy.

Jego najbliższy współpracownik, śledczy Eddi Favaro, był wyjątkowo poirytowany. Rano mieli obaj stawić się w sądzi i Favaro musiał iść sam.

Sędzina rzuciła cięte uwagi i Favaro w pojedyn

324

te zmuszony był znosić jej ironię.

Późnym rankiem wrócił do siedziby Wydziału przy ulicy Czternastej Północno-Zachodniej numer 1320 (mieli się niedługo przenieść do nowego kompleksu w dzielnicy Doral District) i zajrzał do swego przełożonego, porucznika Brodericka.

Co się dzieje z Juliem?

spytał Favaro.

Nie był w sądzie.

Mnie o to pytasz?

To wy razem pracujecie rzucił Broderick.

Nie zgłaszał się?

. Nie do mnie odparł Broderick.

Poradzisz sobie bez niego?

A skąd.

Prowadzimy dwie sprawy i żaden z oskarżonych nie zna innego języka prócz hiszpańskiego.

Dla odzwierciedlenia przekroju etnicznego na swoim terenie wydział Metro-Dade, któremu podlega większa część tak zwanego wielkiego Mia mi, zatrudnia przedstawicieli różnych narodowości.

Półowę populacji w obrębie działania Metro-Dade stanowi ludność hiszpańskojęzyczna; nie którzy mieszkańcy bardzo słabo znają angielski.

Julio Gomez był z pochodzenia Portorykańczykiem, wychował się zaś w Nowym Jorku, gdzie wstąpił do policji.

Przed dziesięcioma laty przeniósł się na południe i podjął pracę w Metro-Dade. Tutaj nikt mu nie wytykał pochodzenia.

W tej kwestii wspólnocie etnicznej byłoby to niemądre.

Jego płynna znajomość hiszpańskiego była wprost bezcenna.

Od dziewięciu lat pracował razem z Eddiem Favaro, Amerykaninem włoskiego pochodzenia, którego rodzice wyemigrowali z Katanii zaraz po ślubie, szukając lepszego życia.

Porucznik Clay Broderick był czar ny.

Teraz wzruszył ramionami.

Miał zbyt wiele pracy i za mało ludzi, do tego mnóstwo zaległości w prowadzeniu spraw.

Odszukaj go powiedział.

Znasz przepisy.

Pewnie, że Favaro znał przepisy.

Jeżeli w wydziale Metro-Dade ktoś spóźnił się po urlopie o trzy dni bez ważnego powodu i bez zawiadomienia, traktowano to jak zwolnienie na własną prośbę.

Favaro sprawdził mieszkanie kolegi, ale nic nie wskazywało, że w ogóle powrócił z wakacji.

Wiedział, dokąd Gomez się udał zawsze jeździł na Sunshine sprawdził więc listy pasażerów wieczornych lotów z Nassau.

Komputer linii lotniczych potwierdził rezerwację i opłacony bilet, jak się okazało nie wykorzystany.

Favaro wrócił do Brodericka.

On mógł mieć wypadek przekonywał.

Wędkowanie na moście bywa niebezpieczne.

Są przecież telefony odparł Broderick.

On ma nasz numer.

A może jest nieprzytomny.

Leży w szpitalu.

Albo poprosił kogoś o wykonanie telefonu i ten ktoś się nie pofatygował. Tam na tych wyspach aż kiepski kontakt ze światem. Moglibyśmy przynajmniej sprawdzić.

325 .

□

Broderick westchnął.

Jeszcze mu brakowało kłopotu z zaginionym śledczym.

Dobra powiedział.

Znajdź mi numer wydziału po licji na tej wyspie.

Jak tyją nazywasz?

Sunshine?

Fajna nazwa.

Sprawdź, kto jest miejscowym szefem policji, to do niego zadzwonię.

Favaro zdobył potrzebne dane w pół godziny.

Nie figurowały nawet w spisie międzynarodowego biura numerów.

Podał mu je konsul brytyjski, skąd wykonano telefon do Domu Rządowego na Sunshine i dopiero przekazano informację.

Następne trzydzieści minut zajęło porucznikowi Broderickowi uzyskiwanie połączeń.

Miał szczęście, zastał głównego inspektora Jonesa w jego biurze.

wybiło południe.

Panie inspektorze, tu porucznik z sekcji dochodzeniowej, CIA y s

Broderick.

Dzwonię z Miami.

Halo?

Czy pan mnie słyszy?

... Pomyślałem, że jako kolega po fachu mógłby pan mi wyświadczyć przysługę...

Jeden z moich ludzi spędzał urlop na Sunshine i nie zameldował się z powro- J

tero.

Mamy nadzieję, że nie zanotowaliście żadnego wypadku...

Tak, Amerykanin.

Nazywa się Julio Gomez.

Nie, nie wiem, gdzie się zatrzymał.

Pojechał tam na ryby.

Inspektor Jones bardzo poważnie potraktował tę prośbę.

Co prawda.

jego siły są znikome, a Metro-Dade to pewnie potęga, ale on pokaże Amerykanom, że inspektor Jones czuwa.

Postanowił osobiście zająć się tą sprawą i wezwał funkcjonariusza z land royerem.

Całkiem słusznie rozpoczął od hotelu "Quarter Deck", lecz bez po wodzenia.

Następnie udał się na rybackie moło, gdzie znalazł Jimmy'ego Dobbsa majstrującego przy łodzi, gdyż nie nadarzył mu się klient.

Dobbs?

opowiedział, jak to Gomez nie pokazał się w piątek, chociaż zamówił rejs, i to jest raczej dziwne, mieszkał zaś u pani Macdonald.

właścicielka pensjonatu zeznała, że w piątek rano Julio Gomez udał się w pośpiechu na lotnisko.

Jones tam pojechał i zobaczył się z kierow nikiem.

Ten wezwał oficera paszportowego, który potwierdził, że pan Gomez zabrał się okazją z panem Klingerem na Key West w piątek rano.

Podał inspektorowi Jonesowi rejestrację samolotu.

O czwartej po południu Jones oddzwonił do Brodericka.

Porucznik Broderick znów zasiadł do telefonowania, tym razem nss policję Key West, gdzie sprawdzono miejscowe lotnisko.

Eddiego Favara (porucznik wezwał parę minut po szóstej.

Twarz miał posępną.

J

Eddie, przykro mi.

Julio podjął nagłą decyzję powrotu w piątek rano.

Nie było żadnych lotów w rozkładzie, wobec tego zabrał się prę watnym samolotem na Key West.

I nie doleciał.

Samolot spadł z wysokości pięciu tysięcy metrów do morza o pięćdziesiąt mil od Key West.

Straż przybrzeżna twierdzi, że nikt nie przeżył.

326

Favaro opadł na krzesło.

Potrząsnął głową.

Nie wierzę.

Ja też nie mogę w to uwierzyć.

Słuchaj, Eddię, bardzo mi przy kro.

Wiem, że byliście przyjaciółmi.

Dziewięć lat wyszeptał Favaro.

Przez dziewięć pieprzonych lat razem nadstawialiśmy karku.

I co teraz?

Według procedury odparł Broderick.

Sam powiem dyrek torowi.

Znasz zasady.

Skoro nie możemy wyprawić pogrzebu, będzie uro czyste pożegnanie.

Z wszelkimi honorami.

Masz moje słowo.

Podejrzenia pojawiły się dopiero w nocy i nazajutrz rano.

Wynajętą na niedzielny rejs łodzią szyper Joe Fanelli zabrał na ryby dwóch angielskich chłopców z ośrodka wypoczynkowego Budn Marys na Islamoradzie, spory kawałek na północ od Key West.

Sześć mil od brzegu, za Rafą Aligatora, kiedy łowili na błyszczkę, jeden z chłopców złapał swoją wędką coś dużego.

Obaj bracia, Stuart i Shane, zaczęli cią gnąć coś, co zgodnie z ich nadzieją miało okazać się rybą królewską, makrelą bądź tuńczykiem.

Kiedy zdobycz pojawiła się tuż za rufą, Joe Fanelli nachylił się i wciągnął ją na pokład.

Okazało się, że.

jest to strzęp kamizelki ratunkowej z widocznymi numerami samolotu, z którego pochodziła, i ze śladami przypalenia.

Miejscowa policja wysłała znalezisko do Miami, gdzie Laboratorium Dowodów Rzeczowych ustaliło, że kamizelka pochodzi z awionetki navajo chief należącej do Barneya Klingera, w miejscach wypalonych zaś nie stwierdzono śladów benzyny, lecz cząsteczki eksplodującego plastiku.

Śledztwo przejął wydział Zabójstw.

Przed wszystkim sprawdzono inte resy prowadzone przez pana Klingera.

Dokonane odkrycie narzuciło je den wniosek: że nie rozwiążą tej zagadki.

w końcu nie mieli żadnej wta dzy na brytyjskim terytorium Sunshine.

We wtorek rano Sam McCreedy wyciągnął się na swoim leżaku przy basenie hotelu "Sonesta" na Key Biscayne, postawił sobie drugą już od śniadania kawę na stoliczku obok i rozpostarł "Miami Herald".

Bez więk szego zainteresowania przeleciał wiadomości ze świata zresztą było ich tyle, co kot napłakał i zabrał się do lektury reportaży lokalnych.

Drugi dłuższy artykuł dotyczył najnowszych odkryć w sprawie zagi nięcia lekkiego samolotu gdzieś na południowy wschód od Key West w ubiegły piątek. Dociekliwi dziennikarze "Heralda" odkryli nie tylko, że samolot mógł zostać zniszczony przez wybuch bomby na pokładzie, lecz również, że pan Barney Klinger zasłynął jako nie koronowany król czarRorynkowych transakcji kradzionymi i "oszukanymi" częściami zapaso327 .

□

wymi dla potrzeb lotnictwa w południowej Florydzie.

Po handlu narko tykami ta ciemna dziedzina nielegalnej działalności przynosi prawdopodobnie największy zysk.

Floryda aż się roi od samolotów pasażerskich liniowców, transportowców i prywatnych awionetek.

Jest również siedzi bą kilku wiodących światowych firm, które dostarczają (legalnie) nowych lub zregenerowanych części, w odpowiedzi na stałe zapotrzebowanie.

Przedsiębiorstwa AVIOL i Instrument Locator Service rozsyłają części zamienne na cały świat.

Nielegalny "przemysł" natomiast specjalizuje się w zleceniach kradzieży takich części, by je następnie odsprzedawać bez żadnych pytań innym pośrednikom (zwykle w krajach Trzeciego Świata), lub uprawia jeszcze bardziej niebezpieczny proceder dostarczania części niemal całkiem zużytych jako zregenerowanych, które długo jeszcze po służą.

Przy tej drugiej metodzie podrabia się papiery.

Ponieważ cena sprzedaży niektórych części wynosi ćwierć miliona dolarów, zysk takiego pośrednika bez skrupułów może być ogromny.

Po śmierci Barneya Klingera wyszło na jaw, że był on jednym z pośredników.

Krażyły podejrzenia, że ktoś postanowił usunąć pana Klingera ze sceny.

W kwiecie wieku mruknał McCready i przerzucił się na pro gnozę pogody. Było słonecznie.

W tenże wtorek porucznik Broderick wezwał do siebie Eddiego Fava ro. Był jeszcze bardziej posępny.

Eddie, zanim dojdzie do uroczystego pożegnania Julia z honora mi, musimy rozważyć pewien niepokojący fakt.

Dlaczego, u diabła, Julio leciał razem z takim szemranym typem jak Klinger?

Próbował wrócić do kraju odparł Favaro.

Na pewno?

A co on robił na tej wyspie?

Łowił ryby.

Na pewno?

Dlaczego akurat w tygodniu, kiedy był tam Klinger?

Może rozmawiali o interesach?

Clay, posłuchaj mnie uważnie.

Nigdy, ale to nigdy w świecie Julio Gomez nie dałby się przekupić.

Nie uwierzę w to.

On chciał wracać do domu.

Zobaczył awionetkę, poprosił o podwiezienie i tyle.

Obyś miał rację orzekł Broderick poważnym tonem.

Dla czego on próbował wrócić na dwa dni przed czasem?

To właśnie mnie dziwi przyznał Favaro.

On uwielbiał węd kowanie, cały rok się na to szykował.

Nigdy nie pozbawiłby się dwóch dni z wędką bez przyczyny.

Chcę tam polecieć i znaleźć odpowiedź dla-;

czego, j

Nie możesz z trzech powodów odparł porucznik.

wydział j ma mnóstwo pracy, jesteś tu potrzebny, a bomba, jeżeli w ogóle ktoś ją

328

podłożył, to z myślą o Klingerze.

Dziewczyna i Julio zginęli przypadkiem.

przykro mi, wydział Spraw wewnętrznych będzie musiał zbadać sytuację finansową Julia.

Nie da się tego uniknąć.

Jeżeli on nigdy nie spotkał Klingerera przed tamtym piątkiem, znaczy, że to był tragiczny wypadek.

Należy mi się urlop oświadczył Favaro.

Chcę pójść na urlop, Clay.

I to od zaraz.

Owszem, należy ci się urlop.

I nie mogę ci go odmówić.

Ale wiesz, że jesteś tam prywatnie.

To terytorium brytyjskie, nie mamy uprawnień.

I poproszę o twoją broń.

Favaro wręczył mu policyjny pistolet samopowtarzalny i wyszedł.

O trzeciej po południu tego samego dnia wylądował na trawiastym lot nisku Sunshine, zapłacił za wynajętą awionetkę i patrzył, jak odlatuje z po wrotem do Miami.

Następnie zabrał się okazją do Port Plaisance z pra cownikami obsługi lotniska. Nie wiedząc, dokąd jeszcze można pójść, wmeldował się do "Quarter Decku".

Sir Marston Moberley siedział w wygodnym fotelu w swoim okolo nym murem ogrodzie i sącył whisky z wodą sodową.

Odbywał swój ulu biony codzienny rytuał.

Ogród na tyłach Domu Rządowego nie był roz legły, lecz za to dawał poczucie prywatności.

Prawie całą jego powierzchnię zajmował wypielęgnowany trawnik, a bugenwille i jacarandy zdobiły mury jaskrawymi kolorami kwiatów.

Mur, który otaczał ogród z trzech stron - czworobok zamykała ściana domu miał dwa i pół metra wysokości i na szczycie tłuczone szkło.

Z jednej strony w murze osadzono stalową furtkę dwumetrowej wysokości, lecz dawno nikt jej nie otwierał.

Za furtką bie gła ścieżka wprost do centrum Port Plaisance.

wiele lat temu wejście zabezpieczono na stałe i od zewnątrz, na dwóch półkolistych uchwytach tkwiła kłódka wielkości talerza.

Wszystko razem dawno zardzewiało.

Sir Marston rozkoszował się chłodem wieczoru.

Jego adiutant prze bywał w swojej kwaterze po.

drugiej stronie domu, żona wybrała się na jakąś eskapadę odwiedzając miejscowy

szpital, Jefferson szef kuchni, steward i portier w jednej osobie przygotowywał kolację w kuchni.

Sir Marston popijał sobie whisky i niemal się zakrztusił, gdy uszy zaata kował mu przeraźliwy dźwięk rozrywanej stali.

Odwrócił się.

Starczyło mu czasu, by powiedzieć: Co tu się, u diabła...

Zaraz, chwileczkę...

Huk pierwszej kuli wprawił go w szok i ogłuszył.

Pocisk przeszył fałd materiału w rękawie jego bawełnianej koszuli.

Uderzył w ścianę domu z bloków koralowca za jego plecami i rykoszetem wylądował na ścieżce, pogięty i odkształcony.

Drugi pocisk trafił go prosto w serce.

329 .

□

ROZDZIAŁ DRUGI

Na podwójny wystrzał w ogrodzie z początku nikt wewnątrz domu nie zareagował.

O tej godzinie przebywały tam tylko dwie osoby.

Jefferson był we wnęce pod schodami, przygotowywał napój owocowy do kolacji (pani Moberley nie brała alkoholu do ust) i powie potem, że kuchnię wypełniał warkot miksera, wtedy gdy rozległ się huk.

Adiutantem gubernatora był porucznik Jeremy Haverstock, młody gołowąs przeniesiony z Królewskiej Gwardii Dragonów.

Siedział w swoim pokoju, w drugim końcu Domu Rządowego, przy zamkniętym oknie i z klimatyzacją na cały regulator.

Twierdził również, że miał włączone radio, bo słuchał muzyki z Radia Nassau.

On też niczego nie słyszał.

Kiedy wreszcie Jefferson udał się do ogrodu, żeby zasięgnąć opinii sir Marstona na temat sposobu przyrządzenia kotletów cielęcych, zama chowiec najwyraźniej wycofał się przez stalową furtkę i umknął.

Jefferson miał właśnie zejść po schodkach do ogrodu, gdy zobaczył swego chlebobdawcę leżącego bezwładnie na plecach z rozrzuconymi rękami, tak jak go rzucił drugi strzał; na granatowej koszuli z przodu nadal rozlewała mu się ciemna plama.

W pierwszej chwili Jefferson pomyślał, że jego pan na pewno zemdleł, podbiegł więc, żeby pomóc mu wstać.

Kiedy z bliska zobaczył dziurę w piersi, stanął i patrzył z niedowierzaniem, wreszcie w panice pognał sprowadzić porucznika Haverstocka.

Młody oficer przybiegł kilka sekund później, w samych spodenkach.

Haverstock nie wpadł w popłoch.

Obejrzał ciało nie dotykając niczego, ustalił, że sir Marston jest wybitnie nieżywy, po czym usiadł w fotelu eks-gubernatora zastanawiając się, co robić.

Poprzedni dowódca napisał młodszemu oficerowi Haverstockowi na stępującą opinię: "wspaniałe maniere, lecz niezbyt bystry" jak gdyby chodziło o konia, nie zaś o oficera kawalerii.

Lecz kawaleria ma swoje priorytety: dobry koń jest niezastąpiony, w przeciwieństwie do oficera.

Haverstock siedział w fotelu tuż koło zwłok i rozmyślał, podczas gdy Jefferson patrzył szeroko otwartymi oczami ze schodków werandy.

Młody oficer ustalił, że: a) ma na swojej głowie nieżywego gubernatora, b) ktoś go zastrzelił i uciekł, c) powinno się poinformować o tym wyższe władze.

Problem polegał na tym, że najwyższą władzą był gubernator.

Akurat wtedy wróciła pani Moberley.

Jefferson usłyszał chrzęst żwiru pod kołami oficjalnej limuzyny jagu ara na podjeździe od frontu i ruszył przez hali, żeby zastąpić gubernatoro330

rowej drogę.

Jego relacja z wydarzeń była nawet do rzeczy, choć niezbyt taktowna: Proszę pani...

Pan gubernator zabity.

On nie żyje.

Lady Moberley pobiegła na werandę, by zajrzeć do ogrodu, i napo tkła Haverstocka wchodzącego po schodkach.

Adiutant odprowadził ją do sypialni i pocieszał, gdy się już położyła.

Zdawała się bardziej przerażona niż zmartwiona, jak gdyby obawiała się, że Foreign Office nie do ceni należycie kariery jej męża.

Uspokoiwszy panią Moberley, porucznik wysłał Jeffersona po jedynego na wyspie lekarza, który był jednocześnie jedynym koronerem, oraz po głównego inspektora Jonesa.

Pouczył oszołomionego służącego, że nie należy niczego wyjaśniać, tylko poprosić obu panów o natychmiastowe przybycie do Domu Rządowego.

Polecenie okazało się bezwocne.

Poczcziwy Jefferson wypaplał nowinę inspektorowi Jonesowi w obecności trzech funkcjonariuszy, którzy słuchali z zapartym tchem, oraz doktorowi Caractacusowi Jonesowi w obecności jego gospodyni.

Wiadomość rozprzestrzeniała się niczym pożar w buszu, mimo że wuj z siostrzeńcem od razu pospieszyli do Domu Rządowego.

Czekając na nich porucznik Haverstock zastanawiał się, jak zawiado mić Londyn.

Rezydencja nie została wyposażona w najnowocześniejsze systemy telekomunikacji. Nigdy dotąd nie widziano takiej potrzeby.

Wia domości od gubernatora wędrowały otwartą linią telefoniczną lub za pośrednictwem znaczniejszej placówki: Wysokiej Komisji Brytyjskiej w Nassau na Bahamach.

Używano w tym celu starego systemu C2.

Aparat znajdował się na bocznym stoliku w prywatnym gabinecie gubernatora.

Na pierwszy rzut oka był to zwykły teleks starego typu, który świetnie poznali i zdążyli znienawidzić zagraniczni korespondenci na całym świecie.

Połączenie z Nassau uzyskiwano przez wystukanie zwykłego kodu z po twierdzeniem drugiej strony.

Wówczas można było przełączyć teleks na przekaz szyfrowany przez specjalną skrzynkę umieszczoną obok.

Wówczas wysyłana wiadomość pojawiała się na papierze w postaci nie zaszyfrowanej, dla wysyłającego, oraz po automatycznym rozszyfrowaniu, dla odbiorcy w Nassau.

Pomiędzy tymi dwoma punktami przesyłana była jako szyfr.

Kłopot polegał na tym, że maszynę szyfrującą uruchamiało się przez włożenie żłobionej płytki, przewidzianej na dany dzień miesiąca.

Płytki znajdowały się w sejfie gubernatora, oczywiście zamkniętym.

Prywatna sekretarka zmarłego, Myrtle, znała kombinację otwierającą sejf, lecz prze bywała właśnie w odwiedzinach u rodziców na Tortoli, jednej z wysp Dziewiczych.

Podczas jej nieobecności gubernator miał zwyczaj osobiście wysyłać wiadomości. Znał kombinację sejfu, nie znał jej natomiast Haverstock.

331 .

□ Na koniec porucznik zwyczajnie zatelefonował do Wysokiej Komisji w Nassau przez centralę i ustnie przekazał, co się stało.

Po dwudziestu minutach rozwścieczony pierwszy sekretarz oddzwonił, żeby się upewnić, wysłuchał wyjaśnień i szorstkim tonem nakazał zaplombować Dom Rządowy i bronić go jak twierdzy, dopóki nie nadejdą posiłki z Nassau lub Londynu.

Następnie sekretarz nadał przez radio zaszyfrowaną wiadomość z nagłówkiem "Ścisłe tajne" do Foreign Office w Londynie.

Na Karaibach minęła już szósta i zapadł mrok.

W Londynie była jedenasta wieczorem i wiadomość odebrał pracownik z nocnego dyżuru.

Zadzwo nił do urzędnika wysokiej rangi z wydziału Karaibów przebywającego w domu, w Chobham i kółka zaczęły się kręcić.

Na Sunshine wiadomość rozeszła się w Port Plaisance w ciągu dwóch godzin i pewien krótkofalowiec amator podczas swej codziennej zabawy z radiem opowiedział o wszystkim koledze krótkofalowcowi z Waszyng tonu.

Radioamator ze stolicy Stanów Zjednoczonych miał poczucie misji społecznej, zadzwonił więc do agencji Associated Press.

Jego rewelacje przyjęto z powątpiewaniem, lecz w końcu wypuszczono depeszę, która zaczynała się następująco:

"Gubernator karaibskiego Terytorium Podległego wielkiej Brytanii, noszącego nazwę Barclayów, został prawdopodobnie dziś wieczorem za strzelony przez nieznanego zamachowca, według nie potwierdzonych doniesień z małego archipelagu..."

W dalszym ciągu depeszy opracowanej przez młodszego redaktora z nocnej zmiany, który najpierw przestudiował wielką mapę z pomocą jeszcze większej lupy, znajdowały się objaśnienia, czym są owe wyspy i gdzie ich szukać.

W Londynie Agencja Reutera przechwyciła depeszę z doniesień ry wala i próbowała uzyskać potwierdzenie z Foreign Office w środku nocy.

Dopiero przed świtem ministerstwo przyznało, że istotnie otrzymało ra port tej treści i że zostały podjęte odpowiednie kroki.

Do "odpowiednich kroków" zaliczało się obudzenie imponującej liczby

ludzi w ich domach rozrzuconych po całym Londynie i na obrzeżach miasta. Satelity obsługujące amerykańskie Krajowe Biuro Nasłuchu od notowały wzmożoną łączność radiową między Londynem i jego Wysoką Komisją w Nassau, co posłuszne urzędnika przekazały dalej, do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade. Stamtąd powiadomiono CIA, która i tak wiedziała, bo tam czytają serwis Associated Press.

Cuda techno logii rozpracowały rzecz w trzy godziny po tym, jak krótkofalowiec ama tor, przez swoje własnoręcznie zmajstrowane radio w szopie na zboczu wzgórza spyglass, przekazał wiadomość kumpłowi z Chevy Chase.

332

W Londynie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zawiadomiło Home Office, a ci z kolei zbudzili sir Petera Imberta, komisarza Policji Miejskiej, z prośbą o doświadczonego detektywa, którego można by zaraz wysłać w podróż. Komisarz obudził Simona Crawshawa z Wydziału Ope racji Specjalistycznych, który dotarł do komendanta stojącego na czele Sekcji Ciężkich Przystępstw.

Komendant zatelefonował do czynnego całą dobę Biura Rezerwy i spytał: Kogo macie na rozkładzie?

Sierżant dyżurny z Biura Rezerwy w Nowym Scotland Yardzie zajrzał do swego wykazu.

Biuro przy Yardzie jest niedużą komórką, do której obowiązków należy prowadzenie na bieżąco listy oficerów śledczych będących do dyspozycji w krótkim czasie na wypadek wezwania do pomocy siłom policyjnym poza obrębem działania Policji Miejskiej.

Na pierwszym miejscu listy figuruje detektyw gotów stawić się w godzinę od wezwania.

Drugi z kolei ma na to sześć godzin, trzeci zaś dwadzieścia cztery.

Pierwszy jest główny inspektor śledczy Craddock odparł sierżant dyżurny.

Lecz zaraz zauważył kartkę przypiętą do wykazu.

Nie, przepraszam.

On musi o jedenastej rano złożyć zeznanie w Old Bailey.

Kto jest następny?

warknął komendant do słuchawki w swoim domu w West Drayton, niedaleko lotniska Heathrow.

Nadinspektor Hannah, panie komendancie.

A kto jest jego pomocnikiem?

Weatherall, panie komendancie.

Niech nadinspektor Hannah zadzwoni do mnie do domu.

I to zaraz poleciał komendant.

Oto dlaczego w Croydon, w mroczny i nieprzyjemny grudniowy poranek, zadzwonił telefon na nocnym stoliku, budząc głównego nadinspektora śledczego, Desmond Hannah.

Detektyw wysłuchał instrukcji z Biura Rezerwy i następnie, tak jak go poproszono, wykręcił numer do West Drayton.

Bili?

Mówi Des Hannah.

Co się dzieje?

Słuchał przez pięć minut, wreszcie spytał:

Bili, gdzie, u diabła, leży to Sunshine?

Na wyspie zaś doktor Caractacus Jones obejrzał ciało i orzekł, iż jest bardzo nieżywe.

Ogród pograżył się w mroku i doktor pracował przy la tarce.

Co prawda niewiele miał do roboty.

Był małomiasteczkowym leka rzem, nie zaś specjalistą od medycyny sądowej.

Dbął o zdrowie wspaniałych, Jak umiał, w swym małym gabinecie operował nawet głębsze skaleczenia.

Przyjął na ten świat więcej dzieci, niż zdołał spamiętać, a usunął dziesięć razy tyle haczyków na ryby.

Jako lekarz mógł wystawić świadectwo zgonu

333 .

□
i jako koroner wydać zezwolenie na pogrzeb.

Nigdy jednak nie kroił nieboszczyka gubernatora i nie miał zamiaru robić tego teraz.

Poważne przypadki zranień lub chorób, wymagające skomplikowanych operacji, wysyłano samolotem do Nassau, gdzie mają wspaniałą nowo czesny szpital z pełnym wyposażeniem do dokonywania operacji bądź sekcji.

A on nie ma nawet kostnicy.

Kiedy skończył oględziny, z gabinetu gubernatora wrócił porucznik Haverstock.

Nasza placówka w Nassau zawiadomiła, że przyślą tu wyższego oficera Scotland Yardu oznajmił.

Do tego momentu musimy wszystko zostawić jak jest.

Główny inspektor Jones ustawił policjanta od frontu, żeby odstraszyć gapiów, którzy zaczęli się gromadzić przy bramie.

Rozejrzał się po ogrodzie i odkrył stalową furtkę, przez którą najwyraźniej dostał się za machowiec, a potem tamtędy uciekł.

Furtka została zamknięta przez wycofującego się zabójcę, dlatego Haverstock nie zwrócił na nią uwagi.

Inspektor zaraz ustawił tam drugiego policjanta i kazał mu nikogo nie dopuszczać.

Może zachowały się odciski palców, których będzie szukał człowiek ze Scotland Yardu.

Za murem funkcjonariusz usiadł sobie w ciemności i wkrótce zasnął.

W ogrodzie inspektor Jones oświadczył: Do rana niczego nie wolno dotykać.

Zwłoki muszą tu zostać.

Nie rób z siebie durnia, chłopcze odparł jego wuj.

Nastąpi rozkład.

Już następuje.

Miał rację.

W karaibskim upale zwłoki zazwyczaj się grzebie najwyżej po upływie doby.

W przeciwnym razie szkoda gadać.

Nad klatką pierścionka i oczami zmarłego gubernatora już brzęczał rój much.

Trzej mężczyźni rozpatrywali problem.

Jefferson zajmował się panią Moberley.

W takim razie lodownia powiedziała z namysłem doktor Jones.

Nie ma innej rady.

Musieli przyznać mu rację.

Chłodnia, napędzana z miejskiego generatora, znajdowała się w pobliżu doków.

Haverstock złapał nieboszczyka pod pachy, a główny inspektor Jones za nogi.

Z jakimś trudem udało się im wmanewrować wraz z bezwładnym ciałem na górę po schodkach, i potem przez salon, obok gabinetu, do hallu.

Lady Moberley wystawiła głowę zza drzwi swojej sypialni, popatrzyła znad balustrady na drogę swego męża przez hall, wydała serię jęków i zniknęła za drzwiami.

Przed wyjściem zorientowali się, że nie dotargają sir Marstona aż do doków.

Chwilę zastanawiali się nad bagażnikiem jaguara, lecz pomysł został odrzucony, gdyż bagażnik był za mały i niezbyt odpowiedni.

334

Okazało się, że problem rozwiąże policyjny land rover.

Z tyłu zrobiono miejsce i usadowiono tam byłego gubernatora.

Ręce założono mu na oparcia przednich siedzeń, lecz nogi zwisały.

Doktor Jones wepchnął je do środka i zamknął tylne drzwi.

Sir Marston osunął się ze zwieszoną głową, jak ktoś powracający z długiego, suto zakrapianego przyjęcia.

Z inspektorem Jonesem za kierownicą i porucznikiem Haverstockiem obok land rover odjechał w stronę doków, a w ślad za nim udała się wieść szóstki mieszkańców Port Plaisance.

Na miejscu, już z większą ceremonią, sir Marston został złożony w chłodni, gdzie panowała temperatura grubo poniżej zera.

Gubernator Jej Królewskiej Mości na Barclayach spędził swą pierwszą noc w zaświatach wciśnięty pomiędzy wielkiego marlina i przepięknego czarnopłetwego tuńczyka.

Rano cała trójka miała prawie identyczny wyraz twarzy.

Świt w Londynie nastąpił oczywiście o pięć godzin wcześniej niż na Sunshine.

O siódmej rano, kiedy pierwsze promienie nowego dnia dotknęły dachów Westminster Abbey, nadinspektor śledczy Hannah siedział zamknięty z komendantem Braithwaite w gabinecie tego ostatniego, w No wym Scotland Yardzie.

Lecisz przed samą dwunastą rejsowym lotem British Airways z Heathrow do Nassau oświadczył komendant.

Załatwiliśmy bilety w pierwszej klasie.

Ten lot miał pełną rezerwację, co oznaczało wypisanie z tego samolotu dwóch osób.

A zespół?

spytał Hannah.

Lecą w klasie Club czy Economy?

Ach tak, zespół.

Jest taki układ, Des, że zespół dostaniesz z Na ssau.

Foreign Ofilce to załatwia.

Desmond Hannah nabrał złych przeczuć.

Miał pięćdziesiąt jeden lat i był staroświeckim łapaczem złodziei, który szczebeł po szczeblu wspinał się od zwykłego policjanta "krawężnika", który na ulicach Londynu spraw dza zamki u drzwi, przeprowadza staruszki przez jezdnię i wskazuje drogę turystom aż do rangi głównego nadinspektora.

Został mu jeszcze rok do emerytury, potem tak jak inni przyjmie pewnie spokojniejszą posadę oficera do spraw bezpieczeństwa w jakiejś dużej firmie.

Wiedział, że nigdy nie dojdzie do stopnia komendanta, już za późno.

A cztery lata wcześniej przeniesiono go, w obrębie tego samego wydziału, do ekipy wykrywania morderstw w Sekcji Ciężkich Przestępstw, czyli na tak zwany cmentarz słońi.

Człowiek tam przychodził potężny jak byk, a wychodził chudy jak szczapa.

335 .

□

Ale on lubił dokładność.

Przy każdym zadaniu, nawet w zamorskiej ;

ekspedycji, detektyw ma prawo oczekiwać przynajmniej czteroosobowe- i go wsparcia: badacza miejsca zbrodni co najmniej w stopniu sierżan ta, kogoś z laboratorium też sierżanta, fotografa i specja od daktyloskopii.

Materiał dowodowy może mieć kluczowe znaczenie i zazwyczaj ma.

Ja chcę mieć zespół stąd, Bili.

Nie da rady, Des.

Obawiam się, że to Foreign Office pociąga tu za sznurki.

Oni za wszystko płacą, tak twierdzi Ministerstwo Spraw We wnętrzných.

I zdaje się, że to dusigrosze.

Wysoka Komisja w Nassau za łatwiła z policją bahamską, że oni wystawią grupę dochodzeniową.

To na pewno będą fachowcy.

A sekcja zwłok?

To też ich zadanie?

Nie pocieszył go komendant.

Wysyłamy do Nassau łana;

Westa.

Zwłoki są na razie na wyspie.

Jak już rzucisz okiem, wyślij je do, Nassau w pojemniku, łan polecą dwadzieścia cztery godziny po tobie, i zjawi się akurat w momencie, kiedy dostarczysz mu zwłoki, i będzie mógł od razu wziąć się do roboty.

Hannah odchrząknął.

Był nieco udobruchany.

Przynajmniej w oso- \ bie doktora łana Westa będzie miał jednego z najlepszych specjalistów od medycyny sądowej na świecie.

,

Dlaczego łan nie może przylecieć na to całe Sunshine i tam zro bić

sekcji?

zapytał.

Oni tam nie mają kostnicy wyjaśnił cierpliwie komendant.

Gdzie w takim razie są zwłoki?

Nie mam pojęcia.

Cholera, przecież zanim przyjadą, będą w stadium rozkładu - zawołał

Hannah.

Nie mógł wiedzieć, że sir Marston o tej porze nie roz kładał się.

Przeciwnie, był zwarty jak kamienny blok.

Doktor West nie;

dałby rady go wyszczerbić.

Analizę balistyczną będziemy robić tutaj ciągnął.

Jeżeli odnajdę pocisk lub pociski, chcę, żeby dostał je Alan.

Te kule mogą wyjaśnić całą sprawę.

w porządku zgodził się komendant.

Powiedz tym z wyso kiej Komisji, żeby je podesłali w bagażu dyplomatycznym.

A teraz może byś zjadł przyzwoite śniadanie?

Samochód przyjedzie tu po ciebie o dzie wiątej.

Twój pomocnik dostarczy sprzęt.

Spotkacie się przy samochodzie.

A jak tam dziennikarze?

spytał Hannah zbierając się do wyjścia.;

Obawiam się, że stają na głowie.

Na razie nie było nic w gazetach.

Wiadomość nadeszła w nocy.

Ale cytowały ją wszystkie agencje.

Bóg wie, skąd wywęszyli sprawę tak szybko.

Na lotnisku może kręcić się paru gry;

zipiórków, będą chcieli się załapać na ten lot.

336

Parę minut przed dziewiątą Desmond Hannah pojawił się z teczką pa wewnętrznym dziedzińcu, gdzie czekał na niego land rover z umun durowanym sierżantem za kierownicą.

Hannah rozglądał się za Harrym weatherallem, inspektorem śledczym, z którym pracował od trzech lat.

Nigdzie go nie zauważył.

Za to zbliżył się do niego pospiesznie młody, może trzydziestoletni człowiek, zaróżowiony na twarzy.

Miał ze sobą ze staw, to znaczy niedużą walizkę zawierającą pełny wybór tamponów, szmatek, kapsulek, fiolek, plastikowych torebek, skrobaków, buteleczek, pincetek i probówek, czyli podstawowe narzędzia do odkrywania, po zyskiwania i przechowywania materiału dowodowego.

Nadinspektor Hannah?

spytał młody człowiek.

Kim pan jest?

Śledczy Parker, melduję posłusznie.

Gdzie jest weatherall?

Niestety, chory.

Grypa azjatycka czy coś.

Biuro Rezerwy prosiło

mnie o zastępstwo.

Zawsze trzymam paszport w szufladzie, na wszelki wypadek.

Jak to miło, że będę z panem pracował.

Szlag by trafił weatheralla pomyślał Hannah a niech go...

Dojechali do Heathrow prawie w milczeniu.

Przynajmniej Hannah się

nie odzywał.

Parker ("na imię mi Peter") rozwlekł prezentował swoją

wiedzę o Karaibach.

Dwa razy tam jeździł z Klubu Mediterraneane.

Czy pan kiedyś był na Karaibach, nadinspektorze?

zapytał.

Nie odparł Hannah i milczał dalej.

Na Heathrow już oczekiwano jego i Parkera.

Sprawdzanie paszportów było krótką formalnością.

Walizka z zestawem nie przechodziła przez komorę prześwietlającą, gdzie mogła wzbudzić zainteresowanie.

Zamiast tego urzędnik przeprowadził ich obu dookoła, z pominięciem odprawy, wprost do poczekalni pierwszej klasy.

Rzeczywiście, pojawiło się wielu dziennikarzy, lecz Hannah spostrzegł ich dopiero w samolocie.

Dwie bogate instytucje potrafiły przekonać pasażerów z rezerwacją, żeby zwolnili miejsca i polecili kiedy indziej.

Inni reporterzy próbowali dostać się na któryś z dwóch porannych lotów do Miami, podczas gdy ich szefowie załatwiali czartery z Florydy na Sun shine.

Całe ekipy z telewizji BBC, ITV i Brytyjskiej Telewizji Satelitarnej wybierały się na Barclaye, wraz ze swymi popularnymi komentatorami na czele.

w tłumie obecni byli także reporterzy i fotograficy z pięciu najbardziej poczytnych gazet.

W poczekalni odnalazł Desmonda Hannah młody wymoczek, który przedstawił się jako wysłannik Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Miał sobą grubą teczkę.

337 .

□ Opracowaliśmy dla pana materiały wprowadzające oświadczył wręczając teczkę.

Geografia, ekonomika, ludność Barclayów, tego typu sprawy.

I oczywiście zarys obecnej sytuacji politycznej.

Hannah zdrętwiała.

Zwyczajne, powszednie morderstwo wyjaśniłoby się w parę dni.

Ale jeśli to sprawa polityczna...

Przez megafon wywołano numer lotu.

Zaraz po starcie ten nieopanowany Parker przyjął od stewardesy szampana i z dużą przyjemnością zaczął opowiadać o sobie.

Ma dwadzieścia dziewięć lat, jest młody jak na oficera śledczego i ma żonę, pośredniczkę handlu nieruchomościami, imieniem Elaine.

Mieszkają w nowym eleganckim osiedlu w modnej dzielnicy doków, zaraz obok Canary Wharf.

Jego pasją jest wóz sportowy morgan, Elaine zaś jeździ fordem escortem GTI.

To oczywiście kabriolet wyjaśnił Parker.

Oczywiście mruknął Hannah.

Bez troskie życie: dwie pensje, dzieci nie ma.

Tacy sobie nie żałują.

Prosto ze szkoły Parker dostał się na szacowny uniwersytet, gdzie zrobił

;

dypłom zaczynając od wydziału polityki, filozofii i ekonomii, skąd później przeczucił się na prawo.

Potem od razu wstąpił do Policji Miejskiej;

i po odbyciu obowiązkowego szkolenia pracował przez rok w dzielnicy i podmiejskiej, zanim poszedł na kurs specjalny w policyjnym Bramshill College.

Następnie cztery lata przepracował w Jednostce Planowania przy Komendanturze.

(

Lecieleń nad County Cork, kiedy Hannah zamknął teczkę z Foreign Office i spytał:

A ile razy brałeś udział w śledztwie o morderstwo?

Właśnie to będzie mój pierwszy raz.

Dlatego tak się ucieszyłem, że mnie wyznaczyli.

Ale w wolnych chwilach studiuję kryminologię.

My ślę, że to niezwykle ważne: zrozumieć mentalność przestępcy.

Desmond Hannah całkiem załamany odwrócił twarz do okna.

Ma na głowie gubernatora denata tuż przed wyborami, a do pomocy grupę dochodzeniową z Wysp Bahama i tego harcerzyka, który pragnie zrozumieć mentalność przestępcy.

Po posiłku zapadł w drzemkę i przespał cały lot.

Udało mu się nawet zapomnieć o dziennikarzach.

W Nassau sobie przypomniał.

Depesza Associated Press z wczorajszego wieczoru wyszła za późno;

dla gazet brytyjskich w Londynie, z powodu pięciogodzinnej różnicy czasu; su na ich niekorzyść, lecz w sam raz dla "Miami Herald", który jesz-

cze nie spał.

338

O siódmej rano Sam McCready siedział akurat na balkonie nad pierwszą kawą przed śniadaniem i spoglądał na lazurowe morze, kiedy usłyszał znajomy szelest "Heralda" wsuwanego przez szparę pod drzwiami.

Wszedł do pokoju i z gazetą wrócił na balkon.

Wiadomość z AP widniała u dołu pierwszej strony, gdzie zdjęto tekst o homarze rekordowej wielkości, żeby zrobić miejsce.

Był to przedruk depeszy powołującej się na niepotwierdzone doniesienia.

Tytuł brzmiał: Brytyjski gubernator zabity?

McCready przeczytał notatkę kilkakrotnie.

Bardzo nieładnie mruknął i poszedł do łazienki, żeby się umyć.

ogolić i ubrać.

O dziewiątej odprawił taksówkarza pod brytyjskim konsulatem, wszedł do środka i przedstawił się jako pan Frank Dillon z Foreign Office.

Musiał poczekać pół godziny na przybycie konsula, potem odbył z nim prywatne spotkanie.

I zdobył to, po co przyszedł:

bezpieczne połączenie z ambasadą w Waszyngtonie.

Przez dwadzieścia minut rozmawiał z szefem komórki SIS, z którym znali się jeszcze z Londynu i u którego mieszkał przez tydzień podczas seminarium CIA.

Kolega z Waszyngtonu potwierdził wiadomość i dodał parę szczegółów, które właśnie dotarły z Londynu.

Pomyślałem sobie, że mógłbym tam wpaść na chwilę powie dział McCready.

Ale to nieupełnie nasza działka, prawda?

zauważył szef komórki.

Może i nie, ale czasem warto sprawdzić.
Będę potrzebował trochę funduszy i muszę mieć jakiś środek łączności.

Załatwię to z konsulem.

Możesz go dać do słuchawki?

Godzinę później McCready opuścił konsulát z plikiem dolarów, otrzymany za pokwitowaniem, oraz ze skórzanym neseserem zawierającym przenośny radiotelefon z przystawką kodującą.

Jego zasięg miał mu umożliwić bezpieczne połączenia z konsulatem w Miami, skąd wiadomości prze syłano by do waszyngtonu.

Wrócił do hotelu "Sonesta Beach", spakował się, zapłacił rachunek i zadzwonił na lotnisko, żeby zamówić powietrzną taksówkę.

Uzgodnił start o drugiej do dziewięćdziesięciminutowego lotu na Sunshine.

Eddie Favaro również wstał wcześniej.

Zdecydował już, że jedynym miejscem, od którego należy zacząć, jest nabrzeże, gdzie rybacy trzymają swoje łodzie.

Lwią część urlopu Julio Gomez z pewnością spędzał właśnie tam.

Nie mając żadnego środka lokomocji poszedł piechotą.

Odległość nie była duża.

Prawie na każdym mijanym drzewie czy murze wisiał plakat

339 .

□

nawołujący mieszkańców wyspy do głosowania na tego lub na tamtego kandydata.

Z plakatów uśmiechały się twarze obu mężczyzn.

Jeden gładki, wytworny, z klasą, drugi zaś okrągły, pizyaty i dobroduszny.

Niektóre plakaty zerwano bądź zamazano.

Nie umiał powiedzieć, czy zrobiły to dzieciaki, czy też zwolennicy rywala.

Same plakaty były facho wo wydrukowane.

Ale na ścianie magazynu nie opodal doków widniało nowe hasło, wymalowane niezbyt starannie.

Napis brzmiał: Chcemy referendum.

Kiedy je mijał, zjawił się nagle dziup z czterema mężczyznami.

Dziup zahamował gwałtownie.

Czterej mężczyźni mieli gniewny wygląd;

wszyscy nosili kolorowe koszule i ciemne okulary.

Cztery ciemnowłose głowy zwróciły się w stronę napisu, a potem w kierunku Favara, jak gdy by to była jego sprawka.

Favaro wzruszył ramionami, dając do zrozumienia;

nia, że nie ma z tym nic wspólnego.

Cztery twarze bez wyrazu lustrowały:

go, dopóki nie zniknął za rogiem.

Usłyszał, jak dziup rusza z piskiem opon i odjeżdża.

Na nabrzeżu ludzie w grupkach omawiali tę samą nowinę, która do

starczała tematu do rozmów gościom hotelowym.

Przeszkodził w ożywo nej wymianie zdań, by spytać, kto zabiera turystów na

ryby.

Wskazano mu trochę dalej człowieka majstrującego przy łodzi.

Favaro przykucnął na brzegu i zasięgnął informacji.

Pokazał rybako wi zdjęcie Julia Gomeza.

Mężczyzna potrząsnął głową, j

Na pewno tu był w zeszłym tygodniu.

Ale pływał z Jimmym Dób- i bsem.

Tamta łódka jest Jimmiego, "Panna Zatoki".

..

Na pokładzie "Panny Zatoki" nie było nikogo.

Przysiadł więc na pa-1 chołku i czekał.

Jak wszyscy gliniarze, znał wagę cierpliwości.

Informacje zdobywa się w kilka sekund tylko w telewizyjnym dreszczowcu.

W życiu większość czasu spędza się na czekaniu.

Jimmy Dobbs zjawił się o dziesiątej.

Czy pan Dobbs?

To ja.

Szanowanie, nazywam się Eddie.

Jestem z Florydy.

To pana łódka?

;

Moja.

Pan na ryby?

Lubię ten sport odparł Favaro.

Przyjaciel mi pana polecił.

\

To miło.

\

Julio Gomez.

Pan go pamięta.

1 Otwarta i szczerą twarz czarnego mężczyzny sposepniała.

Sięgnął do "Panny Zatoki" i wyjął z uchwytu wędkę.

Przez parę sekund oglądał, błyszczkę i haczyk, potem wręczył wędkę Eddiemu Favaro.

J

Lubi pan makrele?

Tu są dobre makrele, takie z żółtym ogonem, i zaraz przy brzegu.

Tam dalej, jak się kończy pomost.

340

Przeszli razem na sam koniec pomostu, gdzie nikt nie mógłby usłyszeć ich rozmowy.

Favaro zastanawiał się dlaczego.

Jimmy Dobbs wziął z powrotem wędkę i zarzucił z wprawą.

Powoli związał żyłkę pozwalając, by kolorowa błyszczka tańczyła i migotała pod powierzchnią wody.

Mała granatowa ryba podплыnęła, ale zaraz zawróciła.

Julio Gomez nie żyjąc powiedział Jimmy Dobbs z powagą.

Wiem odparł Favaro.

Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Myślę, że dużo razem wędkowaliście.

Każdego roku.

To był dobry człowiek, równy facet.

Mówił, czym się zajmuje w Miami?

Tak.

Raz.

Powiedziałeś o tym komuś?

Nie.

Pan jest kolegą z pracy czy przyjacielem?

Jedno i drugie, Jimmy.

Powiedz, kiedy ostatni raz widziałeś Julia?

Właśnie tu, we czwartek wieczorem.

Cały dzień pływaliśmy.

Zamówił mnie na piątek.

I nie przyszedł.

Tak przyznał Favaro.

Pojechał na lotnisko.

Chciał się do stać do Miami.

Spieszyło mu się.

Pechowo wybrał samolot, który roze rwał się nad morzem.

Dlaczego musieliśmy tu przyjść, żeby pogadać?

Jimmy Dobbs umocował na haczyku kilogramową niebieskawą rybę na przynętę i wręczył drżącą wędkę Eddiemu.

Amerikanin zaczął związać żyłkę.

Nie miał wpraw.

Ryba poczuła luz i uciekła z haczyka.

Tu są różni źli ludzie na wyspach odpowiedział po prostu.

Favaro uprzytomnił sobie, że potrafi nazwać zapach, który wyczuł w miasteczku.

To strach.

Dobrze go znał.

Żadnemu gliniarzowi z Miami ten zapach nie jest obcy.

W jakiś sposób strach zawędrował i do tego raj.

Kiedy się zegnaliście, on wyglądał na zadowolonego?

Tak.

Niósł smaczną rybę na kolację.

Był szczęśliwy.

Żadnych kłopotów.

Dokąd wtedy poszedł?

Jimmy Dobbs wyglądał na zdziwionego.

Jak to, oczywiście do pani Macdonald.

Zawsze się tam zatrzymywał.

Pani Macdonald nie było w domu.

Poszła po zakupy.

Favaro posta nowił przyjsć później.
Spróbuje najpierw na lotnisku.
Wrócił na Parliament Square.
Stały tam dwie taksówki.
Kierowcy poszli na obiad.
Trud no Favaro przeszedł przez plac do "Quarter Decku", żeby też coś zjeść.
Zajął miejsce na werandzie, skąd mógł obserwować taksówki.
Dookoła pa nował ten sam gwar co przy śniadaniu; rozmawiano wyłącznie o zamor-
dowaniu gubernatora zesłego wieczoru.
341 .

□
Przysyłają wysokiego oficera śledczego ze Scotland Yardu oznajmił ktoś przy
sąsiednim stoliku.
Do baru weszli dwaj mężczyźni.
Byli postawni i milczący.
Zamilkły rozmowy.
Dwaj mężczyźni zdjęli wszystkie plakaty z kandydaturą Marcusa Johnsonsna i
zawiesili inne.
Nowe plakaty głosiły: Głósujsie na Livingstonea, kandydata ludu.
Skończyli i wyszli.
Podszedł kelner i postawił na stole rybę z rusztu i piwo.
Kto to był?
spytał Favaro.
Pomocnicy z komitetu wyborczego pana Livingstonea odpo wiedział kelner
beznamiętnie.
Zdaje się, że ludzie się ich obawiają.
Nie, proszę pana.
Kelner odwrócił się; oczy miał bez wyrazu.
Favaro widywał już podobny wyraz twarzy w pokojach przesłuchań wydziału

Metro-Dade.
W oczach zapadają kłapki.
Informacja brzmi: ni kogo nie ma w domu.
Jumbojet, którym podróżował nadinspektor Hannah i śledczy Par- j ker,
wylądował w Nassau o trzeciej po południu czasu lokalnego.
Naj-) pierw wszedł na pokład wyższy oficer policji bahamskiej, odszukał dwóch
wysłanników Scotland Yardu, przedstawił się i przywitał ich w Nassau.
j wyprowadził obu z samolotu przed innymi pasażerami, prosto do cze- 3 kającego
land rovera.
Hannah poczuł pierwszy powiew ciepłego, koją-1 cego powietrza.
Jego londyńskie ubranie natychmiast zaczęło się do niego lepić.
;

Bahamski oficer zabrał kwity bagażowe i wręczył je podwładnemu, który
poszedł wyłuskać ich dwie walizki z reszty bagażu.
Desmonda Hań- j naha i Parkera zawieziono prosto do recepcji dla ważnych
osobistości.
Tam, spotkali się z zastępcą brytyjskiego wysokiego Komisarza, panem Long-j
streetem, oraz młodszym urzędnikiem o nazwisku Bannister.
j

Polecę z panami na Sunshine oświadczył Bannister.
Tam są jakieś problemy z łącznością.
Zdaje się, że nie można otworzyć sejfu J gubernatora.
Zainstaluję nowy aparat, żebyście mogli kontaktować się z tutejszą wysoką
Komisją przez bezpośrednią linię radiotelefonu.
Zabez pieczoną oczywiście.
I rzecz jasna będziemy musieli przewieźć tutaj zwłoki, za zezwoleniem koronera.
Mówił energicznie i ze znajomością rzeczy.
Hannah to doceniał.
Po rozmawiał następnie z czteroosobowym zespołem dochodzeniowym, któ

342

ry w ramach przysługi wystawiła policja bahamska.
Konferencja zajęła godzinę.
Hannah popatrzył w dół przez okno, na płytę lotniska.
W odległości trzydziestu metrów czekał wynajęty samolot na dziesięć miejsc, żeby
za brać go wraz z grupą roboczą na Sunshine.
Pomiędzy budynkiem i sa molotem usadowiły się dwie ekipy telewizyjne, czekając
na odpowiedni moment.
Hannah westchnął.

Kiedy już ostatecznie ustalono szczegóły, grupa opuściła recepcję dla

osobistości i zeszła na dół.

Podetknięto mikrofony, notesy trzymano w po gotowiu.

Panie nadinspektorze, czy spodziewa się pan dokonać rychłego aresztowania...

czy to morderstwo ma podłoże polityczne...

czy należy łączyć śmierć sir Marstona z nadchodzącymi wyborami?

...

Kiwał głową z uśmiechem, lecz nie powiedział ani słowa.

W otocze niu bahamskich policjantów wszyscy opuścili budynek i w upalnym słońcu przeszli do samolotu.

Kamery telewizyjne filmowały scenę.

Kiedy bohaterowie wydarzenia znaleźli się w środku, dziennikarze rzucili się do swoich wyczarterowanych maszyn, zdobytych dzięki wyłożeniu na stół grubych dolarów albo dzięki staraniom redakcji w Londynie.

W beład nym pośpiechu wszyscy zaczęli kołować do startu.

Było dwadzieścia pięć po szesnastej.

O piętnastej trzydzieści mała cessna doleciała nad Sunshine i zawróciła, schodząc do lądowania na trawiastym pasie.

Dość dzika okolica krzyknął amerykański pilot do swego pasażera.

Piękne miejsce, ale zacofane.

To znaczy oni tu prawie nic nie mają.

Brak dopływu technologii zgodził się Sam McCready.

Patrzył przez szybkę na rosnącą w oczach polną drogę.

Po jej lewej stronie znajdowały się trzy budynki: hangar z blachy falistej, niski barak z czerwonym blaszanym dachem (hala przylotów) i biały sześcian z powiewającą Hagą brytyjską, czyli budka policji.

Przed barakiem widać było małą postać mężczyzny w plażowej koszuli z krótkim rękawem, który prowadził rozmowę z człowiekiem w szerokich szortach i bluzie. W pobliżu stał samochód.

Palmy po obu stronach cessny nagle urosły, gdy awionetka opała na ziemię.

Za szybą mignęły budynki, zanim pilot wrzucił hamowca.

Na końcu pasa zawrócił i wolno podjeżdżał z powrotem.

Jasne, że pamiętam ten samolot.

To było straszne, jak się później dowiedziałem, że ci ludzie nie żyją.

343 .

□

Favaro odnalazł bagażowego, który lądował nawajo chiefa rankiem w zeszły piątek. Na imię miał Ben i zawsze lądował bagażem.

Taką miał robotę, jak większość wyspiarzy, był bardzo przystępny, szczery i skory do rozmowy.

Favaro pokazał mu zdjęcie.

Zauważyłeś tego człowieka?

No chyba.

On prosił właściciela samolotu, żeby go podrzucić na Key West.

Skąd wiesz?

Stał zaraz obok mnie odparł Ben.

Czy on wyglądał na zaniepokojonego, nerwowego, spieszył się?

Pan też by tak wyglądał.

On mówił właścicielowi, że dzwoniła jego żona, bo dziecko chore.

I tamta dziewczyna mówi: "przykra sprawa, musimy mu pomóc".

No to wtedy ten właściciel zgodził się go zabrać do Key West.

Czy był ktoś jeszcze w pobliżu?

Ben pomyślał chwilę.

Tylko ten drugi, co pomagał lądować walizki wyjaśnił.

Chyba zatrudniony przez właściciela.

A jak on wyglądał, ten drugi bagażowy?

Nigdy go przedtem nie widziałem powiedział Ben.

Czarny człowiek, ale nie z Sunshine.

W kolorowej koszuli i ciemnych okularach.

Nie odzywał się.

Cessna potoczyła się pod barak lotniska.

Obaj mężczyźni przesłonili oczy od kurzu.

wysiadł człowiek średniej postury, w wygniecionym ubraniu, wyjął torbę i neseser z komory bagażowej, odszedł parę kroków, pomachał pilotowi i ruszył w stronę baraku.

Favaro stał zamyślony.

Julio Gomez nie opowiadał kłamstw.

Ale on nie miał żony ani dziecka.

Musiał być zdesperowany, chciał koniecznie dostać się na samolot z powrotem do Miami.

A bomba wcale nie była przeznaczona dla Klingera nabrał przekonania Favaro. Celem miał być Gomez.

Podziękował Benowi i powędrował z powrotem do czekającej na niego taksówki. Kiedy wsiadał, odezwał się nad nim typowo angielski głos:

Miałbym ogromną prośbę do pana.

Czy mogę się zabrać z panem do miasta?

Nie widać żadnej taksówki na postoju.

Był to pasażer z cenny.

Jasne zgodził się Favaro.

Wsiadaj pan.

Dziękuję uprzejmie rzucił Anglik wkładając swoje rzeczy do bagażnika.

Podczas pięciominutowej jazdy do miasteczka zdążył się przedstawić.

344

Frank Dillon powiedział.

Eddie Favaro odparł Amerykanin.

Pan na ryby?

Niestety, niezbyt w tym gustuję.

Przyjechałem na wakacje, zażyć nieco ciszy i spokoju.

Nie ma pan szans oświadczył Favaro.

Na Sunshine jest jedne wielkie zamieszanie.

Przybywa tłum detektywów z Londynu, a za nimi dziennikarze.

Zeszłej nocy ktoś zastrzelił gubernatora w jego ogrodzie.

Boże kochany zawołał Anglik.

Wydawał się prawdziwie zaszokowany.

Favaro wysadził go na schodkach "Quarter Decku", odprawił taksówkę i przeszedł paręset metrów na piechotę, bocznymi uliczkami, do pensjonatu pani Macdonald.

Po drugiej stronie Parliament Square wysoki mężczyzna przemawiał do milczącej grupy obywateli, stojąc na odkrytej skrzyni ciężarówce.

Pan Livingstone we własnej osobie.

Favaro dosłyszał grzmiące echo jego przemowy: I mówię wam, bracia i siostry, powinniście korzystać z bogactwa naszych wysp.

Wam należą się ryby złowione w morzu i piękne domy nielicznych bogaczy mieszkających na wzgórzu także powinny należeć do was...

Tłum nie przejawiał entuzjazmu.

Obok ciężarówki stali ci sami dwaj potężni mężczyźni, którzy zdzierali plakaty Johnsona w hotelu "Quarter Deck" podczas obiadu i rozlepiali własne.

Wśród tłumu można było zastrzeżyc kilku podobnych mężczyzn, pilnujących okazji do wznoszenia okrzyków aplauzu.

Nikt nie podchwycił ich okrzyków.

Favaro poszedł dalej.

Tym razem zastał panią Macdonald w domu.

Desmond Hannah wyładował za dwadzieścia szósta.

Robiło się ciemno.

Cztery inne awionetki zdążyły w sam raz, by odlecieć z powrotem do Nassau przed zapadnięciem zmroku.

Przywiozły właśnie ekipy z BBC, ITV, reportera "Sunday Timesa" na spójkę z wysłannikiem "Sunday Telegraph" oraz Sabrinę Tennant wraz z zespołem z BSB, czyli Brytyjskiej Telewizji Satelitarnej.

Hannah, Parker, Bannister oraz czterech policjanci bahamscy zostali przywitani przez porucznika Haverstocka i inspektora Jonesa; pierwszy z nich miał na sobie kremowy tropikalny garnitur, drugi zaś idealnie odprasowany mundur.

W nadziei zarobienia paru dolarów pojawiły się też obie taksówki z Port Plaisance i dwie nieduże furgonetki.

Wszystkie znalazły chętnych.

Kiedy już dopełniono formalności i kawalkada ruszyła w stronę hotelu "Quarter Deck", zdążyły zapaść ciemności.

Hannah zarządził, że nie

345 .

□

ma sensu rozpoczynanie śledztwa przy latarce, poprosił jednak o utrzymanie warty przy Domu Rządowym przez noc, wobec czego inspektor!

Jones, zaszczycony współpracą z prawdziwym detektywem ze Scotland Yardu, wydał krótkie rozkazy, j

Hannah był zmęczony.

Na wyspach była wprawdzie dopiero szósta, lecz jego zegar biologiczny wskazywał jedenastą w nocy, a Hannah wstała przeczekać o czwartej. Zjadł kolację tylko w towarzystwie Parkera i porucznika Haverstocka, dzięki czemu uzyskał relację z pierwszej ręki o tym, co się właściwie wydarzyło poprzedniego wieczoru. Potem położył się spać.

Dziennikarze nieomylnie odnaleźli bar z wypraktikowaną wprawą. Zamawiano i konsumowano wciąż nowe kolejki. Zwyczajne wesołe docinanie reporterów w zagranicznej delegacji rozbrzmiewały coraz głośniej.

Nikt nie zauważył mężczyzny w pogniecionym tropikalnym stroju, który pił samotnie na końcu baru i wsłuchiwał się w gwar rozmów.

Dokąd on wtedy poszedł?

zapytał Eddie Favaro.

Siedział przy stole kuchennym pani Macdonald, podczas gdy gościnnie kobieta często wała go swoją zupą rybną.

On wybrał się do "Quarter Decku" na piwo wyjaśniła.

Był w dobrym nastroju?

Spiwny głos pani Macdonald zabrzmiał o ton wyżej.

Panie Favaro, Bóg świadkiem, z niego był szczęśliwy człowiek.

Przyrządzałam mu na kolację smaczną rybę.

Powiedział, że wróci o ósmej.

Mówiłam mu, żeby się nie spóźnił, bo dorada wystygnie i będzie niedobra.

On się śmiał i obiecał, że wróci na czas.

I wrócił?

A gdzie tam.

Spóźnił się godzinę albo i więcej.

Ryba całkiem wystygnęła.

A on jeszcze mówił od rzeczy.

Co takiego powiedział od rzeczy?

Nie mówił wiele.

Wyglądał, jakby się czymś bardzo niepokoił.

Wreszcie mówi, że widział skorpiona.

No, niech pan skończy tę zupę.

Bóg zesłał nam dary, byśmy spożywali.

Favaro zamarł z łyżką w pół drogi do ust.

On na pewno powiedział, że widział skorpiona?

Pani Macdonald zmarszczyła brwi, żeby sobie wszystko dobrze przypomnieć.

Chyba powiedział "spotkałem".

Ale może inaczej przyznała.

Favaro skończył zupę, podziękował gospodyni i poszedł z powrotem do hotelu.

W barze panował zgiełk.

Znalazł miejsce na końcu, z dala od

346

tłumu dziennikarzy.

Stółek w kącie zajmował Anglik, którego poznał w taksówce i który uniósł

szklankę gestem pozdrowienia, lecz nie zaczął rozmowy.

Dzięki Bogu pomyślał Favaro że ten wymięty Anglik potrafi przynajmniej zachować milczenie.

Eddie Favaro potrzebował się skupić.

Wiedział już, w jaki sposób zgiął nóż przyjaciel, zdawało mu się, że wie również dlaczego.

W jakiś tajemniczy sposób tutaj, na rajskiej wyspie, Julio Gomez zobaczył, bądź tylko sądził, że widział, najbardziej bezwzględny morderca, jakiego w życiu spotkali.

ROZDZIAŁ TRZECI

Desmond Hannah przystąpił do pracy nazajutrz rano, tuż po siódmej, kiedy ziemię spowijał jeszcze chłód świtu.

Zaczął od Domu Rządowego.

Odbił długą rozmowę ze służącym, Jeffersonem, który mu wyjaśnił, że niezłomnym zwyczajem gubernatora było przenoszenie się do ogrodu za murem około piątej każdego popołudnia w celu wypicia szklaneczki whisky z wodą sodową przed zachodem słońca.

Hannah zapytał, ile osób znało ten rytuał.

Jefferson zmarszczył brwi z namysłem.

Bardzo dużo osób, proszę pana.

Lady Moberley, porucznik Haverstock, ja, panna Myrtle sekretarka, ale ona pojechała do rodziców na Tortolę.

Odwiedzający ten dom też go tam widywali.
Dużo ludzi.

Jefferson opisał dokładnie, w którym miejscu znalazł ciało, lecz twierdził, jakoby nie dotarł do niego odgłos strzału.
Później fakt, że służący użył słowa "wystrzał", przekona nadinspektora Hannah, że Jefferson nie kłamie.

Lecz wówczas jeszcze nie wiedział, ile strzałów padło.

Grupa dochodzeniowa z Nassau pracowała wraz z Parkerem na trawie, poszukując zużytych łusek wyrzuconych z pistoletu zabójcy.
Szukali głęboko, gdyż czyjeś stopy mogły przez nieuwagę wdeptać w ziemię małą mosiężną łuskę lub łuski.
Porucznik Haverstock, główny inspektor Jones oraz jego wuj, doktor Jones, zdeptali całą trawę w dniu zabójstwa, uniemożliwiając identyfikację śladów stóp.

Hannah przyglądała się stalowej furtce w murze ogrodu, podczas gdy bahamski policjant posypywał stal proszkiem, szukając odcisków palców.
Żadnych odcisków jednak nie stwierdzono.
Hannah oceniła, że jeśli za bójca wszedł przez furtkę a wszystko na to wskazywało i natychmiast wystrzelił, gubernator musiał stać pomiędzy furtką i ścianą z korałowca przy schodach wiodących do pokoi powyżej.
Jeżeli jakaś kula

347 .

przeszyła go na wylot, powinna była uderzyć w ścianę.
Zwrócił więc uwagę na pełzającego po trawie zespołu na ścieżkę z pokruszonych muszli biegnącą po ziemi wzdłuż ściany.
Następnie wrócił do Willi, żeby porozmawiać z panią Moberley.

Wdowa po gubernatorze oczekiwała go w tym samym salonie, gdzie sir Marston przyjął delegację zaangażowanych Obywateli z protestem.
Była szczupła i blada, z włosami w mysim kolorze i z cerą pożółkłą z powodu lat spędzonych w tropikach.

Zjawił się Jefferson ze szklanką zimnego piwa na tacy.
Hannah zaważała się, wreszcie sięgnęła.
W końcu poranek był naprawdę upalny.
Pani Moberley piła sok grejpfrutowy.
Patrzyła jednak na piwo wygłodniałym wzrokiem.
Ładne rzeczy pomyślała Hannah.

Właściwie nie mogła wnieść niczego nowego.
O ile się orientowała, jej mąż nie miał żadnych wrogów.
Zbrodnia polityczna na tych wyspach była czymś niesłychanym.
Owszem, kampania wyborcza zrodziła nieco kontrowersji, lecz wszystko mieściło się w ramach procesu demokratycznego.
Tak uważała.

W momencie strzelaniny przebywała o pięć mil dalej, z wizytą w małym szpitalu misyjnym na zboczach wzgórza Spyglass.
Ufundował go pan Marcus Johnson, wspaniały człowiek i wielki filantrop, zaraz po swoim przybyciu na rodzinne Barclaye sześć miesięcy temu.
Gubernatorowa zgodziła się patronować tej inicjatywie.
Pojechała tam służbowym jaguarem prowadzonym przez gubernatorskiego szofera, Stonea.

Hannah podziękowała jej i wstał.
Za oknem stał Parker i pukał w szybę.
Hannah wyszedł na taras.
Parker był mocno podniecony.
Miał pan rację, panie nadinspektorze.
Proszę.

wyciągnął prawą rękę.
Na dłoni leżał poważnie odkształcony i spłaszczony okruch czegoś, co było kiedyś ołowianym pociskiem.
Hannah po patrzył na niego z rezygnacją.

Dzięki, że się tym należycie zająłeś powiedział.
Na drugi raz spróbujemy z pincetką i torebką, dobrze?

Parker zbladł, umknął zaraz do ogrodu, położył kulę z powrotem na ścieżce z pokruszonych muszli, otworzył swój zestaw i wyjął szczypczyki.
Policjanci z Bahamów szczyrzyli zęby.

Parker starannie podniósł pincetką spłaszczony pocisk i wrzucił do małej przezroczystej torebki.

Teraz owiń to watą i włóż do szklanego zakręcanego słoiczka powiedział

Hannah.

Parker zrobił, co mu kazano.

Dziękuję, teraz włóż z powrotem do zestawu i niech tam będzie, dopóki nie wyślemy tego do laboratorium balistyki dodał Hannah.

348

Westchnął.

To będzie ciężka harówka.

Pomyślał, że chyba sam lepiej dałby sobie radę.

Kiedy doktor Caractacus Jones przybył na wezwanie, Hannah ucie szył się, że wreszcie porozmawia z jakimś profesjonalistą.

Doktor Jones opowiedział, jak tuż po szóstej owego wieczoru w swym domu, w gabinecie, został powiadomiony przez Jeffersona, którego przysłał porucznik Haverstock.

Jefferson powiedział mu, że ma przybyć natychmiast, bo ktoś strzelał do gubernatora.

Służący nie wspominał, że postrzał okazał się śmiertelny, wobec tego doktor Jones zabrał swoją podręczną torbę i natychmiast przyjechał zobaczyć, co się da zrobić.

Jak się okazało, odpowiedź brzmiała: nic.

Hannah zaprowadził doktora Jonesa do gabinetu świętej pamięci gubernatora i poprosił o podpisanie nakazu wydania zwłok.

Doktor Jones to uczynił, spełniając tym samym obowiązek koronera.

Bannister, urzędnik z wysokiej Komisji w Nassau, wypisał tekst dokumentu na papierze firmowym Domu Rządowego.

Właśnie skończył instalowanie nowego systemu łączności dla inspektora Hannah.

W jurysdykcji brytyjskiej trybunałem o najwyższych uprawnieniach nie jest wcale Izba Lordów, lecz właśnie urząd koronera.

Przeniesienie zwłok z Sunshine na terytorium Wysp Bahama wymagało nakazu koronera.

Doktor Jones podpisał go bez sprzeciwu i w ten sposób sprawę załęgali zował.

Hannah poprosił doktora Jonesa o pokazanie zwłok.

Na terenie doków otwarto chłodnię i dwaj policjanci od inspektora Jonesa wydobyli spośród ryb trupa swego byłego gubernatora niczym najtwardszą kłodę i przenieśli w mrok pobliskiego magazynu, gdzie ułożyli go na drzwiach opartych o dwa słupki.

Dla dziennikarzy, do których dołączyła również ekipa CNN z Miami, to była piękna sprawa; nie na darmo od samego rana dreptali nadinspektorowi Hannahowi po piętach.

Wszystko obfotografowali.

Nawet marlin, z którym gubernator dzielił łóżę przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, miał swoje wejście w wieczornym dzienniku CNN.

Hannah zarządził, by zamknięto przed dziennikarzami drzwi magazynu i najdokładniej, jak mógł, przeprowadził oględziny sztywnego ciała pokrytego warstewką szronu.

Stał przy nim doktor Jones.

Po zbadaniu zamrożonego otworu w klatce piersiowej gubernatora zauważył regularną, okrągłą dziurkę w lewym rękawie.

Powoli ugniatał materiał palcami, dopóki ciepło jego dłoni trochę go nie zmiękczyło.

Lód tajał.

Okazało się, że w rękawie są dwie takie dziurki: wlot i wylot.

Lecz na skórze nie było żadnych śladów.

Zwrócił się do Parkera.

349 .

□

Dwa pociski, co najmniej orzekł cicho.

Brakuje nam więc drugiej kuli.

Prawdopodobnie utkwiała w ciele odpowiedział doktor Jones.

Bez wątpienia zgodził się Hannah.

Jednak chciałbym, Peter, żeby obszar od miejsca, w którym gubernator siedział lub stał, został ponownie przeszukany.

A potem jeszcze raz.

A nuż coś tam jest.

Kazał umieścić zmarłego gubernatora z powrotem w chłodni.

Znów zaszemrały kamery.

Posypały się pytania.

Skinął głową, uśmiechnął się i powiedział: Wszystko w swoim czasie, panie i panowie.

To dopiero początek.

Ale znaleźliśmy pocisk wtrącił dumnie Parker.
Desmondowi Hannahowi przyszło na myśl, że zamachowiec zastrze lił nie tego człowieka, co trzeba.
Zanosilo się na konferencję prasową.

Nie

chciał zwoływać jej już teraz.

Wieczorem wydamy pełne oświadczenie oznajmił.

A tym czasem do roboty.

Dziękuję państwu.

Wepchnął Parkera do wozu policyjnego i pojechali z powrotem do rezydencji.

Hannah poprosił Bannistera o telefon do Nassau, żeby wczesnym popołudniem przysłano samolot z noszami, wózkami, workami na zwłoki oraz dwóch noszowych. Potem odprowadził doktora Jonesa do samochodu. Zostali sami.

Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy na tej wyspie jest ktoś, kto naprawdę wie, co się tu dzieje i wszystkich zna?

Doktor Caractacus Jones się uśmiechnął.

To ja powiedział.

Jednak nie podjąłbym się zgadywania, kto to mógł zrobić.

Zresztą powróciłem z Barbadosu zaledwie dziesięć ;

lat temu.

Żeby poznać prawdziwą historię tych wysp, powinien pan złożyć wizytę pani Coltrane.

Ona jest trochę jakby...

babcią Barclayów.

Jeśli szuka pan kogoś, kto by odgadł sprawcę, ona może to zrobić.

Doktor odjechał swoim sfatygowanym austinem.

Hannah podszedł, z kolei do siostrzeńca, głównego inspektora Jonesa, który wciąż jeszcze j stał przy policyjnym land roverze.

Mam do pana prośbę, inspektorze zwrócił się do niego uprzejmie.

Czy mógłby pan pojechać na lotnisko i sprawdzić u oficera pasz-;

portowego, czy nikt nie opuszczał wyspy od chwili zabójstwa?

Ktokolwiek by to był.

Z wyjątkiem pilotów, którzy wylądowali, obrócili i odlecieli z powrotem, nie wychodząc poza obręb lotniska.

Inspektor Jones zasałutował i odjechał.

Na podjeździe od frontu stał jaguar.

Szofer imieniem Oscar polerował go szmatką.

Parker i reszta ze- j społu szukali brakującej kuli za domem.

350

Oscar?

Tak, proszę pana Oscar wyszczerzył się w uśmiechu.

Znasz panią Coltrane?

O, tak, proszę pana.

To prawdziwa dama.

Wiesz, gdzie mieszka?

Tak jest.

Rezydencja Flamingo na szczycie wzgórza Spyglass.

Hannah spojrział na zegarek.

Było wpół do dwunastej i wzmagał się upał.

Czy można ją zastać o tej porze?

Oscar sprawiał wrażenie zdziwionego.

Oczywiście, że tak, proszę pana.

Zawieź mnie do niej, dobrze?

Jaguar klucząc wyjechał z miasteczka i zaczął pięć się coraz wyżej po zboczach wzgórza Spyglass sześć mil na zachód od Port Plaisance.

To był stary model Mark IX teraz już klasyka wykończony na staroświecki sposób pachnącą skórą obici i polerowanym orzechowym drewnem.

Hannah oparł się wygodnie i obserwował mijane pejzaże.

W miejscach nizinnych zarośli pojawiła się bardziej zielona roślinność wyższych partii wzgórza.

Mijali nieduże polećki kukurydzy, owoców mango i papai; drewniane chaty stały z dala od drogi, oddzielone od niej podwórkami, gdzie grzebały kury.

Małe brązowe dzieci, usłyszawszy nad jeżdżący samochód, podbiegały na skraj drogi, skąd machały zawzięcie.

Hannah też im pomachał.

Przejechali obok zgrabnego białego budynku kliniki dziecięcej ufundowanej przez Marcusa Johnsona.

Hannah spojrzął do tyłu i zobaczył drzemiące w upale Port Plaisance.

Dostrzegł czerwony dach magazynu w dokach i tuż obok chłodnię, w której spoczywał gubernator, szarą płaszczynę Parliament Square, strzelistą wieżyczkę kościoła anglikańskiego i dachówki hotelu "Quarter Deck".

Jeszcze dalej, po drugiej stronie miała stać, falował od gorąca zarys białych murów Domu Rządowego.

Dlaczego właściwie zastanawiał się ktoś postanowił zastrzelić gubernatora?

Minęli ładny bungalow, który należał do świętej pamięci Barneya Klingera, jeszcze dwukrotnie skręcili i zatrzymali się na szczycie wzgórza. Stała tam różowa willa, rezydencja Flamingo.

Przy drzwiach Hannah pociągnął łańcuch dzwonka z kutego żelaza i gdzieś z oddali dobiegł cichy dźwięk.

Drzwi otworzyła kilkunastoletnia dziewczyna w prostej bawełnianej sukience, spod której wystawały białe nogi.

Chciałbym się zobaczyć z panią Coltrane powiedział Hannah.

Skinęła głową i wpuściła go do środka, pokazując drogę do dużego przestronnego salonu.

Otwarte podwójne drzwi prowadziły na balkon ze

351 .

□

wspaniałym widokiem na wyspę i lśniące błękitne morze, które rozciągało się aż do wyspy Andros na Bahamach, daleko za horyzontem.

W pokoju było chłodno mimo braku klimatyzacji.

Hannah zauważył także brak doprowadzonej elektryczności.

Na niskich stolikach stały trzy lampy naftowe z wypolerowanego mosiądzu.

Orzeźwiający wiatr wpadał do środka przez otwarte balkonowe drzwi i wylatywał przez okna naprzeciwko.

Styl mebli wskazywał, że jest to pokój starszej osoby.

Hannah cze kał, przechadzając się.

Na ścianach wisiały obrazki, całe mnóstwo, i wszystkie przedstawiały ptaki Karaibów, starannie namalowane akwarelą.

Na jedynym nieptasim portrecie widniał mężczyzna w białym mundurze galowym brytyjskiego gubernatora kolonii.

Stał zwrócony twarzą na pokój, siwowłosy i z siwym wąsami, z twarzą opaloną, pobrużdżoną i sympatyczną.

Dwa rzędy medali naturalnych zakrywały mu pierś w białej marynarce.

Hannah wyteńczył wzrok, by odczytać małą tabliczkę pod obrazem.

Napis brzmiał:

Sir Robert Coltrane, Kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, Gubernator Barclayów 1945-1953.

Na portrecie w zgięciu lewego łokcia trzymał swój biały kask udekorowany białymi kogucimi piórami; prawa dłoń spoczywała na rękojeści szabli.

Hannah uśmiechnął się smutno.

Pani Coltrane to z pewnością lady Coltrane, żona dawnego gubernatora.

Przeszedł dalej wzdłuż ściany do oszklonej gablotki.

Za szkłem, przypięte do grubego płótna na deseczce, znajdowały się trofea militarne byłego gubernatora, zebrane i wystawione przez wdowę.

Znajdowała się tam ciemnopurpurowa baretka Krzyża Wiktorii, najwyższego brytyjskiego odznaczenia za waleczność w boju, wraz z datą otrzymania: 1917.

Po obu stronach widniały: Krzyż Zasługi i Krzyż Wojenny.

Wokół nich przypięte były inne żołnierskie odznaczenia z kolejnych kampanii.

On był bardzo odważnym człowiekiem odezwał się dźwięczny głos z tyłu. Hannah odwrócił się w zakłopotaniu.

Zjawiła się cichutko; gumowe koła jej inwalidzkiego wózka nie hałasowały po kafelkach podłogi.

Była drobna i delikatna, z lokami lśniących siwych włosów i jasnobłękitnym spojrzeniem.

Z tyłu za nią stał służący, który przywiózł ją z ogrodu olbrzym budzący wręcz podziw.

Zwróciła się do niego:

Dziękuję ci, Firestone, możesz mnie zostawić.

Skinęła głową i odszedł.

Wjechała nieco dalej w głąb pokoju i gestem zaprosiła, by Hannah usiadł.

Uśmiechnęła się.

Dziwi pana może jego imię?

On jest podrzutkiem znalezionym na wysypisku śmieci w oponie Firestone.
A pan jest z pewnością głównym

352

nadinspektorem Hannahem ze Scotland Yardu.

To bardzo wysoka ranga jak na te skromne wyspy.

Czym mogę panu służyć?

Muszę najpierw przeprosić, że nazwałem panią tak zwyczajnie w rozmowie z pokojówką powiedział.

Nikt mi nie mówił, że pani jest lady Coltrane.

Już nie odparła.

Tu jestem po prostu pani.

Wszyscy do mnie tak mówią.

I to mi odpowiada.

A jak pan zapewne zauważył, nie urodziłam się Brytyjką.

Pochodzę z Karoliny Południowej.

Pani mąż...

Hannah skinął w stronę portretu był tu kiedyś gubernatorem.

Tak.

Poznaliśmy się podczas wojny.

Robert brał udział w pierwszej wojnie.

Nie musiał brać repety.

Ale to zrobił.

Znowu został ranny.

Ja byłam pielęgniarką.

Zakochaliśmy się, ślub był w 1943 i przeżyliśmy dziesięć wspaniałych lat, zanim umarł.

Dzieliła nas różnica dwudziestu pięciu lat, ale to nie miało znaczenia.

Po wojnie rząd brytyjski mianował go tutaj gubernatorem.

Kiedy on umarł, zostałam.

Miał zaledwie pięć dziesiąt sześć lat.

Spóźniony skutek wojennych ran.

Hannah obliczył.

Sir Robert w takim razie był z rocznika 1897, Krzyż Wiktorii otrzymał w wieku dwudziestu lat.

Ona ma teraz sześćdziesiąt osiem lat, za młoda, by jeździć na wózku.

Zdaje się, że swym jasnobłękitnym wzrokiem przejrzała jego myśli.

Pośliznęłam się i upadłam wyjaśniła.

Dziesięć lat temu.

Uszkodzenie kręgosłupa.

Ale pan nie przebył czterech tysięcy mil po to, by rozmawiać o starej niedołącznej kobiecie.

Jak mogę panu pomóc?

Hannah wyjaśnił.

Muszę powiedzieć, że nie widzę tu żadnego motywu.

Ten, kto zastrzelił sir Marstona, musiał go do tego stopnia nienawidzić.

Ale wśród wyspiarzy ja nie znajduję motywu.

Pani zna tych ludzi.

Kto zechciałby coś takiego uczynić i dlaczego?

Lady Coltrane podjechała do otwartego okna i wyglądała przez chwilę.

Ma pan rację, panie Hannah.

Ja istotnie znam tych ludzi.

Mieszka tu od czterdziestu pięciu lat.

Kocham te wyspy i ich mieszkańców.

Mam nadzieję, że i oni mnie kochają...

przerwała i odwróciła się ku niemu.

W porządku świata te wyspy nie znaczą nic.

A jednak tutejszy naród odkrył coś, co umknęło światu zewnętrznemu.

Oni odkryli, jak być szczęśliwym.

Tylko tyle.

Nie mieć bogactw ani władzy, tylko szczęście.

Te raz Londyn chce, byśmy się usamodzielnili.

I pojawiło się dwóch kandydatów rywalizujących o władzę.

Pan Johnson, który jest bardzo bogaty i z jakiegoś powodu ofiarował wyspom poważne sumy, oraz pan Livingstone, socjalista, który chce wszystko

znacjonalizować i rozdzielić między

353 .

□
biednych.

Bardzo szlachetnie, rzecz jasna.

Pan Johnson ze swymi pla-

nami rozwoju i dobrobytu oraz pan Livingstone ze swymi planami równości społecznej.

Znam ich obu.

I to od małego.

Znałam ich, kie dy jako nastoletni chłopcy wyjechali robić karierę gdzie indziej.

A teraz wrócili...

Czy pani podejrzewa kóregoś z nich?

spytał Hannah.

Proszę pana, chodzi o ludzi, których przywieźli ze sobą.

Niech pan się przyjrzy ludziom z ich otoczenia.

Oni są bezwzględni, proszę pana.

Mieszkańcy wyspy to wiedzą.

Zdarzały się pogróżki, pobicia.

Może powi nien pan się przyjrzeć otoczeniu tych dwóch, panie Hannah.

Podczas jazdy w dół zbcza Desmond Hannah przemyślał to jeszcze raz.

wynajęty morderca?

Zabójstwo sir Marstona faktycznie sugerowało coś takiego.

Po obiedzie postanowił odbyć rozmowy z obydwo- ma kandy- ;

datami i przyjrzeć się ich otoczeniu.

Przy bramie Domu Rządowego Hannah musiał przerwać rozmyśla nia.

Kiedy wchodził do salonu, z krzesła zerwał się pulchny Anglik z kil- koma podbródkami nad kołnierzykiem duchownego.

Był z nim Parker.

;

właśnie, szefie, to jest wielebny Simon Prince, tutejszy pastor anglikański.

Ma dla nas jakieś interesujące informacje.

;

Hannah zastanawiał się, skąd Parker wytrzasnął słowo "szefie".

Nie-ł nawidził tego określenia.

"Inspektorze" byłoby w sam raz.

Później, dużo później "Desmond".

Może kiedyś.

Jak tam, udało się z drugą kulą?

Niestety, jak dotąd nic.

No to bierz się do roboty rzucił Hannah.

Parker wyszedł przez otwarte okno werandy.

Hannah je zamknął.

Wobec tego, panie Prin- ce, co ma pan do powiedzenia?

g

Jestem Quince powiedział pastor.

Quince.

To wszystko jest bardzo zasmucające.

Owszem.

Zwłaszcza dla gubernatora.

Co? A, tak, to znaczy...

mówię o moim przyjsciu tutaj z informa-, cją o innym duszpasterzu.

Nie wiem, czy powinienem.

Ale wydawało mi;

się, że to istotne dla sprawy.

Bardzo proszę ocenę pozostawić mnie zasugerował łagodnie Hannah.

wielebny uspokoił się i usiadł.

wszystko to wydarzyło się w zeszły piątek zaczął.

Opowiedział;

całą historię delegacji Komitetu Zaangażowanych Obywateli i odprawę,;

jaką im dał gubernator.

wreszcie umilkł, a Hannah zmarszczył brwi.

spytał: Co takiego on właściwie powiedział?

354

Powiedział powtórzył Quince że "musimy pozbyć się tego gubernatora i postarać się o kogoś nowego".

Hannah wstał.

Dziękuję panu bardzo, panie Quince.

Czy mógłbym prosić o dys krecję i powierzenie tej sprawy mnie?

Pastor z wdzięcznością podreptał do wyjścia.

Hannah się zastanawiał.

Nie przepadał za donosicielami, ale powinien jednak sprawdzić tego zięjącego ogniem baptystę, Waltera Drakea.

W tym momencie zjawił się Jefferson z półmiskiem sznydek homara na zimno w majonezie.

Hannah westchnął.

W końcu musi być jakaś nagroda za to, że wysyłają człowieka cztery tysiące mil od domu.

No i skoro Foreign Office płaci...

Nalał sobie kieliszek schłodzonego chablisu i zabrał się do jedzenia.

W trakcie jego posiłku główny inspektor Jones wrócił z lotniska.

Nikt nie opuszczał wyspy oznajmił.

W każdym razie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Przynajmniej nie drogą legalną dodał Hannah.

Teraz na stępne zadanie dla pana.

Czy pan prowadzi rejestr broni palnej?

Oczywiście.

Świetnie.

Czy mógłby pan do niego zajrzeć i odwiedzić wszystkich mieszkańców, którzy mają zarejestrowaną broń?

Szukamy pistoletu do żego kalibru.

Zwłaszcza interesuje nas broń, której ktoś nie może pokażać, albo świeżo wyczyszczona i lśniąca od świeżej oliwy.

Od świeżej oliwy?

Wyczyszczona po wystrzeleniu wyjaśnił Hannah.

Ach, tak, oczywiście.

Jeszcze jedno, inspektorze.

Czy wielbny Drake ma zarejestrowaną broń?

Nie.

Tego jestem pewny.

Po jego wyjściu Hannah wezwał porucznika Haverstocka: Czy pan przypadkiem nie ma służbowego rewolweru lub pistoletu?

Zaraz, chwileczkę, chyba pan nie myśli...

obruszył się młody oficer.

Przyszło mi na myśl, że ktoś mógł go ukraść albo zabrać i z po wrotem podrzucić.

Tak, już rozumiem, o co panu chodzi, przyjacielu.

Otóż nie, nie mam broni palnej.

Nigdy nie przywoziłem jej na wyspę.

Ale mam za to paradną szablę.

Gdyby sir Marston zginął od broni białej, możliwe, że postanowiłbym pana aresztować łagodnie skwitował Hannah.

Czy w Domu Rządowym znajduje się jakaś broń?

355 .

□

Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

Tak czy inaczej, zabójca zapewne przyszedł z zewnątrz.

Przez mur w ogrodzie?

Hannah dokonał oględzin rozerwanej kłódki przy stalowej furcie w murze ogrodu jeszcze w pierwszych promieniach świtu.

Odształcone uchwyty i rozerwana kłódka nie pozostawiały wątpliwości, że użyto bardzo solidnego łożu, inaczej stara stal tak by się nie wygięła.

Lecz przy szło mu do głowy, że wyrwana kłódka może stanowić podstęp.

Sprawca mógł tego dokonać kilka godzin wcześniej albo nawet kilka dni.

Nikt nie sprawdzał furtki: sądzono, że z powodu rdzy nie da się jej otworzyć.

Zabójca mógł rozerwać kłódkę, a furtkę zostawić w pozycji zamkniętej, następnie nadszedł od strony domu, zastrzelił gubernatora i wrócił z powrotem do domu.

Koniecznym jest znaleźć drugi pocisk, najlepiej nie naruszony, oraz broń, z której go wystrzelono.

Hannah popatrzył na połyskującą powierzchnię morza.

Jeśli tam spoczywa pistolet, nigdy go nie odnajdą.

Podniósł się z krzesła, otarł usta i poszedł szukać Oscara z jaguarem.

Czas zamienić dwa słowa z wielbny Drakeem.

Sam McCready również postanowił coś zjeść.

Kiedy wszedł do jadalni na odkrytej werandzie hotelu "Quarter Deck", wszystkie stoliki były zajęte.

Dalej, na placu, mężczyźni w kolorowych koszulkach i ciemnych okularach ustawiali odkrytą ciężarówkę udekorowaną chorągiewkami i oblepioną plakatami Marcusa Johnsa.

Ten wielki człowiek miał o trze ciej przemawiać.

Sam rozejrzał się po tarasie i dostrzegł jedno puste krzesło.

Znajdo wało się ono przy dwuosobowym stole, gdzie ktoś posilał się samotnie.

Tłoczno tu dzisiaj.

Można się dosiąść?

spytał.

Eddie Favaro wskazał mu krzesło.

Nie ma sprawy.

Pan tutaj na ryby?

zapytał McCready studiując krótkie menu.

Aha.

To dziwne stwierdził McCready, złożywszy zamówienie na ceviche, danie z ryby marynowanej w soku świeżych limonek.

Jakby mnie ktoś spytał, powiedziałbym, że jest pan glina.

Nic nie wspominał, że wieczorem zasięgnął informacji na odległość, po tym jak przyjrzał się Eddiemu Favaro przy barze; nie powiedział o te lefonie do kumpla w biurze FBI w Miami ani o odpowiedzi, jaką rano otrzymał.

Favaro odstawił piwo i mierzył go wzrokiem.

A kim pan jesteś, u diabła?

spytał.

Brytyjskim "kumplem gliniarzy"?

356

McCready machnął ręką lekceważąco.

Niestety, nic z tych rzeczy.

Zwykły urzędnik państwowy, szukający spokojnego wypoczynku z dala od biurka.

Więc co to za teksty, że niby ja jestem glina?

Instynkt.

Zachowuje się pan jak glina.

Czy zechciałby pan mi powiedzieć, po co pan przyjechał?

A niby z jakiej racji?

Ponieważ tłumaczył łagodnie McCready przyleciał pan tuż przed zabójstwem gubernatora.

A także z tego powodu...

Wręczył Eddiemu Favaro kartkę.

Był to papier z nagłówkiem Foreign Office.

Tekst głosił, że pan Frank Dillon jest urzędnikiem tegoż mini sterstwa, oraz upraszał "wszystkie osoby" o wszelką możliwą pomoc.

Po rucznik Broderick jasno dał Eddiemu do zrozumienia, że na terytorium brytyjskim będzie zdany na własne siły.

Oficjalnie jestem na urlopie.

Nie, nie łowią ryb.

Nieoficjalnie próbuję wyjaśnić, dlaczego mój współpracownik został w zeszłym tygo dniu zabity i przez kogo.

Proszę mi o tym opowiedzieć zaproponował McCready.

Może będę mógł pomóc.

Favaro opowiedział, jak zginął Julio Gomez.

Anglik przeżuwał swoją surową rybę i słuchał.

Sądzę, że on widział na Sunshine pewnego mężczyznę i sam dał się zauważyć.

Ten człowiek był znany w Metro-Dade jako Francisco Mendes alias Skorpion.

Osiem lat wcześniej wybuchła w południowej Florydzie "wojna o rynek", zwłaszcza w okolicy Metro-Dade.

Do tej pory przemycem kokainy zajmowali się tam kolumbijczycy, lecz rozprawiały ją gangi kubańskie.

Wreszcie kolumbijczycy postanowili wyeliminować kubańskich pośredni ków i sprzedawać bezpośrednio klientom.

Zaczęli przejmować terytorium kubańczyków, czyli ich "rynki".

Kubańczycy odpowiedzieli siłą i tak wybuchła wojna o rynek.

Do tej pory policja ma stale do czynienia z zabójstwami.

Latem 1984 roku motocyklista ubrany w czerwono-białą skórę zaje chał na kawasaki pod sklep monopolowy w centrum Dadeland Mall, wyjął z torby półautomatyczny karabinek uzi i spokojnie wywalił cały magazyn w stronę zatłoczonego sklepu.

Zginęły trzy osoby, czternaście odnio sło rany.

Normalnie zabójca by uciekł, ale dwieście metrów dalej młody gli niarz

na motocyklu wypisywał akurat mandat za parkowanie. Kiedy mor derca rzucił uzi i dodał gazu, policjant ruszył w pościg, podając przez

s57 .

□

radio opis i kierunek.

W połowie trasy North Kendall mężczyzna na kawasaki zwolnił, zjechał na pobocze, wyjął zza pazuchy samopowtarzalny sig sauer 9 mm, wycelował i strzelił nadjeżdżającemu policjantowi w pierś.

Kiedy młody glina się rozwał z swoim motorem, zabójca odjechał z dużą szybkością, jak twierdzili świadkowie, którzy dali dokładny opis motocykla i skórzanego stroju.

Twarz zasłaniał kask.

Chociaż Szpital Baptistów znajdował się zaledwie cztery przecznice dalej i policjanta migiem przewieziono na reanimację, zmarł tej samej nocy. Miał dwadzieścia trzy lata, zostawił żonę z córeczką.

Jego radiowe wezwanie zaalarmowało dwa wozy patrolowe, które obstawiły okolice.

Dwa kilometry przed sobą patrol dostrzegł jadącego z dużą prędkością motocyklistę i zmusił go do wykonania tak ostrego skrętu, że ścigany się wywrócił.

Zanim zdążył wstać, był aresztowany.

Z wyglądu mężczyzna przypominał Latynosa.

Sprawę przekazano Gomezowi i Favarowi.

Przez cztery dni i noce siadali naprzeciwko zabójcy próbując wydobyć z niego choć jedno słowo.

Nie odzywał się, nie powiedział niczego, ani po hiszpańsku, ani po angielsku.

Na dłoniach nie miał śladów prochu, bo był w rękawiczkach.

Lecz rękawic nigdy nie znaleziono, chociaż policja przeszukała wszystkie kosze na śmieci w oko licy przepadły.

Doszli do wniosku, że zabójca rzucił je na tylne siedzenie przejeżdżającego kabrioletu.

Dzięki apelom do społeczeństwa odnalazł się sig sauer, wrzucony do ogródka przy drodze.

Była to broń, z której zastrzelony został policjant, lecz nie stwierdzono na niej żadnych odcisków palców.

Gomez uważał, że morderca jest kolumbijczykiem, gdyż sklep mono połowy był kubańską "skrzynką" kokainową.

Po czterech dniach nadali podejrzanemu przezwisko Skorpion.

Czwartego dnia zjawił się pewien bardzo kosztowny adwokat.

Przedstawił meksykański paszport na nazwisko: Francisco Mendes.

Dokument był nowy i ważny, lecz nie miał pieczętek wjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Adwokat przyznał, że jego klient może być nielegalnym imigrantem i poprosił o wyznaczenie kaucji.

Policja nie udzieliła zgody.

Na rozprawie przed sędzią, znanym liberałem, adwokat złożył prośbę twierdząc, że policja zatrzymała pewnego mężczyznę w czerwono- ;

białej skórze jadącego kawasaki, nie zaś tego mężczyznę na kawasaki, który zabił policjanta i tamtych ludzi.

Ten dupowaty sędzia zgodził się na kaucję ciągnął Favaro.

;

Pół miliona dolarów.

W ciągu dwudziestu czterech godzin Skorpion znikł i nał.

Nasłany facet z uśmiechem wpłacił pół miliona.

Macie i się wy- { pchajcie.

358

A pan sądzi, że...

podpytał McCready.

Ze to nie był zwykły muł, tylko jeden z ich najlepszych ludzi od mokrej roboty.

Inaczej oszczędziliby sobie takich starań i wydatków, żeby go wyciągnąć.

Myślę, że Julio go tu widział, być może nawet ustalił, gdzie on mieszka.

Próbował dostać się do kraju, żeby wuj Sam mógł złożyć wniosek o ekstradycję.

Na którą byśmy zezwolili orzekł McCready.

Sądzę, że po winniśmy poinformować wysłannika Scotland Yardu.

W końcu cztery dni później zastrzelono gubernatora.

Nawet jeśli okaże się, że sprawy nie są powiązane, podejrzenia uzasadniają

przeczesanie wyspy.

To niezbyt rozległy teren.

A jeśli go znajdziemy?

Na terytorium brytyjskim on nie popełnił żadnego przestępstwa.

Cóż, na początek pan go zidentyfikuje powiedział McCready.

To nam da powód do zatrzymania.

Główny nadinspektor śledczy Hannah jest co prawda z innej policji, ale nikt nie broni zabójcy gliniarza.

I jeśli on się wylegitymuje ważnym paszportem, jako urzędnik Foreign Office uznaję dokument za sfałszowany.

To będzie drugi zarzut.

Favaro wyszczerzył zęby i wyciągnął dłoń.

Frank, to mi się podoba.

Chodźmy pogadać z tym twoim facetem ze Scotland Yardu.

Hannah wysiadł z jaguara i podszedł do otwartych drzwi zbudowana z desek kaplicy baptystów.

Ze środka dobiegały tony pieśni.

Przestął pił próg i oswajał oczy z panującym wewnątrz półmrokiem.

W chórze dominował głęboki bas wielebnego Drakea.

Rozstąp się, skało wieczysta...

Bez akompaniamentu, tylko śpiew unisono.

Kapłan baptystów wyszedł zza swego pulpitu i chodził wzdłuż nawy machając rękoma przypominając cymy czarne skrzydła wiatraka: zachęcał trzódkę do pieśni na chwałę Pana.

Niechaj znajdzie schron w twym tonie,

Niechaj krew i woda czysta...

Dostrzegł sylwetkę nadinspektora stojącego w drzwiach, umilkł i go stem poprosił o ciszę.

Wibrujące głosy ucichły.

Bracia i siostry zagrzmiał duszpasterz spotkał nas dziś wielki zaszczyt.

Przyłączył się do nas pan Hannah, wysłannik Scotland Yardu.

Wierni obrócili się w ławkach i patrzyli na mężczyznę u wejścia.

Większość z nich należała do starszego pokolenia, lecz obecne były również młode matki z gromadką małych dzieci przyglądających się ciekawie.

359 .

□

Przyłącz się do nas, bracie.

Śpiewaj z nami.

Zróbcie miejsce panu Hannahowi.

Siedząca obok rozłożysta matrona w kwiecistej sukni uśmiechnęła się do niego szeroko i przesiadła się, podsuwając mu swój modlitewnik.

Bez niego Hannah nie mógłby zaśpiewać.

Zapomniał słów.

Tyle lat minęło.

Wszyscy razem skończyli porywający hymn.

Po nabożeństwie wierni rozeszli się, żegnani przy drzwiach przez spoconego Drakea.

Po wyjściu ostatniej osoby Drake gestem zaprosił go do zakrystii w małym pomieszczeniu przyległym do bocznej ściany kościoła.

Nie mogę zaproponować panu piwa, inspektorze.

Lecz sprawi mi pan radość próbując mojej zimnej lemoniady.

Sięgnął po termos i napełnił dwie szklanki.

Napój miał smak limony i wspaniale orzeźwiało.

Czym mogę służyć wysłannikowi Scotland Yardu?

zapytał duchowny.

Proszę mi powiedzieć, co pan robił we wtorek o piątej po południu?

Prowadziłem nabożeństwo ze śpiewem i modlitwą w obecności pięćdziesięciu dobrych ludzi odparł wielebny Drake.

Dlaczego pan pyta?

Hannah przytoczył jego wypowiedź z piątkowego ranka na schodach Domu

Rządowego.

Drake z uśmiechem popatrzył na niego z góry.

Nadinspektor wcale nie był niski, lecz kaznodzieja przewyższał go o dobre pięć centymetrów.

Czyli rozmawiał pan z wielebnym Quinceem.

wypowiedział to nazwisko z taką miną, jak gdyby ssał świeży owoc limony.

Tego nie powiedziałem zaznaczył Hannah.

Nie musiał pan.

Tak, to moje słowa.

Myśli pan, że zabiłem gubernatora Moberleya?

Nie, proszę pana, ja jestem człowiekiem pokoju.

Nie używam broni.

Nie odbieram życia.

Co w takim razie miał pan na myśli, panie Drake?

Nie wierzyłem, że gubernator wyśle naszą petycję do Londynu.

Chodziło o to, że powinniśmy zebrać nasze skromne fundusze i wysłać kogoś do Londynu, żeby poprosił o mianowanie nowego gubernatora, który nas zrozumie i przychyli się do naszej prośby.

To znaczy?

Chcemy referendum, panie Hannah.

Tu się dzieje coś niedobre go.

Obcy wmieszali się pomiędzy nas, chcą rządzić naszymi sprawami.

A my jesteśmy szczęśliwi żyjąc jak dotychczas.

Niebogaci, lecz zadowo leni.

Gdyby zwołano referendum, ogromna większość głosowałaby za po zostaniem pod rządami Brytanii, Co w tym złego?

360

Jak dla mnie to nic przyznał Hannah.

Ale ja nie ustalam polityki.

Nie robił tego również gubernator.

Ale on stosował się do wytycznych, dla własnej kariery, nawet jeśli wiedział, że coś jest złe.

Nie miał wyboru stwierdził Hannah.

Wykonywał pole cenia.

Drake pokiwał głową nad szklanką lemoniady.

To samo mówili ci, co wbijali gwoździe w Chrystusa, panie Hannah...

Hannah nie chciał dać się wciągnąć w dyskusję polityczną lub teologiczną.

Miał wykryć sprawców morderstwa.

Nie darzył pan sir Marstona sympatią, prawda?

Nie, oby mi Bóg wybaczył.

Miał pan jakiś powód, oprócz zastrzeżeń natury politycznej?

On był hipokrytą i cudzołożnikiem.

Ale ja go nie zabiłem.

Pan Bóg daje i Pan Bóg zabiera, panie Hannah.

Pan w niebieskich widzi wszystko.

A we wtorek wieczorem wezwał do siebie sir Marstona Moberleya.

Pan Bóg raczej nie używa pistoletów dużego kalibru zauważył Hannah.

Przez chwilę zdawało mu się, że widzi w oczach Drakea błysk uznania.

Użył pan określenia "cudzołożnik".

Dlaczego?

Drake przeszył go spojrzeniem.

Nic pan nie wie?

Nie.

Myrtle, nieobecna sekretarka.

Nie widział jej pan?

Nie.

Ma obfite ciało, krzepkie i lubieżne.

Być może.

Przebywa u rodziców na Tortoli odparł Hannah.

Nie tłumaczył cierpliwie Drake.

W Szpitalu Ogólnym na wyspie Antigua ona rodzi dziecko.

Coś takiego pomyślał Hannah.

Słyszał tylko, jak wymieniano jej imię.

Nie widział jej zdjęcia.

Biali rodzice też mogą mieszkać na Tortoli.

Czy ona jest...

jak by to powiedzieć...

Czarna?

huknął Drake.

Tak, oczywiście jest czarna.

Duża, tłusta czarna dziewczucha.

W takich gustował sir Marston.

I lady Moberley o tym wiedziała pomyślał Hannah.

Biedna, wyblakła lady Moberley, wpędzona w pijaństwo przez te wszystkie lata w tro pikach i tubylcze dziewczyny.

Pewnie pogodziła się z losem.

A może nie, może tym razem została doprowadzona do ostateczności?

Ma pan lekki akcent amerykański powiedział Hannah przy wyjściu.
Można wiedzieć dlaczego?

361 .

□

W Ameryce jest dużo uczelni teologicznych dla baptystów od parł wielebny Drake.
Tam się kształciłem na księdza.

Hannah pojechał z powrotem do Domu Rządowego.

Po drodze roz ważał listę podejrzanych.

Porucznik Jeremy Haverstock z pewnością umiałby posłużyć się bro nią,
gdyby ją zdobył, ale nie miał wyraźnego motywu.
Chyba że to on jest ojcem dziecka Myrtle, gubernator zaś groził, że złamie mu
karierę.

Lady Moberley doprowadzona do ostateczności.

Bardzo silny motyw, lecz potrzebowałyby współnika, który rozerwał stalową
kłódkę.

A może posłużyła się linką przyczepioną do samochodu?

Wielebny Drake, pomimo zapewnień, że pokojowy z niego człowiek.

Miłośnik pokoju też może kiedyś mieć dosyć.

Przypomniał sobie radę lady Coltrane, by przyjrzeć się otoczeniu dwóch
kandydatów w wyborach.

Tak, trzeba to zrobić, musi dobrze się przyjrzeć tym pomocnikom.

Ale gdzie tu jakiś motyw?

Sir Marston grał na ich korzyść, dążąc do przyznania wyspom niepodległości z
jednym z nich w roli premiera.

Chyba że jedni podejrzewali go o stronnictwo i sprzyjanie rywalom...

W Domu Rządowym czekały go nowiny.

Główny inspektor Jones sprawdził swój rejestr broni palnej.

Tylko sześć sztuk sprawnej broni na wyspie.

Trzy sztuki znajdują się w posiadaniu niu osób, które osiadły tu po przejściu na
emeryturę: dwóch Brytyjczyków i Kanadyjczyka.

Strzelby "dwunastki" używane do polowań na gli niane kaczki na strzelnicy.

Jeden karabin w posiadaniu rybaka, J immyego Dobbsa, trzymany na rekiny, gdyby
potwory zaatakowały jego łódź.

Je den pamiątkowy pistolet, nigdy nie użyty, należący do Amerykanki osia dżej na
Sunshine.

Broń spoczywa w gablotce pod szkłem z nie naruszo ną pieczęcią.

I jego własny pistolet, trzymany pod kluczem na posterunku policji.

Cholera mruknał Hannah.

Czyli użyto broni zdobytej nie legalnie.

Śledczy Parker złożył raport o wynikach poszukiwań w ogrodzie.

Prze trząśnięto wszystko, od początku do końca i z dołu do góry.

Drugiej kuli nie ma.

Albo natrafiła na kość w ciele gubernatora i wyszła pod innym kątem, by
przelecieć nad murem ogrodu, i nie da się jej nigdy odnaleźć, albo, co bardziej
prawdopodobne, utkwiła w ciele.

Bannister miał wiadomości z Nassau.

Samolot wylądaje o czwartej, czyli za godzinę, by zabrać zwłoki na Bahamy w celu
przeprowadzenia sekcji.

Za kilka minut wylądaje tam doktor west i będzie czekał, aż ciało dostarczą do
kostnicy w Nassau.

362

Poza tym w salonie czekało na niego dwóch mężczyzn.

Hannah na kazał załatwić furgonetkę do przewiezienia zwłok na lotnisko o
czwartej.

Bannister, który tym samym samolotem miał wrócić do wysokiej Komi sji, oddalił
się wraz z inspektorem Jonesem, by wszystkiego dopilnować.

Hannah udał się więc na spotkanie ze swymi gośćmi.

Mężczyzna nazwiskiem Frank Dillon przedstawił mu się oraz wyjaśnił swój
przypadkowy wakacyjny pobyt na wyspie i równie przypadkowe spo tkanie z
Amerykaninem przy obiedzie.

Pokazał swój list polecający, któ ry Hannah przestudiował bez zbytniego
entuzjazmu.

Bannister z wyso kiej Komisji w Nassau to co innego, ale londyński urzędnik
państwowy, który przypadkiem przyjechał na wypoczynek "z dała od wszystkiego" i
wpada w sam środek dochodzenia w sprawie o morderstwo, jest tak samo
prawdopodobny, jak tygrys, co nie jada mięsa.

Potem przedstawia się Amerykanin przyznając, że też jest detektywem.

Jednak Hannah zmienił nastawienie po wysłuchaniu historii Eddiego Favara opowiedzianej przez Dillona.

Na koniec spytał: Ma pan zdjęcie tego Mendesa?

Nie przy sobie.

Można je wyciągnąć z kartotek policji w Miami?

Tak, panie nadinspektorze.

Każę im przysłać zdjęcie pańskim lu dziom w Nassau.

Dobrze, niech pan to zrobi przytaknął Hannah.

Spojrzał na zegarek.

Zlecę sprawdzenie wszystkich paszportów na trzy miesiące wstecz.

Szukamy nazwiska Mendes albo innego Latynosa, który przybył na wyspę.

Teraz muszę panów przeprosić, trzeba odstawić zwłoki na samolot do Nassau.

Czy pan może ma zamiar przeprowadzić rozmowy z obydwoma kandydatami?

zapytał McCready przy wyjściu.

Owszem odparł Hannah.

Zaraz z samego rana.

Zanim do stanę wynik sekcji.

Czy mógłbym się z panem zabrać?

spytał McCready.

Obie cuję się nie odzywać.

Ale oni w końcu są...

polityczni, nieprawdaż?

No, dobrze niechętnie zgodził się Hannah.

Zastanawiał się, dla kogo tak naprawdę pracuje ten Frank Dillon.

Po drodze na lotnisko Hannah zauważył, jak rozwiesza się na murze pierwsze z jego obwieszczeń w miejscach nie zajętych przez plakaty wyborcze obu kandydatów.

Port Plaisance całe było oblepione papierem, dosłownie wszędzie.

Oficjalne obwieszczenie, sporządzone w miejscowej drukarni pod nadzorem głównego inspektora Jonesa i opłacone z funduszy Domu

363 .

□

Rządowego, obiecywało nagrodę w wysokości tysiąca dolarów każdemu, kto zezna, kogo widział w alejce za murem około godziny siedemnastej we wtorek.

Tysiąc dolarów amerykańskich stanowiło zawrotną sumę dla prostych ludzi z Port Plaisance.

Ktoś powinien się zgłosić: świadek, który widział coś lub kogoś.

A na Sunshine wszyscy wszystkich znają...

Na lotnisku Hannah nadzorował załadunek zwłok, którym miał to warzyszyć Bannister i czterej ludzie z bahamskiego zespołu dochodzenia wego.

Bannister dopilnuje, by wszystkie pobrane próbki wysłano wieczorem nym lotem do Londynu, gdzie o świcie odbierze je specjalny samochód przysłany przez Scotland Yard i zawiezie do Laboratorium Dowodów Rzeczowych przy Home Office, do Lambeth. Nie ludził się, że próbki wiele wyjaśnią; chodziło mu przede wszystkim o drugi pocisk, który dok tor west wydobędzie dla niego w trakcie sekcji zwłok w Nassau jeszcze tego dnia wieczorem.

Ponieważ musiał być na lotnisku, opuścił więc Johnsona na Parliament Square.

Podobnie zresztą jak dziennikarze, którzy sfil mowali początek wiecu i na widok przejeżdżającego konwoju policji zwi nęli manatki i pojechali za nim na lotnisko.

McCready nie przegapił wiecu.

Siedział w tym czasie na werandzie hotelu "Quarter Deck".

Przypadkowo zgromadzony około dwustuosobowy tłum czekał na przemowę swego dobroczyńcy-filantropa.

McCready zauważył kilku męz czyn w kolorowych koszulach i ciemnych okularach, którzy wmiesza li się w tłum i rozdawali papierki i chorągiewki na patyku.

Chorągiewki nosiły barwy obrane przez kandydata: biel i błękit.

Papierki były bank notami dolarowymi.

Dokładnie dziesięć po trzeciej wjechał na plac ford fairlane, z pew nością największy samochód na wyspie, przy podium zahamował i pan Marcusjohnson sprężystym krokiem wszedł po schodkach.

Podniósł obie ręce, niczym bokser na znak zwycięstwa.

Za przykładem kolorowych ko szul przez tłum przetoczył się szmer aplauzu.

Zamachało kilka chorągwie wek.

Po kilku minutach Marcusjohnson zaczął przemówienie.

I obiecuje wam, przyjaciele, albowiem wszyscy jesteście moimi przy jaciółmi...

na brązowej twarzy rozkwitł uśmiech jak z reklamy pasty do zębów ...
gdy wreszcie zdobędziemy wolność, na te wyspy spłynie fala dobrobytu.
Będą miejsca pracy: w hotelach, w nowym ośrodku wy poczynkowym, w barach i
kawiarniach, w przemyśle przetwórstwa ryb przeznaczonych na sprzedaż w głębi
lądu; z tego wszystkiego powstanie dobrobyt.
Dochód popłynie do waszej kiesy, nie do kieszeni ludzi w da lekim Londynie...

364

Mówił przez tubę, by dotrzeć do wszystkich zgromadzonych na pla cu.
Przerwał mu ktoś, kto nie potrzebował tuby.
Z przeciwnej strony pla cu dobiegł głęboki bas, który zagłuszył przemowę
polityka.

Johnson ryknął walter Drake.

Nie chcemy cię tutaj.

Wra caj tam, skąd przybyłeś, razem ze swoją bandą.

Nagle zaległa cisza.

Oszołomiony tłum czekał, aż świat się zawali.

Nikt przedtem nie ośmielił się przerwać Johnsonowi.

Świat się nie zawalił.

Bez słowa Johnson odłożył megafon i wskoczył do swego samochodu.

Na jego polecenie kierowca ostro ruszył, a za nim drugi wóz z grupą po mocników.

Kto to był?

McCready spytał kelnera na werandzie.

To wielebny Drake, proszę pana odpowiedział kelner.

wyglą dał na zdumionego i jakby przestraszonego.

McCready zamyślił się.

Gdzieś już słyszał ten głos, równie donośny, i próbował przypomnieć sobie gdzie.
Wreszcie sobie przypomniał.

Trzy dzieści lat temu, w wojsku, obóz Catterick w Yorkshire.

Na placu apelo wym.

Poszedł do swego pokoju i wykonał zakodowany telefon do Miami.

Wielebny Walter Drake zniósł bicie w milczeniu.

Było ich czterech, a przyszli po niego jeszcze tego samego wieczoru, kiedy
wracał ze swego kościoła do domu.

Używali kijów baseballowych i obcasów.

Bili mocno, młóćąc kijami leżącego na ziemi człowieka.

Skończyli i zostawili go.

Mógł wyzionąć ducha.

Nie mieli nic przeciwko temu.

Lecz nie umarł.

Odzyskał przytomność pół godziny później i doczołgał się do naj
bliższego domu.

Przerażona rodzina wezwała natychmiast doktora Caractacusajonesa, który
zorganizował przewiezienie kaznodziei ręcznym wózkiem do swojej kliniki, gdzie
spędził resztę nocy na zszywaniu i opa trywaniu.

Desmond Hannah miał tego wieczoru telefon w trakcie kolacji.

Mu siał wracać z hotelu do Domu Rządowego, by odebrać wiadomość.

Dzwo nił z Nassau doktor west.

Słuchaj pan, ja wiem, że trupa należy przechować oświadczył specjalista
od medycyny sądowej.

Ale ten jest jak z kamienia.

Zamro żony na kość.

Miejscowi postarali się, jak mogli odparł Hannah.

Ja też się postaram stwierdził doktor.

Ale minie doba, za nim odmrozę tego klienta.

Bardzo bym prosił jak najszybciej powiedział Hannah.

Muszę mieć ten cholerny pocisk.

365 .

□

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nadinspektor śledczy Hannah postanowił najpierw przesłuchać pana Horatia
Livingstonea.

Zadzwo nił do jego domu w Shantytown o świcie i dopiero po kilku minutach polityk
podszedł do telefonu.

Tak, z przy jemnością spotka się z wysłannikiem Scotland Yardu w ciągu godziny.

Jaguara prowadził Oscar, przy nim siedział Parker.

Hannahjechał z tyłu, z Bilionem z ministerstwa.

Nie przejeżdżali przez centrum Port Plaisance, gdyż Shantytown leżało nad morzem
o trzy mile dalej, po tej samej stronie stolicy wyspy co Dom Rządowy.

forsyth Fałszerz.txt

Poczynił pan już może jakieś postępy, panie Hannah?
Pewnie moje pytanie nie brzmi zbyt fachowo zagadnął grzecznie Dillon.
Hannah nigdy nie lubił omawiać wyników dochodzenia z dyletanta mi.
Jednak ten Dillon jest przecież z Foreign Office.
Gubernator został zabity jednym strzałem z broni ciężkiego kalibru
odpowiedział.
Wygląda na to, że oddano dwa strzały.
Jeden pocisk chybił i uderzył w ścianę za jego plecami.
Odnalazłem go i wysłałem do Londynu.

Bardzo odkształcony?
spytał Dillon.
Obawiam się, że tak.
Druga kula może tkwić w ciele.
Dowiem się więcej, gdy wieczorem dostanę z Nassau wyniki sekcji zwłok.
A zabójca?
Prawdopodobnie wszedł przez furtkę w murze okalającym ogród po
rozerwaniu kłódki.
Wystrelił z odległości około trzech metrów, po tem uciekł.
Na to przynajmniej wygląda.

Jak to?
Hannah objaśnił swój pomysł, że wyrwana kłódka może stanowić wybieg w
celu odwrócenia uwagi od mordercy, który przyszedł od strony domu.
Dillon wyraził swój podziw.

Nigdy bym na to nie wpadł przyznał.
Samochód wjechał do Shantytown.
Była to osada licząca około pięć tysięcy mieszkańców.
Zabudowę stanowiły głównie przylegające do siebie domki z desek, kryte blachą
ocynkowaną.

Małe sklepiki, sprzedające warzywa i bawełniane koszulki, wtłoczyły się
między domy mieszkalne i knajpki.
Widać było wyraźnie, że terytorium należy do Livingstonea; nie dało się
zauważyć plakatów z Marcusem Johnsonem, wszędzie tylko Livingstone.

W centrum Shantytown, dokąd biegła najszerza (i jedyna) ulica,
znajdowała się ogrodzona posiadłość.
Mur wzniesiono z bloków koralow

366

ca, na teren zaś posiadłości prowadziła jedna brama na szerokość samo
chodu.

Ponad mur wystawał dach domu, jedyne piętrowego budynku w całej osadzie.
Plotka głosiła, że pan Livingstone był właścicielem wiek szości barów w
Shantytown, a od pozostałych ściągał haracz.

Jaguar zatrzymał się przy bramie i Stone zatrąbił klaksonem.
Na ulicę wylegli mieszkańcy wyspy, by popatrzeć na lśniącą limuzynę z propor
czykiem łopoczącym na prawym błotniku.
Nigdy przedtem samochód gubernatora nie zawitał do Shantytown.

W bramie otworzyło się małe okienko, czyjeś oko sprawdziło, kto trąbi,
i brama otwarła się na oścież.

Jaguar wtoczył się na zakurzone po dwórze i zatrzymał przed werandą domu.
Na dziedzińcu stali dwaj mężczyźni: jeden przy bramie, drugi przy werandzie.

Obaj mieli na sobie identyczne jasnoszare komplety safari.
Trzeci mężczyzna w takim samym stroju stał w oknie na piętrze.
Kiedy podjechał samochód, wycofał się.

Hannah, Parker i Dillon zostali wprowadzeni do największego pokoju,
umeblowanego dość tandetnie, lecz funkcjonalnie, i za parę sekund zjawił się
Horatio Livingstone.

Był potężnym grubasem, jego pucołowa ta twarz promieniała.
Wręcz tryskał dobroduszością.

Panowie, panowie, cóż za zaszczyt.
Bardzo proszę siadać.

Dał znak, by wniesiono kawę.
Rozsiadł się w szerokim fotelu, a jego małe okrągłe oczka świdrowały po kolei
trzy białe twarze naprzeciwko.
Do pokoju weszli dwaj inni mężczyźni i usiedli za plecami kandydata na premiera.
Livingstone wskazał ich gestem.

Moi dwaj współpracownicy, pan Smith i pan Brown.
Obaj skinęli głowami, lecz nie odezwali się.

Czym mogę panu służyć, inspektorze?
Jak pan się zapewne orientuje, prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania

sir Marstona Moberleya przed czterema dniami.

Z twarzy Livingstonea znikł uśmiech.

Potrząsnął głową.

To po prostu straszne . zamruczał.

Jesteśmy wszyscy gębo ko wstrząśnięci.

Był wspaniałym, wspaniałym człowiekiem.

Obawiam się, że będę musiał pana spytać, co pan robił i gdzie pan się znajdował o piątej po południu we wtorek.

Byłem tutaj, inspektorze, razem z moimi przyjaciółmi, którzy to poświadczą.

Przygotowywałem przemówienie, jakie miałem wygłosić na stępnego dnia na spotkaniu ze Stowarzyszeniem Drobnych Posiadaczy.

A pańscy współpracownicy również tu przebywali?

Wszyscy, bez wyjątku?

Absolutnie wszyscy.

Zbliżał się wieczór.

Wszyscy wróciliśmy na odpoczynek.

Tutaj, do tej siedziby.

367 .

□

Czy pańscy współpracownicy to obywatele Barclayów?

zapytał Dillon.

Hannah rzucił mu spojrzenie pełne irytacji; facet obiecał się nie odzywać.

Livingstone znów się rozpromienił.

Ach nie, niestety.

Ja i moi współobywatele mamy bardzo nikłe doświadczenie, jeśli chodzi o organizację kampanii wyborczej.

Uważałem, że potrzebna mi będzie pomoc administracyjna...

gestem podkreślił oczywistość tego stwierdzenia: bądźmy rozsądni.

Przygotowanie prze mówień, plakatów, ulotek, publicznych spotkań.

Moi współpracownicy pochodzą z Bahamów.

Chce pan zobaczyć ich paszporty?

Wszystkie spraw dzono przy wjeździe.

Hannah zapewnił, że nie ma takiej potrzeby.

Za plecami Livingstonea pan Brown zapalił grube cygaro.

Czy pan może ma jakieś podejrzenia, kto mógłby zamordować gubernatora? spytał Hannah.

A uśmiech znowu znikł z twarzy Livingstonea, który przybrał teraz bardzo poważną minę.

Panie inspektorze, gubernator udzielał nam pomocy na naszej drodze do niepodległości, do ostatecznego wyzwolenia spod władzy Imperium Brytyjskiego.

Zgodnie zresztą z polityką Londynu.

Ani z mojej strony, ani ze strony moich współpracowników nie istniał jakikolwiek motyw działania na szkodę gubernatora.

Za jego plecami pan Brown wyciągnął rękę z cygarem i długim palcem małego palca strącił z czubka wałeczek popiołu na podłogę tak, by nie oparzyć się o rozżarzony koniec cygara.

McCready był pewien, że widział już gdzieś ten gest.

Czy na dziś planuje pan jakieś publiczne wystąpienia?

zapytał cicho.

Małe czarne oczki Livingstonea zwróciły się w jego stronę.

Tak, o dwunastej będę przemawiał w dokach do braci i sióstr z osady rybackiej odparł.

Wczoraj przerwano wystąpienie panu Johnsonowi, kiedy przemawiał na Parliament Square powiedział Dillon.

Livingstone nie okazał satysfakcji z nieudanego wiecu rybaka.

To był tylko pojedynczy rozrabiaka parsknął.

Przerywanie mówcy to także przejaw demokracji zauważył Dillon.

Livingstone wpatrywał się w niego, nareszcie bez sztuczności.

Pod tłustymi polikami zagryzł zęby w gniewie.

McCready uświadomił sobie, że zna ten wyraz twarzy; tak wyglądał Idi Amin z Ugandy, kiedy mu się sprzeciwiano.

Hannah spiorunował go wzrokiem i wstał.

Nie zabieram panu już więcej czasu, panie Livingstone po wiedział.

368

Polityk znów stał się dobroniosny i odprowadził ich do drzwi.

Dwaj inni ludzie w kompletach safari zamknęli za nimi bramę.

Nowi ludzie.

Czyli jest ich siedmiu, razem z tym w oknie na górze. Wszyscy byli Mu rzynami, z wyjątkiem pana Browna, który miał znacznie jaśniejszy od cień skóry, jak Mulat; on jeden odważył się zapalić bez pytania, to on komenderował pozostałą szóstką.

Byłbym wdzięczny odezwał się Hannah już w samochodzie gdyby mnie pan pozostawił przesłuchiwanie.

Przepraszam powiedział Dillon.

Ale to dziwny człowiek, nie uważa pan?

Zastanawiam się, gdzie on spędził te lata od chwili wyjazdu jako młody chłopak aż do powrotu sześć miesięcy temu.

Nie mam pojęcia odparł Hannah.

Dopiero później, w Londynie, kiedy przemyślał wszystko jeszcze raz, zastanowiła go ta uwaga, że Livingstone opuścił wyspę jako nastolatek.

To przecież pani Coltrane po wiedziała jemu, Desmondowi Hannahowi.

O wpół do dziesiątej podjechali pod bramę posiadłości Marcusajohnsona na północnym zboczu wzgórza Sawbones.

Johnson prezentował kompletnie różny styl.

wyraźnie było widać, że to człowiek bogaty.

Jego asystent we wzorzystej plażowej koszuli i ciemnych okularach otworzył bramę z kutego żelaza i wpuścił jaguara na schludny żwirowy podjazd pod drzwi frontowe.

Na dziedzińcu pracowało dwóch ogrodników, którzy podlewali trawę, kwietniki i kwitnące krzewy geranium w glinianych donicach.

Dom był przestronny, jednopiętrowy, kryty zieloną glazurą da chówką i wszystko w nim pochodziło z importu.

Trzej Anglicy wysiedli przy ganku z kolumnami w stylu kolonialnym, wprowadzono ich do środka.

Za przewodnikiem, którym był drugi "asystent" w jaskrawej koszuli, przeszli przez rozległy salon z podłogą z marmurowych płyt, umeblowany antykami z Europy i Ameryki Łacińskiej.

Na kremowym marmurze posadzki leżały prawdziwe perskie dywany.

Marcus Johnson przyjął ich na marmurowej werandzie, gdzie stały trzcinowe krzesła.

Poniżej, w ogrodzie, wypielęgnowany trawnik rozciągał się aż do dwupółmetrowego muru.

Za murem biegła nadmorska szosa i tej jednej rzeczy Johnson nie mógł sobie kupić, żeby mieć bezpośredni dostęp do morza.

Na wodach Zatoki Teacha, poza ogrodzeniem, znajdowała się wybudowana przez niego murowana przystań.

Kołysała się tam szybka łódź motorowa "Riva 40".

Z pełnym bakiem taka "Riva" może być skawicznie dopłynąć do Bahamy.

Podczas gdy Horatio Livingstone był tłusty i niechlujny, Marcus Johnson miał sylwetkę szczupłą i elegancką.

Nosił nieskazitelny kremowy

369 .

garnitur z jedwabiu.

Rysy jego twarzy wskazywały, że jest krwi mieszanej i McCready zastanawiał się, czy on w ogóle znał swego ojca.

Pewno nie.

wychował się na Barclayach, gdzie jako chłopiec mieszkał z matką w nędznej chatce.

Ciemne, sztucznie wyprostowane włosy falowały mu się zamiast kręcić.

Dłonie zdobiły cztery złote pierścienie, a w uśmiechu szerzył doskonale białe zęby.

Zaproponował gościom do wyboru dom perignon lub kawę blue mountain.

wybrali kawę i usiedli.

Desmond Hannah zadał te same pytania dotyczące godziny piątej po południu w zeszły wtorek.

Odpowiedź była podobna.

Przemawiałem do rozentuzjanzmowanego tłumu, liczącego grubo ponad sto osób, przed kościołem anglikańskim na Parliament Square.

O piątej kończyłem właśnie moje wystąpienie.

Stamtąd przyjechałem prosto tutaj.

A pańskie...

otoczenie?

spytał Hannah, zapożyczając od pani Coltrane określenie sztabu wyborczego w kolorowych koszulach.

Wszyscy byli ze mną, co do jednego oświadczył Johnson. Dał znak dłonią i jeden z kolorowo ubranych mężczyzn dołączył do kawy. McCready zastanawiał się, dlaczego wewnątrz domu nie ma miejsc służących, skoro ogrodnicy są z Barclayów.

Mimo że weranda była zacieniona, ludzie w kolorowych koszulach nigdy nie zdejmowali ciemnych okularów.

Z punktu widzenia nadinspektora Hannah ten przerywnik był miły, lecz bezowocny.

Główny inspektor Jones mówił mu już, że kandydat Partii Dobrobytu przebywał na placu w momencie strzelaniny w Domu Rządu wym.

Inspektor osobiście oglądał wystąpienie ze schodków swojego komisariatu.

Hannah wstał zbierając się do wyjścia.

Czy dzisiaj ma pan kolejne publiczne wystąpienie?

spytał Dillon.

;

Owszem, tak.

O drugiej, na Parliament Square]

Był pan tam wczoraj o trzeciej.

Zdaje się, że ktoś panu przeszko-1 dzień...

j

Marcus Johnson był znacznie zręczniejszy od Livingstonea.

Ani śla du złości.

Wzruszył ramionami.

,

Wielebny Drake wykrzyczał parę nieuprzejmych słów.

Drobiazg.] I tak skończyłem przemowę.

Biedny Drake, ma z pewnością dobre intencje, lecz postępuje głupio.

Chciałby zostawić Barclaya w ubiegłym stule-

ciu. Przecież musi kiedyś nadejść postęp, panie Dillon, a wraz z nim

dobrobyt.

Ja mam wspaniałe plany rozwojowe dla naszych kochanych wysp.;

McCready pokiwał głową.

Turystyka pomyślał hazard, prze-] myśl, niszczenie środowiska, nieco prostytucji i co jeszcze?

370

Teraz zechcą mi panowie wybaczyć, muszę przygotować wystąpienie...

Odprowadzono ich do wyjścia i pojechali z powrotem do Domu Rządu.

Dziękuję za gościnność powiedział Dillon wysiadając.

Spo tkanie z kandydatami było niezwykle interesujące.

Zastanawiam się, gdzie Johnson zarobił tyle pieniędzy przez te lata, jak go tu nie było.

Pojęcia nie mam przyznał Hannah.

Figuruje jako przedsięwzięcie biorca.

Czy chce pan, żeby Oscar odwiózł pana do hotelu?

Nie, dziękuję.

Przejdę się.

W barze tłum dziennikarzy nadweręzał zapasy piwa.

Była jedenasta.

Nudzili się.

Już dwa dni upłynęły od momentu, kiedy kazano im pędzić na Heathrow i stamtąd na Karaiby, bo trzeba zrobić reportaż ze śledztwa o morderstwo.

Przez cały wczorajszy dzień sfilmowali, co mogli, i zrobili wywiady, z kim się dało.

Efekty były jednak dość mizerne: żadne ujęcie gubernatora wydobywanego z chłodni, gdzie leżał wraz z rybami, parę zdjęć teleobiektywem, na których Parker łązi na czworakach po ogrodzie gubernatora, zapakowany gubernator odlatuje do Nassau i klejnocik w postaci przechwałki Parkera, że znaleziono jeden pocisk. Żadnej sensacyjnej wiadomości.

McCready po raz pierwszy się z nimi zintegrował.

Nikt nie pytał, co on za jeden.

O dwunastej w dokach ma przemawiać Horatio Livingstone powiedział.

Może być ciekawie.

Nadstawili uszu.

Dlaczego?

spytał któryś.

McCready wzruszył ramionami.

Wczoraj tu, na placu, rozpędzono wiec powiedział.

Byliście wtedy na lotnisku.

Ożywili się.

Przydałyby się jakieś małe zamieszki albo przynajmniej ostra wymiana zdań. Reporterzy już szykowali w myślach znakomite ty tuły.

"Wyspa tonie w fali rozruchów" gra słów usprawiedliwiała prze sadę. Albo, gdyby Livingstonea wygwizdano, "Rajska wyspa nie chce socjalizmu".

Jedyny kłopot w tym, że jak dotychczas ludność nie wykazywała żadnego zainteresowania perspektywą niezależności od Imperium.

Dwie ekipy, które próbowały skłęcić reportaże o reakcji wyspiarzy na przyznanie niepodległości, nie były w stanie znaleźć nikogo, kto zechciałby o tym mówić.

Na widok kamer, mikrofonów i notesów ludzie po prostu

371 .

□
odchodzili.

Jednak teraz dziennikarze spakowali swój sprzęt i powędrowali w stronę doku.

McCready niespiesznie wykonał jeden telefon do brytyjskiego konsula w Miami, posługując się przenośnym radiotelefonem, który trzy miał w walizce pod łóżkiem.

Przekazał prośbę, by czarterowy samolot wylądował na Sunshine o czwartej po południu.

Planował trochę na wyrost, lecz miał nadzieję, że plan się powiedzie.

Kawalkada wioząca Livingstonea z Shantytown zajeżdżała na kwadrans przed dwunastą.

Pomocnik ryczał przez megafon:

Przyjdźcie posłuchać Horatia Livingstonea, kandydata Ludu.

Pozostali ustawili drewniane kozły z szeroką deską jako podium, na którym kandydat Ludu górowałby nad ludem.

W samo południe Horatio Livingstone wgramolił się na prowizoryczne podium.

Przemawiał do megafonu na kiju, podsuwanego mu przez mężczyznę w stroju safari. Cztery kamery telewizyjne ustawiły się dookoła tak, by ponad głowami sfilmować kandydata, a jeszcze lepiej kłótnie i przepychanki.

Kamerzysta z BSB wynajął dach kabiny na "Pannie Zatoki".

Prócz kamery miał aparat z teleobiektywem przewieszony przez ramię.

Reportażerka, Sabrina Tennant, stała obok niego.

McCready wskoczył do nich na dach.

Cześć powiedział.

Cześć odpowiedziała Sabrina Tennant.

W ogóle nie zwróciła na niego uwagi.

Słuchaj odezwał się półgłosem.

Chcesz mieć taki materiał, że kolegom oko zbieleje?

Teraz go dostrzegła.

Kamerzysta patrzył z zaciekawieniem.

Umiałbyś zrobić tym nikonem zbliżenie twarzy?

Duże zbliżenie każdej twarzy w tłumie?

zapytał McCready.

Jaśnie odparł kamerzysta.

Jak się któryś dobrze rozdziawi, I zrobię mu nawet fotkę jego migdałków.

Może byś machnął portret wszystkim facetom w ubraniach safari,:

tym pomocnikom kandydata?

zaproponował McCready.

Kamerzysta popatrzył pytająco na Sabrinę.

Skinęła głową.

Dlaczego nie?

Kamerzysta odpiął nikon i zaczął nastawiać ostrość.

;

Zaczynaj od tego bladego Murzyna, który stoi sam przy furgonetce powiedział McCready.

Mówią na niego "pan Brown".

Do czego zmierzasz?

spytała Sabrina.

Chodź do kabiny, to ci powiem.

Zeszła i McCready rozmawiał z nią przez parę minut.

372

Żartujesz powiedziała z niedowierzaniem.

Nie żartuję i chyba mogę to udowodnić.

Ale nie tutaj.

Odpowiedź czeka w Miami.

Znów mówił przez parę minut.

Gdy skończył, Sabrina Tennant wróciła na dach.

Masz wszystkich?

spytała.

Londyński kamerzysta przytaknął.

Dwanaście zbliżeń pod różnym kątem każdemu.

Jest ich siedmiu.

Dobra, teraz zrób cały wiec.

Daj mi trochę taśmy do tła i montażu.

Wiedziała, że ma już osiem kaset z "tłem", w tym obu kandydatów, stolicę wysp, plaże, palmy, lotnisko.

Sprytny montaż zrobi z tego świetny piętnastominutowy reportaż.

Potrzebowała tylko myśli przewodniej i je śli ten niepozorny facet z przepraszającym uśmiechem wie, co mówi, zdobyła rewelacyjny temat.

Jedyny problem stanowił czas.

Jej główny program reporterski szedł w magazynie "Countdown", okręcie flagowym BSB, jeśli chodzi o wydarzenia bieżące, nadawanym w Anglii punkt dwunasta w niedzielę.

Bę dzie musiała przesłać materiał przez satelitę nie później niż w sobotę o czwartej po południu, czyli jutro.

Musi w takim razie jeszcze dziś le cieć do Miami.

Zbliżała się pierwsza, zostało bardzo niewiele czasu, by wrócić do hotelu i zamówić przylot czarteru z Miami na Sunshine przed zmierzchem.

Właśnie sam lecę dziś o czwartej powiedział McCready.

Zamówiłem sobie własny samolot z Miami.

Z przyjemnością mogę cię podrzucić.

Kim ty, u diabła, jesteś?

zapytała.

Turystą na wakacjach.

Ale znam te wyspy.

I znam ludzi.

Zaufaj mi.

Cholera, nie mam wyboru pomyślała Sabrina.

Jeśli to wszystko prawda, nie można tego przepuścić.

Podeszła do swego kamerzysty, mó wiać mu, co ma robić.

Oko kamery leniwie prześlizgiwało się po twarzach w tłumie, zatrzymując się to tu, to tam.

Oparty o furgonetkę pan Brown dostrzegł skierowaną na siebie kamerę i wsiadł do środka.

Kamera to też zarejestrowała.

Główny inspektor Jones zameldował się u Desmonda Hannah po obiedzie.

Sprawdzono wszystkich przyjezdnych z ostatnich trzech miesięcy, według numerów paszportów odnotowanych na lotnisku.

Nikt nie nazy wał się Francisco Mendes ani nie odpowiadał rysopisowi Latynosa.

Hannah westchnęła.

373 .

□

Jeżeli nawet ten nieżyjący Amerykanin, Gomez, się nie mylił a tu nie ma pewności tajemniczy Mendes mógł się dawno wymknąć na tuzin sposobów.

Zawijający tu co tydzień obdrapany parowiec przywoził przypadkowych pasażerów "z drugiej wyspy", a kontrola dokumentów na przystani odbywała się sporadycznie.

Czasem przybijały jachty i stały w zatokach i lagunach przy brzegu Sunshine czy innych wysp, podczas gdy załoga i pasażerowie pluskali się w kryształowej wodzie ponad rafą koralową, dopóki znów nie złapali wiatru w żagle i nie odpłynęli.

Każdy mógł wśliznąć się na brzeg albo go opuścić.

Podejrzewał, że Mendes, którego przecież rozpoznano, a on o tym wiedział, zwyczajnie umknął z sieci.

Jeżeli w ogóle kiedyś tu przebywał.

Zadzwoił do Nassau, lecz doktor West poinformował go, że nie roz pocnie sekcji wcześniej niż koło czwartej, gdyż dopiero wówczas ciało gubernatora się rozmrozi.

Proszę o telefon natychmiast, kiedy pan znajdzie tę kulę po naglił.

Około drugiej na Parliament Square zgromadzili się jeszcze bar dziej zniechęceni dziennikarze.

Z punktu widzenia łowców sensacji po ranny wiec okazał się niewypałem.

Przemówienie pełne było znanych bredni o nacjonalizacji wszystkiego, które Brytyjczycy odrzucili już przed dziesięcioma laty.

Potencjalni wyborcy byli apatyczni.

Przy montowaniu reportażu ze świata cały ten materiał poszedłby na ścinki.

Jeżeli Hannah kogoś szybko nie zaaresztuje, można pakować manatki i wracać

kwitowali w myślach.

Dziesięć po drugiej zajechał Marcus Johnson swym długim białym kabrioletem. Miał na sobie jasnoniebieski garnitur tropikalny i rozpiętą pod szyją koszulę. Stał na skrzyni ciężarówki służącej mu za podium. Lepiej wyposażony od Livingstonea, dysponował mikrofonem i dwoma głośnikami zawieszonymi na pobliskich palmach.

:

Kiedy mówca rozpoczął wystąpienie, McCready bokiem zbliżył się do Seana Whittakera, niezależnego reportera, który ze swej bazy w Kingston; na Jamajce pisał korespondencje z całego basenu Morza Karaibskiego; dla londyńskiego "Sunday Express".

Nudne, co?

mruknął McCready.

Whittaker obrzucił go spojrzeniem.

Sieczka przyznał.

Chyba jutro wyjadę.

Whittaker sam robił zdjęcia do swoich artykułów.

Z szyi zwisała muł yashica z teleobiektywem.

374

Chcesz mieć taki materiał, że rywalom oko zbieleje?

spytał McCready.

Whittaker odwrócił się i uniósł brew.

Co ty wiesz, czego inni nie wiedzą?

Nudne to przemówienie, może lepiej pójść ze mną i więcej się

dowiedzieć...

Obaj mężczyźni przeszli przed plac do hotelu i na górę do pokoju

McCreadyego na piętrze.

Z balkonu mieli widok na cały plac.

widzisz tych pilnujących, facetów w jaskrawych koszulach i ciemnych

okularach?

spytał McCready.

Mógłbyś im zrobić stąd pełne zbliżenia twarzy?

Jasne odparł Whittaker.

Dlaczego?

Zrób, wtedy ci powiem.

Whittaker wzruszył ramionami.

Dla niego to nie pierwszyna, dostał już cynk z zupełnie nieprawdopodobnych źródeł.

Czasem wiadomość się sprawdzała, kiedy indziej nie.

Ustawił ostrość i natrzaskał dwie rolki w kolorze i dwie czarno-białe.

Potem McCready zabrał go na dół do baru, postawił piwo i mówił przez pół godziny.

Whittaker gwizdnął z podziwem.

To sprawdzone informacje?

spytał.

Tak.

Możesz to jakoś udowodnić?

Tego rodzaju tekst musi być poparty cytatami z niepodważalnych źródeł, inaczej Robin Essen, redaktor prowadzący w Londynie, nie chce go opublikować.

Nie tutaj odparł McCready.

Dowód znajduje się w Kingston.

Możesz dzisiaj lecieć, potwierdzić sprawę rano i przesłać przed czwartą.

W Londynie będzie dziewiąta wieczór.

W sam raz.

Whittaker pokręcił głową: Za późno.

Ostatni lot z Miami do Kingston jest o dziewiętnastej trzydzieści.

Musiałbym znaleźć się w Miami przed szóstą.

Z przesiadką w Nassau nie dam rady.

Właściwie to mój własny samolot odlatuje do Miami o czwartej, za siedemdziesiąt minut.

Z przyjemnością mogę zaproponować podwiezienie.

Whittaker wstał, żeby się pakować.

Kim ty jesteś, u diabła, Dillon?

spytał.

Po prostu znam te wyspy i orientuję się w tej części świata.

Prawie tak dobrze jak korespondent.

Lepiej rzucił Whittaker i wyszedł.

□

O czwartej Sabrina zjawiła się na lotnisku ze swoim kamerzystą. McCready i Whittaker już czekali.

Dziesięć po czwartej wylądowała po wietrzna taksówka z Miami.

Kiedy już miała startować, McCready zaczął się tłumaczyć:

Obawiam się, że nie będę mógł polecieć.

W ostatniej chwili tele fonowano do mnie do hotelu.

Naprawdę żałuję, ale samolot jest już opłacony.

Opłata nie podlega zwrotom.

Za późno.

W takim razie korzy stajcie.

Do widzenia i szczęśliwej drogi.

Podczas lotu Whittaker i Sabrina Tennant patrzyli na siebie podejrzliwie.

Żadne z nich słowem nie napomknęło o swojej zdobyczy ani o dalszych zamiarach.

W Miami ekipa telewizji udała się do centrum, Whittaker zaś przesiadł się na ostatni lot do Kingston.

McCready wrócił do "Quarter Decku", wydobyl przenośny telefon, zaprogramował kodowanie i zadzwonił w parę miejsc.

Najpierw do brytyjskiej wysokiej komisji w Kingston, gdzie rozmawiał z kolegą, który przyrzekł użyć swoich wpływów dla zorganizowania spotkań, o jakie chodziło.

Później do sztabu DEA w Miami, czyli do instytucji zwalczania przemytu narkotyków, gdzie miał pewien kontakt z dawnymi czasów, ponieważ międzynarodowe gangi narkotyczne miały powiązania z terrorem.

Trzecią rozmowę odbył z szefem biura CIA w Miami.

Kiedy skończył, miał pewność, że jego nowi znajomi z kręgów dziennikarskich napotkają wszelkie możliwe ułatwienia.

Tuż przed godziną szóstą pomarańczowa kula słońca schowała się na zachodzie za wyspą Dry Tortugas i zmrok, jak to zwykle bywa w tropikach, zapadł z niezwykłą szybkością.

Zmierzch trwał może kwadrans.

O szóstej zadzwonił z Nassau doktor West.

Desmond Hannah odebrał ten telefon w prywatnym gabinecie gubernatora, gdzie Bannister zainstalował bezpieczne połączenie z wysoką komisją za wielką wodą.

Ma pan kulę?

Zapytał Hannah niecierpliwie.

Bez dowodów rzeczowych jego śledztwo prowadziło donikąd.

Miał kilkoro podejrzanych, lecz żadnych świadków, nikogo wyraźnie winnego, niczyich zeznań.

Nie ma kuli dobiegł z Nassau daleki głos.

Jak to?

Przeszła na wylot oświadczył doktor medycyny sądowej.

Skoń czył pracę w kostnicy przed półgodziną i pojechał wprost do wysokiej Komisji, żeby zadzwonić.

Chce pan usłyszeć żargon lekarski, czy może po prostu?

Może lepiej po prostu powiedział Hannah.

Co się stało?

376

Pojedyncza kula weszła pomiędzy drugie i trzecie żebro z lewej strony, przebiła tkankę mięśniową dziurawiąc lewą górną komorę serca, co spowodowało natychmiastową śmierć, następnie wyszła pomiędzy żebrami od strony pleców.

Pociesz się pana to, że po drodze nie natrafiła na kość.

Szczęśliwy traf, ale się zdarza.

Jeżeli pan znajdzie pocisk, będzie nie naruszony, kompletnie żadnych odkształceń.

Nie ma odchylenia po zderzeniu z kością?

Żadnego.

Ależ to niemożliwe zaprotestował Hannah.

Ten człowiek stał plecami do ściany.

Oglądaliśmy ją, cała po cału.

Nie ma żadnego znaku, z wyjątkiem widocznego wyszczerbienia od drugiej kuli, która przeszła przez fałdę rękawa koszuli.

Szukaliśmy na zwirowej ścieżce za murem.

Badaliśmy żwir, przesiewaliśmy.

I mamy jedną, jedyną kulę, która przeszła bokiem, całkiem odkształconą przez siłę uderzenia.

No cóż, ona na pewno wyszła powiedział doktor.
To zna czy ta kula, co go zabiła.

Ktoś musiał ją ukraść.

Czy jej pęd mógł zostać wyhamowany do tego stopnia, że spadła na trawnik przed murem za plecami gubernatora?
spytał Hannah.

Jak daleko od ściany on stał?

Nie więcej niż pięć metrów odparł Hannah.

W takim razie moim zdaniem nie orzekł doktor.

Nie znam się na balistyce, ale myślę, że strzelano z pistoletu ciężkiego kalibru, z odległości ponad półtora metra od jego klatki piersiowej.

Otwory w ko szuli nie noszą śladów osmalenia prochem, rozumie pan.

Rana jest gładka i czysta, pocisk przeszedł z dużą prędkością.

Zwolnił trochę przechodząc przez ciało, ale nie na tyle, by upaść na ziemię w zasięgu trzech metrów.

Musiał uderzyć w ścianę.

Ale nie uderzył zaoponował Hannah.

Chociaż oczywiście ktoś mógł go ukraść.

Jeżeli tak było, w takim razie to któryś z domowników.

Coś jeszcze?

Niewiele.

Gdy padał strzał, ten człowiek stał twarzą do zamachow ca.

Nie odwrócił się.

Albo był niezwykle odważny pomyślał Hannah albo, co bar dziej prawdopodobne, nie wierzył własnym oczom.

Ostatnia sprawa powiedział doktor.

Kula została wystrze lona ukośnie do góry.

Zabójca kucał lub klęczał.

Jeśli dobrze oceniam odległość, strzał padł z wysokości trzech czwartych metra nad ziemią.

Cholera pomyślał Hannah kula jak nic przeleciała nad mu rem.

Albo może uderzyła w ścianę domu, ale znacznie wyżej, przy ryn nie.

Rano Parker będzie musiał zacząć od początku.

Z drabiną.

377 .

□

Podziękował doktorowi i odłożył słuchawkę.

Kompletny raport na piśmie dotrze do niego nazajutrz, pierwszym samolotem.

Parker nie miał już do pomocy zespołu dochodzeniowego z policji bahamskiej i musiał pracować sam.

Jefferson, służący, razem z ogrodni kiem trzymali drabinę, podczas gdy nieszczęsny Parker badał ścianę domu na całej wysokości, szukając śladu drugiej kuli.

Wdrapał się aż do rynny, lecz niczego nie znalazł.

Hannah zjadł śniadanie podane przez Jeffersona w salonie.

Zaglą dała tam lady Moberley, poprawiała kwiaty w wazonie, uśmiechała się niepewnie i wychodziła.

wyglądało na to, że jest jej zupełnie obojętne, czy ciało jej zmarłego męża a raczej to, co z niego zostało będzie pochowane na Sunshine czy w Anglii.

Hannah odniósł wrażenie, że ni komu nie zależało na sir Marstonie Moberleyu, od jego żony poczynszy.

Potem zorientował się, dlaczego ona jest taka radosna.

Ze srebrnej tacy z napojami zniknęła butelka wódki.

Lady Moberley po raz pierwszy od lat była szczęśliwa.

W przeciwieństwie do Desmonda Hannah.

Dreczyła go zagadka.

Im dłużej trwało bezowocne poszukiwanie kuli, tym bardziej nabierał prze świadczenia, że instynkt go nie zawodzi.

Ktoś zaatakował od wewnątrz, a stalową kłódkę w furtce wyrwał dla niepoznaki.

Ktoś zszedł po scho dach z salonu, gdzie teraz siedział Hannah, następnie

obszedł siedzące go gubernatora, który dostrzegł pistolet i zerwał się na nogi.

Po odda niu strzałów napastnik odnalazł jedną kulę wśród żwiru przy ścianie i ją zabrał.

W zapadającym zmierzchu nie udało mu się znaleźć drugiego po cisku, uciekł więc, żeby ukryć broń, zanim ktoś się pojawił.

Hannah skończył śniadanie, wyszedł przed dom i popatrzył na Petera

Parkera szperającego przy rynnie.

Jak tam idzie?

spytał.

Ani śladu odkrzyknął w dół Parker.

A Hannah wrócił pod mur i stanął plecami do stalowej furtki. Poprzedniego dnia stał tu na drewnianej skrzyni i obserwował alejkę za murem. Między piątą i szóstą po południu na drodze panował nieustanny ruch. Ludzie chodzili tędy na skróty z Port Plaisance do Shantytown, chłopcy wracali tędy z miasta do swoich domów za drzewami. W ciągu godziny w obie strony przeszło prawie trzydzieści osób. Nie było momentu, żeby ktoś nie szedł tą drogą, w jedną czy w drugą stronę. Zabójca po prostu nie mógł nadejść stamtąd nie zauważony. Dlaczego wtorkowy wieczór miał się pod tym względem różnić od innego dnia? Ktoś musiał coś widzieć. A jednak nikt się nie zgłosił w odpowiedzi na obwieszczenia. Który z mieszkańców wyrzekł by się tysiąca dolarów amerykańskich? To przecież fortuna. Wobec tego...

zabójca nadszedł z wewnątrz domu, tak jak podejrzewa.

378

Okratowane drzwi frontowe rezydencji były już o tej porze zamknięte. Zatrzaśkiwały się automatycznie od wewnątrz. Gdyby ktoś zadzwonił, Jefferson poszedłby otworzyć. Nikt nie mógłby po prostu przejść przez bramę, potem żwirowym podjazdem do frontowych drzwi, przez korytarz do salonu i dalej po schodkach aż do ogrodu. Żaden przypadkowy intrygant; zamknięte drzwi by go zatrzymały. Okna na parterze miały kraty w stylu hiszpańskim. Innej drogi do środka nie było. Chyba że ktoś wy sportowany przesadził mur ogrodu i opadł na trawę... Niewykluczone.

Ale znów jak miałyby wyjść?

Przez dom?

Duża szansa, że ktoś go zobaczy.

Z powrotem przez mur?

Został drobiazgowo zbadany w poszukiwaniu śladów wspinaczki, zresztą na szczycie miał potłuczone szkło.

Przez furtkę uprzednio otwartą?

Znów ryzyko, że ktoś zauważy.

Nie, to wygląda na działanie od wewnątrz.

Oscar Stone, szofer, świadczył za panią Moberley, która pojechała do kliniki dziecięcej.

Zostaje zatem nie szkodliwy stary Jefferson albo młody Haverstock z Gwardii Królewskich Dragonów.

Jeszcze jeden skandal z półświatka białych, jak afera kenijska przed wojną albo zabójstwo sir Henry'ego Oakesa?

Zabójca działał sam, czy wszyscy są zamieszani?

Jaki motyw?

Nienawiść, żądza, chciwość, zemsta, terror polityczny czy groźba zrujnowanej kariery?

A co ze śmiercią Gomeza?

Czy on naprawdę widział na Sunshine południowoamerykańskiego płatnego mordercę?

Jeżeli tak, to gdzie tu pasuje Mendes?

Hannah stanął plecami do stalowej furtki, zrobił dwa kroki w przód i uklęknął.

Jeszcze za wysoko.

Położył się na brzuchu i uniósł na łokciach, oczy na wysokości trzech czwartych metra nad chodnikiem.

Patrzył na miejsce, gdzie znalazłby się sir Marston, gdyby wstał z fotela i zrobił jeden krok do przodu.

Po chwili zerwał się i puścił biegiem.

Parker zawołał.

Złaz z tej drabiny i chodź tutaj!

Parker o mało nie zleciał, tak głośny był jego krzyk.

Nigdy nie widział flegmatycznego Hannah'a w takim poruszeniu.

Zszedł na taras i po

schodkach do ogrodu..

Stań tutaj nakazał Hannah wskazując miejsce na trawie.

Ile masz wzrostu?

Metr siedemdziesiąt sześć, panie nadinspektorze.

Mało.

Idź do biblioteki i przynieś parę książek.

Gubernator miał metr osiemdziesiąt osiem.

Jefferson, przynieś mi miotłę.

Jefferson wzruszył ramionami.

Jeżeli biały policjant chce zamieść podwórko, to jego sprawa.

Poszedł po szczotkę.

Hannah kazał Parkerowi stanąć na czterech książkach w miejscu, gdzie stał sir Marston.

379 .

□

Kucnąwszy na trawie wymierzył kijem od szczotki niczym strzelbą w pierś Parkera. Kij biegł w górę pod kątem dwudziestu stopni.

Przesuń się w bok.

Parker tak zrobił i spadł ze sterty książek.

Hannah wstał i podszedł do schodów, które przy ścianie biegły na taras, wznosząc się od lewej do prawej.

Ciągle tam wisiał, na pałaku z kutego żelaza, tak samo jak przez cztery poprzednie dni i jeszcze wcześniej.

Druciany kosz wypełniony zie mią, z którego zwisały jaskrawe kwiaty geranium.

Pęki kwiatów tak gę ste, że przesłaniały koszyk, z którego zwisały.

Kiedy policjanci dokony wali oględzin ściany, musieli odgarniać z twarzy pęki kwiatów.

Proszę zdjąć ten kosz powiedział Hannah do ogrodnika.

Parker, przynieś zestaw, Jefferson, poproszę prześcieradło.

Ogrodnik jęknął na widok swego dzieła rozwleczonego po całym

prześcieradle.

Hannah brał kolejne łodygi i otrzepywał im korzonki z ziemi przed odłożeniem na bok.

Kiedy została mu ostatnia grudka zie mi, zaczął ją rozdrabniać na mniejsze za pomocą drewnianej łopatki.

I znalazł.

Kula nie tylko przeszła nie naruszona przez ciało gubernatora, nie dotknęła także drucianej siatki kosza.

Przeszła przez oko siatki i utkwiała pośrodku grudy ziemi.

Była w doskonałym stanie.

Hannah za pomocą szczypczyków umieścił ją w przezroczystej torebce, zawiązał szczelnie i wrzucił do zakręcanego słoika.

Poderwał się z klęczek i wstał.

Dziś wieczorem, chłopcze zwrócił się do Parkera lecisz z po wrotem do Londynu.

Razem z tym.

Alan Mitchell popracuje nad tym dla mnie przez niedzielę.

Mam pocisk.

Wkrótce będę miał narzędzie zbrod ni.

Wtedy mamy mordercę.

Nie miał nic więcej do roboty w Domu Rządowym.

Poprosił, żeby Oscar go zawiózł do hotelu.

Czekając na szofera stanął w oknie salonu i ponad murem ogrodu spojrzął w stronę Port Plaisance, kołysanych wia trem palm i połyskującego morza w oddali.

Wyspa przysypiała w sennym upale późnego ranka.

Przysypiała, czy raczej spiskowała?

To nie jest żaden raj pomyślał.

To cholerna beczka prochu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W mieście Kingston z rana Sean Whittaker został bardzo niezwykle potraktowany.

Przyleciał późno i zaraz pojechał do swego mieszkania.

Nazajutrz, tuż po siódmej rano rozległ się pierwszy telefon.

Głos brzmiał z amerykańska.

380

Dzień dobry panu, mam nadzieję, że nie obudziłem?

Ależ skąd.

A kto mówi?

Nazywam się Milton.

Po prostu Milton.

Sądzę, że ma pan jakieś zdjęcia, które może zechciałby pan mi pokazać?

To zależy, komu pokazuję powiedział Whittaker.

w słuchawce odezwał się cichy śmiech.

Może byśmy się spotkali?

Milton wyznaczył spotkanie w miejscu publicznym, godzinę później. Amerykanin nie wyglądał na szefa filii DEA w Kingston. W sportowym stroju, wyglądał raczej na młodego naukowca z uniwersytetu.

Proszę mi wybaczyć powiedział whittaker ale czy mógłby mi pan przedstawić jakiegokolwiek referencje?

Zabierzmy się moim samochodem rzekł Milton.

Podjechali pod ambasadę amerykańską.

Milton miał swój sztab poza ambasadą, lecz wpuszczono go również do środka. Pokazał swoją legitymację komandosowi przy pulpicie i poprowadził korytarzem do wolnego pokoju.

W porządku powiedział whittaker.

Jest pan amerykańskim dyplomatą.

Milton nie protestował.

Uśmiechnął się i poprosił whittakera o pokazanie zdjęć.

Obejrzał wszystkie, lecz jedno na dłużej przykuło jego uwagę.

Proszę, proszę powiedział.

A więc tu się odnalazł.

Otworzył swój neseser i wyjął kilka teczek, wybierając jedną z nich.

Zdjęcie na pierwszej stronie dossier pochodziło sprzed kilku lat; teleobiektywem sfotografowano twarz za firanką.

Tę samą twarz przedstawiało nowe zdjęcie leżące na biurku.

Chce pan wiedzieć, kto to taki?

zapytał whittakera.

Pytanie było niepotrzebne.

Brytyjski reporter porównał zdjęcia i przytaknął.

No to zacznijmy od początku orzekł Milton i odczytał za wartość teczek.

Nie wszystko, ale wystarczająco dużo.

Whittaker notował w pośpiechu.

Człowiek z agencji do zwalczania handlu narkotykami był dokłądny.

Podał dane dotyczące kariery zawodowej, odbytych spotkań, otwarcia kont bankowych, przeprowadzonych operacji, używanych pseudonimów, dokonanych przetrzutów i transferu zysków na czysto.

Gdy skończył, whittaker poprawił się na krześle.

Mocna rzecz powiedział.

Mogę się powołać na pana?

Ja bym się nie powoływał na pana Milтона odparł Amerykanin.

"Wysoko postawione źródło w DEA" powinno wystarczyć.

3csl .

□

Odprowadził whittakera z powrotem do głównego wejścia.

Na schodach rzucił propozycję:

Może by pan odwiedził Główną Kwaterę Policji w Kingston i pokazać resztę zdjęć?

Może się okazać, że czekają tam na pana.

W siedzibie policji oszołomionego whittakera zaprowadzono wprost do biura komisarza Fostera, który siedział sam w swoim dużym klimacie zwanym gabinetem z widokiem na centrum Kingston.

Po przywitaniu się z whittakerem komisarz wcisnął interkom i poprosił, żeby wstąpił do niego komendant Grey.

Szef wydziału kryminalnego dołączył do nich po paru minutach.

Przyniósł z sobą plik teczek.

Dwaj Jamajczycy przestudiowali zrobione przez whittakera zdjęcia ośmiu goryli w kolorowych koszulkach.

Mimo że twarze przesłaniały im okulary, komendant Grey się nie wahał.

Otwierał kolejne tecki, podając dane jednego za drugim.

Whittaker skwapliwie notował.

Czy mogę zacytować panów jako źródło informacji?

spytał.

Oczywiście odparł komisarz.

Oni wszyscy to notowani kryminaliści.

Trzech poszukujemy listem gończym.

Może pan mnie cytować.

Niczego nie ukrywamy.

Nasze spotkanie jest w rozkładzie dnia.

Do południa whittaker zdążył napisać tekst.

Przetrasmitował zdjęcia i komentarz do Londynu jak zwykle, po czym odbył długą rozmowę, gdy zadzwonił do niego redaktor działu wydarzeń i zapewnił, że naza

jutrz tekst się ukaże.

Przynajmniej raz nikt nie zakwestionuje mu kosztów podróży, nie tym razem.

W Miami Sabrina Tennant, zgodnie ze wskazówkami z poprzedniego dnia, zatrzymała się w hotelu "Sonesta Beach" i w sobotę tuż przed ósmą rano odebrała telefon.

Umówiła się na spotkanie w biurówcu w centrum Miami.

Nie była to kwatera główna CIA w Miami, ale jeden z bezpiecznych budynków. Wprowadzono ją do biura, tam przywitał ją mężczyzna i poprowadził do sali projekcyjnej, gdzie jej trzy taśmy zostały wyświetlone na ekranie w obecności siedzących w półmroku dwóch innych mężczyzn, którzy się nie przedstawili i milczeli przez cały czas.

Po obejrzeniu materiału filmowego panią Tennant zaprowadzono z powrotem do pokoju biurowego, poczęstowano kawą i zostawiono na chwilę samą. Kiedy wrócił pierwszy z urzędników, najpierw kazał się na żywo imieniem Bm, potem poprosił o zdjęcia robione teleobiektywem podczas wczorajszego wieczoru w dokach.

Filmując na taśmie kamerzysta nie koncentrował się na ochroniarzach Horatia Livingstonea, dlatego występowali jako postacie drugoplanowe.

Na zdjęciach zaś widniały zbliżenia ich twarzy.

Bili otworzył kilka teczek i pokazał jej parę innych zdjęć tych samych mężczyzn.

382

Ten tutaj, przy furgonetce.

Jak on się nazywał?

Pan Brown odpowiedział, na co Bili się roześmiał.

Wie pani, jak jest "Brown" po hiszpańsku?

spytał.

Nie.

Moreno.

W tym przypadku Hernan Moreno.

Telewizja to optyczny środek przekazu powiedziała.

Zdjęć ci mówią same za siebie.

Czy mogę dostać te pańskie odbitki, żeby porównać z moimi?

Już robimy kopie odparł Bili i wymieniamy się zdjęciami.

Jej kamerzysta musiał zostać w taksówce przed wejściem.

Zrobił chyłkiem parę zdjęć biurówca.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Myślał, że fotografuje siedzibę CIA.

Mylił się.

Po powrocie do hotelu "Sonesta Beach" Sabrina rozłożyła zdjęcia własne i te otrzymane na dużym stole w wynajętej sali bankietowej i kamerzysta wszystkie je sfilmował.

Panna Tennant wygłosiła komentarz przed kamerą na tle ścian sali z powieszonym zdjęciem prezydenta Busha, które wypożyczyli od kierownika hotelu.

Wystarczy, żeby wywołać wrażenie reportażu z wnętrza w samym sercu siedziby CIA.

Trochę później tego samego ranka znaleźli pustą zatoczkę, do której prowadził piaszczysty zjazd z autostrady US Highway One i Sabrina Tennant jeszcze raz zrobiła wejście przed kamerą, na tle białego piasku, kołyszących się palm i błękitu nieba, czyli niby to na plaży wyspy Sunshine.

W południe puściła cały swój materiał przez satelitę do BSB w Londynie. Odbyła też długą rozmowę z redaktorem wydarzeń bieżących, a w tym czasie montażyści zajęli się nadesłanym materiałem.

Powstał z tego pięć nastominutowy reportaż, który sprawiał wrażenie, że filmowano go z wyjątkowym zamierzeniem, przyświecała mu zaś idea aktywnego, demaskatorskiego dziennikarstwa.

Redaktor zmienił kolejność programów w niedzielnym południowym wydaniu magazynu "Countdown" i zadzwonił do niej na Florydę.

To będzie bomba powiedziała.

Dobra robota, złotko.

McCready też nie próżnował.

Poranek spędził przy przenośnym telefonie, na rozmowach z Londynem i Waszyngtonem.

W Londynie odnalazł dyrektora Regimentu Służb Specjalnych stacjonującego w koszarach księcia Yorku przy Kings Road w dzielnicy Chelsea. Opalony młody generał wysłuchał prośby McCreadyego.

W zasadzie mam odpowiedzieć.

Dwóch prowadzi w tej chwili szkolenie w Fort Bragg.

Będę musiał wyrobić im przepustki.

383 .

□

Nie ma na to czasu powiedział McCready.
Słuchaj, czy im się nie należy zaległy urlop?
Zdaje się, że tak przyznał dyrektor.
Świetnie.

W takim razie proponuję im trzy dni turystyki i wypo czynku na słonecznej plaży.
Propozycja nie do przebicia.

Sam, z siebie jest podstępny stary skurczybyk oświadczył ge nerał.
Zobaczę, co się da zrobić.

Ale oni będą na urlopie, dobra?
Opalają się i nic poza tym.

Porzuć wszelkie podejrzenia odparł McCready.

Do Bożego Narodzenia brakowało jeszcze tylko siedem dni i miesz kańcy
Port Plaisance po południu czynili przygotowania do świąt.

Mimo panującego upału wiele wystaw sklepowych dekorowano podo biznami
ptaszków rudzików, gałązek ostrokrzewu, nadpalonych po lan z kominka i śniegiem
ze styropianu.

Bardzo niewiele wyspiarzy wi działo w życiu rudzika albo krzak ostrokrzewu, nie
mówiąc już o śniegu, lecz brytyjska tradycja wiktoriańska od dawna gło siła, że
Jezus narodził się w takim właśnie otoczeniu, wobec czego wszystkie te elementy
stały się nieodzowną częścią bożonarodzeniowych dekoracji.

Przed kościołem anglikańskim pastor Ouince, wspomagany przez gromadkę
gorliwych dziewczynek, przystrajał szopkę ze słomianym dasz kiem.

Na sianie leżała plastikowa laleczka i dzieci ustawiały wokół figur ki wołów,
owiec, osiołków i pasterzy.

Na skraju miasteczka wielebny Drake prowadził próbę chóru śpiewa jącego
kolędy.

Jego głęboki bas załamywał się momentami.

Pod czarną koszulą tors ciasno spowijały mu bandaże nałożone przez doktora
Jonesa, żeby ulżyć pękniętym zębom, i chwilami nie mógł wydobyć głosu, jakby
tracił oddech.

Jego parafianie rzucali sobie znaczące spojrzenia.

Wszyscy wiedzieli, co mu się przydarzyło we czwartek wieczorem.

W Port Plaisance nic nie pozostawało długo tajemnicą.

O trzeciej na Parliament Square wjechała rozklekotana furgonetka.

Zza kierownicy podniosła się ogromna postać Firestonea.

Przeszedł do tyłu, otworzył drzwi i wystawił stamtąd panią Coltrane razem z jej
wóz kiem inwalidzkim.

Powoli popychał ją wzdłuż ulicy Głównej, gdzie wy brała się po zakupy.

W pobliżu nie było dziennikarzy.

Większość z nu dów poszła popływać w morzu.

Posuwała się naprzód powoli, zatrzymywana niezliczonymi pozdrowie niami.
Na każde odpowiadała, zwracając się do sklepikarzy i przechod niów po imieniu;
zawsze pamiętała, jak się kto nazywa.

384

Dzień dobry, pani Coltrane.

Dzień dobry, Jasper, witaj, Simonie, dzień dobry, Emmanuelu...

Pytała o żony i dzieci, gratulowała radosnemu ojcu oczekującemu potomka,
współczuła, bo ktoś złamał rękę.

Robiła przy tym swoje zwykłe zakupy i sklepikarze wynosili dla niej towar na
próg, żeby wybrała.

Płaciła z małej portmonetki trzymanej na kolanach, a z dużej torby
rozdawała nieprzebrane zapasy cukierków wśród dzieciarni, która zaofe rowała się
ponieść jej torby z zakupami w nadziei na dokładkę.

Kupiła świeże owoce i warzywa, naftę do lamp, zapałki, zioła, przy
prawy, mięso i oliwę.

Wzdłuż rzędu sklepików dotarła wreszcie do nabrze za, gdzie kupiła dwie ryby i
ruchliwego homara, którego złowiono na zamówienie hotelu "Quarter Deck".

Pani Coltrane zawsze dostawała, co chciała.

Bez sprzeciwu.

"Quarter Deck" tym razem otrzyma krewetki i sko rupiaki.

Po powrocie na Parliament Square napotkała nadinspektora śledcze go
Hannaha schodzącego po schodach.

Towarzyszyli mu śledczy Parker i Amerykanin nazwiskiem Favaro.

wybierali się na lotnisko, bo o czwar tej miał lądować samolot z Nassau.

Pozdrowiła ich wszystkich, chociaż dwóch widziała po raz pierwszy.

Potem Firestone ją podniósł, umieścił razem z wózkiem i zakupami z tyłu
furgonetki i odjechał.

Kto to był?
zapytał Favaro.

Starsza pani, co mieszka na wzgórzu odparł Hannah.
To ja chyba o niej słyshałem pochwalił się Parker.
Ona podobno wie wszystko o tej wyspie.

Hannah zmarszczył brwi.
Teraz, gdy jego śledztwo traciło swój im pet, wielokrotnie już przychodziło mu do głowy, że pani Coltrane może wiedzieć coś więcej o tym, kto s.trzelał we wtorek wieczorem.

Jednak jej sugestia na temat otoczenia obydwu kandydatów była trafna.
Widział się z nimi i jego instynkt policjanta podpowiadał mu, że to niezłe ptaszki.

Gdyby tylko mieli jakiś motyw...

Krótkodystansowa awionetka z Nassau wylądowała parę minut po czwartej.
Pilot miał przesyłkę z wydziału Policji Metro-Dade dla niej kiego pana Favaro.
Policjant z Miami wylegitymował się i zabrał koper tę.

Parker ze słoiczkiem zawierającym bardzo ważny pocisk wsiadł do samolotu.

Jutro rano na Heathrow będzie czekał samochód powiedział Hannah.
Stamtąd prosto do Lambeth.

Chcę, żeby Alan Mitchell za jął się tą kulą jak najszybciej.

Kiedy samolot wystartował, Favaro pokazał zdjęcia Francisca Mendesa alias Skorpiona.

Brytyjski detektyw im się przyjrzał.

Ogółem było ich

385 .

□

dziesięć; przedstawiały szczupłego, ponurego mężczyznę z zaczesanymi do tyłu włosami, o wąskich ustach bez wyrazu.

Oczy patrzyły w obiektyw z zimną obojętnością.

wygląda na kawał skurwiela przyznał Hannah.

Pokażmy je inspektorowi Jonesowi.

Szef Barclayskiej policji siedział w swoim gabinecie przy Parliament Square.

Z otwartych drzwi anglikańskiego kościoła dobiegały dźwięki kolędy, z otwartego baru "Ouarter Decku" zaś głośne wybuchy śmiechu.

Wrócili dziennikarze.

Jones pokręcił głową.

Nie, nigdy go nie widziałem.

Tu go nie było.

Wątpię, żeby Julio się pomylił rzucił Favaro.

Siedzieliśmy naprzeciw tego człowieka cztery doby.

Hannah był skłonny się zgodzić.

Może szuka w złym miejscu, w Domu Rządowym.

Może jednak dokonał tego pŁatny morderca.

Ale dlaczego?

...

Czy mógłby pan to rozprowadzić?

Pokazać różnym ludziom.

Wi dziano go ponoć w barze "Ouarter Decku" w zeszły czwartek.

Może ktoś jeszcze go widział.

Barman, inni klienci z tamtego wieczoru.

Czy ktoś widział, dokąd poszedł, albo spotkał go w innym barze...

wie pan, o co chodzi.

Główny inspektor Jones kiwnął głową.

Zna swój teren.

Pokaże zdję cie, komu trzeba.

O zachodzie sŁońca Hannah sprawdził czas.

Parker doleciał do Nassau przed godziną.

Teraz pewnie się przesiada na nocny lot do Londy nu.

Osiem godzin w powietrzu plus pięć godzin różnicy czasu, czyli rano powinien

lądować o siódmej z minutami czasu londyńskiego.

Alan Mitchell, wybitny naukowiec kierujący Laboratorium Balistycznym

Home Office w Lambeth, zgodził się poświęcić niedzielę na bada nie kuli.

Poddają wszelkim znanym testom i zadzwoni po południu do nadinspektora Hannah z wynikami.

Wtedy Hannah będzie wiedział, jakiej broni szukać.

Ma lepsze szansę.

Ktoś na pewno widział pistolet, którego użyto.

Przecież to taka mała społeczność.

Przeszkodzone mu podczas kolacji.

Telefon z Nassau.

Start niestety przełożono o godzinę oznajmił Parker.

Le cimy za dziesięć minut.

Pomyślałem, że pan zechce zawiadomić Londyn.

Hannah spojrział na zegarek.

Wpół do ósmej.

Zaklął, odłożył słuchawkę i wrócił do swojej zapiekanej ryby.

wystygła.

O dziesiątej sączył przy barze ostatni kieliszek przed pójściem spać, kiedy zadzwonił telefon.

Strasznie mi przykro powiedział Parker.

Gdzie jesteś, do cholery?

ryknął Hannah.

386

W Nassau, szefie.

Widzi pan, wystartowaliśmy o wpół do ósmej, przelecieliśmy czterdzieści pięć minut nad morzem i wtedy wyskoczyła drobna usterka w silniku, więc zawróciliśmy. Mechanicy już ją naprawia ją.

To nie potrwa długo.

Zadzwoń do mnie tuż przed startem zażądał Hannah.

Po dam do Londynu zmieniony czas lądowania.

Obudzono go o trzeciej nad ranem.

Mechanicy naprawili usterkę oznajmił Parker.

To był prze rwany przewód od kontrolnego światełka zewnętrznego silnika po lewej.

Parker zaczął Hannah wolno i dobitnie nic mnie to nie obchodzi, dla mnie drugi pilot mógł naszczać do baku.

Naprawione?

Tak jest.

Więc zaraz lecisz?

No...

niezupełnie.

Widzi pan, zanim dolecimy do Londynu, za łoga przekroczy swój limit godzin bez wypoczynku.

Dlatego nie mogą lecieć.

A co ze zmiennikami?

Tymi, co przylecieli tym samolotem wczoraj po południu, dwanaście godzin temu? Chyba już odpoczęli?

Tak, szefie, nawet ich odszukano.

Ale oni myśleli, że mają postój trzydziestosześcigodzinny.

Pierwszy oficer poszedł do kumpla na wie czór kawalerski.

Też nie może lecieć.

Hannah wygłosił uwagę na temat najpopularniejszych linii lotniczych na świecie.

Gdyby słyszał ją prezes, Lord King, z pewnością zgłosiłby zde cydowany sprzeciw.

Wobec tego co będzie?

spytał Hannah.

Musimy czekać, aż załoga wypocznie.

Wtedy polecimy dobiegł go głos z Nassau.

Hannah wstał i wyszedł.

Nie było taksówek ani Oscara.

Na piechotę dotarł do Domu Rządowego, obudził Jeffersona i został wpuszczony do środka.

W wilgoci nocy spocił się jak mysz.

Połączył się ze Scotland Yardem i wziął prywatny numer Mitchella.

Zadzwoił, by uprzedzić naukowca.

Lecz ten wyjechał do Lambeth przed dziesięcioma minutami.

Była czwarta rano na Sunshine, dziewiąta w Londynie.

Odczekał godzinę, zanim mógł zastać Mitchella w laboratorium i powiedzieć mu, że Parker przyleci dopiero wczesnym wieczorem.

Alan Mitchell nie był zachwycony.

Musiał z powrotem jechać kawał drogi do West Malling w hrabstwie Kent, w słotny grudniowy dzień.

Parker zadzwonił znowu, w niedzielę koło południa.

Hannah zabijał czas przy barze w "Quarter Decku".

Tak odezwał się znużonym tonem.

□

W porządku, szefie, załoga wypoczęła.
Mogą lecieć.

To świetnie odparł Hannah.

Popatrzył na zegarek.

Osiem godzin w powietrzu plus pięć różnicy czasu.

Jeżeli Alan Mitchell zgodzi się pracować w nocy, zdoła przekazać wynik na Sunshine

w poniedziałek przed śniadaniem.

Więc zaraz startujecie?

spytał Hannah.

No...

niezupełnie przyznał Parker.

Widzi pan, gdybyśmy teraz lecieli, lądowanie na Heathrow odbyłoby się po pierwszej w nocy.

To jest niedozwolone.

Cisza nocna, niestety.

To co, u diabła, zrobicie?

Ten normalny czas startu stąd to godzina osiemnasta z minuta mi, lądowanie na Heathrow koło siódmej.

W takim układzie oni wracają do czasu z rozkładu.

Ale przecież wtedy dwa jumbo jęty startują naraz!

zdziwił się Hannah.

Tak, szefie.

Ale nie ma obawy.

Obydwa będą pełne i linie lotnicze nie poniosą strat.

To Bogu dzięki warknął Hannah i odłożył słuchawkę.

Dwadzieścia cztery godziny pomyślał.

Cała pieprzona doba.

W życiu są trzy rzeczy, na które nie można nic poradzić: śmierć, podatki i linie lotnicze.

Po schodkach do hotelu szedł Dillon z dwoma młodymi, dobrze zbudowanymi mężczyznami.

Pewnie są w jego guście pomyślał Hannah zło śliwie ministerialny bubek.

Nie był w zbyt dobrym nastroju.

Z drugiej strony placu po skończonej mszy wysypała się z kościoła trzódka parafian pastora Quincea mężczyźni w schludnych ciemnych garniturach, kobiety wystrojone niczym ptaki o jaskrawym upierzeniu;

dłońmi w białych rękawiczkach ścisnęły książeczki do nabożeństwa, a na słomkowych kapeluszach kołysały im się przybrania ze sztucznych kwiatów i owoców.

Właściwie zwyczajna niedziela na Sunshine.

Na Wyspach Brytyjskich niedziela nie upłynęła tak spokojnie.

W Chequers, wiejskiej rezydencji premierów wielkiej Brytanii, znajdującej się na pofałdowanym obszarze tysiąca dwustu akrów w Buckinghamshire, pani Thatcher wstała jak zwykle wcześniej i zdążyła przekopać się przez cztery czerwone skoroszyty dokumentów państwowych, zanim zasiadła z Denitem Thatcherem do śniadania przy wesołym blasku kominka.

Kiedy skończyła posiłek, rozległo się pukanie do drzwi i wszedł jej sekretarz prasowy, Bernard Ingham.

Trzymał w ręku "Sunday Express".

Sądziłem, że to panią zainteresuje, pani premier.

388

Kto się tym razem na mnie uwziął?

zapytała pogodnie.

Nikt odparł sekretarz z nastroszonymi brwiami.

To o Ka raibach.

Przeczytała duży tekst w środku numeru i zmarszczyła czoło.

Były tam zdjęcia: Marcus Johnson na wiecu w Port Plaisance, a obok widziany przed paroma laty przez prześwit w firance.

Były też zdjęcia jego ośmiu ochroniarzy wszystkie robiono w piątek na Parliament Square i obok ich odpowiedniki pochodzące z archiwum policji w Kingston.

Dużą część komentarza zajmowały obszernie wypowiedzi "wysoko postawione go źródła w DEA" oraz komisarza Fostera z jamajskiej policji.

Ależ to zgroza powiedziała pani premier.

Muszę porozmawiać z Douglasem.

Udała się wprost do swego gabinetu i zadzwoniła do Douglasa.

Sekretarz Stanu Jej Królewskiej Mości do spraw zagranicznych, pan Douglas Hurd, przebywał wraz z rodziną w swej oficjalnej wiejskiej rezydencji, w pewnej posiadłości zwanej Chevening, położonej w hrabstwie Kent. Przejrzał już "Sunday Times", "Observera" i "Sunday Telegraph", lecz nie sięgnął jeszcze po "Sunday Express".

Nie, Margaret, jeszcze nie czytałem przyznał.

Ale mam tu pod ręką.

Zaczekam przy telefonie powiedziała pani premier.

Sekretarz do spraw zagranicznych, który przedtem zdobył rozgłos jako pisarz, umiał docenić dobrze napisany artykuł.

Ten tekst był znakomicie podbudowany faktami.

Tak, zgadzam się, to haniebne, jeśli jest prawdą.

Dobrze, Marga ret, jeszcze przed południem się za to wezmę, niech Departament Kara ibów wszystko sprawdzi.

Lecz urzędnicy państwowi też są tylko ludźmi, choć społeczeństwo nie zawsze o tym pamięta.

Mają żony, dzieci, dom.

Na pięć dni przed świętami parlament miał przerwę w obradach i nawet ministerstwa pracowały przy niepełnej obsadzie stanowisk.

Jednak ktoś musiał tam dyżurować, żeby zająć się sprawą mianowania nowego gubernatora na Nowy Rok.

Pani Thatcher z rodziną udała się na poranną mszę do Ellesborough i wróciła po dwunastej.

O pierwszej zasiadła do obiadu w towarzystwie przyjaciół.

Był wśród nich Bernard Ingham.

Magazyn "Countdown" oglądał jej polityczny doradca Charles Powell.

Lubił ten program.

Dawali tam czasem dobre reportaże z zagranicy, on zaś jako były dyplomata specjalizował się w polityce zagranicznej.

Kiedy zobaczył tytuły i wzmiankę o skandalu na Karaibach, wcisnął guzik na grywania w magnetowidzie pod telewizorem.

389 .

□

O drugiej pani Thatcher wstała od stołu nigdy nie lubiła siedzieć zbyt długo przy jedzeniu, gdyż zajmowało to niepotrzebnie czas i kiedy wychodziła z jadalni, natknęła się na czekającego Charlesa Powella.

W swoim gabinecie włożyła kasetę do odtwarzacza i puściła program.

Oglądała w milczeniu.

Potem zadzwoniła jeszcze raz do Chevening.

Pan Hurd, wzorowy ojciec rodziny, zabrał syna i córkę na mały spa cer przez pola.

Wrócił właśnie z apetytem na wołową pieczeń, kiedy telefon zadzwonił po raz drugi.

Nie, tego też nie oglądałem, Margaret powiedziała.

Mam kasetę dodała pani premier.

To dość przerażające.

Już ci wysyłam.

Jak dostaniesz, zaraz obejrzyj i do mnie zadzwoń.

Posłaniec na motocyklu popędził w przejmującym chłdzie grudniowego popołudnia, autostradą M25 ominął Londyn i o wpół do piątej dotarł do Chevening. Sekretarz stanu zadzwonił do Chequers kwadrans po piątej i natychmiast go połączono.

Zgadzam się, Margaret, to przerażające przyznał Douglas Hurd.

Powinniśmy tam wysłać nowego gubernatora stwierdziła pani premier i to nie w nowym roku, tylko już.

Musimy wykazać aktywność, Douglasie.

Wiesz, kto również widział te reportaże?

Sekretarz stanu świetnie zdawał sobie sprawę, że Jej Królewska Mość przebywa wraz z rodziną w Sandringham, lecz światowe wydarzenia śle dzi na bieżąco.

Z zapałem czytywała gazety i oglądała najnowsze doniesienia w telewizji.

Natychmiast podejmę odpowiednie kroki zapewnił.

Dotrzymał słowa.

Stały podsekretarz stanu został zgoniony z miękkiego fotela w Sussex i zabrał się do telefonowania.

O ósmej wieczorem wybór padł na sir Crispiana Rattraya, emerytowanego dyplomata, uprzednio wysokiego komisarza na Barbados, który wyraził chęć wyjazdu.

Zgodził się rano stawić w Foreign Office, gdzie czekała go formalna nominacja i gruntowne wprowadzenie w temat.

Miał odlecieć późnym rankiem w poniedziałek z Heathrow i wylądować w Nassau po południu.

Tamtejsza wysoka Komisja udzieli mu dalszych konsultacji i po przenośowaniu wysłał na Sunshine wyczararterowanym samolotem we wtorek rano, by na miejscu wziął sprawy w swoje ręce.

To nie potrwa długo, moja droga pocieszał lady Rattray przy pakowaniu. Nici z polowania na bażanty, lecz cóż poradzić.

Wygląda na to, że muszę uchylić kandydatury tych dwóch łotrów i dopilnować wyborów z dwoma nowymi kandydatami.

Wtedy przyznamy niepodległość

głośno, ja opuszczę flagę, Londyn przyśle wysokiego komisarza, wyspiarze sami zaczną się rządzić i będą mogli wrócić do domu.

To potrwa miesiąc, dwa, nie więcej.

Tylko szkoda mi bażantów.

O dziewiątej tego ranka na Sunshine McCready odnalazł inspektora Hannah przy śniadaniu na tarasie hotelu.

Czy bardzo by panu przeszkadzało, gdybym skorzystał z nowego telefonu w Domu Rządowym, żeby zadzwonić do Londynu? Zapytał.

Muszę umówić się w sprawie mojego powrotu.

Bardzo proszę odparł Hannah.

wyglądał na zmęczonego i był nie ogolony jak ktoś, kto spędził pół nocy na nogach.

O wpół do dziesiątej McCready dodzwonił się do Denisa Gaunta.

Z tego go, co zastępca był w stanie mu powiedzieć o artykule w "Sunday Express" i programie "Countdown", wynikało, że jego nadzieje się spełniły.

Od wczesnych godzin rannych cała reszta redaktorów z Londynu usiłowała się dodzwonić do swoich korespondentów w Port Plaisance, żeby zacytować im wiadomość z "Sunday Express" i poprosić o pilny komentarz.

Po południu czasu londyńskiego liczba telefonów podwoiła się nadano już magazyn "Countdown".

Żadna rozmowa nie doszła do skutku.

McCready powiadomił telefonistkę z centrali, że wszyscy dziennikarze są bardzo zmęczeni i w żadnym wypadku nie należy im przeszkadzać.

To właśnie jego wybrano, żeby przyjmował wszelkie wiadomości, które później przekaże.

Porozumienie przypieczętował banknot studolarowy.

Telefonistka posłusznie powtarzała każdemu, kto dzwonił z Londynu, że danej osoby "nie ma" i że wiadomość zostanie niezwłocznie przekazana.

Wiadomości konsekwentnie przekazywała McCreadyemu, który je konsekwentnie ignorował.

Jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora na komentarze prasowe.

O jedenastej pojechał na lotnisko przywitać dwóch młodych sierżantów z SAS, przylatujących z Miami.

Prowadzili właśnie szkolenie dla kolarzy z amerykańskich Zielonych Beretów w Fort Bragg w Karolinie Północnej, kiedy powiadomiono ich, że mają wziąć trzydniowy urlop i pojechać w gości na Sunshine.

Polecili więc na południe do Miami i tam wynajęli powiatową taksówkę do Port Plaisance.

Bagaż mieli niewielki, spakowany w jedną dużą torbę zawierającą wszystkie ich zabawki owinięte w ręczniki plażowe.

Dzięki uprzejmości CIA torba została przepuszczona przez kontrolę celną w Miami, a w Port Plaisance wymachujący pismem z Foreign Office McCready nadał jej status bagażu dyplomatycznego.

391 .

□

Fałszerz zawiózł ich do hotelu, gdzie wynajął im pokój obok własnego.

Tam wsunęli torbę ze swoim "dobytkiem" pod łóżko i poszli sobie popływać.

McCready od razu powiedział, kiedy będą potrzebni: o dziesiątej rano następnego dnia, w Domu Rządowym.

Po zjedzeniu obiadu na tarasie McCready wybrał się na spotkanie z wieloletnim Walterem Drakeem.

Zastał kapłana baptystów w jego małym domku, gdzie Drake odpoczywał, wciąż jeszcze obolały.

Przedstawił się i zapytał księdza o samopoczucie.

Czy pan jest od nadinspektora Hannah?

spytał Drake.

Niezupełnie odparł McCready.

Raczej.

. . . przyglądam się różnym sprawom, podczas gdy on prowadzi swoje śledztwo w sprawie morderstwa.

Mnie bardziej interesuje sytuacja od strony politycznej.

Jest pan z Foreign Office?

dopytywał się Drake.

W pewnym sensie przyznał McCready.

Dlaczego pan pyta?

Nie podoba mi się pańskie ministerstwo oświadczył Drake.

Sprzedajecie mój naród nie pytając o zdanie.

Cóż, właśnie teraz to się może zmienić...

zaczął McCready i wyłożył karnofonii, czego się po nim spodziewa.

Wielebny Drake pokręcił głową.

Jestem sługą bożym odparł.

Do takich spraw potrzeba panu innego rodzaju ludzi.

Tak się składa, że wczoraj telefonowałem do Waszyngtonu.

Tam ktoś mi powiedział, że tylko siedmiu mieszkańców Barclayów służyło kiedykolwiek w armii Stanów Zjednoczonych.

Tylko jeden z nich figurował na liście jako "Drake W."

To jakiś inny człowiek odburknął wielebny Drake.

Ten ktoś powiedział ciągnął cicho McCready że ten Drake W.

na ich liście był sierżantem w korpusie komandosów.

Dwukrotnie wysyłano go do Wietnamu.

Wrócił z Brązową Gwiazdą i dwoma Purpurowymi Sercami.

Ciekawe, co się z nim stało?

Potężnie zbudowany kapłan wstał, przeszedł do okna i popatrzył na drewniane domki skupione wzdłuż drogi, przy której mieszkał.

Inny człowiek mruknął inny czas, inne miejsce.

Teraz służy Bogu.

Nie uważa pan, że moją prośbę można tak właśnie zakwalifikować?

Potężny mężczyzna zastanowił się, wreszcie kiwnął głową.

Możliwe.

Też tak myślę przyznał McCready.

Mam nadzieję, że się rano spotkamy.

Potrzebuję jak najwięcej pomocników.

Jutro rano o dziesiątej w Domu Rządowym.

392

Wyszedł i przespacerował się przez miasto w stronę nabrzeża.

Jimmy Dobbs naprawiał "Pannę Zatoki".

McCready spędził z nim pół godziny i uzgodnili wynajęcie łodzi na następny dzień.

Kiedy koło piątej po południu dotarł do Domu Rządowego, cały się lepił z gorąca.

Jefferson przyniósł mu mrożoną herbatę, kiedy usiadł czekając na powrót porucznika Haverstocka.

Młody oficer grał w tenisa z innymi przybyszami osiadłymi w willi na wzgórzu.

Pytanie McCreadygo było proste: Czy będzie pan tutaj jutro o dziesiątej rano?

Haverstock zastanowił się i w końcu odparł: Sądzę, że tak.

Dobrze rzucił McCready Czy ma pan paradny mundur trochę pikantny?

Tak potwierdził kawalerzysta.

Tylko raz musiałem go założyć.

Na bal dyplomatyczny w Nassau pół roku temu.

Znakomicie stwierdził McCready.

Poprosi pan Jeffersona, niech go wyprasuje i należycie odświeży.

Zaskoczony Haverstock odprowadził go do wyjścia.

Myślę, że słyszał pan już nowinę zagadną.

Ten cały detektyw ze Scotland Yardu znalazł wczoraj kulę w ogrodzie.

Absolutnie nie naruszoną.

Parker leci z nią do Londynu.

Dobra robota pochwalił McCready.

To budująca wiadomość.

O ósmej w hotelu zjadł kolację z Eddiem Favarem.

Przy kawie spytał:

Co jutro robisz?

Lecę do domu odparł Favaro.

Wziąłem tylko tydzień urlopu.

We wtorek rano muszę się zameldować w robocie.

No tak.

O której masz samolot?

Zamówiłem awionetkę w południe.

Nie mógłbyś przełożyć na godzinę czwartą?

Chyba tak.

A dlaczego?

Bo przyda mi się twoja pomoc.

W Domu Rządowym o dziesiątej rano, dobrze?

Dzięki, to na razie.

Wstał o szóstej rano.

Różowy świt, zwiastujący jeszcze jeden pogodny dzień, dotykał czubków palm na Parliament Square.

Panował cudowny chłód.

Umył się, ogolił i wyszedł na plac, gdzie czekała na niego zamówiona taksówka. Jego pierwszym obowiązkiem było pożegnanie ze starą przyjaciółką.

Spędził w jej towarzystwie godzinę, od siódmej do ósmej, przy kawie i gorących bułeczkach, następnie się pożegnał.

Tylko nie zapomnij powiedzieć wstając.

Nie martw się odparła pani Coltrane nie zapomnę.

I uważaj na siebie, Sam.

Zawsze był z ciebie taki kochany chłopak.

393 .

□

Przechylała się, żeby pocałować go w czoło.

A ja odpowiedział najwspanialsze wakacje spędzałem tu, na Sunshine, z tobą i z wujkiem Robertem.

O wpół do dziewiątej znalazł się z powrotem na Parliament Square i zajrzał do głównego inspektora Jonesa.

Pokazał szefowi policji swój list polecający z Foreign Office.

Proszę, żeby pan przybył o dziesiątej do Domu Rządowego powiedział.

Niech pan weźmie ze sobą swoich dwóch sierżantów, czte rech funkcjonariuszy, land rovera i dwie zwykłe furgonetki.

Czy ma pan służbowy rewolwer?

Tak jest.

.Proszę też go zabrać.

Tymczasem w Londynie było wpół do drugiej, lecz Alan Mitchell w wydziale balistyki Laboratorium Dowodów Rzeczowych przy Home Office ani myślał o obiedzie.

Patrzył przez mikroskop.

Pod soczewką znajdowała się przytrzymywana delikatnie ołowiana kula.

Mitchell przyglądał się wyłobieniom na całej długości pocisku, które spiralnie okalały metal.

Stanowiły odzworowanie nacięć w lufie, z której pocisk wystrzelono.

Po raz piąty tego dnia obrócił ostrożnie kulę pod mikroskopem, wykrywając inne rysy, które są tak charakterystyczne dla danej lufy, jak odciski palców dla ludzkich rąk.

Wreszcie był usatysfakcjonowany.

Gwizdnął ze zdziwienia i poszedł po jeden ze swoich pod ręczników.

Miał ich całą bibliotekę i nie na darmo uważano go powszechnie za najlepszego eksperta od broni palnej w Europie.

Trzeba jeszcze przeprowadzić inne testy.

Wiedział, że gdzieś tam, czte ry tysiące mil za morzem, detektyw czeka z niecierpliwością na jego wyniki.

Nie narzucał sobie pośpiechu.

Musiał zdobyć absolutną pewność.

Zbyt wiele spraw przegrano przed sądem, ponieważ inni eksperci, powołani przez obronę, zdołali podważyć twierdzenia specjalisty od dowodów rzeczowych oskarżenia.

Trzeba przeprowadzić testy mikroskopijnych cząsteczek spalonego prochu, które nadal przylegały do tępo zakończonej części pocisku.

Te sty na wyrób i skład ołowiu, przeprowadzone już dla odkształconej kuli, którą dostał przed dwoma dniami, należało powtórzyć dla nowo otrzymanej.

Spektroskop przeniknie metal swymi promieniami, zdradzając strukturę molekularną ołowiu, określając w przybliżeniu jego wiek i cza sem nawet producenta.

Alan Mitchell wyjął z półki podręcznik, którego szukał, usiadł i zaczął czytać.

394

McCready odprawił taksówkę przy bramie Domu Rządowego i naciął

dzwonek.

Jefferson rozpoznał go i wpuścił do środka.

McCready wyjaśnił, że musi wykonać jeszcze jeden telefon międzynarodową linią zainstalowaną przez Bannistera i że ma zgodę pana Hannah.

Jefferson zaprowadził go do prywatnego gabinetu i sobie poszedł.

McCready zostawił w spokoju telefon, za to skierował się do biurka.

We wczesnej fazie śledztwa Hannah przeszukał szuflady, używając kluczy nieżyjącego gubernatora i po upewnieniu się, że nie ma tam żadnych wska zówek dotyczących morderstwa, zamknął wszystkie z powrotem.

McCready nie miał kluczy, ale też ich nie potrzebował.

Poprzedniego dnia wyłamał zamki i znalazł to, o co mu chodziło.

Były w dolnej szufladzie po lewej.

Dwa egzemplarze, ale potrzebował tylko jednego.

Imponująca kartka papieru, szeleszcząca w dotyku i kremowa jak pergamin.

U góry pośrodku widniał wytłaczany i pozłacany herb: lew i jednorożec podtrzymują tarczę podzieloną na cztery pola z heraldycznymi emblematami Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii.

Poniżej, wypukłymi czarnymi literami wypisano słowa:

MY, ELŻBIETA DRUGA, Z BOŻEJ ŁASKI KRÓLOWA ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA

WIELKIEJ BRYTANII I IRLANDII PÓŁNOCNEJ NINIEJSZYM MIANUJĘ...

(tu widniało puste miejsce)...

NA STANOWISKO...

(i znów puste miejsce)...

NA TERYTORIUM...

(trzecie puste miejsce).

Pod tekstem znajdowała się odbitka podpisu, który brzmiał: Elżbie ta, Regina.

To było królewskie pełnomocnictwo.

In blanco.

McCready wziął pióro z kompletu sir Marstona Moberleya i wypełnił puste miejsca, kaligra fując najładniej, jak umiał.

Gdy skończył, podmuchał na atrament i przy łożył gubernatorską pieczęć.

Za drzwiami, w salonie gromadzili się jego goście.

Spojrzał jeszcze raz na dokument i wrzucił ramionami.

Właśnie się mianował gubernatorem Barclayów.

Na jeden dzień.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Było ich sześciu.

Jefferson podał kawę i wyszedł.

Nie zapytał, co tu robią.

To nie jego sprawa.

Dwaj sierżanci z SAS, Newson i Sinclair, stanęli pod ścianą.

Obaj byli ubrani w kremowe dresy i sportowe buty na grubej podeszwie.

Każdy

395 .

□

z nich miał na brzuchu saszetkę przytroczoną w pasie, taką samą, jak noszą turyści, żeby trzymać tam papierosy czy olejek do opalania.

Oni nie trzymali tam olejku.

Porucznik Haverstock nie przebrał się w paradny mundur.

Siedział na jednym z krzeseł wyściełanych brokatem, długie nogi skrzyżował z elegancją.

Wielebny Drake usiadł na sofie obok Eddiego Favara.

Główny inspektor Jones w granatowej marynarce ze srebrnymi guzikami i odznakami oraz w mundurowych szortach, pończochach i butach stał przy drzwiach.

McCready wyjął dokument i podał Haverstockowi.

To przyszło z Londynu o świcie powiedział.

Proszę prze czytać, przyjąć do wiadomości i przetrwać.

Haverstock przeczytał tekst pełnomocnictwa.

Czyli tak ma być orzekł i podał dalej.

Główny inspektor Jones po przeczytaniu wyprężył się na baczność i zawołał: Tak jest.

Podał papier sierżantom.

Newson powiedział: Dla mnie w porządku.

Sinclair spojrzał i rzucił: Nie ma sprawy.

Wręczył dokument Favarowi, który przeczytał i jęknął: O Jezu!

Za co wielebny Drake skarcił go spojrzeniem, wziął pismo, przeczytał i zamruczał: Na chwałę Boga.

Moim pierwszym rozporządzeniem przemówił McCready nadając wam wszystkim, z wyjątkiem głównego inspektora Jonesa oczywiście, uprawnienia stróżów porządku.

Niniejszym powołuję was do służby.

Po drugie może lepiej powiem, co zrobimy.

Mówił przez trzydzieści minut.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

Następnie wezwał Haverstocka i obaj poszli się przebrać.

Lady Moberley jeszcze nie wstała z łóżka, gdzie delectowała się śniadaniem z butelki.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Zajmowali z sir Marstonem osobne sypialnie i do garderoby nieżyjącego gubernatora był wolny dostęp.

Haverstock pokażMcCreadyemu, gdzie to jest, i wyszedł.

McCready znalazł, co chciał, w głębi szafy: paradny mundur brytyjskiego gubernatora kolonialnego.

Kiedy wrócił do salonu, w niczym nie przypominał niedbałego turysty w wygniecionym ubraniu, przesiadującego na tarasie "Quarter Decku".

Na nogach miał lśniące wysokie buty z ostrogami.

Obcisłe spodnie były białe, podobnie jak góra zapinana aż po szyję.

Błyszcząły w słońcu złote guziki, szamrunek przy lewej kieszeni na piersiach, ukośny łańcuch i szpic na korkowym kasku.

W talii opasywała go błękitna szarfa.

Haverstock też wystąpił w białym mundurze, lecz jego płaska oficer ska czapka była granatowa z czarnym daszkiem.

Na otoku miał dwugłó396

wego orła Królewskiej Gwardii Dragonów.

Też błyszcząły mu szamero wania i złoto na naramiennikach.

Lśnił czarny rzemień ukośnie biegnący z przodu i przez plecy, który podtrzymywał czarną skórzaną kieszeń na amunicję, noszoną z tyłu.

Mundur zdobiły dwa medale.

No, inspektorze Jones, do dzieła powiedział McCready.

Musimy zająć się sprawami królowej.

Główny inspektor Jones się napuszył.

Nikt dotąd go nie poprosił o zajęcie się sprawami królowej.

Kawalkada pojazdów opuściła dziedzi niec, z urzędowym jaguarem na przedzie.

Prowadził Oscar, obok siedział policjant.

McCready i Haverstock usiedli z tyłu, obaj w nakryciach gło wy.

Za nimi jechał land rover prowadzony przez policjanta, z Jonesem na przednim siedzeniu.

Z tyłu usadowili się Favaro i wielebny Drake.

Przed wyjściem z Domu Rządowego sierżant Sinclair po cichu wsunął Eddiemu Favarowi naładowanego colta cokrę, który tkwił teraz za paskiem pod luźną koszulą amerykańskiego detektywa.

Sierżant oferował broń także wielebnemu Drakeowi, który odmówił potrząsając głową.

Dwaj pozostali policjanci prowadzili obie furgonetki.

Newson i Sinclair przysiedli przy otwartych bocznych drzwiach.

Sierżanci miejscowej policji podróżowali w ostatniej furgonetcie,

Powoli, statecznie, jaguar wtoczył się do Shantytown.

Wzdłuż długiej głównej ulicy ludzie stawali i gapili się.

Dwie postacie na tylnym siedzeniu tkwiły sztywno patrząc przed siebie.

Przy bramie otoczonej murem posiadłości pana Horatia Lmgstonea McCready rozkazał się zatrzymać.

Wysiadł.

Za nim porucznik Haverstock.

Z pobliskich uliczek wyległ kilkusetosobowy tłum mieszkańców i obserwował ich z otwartymi ustami.

McCready nie prosił o wpuszczenie; po prostu stał naprzeciw dwuskrzydłowej bramy.

Sierżanci Sinclair i Newson podbiegli do muru.

Newson splótł ręce, dając Sinclairowi oparcie pod stopę.

Lżejszy z tej dwójki przesadził mur nie dotknąwszy potłuczonego szkła na szczycie.

Brama została otwarta od wewnątrz.

Sinclair usunął się na bok i wkroczył przez nią McCready z Haverstockiem u boku.

Za nimi wtoczyły się wolno samochody.

Trzej mężczyźni w szarych kompletach safari biegli właśnie przez dziedziniec do

bramy, kiedy ukazał się im McCready.
Zatrzymali się, wpatrzeni w dwie białe umundurowane postacie zmierzające zdecydowanym krokiem do drzwi frontowych.
Sinclair zniknął.
Newson wpadł przez otwartą bramę i zrobił to samo.
McCready wszedł po schodach na werandę i do wnętrza domu.
Z tyłu na werandzie został Haverstock i patrzył na trzech jednakowo ubranych ludzi.
Trzymali się z daleka.
Favaro, Drake, Jones, dwaj sierżanci policji
397 .

□
i trzech funkcjonariusze opuścili pojazdy i również się zbliżali.
Jeden po licjant został przy samochodach.
Haverstock przyłączył się do grupy wcho dzącej do środka.
Weszli w liczbie dziesięciu, nie licząc pozostałych.
W przestronnym salonie policjanci obstawili wejście i okna.
Otworzy ły się drzwi i ukazał się w nich Horatio Livingstone.
Obejrzał intruzów ze źle ukrywaną wściekłością.
Nie macie tu wstępu!
Co to wszystko znaczy?
krzyknął.
McCready podsunął mu swoje pełnomocnictwo.
Pan będzie uprzejmy to przeczytać powiedział.
Livingstone przeczytał i rzucił papier z pogardą na podłogę.
Jones go podniósł i wręczył z powrotem McCreadyemu, który schował doku ment do kieszeni.
Chciałbym, żeby pan zgromadził tu wszystkich swoich bahamskich współpracowników, całą siódmkę, z paszportami jeśli łaska, pa nie Livingstone.
Z czyjego nakazu?
obruszył się Livingstone.
Ja tu jestem najwyższą władzą odparł McCready.
Imperialista!
wrzasnął Livingstone.
Za piętnaście dni ja tu obejmę władzę, a wtedy...
Jeśli pan odmawia ciągnął spokojnie McCready poproszę głównego inspektora Jonesa, żeby pana natychmiast aresztował za sta wianie oporu organom sprawiedliwości.
Inspektorze Jones, czy jest pan gotów spełnić swój obowiązek?
Tak jest.
Livingstone spiorunował ich wzrokiem.
Następnie zawołał z sąsied niego pokoju jednego z pomocników i wydał rozkaz.
Pojedynczo zjawili się wszyscy ludzie w bluzach safari.
Favaro krążył między nimi, zbierając bahamskie paszporty.
Wręczył je McCreadyemu.
McCready obejrzał je po kolei i oddał Haverstockowi.
Porucznik spoj rzał na nie i cmoknął z dezaprobatą.
wszystkie te paszporty są fałszywe oświadczył McCready.
Dobre, jednak podrobione.
To nieprawda wykrzyknął Livingstone.
One mają pełną ważność!
Miał rację.
Nie były podrobione.
Zakupiono je za bardzo pokązną łapówkę.
Nie uciał McCready.
Ci ludzie nie pochodzą z Bahamów.
Ani pan nie jest socjaldemokrata.
Tak naprawdę jest pan zaprzędanym komunistą, od lat pracującym dla Fidela Castro, a ci ludzie wokół pana są kubańskimi oficerami.
Stojący tam pan Brown to w istocie kapitan
398

-q

Hernan Moreno z Direccion General de Informacion, kubańskiego od powiednika KGB.
Inni, wybrani ze względu na czysto negroidalne rysy twarzy i znajomość angielskiego, to także Kubańczycy z DGI.
Aresztuję ich wszystkich pod zarzutem nielegalnego wjazdu na Barclaye, a pana za pomoc i współdział.

Pierwszy sięgnął po broń Moreno.
Miał pistolet za paskiem z tyłu pod bluzą safari, podobnie jak reszta.
Był bardzo szybki i ręką za plecami chwycił już swojego makarowa, zanim ktokolwiek w salonie zdążył się poruszyć.
Kubańczyk zatrzymał głośny okrzyk ze szczytu schodów pro wadzących na piętro.
Fuera la mam, o seras fiambre.
Hernan Moreno w samą porę pojął, o co chodzi.
Jego ręka zatrzymała się.
Znieruchomiał.
Podobnie jak sześciu pozostałych, którzy właśnie brali z niego przykład.
Sinclair biegle władał potocznym hiszpańskim.
Fiambre to potrawa z mięsa na zimno, w slangu zaś oznacza "sztywnego", czyli trupa.
Dwaj sierżanci stali obok siebie na szczycie schodów, a dostali się tam przez okna na piętrze.
Turystyczne saszetki mieli puste, lecz ręce zajęte.
Każdy z nich trzymał nieduży, ale celny pistolet maszynowy heckler and koch MP5.
Ci ludzie wyjaśnił McCready łagodnie nie przywykli do pudłowania.
Niech pan poprosi teraz swoich ludzi, żeby podnieśli ręce nad głowę.
Livingstone milczał.
Favaro zaszedł go od tyłu i przytknął otyłemu człowiekowi lufę colta do prawej dziurki w nosie.
Trzy sekundy szepnął potem zdarzy mi się przykry wypadek.
Róbcie, co każe chrapliwie stęknął Livingstone.
Czternaście rąk uniosło się w górę i tak zostało.
Trzej policjanci obe szli wszystkich, zabierając broń.
Zrewidujcie ich polecił McCready.
Sierżanci policji obszukanali Kubańczyków.
Odkryto dwa noże przytroczone do łydek.
Przeszukać dom nakazał McCready.
Siedmiu Kubańczyków ustawiono w rzędzie, twarzą do ściany z rękami na głowie.
Livingstone usiadł w swoim klubowym fotelu pilnowany przez Favara.
Dwaj ludzie z SAS zostali na schodach na wypadek zbioru wej akcji.
Nic takiego się nie wydarzyło.
Pięciu miejscowych policjantów przeszukało dom.
Odkryto kolekcję różnej broni, dużą sumę w dolarach amerykańskich, spore ilości barclayskich funtów i krótkofalówkę o dużym zasięgu z szyfrownikiem.
399 .

□
Panje Livingstone przemówił McCready.
Mógłbym poprosić inspektora Jonesa, żeby oskarżył pańskich współpracowników o do konanie serii przestępstw wobec prawa brytyjskiego: fałszywe paszporty, nielegalny wjazd, posiadanie broni bez zezwolenia.
Lista będzie długa.
Zamiast tego zamierzam ich deportować.
Teraz, w ciągu najbliższej godziny.
Pan być może życzy sobie zostać tutaj sam.
Jest pan w końcu rodnym obywatelem Barclayów.
Ale nadal grozi panu oskarżenie o po moc i współudział, dlatego naprawdę bezpieczniej będzie się pan czuł u siebie, na Kubie.
Z całą pewnością warknął wielebny Drake.
Livingstone kiwnął głową potakująco.
Kubańczyków wprowadzono gęsiego w stronę jednej z dwóch furgonetek czekających na podwórzu.
Tylko jeden się szarpał.
Kiedy rzucił się do ucieczki, drogę zastąpił mu policjant, który został powalony na ziemię.
Główny inspektor Jones zadziałał z imponującą szybkością.
Chwycił zwisającą u pasa krótką drewnianą pałkę, znaną pokoleniom brytyjskich policjantów pod nazwą "holly".
Rozległo się głośne PUK, gdy drewno zderzyło się z głową Kubańczyka.
Opadł na kolana, czując się troszkę słabo.
Nie wolno pouczył go inspektor Jones.
Kubańczyk wraz z Horatiem Livingstoneem usiedli na podłodze furgonetki z rękami na głowie, podczas gdy sierżant Newson trzymał ich na muszce z fotela obok kierowcy.

Znów się sformowała kawalkada i wolno sunęła z Shantytown w stronę rybackiego nabrzeża w Port Plaisance. McCready kazał jechać powoli, żeby tłumy mieszkańców mogły zobaczyć, co się dzieje.

Przy nabrzeżu czekała "Panna Zatoki" z zapuszczonym silnikiem. Z tyłu miała przywiązaną barkę do wywozu śmieci, świeżo wyposażoną w dwie pary wiosł.

Panie Dobbs powiedział McCready proszę odholować tych panów aż do granicy kubańskich wód terytorialnych, chyba że wcześniej zbliży się kubańska łódź patrolowa.

Wtedy proszę ich puścić.

Rodacy ich podholują albo oni sami dowiosłują do brzegu na fali przypływu.

Jimmy Dobbs popatrzył na Kubańczyków spode łba.

Było ich siedmiu plus Lmgstone.

Popłynie z panem porucznik Haverstock dodał McCready.

Oczywiście uzbrojony.

Sierżant Sinclair podał Haverstockowi colta cembrę, którego nie chciał wziąć wielbny Drake.

Haverstock wskoczył na "Pannę Zatoki" i zajął sta nowisko, siadając na dachu kabiny, zwrócony w stronę rufy.

400

Nie ma obawy, stary pocieszył Dobbsa.

Jak się któryś ruszy, odstrzelę mu jaja.

Panie Lmgstone powiedział McCready, patrząc z góry na ośmiu mężczyzn w barce.

Jeszcze jedno.

Kiedy pan znajdzie się na Kubie, proszę powiedzieć seniorowi Castro, że przejęcie Barclayów po przez podstawienie marionetkowego kandydata w wyborach, by później przyłączyć wyspy do Kuby albo przekształcić je w obóz treningowy dla rewolucjonistów internacjonalistów, to był świetny pomysł.

Alé może mu pan również przekazać, że to się nie powiedzie.

Ani teraz, ani w przyszłości.

Będzie musiał ratować swoją karierę polityczną w inny sposób.

Zegnamy pana, Lmgstone.

Niech pan nie wraca.

Na brzegu około tysiąca mieszkańców wyspy obserwowało, jak "Pan na zatoki" odpływa, biorąc kurs na pełne morze.

Jeszcze jedna sprawa pozostała do załatwienia, panowie orzekł McCready i ruszył z powrotem w stronę jaguara.

Na widok bieli jego munduru rozstępowały się tłumy gapiów.

Brama z kutego żelaza prowadząca do posiadłości Marcusajohnsona była zamknięta.

Newson i Sinclair wysiedli z furgonetki i przesko czyli mur, nie dotykając jego szczytu.

Kilka minut później z terenu po siadłości dobiegł cichy trzask, jak gdyby krawędź czyjejs dłoni napotkała opór ludzkiej materii.

Zadziałał mechanizm i brama stanęła otworem.

Z prawej strony wejścia znajdowała się nieduża budka z deską rozdzielczą i telefonem.

Na podłodze leżał tam mężczyzna ubrany w jaskrawą koszulę, a obok niego połamane ciemne okulary.

Wrzucono go do furgonetki, którą przyjechali dwaj sierżanci policji.

Newson i Sinclair przesadzili połączyć trawnika i zniknęli w krzakach.

Marcusjohnson schodził właśnie po wyłożonych kafelkami stopniach, kiedy do przestronnego salonu wmaszerował McCready.

Schodząc, Johnson owijał się szlafrokiem z jedwabiu.

Co to ma znaczyć, u diabła, jeśli wolno spytać zaatakował.

Oczywiście, że wolno zgodził się McCready.

Proszę to prze czytać.

Johnson wręczył mu dokument z powrotem: No i co z tego?

Nie popełniłem żadnego wykroczenia.

To pan się włamał do mojego domu...

Poinformuję o tym Londyn, panie Dillon.

Pożałuje pan jeszcze tego po ranku.

Ja mam adwokatów...

To dobrze wtrącił McCready.

Pewnie będą panu potrzebni.

A teraz, panie Johnson, chciałbym przesłuchać pańskich pracowni ków czy też

asystentów.

Jeden z nich był uprzejmy wskazać nam drogę.

Proszę go tu przynieść.

401 .

□

Dwaj policjanci dźwignęli pilnującego bramy, przenieśli go w pozycji niemal pionowej i rzucili na kanapę.

Niech pan wezwie pozostałych siedmiu, panie Johnson, z paszportami.

Johnson podszedł do ozdobnego aparatu telefonicznego i podniósł

słuchawkę.

Nie było sygnału.

Odłożył ją z powrotem na widełki.

Zamierzam wezwać policję oświadczył.

Ja jestem policją odparł główny inspektor Jones.

Proszę robić to, co każe gubernator.

Johnson pomyślał chwilę, wreszcie zawołał kogoś z góry.

Nad barierką u szczytu schodów pojawiła się głowa.

Johnson wydał rozkaz.

Z we randy wyłoniło się dwóch mężczyzn w jaskrawych koszulach i stanęło obok swego chlebowawcy.

Następnych pięciu zeszło po schodach z góry.

Rozległy się stłumione piski jakichś kobiet.

Zdaje się, że odbywał się tu bankiet.

Główny inspektor Jones pozbierał od wszystkich paszporty.

Człowiekowi na kanapie wyjęto paszport z kieszeni.

McCready obejrzał wszystkie po kolei, kiwając głową z dezaprobatą.

Nie są sfałszowane stwierdził Johnson ze spokojem i przekonaniem.

Jak pan widzi, wszyscy moi współpracownicy legalnie zna leżli się na Sunshine.

Fakt, że są oni obywatelami Jamajki, nie ma żadnego znaczenia.

Niezupełnie odparł McCready.

Żaden nie dopełnił obo wiązku zgłoszenia swojej kryminalnej przeszłości, łamiąc przepisy para grafu czwartego, podpunkt B-1, Ustawy Imigracyjnej.

Johnson oniemiał, zresztą miał prawo, ponieważ McCready na po czekaniu wymyślił całą rzecz.

W rzeczywistości zaś ciągnął swój wywód wszyscy ci ludzie należą do

gangu kryminalistów znanego pod nazwą "podwórzowców".

"Podwórzowcy" zaczęli jako banda uliczników w slumsach Kingston; ich nazwa pochodzi stąd, że wiedli prym na podwórzu.

Z początku zajmowali się ściąganiem haraczu za "ochronę" i szybko zasłynęli bezwzględnością i okrucieństwem.

Później zostali dostawcami haszyszu oraz pochodnej kokainy, zwanej "crack", na skalę międzynarodową.

W każdym razie są to notowani "podwórzowcy".

Jeden z jamajczyków stał przy ścianie, o którą oparty był kij baseball

łowy.

W stronę kija powoli pełzła ręka.

Wielebny Drake zauważył jej ruch.

Alleluja, bracie powiedział cicho i uderzył.

Tylko raz.

Za to bardzo mocno.

W seminariach baptystów uczą co prawda różnych rzeczy, lecz na pewno nie metod nawracania niewiernych krótkim ciosem.

Jamajczyk z oczami w słup osunął się na ziemię.

402

Ten incydent podziałał jak sygnał.

Czwórka z sześciu pozostałych "podwórzowców" sięgnęła do paszków pod luźnymi koszulami.

Stać!

Nie ruszać się.

Newson i Sinclair odczekali, aż na piętrze nie będzie nikogo prócz dziewczyn, i wtedy weszli przez okno.

Stali teraz na podeście piętra i cała powierzchnia poniżej znajdowała się w zasięgu ognia ich pistoletów maszynowych.

Ręce zamarły w bezruchu.

Oni nie odważą się strzelać syknął Johnson.

Bo wszyscy byście oberwali.

Favaro przeturlał się po marmurowej posadzce i wstał za plecami

Johnsona.

Lewym ramieniem chwycił go pod brodę, lufę colta zaś wpa kował mu w nerki.
Być może odparł.

Ale ty będziesz pierwszy.

Proszę unieść ręce nad głową powiedział McCready.

Johnson przełknął ślinę i kiwnął głową.

Sześciu "podwórzowców" podniosło ręce.

Kazano im przejść pod ścianę i oprzeć się o nią wysoko rękami.

Dwaj sierżanci policji uwolnili ich od ciężaru pistoletów.

Podjeżdżam zachrypiał Johnson że mnie też nazwie pan podwórzowcem.

A ja jestem obywatelem tych wysp, szanowanym człowiekiem interesu...

Nie uciał McCready.

Jest pan przemytnikiem kokainy.

W ten sposób pan się dorobił fortuny.

Przerzucając towar dla kartelu Medellin.

Od momentu opuszczenia wyspy jako ubogi nastolatek większość czasu spędził pan w Kolumbii albo zakładał pan fikcyjne spółki w Euro pie i Ameryce Północnej, żeby uwiarygodnić zyski z kokainy.

A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym zobaczyć się z pańskim głównym podwykonawcą z Kolumbii, seniorem Mendesem.

Nigdy o nim nie słyszałem.

Nie ma tu takiego człowieka oświadczył Johnson.

McCready podsunął mu pod nos zdjęcie.

Johnson zamrugał oczami.

To jest senior Mendes, obojętne, jak się teraz nazywa.

Johnson milczał.

McCready spojrział w górę i dał głową znak Newsonowi i Sinclairowi.

Obaj widzieli już to zdjęcie.

Znikli z pola widzenia.

Parę minut później z górnego piętra dobiegł odgłos dwóch wystrzałów i kobiece piski.

U szczytu schodów pojawiły się trzy dziewczyny o urodzie Latynosek i zbiegły na dół.

McCready nakazał dwóm policjantom wyprowadzić je do ogrodu i tam pilnować.

Na piętrze Sinclair i Newson popychali przed sobą mężczyznę.

Miał proste czarne włosy, był chudy i blady.

Sierżanci pchnęli go w dół po schodach, lecz sami zostali na górze.

403 .

□

Mógłbym oskarżyć pańskich Jamajczyków o rozmaite wykroczenia wobec tutejszego prawa zwrócił się McCready do Johnsona.

Ale wolałem zarezerwować dziewięć miejsc na popołudniowy lot do Nassau.

Przekona się pan, że bahamska policja z wielką przyjemnością odprowa dzi was wszystkich na samolot do Kingston.

Tam już na was czekają.

Przeszukać dom.

Pozostali miejscowi policjanci dokonali przeszukania.

Znaleźli jeszcze dwie prostytutki schowane pod łóżkiem, dodatkową broń i dużą sumę w dolarach.

W sypialni Johnsona kilka uncji białego proszku.

Pół miliona dolarów syknął Johnson do McCreadyego.

Puścisz mnie i jest twoje.

McCready wręczył walizeczkę wielebnemu Drakeowi.

Pan to rozdzieli wśród tutejszych organizacji charytatywnych powiedział.

Drakę skinał głową.

A kokainę spalić.

Jeden z policjantów zabrał paczuski i wyszedł rozpalić ognisko.

Chodźmy zarządził McCready.

O czwartej po południu nieduży samolot z Nassau stał na trawiastym pasie z zapuszczonymi silnikami.

Ośmiu "podwórzowców" w kajdankach wsiadało pod nadzorem dwóch bahamskich

sierżantów policji, którzy przylecieli ich zabrać.

Marcus Johnson z rękami skutymi z tyłu czekał, by wsiąść za nimi.

Po tym, jak Kingston przekaże pana do Miami, może znajdzie pan okazję, żeby przekazać wiadomość seniorowi Ochoa, seniorowi Escobarowi czy komuś tam, dla kogo pan pracuje rzucił McCready.

Pan mu powie, że przejęcie Barclayów przez podstawienie figuranta w wybo rach to był znakomity pomysł.

Mieć własną straż przybrzeżną, wydawać lekką ręką paszporty dyplomatyczne,

wysłać do stanów dyplomatyczny bagaż, budować tu bez skrępowania przetwórnice i magazyny, bezkarnie zakładać banki dla legalizacji zysków wszystko niezwykle pomysłowe.

Przy tym dochodowe, z kasynami dla zasobnych graczy, burdelami...

Ale jak pan będzie przekazywał wiadomość, proszę powiedzieć mu ode mnie, że to się nie uda.

Nie na tych wyspach.

Po pięciu minutach pękaty samolot poderwał się, przechylił skrzydła i odleciał w stronę wybrzeży Andros.

McCready podszedł do sześciuosobowej cessny stojącej przy hangarze.

Sierżanci Newson i Sinclair siedzieli już w środku, koło nóg mieli torbę z "zabawkami", którą zabierali z powrotem do Fort Bragg.

Naprzeciw nich siedział Francisco Mendes; jak się okazało, jego kolumbijskie nazwisko brzmiało inaczej.

Przeguby obu rąk miał przywiązane do poręczy fotela. Wychylił się przez otwarte drzwi i splunął na ziemię.

404

Nie macie prawa mnie odsyłać powiedział płynnie po angielsku.

Możecie mnie jedynie aresztować i czekać, aż Amerykanie zażą dają ekstradycji. Nic więcej.

Co trwałoby miesiącami zauważył McCready.

Nie, kochanie, nie zamknijemy cię, tylko deportujemy.

Odwrócił się do Eddiego Favara.

Chyba nie masz nic przeciwko podrzuceniu tego gościa do Miami...

Oczywiście na miejscu może się okazać, że facet jest poszukiwany przez policję Metro-Dade.

Wtedy to już sprawa wujka Sama.

Uścisnęli sobie dłonie i cessna potoczyła się po pasie startowym, za wróciła i zaczęła się rozpędzać.

Kilka sekund później leciała już nad morzem, kierując się na północny zachód, w stronę Florydy.

McCready powoli ruszył w stronę czekającego jaguara z Oscarem za kierownicą.

Czas wracać do Domu Rządowego, przebrać się i odwiesić biały mundur gubernatora z powrotem do szafy.

Kiedy zajechali na miejsce, główny nadinspektor śledczy Hannah w gabinecie sir Marstona Moberleya przyjmował telefon z Londynu.

McCready wśliznął się na górę i wrócił w swoim wygniecionym tropikalnym ubraniu.

Hannah wypadł z gabinetu, wzywając Oscara z jaguarem.

Alan Mitchell pracował cały poniedziałek, aż wreszcie o dziewiątej wieczorem zatelefonował na Sunshine, gdzie minęła dopiero szesnasta.

Hannah z niecierpliwością złapała za słuchawkę.

Całe popołudnie spędził w gabinecie czekając na ten telefon.

To niebawem powiedział spec od balistyki.

Jedna z najbar dziej niezwykłych kul, jakie badałem.

Z całą pewnością nigdy nie spo tkałem podobnej kuli w przypadku morderstwa.

A co w niej dziwnego?

spytał Hannah.

Przede wszystkim ołów.

Jest bardzo stary.

Ma co najmniej siedem dziesiąt lat.

Nie produkuje się ołowiu o tej strukturze molekularnej od początku lat dwudziestych.

To samo dotyczy prochu.

Na pocisku znajdo wały się pewne śladowe ilości.

Ten skład chemiczny wprowadzono do produkcji w roku tysiąc dziewięćset dwunastym i wycofano we wczesnych latach dwudziestych.

Co z pistoletem?

dopytywał się Hannah.

O to właśnie chodzi odrzekł naukowiec z Londynu.

Pisto let odpowiada użytej amunicji.

Kula ma absolutnie niepodważalne ozna kowanie, jak odcisk palca.

Jedyne.

Ma dokładnie siedem rowków biegną cych prawoskrętnie, wyżłobionych przez lufę rewolweru.

Żadna inna broń nie zostawia siedmiu prawoskrętnych rowków.

Niebawem, prawda?

□

To fantastyczne przyznał Hannah.
Czyli strzał padł z jednej określonej broni?
Wspaniale.

Tylko, Alan, co to za broń?
Jak to, oczywiście webley 4.55.

Unikalny.
Hannah nie był ekspertem od broni palnej.
Na pierwszy rzut oka nie odróżniłby webleya 4.55 od colta 44 magnum.
Musiałby się im przyjrzeć.

Świetnie, Alan.
Teraz mi powiedz, co jest takiego specjalnego w tym webleyu 4.55.
Jego wiek; to przecież, kurczę, zabytek.

Wypuszczono go w roku tysiąc dziewięćset dwunastym, zaprzestano produkcji koło
tysiąc dziewięćset dwudziestego.

Rewolwer z bardzo długą lufą, rzadko spotykany.
Webleye nigdy nie zdobyły popularności, bo długa lufa przeszkadza.
Były za to celne, z tego właśnie powodu.

Wydawano je jako broń służbową brytyjskim oficerom w okopach pierwszej wojny
światowej.

Widziałeś kiedy dyś tę broń?
Hannah podziękował i odłożył słuchawkę.
O tak wysapał.

Widziałem.
Biegł właśnie przez hali, kiedy natknął się na tego dziwaka Biliona z
Foreign Office: Może pan skorzystać z telefonu.
Jest wolny za wołał i wsiadł do jaguara.

Kiedy wprowadzono go do środka, pani Coltrane siedziała w swoim wózku w
salonie.
Przywitała go uprzejmym uśmiechem.

Jak to miło, że pan wpadł, panie Hannah powiedziała.
Może pan usiądzie i napije się herbaty?

Dziękuję, lady Coltrane, chyba jednak wolę stać.
Obawiam się, że będę musiał pani zadać kilka pytań.
Czy widziała pani kiedykolwiek broń znaną jako webley 4.55?

Ależ nie, nie sądzę odparła łagodnie.
Pozwalam sobie wątpić, proszę pani.

W istocie nawet go pani ma.
Stary służbowy rewolwer męża.
W tamtej gablotce z pamiątkami.
Nieste ty, będę musiał go zatrzymać jako dowód rzeczowy.

Odwrócił się i podszedł do oszklonej gablotki.
Było tam wszystko medale, odznaki, wyróżnienia, symbole z otoków czapek lecz w
zmienionym układzie.

Pod nimi, na płótnie, dało się zauważyć nikłe plamy oliwy w miejscu, gdzie
jeszcze niedawno umieszczona była inna pamiątka.
Hannah odwrócił się z powrotem.

Gdzie on jest, lady Coltrane?
zapytał z napięciem.

Drogi panie Hannah, pojęcia nie mam, o czym pan właściwie mówi.
Nie znosił przegrywać, czuł jednak, że ta sprawa wymyka mu się z rąk.
Broń albo świadek: potrzebował jednego albo drugiego.

Za oknami błękit
kit morza ciemniał w zapadającym zmroku.
Wiedział, że gdzieś tam, w nieprzebytej głębinie, spoczywa webley 4.55.
Plamy oliwy nie będą dla sądu żadnym dowodem.

Był tam, lady Coltrane.
We czwartek, kiedy przyszedłem panią odwiedzić.
Był w gablotce.

Skąd, panie Hannah, z pewnością pan się pomylił.
Nigdy nie widziałam żadnego...
wembleya.

To webley, lady Coltrane.
Na Wembley gra się w piłkę nożną!
Czuł, że przegrywa ten mecz sześć do zera.

Panie inspektorze, o co pan mnie właściwie podejrzewa?
spy tała.

Ja nie podejrzewam, proszę pani.

Ja wiem.

Dowód to inna sprawa.

W zeszły wtorek, mniej więcej o tej porze, Firestone podniósł panią razem z wózkiem swymi potężnymi ramionami i umieścił z tyłu furgo netki, tak samo jak w sobotę, kiedy wybrała się pani po zakupy.

Myślałem, że nigdy nie opuszcza pani tego domu, ale z jego pomocą może pani oczywiście to zrobić.

Zawiózł panią w alejkę za rezydencją gubernatora, wysadził z samochodu i własnoręcznie wyłamał kłódkę ze stalowej furtki.

Myślałem, że do tego potrzeba land rovera z łańcuchem, ale oczywiście Firestone mógł wyłamać furtkę gołymi rękami.

Powinienem być to zauważyć, kiedy go zobaczyłem.

Uszło mojej uwagi.

Mea culpa.

Wepchnął panią na wózek do ogrodu i zostawił.

Myślę, że webleya trzymała pani na kolanach.

Był to co prawda zabytek, ale regularnie oliwiony i z nabojami w środku.

Z krótkiej lufy nigdy nie trafiłaby pani sir Moberleya, nawet strzelając oburącz.

Ale ten webley miał bardzo długą lufę i bardzo celną.

A pani nie pierwszy raz miała w ręku broń.

Męża poznała pani w czasie wojny.

Mówiła pani, że on był ranny, a pani się nim opiekowała.

Ale to miało miejsce w partyzanckim szpitalu w okupowanej przez Niemców Francji.

On był z brytyjskiego wydziału Operacji Specjalnych, a pani, jak są dzę, z amerykańskiego Biura Służb Strategicznych.

Pierwszy strzał chybił, pocisk trafił w ścianę.

Drugi załatwił sprawę, lecz utkwiał w koszu na kwiaty wypełnionym gliniastą ziemią.

Tam go znalazłem.

Londyn go dziś ziden tyfikował.

To charakterystyczny pocisk.

Żadna broń nie mogła wystrzelić takiego pocisku, jedynie webley 4.55 trzymany przez panią w tej gablotce.

Tak mi pana szkoda, panie inspektorze.

To piękna historia, ale czy pan może ją udowodnić?

Nie, lady Coltrane, nie mogę.

Do tego trzeba znaleźć broń albo świadka.

Mogę się założyć, że tuzin osób widziało panią i Firestonea w tej alejce, jednak nikt nigdy nie złoży zeznań.

Nie obciążą przecież pani Coltrane.

Nie na Sunshine.

Ale dwie rzeczy pozostają dla mnie zagadką.

407 .

□

Dlaczego?

Po co było zabijać tego nie lubianego gubernatora?

Czy chciała pani sprowadzić tu policję?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Dziennikarze, panie Hannah.

Są wścibscy, nieustannie zadają pytania i grzebią w przeszłości.

Zawsze podejrzliwi w stosunku do każdego polityka...

No tak, jasna sprawa, wężyciele z prasy.

A druga zagadka, panie Hannah?

Kto panią ostrzegł, lady Coltrane.

We wtorek wieczorem włożyła pani rewolwer z powrotem do gablotki.

Był tam jeszcze we czwartek.

Teraz go nie ma.

Kto panią ostrzegł?

Panie inspektorze, proszę pozdrowić ode mnie Londyn.

Wie pan, nie byłam tam od wojny.

Już nigdy go nie zobaczę...

Desmond Hannah kazał Oscarowi podwieźć się na Parliament Square.

wysiadł przed komisariatem policji i odesłał Oscara, który musiał wyszykować jaguara na jutrzejszy przylot nowego gubernatora.

Czas najwyższy, żeby rząd wreszcie zareagował pomyślnie.

Ruszył przez plac w stronę hotelu.

Dobry wieczór, inspektorze Hannah.

Odwrócił się.

Jakiś nieznajomy tubylec pozdrawiał go z uśmiechem.

Co? A...

dobry wieczór.

Przed hotelem dwaj młodzi ludzie tańczyli w kurzu calypso.

Jeden miał zawieszony na szyi magnetofon kasetowy.

Z taśmy dobiegały dźwięki melodii calypso.

Hannah jej nie rozpoznał.

Była to wolność przychodzi i od chodzi.

Rozpoznał jednak Żółtego ptaka; piosenka dochodziła z baru "Quarter Decku".

Przypomniał sobie, że przez pięć dni nie słyszał orkiestry ani piosenek calypso.

Drzwi kościoła anglikańskiego były otwarte; wielebny Quince dawał popis na swoich małych organach.

Grał Gaudeamus igitur.

Zanim Hannah dotarł do stopni hotelu, zorientował się, że na ulicach panuje atmosfera uniesienia.

On sam był w kiepskim nastroju.

Czekało go pisanie sażnistego raportu.

Po nocnym telefonie do Londynu poleciał rano z powrotem.

Nie mógł zrobić nic więcej.

Nienawidził kapitulować w śledztwie, lecz wiedział, że tym razem sprawa

zostanie na papierze.

Hannah może odlecieć do Nassau samolotem, który przywiezie nowego gubernatora, potem dalej, do Londynu.

Przeszedł przez bar na tarasie w stronę schodów i znów natknął się na tego Dillona siedzącego przy barze, z piwem w dłoni.

Dziwny facet pomyślał wchodząc na piętro.

W kółko wysiaduje i czeka nie wiadomo na co.

Jakoś nigdy nie widać, żeby coś robił.

408

We wtorek rano nadleciał z Nassau nad Sunshine samolot marki de Havilland Devon i dostarczył nowego gubernatora, sir C. Rispiana Rattraya.

Z cienia przy hangarze McCready obserwował, jak starszawy dyplomata w kremowym lnianym garniturze, z pasemkami siwych włosów pod rondem białego kapelusza, wysiada z samolotu naprzeciw komite tu powitalnego.

Porucznik Haverstock, który zdążył powrócić ze swej morskiej odysei, przedstawił go różnym miejscowym notablom, poczynając od doktora Caractacusa Jonesa i jego siostrzeńca, głównego inspektora.

Oscar czekał przy świeżo wypucowanym jaguarze i po wstępnej ceremonii mała kawalkada odjechała w stronę Port Plaisance.

Sir Rattray przekonał się, że niewiele ma do zrobienia.

Obaj kandydaci najwyraźniej...

wycofali swoje kandydatury i udali się na wakacje.

Wezwie wobec tego do zgłaszania nowych kandydatów.

Nikt się nie zgłosił.

Wielebny Drake już tego dopilnuje.

Styczniowe wybory zostaną przełożone i zbierze się po przerwie brytyjski parlament.

Pod naciskiem opinii publicznej rząd przychylił się do projektu zwołania w marcu referendum.

Ale to wszystko miało dopiero nastąpić.

Desmond Hannah wsiadł do pustego devona, żeby odlecieć do Nassau.

Ze szczytu schodków rozejrzył się po raz ostatni.

Ten dziwak Dillon siedział ze swoją torbą i neseserem: znów na coś czekał.

Hannah nie zamachał mu na pożegnanie.

Miał zamiar napomknąć o panu Dillonie po powrocie do Londynu.

Dziesięć minut po odlocie devona wylądowała powietrzna taksówka

McCreadygo z Miami.

Musiał zwrócić radiotelefon i podziękować paru przyjaciołom z Florydy przed odlotem do Londynu.

Będzie w domu w sam raz na święta.

Spędzi je samotnie w swoim mieszkaniu na Kensington.

Może wpadnie do klubu służb specjalnych na kielicha ze starymi kumpłami.

Piper wystartował i McCready spojrzył po raz ostatni na senne miasteczko

Port Plaisance zajmujące się swymi sprawami w porannym słońcu.

W przelocie widział wzgórze Spyglass z różową willą na szczycie.

Pilot zawrócił, biorąc kurs na Miami.
Z pochylonego samolotu McCre ady patrzył na powierzchnię wyspy.
Pośrodku piaszczystej ścieżki czeko ladowe dziecko spojrzało w górę i zamachało rękami.
McCreedy też za machał.
Jak dobrze pójdzie pomyślał ten chłopiec będzie dorastał wolny od czerwonej flagi i białego proszku.
409 .

□

EPILOG

W imieniu nas wszystkich tu zebranych powiedział Timothy Edwards dziękuję Denisowi za wspaniałą prezentację.
Zważywszy, że robi się późno, proponowałbym kolegom naradę w ścisłym gronie.
Zo baczymy, czy w tej sprawie można zezwolić na pewne odstępstwa od obo wiązujących zasad i rano wydamy opinię.

Denis Gaunt musiał zwrócić akta protokolantowi.

Kiedy się odwrócił, Sama McCreedyego już nie było.

Wymknął się, ledwie Edwards skończył mówić.

Dziesięć minut później Gaunt wytropił go w jego biurze.

McCreedy był wciąż w koszuli z krótkimi rękawami, pogniecioną ba wełnianą kurtkę rzucił na krzesło, zajęty grzebaniem w schowkach.

Na podłodze stały dwa pudła po butelkach z winem.

Co robisz?

spytał Gaunt.

Zabieram swoje klocki.

Miał tylko dwa zdjęcia, zresztą trzymane w szufladzie, a nie ostenta cyjnie na biurku.

Na jednym była May, na drugim jego syn po obronie dyplomu: uśmiechał się nieśmiało, ubrany w akademicką togę.

McCre ady włożył zdjęcia do pudła.

Oszalałeś stwierdził Gaunt.

Moim zdaniem mamy jeszcze szansę.

Oczywiście nie u Edwardsa, ale u kontrolerów.

Myszę, że mogą zmienić zdanie.

Wiem, że obaj cię lubią, chcą, żebyś został.

McCreedy wziął swój odtwarzacz kompaktowy i włożył do drugiego pudła.

Lubił czasem cicho puścić muzykę klasyczną, kiedy o czymś roz myślał.

Nie miał wystarczająco wielu rupieci, by wypełnić obydwie karto ny.

Na ścianach nie było żadnych zdjęć typu: "uścisk dłoni ze sławnym człowiekiem"; parę reprodukcji impresjonistów pochodziło z przydziału.

Wyprostował się i popatrzył na pudła.

410

Naprawdę niedużo jak na trzydzieści lat mruknał.

Sam, jak Boga kocham, to jeszcze nie koniec.

Oni mogą zmienić zdanie.

Denis, równy z ciebie facet.

Odwaliłeś tam kawał dobrej roboty.

Mam zamiar poprosić Szefa, żebyś ty wszystko przejął, ale musisz się nauczyć, z której strony nieba wstaje słońce.

To koniec.

wyrok zapadł i został wyda ny parę tygodni temu, w innym biurze, przez innego człowieka.

Denis Gaunt usiadł niepocieszony w fotelu swego szefa.

W takim razie po cholere to wszystko?

Cała rozprawa?

Niech się skurwiele trochę pomęczą.

Przepraszam, Denis, powi nienem ci o tym powiedzieć.

Załatwisz, żeby ktoś mi odwiózł do domu te pudła?

Ale jeszcze możesz przyjąć którąś z posad, jakie oni ci propono wali.
Zrobić im na złość powiedział Denis.

Denis, poeta mówił: "Słodka godzina szaleństwa w życiu pełnym chwały warta jest świata bez imienia".

Dla mnie siedzenie w archiwum albo prowadzenie rachunków byłoby światem bez imienia.

Przeżyłem swoją godzinę najlepiej jak umiałem i po wszystkim.

Odchodzę.

Tam czeka słoneczny świat.

Idę tam i będę się nim cieszył.

Denis Gaunt miał minę jak na pogrzebie.

Jeszcze cię tu zaproszą powiedział.

Nie.

Szef wyprawi pożegnalne przyjęcie.

Żadnych przyjęć.

Nie znoszę taniego musującego wina.

Flaki mi od tego wywraca.

Tak samo jak wtedy, gdy Edwards stara się być dla mnie miły.

Odprowadzisz mnie do wyjścia?

Century House jest jak parafialna wioska.

W korytarzu, po drodze do windy, podczas jazdy w dół i w holu z kamienną

posadzką, sekretarki i koledzy wołali: "Cześć, Sam...

na razie".

Nie mówili: "Zegnaj, Sam", ale to właśnie mieli na myśli.

Sekretarki zatrzymywały się, jak gdyby miały ochotę wygładzić mu krawat po raz ostatni.

Kiwał im głową z uśmiechem i szedł dalej.

Na końcu kamiennego holu znajdowały się drzwi.

Za nimi ulica.

McCready zastanawiał się, czy nie powinien przeznaczyć swojej odprawy na kupno wiejskiego domku, gdzie uprawiałyby róże i dynie, chodził w nie dzielę rano do kościoła i stawał się filarem społeczności.

Ale czym wy pełniać tam dni?

Żałował, że nigdy nie zajął się jakimś czasochłonnym hobby, jak koledzy, którzy hodowali tropikalne rybki, zbierali znaczki albo chodzili po górach w Walii.

I co by powiedział sąsiadom?

"Dzień dobry, na imię mi

411 .

□

Sam, jestem emerytowanym pracownikiem Foreign Office.

Niestety, ni cholery nie mogę wam powiedzieć, co tam robiłem..." Stary wiarus z

armii może chociaż pisać pamiętniki i zanudzać turystów w przytulnym barze.

W przeciwieństwie do tych, którzy życie spędzili w cieniu.

Ci mu są milczeć.

Pani Foy z Biura Dokumentów Podróży przechodziła właśnie przez korytarz, stukając wysokimi obcasami: postawna wdowa, która nie skończyła jeszcze czterdziestki.

Spora liczba rezydentów Century House próbowała szczęścia z Suzanne Foy, lecz nie na darmo zwano ją Fortecą.

Ich drogi się skrzyżowały.

Zatrzymała się i odwróciła.

Jakimś sposobem węzeł krawata McCreadyego znalazł się na środku klatki piętrowej.

Sięgnęła, żeby poprawić mu krawat i umieścić go pod kołnierzykiem.

Gaunt obserwował.

Był za młody, by pamiętać Jane Russell, nie mógł więc dokonać oczywistego porównania.

Sam, ktoś powinien zabrać cię do domu na coś pożywczego stwierdziła.

Dennis Gaunt patrzył na płynny ruch jej bioder, gdy szła do windy.

Zastanawiał się, jak to jest, kiedy się dostaje od pani Foy coś pożywczego.

Albo vice versa.

Sam McCready otworzył szklane drzwi na ulicę.

Poczuł gorący powiew lata.

Odwrócił się, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął kopertę.

Daj im to, Denis.

Jutro rano.

O to im przecież chodzi.

Denis wpatrywał się w kopertę.

Miałeś to cały czas ze sobą powiedział.

Napisałeś już dawno.

Ty przebiegły stary skurczybyku.

Lecz mówił to do kołyszających się drzwi.

McCready skręcił w prawo i z kurtką przewieszoną przez ramię spo kojnie podążył w stronę mostu westminster odległego o pół mili.

Z po wrotem rozluźnił krawat aż do trzeciego guzika od góry.

Było upalne lipcowe popołudnie, w środku fali upałów lata 1990.

Mijał go sznur samochodów zdążających w stronę Old Kent Road.

forsyth Fałszerz.txt

Dzisiaj byłoby przyjemnie nad morzem pomyślał.
Wody kanału falowałyby w blasku słońca.

Może powinien jednak kupić ten dom w hrabstwie Devon, z własną łódką na przystani.

Mógłby tam nawet zaprosić panią Foy.

Na coś pożywne.

wyrósł przed nim most Westminster.

Po drugiej stronie wznosiła się w błękitne niebo siedziba parlamentu, którego wolności, a nierzadko głupoty, starał się bronić przez trzydzieści lat.

Świeżo odnowiona wieża z Big Benem lśniła złotem w słońcu nad leniwą Tamizą.

Na moście stał gazeciarz przy swojej budce, gdzie miał świeżą stertę popołudniówki

412

"Evening Standard".

Przy jego nogach stała tablica z wypisanym tytułem dnia.

Widniały na niej słowa: BUSH I GORBI OFICJALNY KONIEC ZIMNEJ WOJNY.

McCreedy zatrzymał się, żeby kupić gazetę.

Dziękuję, panie szanowny powiedział sprzedawca.

wskazał na swoją tablicę.

No to koniec nareszcie, co?

Koniec?

No z tymi kryzysami w polityce światowej.

To już przeszłość.

Piękna idea przyznał McCreedy i poszedł dalej.

Cztery tygodnie później Saddam Husajn napadł na Kuwejt.

Sam McCreedy usłyszał wiadomość podczas wędkowania o dwie mile od wybrzeża w Devon.

Rozważył tę wiadomość i uznał, że najwyższy czas zmieć przynętę.